

Taylor Anderson

# Krucjata

*Crusade*

Przełożył  
Radosław Kot



*Jak zawsze, dla mojej kochanej córki,*

*Rebeki Ruth.*

*Być może przyjdzie taki czas,  
gdy tata nie będzie już twoim ulubionym bohaterem,*

*ale cieszę się tym, póki mogę.*

*Wiem, że masz dość takich dedykacji,*

*ale przydają się.*

*Mnie dobrze się przysłużyły.*

## PODZIĘKOWANIA

Pełna „lista podejrzanych” jest zbyt długa, żeby przytaczać ją w całości, jednak wsparcie, słowa zachęty i dowody przyjaźni, którymi mnie obdarowali, są nie mniej cenne, oni zaś i tak wiedzą, o kogo chodzi. Waham się nazwać ich „zespołem” pomocników, chociaż w większości znają się nawzajem i każdy z nich zrobił coś, żeby przyczynić się do powstania tej powieści, nawet jeśli było to tylko wsparcie moralne. Być może powinienem ich porównać do obsady działła, w której każdy ma swoje zadanie, czasem wykonywane niezależnie od pozostałych, jednak jeśli jest zgrana, jej działania przypominają swoiste przedstawienie baletowe zakończone wysłaniem pocisku w stronę celu.

Do poprzednio wymienionych dołącza Sheila Cox, która doprowadziła moją stronę sieciową do stanu używalności i traktowała poważnie wszystkie, nawet najbardziej niepoważne, pytania, jakie jej zadawałem. Don i Jeanette Anderson odznaczyli się przede wszystkim jako czytelnicy pierwszych wersji tekstu oraz krytycy pojawiających się w nim pomysłów.

Moja żona, Christine, która cierpliwie znosiła i znosi przejawy mojego braku rozgarnięcia, doszła już chyba do wniosku, że byłem taki, nim jeszcze mnie poznała, i że nic się nie da w tej sprawie zrobić.

Raz jeszcze dziękuję Ginjer Buchanan i wszystkim z wydawnictwa Roc za cierpliwość i wsparcie. Ginjer jest najlepszym wydawcą, o jakim można zamarzyć.

Na koniec ponownie składam podziękowania Russellowi Galenowi. To najlepszy agent pod słońcem i prawdziwy przyjaciel. Jeśli wspomniana obsada działła miałaby działonowego, byłby nim właśnie Russell.

I jeszcze jedno. Nigdy nie służyłem we Flocie Azjatyckiej. Zrobiłem co w mojej mocy, żeby jak najlepiej opisać jej działania, wyposażenie i liczne problemy z początkowego okresu drugiej wojny światowej, niewątpliwie jednak udało mi się popełnić przy tym mnóstwo błędów. Za wszystkie odpowiada oczywiście Jim (żartuję - to moje błędy, ale musiałem to napisać). Wszystkich marynarzy, którzy naprawdę służyli wówczas na pokładach tamtych okrętów, z góry proszę o wybaczenie wszystkich nieścisłości i pomyłek. Mam nadzieję, że i tak uznacie tę książkę za ciekawą. Cóż, w końcu jest ona poświęcona nie komu innemu jak właśnie wam.

## Prolog

Tsalka, cesarski regent i pan całych Indii, rozsiadł się na swoim wyściełanym, przypominającym kulbakę tronie ustawionym na trójkątnym podwyższeniu pośrodku obszernej kamiennej sali na planie owalu. Łukowate sklepienie zapewniało cień przez większość dnia, a podłogę zaścielały kwitnące pnącza przesadzone tutaj z dżungli. Tylko sam tron zawsze oświetlały promienie słońca, które wpadały przez zmyślnie otoczony lustrami otwór w suficie, kąpiąc regenta w jasnej i ciepłej poświacie.

Tsalka odruchowo pogładził miniaturową kopię siebie próbującą złapać ostrymi jak igły ząbkami jego pazurzastą łapę. Pazurki i ruchliwy ogonek łaskotały wewnątrz jego dłoni. Obok tronu stał cały koszyk takich stworzonek, które przepychały się energicznie, a ich piski co rusz odrywały regenta od poważniejszych myśli. Otrzymał już wiadomość, że jego sfera stała się celem napaści, i czekał teraz na szczegółową relację, którą mógłby przekazać Niebiańskiej Matce. Pierwsze meldunki sugerowały, że napotkali inną drapieżną rasę, co musiało budzić zrozumiałe zainteresowanie.

Nie, żeby osobiście wiele go to obchodziło. Należał do Hij, wyniesionych, i pierwotne popędy nie miały już na niego wpływu. Był jednym z nielicznych, którzy dzięki urodzeniu oraz własnym dokonaniom wyszli ponad Uul, kastę wojowników i robotników. Miał powody do dumy. Tylko Hij mieli dostęp do Niebiańskiej Matki i jej sióstr. Tylko spośród nich brały one sobie partnerów i płodziły z nimi potomstwo, które też mogło kiedyś dostąpić podobnego wyniesienia. Część zostawała inżynierami albo cieślami, inni generałami, nawigatorami albo pisarzami. Jeszcze inni doglądali produkcji broni. Niektórzy, jak Tsalka, obejmowali stanowiska administratorów i wicekrólów podbitych ziem. Zwykle w słusznym, wedle standardów grików, wieku, jednak Hij dożywali niekiedy nawet sześćdziesięciu i więcej lat.

Sam Tsalka zbliżał się obecnie do czterdziestki i uważał za swoiste błogosławieństwo możliwość osiągnięcia poziomu rozwoju, o którym zwykli Uul nie mogli nawet marzyć. Tak jak cenił szansę przewodzenia zwykłym grikom i kształtowania świata wedle ich potrzeb. Z drugiej strony było to i przekleństwo. Hij nie mogli się cieszyć zwykłymi radościami polowania i walki. Byli organizatorami i zadbawszy o wszystko, usuwali się, pozwalając podwładnym zająć się zdobyczą. Było to nierzadko ciężkim brzemieniem.

Filozofia życiowa grików opierała się na prostym założeniu, że każdemu przypada w

życiu rola łowcy albo ofiary, solą egzystencji były zaś Wielkie Łowy - nieustanna pogoń za zdobyczą, choćby na koniec świata. Jak długo łowca polował, tak długo żył, a jeśli nie chciał przyłączyć się do myśliwych, sam stawał się ofiarą. Szlachetną ofiarą, która jednak kończyła tak jak inne. Skutkiem tego nie było starych grików poza Hij. Ktokolwiek nie mógł już polować, ginął z rąk młodszych. Taki był odwieczny porządek.

Ofiar była wkoło obfitość, toteż niemało było również myśliwych. W większości były to tylko zwierzęta, czasem jednak zdobycz stanowiły stworzenia bardziej wymagające, bo rozumne. Historia grików obfitowała w polowania, zwane też wojnami, z innymi drapieżnikami, które nie chciały się do nich przyłączyć. Z czasem jednak szlachetne ofiary stały się tak rzadkie, że grikowie coraz częściej polowali na siebie nawzajem. W takiej sytuacji napotkani obcy zostawali zdobyczą, czy tego chcieli czy nie. Przykra sprawa, rzecz jasna, ale trudno. Własne plemię było najważniejsze.

Z tego powodu mądra Niebiańska Matka już wieki temu wprowadziła tradycję „cierpliwych łowów”, która spowalniała wytępienie szlachetnych ofiar, dzięki czemu grikowie nie zwracali się już przeciwko sobie. Gdy przeludnienie nazbyt dawało o sobie znać, wzmagając pragnienie łowów, wzywano do stworzenia Wielkiego Roju. Wojownicy ze wszystkich stron imperium jednoczyli się do walnej kampanii przeciwko którymś szlachetnym ofiarom. Owocowało to nie tylko powiększeniem imperium, ale często także kontaktem z nowymi potencjalnymi ofiarami, i cykl się powtarzał.

Przez tysiące lat wszystko działało idealnie i nawet wojny wybuchające czasem między różnymi prowincjami imperium bardziej przypominały turnieje niż prawdziwe konflikty. Często zresztą organizowali je regenci, żeby dostarczyć poddanym trochę rozrywki. Teraz jednak do niczego podobnego nie doszło. W ciągu ostatnich kilkunastu lat natrafiono ponownie na dawną zdobycz - Tych, Którzy Uciekli. Historycy nazywali te ofiary nadrzewnymi, ponieważ zamiast walczyć, zwykły szukać schronienia na drzewach. Tchórzliwi niczym zwykli roślinożercy, nie mogli równać się ze szlachetnymi ofiarami, niemniej zdołali uciec i Tsalka odruchowo stroszył ogon, ile razy pomyślał o swoich antenatach, którzy dopuścili do tego haniebnego zdarzenia.

Teraz jednak udało się odnaleźć ich nowe siedziby za bezdennym morzem i zwyczaj powolnego wybijania ofiar nagle został zarzucony. Wszystkim bardzo zależało, żeby jak najszybciej skrzyknąć Wielki Rój i uporać się ze zdobyczą, nim ponownie gdzieś umknie. Na rejon koncentracji sił wybrano Cejlon i to Tsalka był odpowiedzialny za organizację tego monumentalnego przedsięwzięcia. Teoretycznie powinien zajmować się tylko stroną techniczną, a resztę zostawić generałom na ich białych okrętach, był jednak regentem, co

oznaczało, że decyzje strategiczne musiał podejmować samodzielnie.

W komnacie zahuczał echem dźwięk rogu. Z mroku wyłonił się wysoki muskularny generał o poznaczonym szramami ciele. Z chrzęstem pancerza padł na podwyższenie, składając hołd Tsalce, którego puls nagle przyspieszył. Czasem żałował, że nie jest wojkowym. Wtedy mógłby od czasu do czasu się zabawić. Westchnął, szybko jednak się opanował - nie mógł pozwolić sobie na to, by oddać się bitewnej gorączce.

- Wstań, generale Eshk - powiedział, witając go sykliwymi tonami.

Generał podniósł się z podłogi i rozprostował krótką pelerynę w jaskrawoczerwonej barwie rodu Niebiańskiej Matki.

- Dawczyni Życia przesyła ci pozdrowienia, regencie Tsalka - rzekł. - Niezmiennie uważa cię za ulubionego i najszlachetniejszego ze swoich małżonków.

Tsalka skłonił głowę, przyjmując komplement, jednak nie wziął go sobie przesadnie do serca. Eshk powtarzał go zapewne wszystkim regentom. Sam był niewątpliwie największym z żyjących generałów. Obecnie dzielił gniazdo z Niebiańską Matką. Nie tylko cieszył się jej łaskami, ale miał też na nią pewien wpływ. Po przybyciu floty Wielkiego Roju miał zostać jej dowódcą, odpowiadającym tylko przed regentami oraz Niebiańską Matką. Tsalce też zależało na jego opinii.

- Zawsze o niej myślę - powiedział z namaszczeniem. - Jak podróż?

- Nudna, panie. Za sprawą potworów morskich straciliśmy trzy okręty, ale to bez znaczenia. Mamy naprawdę liczną flotę. Następne jednostki przybędą, gdy tylko zostaną ukończone. Zapewnisz nam zaopatrzenie?

- Oczywiście.

Eshk zamilkł na chwilę, a gdy znowu się odezwał, uczynił to trochę innym tonem.

- Widziałem coś ciekawego... i słyszałem dziwne opowieści na nabrzeżu...

Jasne, westchnął Tsalka. Eshk zwykł szybko przechodzić do sedna sprawy.

- Istotnie - przyznał regent. - Zrobiło się ciekawie... ale jest i problem. Od czego tu zacząć?

- Może od problemu? - podsunął Eshk.

Tsalka spojrział na kolejną postać, która pojawiła się właśnie wraz ze strażą w komnacie.

- Dobrze, generale Eshk - odparł zdecydowanym tonem. - Zwłaszcza że nasz „problem” już się pojawił. Podejdz, kapitanie Righ. Chcę usłyszeć, co masz do powiedzenia.

Righ podszedł pokornie, z podkulonym ogonem. Był całkiem nagi, nawet bez dystynkcji. Nie padł na kolana, bo hołd regentowi mógł składać tylko ktoś godny tego

zaszczytu.

- Moi Uul się zatracili - odezwał się. - Nie mogłem ich powstrzymać...

- Oczywiście, że mogłeś! - parsknął Tsalka. - Po to są Hij, żeby chronić i prowadzić Uul w walce!

- Niemniej...

Tsalka syknął ostrzegawczo, ale zaraz niedbale machnął pazurzystą łapą.

- Trudno, stało się - rzekł. - Szkoda tylko twojej załogi, która będzie musiała zginąć razem z tobą. Co masz na usprawiedliwienie?

Righ opowiedział, jak zaatakował zespołem sześciu okrętów samotny statek nadrzewnych. Wszystko szło dobrze, póki w pobliżu nie pojawiła się dziwna jednostka, poruszająca się ze zgoła nadprzyrodzoną prędkością. Nieznany sposobem i z bardzo daleka obcy poraził łowców na okrętach oraz tych, którzy walczyli na pokładzie wielkiego statku. Ocalał tylko okręt kapitana, chociaż i tak został poważnie uszkodzony. Ku jego przerażeniu cała reszta zespołu padła ofiarą przeciwnika. Wszyscy, co do jednego. Załoga Righa samowolnie zdecydowała o ucieczce i w tym celu pozbawiła go przytomności. Gdy doszedł do siebie, była już noc. Uciekli, ale ocaliły ich tylko ciemności.

Załoga jednak była tak rozbita, że ledwie sobie radziła z podstawowymi obowiązkami. Nie mając wyboru, kapitan kazał wziąć kurs na Cejlon, żeby chociaż złożyć meldunek. Po drodze napotkał wielką grupę łowców wysłanych przez Tsalkę dla opanowania Jawy. Oczekiwał, że zostanie w tej sytuacji potraktowany jak ofiara, jednak po nawiązaniu kontaktu okazało się, że oni też widzieli tę straszną jednostkę i nawet z nią walczyli. Tyle że chociaż stracili wielu wojowników, żaden z ich okrętów nie został zniszczony.

- Czym więc zakończyła się tamta walka? - spytał Eshk.

- Zwycięstwem, oczywiście - odparł Righ, chociaż trochę jakby bez przekonania. - Przeżyli i wzięli jeńców. Tamten uszedł, ale zostawił tyle dymu, że musiał potem splonąć cały do linii wodnej. Ci jeńcy byli jednak bardzo dziwni. Bez futra, ogonów czy pazurów. Dali mi skosztować nowej zdobyczy.

- Jak smakowała? - zaciekał się Tsalka.

- Mało wyraziście, ale mięso było delikatne, panie.

- Ciekawe. Chyba też chciałbym go spróbować.

- To możliwe, panie. Dowódca tamtego zespołu przysłał przeze mnie jedno takie stworzenie jako dar dla ciebie. Jest żywe i świeże. Wszyscy inni zostali zjedzeni, a ich czaszki przekazano zwiadowcom, żeby mogli rozpoznać zdobycz, gdyby napotkali następnych.

Jedno z młodych wgryzło się w palec Tsalki, przypominając o swoim istnieniu.

Regent uniósł je do paszczy i przeżuł powoli, chociaż niedorostek szamotał się energicznie, drażniąc podniebienie Tsalki.

- No dobrze - powiedział, przełknąwszy przekąskę. - Nawet pisklak wie, że porażka to żadna wymówka i dobry dowódca wybrnie z każdej opresji. Muszę przyznać, że faktycznie się starałeś. Tak zatem, jeśli to już wszystko, co do mnie miałeś, gdy tylko dostarczysz mi zdobycz, o której wspomniałeś, możesz sam się usunąć. Masz na to moją zgodę.

- Dzięki, panie - odparł Righ z wyraźną ulgą. Mogło być znacznie gorzej. - Dziękuję ci!

Tsalka odprawił go skinieniem ręki i spojrzał na Eshka.

- Przykry obowiązek - powiedział.

Generał syknął potwierdzająco.

- Ciekawi mnie ten statek - rzekł - i pływające na nim bezogoniaste stworzenia. Czy broniły nadrzewnych? Może uznały nas za kłusowników? - Nerwowo strzelił ogonem. - Ale nieważne. Zostały pokonane, jeśli Righ powiedział nam prawdę. Nie ma powodu, żeby opóźniać Rój. Raczej odwrotnie: im szybciej wyruszymy, tym lepiej. Jeśli bezogoniastych jest więcej, przeciwstawimy się im większą liczbą.

- Zgadzam się. Sam chciałem to zaproponować - stwierdził Tsalka. - No i może nowi łowcy proponują jakieś rozwiązanie. Pewnie już o nich wiesz.

Eshk kiwnął głową.

- Bez wątpienia musimy ich o to spytać. Co doprowadza nas do najciekawszego z ostatnich wydarzeń. Nabrzeże aż huczy od plotek i trudno się temu dziwić. To prawda, że przyłączyli się do Wielkich Łowów?

- Tak! Chociaż nie było łatwo - rzekł i umilkł na chwilę. - Kazałem ich oszczędzić. Na moją odpowiedzialność. Jeśli Niebiańska Matka zdecyduje inaczej, oczywiście zostaną zniszczeni.

- Dobrze polują?

- Aż za dobrze! - parsknął Tsalka. - Wcześniej atakowaliśmy ich trzy razy. Wraciał tylko jeden okręt na dwadzieścia i to zasadniczy powód, że tak się ucieszyłem, gdy przybyłeś z nowymi. Ale chodź! Możemy porozmawiać o nich, patrząc na to dziwo.

Tsalka wstał i poprowadził gościa do sąsiedniego pomieszczenia, skąd przeszli nisko sklepionym korytarzem na balkon zawieszony nad rozległą zatoką. Wypełniały ją setki pomalowanych na czerwono kadłubów, między którymi unosiło się na wodzie coś... niewiarygodnego.

- Czy to nie wspaniały widok? - spytał regent.



Esshk pokazał zęby i syknął z aprobatą.

- Chciałbym spotkać tych nowych łowców.

- Spotkasz ich. Jeśli wszystko, co o nich słyszałem, jest prawdą, mogą być naprawdę interesujący.

Na balkonie pojawiło się dwóch strażników prowadzących niewielkie wymizerowane stworzenie z nieproporcjonalnie długimi rękami i nogami. Było nagie i brudne, miało kępkę sierści na samym czubku głowy i trochę włosów na brodzie, poza tym ze względu na gładką skórę przypominało ledwo wyklutego Uula. Tylko jego oczy były normalne, a to za sprawą wyzierającej z nich nienawiści. Obaj Hij spojrzeli na stworzenie z odrazą.

Ku ich wielkiemu zdumieniu zdobyycz stanęła prosto i mrużąc oczy w słońcu, powiedziała kilka słów we własnej mowie. Brzmiały dziwnie, ale dało się z nich wyłowić coś brzmiącego jak „kafmaan”. Potem dodała jeszcze kilka liczb i ta część wypowiedzi okazała się całkiem zrozumiała.

- Zdumiewające! - wykrzyknął Tsalka, gdy zdobyycz zacisnęła usta i nie powiedziała już nic więcej. - Myślisz, że on rozumie, co mówi? A może Righ nauczył go po drodze powtarzać kilka zdań?

- Nie wiem - mruknął Esshk. - Możemy się jednak przekonać - dodał ze śmiechem. - Porozmawiamy z nim przy obiedzie.

- Rozmawiać z pożywieniem? Dziwaczny pomysł.

- Najpewniej, ale jeśli Righowi można wierzyć, to co najmniej szlachetna zdobyycz, prawda?

- Nigdy nie rozmawiałem ze zdobyczą, nawet najbardziej szlachetną - rzucił regent.

- Wszystko się zmienia - powiedział ironicznie Esshk. - Z Righiem zamieniłeś przecież kilka zdań, choć obecnie nie jest już niczym więcej jak właśnie zdobyczą. Poza tym to naprawdę niewielka różnica. Nasi nowi towarzysze są właściwie tacy sami, a różnią się od tego tutaj tylko tym jednym drobiazgiem: że stanęli po naszej stronie.

Tsalka spojrzął z namysłem na generała.

- Słusznie uważają cię za filozofa i nic dziwnego, że jesteś tak popularny na dworze. Ale to niebezpieczna myśl. Chyba nie powinieneś aż tak ryzykować.

Nagle zdobyycz szarpnęła się i krzyknęła coś, była jednak zbyt słaba, żeby dokonać czegoś więcej. Z drugiej strony, zanim zwiśla bezwładnie, okazała w ten sposób jakąś odwagę. Dopiero po chwili obaj Hij pojęli, że ofiarę wzburzył widok jednostki nowych łowców.

- Cóż, widocznie już ich zna! - stwierdził z zadowoleniem Tsalka. - Chyba ma ich za

swoich naturalnych wrogów. Niesamowite! - Założył ręce na plecach i podszedł do balustrady. Okręty grików wydawały się bardzo małe w porównaniu z jednostką nowych, niemal równie wielką jak dziwaczne statki nadrzewnych. Tyle że podobno zbudowano ją z żelaza i nosiła na pokładzie całą masę magicznych broni. Tsalka zastanowił się, co może znaczyć flaga, którą obcy mieli na maszcie: czerwony krąg z rozchodzącymi się na wszystkie strony promieniami.

- Jak oni go nazywają? - spytał generał.

- Jak nazywają ten statek? Podobno *Amagi*, cokolwiek to znaczy...

# Rozdział 1

Przebudzony porannym alarmem kapitan sięgnął do zwisającego nad przeponą koją łańcuszka i pociągnął zań zdecydowanie. Kajutę zalało białe światło żarówki, jednak sen nie pierzchnął od razu. Przecierając oczy, Matt powoli wracał do świata, wspominając koszmar, który nawiedzał go od wielu nocy. Nie pamiętał dokładnie jego treści, bo skrywała ją przed nim skrzętnie przewrotna podświadomość, która wymazywała każdą scenę majaku, ledwie dobiegała końca. Pozostawał po nich tylko trudno uchwytne lęk przed czymś, co miało się dopiero zdarzyć. Czasem, jak teraz, budził się, zanim sen dobiegał finału, i udawało mu się zachować w pamięci coś więcej, lecz konkrety umykały, ledwie otwierał oczy, i wszystko rozwiewało się jak smuga dymu na wietrze. Pewien był tylko tego, że sen miał związek ze szkwałem, który wprawdzie uratował ich przed śmiercią z rąk Japończyków, ale też cisnął w ten przedziwny obcy świat. Świat geograficznie niemal identyczny z ich własnym, poza tym kontrastowo różny.

Kapitan siedział, starając się odzyskać orientację. Wibracja ciepłego pokładu pod bosymi stopami podpowiadała, że niszczyciel płynie, towarzyszący temu wysiłek pozwalał zaś sądzić, że przy wciąż jest na drugim końcu holu, a wszystkie wydarzenia związane z jego zdobyciem w żadnym razie nie były częścią snu. To znaczyło, że cała reszta też zdarzyła się naprawdę. Nie chodziło zatem o podświadome lęki. Nie, one nie mogły równać się z tym, co ich spotkało, odkąd wyszli ze szkwału.

Wstał, kręcąc głową, i zmoczył ręcznik w umywalce. Słodka woda znowu im się kończyła i mycie ograniczało się do przetrarcia twarzy. Potem sięgnął po ostatni kawałek mydła i zabrał się do usuwania zarostu. W końcu raz jeszcze przetrął twarz i uczesał przetłuszczone włosy.

- Piękny to ty nie jesteś - mruknął, patrząc w lustro, i wzruszył ramionami. - Ale bywało już gorzej. - Oczy miał wyraźnie podkrążone, a jego chłopięca twarz sporo straciła z niedawnej młodości. Za dwa miesiące obchodzić miał dopiero trzydzieste trzecie urodziny, jednak we włosach pojawiło się już kilka siwych pasm. Bez wątplenia na skutek stresu, ponieważ jego rodzice zaczęli siwieć dopiero pod sześćdziesiątkę. Tyle dobrego, że napięcie w końcu jakby zmalowało, chociaż wkoło nadal czaiło się niebezpieczeństwo. Stoczyli zwycięską walkę z przerażającym wrogiem i przekonali się naocznie, że chodziło o

przeciwnika jeszcze gorszego niż Japończycy. Z drugiej strony okręt trzymał się na wodzie i zyskali nawet nowe źródło paliwa do kotłów. Mieli też nowych przyjaciół oraz sojuszników i nawet jeśli grikowie okazali się większym zagrożeniem, niż początkowo im się wydawało, teraz wreszcie coś o nich wiedzieli.

Walcząc wcześniej z Japończykami, byli na straconej pozycji. Przeciwnik był liczniejszy i lepiej uzbrojony, co ograniczało ich możliwości tylko do ucieczki. Stareńkie czterofajkowce USS *Walker* i USS *Mahan* cudem ocalały, gdy tuż przed wejściem w szkwał przyszło im stoczyć walkę z krążownikiem liniowym *Amagi*. Dwa miesiące pomiędzy Pearl Harbor a ich „ucieczką” ze znanego świata Matt coraz głębiej pograżał się we frustracji, widząc, jak topniejące siły Floty Azjatyckiej są rzucone z miejsca na miejsce w daremnych próbach obrony Holenderskich Indii Wschodnich. Problem stanowiła nie tylko znaczna przewaga liczebna przeciwnika; jeszcze bardziej dokuczala im niewiedza o jego działaniach i brak osłony powietrznej. Zdezorientowane wielonarodowe dowództwo zespołu ABDA (American, British, Dutch, Australian) nie było w stanie przeprowadzić zbornych akcji. Wiedząc o nadciągającej lawinie, nie potrafiło orzec, kiedy ani gdzie dokładnie uderzy. To musiało zakończyć się klęską.

Aż do ostatniej walki bardzo podobnie wyglądał konflikt z grikami. Owszem, byli „pradawnym” wrogiem lemurów, ale nawet oni prawie nic nie wiedzieli o tych stworzeniach, które mieszkaly za wrogim oceanem, i od wieków nikt tak naprawdę ich nie widział. Przechwyciwszy okręt jaszczurów, wiedzieli jednak wreszcie, z kim mają do czynienia. Zdobyte informacje były przerażające, ale dzięki nim wiedzieli wreszcie, na czym stoją. Liczni niczym mrówki dzicy grikowie zamierzali wytepić rasę lemurów i wykazywali się w tym jeszcze większą zawziętością niż Japończycy w swoich podbojach. Na dodatek od utraty kontaktu z *Mahanem* Mattowi pozostał tylko jeden stareńki niszczyciel, zbudowany jeszcze w czasach Wielkiej Wojny, sojusznicy zaś nie mogli dojść do porozumienia, czy chcą walczyć, czy też znowu uciekać, co bardzo utrudniał podział na plemiona morskie i lądowe. Mimo to, niekoniecznie zasadnie, po raz pierwszy, odkąd wplątali się w tę sprawę, Matt ostrożnie skłaniał się ku optymizmowi.

Jego załoga miała wreszcie konkretny cel, który wykraczał poza zwykłe pragnienie przeżycia. Tak jak wcześniej twardo stawiali opór Japończykom, tak teraz zdecydowani byli udzielić pomocy nowym sojusznikom w walce z jeszcze okrutniejszym przeciwnikiem. Ostatecznie Japończycy, cokolwiek by o nich powiedzieć, nie zjadali pokonanego wroga. Odkąd na jednostce grików znaleźli ludzką czaszkę, która musiała należeć do kogoś z załogi *Mahana*, jaszczury stały się także wrogami Amerykanów. To, że byli tutaj zapewne jedynymi

przedstawicielami swego świata, nie miało większego znaczenia. Jeden żelazny niszczyciel ze zmęczoną, ale wprawną załogą powinien wyciągnąć lemury z epoki brązu i pomóc im zbudować siły zbrojne zdolne odeprzeć zagrożenie. Poczynili już pierwsze kroki na tej drodze, chociaż czekało ich jeszcze wiele pracy, nim będą mogli rozpocząć planowaną przez kapitana krucjatę.

Matt ubrał się szybko i odsunął groszkową zasłonę, która oddzielała jego kabinę od krótkiego korytarza przebiegającego przez oficerską część okrętu między mesą a wyjściem na pokład. Idąc do schodni, omal nie wpadł na porucznik Sandrę Tucker, która wyszła ze swojej kajuty i spieszyła do izby chorych. Z trudem wyminęli się w ciasnym wnętrzu. Od tej przelotnej bliskości aż zapało im dech. Sandra była niższa, ledwie sięgała Mattowi do podbródka, ale nawet z włosami upiętymi w nie najświeższy kok i jeszcze zaspanymi oczami była dla niego najpiękniejszą z kobiet, które kiedykolwiek poznał. Nie tylko ze względu na urodę, ale i ujmującą osobowość.

Sandra weszła na pokład tuż przed tym, jak *Walker*, *Mahan* i jeszcze trzy inne okręty opuściły Surabaję po klęsce w bitwie na Morzu Jawajskim. Uciekając przed depczącymi im po piętach Japończykami, stracili brytyjski krążownik *Exeter* oraz niszczyciele HMS *Encounter* i USS *Pope*. Skutkiem tego dwa amerykańskie czterofajkowce musiały same stawić czoło krążownikowi liniowemu *Amagi*. Podczas chaotycznej wymiany ognia oba zostały uszkodzone, zdołały jednak ulokować co najmniej dwie torpedy w kadłubie olbrzyma, a gdy wyszły ze szkwału, nie dojrzano przeciwnika. Tyle że w tej walce zginęła połowa załogi *Mahana* oraz prawie czwarta część ludzi z *Walkera*, w tym jedna z pielęgniarek.

Trzy z nich przeszły na *Mahana*, żeby pomóc rannym, i zaginęły wraz z okrętem. Sandra Tucker i Karen Theimer pozostały na *Walkerze* z masą głodnych płci pięknej mężczyzn. Jak dotąd nie wynikło z tego wiele kłopotów, nie licząc niejasnego związku łączącego siostrę Theimer i jednego z młodszych oficerów. Matt i Sandra szybko odkryli, że bardzo ich ciągnie ku sobie, i chociaż po niedawnej walce wyznali sobie miłość, starali się powstrzymać od jakiegokolwiek ostentacji. Kapitan był przekonany, że w tym dziwnym świecie żyją jeszcze inni ludzie, na których jednoznaczne ślady natrafili, nie wiedział jednak, gdzie mogą się znajdować, i na razie nie chciał podkopywać swojego autorytetu czymś tak niemoralnym jak „zagarnięcie” dla siebie jednej z dwóch kobiet, które mieli na pokładzie. Oboje byliby zdziwieni, dowiedziawszy się, jak wiele załoga wiedziała o ich uczuciu. Koniec końców ludzie mają oczy i uszy i potrafią wyciągać wnioski. Jeszcze bardziej zaskoczyłoby zapewne Matta, że mimo ciężkiego położenia, w którym załoga znalazła się pod jego dowództwem, niezmiennie go ceni i poszłaby za nim w ogień. Zresztą raz już to zrobiła i nie

zawiodła się wtedy na nim.

Mijając Sandrę w wąskim korytarzu, Matt poczuł muśnięcie jej biustu i ledwie się powstrzymał, żeby nie wziąć dziewczyny w ramiona.

- Dzień dobry, pani porucznik.

- Dobry, kapitanie - odparła i coś jakby cień smutku przebiegło jej po twarzy.

Matt czym prędzej wspiął się na pokład i skierował kroki na mostek.

- Kapitan na mostku! - zawołał porucznik Garrett, wysoki artylerzysta, który akurat pełnił wachtę.

- Jak poszło? - zagadnął go Matt.

- Meldunki jeszcze nadchodzą, ale mieścimy się w czasie.

Matt pokiwał głową i zajmąwszy miejsce na krześle przyśrubowanym do pokładu po prawej stronie mostka, wpatrzył się w otulającą okręt ciemność.

- Wszystkie stanowiska obsadzone i gotowe - oznajmił marynarz Fred Reynolds. Głos mu się trochę załamywał, jednak ponieważ chłopak był naprawdę młody, chodziło zapewne o problemy wywołane mutacją. Matt spojrzął na zegarek - była 4.22.

- Żadna rewelacja, panie Garrett, ale i nie najgorzej - stwierdził.

- Racja, sir.

Mimo że Japończycy już im nie zagrażali, nie oznaczało to wcale, że mogą czuć się bezpiecznie. Z tego też powodu Matt nie chciał rezygnować z bojowego porządku na pokładzie i oczekiwał obsadzania wszystkich stanowisk jeszcze przed wschodem słońca. Była to najgorsza pora dla każdego okrętu nawodnego, kiedy to niebo już szarzało, ale morze jeszcze było ciemne, przez co dobrze ustawiona jednostka podwodna mogła bez trudu dostrzec potencjalną ofiarę, nie ryzykując wykrycia śladu peryskopu. Matt nie obawiał się już okrętów podwodnych, ale ten ocean krył inne, może nawet straszniejsze niespodzianki i zmuszał do nieustannej czujności. Poza tym, chociaż niektórzy narzekali na alarmy, były one częścią dobrze im znanej rutyny i niezależnie od okoliczności pomagały utrzymać dyscyplinę.

Niebo odrobinę pojaśniało i kadeci zaczęli przepatrywać ocean. Byli głównie miejscowego pochodzenia, jako że lemury miały po prostu lepszy wzrok. Dwóch tkwiło na skrzydłach mostka, jeden w bocianim gnieździe umieszczonym w połowie głównego masztu. Minuty mijały bez sygnału alarmu. Daleko przed dziobem rysował się masyw Borneo, ciemny niczym odchodząca wreszcie noc. Miejscowi nazywali wyspę Borno, a dalej jeszcze leżał Balikpapan, po tutejszemu Baalkpan, do którego przy obecnej prędkości powinni dotrzeć wczesnym popołudniem. Za rufą kołysał się na holu przechwycony okręt grików. Nie miał masztów, ale czerwony kadłub zdradzał olbrzymie podobieństwo do jednostki

brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Statek ów trafił dawno temu w łapy jaszczurów. Szeroki dziób, wysoka nadbudówka, bukszpryt i kikuty trzech masztów kojarzyły się jednoznacznie i Mattowi od tego widoku aż skóra cierpła na karku.

Walka była dość paskudna: ciemność, strzelanina, krzyki i wszechobecna krew, konieczność użycia paradnego pałasza, który miał od czasu Akademii i nigdy nie sądził, że wbije jego sztych w czyjeś gardło. Był też strach, że któryś z tych stworów rozszarpie go kłami i pazurami, zanim zdąży użyć tej anachronicznej broni. Pierwszy z grików, których zabił na tamtym statku, był nieuzbrojony, ale z całą pewnością nie bezbronny. Nie przypominali oni niczego, co widział wcześniej. Porośnięte krótką sierścią dwunożne jaszczury z krótkimi ogonami i prawie ludzkimi rękami. No i te ich zęby! Paszcze miały niczym potwory z najgorszych koszmarów, a pazury mocniejsze niż niedźwiedź brunatny. Tak zatem, chociaż ten pierwszy zapodział gdzieś topór, Matt miał szczęście, że przeżył tę walkę. Oczywiście później było już inaczej. Dopiero gdy zagnali niedobitki załogi do ładowni, mogli się przekonać, do czego naprawdę grikowie są zdolni. W tamtej chwili dłoń Matta sama szukała broni. Ładownia okazała się rzeźnią, w której oprawiano żywych jeszcze jeńców przed pożarciem. Matt chciał pojmać choć jednego grika, żeby go przesłuchać, ale w tych okolicznościach okazało się to niemożliwe. Nie mogli powstrzymać miejscowych „marines” przed wywarciem zemsty. Nawet siebie nie próbował powstrzymać.

Odkrycie prawdziwej natury przeciwnika powinno było uczynić ich zwycięstwo jeszcze bardziej satysfakcjonującym, ale gdy przyjrzeliby się zdobytym mapom i poznali rzeczywiste rozmiary imperium jaszczurów oraz ich liczebność, miny im zrzedły. Wszyscy pojęli, że będzie to walka na śmierć i życie.

Było już dość jasno, żeby dostrzec sylwetkę wielkiego statku Kejego, który chociaż jeszcze o mile odległy, wydawał się olbrzymi. Niewiarygodnie długi, o szerokim drewnianym kadłubie z poprzecznym belkowaniem dorównywał rozmiarami nowym amerykańskim lotniskowcom typu „Hornet”. Każdy z trzech trójnożnych masztów wyrastających ponad przypominające pagody nadbudówki dźwigał gąszcz żagli zwanych przez miejscowych skrzydłami. Szczyty masztów sięgały niemal sto metrów nad pokład, co czyniło całą konstrukcję wyższą niż ustawiony w pionie niszczyciel. *Salissa* była typowym pływającym domem lemurów, tyle że od niedawna była uzbrojona w trzydziestodwufuntowe działa, które pokazały już swą morderczą skuteczność w walce z innym okrętem grików i połączonymi oddziałami desantowymi z trzech jednostek przeciwnika. Działa pojawiły się dzięki wysiłkom Alana Lettsa, oficera zaopatrzeniowego, którego Matt zostawił w Baalkpanie, żeby nadzorował odlewanie kolejnych dział i produkcję innego sprzętu. Poza tym wolał go trzymać

z dala od reszty oficerów, gdy okazał się wybrankiem siostry Theimer. Miał nadzieję, że krótkie „co z oczu, to z serca” pozwoli reszcie załogi dojść do siebie.

Westchnął i spojrzął na zegarek. Morale i dyscyplina... Po odwołaniu alarmu bojowego Matt nakazał pozostać w stanie gotowości, zwolnił jednak obsadę połowy stanowisk, żeby mogła się przespać. O ósmej miało się rozpocząć posiedzenie kapitańskie dla zdecydowania o karze, którą powinni ponieść dwaj najwartościowisi ludzie z załogi. Matt nie chciał być dla nich zbyt surowy, bo ich potrzebował, a poza tym popsułoby to atmosferę. Z drugiej strony nie mógł znieść wiecznie wybuchających między nimi konfliktów. Musiał uciąć sprawę.

O 5.30 było już na tyle jasno, że mógł odwołać alarm. Porucznik Garrett ustąpił miejsca porucznikowi Dowdenowi, nowemu pierwszemu Matta, który wcześniej pełnił służbę na pomocniczym stanowisku dowodzenia. Zastąpił on Jamesa Ellisa, który został przeniesiony na *Mahana*, gdy niemal wszyscy oficerowie z tamtego niszczyciela zginęli w eksplozji dziesięciocalowego pocisku, który kompletnie zdemolował mostek. Od porucznika Bena Mallory’ego z lotnictwa sił lądowych i porucznika Bristera, inżyniera z *Mahana*, dowiedzieli się, że przełożony Mallory’ego, kapitan Kaufman, w przypiływie szaleństwa postrzelił Ellisa i przejął dowodzenie nad niszczycielem. To dlatego *Mahan* nie stawiał się w punkcie zbornym po przymusowym rozdzieleniu się okrętów. Mallory, Brister i sygnalista Ed Palmer, którzy dołączyli do *Walkera* na znalezionej przypadkowo łodzi latającej PBY *Catalina*, ledwie umknąwszy innemu zespołowi grików, stali się jedynym źródłem informacji na temat *Mahana*. Ostatni raz widzieli okręt przy zachodnim wybrzeżu Sumatry, gdy kierował się w stronę Cejlonu, które to miejsce, jak już widzieli, roilo się obecnie od grików. Mogli tylko mieć nadzieję, że Jim przeżył i zdołał odzyskać okręt dość wcześnie, żeby ocalić go przed grikami. Odkrycie ludzkiej czaszki na pokładzie statku jaszczurów sugerowało jednak, że mogło mu się nie udać. Jeśli tak się stało, to na dokładkę do dotychczasowych problemów czekało ich zadanie wytropienia i odbicia albo zatopienia *Mahana*.

- Czy mogę wejść na mostek? - rozległ się niepewny głos.

Matt obrócił się i ujrzał stojących na dole Courtneya Bradforda i Sandrę. Australijczyk wydawał się dziwnie spokojny - energiczny „naturalista” zwykle nie pytał o pozwolenie. Może Sandra ma na niego dobry wpływ, pomyślał Matt. Miał poważne problemy do rozważenia, ale w sumie był im wdzięczny, że mu przeszkodzili. Bradforda nie było na pokładzie podczas walki, przybył następnego dnia *cataliną* i odtąd badał przyz. Było to zadanie mogące spacyfikować największego wesołka.

Teoretycznie Bradford nie był niczym podwładnym. Australijski inżynier cieszył się



nie sprecyzowanym statusem i Matt nie zamierzał tego zmieniać, gdyż okazał się naprawdę użyteczny i pracowity. Przed atakiem Japończyków zatrudniony był w tutejszym oddziale kompanii Shella, co pozwalało mu oddawać się także prywatnej pasji, którą było badanie zwierząt występujących w Holenderskich Indiach Wschodnich. Między innymi dzięki temu, opuszczając Surabaję, wypchał swój bagaż mapami ukazującymi niemal wszystkie złoża ropy naftowej, które jego firma znalazła przez lata w okolicy. Z początku brakło wprawdzie pewności, czy tutejsze zasoby naturalne leżą tam, gdzie w ich świecie, jednak po sukcesie pierwszego odwiertu wykonanego w miejscu wskazanym przez Bradforda nikt już nie wątpił w przydatność jego wiedzy.

- Oczywiście - odrzekł Matt. - I dzień dobry.

- Oby i dla pana jak najlepszy - powiedział Bradford, wspinając się na górę.

Sandra tylko się uśmiechnęła. Matt wskazał widoczny przez okno mostka masyw lądu.

- Jesteśmy już prawie w domu - powiedział niemal serio.

- Istotnie - zgodził się Bradford. Zdjął podniszczony słomkowy kapelusz i pomasaował przepoconą głowę; mimo wczesnej pory było już osiemdziesiąt stopni Fahrenheita. Matt wiedział, że takie zachowanie Australijczyka oznacza, iż coś go gnębi. - Obejrzałem dokładnie mapę, którą mi pan przekazał. Myślę o tej, którą narysował chyba kapitan grików, różniącej się bardzo od ich map nawigacyjnych z mnóstwem niezrozumiałych symboli.

Matt pokiwał głową. Wprawdzie dla niego mapy jaszczurów nie kryły żadnych tajemnic, zwłaszcza że zostały w większości opisane po angielsku, wiedział, o który dokument chodzi Bradfordowi. Był to bardziej szkic niż mapa, obejmujący cały znany grikom świat. Były na nim zaznaczone miasta, miejsca koncentracji sił zbrojnych przeciwnika i spory kawałek Holenderskich Indii Wschodnich. Wyglądało to jak przegląd terenów: „Te już mamy, na te mamy ochotę”. Im dalej na wschód, tym mniej było szczegółów, jednak Jawa, Sumatra i Singapur oddane zostały bardzo wiernie. Pojawiały się też symbole drzew, które oznaczały u grików siedziby kotowatych. Przy wielu widniały krwawe plamy, co sugerowało zapewne rozegrane tam bitwy. Jak dotąd nie było żadnego rysunku drzewa przy Baalkpanie, znaleźli jednak dwa inne, jak dotąd bez krwawego znaku. Jedno znajdowało się w okolicy Perth w Australii, drugie w rejonie Surabai, czyli Aryaalu, jak zwali to miejsce tubylcy. Szkic uwzględniał również siły przeciwnika koncentrowane wokół Cejlonu i Singapuru, które były zapewne najbardziej wysuniętymi placówkami jaszczurów.

- Ponieważ Surabaja i Perth to jedyne nowe miejsca zaznaczone na tej mapie - ciągnął Bradford - można przypuszczać, że one właśnie będą następnym celem ataku. Oba albo jedno

z nich. Nie jestem strategiem, ale wydaje mi się jasne, że grikowie planują ofensywę i że rozpocznie się ona w najbliższych tygodniach. Być może już się rozpoczęła.

- Odnoszę podobne wrażenie - mruknął Matt.

- Ale co możemy z tym zrobić? - odezwała się Sandra.

Matt wzruszył ramionami.

- Jak dobrze wiecie - powiedział - rozważaliśmy z Kejem kilka możliwości i doszliśmy do paru nie najgorszych pomysłów, jednak nie możemy działać sami. Wiele będzie zależec od innych domów, cumujących obecnie w zatoce. Najwięcej jednak od Nakii-Mura. - Skrzywił się. - Nie, żebym spodziewał się jakichś kłopotów z jego strony. W odróżnieniu od pływających domów miasto nie ucieknie, a Nakja go nie opuści. Sądzę, że będzie skłonny do współpracy, jednak nie pójdzie nam z nim łatwo. - Westchnął. - Lemury są zasadniczo pokojowo nastawione. Wśród tych, które dotąd spotkaliśmy, tylko nieliczne mają predyspozycje do wojaczki. Ledwo obronią samych siebie, a gdyby je wysłać, żeby pomagały innym... - Spojrzał na Bradforda. - Zwłaszcza tym z Aryaalu. Wydaje się, że oni nie są tutaj lubiani. Od kiedy tu przybyliśmy, wszyscy starają się odwieść nas od pomysłu rejsu do Surabai. Dlaczego?

- Mam wrażenie, że chodzi o jakieś tarcia pomiędzy odmiennymi kulturami. Może z wątkiem różnic religijnych - odparł Bradford. - Zauważyłem, że wszystkie nazwy w tym regionie są pochodnymi ludzkich, lecz południowa i środkowa Jawa stanowi wyjątek. Tamtejsze toponimy nijak nie przypominają naszych. Wszystkie znane nam lemury opierają swoją tradycję na zwojach oraz mapach pozostawionych dawno temu przez Brytyjczyków. Może Aryaalanie nie znają tej tradycji albo nie kierują się naukami prorokini Siska-Ta? - Bezradnie rozłożył ręce. - Nie mam pojęcia.

- Musimy to ustalić. Kto wie, czy nie będą nam potrzebni. - Matt spojrział na *Borno*. Rozwijali tylko pięć węzłów, żeby nie uszkodzić holowanego przyżu i nie oddalić się za bardzo od *Salissy*, zatem do zatoki Baalkpanu mieli zawinąć dopiero za kilka godzin. Ciekawe, jak ich przywitają. Na pewno ucieszy ich zwycięstwo, ale co będzie, gdy dotrze do nich, czego dowiedzieli się o przeciwniku? Pewnie opuści ich kilka pływających domów, wyłamując się z sojuszu. Nakja będzie przerażony, ale wytrwa, bo wyspa nigdzie przecież nie odpłynie. Miał nadzieję, że wódz uzna za sensowny plan, który opracowali z Kejem. Nawet on przecież rozumie, że oparcie się na działaniach obronnych to proszenie się o porażkę. Wobec tak liczego przeciwnika nic by to nie dało, nawet gdyby stosunek zabitych po obu stronach wynosił jeden do tuzina. Jak podawały zwoje, niezależnie od tego, ilu grików posyłano w zaświaty, zawsze zjawiali się następni. Wcześniej czy później zdobyliby każdą

twierdzą. Żeby wygrać, należało przenieść wojnę na ich teren.

\*

O wyznaczonej godzinie obaj złoczyńcy stanęli przed kapitanem na pokładzie, zaraz za mostkiem. Sonny Campeti postawił wszystkich na baczność i jeden z oskarżonych, mat drugiej klasy Dennis Silva, który znał już tę procedurę, zasalutował energicznie. Może nie był olbrzymem, ale niewiele mu do tego brakowało. Ów pokładowy Herkules mierzył sześć stóp i trzy cale, miał potężną budowę ciała, a na dodatek znał się na każdej broni palnej i świetnie radził sobie z białą. Miał krótko przycięte włosy, wyhodował jednak gęstą brodę, z którą wyglądał na wiecznie uśmiechniętego. Tyle że brakowało mu paru zębów, miał podbite oko i opuchnięty nos. Niestety, mimo wszystkich swoich zalet był przyczyną nieustannych kłopotów i najbardziej zdeprawowanym osobnikiem, jakiego Mattowi zdarzyło się poznać. Celował zwłaszcza w siermiężnych psikusach, które często wymykały mu się spod kontroli, i wtedy robiło się niebezpiecznie.

Kapitan spojrzał na drugiego oskarżonego. Chack-Sab-At był lemurem czy kotowatym, jak ostatecznie załoga zaczęła nazywać tubylców. Wcześniej maszynownia twierdziła, że to małe koty, pokład zaś upierał się przy kocich małpach, zatem określenie „kotowaci”, czy po prostu „koty”, było sensownym kompromisem. Chack, który zajmował się na *Salissie* ożaglowaniem, był pierwszym tubylcem, który przeszedł na *Walkera*. Szybko nauczył się angielskiego i gdy ogoniasty kontyngent się rozrósł, został wciągnięty na listę załogi i otrzymał rangę mata trzeciej klasy. Obecnie dowodził wszystkimi lemurami na pokładzie. Był wysoki jak na tubylca - mierzył pięć stóp i sześć cali. Jak wszyscy od żagli, był niezwykle silny. Nosił jasnoczerwoną spódniczkę i białą koszulkę, odsłonięte ramiona, nos i twarz porastała ciemna sierść. Ogon trzymał teraz sztywno i nieruchomo, długie uszy drgały nerwowo, złociste oczy spoglądały czujnie z nader kociego oblicza. Jedno oko miał chyba podbite, wargi opuchnięte i popękane. Kiedyś był pacyfistą, ale wszystko wskazywało na to, że ten czas należy już do przeszłości. Wyróżnił się w kilku walkach, z których ostatnią była bitka z Dennisem Silvą.

Poza obrażeniami, które obaj przy tym odnieśli, nosili też jeszcze ślady zażartej bitwy z grikami. Chack kulał przez paskudne skręcenie kostki, którego nabawił się podczas walki na kamieniach balastowych i kościach w ładowni statku jaszczurów, Silva zaś nosił na ręce bandaż kryjący ranę zadaną przez ostrze przeciwnika.

Matta zaskoczyło zainteresowanie, jakie to zdarzenie wzbudziło wśród załogi. Rozumiał jednak, że ludzie mogą być ciekawi werdyktu i że nie może on być tylko

sprawiedliwy. Musiał jeszcze okazać się sprawiedliwy w ich oczach. Tylu ludzi potrzebnych było ciągle do różnych prac w Baalkpanie, że koty stanowiły niemal połowę załogi niszczyciela. Nie chciał jednak odkładać rozstrzygnięcia. Obawiał się, że jeśli będzie z tym czekał do powrotu do portu, sprawa obrośnie niezdrowymi pogłoskami i kto wie, czy nie skończy się to jakąś ruchawką, i to w chwili, gdy poczucie jedności było szczególnie potrzebne. Należało przeciąć wrzód teraz, gdy mogli załatwić wszystko we własnym gronie.

- Ponieważ obaj jesteście zasadniczo oskarżeni o te same przewiny i chodzi o jedno i to samo zdarzenie, rozpatrzmy wasze sprawy łącznie. Jakież sprzeczności?

Bosman Fitzhugh Gray i porucznik Garrett wystąpili o krok, żeby odpowiedzieć w imieniu swoich ludzi.

- Nie, sir - odezwali się chórem.

Matt spojrział na swojego pierwszego.

- Pan przedstawia sprawę - oznajmił.

- Aye, aye, sir. Do rzeczonego incydentu doszło na pokładzie *Salissy* podczas uroczystości zorganizowanej, gdy dołączyliśmy do pływającego domu z naszym przyzem. Część marynarzy z *Walkera* otrzymała zgodę na uczestniczenie w zabawie, jednak nie dotyczyło to żadnego z oskarżonych.

Matt zmierzył ich spojrzeniem i zapytał:

- Co oskarżeni mają do powiedzenia na temat pierwszego postawionego im zarzutu: samowolnego oddalenia się?

Chack chciał się odezwać, ale bosman go uprzedził.

- Kapitanie, bosmanmat Chack eskortował jednego z jeńców uwolnionych z... ładowni statku grików. - Wszyscy, nawet Matt, wzdrygnęli się na wspomnienie tego miejsca. Znalezieni tam żywi kotowaci byli nie tylko skrajnie wycieńczeni, ale i na wpół obłąkani. - Chodziło o jeńca znanego Chackowi, którego chciał on sam dostarczyć na pokład *Salissy*. Było to dla niego bardzo ważne i gdybym wówczas o tym wiedział, z pewnością byłbym się z nim zgodził. - Spojrział na Chacka. - Oskarżony przyznaje się do winy, jednak zwraca uwagę na szczególne okoliczności, zarówno o charakterze osobistym, jak i związane ze stosunkami międzynarodowymi.

Mattowi nie udało się opanować uśmiechu, usłyszawszy o takiej linii obrony, jednak wtedy nikomu nie było do śmiechu. Uwolnionym jeńcem, którego Chack eskortował, był Saak-Fas, partner Selassy, córki Kejego. Zaginął wiele miesięcy temu podczas innej bitwy z grikami i wszyscy sądzili, że poległ. Selassa tymczasem zakochała się desperacko w Chacku i oczekiwała, że chłopak przystanie na jej propozycję. Miał zrobić to zaraz po walce, on jednak

oddał jej jedynie na wpół oszalałego partnera, którego nigdy naprawdę nie kochała. To była naprawdę dramatyczna chwila.

- Wobec wspomnianych okoliczności pierwszy zarzut postawiony oskarżonemu bosmanmatowi Chackowi zostaje oddalony - stwierdził Matt. - Panie Garrett? Czy ma pan coś jeszcze do przedstawienia w sprawie maty Silvy?

Garrett spojrział na uśmiechniętego olbrzyma i zaczerpnął głęboko powietrza.

- Jest winny, sir - odrzekł. - Jego jedynym usprawiedliwieniem jest wymówka, że cokolwiek zrobił, nie był jedyny.

- Usprawiedliwienie nie do przyjęcia. Panie Dowden?

- Następny zarzut, który ciąży na obu oskarżonych, dotyczy bójki, sir, którą wszczęli. Matt westchnął.

- Nie spytam nawet, który zaczął. Wiem, że nie otrzymam jasnej odpowiedzi. Poza tym chyba się domyślam, że to Chack był pierwszy...

- On pociągnął mnie za ogon! - wybuchnął kotowaty.

- Wcale nie! Tylko go przytrzymałem. To ty pociągnąłeś...

- Cisza! - krzyknął Matt. - Wierzcie mi, lepiej będzie, jeśli zamkniecie jadaczki i pozwolicie załatwić sprawę po mojemu. Najpierw ty, Silva. Ty i twój przedziwny, mam nadzieję, że jedynie pozorny, związek z siostrą Chacka. Z początku było to nawet zabawne, ale teraz przynosi ujmę naszemu okrętowi i nieustannie wystawia opanowanie Chacka na próbę. Wiem, że Risa jest nie mniej odpowiedzialna za całe to zamieszanie niż ty. Dobraliście się jak w korcu maku. Jakkolwiek jednak było, przestaniesz zadręczać Chacka opowieściami o waszym „małżeństwie” i powstrzymacie się oboje od wszelkiej... ostentacji, gdy znowu będziecie razem. Czy to jasne?

- Ale, skipper...

- Czy to jasne?

- Aye, aye, sir.

- Bardzo dobrze. Próba ograniczania wam żołądu nie miałaby sensu, ale obaj tracicie po pasku i obaj otrzymujecie dziesięciodniowy zakaz opuszczania okrętu, gdy wejdziemy już do portu. Ty, Silva, tracisz jeszcze jeden pasek za samowolkę.

- Ale...

- Zamknij się. - Matt spojrział na Dowdena, który odchrząknął znacząco.

- Bacność! - oznajmił.

Kapitan Reddy rozłożył trzymaną w rękę kartkę papieru.

- Za nadzwyczajną odwagę okazaną w obliczu nieprzyjaciela i tak dalej, i tak dalej... -

Spojrzał na zgromadzonych. - Przepraszam, ale jestem jeszcze zbyt wkurzony, żeby przemawiać kwiecicie. Tak czy owak, z przyjemnością oznajmiam, że następujące osoby zostały awansowane o jeden stopień: sternik Tony Scott, mat trzeciej klasy Norman Karas... - Przerwał na chwilę i westchnął ciężko. - Bosmanmat Chack-Sab-At i mat Dennis Silva. Obaj na to zasłużyliście. Większość z was zasłużyła. Chack, straciłeś, zyskałeś i jest jak wcześniej. Co do ciebie, Silva... - Kapitan pokręcił głową. - Chyba nigdy nie zostaniesz pełnym matem. Chyba że się uspokoisz.

Dennis wzruszył ramionami, a Matt spojrzał na Campetiego, który zakończył zaraz oficjalnie całą procedurę. Gdy wracali na mostek, dołączyli do nich Bradford i Sandra. Na górze czekał na kapitana porucznik Tamatsu Shinya z Cesarskiej Marynarki Wojennej.

- Panie Shinya - przywitał go Matt.

- Kapitanie. - Shinya był jedynym ocalałym z załogi niszczyciela, który nadział się na torpedę przeznaczoną dla *Amagiego*. Jakimś zrządzeniem losu rozbitkowie także zostali przeniesieni przez szkwał, jednak zanim *Walker* zawrócił i dotarł do nich, niemal wszyscy zostali pożarci przez jakiegoś agresywnego plezjozaura oraz przypominające tuńczyki srebrzyste ryby, które pojawiały się całymi masami na względnie płytkich wodach w obrębie Malajów. Shinya ocalał, ponieważ leżał nieprzytomny na przewróconej szalupie. Tamta rzeź była dla nich pierwszym sygnałem, że znaleźli się w jakimś innym świecie.

Od tamtej pory Shinya, który studiował w Stanach, okazał się bardzo cennym członkiem załogi. Wcześniej dał kapitanowi słowo, że będzie zachowywał się godnie. Był świetnym szermierzem, chociaż nie w tradycyjnym japońskim stylu. Obecnie pomagał w szkoleniu sierżantowi Aldenowi, który ocalał po zatopieniu amerykańskiego krążownika *Huston* i wszedł na pokład niszczyciela w Surabai. Razem starali się stworzyć armię opartą na zasugerowanych przez kapitana historycznych wzorach. Matt rozumiał, że aby przeciwstawić się grikom, potrzebują bardzo zdyscyplinowanego wojska i że szczególnie przydatna będzie w tej sytuacji rzymska ściana tarcz ze wsparciem łuczników i włóczni. Shinya znał ponadto łacinę, która ku ich zdumieniu okazała się językiem pradawnych zwojów kotowatych. Nauczyli się jej nie od Rzymian, ale od Anglików z Kompanii Wschodnioindyjskiej, którzy zbłądzili do tego świata na statku *Hermione*.

Matt przypuszczał, że ci dawni goście starali się pozostać jak najbardziej tajemniczy. Były dowody, że spotkali grików, jeszcze zanim jaszczury opanowały jeden z ich statków. Pozostałe dwie jednostki pożeglowały na Morze Wschodnie i zniknęły ze świata lemurów. Możliwe, że potomkowie tamtych „bezogoniastych” wciąż żyli gdzieś daleko. Kompania Wschodnioindyjska przewoziła zwykłych pasażerów, ale i osoby deportowane obojga płci,

istniała więc szansa, że nie wymarli. Tak czy owak, właśnie dzięki łacinie, świętej mowie tutejszych kapłanów Niebios, udało się obecnym podróżnikom po raz pierwszy porozumieć z kotowatymi.

Mimo zasług Shinyi wielu wciąż go nienawidziło tylko z powodu narodowości. Matt szanował go i ufał jego słowu, jednak nawet on nie potrafił całkiem zapomnieć o Pearl Harbor i wszystkim, co zdarzyło się potem. Bosman Gray okazywał Japończykowi otwartą wrogość, chociaż w ostatniej bitwie uratował mu życie. Tony Scott przekazał kapitanowi, dlaczego tak było: syn bosmana służył na *Oklahomie*, gdy trafiony pancernik przewrócił się do góry dnem i zarył nadbudówkami w muliste dno zatoki.

- Gdzie jest Pete? - spytał kapitan, zwracając się do marine.

- Zaraz tu będzie - odparł Shinya.

Po chwili Alden i Gray zjawili się na mostku. Alden przestał już kuleć i nawet bosman był w lepszej kondycji. Zbliżał się do sześćdziesiątki, ale nawet się nie zadyszał, pnąc się na górę. Na końcu doszli jeszcze torpedysta Sandison oraz inżynier McFarlane. Stawili się wszyscy zaproszeni przez Matta na naradę.

Borneo rosło coraz większe, a zegar ścienny pokazywał prawie pół do dziesiątej. Wkoło zaczęły się gromadzić łodzie rybackie z Baalkpanu i Matt pozwolił na ceremonialne użycie gwizdka. Niezależnie od nowin, które przynosili, nie chciał, żeby ich powrót wypadł zbyt ponuro. Mieszkańcy wyspy potrzebowali jakiegoś radosnego wydarzenia, które mogłoby zrównoważyć nadciągające ciemne chmury. Kilka jednostek podniosło żagle, żeby zanieść czym prędzej nowinę o ich przybyciu do miasta. Matt wskazał na prawe skrzydło mostka i obecni dołączyli tam do niego.

- Gdy wejdziemy do portu, będziemy musieli wziąć się do roboty - zaczął bez wstępów. - Trzeba wprowadzić kilka zmian, i to szybko. Próbujemy przenieść lemury w nową erę i mimo wielu trudności coś nam z tego wychodzi. To jednak za mało. Rozmawiałem już o tym z Kejem i Adarem, a także niektórymi spośród was. - Spojrzał uważnie na Sandrę. - Gdy przyjdzie do rozmów w mieście, musimy wszyscy mówić tym samym głosem. Że jest ciężko, ale wygramy. I oto jak tego dokonamy. - Uśmiechnął się nieśmiało. - Do ostatniej kwestii przejdę później, teraz chciałbym dokończyć sprawę awansów. Niektóre przyjdzie mi skonsultować z Nakją, ponieważ będą dotyczyć przede wszystkim jego ludzi, ale on nam ufa i zbyt głęboko się zaangażował w sprawę, żeby się sprzeciwić. Zaraz po powrocie będziemy musieli zwołać kolejne wielkie zgromadzenie. Znaczniejsze niż poprzednio, z przybyszami ze wszystkich stron. Tyle że na razie brak nam prawdziwego łańcucha dowodzenia, musimy więc uporządkować pewne sprawy. Jakkolwiek trochę się pozmienia, oczekuję, że nadal

będziemy gdzieś na samej górze, co w praktyce będzie oznaczało więcej roboty. - Spojrzał na Pete'a. - Od teraz marines są twoi. Musimy jasno wyłożyć to Nakii, najlepiej na samym początku. Obecnie mamy ponad tysiąc nieźle wyszkolonych żołnierzy i garstkę weteranów. Większość drużyn trzeba będzie rozbić, żeby zyskać materiał na nowych podoficerów i pewnie nawet oficerów, żeby miał kto dowodzić tą wielką armią, którą niebawem stworzymy. Armią nowoczesną i wyposażoną w broń palną. Porozmawiam z Lettsem, żeby dał nam w końcu jakąś artylerię polową, ale zanim to nastąpi, musimy szkolić ludzi, jakbyśmy mieli pełne uzbrojenie. Sądzę, że w obecnych okolicznościach mogę awansować pana na kapitana.

Pete Alden spojrzał na Matta z niedowierzaniem.

- Jestem tylko sierżantem, sir. Nawet nie oficerem!

- Od teraz już tak. Do diabła, mógłbym zrobić pana generałem, ale wtedy byłby pan starszy stopniem niż ja!

- Sam mógłby się pan awansować na admirała, kapitanie - zaproponował Bradford, ale Matt pokręcił głową.

- To by nie było w porządku - powiedział cicho. - Mogę awansować pana na kapitana, ponieważ bez wątpienia wszyscy oficerowie *Walkera* dostaliby awans po dotarciu do Perth i musiałbym poszukać ludzi na ich miejsce. Na przykład od teraz nie ma już na pokładzie ani jednego podporucznika. Wszyscy zostali porucznikami, co obejmuje także was - stwierdził, spoglądając na Dowdena i Sandisona. - Zaczniście szukać ludzi albo kotowatych, którzy mogliby zostać młodszymi oficerami. - Obrócił się do Aldena. - Kogo chce pan na zastępcę? - W zasadzie był tylko jeden wybór, ale Matt nie chciał go narzucać.

Alden spojrzał niepewnie na Shinyę.

- Pan jest tą osobą - stwierdził. - Ja nie widzę żadnych przeciwwskazań, ale niektórzy mogą nie być zachwyceni. Oczywiście będzie pan dowodził przede wszystkim kotami, dla których pańska narodowość nie ma żadnego znaczenia. Jednak paru naszych może nie chcieć przyjmować od pana rozkazów.

Shinya skłonił głowę.

- Czuję się zaszczycony i przyjmuję propozycję. Zapewne nie będzie wielu okazji, żebym miał dowodzić Amerykanami. Gdyby jednak do tego doszło i nie mógłbym wówczas pana znaleźć, będę pamiętał o ich... wrażliwości - dodał z uśmiechem.

Matt zakaszłał.

- Świetnie - stwierdził. - Pozostanie pan porucznikiem pod dowództwem kapitana Aldena. Chociaż... Piechota Morska ma własne stopnie. Ich kapitan równy jest generałowi, porucznik pułkownikowi, podporucznik majorowi... Do diabła, niezły galimatias!



- Jak wspominałem, gdyby został pan admirałem, wszystko zaraz by się wyprostowało - odezwał się Bradford. - Nie ma co się przejmować dawnym porządkiem... - Przerwał, gdy Matt spojrzał na niego ostro.

- To może od razu ogłoszę się królem? Jaka to różnica? I gdzie nas to doprowadzi? - Pokręcił głową. - Nie wiem jeszcze, co zrobimy, ale na pewno znajdziemy jakieś rozwiązanie. - Spojrzał na Sandrę. - Poczyłaś wielkie postępy, nie tylko poznając miejscową medycynę, która niewątpliwie ma spore osiągnięcia, ale i ucząc tubylców naszych metod. Sądzę, że obecnie możecie się nieźle uzupełniać. - To była niewątpliwie prawda. Kotowaci mieli pastę o właściwościach antybakteryjnych i przeciwbólowych, którą wytwarzali, wraz z wieloma innymi specyfikami, ze sfermentowanych owoców rośliny polta, rosnącej dziko na lądzie i uprawianej na pływających domach. W innej wersji ich sfermentowany sok służył do wyrobu napoju alkoholowego zwanego sip.

Miejscowi dowiedzieli się od Sandry, jak najlepiej zajmować się rannymi w walce. Nastawieni pokojowo, nie mieli w tym większego doświadczenia. Sandra zaczęła już tworzyć na Baalkpanie zaczątki korpusu medycznego.

- Chciałbym, żebyś kontynuowała dobrą robotę - ciągnął Matt - ale była też gotowa na poszerzenie jej skali. Przede wszystkim przygotuj się do nauczania.

Sandra pokiwała głową. Wiedziała, co zamierza kapitan, i chociaż bardzo się tego bała, również nie widziała innego wyjścia.

- Na koniec pan, panie Bradford - kontynuował Matt. - Będę potrzebował jeszcze jednego wydajnego odwiertu. Nie powinniśmy trzymać wszystkich jajek w jednym koszyku. Co będzie, jeśli dojdzie do jakiegoś wypadku i stracimy obecne stanowisko? Albo jeśli zajmie je nieprzyjaciel? Musimy mieć rezerwowe źródło ropy. Ma pan jakieś pomysły?

Bradford zastanowił się chwilę.

- Spojrzę na mapy - powiedział. - Na pewno coś znajdę i wtedy zdecyduje pan, które miejsce będzie najlepsze ze strategicznego punktu widzenia. Może tak być?

- Jasne.

- Myszowatym nijak się to nie spodoba! - zachichotał Spanky. Inni mu zawtórowali.

Trudno byłoby jednym słowem opisać Myszowatych. Gdyby powiedzieć po prostu, że są dziwni, nie oddałoby to istoty rzeczy. Isak Reuben i Gilbert Yager byli tak do siebie podobni, że mogliby uchodzić za braci. Obaj byli przysadziści, mieli pociągłe twarze i sterczące nosy które rzeczywiście upodabniały ich do gryzoni. Ponadto byli opryskliwi, niekontaktowi oraz irytujący. Nie przyjaźnili się z nikim i olewali nawet okrętową drużynę bejsbolową. Pracowali pod pokładem, jako palacze, jednak nie chodziło tylko o pracę. Gdyby

mogli, nigdy nie opuszczaliby rozgrzanego wnętrza, które wydawało się ich naturalnym środowiskiem. Na pozór samotnicy bez wyobraźni, kryli jednak nieoczekiwane zalety, jak niedawno przekonał się Spanky.

Bładzi od ciągłego przebywania pod pokładem robili co mogli, żeby tacy pozostać, ostatnio jednak mieli okazję opalić się na czerwono podczas pracy przy pierwszym odwiercie na Baalkpanie. Wszystkie urządzenia były ich projektu - oparli je na rozwiązaniach, które poznali lata wcześniej, gdy pracowali na polach naftowych, nim porzucili je dla marynarki. Obecnie jednak przeszłość wróciła echem, co bardzo martwiło Myszowatych.

Matt spojrział ponownie na Borneo i wydało mu się, że widzi już ujście zatoki.

- Obawiam się, że zanim to się skończy, wszyscy będziemy musieli robić różne rzeczy wbrew sobie - westchnął. - Czekają nas daleka droga.

Dzień płynął godzina za godziną i załoga rutynowo wykonywała swoje obowiązki, niemniej im bliżej byli wyspy, wkoło pojawiało się coraz więcej jednostek rybackich i handlowych. Po wejściu do zatoki stary niszczyciel skierował się ku swojemu miejscu przy pirsie zaopatrzeniowym. Nie było ich prawie dwa tygodnie, z czego większość zajęło zastawianie pułapki na grików. Sama bitwa trwała jeden dzień, powrót zajął trzy. Miejscowi znali już wynik walki dzięki radiostacji pokładowej cennej cataliny, która odbierała meldunki z okrętu. Potem wodnopłatowiec poleciał z pasażerami, którzy mieli obejrzyć prz. Niektórzy, jak Bradford, zostali na nim, ci zaś, którzy wrócili, okazali się dziwnie małowolni. Najważniejsze jednak, że pozbawiony masztów kadłub płynący na holu za *Walkerem* był jednoznacznym świadectwem zwycięstwa.

Matt ogarnął spojrzeniem panoramę rozłożonego nad zatoką miasta i nie po raz pierwszy zachwyił się jego pięknem. Wielopiętrowe domy przypominały pagodowate wieże wielkich statków kotowatych. Niektóre były naprawdę wysokie, zwykle przy tym pomalowane na jaskrawe kolory. Inne, chociaż parterowe, wznosiły się na dwadzieścia i więcej stóp nad ziemią dzięki palom, na których zostały osadzone. Chack wspomniał kiedyś, że takie rozwiązanie chroni budynki przed wysokimi przyływami oraz małymi lądowymi jaszczurami. Matt przypuszczał, że przede wszystkim wynika to z nakazów tradycji, z którą trudno dyskutować. W najbliższej okolicy nie widział żadnych stworzeń, które mogłyby zagrozić domom wzniesionym na palach, ale zapewniano go, że i takie tu żyją. Wiedząc, jak niezwykła i bogata jest fauna tego świata, uznał to nawet za prawdopodobne.

Pod domami, między rzędami pali, rozciągał się tak zwany prawdziwy Baalkpan. Osłonięte barwnymi baldachimami bazyry i ulice nieustannie tętniły życiem. Nie różniły się w tym od miast, które Matt widział w Chinach i jeszcze paru innych miejscach na Dalekim

Wschodzie. Tak jak i tam stragany i sklepiki o podobnej ofercie występowały tu grupami. Dzięki temu praktycznemu rozwiązaniu kupujący oszczędzali nogi, poszukując tego, czego akurat potrzebowali. Blisko nabrzeża dominowały stragany rybne, oferujące wśród zgiełku codzienny połów. Dalej sprzedawano wszelką inną żywność, surową i gotowaną, a płynące stamtąd kuchenne zapachy konkurowały z typowymi woniami portu. Za nimi handlowano tekstyliami - płótnem, wełną, ubraniami. Bliżej centrum miasta, niedaleko wielkiego drzewa i siedziby Nakii, można było przebierać w biżuterii, drogich strojach oraz broni. Rynek olejowy, gdzie sprzedawano między innymi tłuszcz pozyskiwany z gri-kakka, znajdował się obok stoczni, czyli tak daleko od centrum miasta jak to tylko możliwe. Surowy olej cuchnął niemilosiernie, dopiero po obróbce można go było wnieść do zamkniętych pomieszczeń.

Matt chłonał widok i zapachy tętniącego życiem miasta, które nie poznało nigdy innych zagrożeń niż naturalne. Jego mieszkańcy mieli futra oraz ogony i jeśli Bradford miał rację, rozwinęli się z wielkich madagaskarskich lemurów, chociaż wyglądali jak osobliwa krzyżówka kota z małpą, której przydano ludzkich cech. Tak czy owak w sumie byli po prostu ludźmi. Wielu biegło radośnie na nabrzeże, żeby przywitać *Walkera* i jego załogę, inni wpatrywali się z przejęciem w czerwony kadłub przyzu. Niebawem w dokach zapanował niemilosierny ścisk utrudniający cumowanie. *Walker* przybił tylko na chwilę, nie rzucił więc kompletu cum. Tłum chciał natychmiast wejść na przyz, Matt jednak to przewidział. Pięćdziesięciu postawnych marines odgrodziło statek od ciekawskich. Kapitan spojrzał na wejście do zatoki, ale wolniejsza *Salissa* jeszcze się w nim nie pokazała.

W końcu Nakja i Naga zdali sobie sprawę z powagi sytuacji i na nabrzeżu pojawiło się stu gwardzistów pod dowództwem Alana Lettsa, który ćwiczył właśnie swoich ludzi na placu parad przed ratuszem. Natychmiast utworzyli kordon wokół przyzu i *Walkera*. Radosny tłum na szczęście nie poczuł się urażony. Gdyby wszedł na pokład jednostki grików, sprawy mogłyby przybrać zły obrót. Niewykluczone, że chciałby nawet spalić przyz, na co Matt za nic nie chciał pozwolić.

Z ulgą zauważył, że pod ich nieobecność zaczęto wreszcie fortyfikować miasto. W kilku miejscach pojawiły się już odcinki wału ziemnego, przed którym usunięto wszystkie drzewa, zostawiając tylko nagi teren, na którym nieprzyjaciel nie miał się gdzie ukryć przed ostrzałem. Niewiele, ale zawsze coś, nawet jeśli lud Baalkpanu miał dopiero poznać skalę zagrożenia.

- Przyz zacumowany i pod strażą - zameldował Dowden z zapasowego stanowiska dowodzenia na dachu rufowej nadbudówki. Głośnik na mostku powtórzył jego słowa.

- Bardzo dobrze - rzekł Matt. - Oddać hol. Przekazać Nakii, że teraz idziemy w górę

rzeki do pirsu paliwowego. Gdy wrócimy wieczorem z pełnymi bunkrami, Keje powinien być już na miejscu i wtedy przedstawimy pełny raport.

- Aye, aye, kapitanie - odparł Riggs i wydał rozkazy sygnaliście.

Matt nakazał tymczasem manewrowe odejście od nabrzeża z użyciem steru i silników. Potem rzucili dziobową cumę i wycofali się na zatokę. Matt spojrzął z uśmiechem na tłumy ciągle wypełniające port.

- Chyba możemy zapewnić im trochę rozrywki - powiedział i rozejrzał się dla pewności, czy nic nie wejdzie im w paradę. - Ster w prawo, cała naprzód! - *Walker* jakby odetchnął, że nie musi już niczego ciągnąć, i przysiadł gwałtownie rufą, błyskawicznie nabierając prędkości. Za nim ciągnął się pas wzburzonej wody z poderwanym z dna mułem wyrzucanym przez śruby prawie nad powierzchnię. Krzyk tłumu przebił się nawet przez huk nawiewników. Szli tylko na trzech kotłach, ale i one starczyły, żeby stary niszczyciel żwawo zatoczył na zatoce półkole, by wycelować w ujście rzeki. Naprawdę potrzebny nam jeszcze jeden pirs paliwowy, pomyślał Matt i spojrzął na Riggsa. - Proszę dać sygnał! - powiedział z uśmiechem.

Tłum kłębiący się obok czerwonego statku podniósł jeszcze większą wrzawę, ujrawszy biały kłęb pary nad niszczycielem. Donośny ryk przetoczył się nad zatoką i przedziwny żelazny okręt oddalił się w górę rzeki, zostawiając za sobą wysoki na pół kadłuba pióropusz wody i ulatujący z trzech kominów dym.

- Należało im się trochę zabawy - mruknął poważnie kapitan.

\*

- Aryaalanie! - prychnął Nakja, gdy stali wieczorem na mostku cumującego znowu w porcie *Walkera*. Nie czekając na oficjalny raport, wódz zjawił się na okręcie, ledwie wrócili po uzupełnieniu zapasu paliwa, i wraz z Kejem wbiegł na pokład, gdy tylko opuszczono trap. - Chcesz, żebyśmy ryzykowali wszystko dla tych szcurów lądowych i... heretyków?

Matt i Keje opisali mu ze szczegółami przebieg bitwy i zdobycie przysu. Potem przeszli do map nieprzyjaciela, które kapłan Niebios Adar nazywał uparcie „szatańskimi zwojami”, od czego blisko już było do poruszenia tematu Surabai i jej mieszkańców, którzy nazywali siebie Aryaalanami. Chack gotów był tłumaczyć, ale na razie nie był potrzebny. Keje i Nakja coraz lepiej władali angielskim, Matt zaś nie zostawał w tyle ze znajomością języka lemurów.

- Z całym szacunkiem, panie, ale to bardzo ważne, żebyśmy im pomogli, gdy zostaną zaatakowani - odparł kapitan z westchnieniem.

- Ale dlaczego? Niech sami sobie radzą, tak jak my. Zaprosiliśmy ich na ostatnie spotkanie, ale i tym razem nie chcieli mieć z nami nic wspólnego! Brzydzą się ludem morza!

Matt chętnie przypomniałby Nakii, że on sam niewiele ma z morzem wspólnego i też jest szczurem lądowym, ale darował sobie tę uwagę. Zwłaszcza że Baalkpan żył głównie z morza, jak ludzie w Old Nantucket czy innych nadmorskich miastach. Budowali i remontowali statki, handlowali z żeglującymi kupcami i rybakami i tak dalej. Tylko czy ci z Surabai byli podobni...?

- Wy chyba też ich nie lubicie - rzucił Matt. - Dlaczego właściwie?

- To heretycy - warknął Nakja.

- Dlaczego heretycy? - nie odpuszczał kapitan.

- Może powinienes spytać Adara.

- Nie mogę. Pobiegł zbadać coś z Bradfordem. Nie mam pojęcia co ani gdzie. Poza tym w tej chwili wasza opinia jest ważniejsza. Musimy coś zdecydować... właściwie to wy musicie. Wiem, że tradycyjnie wszyscy wodzowie są równi, ale w rzeczywistości niektórzy są równiejsi niż inni, prawda? Baalkpan to najludniejsze miasto w całym regionie, macie najsilniejszą armię i największy potencjał. Wszyscy jesteśmy zależni od waszego przemysłu.

Nakja mruknął coś pod nosem, ale nie wyglądał na urażonego.

- Słyszałem, że to ty jesteś „najrówniejszym” wśród nas - rzekł. - Za sprawą tego statku - dodał, przesuwając dłonią po relingu.

Matt pokręcił głową.

- To nie tak. Bez was i Baalkpanu ten okręt byłby teraz pewnie wrakiem wyrzuconym na brzeg jakiejś wyspy, a mnie i moich ludzi nie byłoby już wśród żywych. *Walker* wiele tu zdziałał, ale mieliście w tym swój udział. Zresztą przyjaciele nie powinni się licytować, kto uczynił więcej. Jedziemy na jednym wózku i wiemy już, że nasze połączone siły nie wystarczą, żeby stawić czoło nawałnicy. Jeśli Surabaja upadnie, będzie jeszcze gorzej. Miejsce Aryaalan jest u naszego boku, nie w brzuchach grików.

Nakja drgnął, jakby ktoś go uderzył, ale pokiwał głową.

- Aryaalanie są wziętymi wojownikami - powiedział. - Tyle że mają za nic Niebiosa. Powiadają, że czczą odchody i Niebiosa ich nie obchodzą. Gdy Siska-Ta chciała przekazać im mądrość Zwojów, omal jej na zabili. - Całkiem po ludzku wrzusił ramionami. - Nie przeszkadza nam to. Niech sobie będą, jacy chcą. Nie jesteśmy nietolerancyjni. Nie pogardzamy wierzeniami innych ludów. Mamy wielu przyjaciół wśród mieszkańców odległych wysp, którzy wierzą w co innego niż my. Z wami też się zaprzyjaźniliśmy, prawda?

Matt powstrzymał się od uwagi, że z początku tubylcy uznali ich za wyznawców

podobnej wiary. Pamiętał dramatyczną scenę na mostku *Walkera*, gdy Adar zobaczył stół nakresowy. Myślał, że obcy szydzą z ich tradycji, nakazującej traktować wszystkie mapy jak święte. Zwłaszcza te przekazane prawie dwa wieki wcześniej przez poprzednich bezogoniastych, którzy przynieśli im również znajomość łaciny. Wcześniej kotowaci po prostu czcili słońce i gwiazdy, co nie przekładało się bezpośrednio na nawigację. Niemniej odtąd prawie z nimi nie rozmawiał o religii. Może należałoby to zmienić.

- Najgorsze jednak jest to, że oni często walczą między sobą - powiedział Nakja. - Ciągłe prowadzą jakieś wojny. Wojny plemion, frakcji i tak dalej. Obcych zaś witają z bronią w ręku. Nie wiem, czy jeśli im pomożemy, nie potraktują nas jak jeszcze jednego wroga.

- Musimy spróbować.

- Może. Ale na najbliższym spotkaniu będziesz musiał bardzo się starać, żeby wszystkich przekonać.

- Oczywiście - przyznał Matt. - I to spotkanie będzie musiało być większe niż poprzednie. Ale wróćmy do rzeczy. Byliście już na statku grików? Rozmawialiście z którymś z ocalałych? - Nakja pokręcił głową. - Zróbcie to. Wtedy zrozumiecie. To walka na śmierć i życie. Dosłownie. Nawet jeśli uda się wam uciec, prędzej czy później grikowie was dopadną, ponieważ dla nich jest to coś, co trzeba zrobić. Mówiłeś wcześniej, że zrobisz wszystko, żeby powstrzymać grików. Naprawdę tak myślałeś?

- Oczywiście!

- Zatem musimy z nimi walczyć. Lepiej gdzie indziej niż tutaj. Najlepiej zaś tam, gdzie zdołamy jeszcze komuś przy tym pomóc.

\*

Na spotkanie rzeczywiście przybyło więcej lemurów niż wówczas, gdy naradzali się w sprawie poprzedniej ekspedycji. Wielka sala była praktycznie pełna, bo oprócz wodzów zjawili się także ich doradcy, kapłani i starsi klanów. Siły zbrojne Baalkpanu reprezentowali Alden i Shinya oraz starsi oficerowie piechoty morskiej i gwardii. Jak można było oczekiwać, niektóre domy potem odpłynęły, chociaż *Fristar*, którego załoga dotąd najgłośniej gardłowała przeciwko sojuszowi, niespodziewanie został. Przybyły też nowe statki oraz delegacje dalekich miast, w tym jedna z Maani-li na Fil-pinach. Niektórzy z nowych przybyszów spóźnili się po prostu na poprzednie spotkanie, inni dopiero teraz usłyszeli o wezwaniu albo przekonali się do sprawy, gdy ostatnia wyprawa okazała się aż takim sukcesem. Wreszcie usłyszeli coś konkretnego o „pradawnym nieprzyjacielu” i o tym, jaka jest stawka w tej walce. Adar nalegał na bezpośrednie wyjawienie całej prawdy i chciał nawet, żeby na

początkową część spotkania wpuścili wszystkich chętnych, ale w sali nie było dość miejsca. Matt miał nadzieję, że wszystko, co tylko zostanie powiedziane, i tak szybko się rozniesie.

Przez miesiąc od euforycznego powitania uczestników wyprawy, którzy wrócili z przyzem na holu, mieszkańcy Baalkpanu z wolna poznawali prawdę o przeciwniku i miny im rzedły. Matt i Keje tylko nielicznym pokazali przechwycone mapy, ale pogłoski o wielkiej liczebności grików i tak poszły w lud.

Pierwsza reakcja graniczyła z paniką, ale potem pojawiły się opowieści tej garstki nieszczęśników, którzy zaznali niewoli jaszczurów. Na czerwony statek ciągnęły delegacje kupców czy rzemieślników. Wszyscy wychodzili z ładowni wstrząśnięci i prędzej czy później pojmwali, jak strasznego wyboru będą musieli dokonać. Mogli uciec w nadziei, że znajdą jakieś nowe ziemie, gdzie przez jakiś czas zaznają spokoju. Mogli też bronić swych domów, jednak w tym wypadku trzeba było skończyć z półśrodkami. Wszystkie wysiłki musiały zmierzać do wspólnego celu: zwycięstwa nad grikami. Ponure opowieści oswobodzonych jeńców uświadamiały, że porażka oznacza kres wszelkiej nadziei.

Niektórzy jednak odpływali z Baalkpanu. Wynajęte za wyśrubowane kwoty feluki nieustannie kursowały na Filipiny, które zostały uznane za względnie bezpieczne schronienie, gdyż nie było ich na mapach grików. Po pierwszej fali zamieszania nawet Nakja wyczarterował kilka jednostek, żeby zabrały z miasta niektóre szczególnie wartościowe skarby i zabytki. Przewozem zajęli się bliscy miejscowych artystów, gotowych zostać, jeśli tylko ich rodziny będą bezpieczne. Oni sami włączyli się do przygotowań do obrony tak energicznie, jakby już teraz ich życie od tego zależało.

Huta pracowała na okrągło, przetapiając wszystkie przedmioty z miedzi, cyny i cynku, które tylko można było poświęcić. Tempo produkcji dział wzrosło błyskawicznie z jednego na cztery tygodnie, do jednego co cztery dni. McFarlane, Sandison i mała armia ich pomocników pocili się przy prostych obrabiarkach. Cała rzesza zwykłych obywateli, w tym wielu młodych, na własnych barkach nosiła siarkę wydobywaną na wulkanicznych wzgórzach do lądowego domu Sular po drugiej stronie cieśniny Celebes, skąd morzem transportowano ją następnie do Baalkpanu. Pod miastem wykopano wielkie osadniki do pozyskiwania azotanów i ścięto całe połacie dżungli, żeby było dość węgla drzewnego. Wszędzie unosił się dym i prawie wszyscy mieli zaczerwienione oczy.

Szyb naftowy także pracował na okrągło, a w nowych zbiornikach ropy zgromadzono całkiem sensowny zapas jak na potrzeby jednego niszczyciela. Wszyscy weterani piechoty morskiej szkolili nowe pokolenie, wykorzystując do tego wielki, świeżo wykarczowany plac. Nikt już nie narzekał i nawet wojownicy z pływających domów zjawiali się kolejnymi

zmianami na ćwiczeniach. W zatoce zaś trwała przebudowa okrętu grików, co z początku mało komu się podobało.

Matt nie wiedział wiele o zwyczajach pogrzebowych lemurów, oprócz tego, że wolą palić swoich zmarłych, żeby ich siły życiowe czy dusza uniosły się z dymem ku Niebiosom. Tam miały się łączyć z przodkami, którzy odeszli wcześniej. Nie potrafił powiedzieć, czy owi przodkowie stawali się po śmierci gwiazdami, które prowadziły następnie żywych na ziemskich szlakach, czy też może gwiazdy były naturalnymi przewodniczkami tak żywych, jak i umarłych. Możliwe, że po trochu i jednym, i drugim. Tak czy owak kremacja była bardzo popularna wśród lemurów, którzy najchętniej spaliliby statek grików. W ich przekonaniu drewniany kadłub nadal mógł być domem duchów zabitych jeńców. Matt długo przekonywał, że po przebudowie okręt może się stać świetną jednostką artyleryjską, ustępującą pod względem prędkości jedynie niszczycielowi. Oczywiście wołałby się nie przeciwstawić miejscowym zwyczajom, ale nie miał obecnie czasu na budowę nowego okrętu o podobnej charakterystyce. Był pewien, że za jakiś czas takie powstaną i będą jeszcze lepsze, na razie jednak musiał zadowolić się tym, co było pod ręką.

Lud pojmował, że nieprzyjacielska konstrukcja ma wiele zalet. Wszyscy wiedzieli, że taki statek jest szybszy i znacznie zwrotniejszy niż wielkie pływające domy. Doceniali też pomysł wyposażenia go w działa, ale woleliby, żeby to nie był ten statek. Pierwszy raz militarne plany kapitana Reddy'ego spotkały się z jakimś oporem. Rozumiał oponentów, ale nie chciał ustąpić. Impas zakończył Adar, który ogłosił, że dusze zamęczonych z pewnością się uradują, otrzymawszy okazję do zemsty na wrogu. Zwłaszcza że można ją będzie wyrzucić własną bronią przeciwnika. Trzeba tylko wysprzątać statek, wyposażyć go na nowo i nadać mu nowe imię. Choć nigdy nie będzie naprawdę ich statkiem.

Matt był bardzo wdzięczny kapłanowi za pomoc. Wcześniej nie był pewny, po czyjej stronie Adar się opowie. Ostatnio nawet Naga, stary kapłan Nakii, coraz częściej zwracał się z różnymi sprawami do Adara, którego Amerykanie zwali czasem - z sympatią - psychologiem. On jednak nie wykorzystywał swojej popularności, przez co tym bardziej był szanowany. Jego aprobata zwykle przesądzała sprawę, a w tym wypadku kapłan stał się prawdziwym adwokatem „wojny totalnej” z grikami. Naprawdę wierzył w swoje ślubowanie, że nie spocznie, póki nieprzyjaciel nie zostanie zniszczony. Zdołał zagrzać do pracy nawet niechętnych tej przebudowie robotników, którzy wzięli się żwawo do remontu.

Kurz tańczył w smugach światła wpadających przez szpary w okiennicach wielkiej sali. Matt i reszta stali obok wielkiego wodza i jego świty przygłuszeni trochę gwarem. Nakja miał na sobie ceremonialną szatę z czerwoną spódniczką i obszytym złotem płaszczem, który



kontrastował z jego ciemną sierścią, nakrapianą tu i ówdzie plamami bieli. Matt nigdy nie widział go inaczej odzianego. Adar nosił równie uroczysty purpurowy strój z wyszytymi na ramionach gwiazdami. Odrzucony kaptur odsłaniał srebrzystą grzywę włosów i przenikliwe oczy. Keje zjawił się jako wojownik, niemal w tym samym rynsztunku, w jakim Matt poznał go na pokładzie *Salissy*. Jego pancerz składał się z miedzianych płytek przymocowanych do skóry gri-kakka, jak miejscowi nazywali żarłoczne plezjozaury. U boku miał zakrzywiony miecz zwany skota, w rękę trzymał miedziany hełm z pióropuszem zrobionym z ogonowych piór grika. Miał też czerwony płaszcz spięty pod szyją pazurami z tylnych łap jaszczura. Pod pancerz włożył błękitną tunikę wyszywaną w fantastyczne wzory, która miała go chronić przed odparzeniami, toteż był tu jedynym poza Amerykanami, który nosił coś na podobieństwo koszuli. Reszta kotowatych nosiła jak najmniej odzienia, które zwykle ograniczało się do krótkiej spódniczki. Nawet kobiety nie nosiły nic na górze, chociaż ich porośnięte futrem biusty nieustannie przyciągały uwagę starej załogi niszczyciela.

Tak liczne spotkania należały do rzadkości i sprawiały zasadniczą trudność - jak przemawiać do takiej ciżby, będąc jej częścią. W końcu pośrodku sali, tuż obok pnia wielkiego drzewa, którego korona wystawała ponad dach, wzniesiono podwyższenie. Matt wiele razy widział już drzewo galla, ale ciągle zdumiewał się jego rozmiarami. Na dodatek dotąd wiedział jedynie o dwóch takich. To drugie rosło w wielkiej sali na pokładzie *Salissy*. Przypuszczał, że inne pływające domy też mają własne drzewa, i zastanawiał się, czy ich sadzonki nie zostały przywiezione z Madagaskaru, dawnej ziemi utraconej lemurów.

Tłum niecierpliwił się coraz bardziej.

Na znak Nakii Matt wszedł na podwyższenie i zebrani natychmiast się uspokoili, przyjmując pojawienie się bezogoniastego z należnym mu szacunkiem. Było to odmienne przyjęcie niż za pierwszym razem, ale teraz szła za nim sława zwycięzcy. Mimo że w gruncie odniósł całkiem skromną wiktoria.

Kapitan zrobił kilka kroków, wpatrując się w zwrócone ku niemu twarze. Po chwili obok stanął Chack, który miał tłumaczyć. Wielu obecnych posługiwało się już nieźle angielskim, Matt jednak nie uważał, żeby poznał ich mowę w stopniu pozwalającym na oficjalne wystąpienia. Trochę go to kępowało, zwłaszcza że dotąd nauka języków obcych nie sprawiała mu kłopotów, jednak tym razem coś blokowało postępy. Dziwne, przypominające zawodzenie słowa okazały się dla niego zbyt trudne. Bradford, Letts i nawet Sandra trajkotali już biegle po tutejszemu, Matt zaś ciągle miał wrażenie, że prędzej obrazi kogoś, nim przekaze najprostszą myśl, choćby rozmawiać miał tylko o pogodzie. W tej sytuacji obecność Chacka była dla niego wielką ulgą. Wskazał na porucznika Mallory'ego.

- Jak już wiecie, moi przyjaciele - powiedział - latająca łódź wróciła niedawno ze zwiadu na południu. - Przerwał na chwilę. Dotąd wzdragał się przed wysyłaniem cataliny na dalekie patrole, ale Bradford i Myszowaci wyprodukowali trochę wysokooktanowej benzyny, zastosowawszy do tego jakiś proces wykorzystujący słoną wodę. Przed wylotem Mallory dostał wyraźny rozkaz, żeby za nic nie dał się zauważyć, zatem wszystkie obserwacje były czynione z pułapu 13 tysięcy stóp. Przy tej wysokości przelotowej odgłos pracy silników samolotu na poziomie morza był prawie niesłyszalny, można było jednak policzyć żeglujące po oceanie statki. Matt miał nadzieję, że Mallory znajdzie przy tym *Mahana*, chociaż nie leciał na poszukiwanie siostrzanego niszczyciela. Sądząc po czasie spędzonym w powietrzu i ilości spalonego paliwa, lotnik musiał przemierzyć naprawdę wielkie odległości, nie trafił jednak na żaden ślad zaginionego okrętu. - Wiadomości, które otrzymaliśmy, potwierdzają nasze obawy - podjął po chwili. - Grikowie obiegli Aryaal. - Poczekał chwilę, aż zgromadzeni się uspokoją. - Uważam, że powinniśmy pomóc Aryaalanom.

Tym razem musiało minąć kilka minut, nim znowu mógł cokolwiek powiedzieć. Usłyszał kilka okrzyków aprobaty, większość jednak protestowała ile tchu w płucach. Wielu od razu wdało się w kłótnię z sąsiadami mającymi odmienne zdanie.

- Nie mamy wyboru! - zawołał, przekrzykując harmider. - Jeśli nieprzyjaciel zdoła założyć stałą bazę tak blisko naszej wyspy, Baalkpan będzie zgubiony! - Wskazał na grupę wielkich wodzów i spojrzał na nich znacząco. - Wielu z was może odpłynąć. Wasze domy nie są uwiązane do lądu. Ale jeśli Baalkpan padnie, co wtedy? Gdzie uzupełnicie zapasy? Kto przeprowadzi konieczne naprawy? Z kim będziecie handlować? Wiem, że są jeszcze inne miasta, ale one też mogą zniknąć pewnego dnia. Jeśli uważacie, że nie musimy na razie nic robić, prędzej czy później zostanieie sami na morzu. Bez przyjaznego portu i bez nadziei.

- Już nie ma nadziei! - rzucił gniewnie Anai-Sa, wódz *Fristara*. - Powinniśmy uciekać. Widziałem mapy, które zdobyliście. Wielu z nas je widziało. Grików jest więcej niż gwiazd na niebie.

- Nie wolno nam uciekać! - krzyknął donośnie Adar, dołączając do Matta na podwyższeniu. Błysk oczu kapłana wielu skłonił do zamilknięcia. - Byłem w głębi statku grików niedługo po jego zdobyciu. Rozmawiałem z ocalałymi, chociaż wzdragam się, żeby ich tak zwyczajnie nazywać. Widziałem, jak przewrotnie grikowie przeinaczają to, co dla nas jest święte, wykorzystując parodię Zwojów przeciwko nam. Nie mówcie o ucieczce! Każdy, kto ucieknie, stanie się sprzymierzeńcem przeciwnika. Będzie tchórzem i zdrajcą naszego ludu!

Podniosło się kilka głosów protestu, większość jednak zgadzała się z kapłanem. Anai-

Sa nic nie powiedział.

- Sporo zdarzyło się od ostatniego naszego spotkania - powiedział Matt, gdy znowu zrobiło się ciszej. - Mimo licznych wątpliwości udało nam się wiele osiągnąć. Co więcej, odnieśliśmy pierwsze prawdziwe zwycięstwo nad wrogiem. Nie myślę tylko o zniszczeniu statków grików. To zdarzało się już wcześniej. Poza tym zgadzam się, że takie małe zwycięstwa nie mają znaczenia wobec liczebności przeciwnika. Prawdziwym zwycięstwem było zdobycie informacji o nim! - Uśmiechnął się. - Nie błądzimy już we mgle, jak wcześniej, i możemy planować prawdziwe zwycięstwa. Takie, które naprawdę coś zmieniają. Pierwszym z nich powinna być odsiecz Aryaalu.

- Co możemy zyskać, rozlewając tam naszą krew? - spytał Kas-Ra-Ar, kuzyn Kejego. Nie myślał polemizować, był tylko po prostu ciekaw. - Aryaalanie nigdy nam nie pomogli.

- Jestem przekonany, że jeśli uratujemy ich przed losem, który czeka nas wszystkich w ładowniach statków grików, to będą skłonni nam pomagać - odparł Matt jak mógł najprościej. - Nie rozumiecie? Inwazja, której obawialiście się od wieków, już się zaczęła. Zajęli Singapur, wiemy, że zniszczyli jedno miasto, a zapewne jeszcze inne, i nadchodzą. To już teraz, to właśnie się dzieje. I musimy ich zatrzymać! - Przerwał i zaczerpnął powietrza. - Musimy im dokopać! - Był spocony, w gardle mu zaschło i wiele by oddał za łyk wody. Czuł, że niestety, ale jego własne frustracje też doszły do głosu.

Nie otrząsnął się jeszcze po traumie długiej ucieczki przed Japończykami. Najpierw zostawili Filipiny, potem dostali w skórę na Morzu Jawajskim i znowu musieli umykać, tym razem z Surabai, tracąc po drodze kolejne jednostki. W tym świecie nie wiodło im się wiele lepiej. Zaginięcie *Mahana*, koszmar ładowni na statku grików i jeszcze ta tajemnicza ludzka czaszka. Wszystko zlało się w jedno i chociaż jaszczury były w sumie gorsze od Japończyków, Matt wiedział jedno: ma dość ucieczki. Nie chciał się już cofać.

- Niszcząc siły grików, sprawimy, że Aryaalanie staną się naszymi sojusznikami - powiedział. - Potem wyrzucimy wroga z Singapuru. Gdy już tego dokonamy, wzniesiemy tam fortecę. Zbudujemy też szybkie okręty wojenne zdolne zniszczyć wszystko, co tylko grikowie przeciwko nam wyślą, i z czasem zmusimy ich do wycofania się tam, skąd przyszli.

Tym razem doczekał się entuzjastycznych okrzyków poparcia.

- Żeby nam się to udało, potrzebujemy bezpiecznego zaplecza. Bariera Malajska stanie się granicą, za którą żaden grik nie będzie miał wstępu. Jawa i Aryaal są jej istotną częścią. - Spojrzał na zebranych i zrozumiał, że bardzo chcą mu uwierzyć. - Tym razem będziemy walczyć! Niech teraz oni straszą swoje dzieci opowieściami o strasznych istotach, które wygnały je z raj!

Nakja też wszedł na podwyższenie i uniósł ręce, żeby uciszyć zgromadzonych.

- Proponuję, żeby kap-i-tan Reddy, u-amaki ay *Walker*, został na czas tej wojny wodzem wojennym wszystkich klanów!

Skrajnie zaskoczony Matt nie zdołał wykrztusić ani słowa. Zdumiał go też aplauz, z jakim przyjęto tę sugestię. Spojrzał na Nakję niczym na zdrajcę, ale i z wdzięcznością. Nie spodziewał się niczego podobnego po wodzu Baalkpanu, niemniej... to wiele ułatwiało.

Lemur uśmiechnął się do niego.

- Oto nasz aahd-mah-raal! - dodał wesoło.

\*

Połączone Siły Ekspedycyjne żeglowały pod bezchmurnym sierpniowym niebem na południe. Matt wiedział, że ta pogoda nie będzie trwała wiecznie, zwłaszcza że według zapowiedzi Kejego zaczynała się właśnie pora sztormów. Była to już któraś różnica klimatyczna między tym a tamtym światem, którą skłonny był wiązać z ekologicznymi odmiennościami obu rzeczywistości. Drobnymi, jak całkiem inne ukształtowanie dna jakiejś rzeki, i większymi, w rodzaju obecności wysp wulkanicznych w miejscu, w którym nie powinno ich być. Cokolwiek odmieniło los tej Ziemi, wciąż robiło swoje. Z tego samego powodu nie zakładał na pewno, że wie, o jakie „sztormy” chodzi. Zgodnie z jego wiedzą trwała właśnie pora monsunów i zasadniczo powinno przez cały dzień padać. Tymczasem od paru tygodni wszędzie było dziwnie sucho.

W końcu przypomniał sobie, że Keje sztormem nazywał różne zjawiska. Nie przejął się wcale burzą, która szalała podczas ich ostatniej walki, kiedy użyli *Salissy* jako przynęty. Obawiał się nawet, że grikowie mogą nie uwierzyć własnym oczom, bo tak słaby wiatr nie powinien zagrozić równie wielkiemu statkowi. Zasadniczo miał pewnie rację, ponieważ przy swoich rozmiarach pływające domy musiały być równie odporne na zaburzenia pogody jak pancerniki lub lotniskowce. *Walker* nie miał tyle szczęścia. Przy byle fali kolebał się z burty na burtę i był bardzo „mokrym” statkiem, załoga nie miała więc łatwego życia. Mogli się tylko pocieszać, że szalejące na południu tajfuny nie powinny być szczególnie groźne na względnie płytkim Morzu Jawajskim. Matt nigdy nie przeżył podobnej wichury, domyślał się jednak, że znane mu z Teksasu huragany byłyby przy niej niczym łagodny wiosenny zefirek.

Obecna pogoda w żadnej klasyfikacji nie mogła ująć za sztormową. Morze było gładkie jak stół, a widoczność praktycznie nieograniczona. Na wschodzie znajdowała się zatoka Mandar, miejsce niedawnej bitwy, jakieś sto pięćdziesiąt mil na południe leżały wyspy Kangean. Flota rybacka nie zapuszczała się tak daleko, a na dodatek Mattowi brakowało na

horyzoncie smużek dymu pozostawionych przez ciągnące swoimi szlakami frachtowce i tankowce. Tutaj mogli napotkać jedynie okręty nieprzyjaciela.

Matt stał na pomoście sygnałowym obok stanowiska kontroli ognia i czuł na twarzy wiatr wywołany marszem z prędkością dwudziestu węzłów. Obok miał milczącego Grega Garretta. Razem podziwiali widok zespołu bojowego, który mieli po prawej burcie. *Walker* zygzakował kilka mil przed zgrupowaniem, osłaniając je przed ewentualnym atakiem. Pięć mil przed nim płynęła *Zemsta*, dawna jednostka grików, służąca obecnie za wysuniętą straż przednią. Okręt został przebudowany i doposażony, jednak z daleka nie różnił się niczym od innych czerwonych statków, zatem grikowie nie mieliby powodu przed nim uciekać. W razie dostrzeżenia nieprzyjaciela *Zemsta* miała natychmiast przekazać sygnał na *Walkera*. Gdyby doszło do starcia, była zdolna zadbać o siebie do chwili, gdy niszczyciel przybyłby z odsieczą.

Dowodził nią porucznik Rick Tolson, który w cywilu był jachtmanem i przez rok pływał na stalowym szkunerze. Nie mieli nikogo lepiej obznajomionego z żaglami. Na pierwszego dostał Kasa-Ra-Ara, kuzyna Kejego, który z początku nie chciał objąć tego stanowiska, bo miał też być oficerem nawigacyjnym, a to kojarzyło mu się z pewnymi odniesieniami ze świętych Zwojów. Musieli mu wytłumaczyć, że nawigator to nie święte imię, ale określenie stanowiska. Wtedy się zgodził, dumny nawet bardziej, niż gdyby otrzymał dowództwo. Matt uznał to za dobry znak i pomyślał, że może uda się stworzyć tutaj jakąś sensowną tradycję morską. Byle tylko nie doszło do żadnego sporu kompetencyjnego między nawigatorami a kapłanami, którzy zajmowali się zasadniczo tym samym. Wracając zaś do samego okrętu, został on uzbrojony w dwadzieścia całkiem nowych dział z brązu. Były to dwudziestofuntówki podobne do armat, które produkowano dla oddziałów desantowych piechoty morskiej, tyle że miały trochę inny kaliber i pozwalały na użycie silniejszego ładunku. W burtach wycięto dla nich łatwe do zamaskowania furty. Każdy statek grików, który chciałby zaatakować *Zemstę*, czekała niemiła niespodzianka.

Widok okrętu budził jednak mieszane uczucia. Z jednej strony zachwycał Matta klasyczną sylwetką, z drugiej jednak trudno było zapomnieć, co znajdowało się wcześniej w jego ładowni. Nakja nadał mu nazwę *Zemsta* i wszyscy uznali to za bardzo dobry pomysł. Nominalnie statek był obecnie własnością Baalkpanu. Wcześniej nie zdarzyło się nigdy, żeby lemury opanowały jakąkolwiek jednostkę przeciwnika, i początkowo uznano, że przyz powinien należeć do załóg *Walkera* i *Salissy*, chociaż w jego zdobyciu wzięło też udział wielu wojowników z miasta. Keje i Matt zdecydowali, że dobrze będzie podarować statek Nakii, bo z pewnością przyspieszy to przebudowę. Może i tak było, chociaż wódz już dawno

zdecydował wesprzeć wysiłek wojenny wszelkimi zasobami miasta. Spore znaczenie miały też względy religijne, z którymi Nakja poradził sobie lepiej, niż zdołałby ktokolwiek inny.

Osobną sprawą były długofalowe plany Matta, który chciał uczynić z Baalkpanu prawdziwą bazę morską. Już obecnie większość żołnierzy pochodziła właśnie stąd, tak jak i lwia część zaopatrzenia. Brakło jednak okrętów, które mogłyby reprezentować Baalkpan w walce i stać się przeciwwagą dla pływających domów. *Zemsta* wypełniła tę lukę i była nadzieja, że się odznaczy w bliskiej już bitwie.

Matt odwrócił się i spojrzał na resztę floty. Śladami niszczyciela ciągnęło pięć wielkich żaglowców w otoczeniu czterdziestu największych feluk z floty rybackiej Baalkpanu. Każda miała na pokładzie przynajmniej jedną olbrzymią kuszę w rodzaju tych, które dotąd były głównym uzbrojeniem pływających domów. Na niektórych zamontowano nawet obrotowe działka przeznaczone do zwalczania siły żywej przeciwnika. Wielkie statki - *Salissa*, *Humfra-Dar*, *Aracca*, *Nerracca* i *Fristar* - miały obecnie po dziesięć dział. Były to armaty identyczne z tymi, których *Salissa* użyła z takim powodzeniem pod Celebesem. Matt ciągle nie mógł uwierzyć, że Lettsowi udało się zdążyć ze wszystkim. Był też bardzo dumny ze swojego oficera zaopatrzeniowego, który okazał się najlepszym specem od logistyki po tej stronie rzeczywistości.

Uśmiechnął się, wspomniawszy, jak protestował Letts, gdy usłyszał, że zapracowuje się, przygotowując wyprawę, w której nie będzie mógł uczestniczyć, gdyż jego praca jest zbyt ważna dla wysiłku wojennego. Wraz z Aldenem miał dowodzić garnizonem Baalkpanu i nadzorować budowę fortyfikacji oraz baterii brzegowych. Po zakończeniu produkcji uzbrojenia dla okrętów huta zajęła się wytwarzaniem dział i moździerzów dla stanowisk na lądzie.

Stworzenie sensownej artylerii było dużym osiągnięciem, ale zabrało sporo czasu, podobnie jak inne przygotowania do kampanii. Od pierwszego dalekiego lotu zwiadowczego Mallory'ego minęły aż dwa miesiące z sześciu spędzonych tutaj po przejściu przez szkwał, ale z cotygodniowego rozpoznania wynikało, że Aryaal wciąż się trzyma, chociaż pierścień okrążenia był coraz ciaśniejszy. Wiedzieli też więcej o zaangażowanych tam siłach. Grikowie mieli trzydzieści statków i proporcjonalną liczbę żołnierzy. Ilekroć Ben zjawiał się nad miastem, zawsze widział w dole gorejącą bitwę.

Siły Ekspedycyjne liczyły sześć tysięcy wojowników i marines, co stanowiło prawie połowę wyszkolonych żołnierzy Baalkpanu. Byli to żołnierze obojga płci, nad czym Matt ciągle kręcił nosem. Nie mógł przywyknąć do tego, że tutejsze kobiety, zamiast machać chusteczkami mężczyznom, same brały broń na ramię i także ruszały na wojnę. Nie wątpił w

ich umiejętności, widział je przecież w walce. Tyle że ciągle wydawało mu się to niestosowne. Sandra przyjęła miejscowy zwyczaj z entuzjazmem. Dobrze też wiedziała, co to znaczy narażać życie w walce... Matt westchnął i potarł brodę. To naprawdę nie powinno tak wyglądać. Ale cóż, był pewien, że jeśli odpowiednio użyją artylerii i utrzymają dyscyplinę, przełamią okrażenie i pomogą obrońcom miasta. Byle tylko nie zjawili się za późno.

Garrett uniósł ręce i przycisnął słuchawki do uszu. Posłuchał przez chwilę i obrócił się do Matta.

- Oko podaje, że widzi catalinę - zameldował.

Matt spokojnie skinął głową, ale poczuł, jak kamień spada mu z serca. Nie cierpiał, gdy samolot zbytnio się oddalał. Raz, że gdyby coś się stało, jego załoga miałaby najpewniej marne szanse przeżycia, a dwa - Catalina była jedynym samolotem w tym świecie i dawała wielką przewagę, gdy chodziło o zbieranie informacji o przeciwniku. Było to błędne koło, bo przewagę tę mieli tylko wtedy, gdy używali samolotu do lotów zwiadowczych, ale cóż. Sporą pomocą było działające radio, chociaż trochę dziwnie było rozmawiać otwartym tekstem bez obawy, że ktoś może podsłuchiwać. Tak czy owak dla Matta nienarażanie cataliny było absolutnym priorytetem graniczącym z obsesją. Może zbyt dobrze pamiętał, w jakim położeniu znalazła się Flota Azjatycka, gdy musiała działać bez wsparcia powietrznego. Zdawał sobie też sprawę, że obecna kampania, jakkolwiek ważna, jest zapewne dopiero początkiem wojny i może przyjść taki dzień, gdy pożałują, że zbyt często używali łodzi latającej.

Na razie cieszyło go, że Catalina wróciła, i bardzo był ciekaw, co też Ben ma mu tym razem do przekazania.

- Dobrze odpowiedział Garrettowi. - Poproś porucznika Dowdena, żeby podszedł bliżej do *Salissy*, i daj znak na wszystkie jednostki, żeby ich kapitanowie przybyli tam na odprawę. Poinformuj też kapitana Kejego, że zbliżymy się, gdy tylko wezmą samolot na pokład. I poproś go jeszcze, żeby przygotował węże. Chcę mieć pełne bunkry przed walką.

- Aye, aye, sir - odparł Garrett i przemówił do mikrofonu.

Matt obserwował rosnącą sylwetkę cataliny. Silniki pracowały równo, bez przesadnego wysiłku. Mallory zamachał skrzydłami i przemknąwszy nad niszczycielem, wszedł w szeroki zakręt, żeby wodować obok *Salissy*. Matt zszedł na dół i zajrzał do sterówki.

- Kapitan na mostku!

- Trzymać okręt - odparł Matt i uśmiechnął się, gdy *Walker* położył się na burcie, wracając do zgrupowania. Juan, ich filipiński steward, musiał bardzo się postarać, żeby taca z

kawą dla wachty nie wylądowała na pokładzie.

- Juan, pan Dowden i ja udajemy się o osiemnastej na *Salisę*. Czy byłbyś tak miły, żeby przekazać moje pozdrowienia panu Bradfordowi oraz porucznik Tucker i spytać ich, czy nie zechcieliby nam towarzyszyć?

Juan uratował w końcu dzbanek i odetchnął, gdy *Walker* ruszył prostym kursem.

- Oczywiście, kapitanie. Mogę zalecić oficjalny strój?

Matt zastanowił się, po czym pokiwał głową.

- To dobry pomysł, Juan. Musimy dać dobry przykład. - Rozejrzył się wkoło. - W końcu to okręt flagowy!

\*

Porucznik McFarlane stał w tylnej kotłowni. Ręce trzymał na biodrach, oczy miał zamknięte - starał się „wyczuć” okręt. Myszowaci patrzyli na niego obojętnie, jednak dwaj nowi kotowaci nie kryli podziwu i wyglądali, jakby właśnie dane było im obcować z niewysokim, ale wszechwiedzącym bogiem. W końcu oficer pokiwał głową zadowolony z tego, co wyczuł. Terapia, którą zafundowali steranym maszynom *Walkera*, sprawiła niemalże cuda. Szczęśliwie udało się znaleźć dobry zamiennik dla kończącego się materiału na uszczelki, które potrzebne były dosłownie wszędzie. Wymienili również najbardziej skorodowane blachy na nowe, tym razem mosiężne, ułożyli nowe cegły szamotowe we wszystkich kotłach. Wciąż się martwił, co będzie, gdy wysiądzie coś naprawdę ważnego, jak przekładnie czy łożyska, ale na razie maszyny i kotły były w lepszym stanie niż kiedykolwiek od czasów młodości okrętu.

Otworzył oczy i złowił spojrzenia kotowatych, zanim zdolali odwrócić głowy. Zachichotał w duchu. Lubił tych ogoniastych łobuzów! Wobec konieczności oddelegowania wielu ludzi ze starej załogi do innych zadań, jak wydobywanie ropy, industrializacja Baalkpanu i obsługa artylerii na pływających domach - obecnie tubylcy stanowili prawie połowę obsady. Wszyscy złożyli posłusznie przysięgę marynarzy Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, chociaż po prawdzie nie mieli pojęcia, czym właściwie jest US Navy. Ślubowali jednak szczerze i wcale nie przypominali kulisów z China Station, czyli kolonialnej formacji floty brytyjskiej strzegącej interesów imperium na Dalekim Wschodzie. *Walker* był teraz ich domem, oni zaś byli dumni, że mogą służyć na najniezwyklejszym okręcie na świecie. Tam, gdzie McFarlane dostrzegał oznaki zużycia i zmęczenia materiału, oni widzieli jedynie cuda i pracowali z entuzjazmem, którego nie notowano nigdy dotąd na pokładzie żadnego z czterofajkowców. Ci, którzy trafili do kotłowni, nie mieli łatwo, bo trudno



wytrzymać w piekielnym upale z grubym futrem na grzbiecie. Żaden jednak nie narzekał, a jak się uwijali!

Spanky oczekiwał, że niewielu ich zgłosi się do pracy pod pokładem. Kotowaci przywykli do otwartych przestrzeni i swobody poruszania się. Na własnych statkach mieli wiele miejsca, całkiem inaczej niż w ciasnym wnętrzu niszczyciela. Mylił się jednak. Niejednego musiał odprawiać z kwitkiem. Okazało się, że lemury uwielbiają wszelkie maszyny i nic więcej się dla nich nie liczy.

Często chodzili za nim, przyglądając się, jak sprawdza dłonią złącza przewodów albo stuka w jakiś miernik. Może próbowali zrozumieć, na czym polega jego magia. Ich dziecinna fascynacja mogła budzić śmiech, Spanky starał się jednak zachowywać powagę. Przede wszystkim dlatego, że lubił nowych, ale i z tego powodu, że ich potrzebował. Szybko się uczyli i nawet jeśli weszli tu jakiś pierwiastek boski, nie miał serca wyprowadzać ich z błędu.

Myszowaci nie byli poszkodowani. Mimo swoich dziwnych manier także zyskali towarzystwo. Była to młoda kotowata o szarej sierści, która wcześniej pracowała przy odwiercie. Poszła za nimi aż do kotłowni. Nazywała się Tab-At, co na okręcie natychmiast zmieniono na Tabby, czyli Buras, chociaż nowa siła robocza była niewątpliwie kobietą, i to całkiem krągłą. Czy stało się tak za sprawą ignorancji czy może była to próba zaprzeczenia oczywistości, trudno orzec. Tab chodziła wszędzie za Myszowatymi niczym domowy kot, oni zaś traktowali ją, jakby naprawdę nim była. Spanky podejrzewał, że jest w tym coś więcej, przynajmniej ze strony dziewczyny. Była kuzynką Chacka, który powiedział kiedyś, że Tab podziwiała Myszowatych za ich kompetencję, a samotniczość i opryskliwość obu palaczy brała za przejaw mądrości. Może i byli mądrzy, ostatecznie radzili sobie ze wszystkim, do czego się zabrali, Spanky obawiał się jednak, że Tab może przyswoić sobie także ich najbardziej irytujące zwyczaje.

Sam przed sobą przyznawał się po cichu, że owe wątpliwości mogą wynikać z niechęci wpuszczania jakichkolwiek kobiet do kotłowni. Nawet jako kuzynka Chacka (wszyscy kotowaci wydawali się jakoś ze sobą spokrewnieni) była osobnikiem rodzaju żeńskiego i tym samym była tu zasadniczo niepożądana. Pracowała równie ciężko jak wszyscy, a jej mały wzrost i refleks czyniły z niej zapewne najlepszego operatora palników z całego nowego zaciągu. Tylko ten zasadniczy feler, że była kobietą...

Kapitan, który zdaniem Spanky'ego też chyba miał różne wątpliwości, zarządził oficjalnie, że jeśli chodzi o nowy personel, ma obowiązywać całkowita równość płci. Sami kotowaci nie uznawali w tej materii żadnych podziałów poza oczywistym wyjątkiem

macierzyństwa. Kapitan powiedział Spanky'emu, że jeśli nie chcą urazić sojusznika, muszą postępować tak samo. No i dobrze. Pólnagie kotowate mogą sobie ganiać po pokładzie i to nie jego sprawa, ale tutaj jest maszynownia! Miejsce tak gorące, że łatwo mogło rozpaść różne frustracje albo i namiętności.

Co gorsza - o ile mogło być jeszcze gorzej - gdyby zapomnieć o sierści, kocich uszach i twarzy, pazurzystych dłoniach i stopach oraz ogonie, można by uznać Tab za bardzo atrakcyjną dziewczynę. Skoro Spanky to zauważył, inni również musieli dojść do takiego wniosku. No, może z wyjątkiem Myszowatych. A przecież wszyscy pamiętali o tej dziwnej sprawie między Silvą a Risą... Ostatecznie Spanky ogłosił, że u niego wszyscy mają chodzić ubrani i nieważne, że przy kotłach jest diabelnie gorąco. Gray mógł im pozwalać na chodzenie w samych spódniczkach, ale na dole to Spanky ustalał reguły!

Miał nadzieję, że skłoni w ten sposób Tab do rezygnacji z przydziału, ale nic z tego. Gdy spotkał ją następnym razem, miała na sobie prostą koszulkę, która - o zgrozo! - uwydatniała jej piersi, dotąd skryte częściowo pod sierścią. Ktoś dał jej nawet parę spodni z wyciętą na siedzeniu dziurą na ogon, choć tego Spanky wcale nie wymagał, rozumiejąc, że właśnie z uwagi na ogon kotowaci nie noszą portek. Zrozumiał, że z niego zakpiono, i w końcu dał temu spokój.

Nie znaczyło to, że zmienił podejście. Teraz Tab stała obok Myszowatych, nadzorując wraz z nimi przepływ wody i dopływ paliwa. Gdy dostrzegł, że go obserwuje, nie odwróciła spojrzenia, jak inni kotowaci. Nie było w jej oczach właściwiej tamtym dwóm czołobitności. Ani wrogości. Patrzyła tylko na niego z wyrazem... jakby triumfu. I zapewne rozbawienia. Westchnął, po czym uśmiechnął się do niej. Przynajmniej ona nie uważała go za wszechwiedzącego.

\*

Matt siedział na jednym ze skromnych stołków w wielkiej sali *Salissy*. Wszyscy, poza nim, Kejem i Tucker, rozłożyli się wygodnie na poduszkach, których wiele leżało w pobliżu pokładowego drzewa. Tylko Larry Dowden stał przy pospiesznie naszkicowanej mapie, którą oparto o stół, żeby wszyscy mogli ją widzieć. Matt wiercił się na twardym stołku i co chwila żałował, że nie zabrał własnego krzesła. Mógłby sięgnąć po jakąś poduszkę, ale przypuszczał, że nie czułby się z nią najlepiej. Ze zdziwieniem zauważył, że porucznik Mallory nie ma takich oporów. Lotnik wyciągnął się wygodnie i chyba walczył z sennością.

To był długi dzień dla Bena i jego załogi. Wczesnym rankiem wylecieli z Baalkpanu na ostatnie rozpoznanie Surabai. Po raz pierwszy Mallory miał przelecieć bezpośrednio nad

miastem i siłami nieprzyjaciela. Jego meldunek nie skłaniał do optymizmu. W zatoce stało teraz na kotwicy około czterdziestu jednostek, które wysadziły na ląd proporcjonalne do tej liczby siły inwazyjne. W odróżnieniu od Baalkpanu, Surabaja była otoczona porządnymi murami, które musiały być chyba silnie obsadzone. Tyle że armia grików była dość liczna, żeby otoczyć szczelnie całe miasto. Jedynym wolnym od jaszczurów odcinkiem był pas umocnień przy porcie oraz odcinek między miastem a wyspą Mandura, leżącą jakieś trzy mile od brzegu. W przesmyku tym kotwiczyła liczna flota małych miejscowych jednostek, a na wyspie, na cyplu najbliższym Surabai, znajdowała się forteca, która jak dotąd nie była atakowana. Nad okolicą unosiła się chmura dymu z budynków podpalonych zapewne przez pociski grików i choć Mallory nie widział wszystkiego, tym razem nie ulegało wątpliwości, że przeciwnik dostrzegł catalinę.

Matt wolałby tego uniknąć, ale musiał wiedzieć, co go czeka. Może zresztą ten dziwny obiekt, który przemknął po niebie, zaniepokoi grików. Żeby nie odebrać odwagi obrońcom, samolot zrzucił nad miastem kilkaset „ulotek”. Były to drewniane tabliczki z wrytym napisem „Wasi bracia z północy zdążają wam na pomoc. Przyprawimy potężnych przyjaciół. Nie traćcie odwagi”. Tylko tyle mogli na razie zrobić. Wykonawszy zadanie, Mallory wrócił do zespołu. Następnego dnia miał odlecieć na Baalkpan i pozostać z nimi w kontakcie radiowym. Matt nie chciał ryzykować utraty samolotu podczas bitwy.

Sandra Tucker siedziała sztywno na stołku tuż obok Matta i nic nie sugerowało, żeby było jej niewygodnie. Matt zastanowił się, o czym dziewczyna może myśleć. Coraz bardziej przywykał do polegania na jej intuicji, ale musiał przyznać, że samo jej towarzystwo też sprawia mu przyjemność. Wyznawszy sobie miłość, zawarli milczące porozumienie, zgodnie z którym na pokładzie zawsze zachowywali pewien dystans. Oboje mieli nadzieję, że dobrze się maskują, jednak czasem, gdy byli sami, pozwalali sobie na bardziej bezpośrednie zachowania. Żadne nie chciało jednak posuwać się na razie zbyt daleko, a Matt czuł się winny, że aż tyle jest mu dane, gdy niemal cała reszta załogi nie może mieć nadziei na żadną odmianę w życiu. Chyba że Silva i Risa naprawdę... Pokręcił głową. Może pewnego dnia trafią na innych ludzi. Legendy lemurów sugerowały, że to możliwe, na razie jednak musieli wygrać wojnę. Jakkolwiek straszna sama w sobie, pozwalała upuścić pary i rozładować frustrację spowodowaną osobliwym układem męsko-damskim.

Do tego czasu musieli panować nad swoimi namiętnościami. Nie znaczyło to jednak, żeby Matt zamierzał ignorować przenikliwy umysł Sandry. Pochylił się ku niej.

- Co myślisz o Anai-Sa? - szepnął jej do ucha. Chodziło o wodza *Fristara*, lemura o czarnym futrze, który jak zwykle spóźnił się na odprawę i siedział teraz z cierpkim wyrazem

twarzy na jednej z poduszek, podczas gdy reszta uczestników kończyła zakąski. Każde spotkanie wiązało się tu z jakimś poczęstunkiem.

- Sądzę, że zgłosił się jedynie po to, żeby dostać działa obiecane wszystkim, którzy wezmą udział w kampanii - odszepnęła. - Nie ufam mu. Chyba lepiej będzie nie polegać na nim w niczym naprawdę ważnym.

Matt pokiwał głową. Anai-Sa był najgłośniejszy z partii tych wodzów, którzy gardłowali za porzuceniem wspólnych planów, ale widocznie był również hipokrytą, skoro skusił się na działa.

- A co sądzisz o pozostałych? - spytał Matt.

Sandra zaśmiała się cicho, ale odpowiedziała.

- Chyba zasadniczo można na nich polegać. Rick na *Zemście* i Keje nie budzą wątpliwości. - Zastanowiła się chwilę. - I jeszcze dwaj, jak mi się zdaje. Ramic-Sa-Ar z *Aracki* i Tassat-Ay-Aracca z *Nerracki*.

- To chyba ojciec i syn? - szepnął Matt, spoglądając na dwóch tubylców, którzy siedzieli obok siebie i rozmawiali z ożywieniem. Jeden wyglądał niczym odmłodzona kopia drugiego.

- Tak. Przy czym Tassat jest sporo młodszy niż Anai, chociaż trudno to poznać po ich zachowaniu. Co do Geran-Eras z *Humfra-Dara*, trudno cokolwiek powiedzieć. To jedyna kobieta wśród obecnych tu wodzów i od początku była zwolenniczką wyprawy. Pewnie pamiętasz, jak energicznie poparła twój plan?

Matt pamiętał, i owszem. Tutejsze kobiety były zdumiewająco silne i gdy Eras objęła go, ucieszywszy się, że przyjął ją do zespołu, Matt wystraszył się, że jeszcze chwila, a połamie mu żebra.

- Z drugiej strony ma trochę zbyt silną motywację - dodała Sandra. - Adar wspomniał, że straciła dzieci podczas niedawnego ataku grików. Być może chodziło o jeden z tych okrętów, które zniszczyliśmy, i tym większa jest obecnie jej wdzięczność wobec ciebie. Ale na pewno pragnie też zemsty na przeciwniku. Chyba dobrze będzie mieć ją na oku.

Matt pokiwał głową i rozejrzał się wkoło. Zakąski zostały zjedzone i Keje spoglądał na nich wyczekująco.

- Pora zaczynać - powiedział Matt do Sandry i odchrząknął. - Panie i panowie - zaczął głośno. - Oto nasz plan bitwy.

\*

Stojąc z lornetką na mostku *Walkera*, Matt doszedł do wniosku, że jego powrót do Surabai miał sporo wspólnego z ucieczką stąd ponad pół roku wcześniej. Pół roku jego osobistego czasu, oczywiście. I tym razem chmury nad odległym miastem odbijały czerwony blask pożarów. Tyle że wtedy ich powodem było japońskie bombardowanie, które słyszał i czuł nawet z tak daleka, teraz zaś obraz był nieco surrealistyczny, a wkoło panowała całkowita cisza. O 1.20 weszli do zatoki, ostrożnie wyszukując drogę między rozrzuconymi tam wysepkami Sapudi. Ostatnim razem, gdy musieli tędy przechodzić, mieli na pokładzie pewnego grubego holenderskiego pilota i Matt zastanowił się nagle, co stało się z tym człowiekiem. Czy przeżył? Odpędził tę myśl. Tym razem *Walker* miał do pomocy tylko sierp księżyca. Z drugiej strony nie musieli uważać na zagrody minowe.

Gdy podeszli bliżej, można było dostrzec światła pozycyjne dziesiątków jednostek grików, które kotwiczyły w zatoce, niedaleko miasta. Napastnicy czuli się bezpiecznie i nawet nie przypuszczali, że cokolwiek może im zagrozić od strony morza. Kilka okrętów prowadziło nieustanny ostrzał miasta pociskami z „jaszczurzym ogniem”. Płonące ładunki kreśliły łuki w powietrzu, zawisając jakby na moment w najwyższym punkcie, i spadały w pobliżu murów albo i za nimi. Zwykle kończyło się to pojawieniem czerwonego grzyba płomieni, w całości zaś - wbrew temu, co działo się tu naprawdę - przypominało świąteczne fajerwerki.

Matt skierował lornetkę na jeden okręt, który sunął pomiędzy jednostkami nieprzyjaciela z podniesionymi żaglami. Flota grików nijak nie zareagowała na jego obecność, widocznie uznano, że to kolejne uzupełnienia. Tyle że ten jeden jedyny żaglowiec miał niebieskie światła pozycyjne. Specjalnie takie, żeby można go było odróżnić od reszty czerwonych okrętów. To była *Zemsta*.

Matt wyszedł na mostek i spojrzął za rufę. Pływające domy zbliżały się całkowicie zaciemnione i tylko czasem można było dojrzeć biel piany, gdy setki wiosł popychały gigantyczne kadłuby z prędkością blisko dziesięciu węzłów. Matt był pełen podziwu dla siły i determinacji załóg. Tylko *Fristar* zostawał z tyłu, przez co luka między nim a *Humfra-Darem* wciąż się powiększała, ale poza tym wszystkie jednostki utrzymywały całkiem udany szyk liniowy. Feluki trzymały się z tyłu. Kapitan wrócił do środka i stanął obok swego krzesła.

Wachta porozumiewała się szeptem i tylko wtedy, gdy było to naprawdę konieczne, jednak panujące na mostku napięcie różniło się od tego, które towarzyszyło im podczas bitwy w Cieśninie Makasarskiej. Teraz to oni byli Japończykami. Przyłapali nieprzyjaciela z opuszczonymi portkami i bardzo chcieli to wykorzystać. Alarm bojowy obowiązywał już od dłuższego czasu i wszystkie stanowiska były obsadzone. Wyjątek zrobili tylko dla wyrzutni

torpedowych. Prace nad naprawą dwóch zabranych z Surabai torped nie zostały jeszcze zakończone, a trzy sprawne Matt wolał zachować na stosowniejszą okazję. Sandison i jego ludzie wzmocnili obsady dział numer jeden i cztery.

Matt spojrział na porucznika Shinyę, który rozmawiał szeptem z Bradfordem.

- Proszę zebrać na śródkręciu oddział piechoty - powiedział do niego - na wypadek, gdyby grikowie próbowali wtargnąć na okręt.

Wszyscy, którzy nie pozostali na dole, mieli przy sobie broń, byli jednak zbyt rozproszeni na swoich stanowiskach, żeby podjąć zorganizowaną akcję. Shinya zsalutował z poważnym wyrazem twarzy i odszedł wykonać rozkaz. Po raz pierwszy otrzymał dowodzenie jakimś oddziałem *Walkera* w prawdziwej walce i zdawał sobie sprawę, jak poważna to próba. Odpowiadał za bezpośrednią obronę niszczyciela i miał pod sobą pół tuzina Amerykanów. Matt nie przypuszczał, żeby doszło z tego powodu do jakichś scysji. Większość załogi wciąż nie lubiła Japończyka, jednak go doceniała. Niektórzy zaczęli nawet traktować niegdysiejszego wroga jak swojego, co przy tak zróżnicowanej obsadzie nie było nawet specjalnie trudne. Nie zapominali, że jest Japończykiem, ale nie był już Japońcem ani żółtkiem. Poza tym obecnie walczyli po tej samej stronie i nawet Dennis Silva zaczął się jakby życzliwiej do niego odnosić. Było oczywiste, że jeśli Silva przekona się do Japończyka, nikt już nie będzie miał żadnych wątpliwości.

- Proszę uważać, poruczniku - powiedział jeszcze Matt.

- Już chyba niedługo - mruknął Bradford, gdy zostali sami.

Matt pokiwał głową. Wolałby nie mieć tu go podczas walki, ale Australijczyk nie chciał siedzieć w mesie razem z Sandrą i grzecznie oznajmił, że pozostanie na mostku. Gray również grzecznie zaproponował, że zniesie nieproszonego gościa pod pokład, ale kapitan machnął na niego ręką. Mimo niejakiego braku manier Bradford był dobrym obserwatorem, a jego rady i sugestie nieraz się przydawały. Zwłaszcza gdy sprawa dotyczyła dyplomacji albo antropologii. Gdyby nie dopisywało im szczęście, Bradford mógł tej nocy okazać się bardzo przydatny.

Do najbliższego okrętu grików zostało już tylko dwieście jardów i Matt ledwie wierzył, że naprawdę udało im się dotąd uniknąć wykrycia. Przecież masywne sylwetki pływających domów rysowały się wyraźnie na tle rozgwieżdżonego nieba nad horyzontem. Z drugiej strony niewiele wiedział, jak u grików ze wzrokiem. On sam z pewnością byłby lekko oślepiiony wszystkimi światłami palącymi się na pokładach jednostek wroga i nie zdołałby dostrzec czegokolwiek poza ich kręgiem. Chociaż... może wszyscy zeszli na ląd? Albo byli zbyt pewni siebie? Lada chwila *Zemsta* powinna dać znać o sobie. Niemal w tym samym

momencie pośrodku nieprzyjacielskiej floty pojawił się szereg rozbłysków, a po chwili nad zatoką przetoczył się grom pełnej salwy burtowej. Zgodnie z planem *Zemsta* miała podpłynąć jak najbliżej miasta i zaatakować jednostki przeciwnika znajdujące się w polu widzenia obrońców. W razie niepowodzenia rozkazy przewidywały otwarcie ognia w chwili wykrycia. Matt wprawdzie nie miał pojęcia, który wariant planu jest aktualnie realizowany, w każdym razie był to znak, na który czekali.

- Przekazać sygnał dla floty!

Czerwona rakietę wystartowała z sykiem z platformy sygnałowej i rozerwawszy się na niebie, opadała deszczem dymiących odłamków.

- Proszę przekazać panu Garrettowi, żeby otworzył ogień. Celowniczy mogą sami wyszukiwać cele - powiedział Matt. - Niech mierzą w linię wodną, żeby unieszkodliwić jak najwięcej okrętów, ale oszczędzać amunicję. - To ostatnie Garrett sam już wcześniej przekazał obsadom dział, nie szkodziło jednak przypomnieć. Wszystko wskazywało na to, że już niebawem będą zdolni produkować proste miedziane pociski do czterocalówek. Próby z ładunkami czarnego prochu dowiodły, że można nimi prowadzić celny ogień, daleko było im jednak do pocisków eksplodujących, które należało oszczędzać, zwłaszcza że wojna dopiero się zaczynała.

Strumień światła ze szperacza na platformie powyżej wyłowił z mroku pierwsze cele. Widać było miotające się na pokładach żaglowców groteskowe sylwetki. Inni grikowie stali oślepieni i kompletnie zaskoczeni. Dział numer jeden na pokładzie dziobowym odezwało się pierwsze, roznosząc w strzępy śródkręcie statku na wprost przed nimi. W dali słychać było basowe pomrukiwanie dwunastofuntówek *Zemsty*, z tyłu nadciągała z wolna linia pływających domów.

*Walker* miał otworzyć drogę przez zapchaną nieprzyjacielskimi jednostkami zatokę, żeby stworzyć bezpieczną strefę między miastem a wyspą Madura. Potem mieli wysadzić żołnierzy na brzeg. Drugoplanowym zadaniem było zatopienie statków grików i wybicie ich załóg. Tyle że aby osiągnąć pierwsze, należało najpierw zrobić drugie, *Walker* wziął się więc z zapalem do dzieła.

Noc zmieniła się w koszmary sen, gdy niszczyciel otworzył ogień ze wszystkich luf. Pociski smugowe z kaemów rozrywały drewniane kadłuby i sprawiały, że nawet odłamki kości posiekanych ogniem maszynowym raziły wkoło niczym szrapnele. Zaskoczone załogi coraz tłumniej wylegały na pokłady, stając się natychmiast kolejnym celem. Rufowa trzycalówka wyrzucała nieustannie pociski oświetlające, których niezmierny blask przydawał scenie niezwykłości i przerażał nieprzyjaciela. Kolejny statek grików wyleciał w powietrze,

po nim jeszcze jeden. Następny eksplodował tak gwałtownie, że jego szczątki podpaliły szereg bliżej kotwiczących jednostek. Załogi działa odprawiały swój szatański balet, wyszukując wciąż nowe cele. Matt dostrzegł Silvę, dowódcę obsady działa numer jeden, który witał każde trafienie radosnym okrzykiem. Kotowaci w skórzanych rękawicach łapali bezcenne łuski, zanim stoczyły się z pokładu, i ładowali je do koszy. Wszyscy wykrzykiwali przy tym najróżniejsze słowa w dwóch odmiennych językach.

Nagle i obezwładniające uderzenie wywołało w szeregach przeciwnika panikę. Kilka okrętów odcięło kotwice i próbowało postawić żagle, ale większość załóg była zbyt przerażona, żeby spróbować choć tego, i ginęła zastygła w blasku reflektora. Inni płonęli żywcem, gdy ich statki buchały ogniem niczym stosy suchych liści. Po chwili w szyku liniowym weszły do akcji pływające domy i dzieło zniszczenia przybrało metodyczną postać. Ogromne statki odpalały jedną salwę burtową za drugą, strzelając przy tym na minimalny dystans. *Walker* przemykał między stłoczonymi jednostkami, wyszukując kolejne cele.

- Wolno naprzód! - zawołał Matt z prawego skrzydła mostka. - Dwadzieścia stopni w prawo!

Łopoczący żaglami okręt grików wpadł na swojego sąsiada. Zderzenie udaremniło mu ucieczkę, ale szczipione kadłuby zablokowały przejście do *Zemsty*. Matt widział z daleka, że okręt z niebieskimi światłami walczy z przeciwnikami podchodzącymi z obu jego burt.

- Kapitanie! - krzyknął Bradford, pokazując coś przed sobą. Z mroku po prawej burcie wychynał kolejny żaglowiec, który był już prawie na kursie kolizyjnym z niszczycielem.

- Maszyny stop! Cała wstecz! Ster maksymalnie w lewo!

Kadłub niszczyciela jęknął boleśnie, gdy kierunek obrotu turbin został zmieniony i śruby zaczęły młócić wodę, powstrzymując bezwład sunącego jeszcze naprzód okrętu. Działo na pokładzie dziobowym ucichło na chwilę i wszyscy patrzyli, jak ostry dziób *Walkera* z wolna odsuwa się w bok. Przez chwilę zderzenie wydawało się nieuniknione i Matt zacisnął dłonie na relingu tak mocno, że aż pobiełały mu kłykcie. Niszczyciel zatrzymał się jakieś dwanaście stóp przed burtą tamtego, mniej niż na odległość strzału z pistoletu. Grikowie byli równie przerażeni jak ludzie i lemury, ale gdy tylko zrozumieli, że do kolizji nie dojdzie, zaczęli działać. O burtę *Walkera* załomotały pociski z kusz. Większość rykoszetowała, odlatując w noc, ale niektóre trafiały, zwłaszcza w ludzi na pokładzie dziobowym. Gdy tylko niszczyciel zaczął się cofać, pokład statku grików omiótł ogień karabinu maszynowego.

- Ster maksymalnie w prawo! - zawołał Matt. - Posiłki na pokład dziobowy!

Działo numer dwa strzeliło do okrętu grików z niecałych pięćdziesięciu jardów. Pocisk rozniósł przednią część kadłuba, a chwilę później olbrzymia eksplozja zniszczyła całą



resztę. Była tak silna, że podmuch cisnął Matta i Bradforda na ścianę sterówki i wytlukł okna z prawej strony. Na pokład niszczyciela spadł deszcz drewnianych odłamków i z przodu rozległy się jęki rannych kotowatych. Matt potrząsnął głową, żeby uciszyć dzwonienie w uszach, i zamrugał. Bradford patrzył zdumiony na sterczącą mu z lewego bicepsu długą na stopę drzazgę. Jamie Miller, pokładowy farmaceuta, wołał o nosze, żeby zabrać rannych z pokładu dziobowego. Matt podniósł się i wychylił przez reling.

- Miller, pan Bradford jest ranny, ale chyba może chodzić! - krzyknął. - Odprowadź go na dół, proszę! - Odwrócił się i pomógł zszokowanemu Australijczykowi wstać. - Obawiam się, że teraz musi pan zejść do mesy. Poślę po pana, jeśli będzie pan potrzebny.

Bradford spojrzał na niego nieprzytomnie. Na czole wezbrały mu krople potu, gdzieś zgubił kapelusz.

- Tak. Oczywiście, kapitanie - wymamrotał. - Będę do dyspozycji.

Matt spojrzał na okręt grików, którego eksplozja okazała się dla nich tak dotkliwa. Musiał mieć na pokładzie wiele bomb, pomyślał kapitan. Zmiażdżony kadłub dziobem szedł pod wodę.

- Maszyny stop! - zawołał. - Wolno naprzód, ster prosto.

Szybko ocenił sytuację. Droga na wprost wciąż była zatarasowana, ale działo numer trzy zmieniło blokującą ją okręty w splątane i z wolna tonące wraki. Niebawem zdołają tamtędy przejść, o ile zatoka okaże się wystarczająco głęboka. Silva, w podartej i pokrwawionej koszulce dyrygował zmianą obsługi przy dziale. Formacja pływających domów zwolniła, żeby prowadzić skuteczniejszy ogień. Prowadzący szyk Keje był tak samo winny opóźnieniu jak i inni kapitanowie. Wszyscy chcieli skorzystać z okazji zemsty na jaszczurach i rzeczywiście - gdziekolwiek spojrzeć, widać było płonące okręty, a dym zasnuwał akwen.

Matt dostrzegł jednak, że grikowie zaczęli w końcu dochodzić do siebie. Kilka statków postawiło żagle i próbowało uciekać, inne starały się podejść bliżej, żeby dokonać abordażu. Niektórym się nawet udawało, ale osłabione załogi nie miały większych szans wobec gotowych na ich przyjęcie marines. Jednak nie to było najważniejsze. Przede wszystkim musieli teraz wysadzić ludzi na brzeg. Matt skinął na wachtowego.

- Proszę przekazać na *Salisę*, żeby przyspieszyła - powiedział. - Jeśli będą marnować czas na zabijanie grików, rozdzielimy się i będziemy musieli ponownie się przebijać. Nie mamy amunicji na takie zabawy.

Dla nich to musi być bardzo trudne, pomyślał. Taka okazja do łatwego zabijania pradawnego nieprzyjaciela chyba jeszcze się im nie trafiła. Wreszcie mogą uwolnić tego

demona.

- Kapitanie? Oko mówi, że *Zemsta* ma chyba kłopoty.

Matt złapał lornetkę i poszukał okrętu za szybko tonącymi wrakami. *Zemsta* wciąż prowadziła ogień z obu burt, a jej przeciwnicy ledwo trzymali się już na wodzie, ale z boku podchodziły kolejne dwa wrogie okręty. Jeden cisnął właśnie pocisk zapalający, który chybił o włos. Kolejny też poszedł za nisko, ale następny rozerwał się tuż przy burcie i podniosła się tam ściana płomieni. Matt aż zdrewniał.

- Nadać ten sygnał - ponaglił. Jeśli damy jaszczurom czas na działanie, wszystkich nas spalą, pomyślał ponuro.

Kolejna bomba wywołała pożar na pokładzie *Zemsty* i działa umilkły, gdy załoga rzuciła się walczyć z ogniem.

- Niech pan Garrett skoncentruje ogień wszystkich dział, które można tam wycelować, na okrętach otaczających *Zemstę!* - rozkazał Matt.

Dzieliło ich od niej około sześciuset jardów a działa prowadziły ogień indywidualny, ale i tak jedna z czterocalówek trafiła niemal natychmiast w jednostkę, która próbowała przejść za rufą *Zemsty*, żeby z dogodniejszej pozycji zasypać jej pokład pociskami. Podobnie jak statek zniszczony przez *Walkera*, eksplodowała z wielką siłą, zasypując okolicę odłamkami. Przełamane maszty złożyły się i w ślad za kadłubem zapadły się w wodę, która ugasiła nagle wyrosłą kolumnę ognia. Lekko uszkodzony kompan pechowego żaglowca próbował powtórzyć manewr, zachodząc *Zemstę* od dziobu, ale odpadł na zawietrzną, zakołysał się mocno i znieruchomiał, wszedłszy na mieliznę.

Kolejna bomba spadła tuż przy burcie *Walkera* i jej płonąca zawartość ogarnęła pokład w miejscu, gdzie wcześniej znajdowała się wyrzutnia torped numer trzy. Matt usłyszał rozdzierający krzyk i dostrzegł spowitą ogniem postać, która zatoczyła się na reling i skoczyła do morza.

- Boże wszechmocny - westchnął. Nie wiedział, czy był to Amerykanin, czy lemur, ale to akurat nie miało znaczenia. Wszyscy na pokładzie należeli do załogi. Tłąca się farba buchnęła dymem, gdy uderzyła w nią woda z węży drużyny przeciwpożarowej. Wykręcone mocno za burtę działo numer dwa dało ognia do jakiegoś celu.

Nagle *Walker* wyrwał się na otwartą wodę i ruszył ku *Zemście*, która masakrowała metodycznie unieruchomionego przeciwnika. Chwilę później Matt poczuł, że coś jest nie tak. Najpierw okręt zadrżał potężnie od stępki po maszty i zaraz potem kapitan wyczuł narastającą wibrację całego pokładu.

- Maszyny stop! - rozkazał i pobiegł do interkomu, jednak zanim nacisnął przełącznik,

Spanky sam się odezwał.

- Mówi porucznik McFarlane - powiedział lekko drżącym głosem. - Chyba straciliśmy pióro lewoburtowej śruby. Zabezpieczyłem wał. Co się stało? Uderzyliśmy w coś?

Wibracja ustała i *Walker* z wolna wytracał prędkość. Matt zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział.

- Chyba tak. Zapewne w zatopiony wrak. Jak szybko możesz ruszyć prawoburtową maszynę?

- Natychmiast, skipper. Proszę tylko pamiętać, że teraz została nam już tylko jedna!

Kapitanowi ulżyło i uśmiechnął się lekko.

- Dzięki, Spanky. Będę bardziej uważał, gdzie płyniemy. - Spojrzał spokojnie na wachtę. - Prawoburtowa maszyna dwie trzecie naprzód.

Niszczyciel ożył i znów ruszył w kierunku *Zemsty*.

Załoga niegdysiejszego przyzu powitała ich wiwatami, nie zapomniała jednak o niemal całkiem już pokonanym przeciwniku. Wywalczyli sobie drogę. Niszczyciel ustawił się w jednej linii z żaglowcem, żeby jeden i drugi okręt mógł strzelać salwami burtowymi, i poczekały na nadciągające z wolna pływające domy. Zanim się pojawiły, *Zemsta* wykończyła unieruchomioną na mieliźnie jednostkę grików. Patrząc na to, Matt poczuł w pewnej chwili przypływ lekkiego współczucia dla przeciwnika, zaraz jednak przypomniał sobie o wszystkich okrucieństwach jaszczurów oraz o ludzkiej czaszce, którą znaleźli na pokładzie przyzu. No i o tym, że walczyli z przeciwnikami, którzy się nie poddają. W końcu zrobiło mu się wstyd, że w ogóle wpadł na pomysł, aby im współczuć.

Do zatoki wwały się feluki, które przy niewielkich rozmiarach i dużej manewrowości całkiem dobrze radziły sobie w panującym tu chaosie. Cały akwen był skąpany w płomieniach. Załogi wielu palących się okrętów grików były tak pochłonięte walką z ogniem, że nie zwracały uwagi na nic więcej. *Walker* dał sobie radę, ale Matt nie miał pojęcia, ilu przeciwników zdołali zatopić. Przypuszczał, że część jednostek przeciwnika musiała się zająć ogniem od płonących odłamków albo na skutek nieostrożnego miotania pocisków zapalających.

Idące w szyku liniowym wielkie statki były już prawie przy nich. Masywne działa wciąż raziły pradawnego nieprzyjaciela, dziurawiąc kadłuby, łamiąc maszty i miażdżąc ciała grików z tych jednostek, które chciały podejść bliżej. Niektóre i tak próbowały. Co było do przewidzenia, grikowie nawet w tej sytuacji nie umieli zmienić zasad walki. Wiele ich jednostek nadal wystrzeliwało pociski zapalające przeciwko pływającym domom i chociaż sama woda zdawała się wrzeć przy ich burtach, nie odnosiły większych uszkodzeń. Ich

pokłady zostały wcześniej zlane sownicie wodą, wielkie skrzydła schowano głęboko, cały napęd opierając na wiosłach. Poczerniałe i dymiące trochę, ale poza tym całkiem sprawne lewiatany przedarły się przez ostatki sił przeciwnika. *Walker* i *Zemsta* dołączyły do nich.

Linia bojowa wciąż prowadziła ogień, chociaż miało to coraz mniejszy sens. Ocalałe i jeszcze zdolne do żeglugi okręty grików rzuciły się do ucieczki. Co najmniej połowa floty nieprzyjaciela poszła na dno, reszta jednostek w większości była w różnym stopniu uszkodzona. Matt chętnie nakazałby artylerii głównej niszczyciela dokończyć robotę, ale musiał oszczędzać amunicję. To był dopiero początek i aż wzdrygał się na myśl, co będzie dalej.

- Wstrzymać ogień - powiedział, chociaż działa już ucichły, zapewne na rozkaz Garretta. Po zgiełku bitwy głos Matta zabrzmiał... dziwnie nie na miejscu. Spojrzał na zegarek i nie po raz pierwszy przeżył wstrząs związany ze względnością upływu czasu. To, co jemu rozciągnęło się w godziny walki, w rzeczywistości trwało ledwie czterdzieści minut. Pozostałe jednostki też przestawały po kolei strzelać. Cele były już zbyt daleko. Zapadła względna cisza, w której zaczął narastać gwar tysięcy głosów.

Obok Matta stanął Dowden, który podczas bitwy znajdował się na rezerwowym stanowisku dowodzenia. Był spocony i lekko okopcony od nazbyt bliskiego pożaru. Spojrzał na zatokę i wsłuchał się we wrzawę.

- Nawet lepiej nam wyszło niż pod Balikpapanem... w tamtej wojnie - powiedział w końcu.

Matt pokiwał głową. On też dopiero zaczynał ogarniać rozmiary ich zwycięstwa.

- I tak jest lepiej - dodał Dowden. - Bóg wie, jak bardzo nie cierpię Japońców... poza Shinyą, oczywiście, ale on jest wyjątkiem. Tyle że Japońce to chociaż ludzie. Tutaj czułem się, jakbym... rozdeptywał węże.

Matt spojrział na niego z uśmiechem i pokręcił głową.

- Wstydz się pan! - rzekł. - Jak można tak obrażać węże?

- Kapitanie - przerwał im wachtowy. - Pan Garrett mówi... mówi, że powinien pan przejść na prawe skrzydło mostka, sir.

Matt i Dowden spojrzeli po sobie ze zdumieniem, ale posłuchali. Dołączyli do części wachty, która sterczała już przy relingu, gapiąc się na wodę pod murami miasta. Na falach igrał lekki odbłask pożarów szalejących na jednostkach grików. Samo miasto prezentowało się tylko trochę mniej niezwykle jak Baalkpan. Bardziej europejska niż orientalna architektura, którą na siłę można by skojarzyć ze średniowieczem, zaskoczyła go w tych okolicznościach bardziej niż bambusowe konstrukcje ludu Kejego. Matt spojrział na Garretta,

który też wpatrywał się w noc.

- Co jest, panie Garrett? - zagadnął go.

- Proszę posłuchać, sir - odparł oficer podniesionym głosem i wskazał na miasto.

Matt spojrział w stronę brzegu i nastawił ucha. Nie miał pojęcia, co takiego ma usłyszeć, ale nagle pojał. Ta wrzawa to nie były wiwaty załóg okrętów odbijające się od murów miasta. Coś działo się w samym mieście. Nawet z tej odległości dostrzegł drobne postaci stojące na blankach i całymi setkami wymachujące bronią i jakimiś sztandarami. Skupiona w dole armia grików milczała.

Kapitan założył ręce za plecy i ze wszystkich sił spróbował opanować wzruszenie. Naprawdę mu ulżyło, nie wiedział bowiem, jak przyjmą go mieszkańcy tego miasta. Owszem, był pewien, że nadal będą musieli uważać na różne niuanse, ale zasadniczo...

- Chyba Aryaalanie cieszą się, że nas widzą - powiedział. - Jak pan sądzi, panie Dowden?

Kilka osób wkoło zachichotało.

- Kapitanie! - znowu odezwał się wachtowy, precyzyjnie się do dowódcy. - Oko melduje, że od sterburty podchodzi niewielka łódź.

- Nie strzelać! - rzucił Matt do obsługi trzydziestki, która miała stanowisko nad jego głową. - Panie Garrett, proszę przekazać wszystkim, żeby nie otwierali ognia. - Wbił spojrzenie w ciemność rozciągającą się między nimi a brzegiem. Płonące wraki oświetlały flotę i mury fortecy, ale pas wody pomiędzy był mroczny. Po chwili jednak dostrzegł jakąś barcę, długą na trzydzieści stóp i nieproporcjonalnie szeroką, z sześcioma zgodnie poruszającymi się wiosłami na każdej burcie. - Niech Chuck tu przyjdzie, na jednej nodze - polecił, spoglądając na łódź przez lornetę. Kotowaty zjawił się po niecałych dwudziestu sekundach i Matt zaraz podał mu szkła. - Co o nich myślisz?

Chuck zaraz uniósł lornetkę, która podobała mu się zawsze sama w sobie. Tak naprawdę rzadko jej potrzebował.

- Aryaalanie, kapitanie - odparł zwięźle. Spojrział na Matta ze sporym zdumieniem. - I nie tylko.

Matt zamierzał już wydać kilka rozkazów, gdy zastygł na moment i zerknął na Chacka.

- Co masz na...? Ale chwilę. Nadać sygnał do floty: „Dobra robota”. I dodać gratulacje. Kapitanowie pływających domów i *Zemsty* są proszeni na *Walkera*. Jeśli któryś jest zbyt zajęty usuwaniem uszkodzeń, niech przyśle zastępcę. - Wrócił spojrzeniem do lemura. - Co powiedziałeś?

Chack bez słowa oddał mu lornetkę. Lekko zirytowany Matt uniósł ją do oczu. Łódź była już znacznie bliżej i nagle usłyszał okrzyki zdumienia innych, którzy także obserwowali ją z mostka.

Najpierw zauważył samych Aryaalan. Wyglądali mocno odmiennie niż znani mu dotąd kotowaci. Najwięcej było wioślarzy, szesnastu czy siedemnastu, niemal wszyscy z ciemną sierścią o trudnym do określenia w tych warunkach kolorze, być może brązowym. Już to było niezwykle, rzadko bowiem spotykało się w jednym miejscu tylu miejscowych o tak podobnym umaszczeniu. Na dodatek wyraźnie nie hołdowali zwyczajowi ograniczania stroju do spódniczki. Nawet wioślarze mieli na głowach płaskie miedziane hełmy podobne trochę do używanych w amerykańskiej marynarce wojennej, a do tego dochodziły długie do kolan kaftany z grubej skóry.

Ci, którzy byli chyba najważniejsi, oficerowie albo miejscowi dygnitarze, stali stłoczeni na kawałku pokładu na rufie. Wszyscy mieli na sobie wytworne szaty i lśniące pancerze z brązu. Na ich hełmach powiewały pióropusze, oblicza okalały bujne grzywy, co także różniło ich od reszty lemurów, którzy zwykli przystrzygać sierść na twarzy. Wszystko to jednak przestało być ważne, gdy Matt dostrzegł kolejne dwie postaci towarzyszące czterem dostojnikom.

- Mój Boże.

\*

Godzinę później siedzieli wszyscy w pospiesznie wysprzątanym mesie. Obrażenia szczęśliwie odniosło niewielu, tyle że wszyscy lokowali się albo wśród lekko, albo bardzo poważnie rannych. Utracili lemura, który wpadł do wody, gdy ogarnęły ich płomienie, oraz Andy'ego Powella z obsługi działa numer jeden. Tom Felts i Gil Olivera oberwali na tyle lekko, że zaraz po opatrzeniu mogli wrócić na stanowiska. Dwóch tubylców, którzy mieli trochę mniej szczęścia, Sandra wysłała do koi, wysmarowawszy ich antyseptyczną maścią. Rana Bradforda wymagała interwencji chirurgicznej, ale Australijczyk siedział już z nimi z miną lekko poszkodowanego w walce bohatera, ręką na temblaku i masywnym opatrunkiem na ramieniu.

W mesie znajdowało się też dwóch mieszkańców Surabai, a raczej Aryaalan, jak sami siebie nazywali. Europejskie nazwy poznane z map wyraźnie się tu nie przyjęły. Nietrudno było powiedzieć dlaczego. Młodszy z dwóch dostojników nazywał się Rasik-Alcas i był miejscowym księciem, jedynym synem króla Fet-Alcasa i dziedzicem tronu. Minął jakiś czas, nim Matt zaczął go rozumieć. Wprawdzie Keje zapewniał, że Aryaalanie mówią zasadniczo tym samym co oni językiem, ich akcent czy dialekt był jednak nader odmienny.

Książę odzywał się rzadko, zostawiając negocjacje drugiemu z gości, którym był Muln-Rolak, wyjątkowo gadatliwy arystokrata. Sprawował chyba jakieś ważne stanowisko, więc po krótkim zastanowieniu Matt postanowił tytułować go lordem. Wydawał się trochę mniej arogancki niż jego towarzysz, ale trudno byłoby nazwać go uprzejmym. W jego sierści odznaczały się jaśniejsze pasma, zapewne ślad po wielu ranach odniesionych w walce. Przywodził na myśl doświadczonego kocura, który chociaż posunięty w latach, wciąż jest śmiertelnie niebezpieczny.

Obecni byli też Keje, Geran, Ramie, Tassat i Rick, tylko Anai przysłał kuzyna, który odznaczał się podobnymi nawykami co jego wódz i siedział osobno, spoglądając przez bulaj na płonące okręty.

No i byli jeszcze ci dwaj, zaciskający dłonie na cennej coli z pokładowej lodówki: bosman mat Frankie Steele i porucznik James Ellis, dowódca *Mahana*. Na ich wymizerowanych twarzach ciągle jeszcze malowało się zaskoczenie.

Poza kilkoma słowami powitania zdążyli na razie przekazać tylko tyle, że *Mahan* ma się dobrze i od niedawna przebywa właśnie tutaj. Nie dość długo, żeby zbratać się z tubylcami, jak załoga *Walkera* w Baalkpanie. Odnalezieni bardzo się ucieszyli, ale byli małowówni, tak że Matt czekał z niecierpliwością na koniec oficjalnego spotkania, żeby wziąć ich na spytki. Sądząc po wyglądzie tych dwóch, załoga siostrzanego niszczyciela sporo przeszła. Ellis i Steele mieli poplamione, zszargane mundury i dziwnie lękliwe spojrzenie. Jim kulał, co było zapewne pamiątką po spotkaniu z kapitanem Kaufmanem. Na razie jednak Matt miał coś ważniejszego do zrobienia. Porzucił rozważania i skupił się na słowach Rolaka, który był akurat przy głosie.

- Bez wątpienia zaatakują o świcie - tłumaczył Keje. - Robią tak od dziesięciu dni, chociaż po dzisiejszym... - całkiem po ludzku wzruszył ramionami - może być jeszcze gorzej. Wątpię, żeby udało się ich łatwo odeprzeć. Proponuję, żeby wasi wojownicy dołączyli do nas na pozycjach obronnych. - Słowo „wojownicy” wymówił z nutą szyderstwa. - Oczywiście przejdą pod komendę naszych dowódców.

Matt poczuł nagle na sobie spojrzenia wszystkich podwładnych i zrozumiał, o co chodzi, gdy Keje przetłumaczył mu wypowiedź Rolaka. Odpowiedział mu jednym słowem:

- Nie.

Gdy Keje przekazał jego zdanie, zapadła kłopotliwa cisza.

- Czy ta... istota przemawia w imieniu was wszystkich? - spytał w końcu książę Rasik.

Keje chrząknął znacząco.

- Owszem - potwierdził. - Nie tylko przemawia w naszym imieniu, ale jest też naszym

wodzem w tej kampanii. - Wskazał ze złością na bulaj. - Być może nie zauważyłeś, ale właśnie oczyściliśmy waszą zatokę z floty nieprzyjaciela. To on wymyślił, jak to zrobić.

Lord Rolak zeszywniał i zmienił taktykę.

- To znaczące zwycięstwo - przyznał niechętnie. - Tyle że wy jesteście ludem morza. Na pewno rozumiecie, że walcząc na lądzie, dobrze jest zaakceptować dowództwo tych, którzy znają się na tym najlepiej. Aryaalanie to rasa wojowników. Od pokoleń żyjemy wojną i uczymy młodych, jak walczyć. Wy chwytacie za oręż tylko wtedy, gdy naprawdę nie ma już innego wyjścia. My mamy doświadczenie...!

- Jak widzę, ostatnio byliście o włos od doświadczenia porażki, lordzie Rolak - przerwał mu cicho Bradford. - Na ile szacujecie siły przeciwnika?

Rolak milczał przez chwilę, rozglądając się po zebranych.

- Zapewne około piętnastu tysięcy - powiedział w końcu z westchnieniem.

Matt pokiwał głową. To by się zgadzało z oceną Mallory'ego.

- Ilu macie wojowników, żeby się im przeciwstawić? - spytał Matt, rezygnując z dyplomacji. Jeśli grikowie rzeczywiście mieli zaatakować o świcie, nie było co się bawić w te przepychanki.

- Król Alcas ma w mieście dwadzieścia cztery setki wojowników gotowych do walki. Królowa Maraan z wyspy B'mbaado przysłała nam jeszcze sześciuset.

- Mogła przysłać więcej - syknął młody książę.

Rolak zmierzył go spojrzeniem.

- Mieliśmy szczęście, że w ogóle ich przysłała. Zapomniałeś, że toczyliśmy z nią niedawno wojnę i dopiero przybycie grików to zmieniło? - Rolak ponownie wzruszył ramionami i spojrzał na drugi koniec stołu. - Wojna to nasz sposób na życie - powiedział. - Dlatego jesteśmy w niej tak dobrzy. Ale tym razem jest inaczej - dodał ciszej. - Grikowie nie walczą jak na wojowników przystało. Oni nie uznają żadnych reguł. Nie wiedzą, co to rozejm, nie pertraktują, nie szanują parlamentariuszy. Nie mają nawet szacunku dla zmarłych. - Poruszył gniewnie ogonem. - Pożerają pokonanych wojowników, których nie udaje nam się zabrać z pola. Czasem nawet przerywają walkę, żeby się posilić. - Opanował się i spojrzał ponownie na Matta. - Wiem, że trudno to zrozumieć, zwłaszcza ludowi morza, ale z tobą jest zapewne inaczej, kap-i-tanie Reddy. - Wskazał na drugi koniec stołu, gdzie siedzieli dwaj marynarze z załogi *Mahana*. - Dzięki twoim przyjaciółom wiem o was więcej, niż sami zechcieli mi powiedzieć. Wiem, że ich żelazny okręt, chociaż zraniony, wciąż jest potężną bronią. Wiem też, że toczycie między sobą wojny. Jak inaczej stalowy okręt mógłby odnieść takie uszkodzenia, jeśli nie w walce z kimś wam podobnym? Dla Aryaalan wojna jest... -



uśmiechnął się lekko, szukając właściwego słowa - zabawą? Chyba tak. Zapewne można powiedzieć, że walczyliśmy także dla rozrywki. Że to dla nas dobry powód, żeby walczyć. Owszem, walczyliśmy też o koncesje handlowe, o status, honor. Walczyliśmy o łupy. Rywalizujemy w ten sposób. Może wy walczyście z podobnych powodów, kap-i-tanie? - Zamrugał gwałtownie, jakby znowu ogarnęła go złość. - Na pewno jednak nie walczyliśmy, żeby wytepić się nawzajem!

- Nasze powody do walki nie zawsze są szlachetne - odparł chłodno Matt - ale wojna nie jest dla nas zabawą. - Wskazał na innych lemurów. - Jak sam wspomniałeś, morski lud nie walczy dla rozrywki, a jednak tu jesteśmy. Wiesz dlaczego? Ponieważ to wojna na wyniszczenie. My albo oni. I masz rację, oni nie uznają żadnych reguł. Nas, wszystkich, jak tu jesteśmy, traktują jedynie jako łup, zdobycz, ofiarę. Ty też, lordzie Rolak, jesteś dla nich tylko mięsem do upolowania i pożarcia.

Rolak zastygł w bezruchu i po raz pierwszy pokazał kły, ale zaraz odzyskał panowanie nad sobą, rozumiejąc, jak prawdziwe są te słowa.

- Trzydzieści setek - powiedział w końcu. - Taką siłę możemy im przeciwstawić, ale każdy z naszych wojowników jest wart wielu nieprzyjaciół.

- Nie wątpię - stwierdził Matt, kiwając z szacunkiem głową. - Ale to nie wystarczy. My mamy mniej więcej tyle samo wojska. W sumie może trochę więcej. Mamy też artylerię, potężną i hałaśliwą broń, taką jak na naszych okrętach. Zanim słońce wzejdzie, możemy przetransportować całe nasze siły na ląd, o ile - zawiesił znacząco głos - zgodzicie się, że to ja będę nimi dowodzić przy pomocy porucznika Shinyi. Ponadto chciałbym, żebyście przyłączyli się do naszego sojuszu. Gdy już uratujemy wasze miasto, zamierzamy wytepić grików. Proponuję umowę. Pomożemy wam, a wy nam.

Książę Rasik zaczął mówić coś bardzo szybko, ale lord Rolak zaraz go uciszył i spojrzał Mattowi w oczy.

- Dobrze. Co do pierwszego, zgoda. O drugim muszę porozmawiać z moim królem. Powiem wam jednak, że jeśli ich pokonamy, będziecie mieli we mnie sojusznika.

Nagle rozległo się ostre pukanie w ścianę za kotarą.

- Wejść - powiedział Matt i w momencie pojawili się Shinya i Sandra. Pielęgniarka zajęła puste krzesło za kapitanem, ale Japończyk stanął przed nim i zsalutował służbiście.

- Wzywał mnie pan, kapitanie?

Matt zmusił się do zachowania powagi. Podobnie sztywne zachowanie nie było niczym dziwnym u japońskiego oficera i chociaż w tych dekoracjach mogło trochę zdumiewać, na gościach zrobiło zapewne pozytywne wrażenie. Również na Frankiem i Jimie.

Gdy ostatni raz widzieli Japończyka, był tylko jeńcem w kajdankach.

- Tak, poruczniku - powiedział Matt i wskazał na leżącą przed nim mapę. W zasadzie był to surowy szkic zrobiony przez Mallory'ego na podstawie obserwacji z powietrza, ale jak zaręczał lotnik, było na nim wszystko co istotne. - Gdy tylko zakończymy spotkanie, co nastąpi za kilka chwil, jak mam nadzieję, zacznie pan przygotowywać lądowanie naszych sił tutaj, w rejonie nabrzeży na północ od... zamku. - Nie wiedział, jak lepiej nazwać to miejsce. Spojrzał na Kejego. - Ile feluk straciliśmy?

- Większość już się zameldowała, ale kilku na pewno brakuje. Obawiam się, że nie zdołają przedrzeć się przez kotwiczowisko grików.

Matt ze smutkiem pokiwał głową i spojrzał na Ricka Tolsona.

- *Zemsta* poszuka ich rano. Może dryfują gdzieś uszkodzone.

- Aye, aye, kapitanie.

- Tylko nie przeciągaj poszukiwań. - Tolson skinął głową. - Panie Shinya, wylądуйте pan z trzema czwartymi sił piechoty morskiej i gwardii w dokach. Sam doberze pan sobie oddziały, proszę tylko zostawić jedną czwartą i skierować ją tutaj... - Pokazał na mapie. - Niech zasymulują lądowanie po drugiej stronie rzeki. Mam nadzieję, że zwiążemy w ten sposób rezerwy grików, zwłaszcza te przeznaczone do odparcia desantu. Okręty przydadzą naszym działaniom realności, ostrzeliwując pobliskie pozycje nieprzyjaciela. - Przerwał na chwilę. - Miejscem koncentracji głównych sił będzie wał ziemny biegnący od murów zamku do plaży.

Większość obecnych znała już szczegóły planu, ale lord Rolak dopiero teraz przyjrzał się mapie.

- Dlaczego tam? - spytał zdumiony - W ten sposób przejście do bram i przez miasto zabierze wam sporo czasu. Czy nie prościej byłoby wylądować bliżej murów?

- Nie, lordzie Rolak - wyjaśnił Matt. - Połączone Siły Ekspedycyjne nie zamierzają wchodzić w obręb murów.

\*

Krótko po odprowadzeniu delegacji do łodzi i pożegnaniu dowódców okrętów Matt wrócił do mesy. Nie miał wiele czasu, ale bardzo chciał się w końcu dowiedzieć, co działo się z *Mahanem* i jego załogą. Dołączyli do niego Sandra i Bradford, a także Spanky, Gray i Dowden. Cały okręt wiedział już o odnalezieniu zagubionej owieczki. Donoszący kawę Juan jak zwykle nadstawiał ucha, zatem było pewne, że nie trzeba będzie powtarzać całej opowieści reszcie załogi.

- Chyba byłbym nazbyt oględny, gdybym powiedział, że bardzo się o was martwiliśmy - zaczął Matt.

Jim spojrział na niego i zdołał lekko się uśmiechnąć.

- My o was też się martwiliśmy, skipper. - Spojrział na drugą cokolwiek, którą mu podano, i przetaił kciukiem oszronioną butelkę. - Obawialiśmy się, że... nigdy więcej was nie zobaczymy. Naprawdę nie wiem, od czego zacząć.

- Wiemy, co się działo do czasu, gdy Kaufman próbował wysłać Mallory'ego i catalinę na Cejlon - podpowiedział cicho Matt. - Nawiasem mówiąc, udało mu się nas znaleźć.

- Wiem, sir. Widziałem, jak PBY przeleciała przedwczoraj nad miastem, i pomyślałem, że tak właśnie musiało być. Zaiste „potężni przyjaciele”! Gdy usłyszałem wasze czterocalówki i zobaczyłem pociski oświetlające, poczułem się... Nie zdołem tego wyrazić. - Zamilkł, żeby się uspokoić. - Nie wierzyliśmy, że wam się uda. Mieli tu czterdzieści okrętów! Potem jednak usłyszeliśmy więcej dział i Rolak przyszedł po nas na okręt. - Opuścił ze wstydem głowę. - Chcieliśmy pomóc, ale *Mahan* kotwiczy za zachodnim przylądkiem. Nie sięgnęlibyśmy zatoki działami. Stańliśmy tam w roli baterii pilnującej drożności kanału między Madurą a Surabają. To znaczy Aryaalem. Przy okazji, gdybyście nie wiedzieli, w tym świecie północno-wschodnie przejście nadaje się tylko dla małych łodzi. Jest za płytkie. Zatoka ma tylko jedno połączenie z morzem.

Matt pokiwał głową i spojrział z uznaniem na Nakję.

- Święte zwoje naszych przyjaciół już nam to powiedziały - rzekł. - Sami pewnie się przekonaliście, że nasze mapy są zgodne z tutejszymi warunkami. Są dokładniejsze niż mapy miejscowych, ale bywają też różnice. Zwykle dotyczące warunków przy niskiej wodzie. - Zaśmiał się cicho. - Klimat też jest trochę inny. Pan Bradford przypuszcza, że trafiliśmy akurat w epokę lodowcową. Bardziej na północ i na południe może być zdecydowanie chłodniej, niż pamiętamy. - Machnął ręką. - Ale dość o tym. Chcę wiedzieć, co się z wami działo. Gdy dostrzegłem was na tej barce, przeżyłem największe zaskoczenie od chwili... gdy wszyscy się tutaj znaleźliśmy.

Jim drgnął, jakby dopiero teraz zdał sobie z czegoś sprawę.

- Nie wiedział pan, że tu jesteśmy? Gdyby Catalina nas dostrzegła... - Uśmiechnął się z ulgą. - Dzięki Bogu! Obawiałem się, że zaryzykuje pan *Walkera*, żeby nas ratować. Nie wiedzieliśmy, czy załoga nas zauważyła. Słyszeliśmy samolot, ale sami zobaczyliśmy go, dopiero gdy był już nad wyspą i oddalał się od nas. Przylądek przesłaniał widok.

- Możecie być pewni, że gdybym o was wiedział, przyplłynęlibyśmy szybciej. Sama

wyprawa rzeczywiście nie miała z wami nic wspólnego.

- Jasne, że bylibyśmy tutaj - zahuczał Gray. - I sami przebilibyśmy się przez to plugastwo.

- Może, ale opuścić zatokę byłoby już trudniej - zauważył Bradford.

Matt pokiwał głową.

- Co stało się po odlocie Mallory'ego? Z tego, co wiem, nie krył przed wami, że w ogóle nie zamierza kierować się na Cejlon.

Jim spojrzał na Steele'a, jakby oczekiwał, że to on odpowie, ale bosmanmat tylko wpatrywał się w stół, chociaż zapewne widział tam co innego niż wytarte zielone linoleum. W końcu Jim odchrząknął.

- Akurat wtedy nie byłem zbyt przytomny - powiedział. - Gorączka, skipper. Dzięki Bogu siostry zajęły się mną. Inaczej pewnie straciłbym nogę. Co najmniej.

- Ale lekarz *Mahana* przeżył przecież walkę? - spytała nagle Sandra.

Jim spojrzał na nią, ale zaraz opuścił głowę.

- Tak. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że... nie jesteśmy już w Kansas. Podobnie jak Frankie i jeszcze kilku innych. - Spojrzał na kapitana i uśmiechnął się na wspomnienie tej rozmowy, którą odbyli u brzegów Bali. - Przyjął to gorzej niż większość. Wpadł w depresję i nikomu nie udało się do niego dotrzeć. Zastrzelił się...

Sandra westchnęła głośno, a Matt pokręcił ze smutkiem głową. Nie znał lekarza z *Mahana*, ale i tak mu współczuł. W tych okolicznościach było cudem samym w sobie, że nie stracił tak więcej ludzi. Gdyby to był inny niszczyciel, nie z Floty Azjatyckiej, ofiar depresji byłoby zapewne znacznie więcej. Raz jeszcze okazało się, że cudaczna i poniekąd trudna załoga okazała się nadzwyczaj odporna na wstrząsy.

- Tak czy owak pielęgniarki wyciągnęły mnie z tego - ciągnął Jim. - *Mahan* płynął tymczasem wzdłuż wybrzeża Sumatry w stronę Cejlonu. Ci z załogi, którzy nie rozumieli, że Kaufman oszalał, zaczęli wreszcie pojmować, co się dzieje, ale nie mogłem tego wykorzystać. Leżałem przykuty do koi. Sądzę, że Kaufmana ostatecznie dobiło to, że natknęliśmy się na wyspę, której nie było na mapach. Zauważyliśmy ją krótko po przejściu Zatoki Bengalskiej. Z początku myślałem, że to jedna z wysepek z archipelagu Nikobarów. Frankie i paru innych wynieśli mnie na pokład, żebym mógł złapać trochę świeżego powietrza.

- Kaufman na to pozwolił? - zapytał Spanky.

- Tak. Chyba mu było głupio, że do mnie strzelił. Był wariatem, ale nie mordercą. Oszalał ze strachu. Pewnie nawet żałował tego, co zrobił, ale nie mógł już tego cofnąć. Tak

więc zobaczyłem tę wyspę. Tyle że to nie była wyspa - powiedział, jakby ciągle nie dowierzał własnym oczom. - To była ryba. Wielka ryba. Przypominała to stworzenie, które *Walker* rozstrzelał krótko po wyjściu ze szkwału. Potem widzieliśmy takich więcej, ale ona była znacznie większa. Sto, może tysiąc razy większa. Większa niż jakikolwiek wieloryb. - Frankie zadrżał na samo wspomnienie. Matt pomyślał, że *Mahan* musiał napotkać jedną z gigaryb, o których opowiadał mu Keje. - Chyba podeszliśmy za blisko, bo nagle bestia obróciła się i rzuciła się na nas. Przysięgam, że była dość duża, żeby nas pożreć! Zawróciliśmy natychmiast i rzuciliśmy się do ucieczki w kierunku Sumatry. Robiliśmy chyba z osiemnaście węzłów, ale i tak niemal nas dopadła. - Jim pokręcił głową i upił coli. - Długo pewnie nie utrzymałaby tej prędkości, ale na krótkim dystansie szło jej nieźle. Dała nam spokój dopiero na płytkiej wodzie.

- Zdumiewające! - wykrzyknął Bradford. - Tylko pomyślcie, ryba tej wielkości! Kapitanie, gdy to obecne... zamieszanie się skończy, będę nalegał, żeby pozwolił mi pan zbadać ten gatunek!

- Jasne, panie Bradford - odparł Matt z uśmiechem. - Dam panu motorówkę.

Siedzący przy stole zaśmiali się i nawet Steele pozwolił sobie na wesołość.

- Po tym spotkaniu Kaufman zapomniał o Cejlonie - odezwał się znowu Ellis. - Nie było najmniejszej szansy na przebycie jakiegoś głębszego akwenu. Utknęliśmy więc tutaj, pływając tam i z powrotem i bezsensownie spalając paliwo między wyspami przy wschodnim wybrzeżu Sumatry. Bałem się, że wpadniemy na jakieś większe siły jaszczurów i dopadną nas, jak prawie dopadli catalinę. Kaufman jednak przede wszystkim bał się wracać, ostatecznie zakotwiczył więc przy Nias. Skraplacze nawalały i brakowało nam słodkiej wody, popłynął więc z oddziałem na brzeg, żeby poszukać jakiegoś źródła. Po prawdzie chciał chyba zejść z okrętu. - Jego głos zniżył się do szeptu. - Nic mu z tego nie wyszło. Ja mogłem już chodzić, postanowiłem więc przejąć okręt. Nie potrzebowałem żadnego planu. Kaufman wziął ze sobą wszystkich, którzy go popierali, uzbroiliśmy się więc i czekaliśmy, aż wróci, żeby go aresztować. Jego oddział liczył ze dwudziestu ludzi i chociaż uzbroili się po zęby, nie przypuszczałem, żebyśmy musieli strzelać. To był zresztą zwiad, nie wyprawa po samą wodę. Mieli znaleźć miejsce, do którego mógłby podejść *Mahan*. Albo takie, z którego można by dostarczyć wodę na pokład. Taki przynajmniej plan nam przedstawił, ale myślę, że szukał miejsca do osiedlenia. Może i dobry pomysł, gdyby nie... Ale nic. Czekaliśmy i czekaliśmy, lecz oni nie wracali. Cała wyspa była porośnięta dżunglą i straciliśmy ich z oczu, ledwie opuścili plażę. Kilka razy zdawało nam się, że słyszeliśmy strzały, ale to mógł być huk przyboju. Zapadła noc, ale łodzie ciągle leżały na plaży i nikogo przy nich nie było.

Rozejrzał się wkoło, po przerażonych twarzach słuchaczy, i ponownie wbił spojrzenie w blat stołu.

- Nie mogliśmy zejść na brzeg w nocy - powiedział cicho i na chwilę unióś głowę. Poczuł, że reszta współczuje mu decyzji, którą musiał podjąć. Nawet jeśli mu ulżyło, że pozbył się szaleńca z okrętu, nie znaczyło to, żeby życzył mu źle. - Następnego dnia zostawiłem na pokładzie około dwudziestu ludzi, z których połowa mogła objąć wachtę. Nie byłem w stanie przedzierać się przez dżunglę, zostałem więc na plaży razem z Pam Cross, jedną z pielęgniarek, i jeszcze jednym marynarzem. Frankie poprowadził grupę w głąb wyspy.

- Panie Steele? - odezwał się Matt.

Frankie spojrzał udręczonymi oczami na kapitana. Na jego czole wezbrały krople potu i przez długą chwilę tylko przesuwiał palcami po brodzie.

- Tak, poszliśmy po ich śladach jakieś trzy mile po zboczu wielkiej góry czy wulkanu, który wznosi się pośrodku wyspy - powiedział w końcu. - Długo niczego nie widzieliśmy, aż nagle... - Upił kawy, którą Juan postawił tymczasem po cichu przy jego łokciu. - Doszliśmy do jakiejś polany i jeden z chłopaków znalazł tam manierkę, na której były ślady krwi. - Zamknął oczy. - Potem zobaczyliśmy, że wszędzie tam jest krew. I jeszcze but, kilka czapek, trochę łusek po wystrzelonych nabojach. Na drugą stronę wyspy biegła stamtąd wydeptana ścieżka. Co rusz trafialiśmy na niej na ślady krwi.

Zakrył dłońmi twarz, przecesał palcami włosy. Zrzucił przy tym czapkę, ale nawet tego nie zauważył.

- Ale nie to było najgorsze - podjął opowieść. - Posłałem jednego na plażę, żeby powiedział panu Ellisowi, na co trafiliśmy, i ruszyłem dalej. Wyspa ma jakieś osiem czy dziesięć mil szerokości i nigdy nie zdołalibyśmy przejść jej tak szybko, gdyby nie ta ścieżka. Koło południa usłyszeliśmy szum przyboju i dotarliśmy do skraju dżungli. Wtedy zobaczyliśmy statki grików. Dziesiątki. Kierowały się na południe. Musieli wcześniej obozować na wyspie, bo na plaży czerniało wiele śladów po ogniskach. - Odchrząknął i zwilżył wargi. - Zeszliśmy na tę plażę, żeby się rozejrzeć, i... w wygaszonych ogniskach leżały kości. Ludzkie kości. Ze śladami zębów...

Nie mógł mówić dalej. Siedział tylko, tarosząc brodę i patrząc w stół. Nikt nie powiedział ani słowa. Domyślali się, co musiał przejść.

W końcu urodzony i wychowany w Bronksie twardej unióś głowę. W jego oczach lśniły łzy.

- Te dranie zjadły moich przyjaciół - wykrztusił. - Przeniosłem się na *Mahana*, żeby

pomóc panu Ellisowi, ale to byli moi kumple. - Zadrzał. - Chcę pozabijać te potwory.

Matt pokiwał głową. W tej chwili był pewien, że cała retoryka, po którą sięgnął, żeby uzasadnić tę wyprawę, była bardzo na miejscu. Tak naprawdę ani trochę nie przesadził. To, co widzieli pod pokładem przyz, też miało swoją wymowę, ale nie dotyczyło jednak bezpośrednio ludzi. Dotąd była to głównie wojna lemurów i niektórzy z załogi o tym pamiętali, chociaż zwykle nie afiszowali się ze swoimi opiniami. Nie wszyscy też rozumieli, o co właściwie walczą.

Matt przypomniał sobie, że widok jednej ludzkiej czaszki zrobił na nim większe wrażenie niż wszystkie okrucieństwa, z którymi spotkał się na czerwonym statku. Po części wynikało to chyba z niepewności, skąd owa czaszka tam się wzięła. Teraz już wiedział. Może nawet tamci grikowie nie zabili nikogo z załogi *Mahana*. Może dostali tę czaszkę jako trofeum czy okaz pogładowy. Jakkolwiek było, sprawa nabrała osobistego wymiaru. Teraz to była również ich wojna. Gdy ludzie poznają prawdę, co na pewno nie zabierze wiele czasu, nawet nieliczni kwestionujący sens sprzymierzenia się z lemurami rozumieją, że nie można inaczej.

- Co było później, panie Steele? - zapytał Matt. - Czy cały oddział Kaufmana został... zjedzony?

- Nie wiem, sir - odparł Steele, kręcąc głową. - Szybko się stamtąd zabraliśmy. Jaszczury urządziły zasadzkę na nich raczej w „naszej” części wyspy i obawiałem się, że wiedzą o *Mahanie*. Wolałem się pospieszyć. Gdy byliśmy w połowie drogi, nas też zaatakowano. Leroy Bennet szedł w tylnej straży i jakieś jaszczury się na niego rzuciły. Inne niż grikowie, chociaż bardzo podobne. Może to byli dzicy... jak ich pan nazwał, panie Ellis?

- Aborygeni - odrzekł Jim.

- Właśnie. Rozdarli go na strzępy! - Steele westchnął z goryczą. - Trochę ich załatwiliśmy. Nie wiem ilu, pewnie kilka tuzinów, ale ciągle nadbiegali nowi. Byli przed nami, za nami, z boków. Zanim dotarliśmy do plaży, straciliśmy jeszcze czterech ludzi! - dodał, ocierając łzy rękawem.

- Byli uzbrojeni w miecze i maczety z brązu - powiedział Ellis. - Przypuszczam, że to oni pojмали pierwotnie oddział kapitana Kaufmana, a potem przehandlowali go innym... bardziej rozwiniętym jaszczurom - powiedział z pogardą. - Gdy znaleźliśmy się wreszcie na pokładzie, tamte statki wychodziły już z przylądka na południu. Nie próbowaliśmy uciekać, tylko ruszyliśmy prosto na nich. Centrala ogniowa jeszcze nie działała, ale dwójka i czwórka mogły indywidualnie prowadzić ogień. Z jedyńki też dałoby się strzelać, ale cylindry oporopowrotnika ciekły jak sito. Mieliśmy jeszcze trzycalówkę i karabiny maszynowe.

Pewnie nie powinniśmy byli ich zaczepiać, ale chciałem coś zrobić. Zniszczyliśmy pięć okrętów, co najmniej dwa razy tyle uszkodziliśmy - stwierdził z satysfakcją. - Najchętniej zatopiłbym ich wszystkich, ale musiałem oszczędzać naboje. Sporo ich straciliśmy po zalaniu komory amunicyjnej. - Wzruszył ramionami. - Zrobiliśmy więc swoje, postawiliśmy zasłonę dymną i odeszliśmy na południowy wschód. W końcu dotarliśmy tutaj. Na resztkach paliwa. Miejscowi nie przyjęli nas zbyt ciepło - powiedział, marszcząc czoło. - Akurat walczyli z Maduranami i z początku każda ze stron myślała, że przybyliśmy jej na odsiecz. Gdy zrozumieli, że to nie tak, jedni i drudzy zaczęli nas nachodzić i przekonywać, że powinniśmy stanąć u ich boku. Mogliśmy tylko czekać biernie, co dalej z tego wyniknie. - Uśmiechnął się krzywo. - Owszem, gdy jaszczury się tu zjawily, miejscowi zaraz zmienili front. Chyba nawet się ucieszyli, że wreszcie mogą walczyć z kimś innym, zamiast między sobą. Wtedy zaczęli być dla nas bardzo mili.

- O co wcześniej walczyli? - spytał Gray.

- O ile się orientuję, to młode książętko chciało się zenić z królową Madury. Przy okazji, oni nazywają tę wyspę B'mbaado. Wedle ich kryteriów to piękna kobieta, ale mówią na nią Sieroca Królowa. Księcia Rasika ma za zwykłego gówniarza - dodał z uśmiechem.

Sandra pokręciła głową.

- Tutejsza polityka bardzo się różni od wszystkiego, co dotąd widzieliśmy - stwierdziła.

Ellis przytaknął i spojrzał na Matta.

- Jest inna - potwierdził. - Sądząc po tym, jak przebiegło spotkanie z dowódcami, nawet bardzo odmienna, kapitanie... A może powinienem mówić do pana „komandorze”? Albo... „admirale”? Jeśli tak, gratuluję awansu.

Matt chrząknął znacząco.

- Na moje oko oni żyją tu w feudalizmie - powiedział Ellis. - Całkiem jak w Europie pięćset lat temu. Lordowie, damy, rycerze i kto tam jeszcze. No i wieśniacy, oczywiście. Podziały społeczne są bardzo wyraźne.

- Potem sobie to poukładamy, gdy będzie więcej czasu - stwierdził Matt. - Mam tylko nadzieję, że nasi ludzie jakoś się z nimi dogadają. - Pochylił się nad stołem. - W jakim stanie jest *Mahan*?

- Kiepskim - powiedział poważnie Ellis i uniósł butelkę do ust. Kapitan zauważył, że Jimowi, choć częściowo wyrwał się z traumy, nadal drżą ręce, a butelka zadzwoniła lekko o zęby. - Nie nadaje się do walki. W tej chwili nie ruszy nawet o własnych siłach. Kończy nam się amunicja do czterocalówek i karabinów maszynowych. Nie mamy torped, ale o tym już



pan wie. Zostało jeszcze sporo bomb głębinowych. - Pokręcił głową. - Moglibyśmy zmajstrować z nich jakieś bomby... Poza tym skraplacze, chłodnia, radio... - Wzruszył ramionami. - Zaczęliśmy opalać kocioł numer jeden drewnem, żeby mieć prąd do pomp.

- To można naprawić - zapewnił go Matt. - Czy kocioł numer dwa jest sprawny?

- Tak, sir. Nie pozwoliłem palić pod nim drewnem, pewnie w nadziei, że... - Spojrzał w lśniące oczy Matta. - Czy to znaczy, że macie paliwo? - Drgnął i rozejrzał się po mesie. - Jasne, że macie. Ale skąd?!

Matt uśmiechnął się, zadowolony, że udało mu się ożywić przyjaciela.

- Zawdzięczamy to sojusznikom i przyjaciołom, panie Ellis - powiedział. - Teraz już wspólnym. Wkrótce zabunkrujemy *Mahana*. Gdy tylko będziecie pod parą, proszę się zabrać do czyszczenia kotła numer jeden. Chcę, żeby *Mahan* był jak najszybciej gotowy do wyjścia w morze. Dostanie każdą konieczną pomoc. - Zerknął na zegarek. - Chętnie sam bym się teraz na niego udał, choćby po to, żeby go wreszcie zobaczyć. Tyle że mamy dziś jeszcze bitwę do wygrania.

\*

Niebo na wschodzie zaczęło różowieć i gwiazdy nikły już z wolna, gdy Matt zszedł z motorówki na długie, niskie nabrzeże. Oczy go piekły i czuł się kompletnie wyczerpany, ale trzymała go na nogach myśl o bliskiej walce. Nie spał od dwudziestu czterech godzin, podczas których stoczył zwycięską bitwę i znalazł zagubioną siostrzaną jednostkę, wciąż jednak miał wrażenie, że zostało mu coś jeszcze do zrobienia. Coś podszeptywało mu, że nie ma żadnego powodu mieszać się do dowodzenia walką na lądzie, jednak wiele czytał o wszystkich chyba dawnych bitwach i sądził, że ta wiedza może się okazać użyteczna. Co więcej, po raz pierwszy od bardzo dawna ruszał do walki świadom, z czym mniej więcej przyjdzie mu się zmierzyć. Grikowie byli groźni, gdy występowali w masie. Owszem, było ich czterokrotnie więcej, ale wiedział też, że przy takim ataku, jaki został zaplanowany, nie zdołają efektywnie skoncentrować swoich sił na prawym skrzydle. Zajmowali jedynie wąski pas lądu pomiędzy fortecą a bagnistymi brzegami rzeki. To jedno. Po drugie, jaszczury ruszały zawsze falą, jak agresywny tłum, on zaś miał nieźle zmotywowanych do walki i zdyscyplinowanych żołnierzy.

Bosman Gray też wspiął się na nabrzeże. Matt uśmiechnął się do niego porozumiewawczo i rozejrzawszy się wkoło, doznał osobliwego *déjà vu*. Nigdy wcześniej nie był na Aryaalu, ale spędził sporo czasu w Surabai. Oczywiście podobieństwo ograniczało się obecnie tylko do położenia geograficznego, ponieważ wielkie doki, które uczyniły znane mu

miasto wielkim portem, tutaj nigdy nie powstały. Tubylcy nie interesowali się morzem i nabrzeże służyło jedynie małym łodziom rybackim, czasem przybijały do niego statki kursujące do Madury. Obecnie przystań i jej otoczenie pełne były wylądowujących się oddziałów.

Między flotą a brzegiem krążyły nieustannie feluki, łodzie i nawet motorówki, których załogi starały się jak najszybciej przewieźć całe wojsko. Podoficerowie uwijali się, kierując żołnierzy do ich oddziałów i starając się zaprowadzić porządek. I udawało im się, Matt nie przejął się więc pozornym chaosem. Kotowaci organizowali się równie sprawnie, jak znane mu ludzkie formacje. Przydałoby się jeszcze trochę czasu, ale niebo było już całkiem jasne. Za sobą usłyszał głos Sandry, która nadzorowała wylądunek korpusu medycznego. Jej pierwszym zadaniem było rozwinięcie szpitala polowego. Niestety należało oczekiwać, że szybko napłyną pierwsi ranni. Sandra była bardzo spokojna, nie pozwalała sobie na okazywanie złości ani nawet irytacji, co bardzo pomagało Mattowi. W ciżbie mignął mu porucznik Shinya. Obok niego stali Chuck i lord Rolak. Japończyk pokazywał jakiemś dowódcy, żeby poprowadził swoją kompanię na miejsce koncentracji przy wale ziemnym.

Matt żwawo ruszył w ich kierunku. Marines i gwardziści, wszyscy zaganiani i o rozbieganych oczach, szybko schodzili mu z drogi. Shinya i Chuck stanęli na baczność i zaszalutowali, Rolak spojrzał na nich z aprobatą i powtórzył gest.

- Witam, poruczniku Shinya i bosmanmacie Sab-At - powiedział.

- Kapitanie - odpowiedzieli obaj.

- Jak idzie wylądunek?

Shinya spojrzał z ukosa na lorda Rolaka.

- Trochę za dużo przy tym zamieszania, ale na razie nie widać, żeby nieprzyjaciel reagował na nasze pojawienie się. 2. pułk piechoty morskiej zlużował już miejscowych ze stanowisk na wzmocnionym wale i wysłał zwiadowców, którzy oddalili się na paręset jardów. Grikowie ruszyli się, ale na razie wydają się skupieni na atakowaniu fortyfikacji.

- Jak mówiłem! - odezwał się Rolak. - Jeśli naprawdę chcecie nam pomóc, to proszę was... a nawet błagam, żebyście poszli z nami na mury i pomogli odeprzeć ten szturm. - Ogarnął ręką okolicę. - Z takimi siłami Aryaal będzie bezpieczny. Żaden atak nie przełamie naszej obrony.

- Możliwe - przyznał Matt na tyle cicho, na ile było to możliwe w tym tumultcie. - Tyle że to zachowałoby status quo. - Zamilkł na chwilę, widząc, że Chuck ma problem z przetłumaczeniem zwrotu. - Czyli obecną sytuację. Nie przybyliśmy tylko po to, żeby pomóc wam utrzymać miasto. - Skinął ku mrocznej jeszcze zatoce. - Jak sądzisz, po jakim czasie

zjawi się tu nowa flota? Niektórzy uciekli. Będą wracać w coraz większej sile, aż miasto padnie i nawet nasza pomoc na nic się nie zda. Nie możemy na to pozwolić. Nie tylko ze względu na was, ale również we własnym interesie.

Ponownie rozejrzał się wkoło. Oddziały zaczynały już ustawiać się w jakimś ordynku, do nabrzeża dobiła barka z czterema lekkimi działami, sześćofuntówkami zamontowanymi na wózkach z wielkimi kołami i dwoma długimi dyszlami, pozwalającymi zaprząć do nich zwierzęta, ale i przemieszczać je w polu ręcznie. Marines układali rampy, żeby przetoczyć działa na brzeg. Kolejna barka z identycznym ładunkiem czekała na swoją kolej. Matt miał nadzieję, że wyszkolenie żołnierzy do walki w zwartym szyku da im przewagę nad bezradnie ruszającymi do boju grikami, jednak osiem dział podzielonych na cztery baterie było świetnym wsparciem piechoty skrytej za murem tarcz.

- Proszę nam zaufać, lordzie Rolak - powiedział Shinya. - Ta armia została wyszkolona do walki na otwartej przestrzeni. Baalkpan nie ma murów, jak wasze miasto, nie myśleliśmy zatem, żeby na nich polegać. Nie chcę pana urazić - dodał szybko. - Nauczyliśmy się nosić swoje mury ze sobą. W ten sposób możemy sami wybierać, gdzie chcemy walczyć, i nie musimy czekać na posunięcia nieprzyjaciela.

- Ale... - zaczął Rolak, ale zamilkł i zamrugał zmieszany. - Jeśli tak jest naprawdę i jeśli jesteście pewni zwycięstwa, jaką rolę my mamy odegrać w tej walce? Aryaalanie muszą wziąć w niej udział! Nie słuchaliście mnie wczoraj? Walka to nie sport dla widzów. Nawet kontyngent B'mbaadanów nie będzie chciał stać biernie na murach. Nie po tym, co przeszliśmy w ostatnich miesiącach.

Matt uśmiechnął się do niego szeroko.

- Nie ma powodu do niepokoju, lordzie Rolak - powiedział. - Będzie dość walki dla wszystkich, jeśli tylko do niej przystąpicie.

Rolak zamrugał zdumiony i zaniepokojony. Matt przywołał z pamięci mapę miasta narysowaną przez Mallory'ego. Wolałby dopytać Rolaka o jeden szczegół, ale miał nadzieję, że i bez tego się uda.

- Obsadźcie mury tak skąpo, jak to tylko możliwe - rzekł Matt. - Pierwszy atak grików pójdzie zapewne właśnie na was. Po prawdzie na to właśnie liczę. Zgromadźcie jednak jak największe odwody przy głównej południowej bramie. Widziałeś wczoraj jasnoczerwoną kulę ognia na niebie nad zatoką?

- Tak. Wszyscy ją widzieli. Była jak spadająca gwiazda, tyle że wlatywała coraz wyżej.

- To nazywa się flara albo rakietka. Gdy zobaczysz ją dzisiaj, ruszaj ze swoimi na pole.

Sam zrozumiesz wtedy dlaczego. Musisz tylko poczekać na znak! Nie ruszajcie, póki go nie będzie, ale gdy już się pojawi, nie wahajcie się ani chwili, bo wszystko będzie od tego zależeć.

Lord Rolak spojrział w spokojne oczy Matta i dostrzegł w nich odbicie blasku niedalekich pochodni.

- Na mój honor i życie moje przysięgam, że tak właśnie zrobię - zapewnił.

\*

Zanim pierwsze promienie słońca padły na dymiące resztki floty grików, Połączone Siły Ekspedycyjne znalazły się w całości za wzmocnionym wałem ziemnym ciągnącym się od miasta do zatoki. Brązowe grotty włóczy lśniły krwawo w blasku porannego słońca, same oddziały zaś czekały w milczeniu. Liczyły prawie dwa tysiące sześciuset wojowników, którzy niemal w komplecie patrzyli teraz na nadbrzeżną równinę. Matt i bosman krążyli za nimi, zapadając się lekko przy każdym kroku w podmokłym podłożu, rozmiękczone na dodatek przez tysiące stóp. Matt żałował, że nie ma konia, z którego ogarnąłby wzrokiem całą armię. Zapewne żołnierze też woleliby go widzieć, chociaż chwilowo trudno było ocenić ich nastroje, zwłaszcza sądząc po tajemniczych kocich twarzach. Nauczył się jednak na tyle dobrze języka ciała tubylców, żeby wiedzieć, jak bardzo wszyscy są zdenerwowani. Nic dziwnego, on też się denerwował. Jednak niewielu zdradzało przerażenie, większość zdawała się czekać spokojnie na rozwój wydarzeń. Oczywiście na koci, wyjątkowo cierpliwy sposób, który Matt podziwiał. Przede wszystkim jednak zdawali się trwać w determinacji, żeby zmierzyć się wreszcie w bezpośredniej walce z pradawnym nieprzyjacielem.

Słychać było jedynie łopot sztandarów w porannej bryzie. Każdy z sześciu pułków miał własny znak wzorowany na symbolu klanu, który był najliczniej reprezentowany w oddziale. Był to pomysł Kejego, który nalegał ponadto, żeby na wszystkich sztandarach znalazł się również święty dla lemurów symbol drzewa. Co więcej, grikowie też odnosili ten znak do kotowatych i tym bardziej wydawał się na miejscu. Pośrodku formacji widniał samotny biały sztandar ze stylizowanym zielono-złotym drzewem. Obok niego łopotały znajome pasy i gwiazdy. Oba sztandary znajdowały się pod pieczę gwardzistów. Keje wyjaśnił, że to pierwszy znak, pod którym walczył jego lud, i że pod nim zawsze świętowano zwycięstwo. Drugi był sztandarem ich przyjaciół i sojuszników, jego obecność była więc oczywista. Matt poczuł dumę na ten widok i pomyślał o dziwnej ironii losu, która sprawiła, że pasy i gwiazdy powiewają dziś nad tym polem.

Znajdujący się wciąż daleko grikowie zauważyli w końcu koncentrację sił na swoim

skrzydle i zaczęli reagować. Coraz więcej wojowników gromadziło się naprzeciwko połączonych oddziałów. Część ściągano z innych odcinków, gdzie czekały wojska uszykowane do kolejnego szturm miasta, inne zwożono kursującymi po rzece barkami. Na to nie można było już nic poradzić. Całkiem skryty atak nie wchodził w tych warunkach w grę. Ale przyjęta taktyka i tak miała szansę zadziałać, ponieważ nieprzyjaciel wciąż wydawał się skoncentrowany przede wszystkim na mieście.

Rozległo się granie rogów i tysiące sykliwych głosów wydały chrapliwy okrzyk - tak przenikliwy, jakby ktoś przypiekał całą armię żywcem na ruszcie. Towarzyszyło temu dudnienie tysięcy mieczy uderzających o małe, okrągłe drewniane tarcze. Jazgot był ogłuszający.

- Na lądzie wygląda to jeszcze gorzej niż na morzu - powiedział ktoś stojący obok Matta. To był Keje, który podszedł doń po cichu w swojej miedzianej zbroi. Zasłonę hełmu miał opuszczoną. - Na morzu wiatr i odległość trochę ich wyciszają.

- Co ty tu robisz? - spytał Matt.

- Co za pytanie?! - z uśmiechem odparł Keje. - O to samo mógłbym spytać ciebie, gdybym nie znał odpowiedzi. Adar przejął dowodzenie flotą - dodał. - Wie, co robić, i wykona wszystko co do joty.

Horda grików ryknęła jeszcze głośniejsze i ruszyła biegiem w stronę miasta. Przepychali się, żeby wyjść przed pozostałych. Większość wojowników nie wzięła udziału w szturmie, tylko dalej pilnowała skrzydła, chociaż widać było, że bardzo im się to nie podoba. Co rusz któryś porzucał posterunek i gnał ile sił w nogach, by dołączyć do atakujących. Wszystko to musiało być dobrze widoczne także z wysokich pokładów pływających domów.

- To byłaby dobra chwila - powiedział Matt, myśląc o Adarze. Kapłan nie mógł go słyszeć, ale w tym samym momencie *Salissa* otoczyła się białym dymem, a chwilę później doszedł do nich ciężki grzmot dział. Reszta jednostek otworzyła ogień z minimalnym opóźnieniem. Pośrodku odwodowych oddziałów grików zgromadzonych po drugiej stronie rzeki wykwitły gejzery błota i wszelkiego śmiecia. Matt widział przez lornetkę postaci tłoczące się na burtach statków i w łodziach poniżej. Działa tymczasem co chwila wysyłały ku nieprzyjacielowi trzydziestodwufuntowe miedziane kule, które waliły w stłoczonych wojowników i wyrzywały wśród nich aleje śmierci, niszczyły namioty oraz ziemianki i toczyły się dalej, odbijając się od ziemi i długo jeszcze zabijając...

Jeden z przybocznych lorda Rolaka, który pozostał przy nim jako łącznik, wspiął się na grzbiet przypominającej brontozaura bestii, która od jakiegoś czasu stała na nabrzeżu. Stwór miał brązowe ochraniacze na nogach i kolczugę osłaniającą żywotne organy. Podobne

zwierzaki służyły tu zarówno jako zwierzęta juczne, jak i rumaki bojowe. Matt zauważył stworzenie, zaraz gdy zszedł na brzeg, ale wtedy nie przyszło mu do głowy, że można by na czymś tak tępym ruszać do walki. Teraz odruchowo złapał wyciągniętą ku niemu rękę i wdrapawszy się na górę, usiadł obok rosnącego Aryaalanina. Minęło trochę czasu, nim znalazł bezpieczną pozycję, ale potem ponownie sięgnął po lornetkę.

Obozowisko po drugiej stronie rzeki wyglądało jak kopnięte mrowisko, jednak grikowie zaczęli się już gromadzić na plaży, żeby odeprzeć spodziewany atak od strony morza. Matt spojrział na rzekę. Barki z nowymi oddziałami zatrzymały się na środku nurtu i wracały na brzeg, z którego wyruszyły. Grikowie szturmujący miasto dotarli już do murów, z których spadł na nich deszcz kamieni, strzał i różnych innych przedmiotów. Kilka drabin, które uniosły się ku blankom, obrońcy od razu odrzucili, jednak to był dopiero początek. Atakujących było całe mrowie, obrona zaś zbyt słaba, żeby mogła długo stawiać skuteczny opór. Matt pochylił się i spojrział na wpatrujących się w niego wyczekująco Kejego, Shinyę i Graya.

- Pora ruszać! - powiedział głośno i wyraźnie i uśmiechnął się. Nigdy się nie spodziewał, że jako oficer marynarki będzie dowodził w takiej walce.

Zasieki na koronie zostały odsunięte i piechota morska oraz gwardia w pełnym porządku zeszły na przedpole - naznaczoną kwiatami łąkę. Tam armia przystanąła na chwilę z powiewającymi w górze sztandarami i zaczęła, aż dołączy do niej artyleria. Dinozaur zaprotestował jękliwie, gdy jeździec przesunął dwa lewary połączone z drewnianymi szpikulcami, które ubodły zwierzę w zad, ale ruszył wolnym, rozkołysanym krokiem. Od jego pyska biegły długie, przypominające wodze liny. Gdy pociągnęło się którąś, głowa zwierzęcia zwracała się w tę stronę, w którą miało maszerować. W końcu przeszło przez wał.

- Boże wszechmocny, skipper! Wielka szkoda, że nie mam aparatu! - dobiegło Matta skądś z tyłu. Zaraz za dinozaurem postępował Dennis Silva w towarzystwie tuzina innych członków załogi *Walkera*.

- Co ty tu u diabła robisz? - warknął Matt. - Już i tak mamy zbyt wielu ludzi na brzegu. Miałeś pomagać porucznikowi Ellisowi.

Silva przybrał urażony wyraz twarzy.

- I pomagałem, ale on też jest teraz kapitanem z własnym okrętem i tak dalej. Rozkazał nam się wynosić. - Wskazał na siebie i resztę grupy. - Powiedział, że nie chce mieć żadnych ludzi z pokładu przy maszynach. Chyba sam kiedyś służył pod pokładem - mruknął Silva, niby na boku. - Odesłał nas na brzeg, żebyśmy nie przeszkadzali w pracy, ale wcześniej dał nam to. - Uniósł ściskany w dłoni ręczny karabin maszynowy Browninga. - Nie mamy

teraz jak wrócić na *Walkera*, pomyśleliśmy więc, że przynajmniej sobie popatrzymy.

Matt starał się zachować powagę, ale niezbyt mu się to udało.

- Minąłeś się z powołaniem, Silva - powiedział z uśmiechem. - Powinieneś wybrać Hollywood albo kongres. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś kłamał z takim przekonaniem. - Spojrzał na z lekka zirytowanego Graya. - Bosmanie, proszę zgłosić tych ludzi do raportu. Mogą tu pozostać, ale pod pańskim nadzorem. Nie mają prawa wystrzelić bez rozkazu. Czy to jasne? - Matt wskazał na oddziały lemurów szykujące się do wyjścia w pole. - Ostatnie, czego mi potrzeba, to żeby wszyscy tu chcieli walczyć nowoczesną bronią. Nie mamy jej dość, żeby to zrobiło jakąś różnicę. - Uśmiechnął się ze smutkiem. - Gdybyśmy raz spróbowali, potem pewnie byłoby jeszcze gorzej. - Spojrzał znacząco na Graya. - Tylko w wyjątkowych sytuacjach. To rozkaz.

- Ale skipper, przepraszam, czy już tego nie robiliśmy? - spytał Silva. - Przecież nasz okręt pokazał, co potrafi.

- Owszem, ale to trochę inna sprawa. Okręt jest kojarzony z nami. Dzięki niemu zyskaliśmy zaufanie miejscowych. Ale to musi być ich bitwa. Bardzo potrzebują wygrać ją sami.

- Ale... niektórzy z nich i tak mają karabiny.

- Nie zwykłem tłumaczyć się przed matem, ale może zauważyłeś, Silva, że kompania strzelców Aldena jest tu nieobecna - warknął Matt. - Zostali na Baalkpanie. Nie martw się. Jestem pewien, że będziesz jeszcze miał okazję postrzelać sobie przed wieczorem. Może nawet trafisz jakiegoś generała, ale to musi być ich zwycięstwo. - Pokazał ponownie na armię. - Muszą osiągnąć je po swojemu i własną bronią, rozumiesz? Jedynie tak uwierzą, że mogą wygrać nie tylko bitwę, ale i całą wojnę.

Matt był przekonany o słuszności swoich racji i naprawdę miał nadzieję, że tak właśnie będzie, chociaż wiedział, że teoria często rozmija się z praktyką.

- Czy to znaczy, że mamy wziąć broń palną na ramię i walczyć białą? - spytał Tom Felts, stojący po drugiej stronie dinozaura.

- Nie. Po prostu nie strzelajcie bez rozkazu. Chyba to już mówiłem.

- Zamknąć się, małpiszony! - warknął bosman. - Nie widzicie, że kapitan ma teraz ważniejsze sprawy na głowie? Jeszcze słowo, a zaciągnę jednego z drugim za szmaty na nabrzeże i niczego nie zobaczycie.

- Żołnierze Połączonych Sił Ekspedycyjnych! - odezwał się nagle donośnym głosem porucznik Shinya. - Ludu Świętego Drzewa, synowie i córki Niebios!

Zewsząd rozległ się gromki odzew. Nawet ci, którzy nie słyszeli Shinyi, zakrzyknęli,

widząc, jak reagują sąsiedzi.

- 1. pułk gwardii!
- 2. pułk gwardii!
- 2. kompania piechoty morskiej!

I tak dalej, aż zgłosili się wszyscy.

- Szybkim krokiem... marsz!

Cała armia ruszyła jak jeden mąż, wszyscy lewą nogą, jak ich uczono, i szybko zaczęła skracać dzielącą ją od nieprzyjaciela przestrzeń. Ciągnęły za nią działa, przy każdym maszerował tuzin artylerzystów, z których część niosła zapas amunicji. Matt wiedział, że jego wojsko nigdy nie ćwiczyło poruszania się w równie wielkiej formacji, ale oddziały szły równo i tylko czasem któryś musiał trochę przyspieszyć albo zwolnić. Peter Alden byłby z nich dumny. Matt też czuł, że ogarnia go duma. Mimo wszystkich obaw przebiegł go dreszcz satysfakcji i pomyślał, że Cezar czy Aleksander musieli czuć się podobnie, patrząc na swoje armie maszerujące na hordy barbarzyńców. Historyk w nim poszeptywał wprawdzie, że barbarzyńcy często wygrywali, ale w tej chwili wydawało mu się to nieważne. Kości zostały rzucone i mógł tylko patrzeć, czy jego plan zadziała.

Nie miał już prawie żadnej możliwości manewru. Gdy zaczęła się walka, armia rozciągnęła się od miasta niemal do brzegu rzeki. Matt przypomniał sobie jedną z ulubionych kwestii Nelsona: mniejsza o manewry, po prostu ruszaj na nich. Tyle właśnie mogli zrobić w tej ograniczonej przestrzeni. Reszta zależała już od wyszkolenia jego ludzi. Miał nadzieję, że w bitewnej rzezi ich umiejętności przeważą szalę. Oczywiście chował jeszcze w zanadrzu kilka niespodzianek, które powinny być dla grików przykrym zaskoczeniem.

Walka przy murach przybrała na sile i coraz więcej drabin sięgało do blanków. Od czasu do czasu wysokim łukiem przelatywała bomba zapalająca i spadała na obrońców. Matt pomyślał, że jaszczury muszą mieć jakieś ruchome katapulty, pozwalające miotać mniejsze wersje pocisków stosowanych na okrętach. Jak dokładnie radzili sobie obrońcy, nie potrafił orzec. Wierzchowiec zbyt nim kołysał, żeby mógł utrzymać lornetkę przy oczach. Usłyszał rogi grików grające w odmiennej tonacji niż wcześniej i pożałował, że sam nie pomyślał wcześniej o podobnych sygnałach dla własnego wojska. Lemurom nie wychodziło dęcie w trąbki, chociaż mieli rogi. Tyle że były raczej ciche. Może konchy muszli by się nadały? Albo chociaż gwizdki. Cokolwiek byłoby lepsze niż nic. Powinien się tym zająć. Zastanowił się, jak grikowie radzą sobie z rogami. Ich pyski wydawały się zdolne tylko do rozszarpywania zdobyczy i niczego więcej.

Przy trzystu jardach padła komenda nakazująca ustawić tarcze.



Wysokie, prostokątne tarcze były zrobione z drewna obłożonego miedzianymi blachami. Mieli je wszyscy w pierwszych dwóch szeregach. Brzegi miały uformowane tak, że zachodziły lekko na siebie, tworząc szczelną, ruchomą osłonę. Na ich górnych krawędziach opierało się drzewca włócznie. Matt był ciekaw, co grikowie o tym pomyślą. Wiedział z lektury, że taki widok przerażał wrogów Rzymu, ale czy tutaj będzie podobnie? W powietrzu zaświszczały pierwsze wystrzelone przez jaszczury pociski z kusz. Większość nie doleciała, reszta zadzwoniła o tarcze, chociaż gdzieś z lewej rozległ się przenikliwy krzyk bólu. Olbrzymi wierzchowiec kołysał się nieustannie, drepcząc bezmyślnie za armią.

- Stop! - zawołał Matt, gdy armie podeszły do siebie na dwieście jardów, i szeregi znieruchomiały. Przez chwilę jeszcze falowały zmieszane, ale zaraz ponownie zapanował w nich porządek. Po chwili zjawił się goniec od Shinyi, który zajął stanowisko w pewnym oddaleniu od Matta.

- Porucznik Shinya pyta, czy może otworzyć ogień - spytał żołnierz starannie akcentowanym angielskim.

- Jak najbardziej - odparł Matt.

Młodzieniec zaszalował i pobiegł z powrotem. Kapitan obejrzał się i dostrzegł Kejego stojącego obok Graya. Bosman wspierał zdyszanego lemura i Matt lekko się zawstydził. Marsz od barykady mógł być trudny dla jego przyjaciela. Keje był wprawdzie silny jak byk, ale raczej nie miał wielu okazji, żeby żwawo przebierać nogami.

- Keje, może dołączysz do mnie?! - zawołał. - Będziesz lepiej widział, a tu jest wiele miejsca!

Kotowaty zmierzył bestię podejrzliwym spojrzeniem, ale z wdzięcznością pokiwał głową. Szybko wspiął się na platformę i usiadł obok Rolaka i Matta.

- Chyba się starzeję - powiedział. - I mam za krótkie nogi do walki na lądzie. - Pokręcił głową. - To nienaturalne.

- Na pokładzie *Salissy* chodzisz całkiem sprawnie - zauważył Matt z uśmiechem. - Tutaj nie było pewnie wiele dalej.

- Może, ale tam mam równe i gładkie deski, a tutaj grunt czepia się nóg.

- Baterie, do przodu! - rozległa się komenda. - Łucznicy, przygotować się!

W murze otworzyły się szczeliny dla dział. Obsługa nabiła je ładunkami złożonymi z cynowych pojemników wypełnionych dwoma setkami miedzianych kulek o średnicy trzech czwartych cala. Leżały na drewnianych podkładkach oddzielających je od woreczków z prochem. Po dobieciu ładunku dosypywano jeszcze prochu do otworu zapalowego, obok zaś stali już artylerzyści z odmierzonymi kawałkami lontu i ogniem.

Łucznicy nałożyli strzały na cięgiwy i czekali. Naciągnięto też kusze. Rogi grików ucichły. Zrobiło się tak cicho, że było słychać odgłosy walki toczonej na murach. Jaszczury stały nieruchomo, jakby ta cisza je przerażała, chociaż pewnie nie rozumiały po prostu, dlaczego ich dziwny nieprzyjaciel nagle się zatrzymał. Zaraz miały się dowiedzieć.

- Ognia!

Zagrały cięgiwy i prawie dwa tysiące strzał i bełtów wzbilo się w niebo. Zaraz potem rozległ się ogłuszający huk ośmiu lekkich dział, które wystrzeliły niemal jednocześnie, wypływając ogień i biały dym, który na chwilę całkiem przesłonił przeciwnika. Tysiąc sześćset jednouncjowych kulek poleciało w stronę grików. Niektóre wbiły się nieszkodliwie w miękką ziemię, część przeniosła i spadła setki jardów dalej, mało kogo raniąc, setki jednak uderzyły w sam środek stłoczonych jaszczurów, zbierając obfite żniwo śmierci. Sporo grików zostało zabitych odłamkami kości kompanów. Jedna czwarta uszykowanego do walki wojska leżała w kałużach krwi albo wiała się po ziemi, gdy z nieba spadł grad strzał, które bez większego trudu przebijały ciała i pancerze.

W powietrzu była już druga fala pocisków, która znacznie powiększyła straty wroga. Matt oceniał, że ostrzał wyeliminował z połowę przeciwników. Niektórzy ocalali rzucili się do ucieczki, ale większość zaatakowała. Dziko wrzeszcząc, grikowie pognali przez podmokłą łąkę, starając się jak najszybciej położyć kres dziwnemu nowemu zagrożeniu. Działa odezwały się ponownie, tym razem każde we własnym tempie wynikającym z szybkości nabijania, po czym zostały wycofane za mur tarcz, który błyskawicznie się za nimi zamknął. Z dymu wybiegła niecała setka zataczających się i zakrwawionych grików. Zderzyli się z tarczami lemurów i zginęli w kilka chwil, zarżnięci jak wieprzki.

Gdy dym się rozproszył, można było ocenić, co dokładnie się stało. Połączone Siły Ekspedycyjne wyeliminowały co najmniej tyłu wojowników wroga, ilu same liczyły, tracąc przy tym mniej niż tuzin żołnierzy. Armia zaczęła tak wiwatować i szaleńczo powiewać sztandarami, że Matt zaniepokoił się, iż jeszcze chwila, a upadnie dyscyplina.

- Cisza! - krzyknął, wytężywszy płuca, a Keje powtórzył rozkaz we własnym języku. Matt skinął na jednego z gońców. - Powiedz porucznikowi Shinyi, że musimy napierać - nakazał. - Nie możemy tak stać. To dopiero początek.

Shinya sam już o tym pomyślał, wysyłając gońców wzdłuż szyku armii. Matt próbował dojrzeć, jak radzą sobie obrońcy na murach. Trudno było coś powiedzieć, ale wydało mu się, jakby drabin było teraz mniej. Albo atak się załamywał, albo grikowie docenili nowe zagrożenie i przesuwali wojska. W dali znowu zagrały rogi, ale teraz był to inny dźwięk niż jeszcze kilka chwil wcześniej.

- Chwalebny początek! - zawołał rozpromieniony Keje i klepnął Matta w ramię.

Kapitan tylko pokiwał głową, nie opuszczając jeszcze lornetki. Teraz miał już pewność. Szturm na miasto się załamał i przeciwnik wycofywał się spod murów. Bez zorganizowanych manewrów, jakby całkiem żywiołowo, wszyscy grikowie zwracali się w nowym kierunku. Ku niemu.

- Jasne - odpowiedział Kejemu. - Ale teraz będzie trudniej.

\*

Lord Rolak chodził niecierpliwie po blankach przy południowo-wschodnim narożniku murów. Rzykując strzałę, oparł się o parapet i spojrzał na północ. Obok muru starego zamku, do którego dobudowano nowe umocnienia, unosiły się wielkie kłęby dymu spowijające prawe skrzydło sił przeciwnika.

Wiedział, że nowi sojusznicy mają tę broń miotającą, którą nazywali armatami, ale wciąż zdumiewało go jej działanie i skuteczność. Jak tylko mógł uszczuplił obronę murów i zebrał uzyskane tym sposobem siły na targowisku w pobliżu południowej bramy. Łącznie miał pod dowództwem tysiąc sześciuset wojowników.

Gdy atak się zaczął, Rolak zląkł się, czy nie przesadził, ściągając tylu żołnierzy z murów. Grikowie walczyli jak demony, najwyraźniej chcąc wziąć odwet za nocną masakrę swoich okrętów. Przyszło mu nawet do głowy, że być może został zdradzony. Wystarczyłoby, żeby flota po prostu odpłynęła, zostawiając miasto na łup wściekłych jaszczurów. Ale to byłoby bez sensu, pomyślał, kręcąc głową. Po co mieliby to robić? Chyba że przerwali pierścień oblężenia tylko po to, żeby uratować swój żelazny okręt. Może ten kap-i-tan byłby do tego zdolny, ale najwyraźniej nie miał wcześniej pojęcia, że ten okręt tu jest. Nie rozumiał mimiki bezogoniastych, jednak lud morza reagował podobnie jak Aryaalanie, a był naprawdę zaskoczony...

Poza tym... w przybyszach, a zwłaszcza ich dowódcy, było coś szczególnego, co kazało wierzyć, że naprawdę zjawili się tu, żeby pomóc. Nie łudził się, że to jedyny powód ich poczynań. Potrzebowali pomocy Aryaalan i wzajemnie. Dla nich to nie była jednak po prostu kolejna bitwa. To była wojna. Wojna, o jakiej Rolak dotąd nawet nie słyszał. Nie o terytorium, wpływy handlowe czy dla rozrywki. Nawet lud morza, który prawie nigdy nie chwycił za broń, dołączył do tej armii. Niewiarygodne. Ale mieli powód. Grikowie naprawdę nie walczyli tak, jak godzi się walczyć. Nie szukali poddanych, ale zabijali. Jeśli ktoś żywcem wpadł im w łapy, czekał go los okrutniejszy od śmierci. Nie. Lud morza i jego sojusznicy mówili prawdę, a ich oferta pomocy była szczerą. Tak zresztą jak jego odpowiedź. Miał tylko

nadzieję, że plan Amer-i-kanina zadziała, nim będzie za późno.

Potem daleko z lewej dostrzegł narastające zamieszanie i do przodu zaczęły się przesuwać dziwne sztandary, których lud morza nigdy wcześniej nie używał. Walka o mury trwała w najlepsze i Rolak pomyślał z obawą, że być może te „połączone siły” są zbyt niewielkie, żeby przyciągnąć uwagę przeciwnika. Nagle usłyszał huk podobny jak wcześniej, gdy strzelały okręty, tylko słabszy i dochodzący z lądu. Wiedział już, że niebawem zobaczy znak, i mimowolnie napiął mięśnie, żeby jak najszybciej zbiec wtedy do południowej bramy.

- Irytujące jest takie czekanie - powiedział ktoś melodyjnym głosem.

Obrócił się i ujrzał Safirę Maraan, Sierocą Królową B'mbaado. Ubrana była na czarno, włączywszy w to skórzaną zbroję i powiewającą na wietrze długą pelerynę. Sierść też miała czarną, i to całkowicie, bez jakiegokolwiek jaśniejszego śladu, który kwestionowałby jej królewskie pochodzenie. Jasnoszare oczy lśniły na hebanowej twarzy, uzasadniając swoją barwą jedyną ozdobę, którą nosiła, czyli posrebrzany napierśnik z brązu.

Jest doskonała, pomyślał Rolak. Był od niej prawie trzy razy starszy, ale jeszcze nie tak stary, żeby nie zauważyć urody królowej. Nic dziwnego, że ten młody głupiec tak się na nią napalił, że aż wszczął wojnę. Zakończyła się oczywiście, i to bardzo szybko, gdy tylko pojawili się grikowie. A właściwie została zawieszona. Królowa zaś, chociaż nie cierpiała Rasika, przyprowadziła sześć setek najlepszych wojowników, własną gwardię, żeby pomóc w obronie miasta. Lord Rolak powątpiewał, czy Fet albo Rasik-Alcas byliby do tego zdolni.

Jednym z tych wojowników był rosły, poznaczony bliznami B'mbaadanin, mający zapewne równie wiele lat co Rolak. Nazywał się Haakar-Faask i śledził pilnie każdy krok królowej. Rolak bardzo go szanował i nie raz z nim walczył. Gdy Safira została sierotą, to Faask przyjął rolę jej mentora, strażnika, wodza i, poniekąd, zastępczego ojca. Wywiązywał się z tego wspaniale, chociaż zdaniem Rolaka akurat teraz mógłby się wykazać większą opiekuńczością. Lord spojrzał na niego znacząco, ale Faask nie zareagował. Powarkując, Rolak odsunął się od blanków w nadziei, że pociągnie królową za sobą. W tym stroju była nazbyt kuszącym celem dla kusz grików. Ona jednak nadal przyglądała się nieprzyjacielowi. Po lewej obrońcy wylali za mury wielki kocioł wrzącej wody i dał się słyszeć przenikliwy skrzek poparzonych jaszczurów. Rolak dostrzegł lekki uśmiech na twarzy królowej. Nagle energicznie odstepiła od muru na chwilę przedtem, jak kilkanaście strzał uderzyło w miejsce, gdzie wcześniej stała. Rolak westchnął i zerknął oskarżycielsko na Faaska.

- Królowo, nie powinnaś tak ryzykować! - zaprotestował.

- Mam stać się podobna do twojego króla? - spytała drwiąco. Rolak jednak nie odpowiedział. - W odróżnieniu od wielkiego Fet-Alcasa nie jestem tylko wodzem mego ludu

w okresie pokoju, ale także w czasie wojny. Dlatego noszę przydomek Obrończyni. Podchodzę do tego poważnie i nie uchylę się przed żadnym ryzykiem, które gotowi są podjąć moi wojownicy.

- Nie przypominam sobie, żebyś prosiła ich kiedyś o równie bezsensowne wystawianie się na strzał - stwierdził Rolak z krzywym uśmiechem.

- Nie? A co, twoim zdaniem, oni tutaj robią?

Także teraz Rolak nie odpowiedział.

Usłyszawszy nową wrzawę, spojrzął na północ. Ku jego wielkiemu zdumieniu atakujący w kierunku nabrzeża grikowie zaczęli się cofać. Walka pod murami wciąż trwała, ale w szeregi przeciwnika wkradał się wyraźny chaos. Znowu zagrały rogi i Rolak przypadł do parapetu.

- Zadziałało - powiedział z przejęciem. Niechętnie i powoli, ale grikowie odstępowali jednak od murów. Niektórzy próbowali jeszcze wspinać się po drabinach, ale większość odpowiedziała na sygnał i wielką masą ruszyła ku morzu. Rolak spojrzął na królową. - Szybko na dół! Jeśli sama chcesz prowadzić swój lud, niebawem będziesz mu bardzo potrzebna. - Skinął na jednego ze swoich przybocznych. - Zostań tu! Wypatruj sygnału i daj nam znać natychmiast, gdy go zobaczysz. Z dołu możemy go przeoczyć. - Wraz z królową i resztą pobiegł do schodów.

Przeskakując po dwa stopnie, dotarli do plataniny brukowanych uliczek między domami i sklepami. Do targowiska nie było daleko i szybko wpadli między stłoczonych wojowników, którzy też słyszeli rogi i niecierpliwili się, kiedy wreszcie dane im będzie włączyć się do walki. Szybko usuwali się z drogi Rolakowi. Bliżej bramy stało sześciuset z B'mbaado, wszyscy w tunikach z czarnej skóry i z czarnymi tarczami, na których srebrzył się słoneczny znak królowej. Oni też zrobili dla niej miejsce. Przed nimi wznosiła się wielka brama osadzona na kutyh zawiasach grubych niczym noga Aryaalanina.

Rolak obejrzał się przez ramię na mury. Czekał na ognisty sygnał. Gdy bursztynowa gwiazda wleciała wysoko nad miastem, poczuł się tak, jakby wielki ciężar spadł mu z piersi. Wszystkie jego obawy i podejrzenia okazały się nie na miejscu. Ci, którzy przybyli im na pomoc, zrobili swoje i dotrzymali słowa. Teraz nadeszła jego pora.

- Otwierać bramę! - zawołał. - Ruszamy!

Wojownicy krzyknęli zgodnie i zaczęli przesuwac się do bramy, żeby jak najszybciej przez nią przejść, gdy już stanie otworem. Obsługa wrót naparła na wielkie dźwignie.

- Nie przejdziesz przez tę bramę, lordzie Rolak!

Mimo zgiełku słowa te dotarły do wszystkich i zaskoczony tłum ucichł nagle, a

wszystkie oczy zwróciły się ku platformie czy raczej otwartej lektyce, którą tuzin muskularnych gwardzistów niósł ku bramie. Wszyscy byli w nieskalanie białych kaftanach, na górze zaś, na złocistym, wyściełanym szkarłatnymi poduszkami tronie, siedział Fet-Alcas, król Aryaalu. Obok niego przycupnął jego syn Rasik. Wpatrywał się triumfalnie w Safirę.

- Nie otworzysz tej bramy - odezwał się ponownie Fet, tym razem ciszej, ale machając przy tym ze złością brunatnofutną ręką. Całe jego, niegdyś muskularne, a teraz okryte tłuszczem ciało zadrżało od tego gestu. Za bramą słychać było tupot grików biegnących na północ, na nowe pole bitwy.

Lord Rolak osłupiał. W pierwszej chwili pomyślał, że to musi być jakieś nieporozumienie.

- Co mówisz, panie królu? - spytał niepewny, czy wiek i liczne obrażenia z wielu lat nie odbiły się w końcu na jego umyśle.

Fet zamrugał zmieszany, jakby nie oczekiwał takiego pytania.

- Rozkazuję ci pozostać w mieście, lordzie Rolak - powiedział cicho, jakby wcześniejszy wybuch wyczerpał jego siły. - Wykonasz ten rozkaz. Nie otworzysz bramy i nie przystąpisz do walki po drugiej stronie murów.

- Ale dlaczego? - wykrztusił Rolak, wciąż nic nie rozumiejąc.

- Ponieważ ja tak każę! - odparł król i zaniósł się kaszlem. - Nie muszę ci się z niczego tłumaczyć!

Rolak przymrużył oczy.

- A jednak, panie, w tym wypadku musisz się wytłumaczyć. Jestem obrońcą Aryaalu i moim obowiązkiem jest chronić miasto. Wyjaśniłem ci rano, na czym opiera się plan dzisiejszej walki. Nie wyraziłeś żadnych sprzeciwów.

- Jesteś obrońcą wyznaczonym przez króla! - parsknął książę Rasik. - Robisz to, co król ci każe.

- Wielki królu, zawarłem sojusz... co było moim prawem... z ludem morza i Amerykanami, żebyśmy mogli obronić się przed tymi, którzy chcą nas zniszczyć - powiedział Rolak spokojnym tonem, którym rozmawia się z młodzikami po raz pierwszy trzymającymi ostry miecz w ręce. - Oni walczą w naszej sprawie, jak obiecali. Odciągnęli nieprzyjaciela od murów, żebyśmy mogli zaatakować go od tyłu. Ledwie kilka chwil dzieli nas od zwycięstwa albo całkowitej porażki!

- Masz prawo zawierać sojusze, lordzie Rolak, ale moim prawem jest ich nie podtrzymywać, jeśli uznam, że nie leży to w interesie naszego ludu - odparł król ze zniecierpliwieniem. - A tym razem pomyliłeś się i nie popieram twojej decyzji.

- Na czym polegał mój błąd, który dostrzegłeś dopiero teraz, gdy nasz sojusznik udowodnił szczerą intencję? - Rolak czuł, jak narasta w nim wściekłość. Dał słowo wodzowi Amer-i-kanów i z tego tylko powodu nowi sojusznicy walczyli i ginęli teraz blisko murów miasta. Jeszcze trochę, a będzie za późno, żeby im pomóc.

Stojąca obok królowa warknęła głucho. Nie była stroną porozumienia, ale rozumiała, jak wielką szansę właśnie traci.

Król machnął ręką i spojrzał na syna.

- To nie twoja sprawa - rzucił do Rolaka.

- Moja, bo mój honor jest tu stawką, panie królu - stwierdził wódz. - Błagam cię, żebyś nie narażał go na szwank i powiedział chociaż, co innego obmyśliłeś.

- To proste. Ci obcy zakpili z nas, odmawiając walki u naszego boku. Nie chcieli wejść do miasta, gdy wydałem rozkaz, żeby ich wpuścić. Woleli walczyć sami, chociaż przybyli nieproszeni i bez zgody...

- Żeby nas ratować! - wtrącił Rolak.

- ...z groteskowym planem, żeby potem prowadzić tę wojnę gdzieś daleko stąd. Nie przybyli nas uratować. A gdyby nawet, to za jaką cenę? Naprawdę mielibyśmy walczyć dla nich jak niewolnicy? Nie! Niech walczą z grikami, niech ich wykrwawiają, a gdy będą już martwi i ich okręty odpłyną, my wybijemy tych grików, którzy jeszcze zostaną!

- Nie! - wykrzyknął Rolak. - Naprawdę nie rozumiesz? Grikowie są jak ziarna piasku na plaży, jak krople wody w morzu. Amer-i-kanie pokazali mi mapę, którą zdobyli. Jaszczury podbiły już prawie cały świat! Jeśli nie powstrzymamy ich teraz i nie odepchniemy ich od naszych miast, wrócą dwa albo trzykrotnie silniejsi i w końcu nas pokonają.

Fet-Alcas ponownie zerknął na syna. Rolak czuł, że stary król się boi. Ale czego najbardziej?

- Słyszałeś moje słowa! - powiedział w końcu władca.

- To były słowa tchórza! - odezwała się Safira wysokim, czystym głosem. - Jako sojusznik, który także przybył tu nieproszeni i bez zgody, wybieram walkę u boku tego, kto ma zwyczaj podobniejszy moim, nawet jeśli to czyni go głupcem. - Obróciła się do zbrojnych przy bramie. - Otwierać!

- Nie! - zaskrzeczał książę Rasik. - Trafisz za to na pal!

Widząc, co się dzieje, obsada bramy po prostu uciekła, a królowa skinęła na swoich gwardzistów.

- Skoro tak, wyjdziemy bramą północą! - zawołała i spojrzała jeszcze z dziką nienawiścią na władców Aryaalu. - Możliwe, że przybędziemy zbyt późno, żeby pomóc im w

czymkolwiek, poza odwrotem, ale lepiej zginąć u boku obcych, którzy wiedzą co to honor, niż oddychać tym samym powietrzem co tchórze. - Wraz ze swoimi sześcioma setkami gwardzistów zaczęła przepychać się ku miastu.

- Zatrzymajcie ją! - wrzasnął Rasik i zeskoczył z lektyki, wyciągając miecz.

W tej samej chwili gwardziści wyciągnęli własne miecze. Lord Rolak wiedział już, co musi uczynić. Wiedział też, że cokolwiek się jeszcze zdarzy, jego los jest już zapewne przesądzony. Dobył miecza i stanął między Rasikiem a królową. Księżę spojrzał na niego zdumiony, ale po chwili warknął gniewnie i rzucił się na starego lorda, który bez trudu odbił cios młodzika i przyłożył mu ostrze miecza do gardła. Po czym zerknął na Safirę i skinął głową.

Na niebie rozbłysła kolejna rakietka. Wzniosła się, eksplodowała i spadła jasnym deszczem. Rolak w życiu nie czuł się tak zawstydzony jak teraz.

- Ja, lord Rolak, obrońca Aryaalu, nie przerwę walki i nie złamię danego słowa! - krzyknął jak mógł najgłośniejsze.

- Każdy, kto za nim pójdzie, zginie jako zdrajca! - wrzasnął Fet-Alcas.

- Kto zatem idzie? - spytał Rolak.

Najpierw z wahaniem, potem coraz żywiej i z okrzykami poparcia na ustach, wojownicy zaczęli przechodzić na jego stronę. Rolak ogarnął ich spojrzeniem i pokręcił głową. Tylko jedna trzecia obecnych pod bramą sił stanęła za nim. Za mało, żeby się przebić. Podjąwszy decyzję, obrócił się do Sierociej Królowej.

- Moja pani, wygląda na to, że przyjdzie nam zrobić to, co ty zamierzasz. O ile zgodzisz się, żebyśmy przyłączyli się do twojego oddziału. - Spojrzał na żołnierzy, którzy pozostali przy królu. Wielu z nich opuściło oczy ze wstydu. - Nie wiem, czy wystarczy nas, żeby pomóc ludowi morskemu, ale jest nas zbyt wielu, żeby król zdołał nas zatrzymać przy pomocy tych, którzy jego boją się bardziej niż utraty honoru. Zgadzasz się, pani?

Safira uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Zatem do północnej bramy! Biegiem! - zakrzyknął Rolak.

- Idź i zgiń, lordzie Rolak! - zaskrzeczał król, uderzając w podłokietniki fotela. - Zginięcie wszyscy! Bramy Aryaalu zamkną się dla was na zawsze! A gdy grikowie zwrócą się przeciwko B'mbaado, nie przybędziemy z pomocą! Nie przybędziemy!

Krzyk władcy gonił ich echem, gdy biegli przez opustoszałą część miasta. Wieści szybko się rozeszły i po drodze dołączyły do nich jeszcze prawie dwie setki wojowników. Niektórzy zbiegli ze wschodniego muru, skąd dobrze widzieli, jak rozwija się bitwa między grikami a obcymi, którzy postanowili pomóc miastu, i naglili towarzyszy do pośpiechu.



\*

- Nie przybywają - mruknął Matt i opuścił lornetkę. Po raz ostatni stanął na grzbiecie martwego brontozaura, żeby na własne oczy ujrzeć to, co wydawało się niemożliwe. Keje trzymał swoją i jego tarczę, w których tkwiło już sporo bełtów z kusz, jednak na razie żaden z nich nie został nawet draśnięty, choć przeciwnik bardzo się o to starał. Przyboczny Rolaka zginął, a brontozaur otrzymał tyle trafień, że w końcu zaczął odczuwać ból i wpadł w amok. Silva opróżnił w niego cały magazynek - bez rozkazu, bo jeszcze chwila, a zwierzę zdeptałoby znaczną część własnej armii. Obecnie trzymali się jedynie dzięki murewi tarcz. Matt i Keje zsunęli się po martwym cielsku na ziemię i ostrzał natychmiast osłabł.

- Nie przybywają - powtórzył zdumiony Matt. - Czy naprawdę mogą być aż tak głupi?

- Mówiłem, że tak będzie - rzucił Keje.

- Uwielbiam takie gadanie - powiedział Matt ze smutnym uśmiechem.

- Ale ja naprawdę tak mówiłem.

Matt tylko pokręcił głową.

- A twierdzili, że lubią walczyć - warknął bosman Gray.

- Aha, tak jak ci marines z włoskich rodzin, których spotkaliśmy w Szanghaju - wtrącił się Silva. - Ciągle nie mogę uwierzyć, że stawałem przez nich do raportu.

- Uwziąłeś się na nich, zbójcu. Jeden omal nie wyzionął ducha!

Wbrew wszystkiemu Matt niemal się uśmiechnął. Wraz ze swoimi ludźmi, z których dwaj odnieśli lekkie obrażenia, szedł wzdłuż walczącej formacji, zagrzewając ludzi i lemury do działania. Jak dotąd walka była raczej jednostronna, ponieważ grikowie nie mieli żadnego pomysłu, jak sobie poradzić z murem tarcz. Rozbijali się o niego w kolejnych szturmach, a ich ciała piętrzyły się coraz wyżej, utrudniając podejście następnym. Pierwszy szereg tarczowników nie brał czynnego udziału w walce, zabijanie przeciwnika było zadaniem tych, którzy stali zaraz za nim. Siekli, kłuli i strzelali, ale grikowie nadciągali wciąż nowymi falami i obrona zaczynała już z wolna słabnąć.

Czasem przeciwnik odstępował na chwilę, żeby spróbować ostrzału z kusz, i w takich chwilach wysuwano działa nabite podwójnym ładunkiem kartaczy. Przy każdym strzale zabijały one setki stłoczonych ciasno przeciwników, ale i to było za mało, żeby znacząco przerzedzić hordy szalonych jaszczurów.

Porucznik Shinya biegał tam i z powrotem z uszczuploną grupą przybocznych i łątał luki w obronie. Krwawił z rany pod lewym okiem i Matt zastanowił się, ilu ludzi już stracili.

- Na lewym skrzydle robi się niewesoło, kapitanie! - krzyknął Japończyk. - Od rzeki

napierają najbardziej!

- Podobnie jest na prawym, chociaż może nie aż tak źle - odparł Matt. - Tyle dobrego, że ci dranie na murach nadal będą mogli ich ostrzeliwać, jeśli podejną bliżej. - Zamilkł na chwilę. - Ale tamci nie nadchodzą, Tomatsu. Będziemy musieli zacząć się wycofywać.

Shinya pokiwał głową.

- Będzie trudno, kapitanie - powiedział. - Utrzymanie linii i posuwanie się naprzód to trudna sprawa, ale utrzymanie jej przy odwrocie...

- Naprawdę trudno będzie tylko jakieś pięćdziesiąt czy siedemdziesiąt jardów stąd - odrzekł Matt - tam, gdzie ład się rozszerza i trzeba będzie rozciągnąć linię. Dalej jest już mniej miejsca i można będzie zewrzeć szyki. Niech wystrzelą jeszcze jedną flarę, potem zaczniemy się cofać. Musimy tylko utrzymać szyk.

Shinya zasalutował i odbiegł, a Matt spojrzał na skupionych wokoło ludzi z załogi niszczyciela. Wszyscy byli uzbrojeni w erkaemy Browninga. Trudno, teraz nie było już wyboru.

- Odwołuję zakaz strzelania - powiedział. - Dołączcie po jednym do każdego pułku i latajcie ogniem każdą wyrwę, która powstanie. Jeśli mur tarcz pęknie, będzie po nas. Oszczędzajcie amunicję i nie walcie jak popadnie. Ruszać!

Wszyscy pobiegli szukać swoich miejsc, tylko Silva został na miejscu.

- A co z panem, skipper? - zapytał.

- Spokojnie, panie Silva. Mam pistolet. Gdyby zawiódł, bosman mi pomoże.

Silva uniósł brew.

- A kto pomoże jemu?

- Wynoś się, gorylu chędożony! - warknął czerwony ze złości Gray. - Precz stąd albo kucharz będzie miał z ciebie przynęty na pół roku.

- Wyraziłem tylko mój niepokój! - krzyknął Silva, zrywając się do biegu.

Gray pokręcił głową i zdobył się na uśmiech. Stali zaraz za 2. kompanią piechoty morskiej, blisko środka formacji. W jej skład wchodziłi najroślejsi wojownicy, uzbrojeni przede wszystkim w włócznie. Ci, którzy zajmowali akurat miejsce w tylnych szeregach, ostrzeliwali metodycznie nieprzyjaciela z łuków, po czym zastępowali zmęczonych towarzyszy z przodu. Metoda się sprawdzała i Matt pomyślał, że gwardia też powinna ją przyjąć. Wielu wracających na tyły było rannych, niektórych trzeba było nawet odciągać do miejsca, gdzie składano ich na ziemi. Niektórzy ruszali się, inni już nie, czekając na sanitariuszy z noszami, którzy zabierali ich do szpitala polowego.

- Nie mamy dość noszowych - zauważył Gray. - Gdy zaczniemy się cofać, mogą z tym

być kłopoty.

Matt rozpoznał jednego z rannych kotowatych, którego kładziono właśnie na nosze. Był to goniec Shinyi, który przybył doń z meldunkiem. Został paskudnie cięty przez pierś, którą owinięto już całą masą bandaży. Matt podbiegł do niego.

- Słyszysz mnie? - spytał niecierpliwie. Młodzieniec zacisnął jeszcze mocniej zęby i skinął głową. - Przekaż, że trzeba ewakuować szpital w bezpieczne miejsce. - Złapał dłoń gońca. - Powiedz porucznik Tucker... - Przerwał na chwilę, zbierając myśli. - Powiedz, żeby się wycofała. To rozkaz.

- Powiem, kap-i-tanie - odparł goniec zduszonym głosem.

Matt pokiwał głową i noszowi pobiegli ze swoim ciężarem na tyły.

\*

Chack-Sab-At jęknął z bólu, gdy grot włóczni, ześliznąwszy się po górnej krawędzi tarczy, wbił mu się w ramię. Przeciwnik za bardzo się jednak przy tym wychylił i Chack bez trudu przebił mu gardło. Trysnęła krew i jaszczur upadł. Jeśli wydał przy tym jakiś krzyk, nie było go słyhać w zgiełku bitwy.

Myśli Chacka pobiegły na moment ku siostrze i zastanowił się, co Risa by powiedziała, gdyby mogła go teraz ujrzeć. Kiedyś wstydziła się chyba, że brat tak mało ma w sobie z wojownika, i robiła co mogła, żeby to zmienić. On jednak protestował nerwowo i jej wysiłki nie zdawały się na wiele. Chyba czuł bezwiednie, że sam jest winny swojej bezsile i być może dlatego godził się z otaczającym go potępieniem i nawet nie próbował wygrywać młodzieńczych pojedynków. Niewykluczone też, że niepokoiło go, co może się w nim obudzić, może się bał, że polubi wojowanie. Tamtego dnia, gdy walczył na pokładzie *Salissy*, żeby ocalić siostrę i towarzyszy, a w pewien sposób i siebie, odkrył, że jego obawy były w pełni zasadne. Uwielbiał walczyć i ku swojemu wielkiemu zdumieniu był w tym naprawdę dobry.

Siostra kurowała go potem z poświęceniem i była przekonana, że po prostu wreszcie dorósł. Nie pojmowała, jak wielka zmiana w nim zaszła. Kiedyś jego największą ambicją było zostać wodzem klanu. Teraz nawet już o tym nie myślał. Nie wiązał swego losu z wielkimi skrzydłami *Salissy* czy innego pływającego domu. Owszem, kochał *Salisę*, jednak obecnie jego domem był *Walker*, a on czuł się bez reszty członkiem jego załogi. Wiedział, że zdaniem wielu odmówił *Selassie*, żeby utrzyć jej nosa za to, że odrzuciła go w czasach, gdy interesowała się *Saak-Fasem*, ale on jedynie jej współczuł odnowionego związku z tym oszalałym i złamanym nieszczęśnikiem. Wszystko, co kiedyś było dla niego ważne, teraz już

się nie liczyło, wyjąwszy siostrę, chociaż i ona irytowała go obecnie coraz mniej. Przejmował się też losem swojego ludu oraz klanu bezogoniastych, ciesząc się, że może zabijać z nimi wspólnych nieprzyjaciół. Odczuwał tę radość nawet teraz, chociaż dręczyło go pragnienie, był zmęczony i ranny.

Większość czasu walczył w drugim szeregu, gdzie długie ręce dawały mu przewagę. Potem wojownik przed nim, też skrzydłarz z *Salissy*, padł trafiony bełtem i Chack natychmiast go zastąpił. Zmagając się z tarczą, na którą napierała horda nieprzyjaciół, nie mógł już zabijać, ale mur musiał trwać. Za zabitym grikiem pojawił się następny, wściekle młóćąc szablą w tarczę. Chack stanął pewniej na podmokłej łące i rzucił włócznię w szeregi przeciwnika. Wyciągnął otrzymany na pokładzie niszczyciela kord i sięgając pod dolną krawędź tarczy, ciął jaszczura po nogach, aż stał zgrzytnęła na kości.

Napór chwilowo osłabł, ale ledwie Chack się wyprostował, powaliło go na ziemię uderzenie toporem w głowę. Ogłuszony przygryzł język, ale towarzysze z obu stron zaraz pomogli mu się podnieść i przytrzymali, póki nie oprzytomniał. Dzięki niech będą gwiazdom za porządny hełm, pomyślał. Ciężko łapiąc powietrze, splunął krwią, gdy tuż za nim rozległ się przenikliwy krzyk. Ryzykując ponowne omdlenie, zerknął na nie. Między żołnierzami ukazał się wylot działa. Osłaniali je do chwili, gdy było tuż przy pierwszej linii. Wtedy odskoczyli na boki.

Niemal natychmiast zadymiło i huknęło tak mocno, że Chack odczuł to całym sobą, przede wszystkim zaś w głowie oraz z boku, gdzie strumień gorącego powietrza przypalił mu sierść. Nie przejął się jednak, tylko zaniósł się niemal histerycznym śmiechem, widząc, jaką siekaninę uczyniły z przeciwnika miedziane kule. Zdumiewało go tylko, że nie słyszy sam siebie. Oporopowrotnik przywrócił działu naturalne położenie i ściana tarcz ponownie się zamknęła. Coś w górze przyciągnęło uwagę Chacka. Gdy uniósł głowę, ujrzał kolejną rozbłyskującą na niebie rakietę.

\*

- Zaczynamy się sypać, skipper - wydyszał Gray, opierając dłonie na kolanach. Stracił gdzieś czapkę i włosy miał czerwone od krwi. Po lewej jazgotał thompson nastawiony na ogień ciągły. Pewnie i tak gonią resztkami amunicji, pomyślał Matt, wciskając ostatni magazynek do pistoletu. Obejrzał się na wał ziemny i zasieki, do których zostało im około stu jardów. Nigdy tam nie dotrą.

Na początku odwrót przebiegał całkiem składnie. Bez większych problemów przeszli ów niebezpieczny szeroki odcinek łądu, jednak gdy tylko nieprzyjaciel pojął, o co chodzi w

tym manewrze, zażarcie zaatakował. Gdy świeże oddziały grików przybyły zza rzeki, wyczerpane siły ekspedycyjne przestały sobie radzić. Zaatakowane szczególnie mocno z flanki chciały skrócić linię, zwierając szyki, jak były szkolone. Taki manewr zawsze jest trudny, nawet dla wypoczętych żołnierzy, tutaj zaś wręcz przepelnił czarę. Linia pękła i większość 4. pułku gwardii została odcięta. Gwardziści dali wprawdzie reszcie dość czasu na odtworzenie muru tarcz, nie mieli jednak szans przedrzeć się do sił głównych. Nadal walczyli, otoczeni przez rój wściekłych jaszczurów, utworzywszy coś na kształt czworoboku z powiewającym pośrodku sztandarem, starając się jak najdrożej sprzedać życie.

Pozostali nie mieli innego wyjścia, jak dalej się wycofywać. Co rusz powstawały nowe wyłomy i wielu zginęło, starając się je załatać. Matt, Keje i bosman też włączali się kilkakrotnie do walki, aż udało się odeprzeć nieprzyjaciela na tym czy innym odcinku. Kosztowny pałasz Matta, który miał od czasów Akademii, był cały pokryty zakrzepłą krwią. Matt nigdy by się nie spodziewał, że sięgnie kiedykolwiek po tę broń w walce. Otarł zalewający oczy pot i spojrzał na niebo, po którym sunęły barankowe chmury. Pałace słońce stało mu wprost nad głową. Na południu, jakieś dwadzieścia albo trzydzieści mil od nich, rysowało się pasmo wulkanicznych gór, obojętnych świadków ich zmagania. Trwały tak, z wierzchołkami sięgającymi chmur. A może to była para? Może. Długie łańcuchy wulkanów odpowiedzialnych za powstanie Jawy i innych okolicznych wysp wciąż były aktywne. Przynajmniej w tamtym świecie. Ale nieważne. Widok przypominał do złudzenia ten, który Matt pamiętał sprzed szkwału, i był zarazem bardzo obcy. Poza wszystkim wydawało mu się dziwne, że tak ostro widzi odległe góry, że żaden dym z pożarów nie przesłania mu widoku.

Obejrzał się na zatokę. Linia okrętów zasypywała kulami przeciwnika na drugim brzegu rzeki, a *Salissa* próbowała zająć na wiosłach pozycję do ostrzału kursujących między brzegami barek. W jej kierunku płynął z dużą prędkością *Walker*, który był wcześniej po drugiej stronie przylądka, dostarczając ludzi i wyposażenie na *Mahana*. Matt widział już kiedyś coś podobnego. W tej samej zatoce i w podobnie dramatycznych okolicznościach. Wystarczyły niecałe trzy godziny, żeby wszystko się popsulo, pomyślał Matt. A zaczęło się tak dobrze. Spojrzał na mury miasta, o którym nieprzyjaciel całkiem chyba teraz zapomniał, i znowu otarł pot z czoła.

- Żeby was cholera - mruknął.

Gray odpiął od pasa menażkę, upił długi łyk i podał wodę Mattowi, który z wdzięcznością pokiwał głową i wlał ciepły płyn do zeschniętego na wiór gardła. Od dłuższego czasu ciągle krzyczał; głównie rozkazy, ale też z wściekłości podczas walki, i nie przypuszczał, żeby jego głos był teraz słyszalny nawet w cichym pokoju. Ale to nie miało

znaczenia. Nie było już o czym mówić. Za osłabionym murem tarcz widział świeże zastępy nieprzyjaciela, który zalewał okolicę.

Grikowie ryknęli triumfalnie, gdy linia obrońców znowu pękła, i to w miejscu, w którym nie było jak jej odtworzyć. Jaszczury wlały się w nią błyskawicznie, wymachując bronią, a chwilę później cały mur tarcz zadrżał i ustąpił. Porucznik Shinya przebiegł obok, kierując się ku największemu wyłomowi, ale Matt złapał go za ramię. Japoński oficer obrócił się ku niemu z szaleństwem w oczach, ale uspokoił się, gdy tylko poznał kapitana.

- Chrońcie działa jak długo się da - wychrypiał Matt. - Spróbujcie sformować wkoło nich czworobok. Jeśli dotrzemy do wału, będziemy mogli tam się utrzymać.

Shinya przytaknął z wahaniem, ale zrezygnował z samobójczego ataku. Pobiegł w innym kierunku, wykrzykując coś do swoich gońców. Obaj wiedzieli, że to daremne, bo zbyt wielu rzuciło się już do ucieczki. Nic innego nie mogli jednak zrobić.

Chociaż może i jest jakaś szansa, pomyślał Matt, próbując ogarnąć sytuację. 2. kompania marines i większość 1. pułku gwardii utworzyły już kanciasty szyk obronny. Piechota morska ćwiczyła to do upadłego, a gwardziści po prostu wycofywali się razem z nimi. Udało im się ocalić przynajmniej dwa działa, które zostały w pewnej chwili wysunięte między tarczami i plunęły ogniem w grików próbujących zająć czworobok od strony barykady. Dziesiątki z nich padły w jednej chwili. Z prawej linia jakimś cudem powstała z martwych, a jej odcięty koniec zawijał się z wolna w półkole.

Matt, Gray i Keje stali jednak oddzieleni od głównych sił. Powinni uciekać i kapitan spojrzał w kierunku formacji piechoty morskiej. Oni też ich widzieli, machali ku nim i wykrzykiwali jego imię albo imię Kejego, ponagляjąc dowódców, by do nich dołączyli, ale jak tam dobiec...?

Samotna artylerzystka, która sama jedna została z całej obsady działa, stała spokojnie, czekając na gnających w jej kierunku grików. W pewnej chwili przykucnęła przy kole, szykując działo do strzału. Wydawała się tak drobna wobec atakujących potworów, ale widać było, że jest zdeterminowana, a końcówka jej ogona chodziła na boki jak u polującego tygrysa. W ostatniej chwili podłożyła ogień i nagle działo eksplodowało z wielką siłą. Ciała grików przemieszały się w powietrzu z odłamkami lufy i wózka. Musiała je nabić po sam wylot, pomyślał wstrząśnięty Matt. Z samotnej artylerzystki oczywiście nic nie zostało.

- Dalej, przyjaciele! - wychrypiał Matt, wskazując na czworobok marines. - Musimy spróbować!

Rzuciwszy przez dym spojrzenie na grików, którzy chwilowo się cofnęli, cała grupa ruszyła biegiem ku formacji, która tymczasem wznowiła odwrót.

Gray stęknął nagle, jakby coś go zdumiało, i padł na ziemię jak podcięty. Matt i Keje zaraz zawrócili. Bosman leżał na boku, a z biodra sterczał mu czarny belt. Gray machnął na nich zirytowany, żeby nie zatrzymywali się przy nim. Keje wypatroszył jednym ciosem grika, który się na nich zamierzył, Matt zaś wycelował starannie i powalił kolejnego strzałem z pistoletu. Za nimi jednak nadciągali następni i zaraz miało ich tu być całe mrowie.

- Biegnijcie, kurna! - sapnął Gray. - Dociągnę!

- Zamknij się - warknął Matt.

Wraz z Kejem postawili Graya na nogi i pobiegli z nim, jak szybko się dało, ku czworobokowi. Bosman zacisnął zęby, żeby nie jęczeć, Matt zaś strzelił do jeszcze jednego jaszczura, który podbiegł za blisko. Potem do drugiego. Czworobok piechoty morskiej zaczął się rozciągać, żeby jak najprędzej ich ogarnąć. Keje odbił cios szabli swoją małą tarczą, a Matt strzelił do bestii, która sięgała już bosmana zębami. Po tym ostatnim strzale zamek broni nie wrócił do zwykłego położenia. Magazynek był pusty. Matt zatknął pistolet za pas i odparował kolejny atak pałaszem. Nie władał nim najlepiej, a walcząc jedynie lewą ręką, która tylko pozostała mu wolna, bił rekordy niezdarności. Osiągnął tylko tyle, że włócznia grika, zamiast wbić się w pierś, tylko przejechała po żebrach. Syknął z bólu, ale przycisnął drzewce do boku, żeby grik nie mógł go wyszarpnąć do kolejnego ciosu, i wraził mu sztych pałasza w oko. Stwór zaskrzeczał i zwałił się na ziemię, ale chwilę później upadł też Keje, pociągając ich obu za sobą.

Matt przetoczył się na brzuch, żeby wstać. Wszędzie dokoła widział biegnące stopy z długimi, zakrzywionymi pazurami. Poczul, że coś wbiło mu się boleśnie w lewe ramię, ponownie powalając go na ziemię. Stracił dech. Spróbował unieść głowę. Czworobok marines był tuż przy nich, wyraźnie widział zmęczone i zakrwawione twarze ludzi, których wciągnął w tę awanturę. Patrzyli na niego z wyraźną frustracją. Czul poruszającego się pod nim Graya, który usiłował wstać, i spróbował odtoczyć się na bok. Muszę go uwolnić, pomyślał i nagle coś rąbnęło go w skroń. Przed oczami zawirowały mu konstelacje gwiazd, które szybko skryła ciemność.

\*

- Dalej! Biegnijcie dalej, nie zatrzymujcie się przy zasiekach! - krzyczał lord Rolak, wymachując szablą nad głową. Ledwie trzymał się na nogach obolałych od długiego wysiłku, do którego nie przywykł. Zatrzymał się na chwilę, łapiąc powietrze, podczas gdy jego wojownicy przemykali obok, mijając się ze sponiewieranymi i wstrząśniętymi żołnierzami częściowo rozbitej armii. Widział, jak półprzytomni ze zmęczenia zmierzają ku przystani,

jakby czuli, że bezpieczeństwo mogą znaleźć jedynie na morzu. Nie dowierzał przy tym własnym oczom. Tak, zostali rozbici, ale utrzymali się niewiarygodnie długo, walcząc z wielokrotnie liczniejszym przeciwnikiem. Nie oczekiwał tego po nich i był z nich dumny, choć zarazem czuł się zawstydzony. Nigdy więcej nie powie, że lud morza nie umie walczyć.

Niektórzy wciąż walczyli. Duża formacja z kilkoma sztandarami wzniesionymi nad stłoczonymi wojownikami przemieszczała się z wolna w stronę obiecujących względne bezpieczeństwo zasieków. Czworobok topniał z każdą chwilą, ale straty, jakie zadawał przeciwnikowi, były znacznie większe od własnych. Odczuwany przez Rolaka wstyd nieco ustąpił, gdy stwierdził, że jeszcze nie jest za późno. Wraz z Sierocą Królową przedzierał się tutaj blisko dwie godziny, najpierw torując sobie drogę na wąskich uliczkach w północnej części miasta, potem tracąc czas pod bramą. Pierwszym problemem byli cywile, którzy przerażeni nasileniem walk uciekali z ostrzeliwanych domów i próbowali schronić się w B'mbaado. Nic by im to rzecz jasna nie dało, ale nie mieli innej nadziei na ocalenie. Gdy przepchnęli się już do bramy, okazało się, że jest ona zamknięta i obsadzona, tak z zewnątrz, jak i od środka. Król i jego syn musieli przewidzieć bunt Rolaka i mimo wszystko starali się go zatrzymać. To wtedy lord Rolak nie wytrzymał i wzniecił w Aryaalu wojnę domową.

Natarł na bramę razem z królową Marran. Walka o wieże kryjące mechanizmy bramy była długa i kosztowna - nic dziwnego, skoro sam kierował ich budową i uczynił je bardzo trudnymi do zdobycia. W końcu jednak wdarli się do środka, zostawiwszy za sobą dziesiątki ciał w białych mundurach. Gdy otworzyli bramę, sześciuset wojowników królowej i większa już teraz liczba zbrojnych Rolaka wylała się na błotniste ulice nadbrzeżnej dzielnicy zamieszkiwanej przez rybaków i marynarzy. Pognali wkoło miasta, aż w końcu dotarli do wału ziemnego i ujrzeni, do czego doprowadziła zdrada króla. Rolak nie zdołał powstrzymać łez wstydu i rozpacz. Samo to, że choć część walczących przed miastem ocalała, było dowodem, że gdyby plan został zrealizowany, bitwa zakończyłaby się wielkim zwycięstwem. Teraz mógł jedynie podjąć próbę ratowania tych dzielnych wojowników i własnych ludzi.

- Prosto przez zasieki! - poganiał chrapliwie kolejnych nadbiegających. Nagle zauważył stojącą w pobliżu grupę wojowników opartych na wbitych w ziemię włóczniach, którzy tylko przyglądali się rzezi.

- Co wy tu robicie?! - spytał ostrym tonem.

Jeden ze stojących spojrział na niego i zamrugał zmieszany.

- To nasz posterunek. Mamy pełnić tu straż. Nie mamy innych rozkazów, jak tylko bronić tej pozycji.

Wściekły lord Rolak uderzył żołnierza płazem szabli.



- Już macie! - ryknął. - Dalej, na pole! Ruszajcie, bo zrobię mufki z waszych ogonów!

Bardziej bojąc się zagniewanego obrońcy miasta niż grików, wszyscy stojący na barykadzie wojownicy pospieszyli włączyć się do walki. Rolak, łapiąc powietrze i przeklinając swój wiek, czekał, aż ostatni żołnierze zejną z wału. Nagle poczuł czyjaś dłoń na swoim ramieniu.

- Odpocznij chwilę - powiedziała królowa B'mbaado, wpatrując się w niego z troską.

- Nigdy - odparł. - Odpocznę, gdy odzyskam honor, z którego tak niecie zostałem odarty.

Królowa spojrzała na niedalekie pole bitwy. Jej wojownicy i wojownicy Rolaka nie walczyli w ten dziwny sposób, który wybrali ludzie morza, ale prowadzony przez Haakara-Faaska atak dobrze ponad tysiąca zbrojnych zaskoczył grików. Kotowaci szybko wbili się klinem w ciżbę nieprzyjaciół i byli już bliscy połączenia się z czworobokiem piechoty morskiej.

- W takim razie, lordzie Rolak, oboje ratujmy, co jeszcze można uratować! - rzuciła królowa i uśmiechając się drapieżnie, wyciągnęła broń.

Rolak pokiwał głową i też się uśmiechnął. Aryaalańskim kobietom nie było wolno zajmować się wojaczką, te z B'mbaadanu decydowały się na to rzadko. Wśród ludu morza obie płcie walczyły ramię przy ramieniu i w obronie Aryaalu zginęło tego dnia także wiele kobiet, podczas gdy wielu miejscowych mężczyzn nawet nie kiwnęło palcem. Wiedział, że nie powstrzyma Safiry przed wzięciem udziału w bitwie. Zdecydowała się już przy bramie.

- Oczywiście, pani - rzekł. - Obiecuj tylko, że nie wysforujesz się przede mnie. To byłoby już za wiele na jeden dzień.

Ucisnęła mu mocno dłoń i razem przeszli przez zasieki.

\*

Matt skupił spojrzenie na kołyszącej się nad nim latarni. Nie wiedział, jak długo się jej przyglądał. Trochę musiało to trwać, jednak dopiero teraz zrozumiał, na co właściwie patrzy. Zamrugał i poczuł, że powieki ma jak papier ścierny.

Chciał wydać głos, ale zdołał tylko jęknąć. Miał całkiem suche gardło, obrzmiały język i popękane wargi. Leżał na plecach na czymś, co chyba było pryczą. Słyszał łopot brezentu i czuł zapach morskiej bryzy, był więc zapewne w jakimś namiocie. Wkoło słyszał głosy, jęki, czasem łkanie. Nagły krzyk pobudził go na tyle, że poczuł piekący ból w ramieniu. Znowu jęknął, przerażony własnym głosem, tak podobnym do tego, co rozlegało się obok.

Niemal natychmiast ujrzał nad sobą rozmazaną twarz Sandry Tucker. Upięte zwykle włosy miała rozczochrane, na jej twarzy malowały się smutek i troska. Chłodna dłoń musnęła jego policzek. Ktoś inny podsunął mu gąbkę z wodą, zwilżając jego wargi, i wpuścił mu do ust strumyczek chłodnego płynu. Mattowi wydał się on tak ożywczy, że prawie się rozkleił. Poszukał prawą ręką dłoni Sandry i spojrzał jej w oczy. Uśmiechnęła się do niego, uniosła jego dłoń do ust, po czym położyła ją na pośladku.

- Leż spokojnie - powiedziała cicho.

- Nie mogę - wychrypiał i spróbował się unieść, lecz nagle poczuł ból, który ogarnął prawie całe ciało, i padł bezsilnie na pryczę.

- Jeśli wyciągniesz sobie te szwy, możesz się wykrwawić - syknęła na niego Sandra. - Po prostu leż spokojnie. Wszystko jest pod kontrolą. Chwilowo radzimy sobie bez ciebie. Nie jesteś przecież aż tak niezastąpiony! - dodała, zmuszając się do uśmiechu. Oczywiście, że jest, idiotko, pomyślała. Tobie i całemu temu pokręconemu światu!

Matt pokazał zęby i zaczął pić łapczywie, gdy ktoś przystawił mu manierkę do ust. Zabrano ją, zanim jeszcze zaspokoił pragnienie.

- Aye, aye, pani porucznik - powiedział normalniejszym już głosem. - Będę grzecznym pacjentem.

Spróbował rozejrzeć się dokoła. Otaczały go dziesiątki prycz, między którymi snuły się jakieś postaci z latarniami albo świeczkami w dłoniach. Płomyki kołysały się poruszane tą samą bryzą, która szarpała brezent nad jego głową. Dopiero teraz poznał okrętową osłonę od słońca, którą w upalne dni rozpościerano nad pokładem. Tutaj zamocowano ją na palach wbitych w piasek...

- Wciąż jesteśmy na brzegu! - zawołał. Poza namiotem panowały ciemności, ale widać było w nich przemierzające się punkciki światła. - Ale... linia poszła w rozsypkę... Widziałem... - Skrzywił się. - Byłem tam, do diabła. - Spojrzał na Sandrę. - Kazałem ci się ewakuować. Nie przekazano ci tego rozkazu?

- Przekazano, ale za późno. Nie było to już konieczne. - Nie dodała, że i tak nie wykonałaby rozkazu, co zresztą wcale by Matta nie zaskoczyło. Nagle zrozumiał dwie rzeczy.

- Jak to nie było? - spytał niepewnie. - Przegraliśmy bitwę. To była całkowita klęska. - Zamknął oczy. - Z mojej winy.

- Nie! - odparła z ożywieniem Sandra. Przysiadła obok niego na pryczy Pojęła, że Matt wciąż jeszcze przeżywa tamte straszne wydarzenia i czuje się za nie odpowiedzialny. Zapomniała z przejęcia, że był nieprzytomny i nie widział, co działo się pod koniec. Ujęła jego dłoń, a gdy otworzył oczy, zobaczył lzy zostawiające jasne ślady na brudnych policzkach

dziewczyny. - Kapitanie Reddy - powiedziała trochę głośniejsze, żeby inni też mogli ją słyszeć. W całym namiocie podniósł się szmer głosów. - Bitwa nie została przegrana. Jedyni, którzy ponieśli dzisiaj klęskę, to grikowie.

Matt patrzył na nią osłupiały, gdy gdzieś poza namiotem rozległ się głośniejszy okrzyk setek głosów. Nie trwał on wprawdzie długo, bo krzyżący ewidentnie byli bardzo zmęczeni, ale niósł szczerą radość i dowodził prawdziwości słów Sandry. Matt zamknął oczy i raz jeszcze ujrzał ostatnie chwile, kiedy był już przekonany, że wszystko stracone. Nie rozumiał, jak udało im się uniknąć śmierci, ale żył, zatem Sandra musiała mieć rację.

Jednak zwycięstwo, pomyślał. Mój Boże. Delikatnie ścisnął palce Sandry.

Siedziała przy nim jeszcze długo po tym, gdy zasnęła, i ocierała napływające ciągle łzy.

Też przeszła swój koszmar. Byli tacy pewni siebie, Bóg jeden wie dlaczego. Może ta seria pomniejszych zwycięstw, do których doprowadził Matt, napędziła ich wiarę, że mogą wszystko. Po bitwie w zatoce poczuli się jeszcze silniejsi. Sandra wraz z innymi patrzyła na dumną armię maszerującą przez pole z powiewającymi sztandarami i na pierwsze, miażdżące uderzenie zadane przeciwnikowi. Nic nie wróżyło problemów, bitwa rozwijała się zgodnie z planem. Rezerwy grików były zajęte po drugiej stronie rzeki, a ci, którzy atakowali miasto, zostali zwróceny ku nowemu zagrożeniu. Zaraz potem jakby pękła bańka mydlana. Wszystko zaczęło iść nie tak i plan, który miał im dać zwycięstwo przy minimum ofiar, całkiem się rozsypał, gdy zawiedli Aryaalanie, którzy mieli zaatakować z miasta.

Sandra odgarnęła luźne loki sprzed oczu i rozejrzała się po pełnym rannych namiocie. Jakże byli naiwni! Przecież w ich świecie ludzie też rzadko robili to, co powinni, nawet gdy było oczywiste, że tak trzeba! Jak długo Europa dopieszczała Hitlera, jak długo Stany Zjednoczone zaciskały zęby, ignorując ekspansję Japonii w Azji? Nakja ostrzegał ich przed Aryaalanami, Keje mówił, żeby zaniechać nie liczyć na mieszkańców Surabai. Powinni byli wyciągnąć z tego wnioski. Tymczasem założyli, że wszyscy myślą tak jak oni, co okazało się najsłabszym punktem całego planu.

Zrozumiała, że coś jest nie tak, gdy ujrzała drugą rakietę. Lemury bardzo długo trzymały linię, wydawało się, że przez całą wieczność, a na pewno dłużej, niż ktokolwiek tego po nich oczekiwał. Pole bitwy spowijał dym z dział i trudno było tam coś dojrzeć, jednak w pewnej chwili strumyk rannych zaczął urastać do rozmiarów rzeki. Na dodatek wcześniej większość z nich docierała do niej o własnych siłach albo z pomocą towarzysza, teraz zaś noszowi mieli coraz więcej roboty, a obrażenia były coraz poważniejsze. Sandra uwijała się jak mogła, tamując krwotoki i amputując kończyny, co pomogło jej zachować spokój i opanowanie, którymi zaraziła personel. Bardzo się ucieszyła, gdy z *Mahana* przybyły Kathy

MacCoy i Pam Cross, żeby jej pomóc, ale nie było czasu na powitanie. Większość podległych Sandrze mówiła po angielsku, zatem dwie nowe pielęgniarki mogły się z nimi porozumieć, nie były jednak częścią zespołu przeszkolonego na podobną okoliczność. Minał jakiś czas, nim Pam i Kathy odnalazły się w nowej sytuacji.

Bitwa zaś trwała, a ranni, których przynoszono, nie byli już, jak na początku, pełni zapału. Większość była wyczerpana i zrozpaczona. Pole bitwy zalegały trupy grików, ale coś szło nie tak. Aryaalanie nie przybywali. Potem zjawił się ciężko ranny goniec Shinyi i przekazał rozkaz kapitana. Spodziewała się czegoś podobnego, ale i tak odebrała to jak uderzenie w policzek. Szybko nakazała podwładnym przygotować rannych do przeniesienia i pobiegła na wał, żeby zobaczyć, co się dzieje. Nie spodziewała się, że ujrzy równie straszny obraz.

Walka toczyła się już znacznie bliżej, na tyle blisko, że widziała pojedynczych żołnierzy. Szybko wypatrzyła jasny mundur kapitana. Matt i bosman znajdowali się mniej więcej pośrodku formacji. Dostrzegła też kilku innych ludzi z załogi, słyszała, jak strzelali. Na topniejącą ścianę tarcz napierała fala rozszalałych grików. Działa dawały jeszcze czasem ognia, jednak wściekły ryk jaszczurów i szczęk broni zagłuszały wszystko inne.

Nagle Sandra przypomniała sobie, jak w dzieciństwie widziała małego konika polnego, który wylądował na mrowisku. Zanim zdążył się pozbierać i zeskoczyć z kopca, mrówki opadły go tak szybko, że owad po chwili zniknął pod nimi i tylko czasem spod ich masy wylaniała się jego drgająca nóżka. Niemal to samo ujrzała teraz, gdy rozciągnięta do granic linia pękła pod naporem jaszczurów. Sandra wiedziała, że powinna uciekać, ale nie mogła się ruszyć, tak bardzo była przerażona. Nie bała się tylko o siebie, ale i o dwóch ludzi oraz lemura, których zaraz miała ogarnąć sunąca naprzód masa jaszczurów. W tej trójce był kapitan Matthew Reddy. Serce podeszło jej do gardła i aż krzyknęła, gdy rozerwało się jedno z dział i chmura dymu miłosiernie skryła całą scenę przed jej oczami. Pewna, że już po nim, stała osłupiała i pełna bólu, a po policzkach płynęły jej łzy. Widziała pokrwawionych żołnierzy ciągnących ku zasiekom i uciekających na tyły, ale myślami była w tej chmurze dymu.

Nagle ktoś wpadł na nią tak gwałtownie, że omal się nie przewróciła, i musiała się złapać elementu konstrukcji zasieków. Był to jakiś wojownik, który zderzył się z nią przypadkiem. Po chwili pojęła, że nie ucieka on z pola bitwy, lecz odwrotnie, biegnie włączyć się do walki. Zaraz za nim pojawił się następny, potem iluś kolejnych, aż w końcu przed jej oczami przesunęły się całe setki zbrojnych gnających ile sił w nogach na przeciwnika.

Aryaalanie? Chwilę potem zobaczyła Rolaka i wtedy wiedziała już, że to oni. Stary

lord biegł na końcu i krzyczał coś na całe gardło. Dysząc ciężko, przystanął na chwilę nieopodal, żeby trochę odpocząć. Miała ochotę go zwymyślać, że tak się spóźnił, ale mogła tylko patrzeć. Nagle zobaczyła jakąś egzotyczną piękność, która ze spojrzeniem wbitym w pole bitwy przebiegła obok zasieków i zniknęła w tłumie walczących.

Courtney Bradford znalazł Sandrę siedzącą w błocie i łkającą jak dziecko ledwie kilkanaście kroków od pola największej bitwy, którą kiedykolwiek toczyli kotowaci. Była pewna, że Matt zginął, i cały smutek, który tłumiała, odkąd ogarnął ich szkwał, nagle znalazł ujście, pozbawiając ją panowania nad sobą. Dotąd była jak skała, ale dłużej już nie mogła. Zbyt wiele straciła.

Bradford troskliwie odprowadził ją do szpitala, gdzie spotkał się ze zdumionymi spojrzeniami innych pielęgniarek i mruganiem równie zaskoczonych miejscowych uzdrowiaczy. Otarłszy twarz i zmusiwszy się do skupienia na tym, co teraz było najważniejsze, Sandra ponownie wzięła się do oczyszczania i szycia potwornych ran. Zupełnie zapomniała o ostatnim rozkazie kapitana, że powinna ewakuować szpital. W pewnej chwili Bradford gdzieś sobie poszedł. Gdy bitwa się zaczęła, był na pokładzie *Walkera* i nawet się nie zastanowiła, skąd nagle wziął się właśnie tutaj.

Nie wyszła więcej ze szpitala. Ze wszystkich sił starała się powstrzymać pochód śmierci, nie widziała zatem finału bitwy. Mimo skupienia na pracy sporo słyszała i niejedno potrafiła z tego wywnioskować. Posiłki z miasta zdołały się w końcu przebić do otoczonych marines, jednak sytuacja wciąż była krytyczna i być może na nic by się ta pomoc nie zdała, gdyby nie przybycie świeżych oddziałów, które były trzymane w odwodzie dla zaszachowania rezerwowych sił grików. Gdy Adar spostrzegł, co się dzieje, rozkazał zebrać wszystkie dostępne łodzie i wylądował z odwodem na nabrzeżu. Byli w nim też marynarze z pływających domów, do których dołączyła większość załogi niszczycieli prowadzona przez Jima Ellisa. Mieli karabiny, pistolety i wszystkie sprawne ciężkie karabiny maszynowe z okrętów. Zdążyli na czas.

*Salissa* znowu wysunęła wiosła i podeszła jak najbliżej, żeby razić swoimi wielkimi działami tylne szeregi nieprzyjaciela. *Mahan* był jeszcze bez pary, ale *Walker* wszedł na jednej śrubie w ujście rzeki tak daleko, że omal nie zarył w muliste dno, i zasypał jaszczury gradem pocisków. Ellis ustawił wszystkie trzydziestki na lewym skrzydle formacji, gdzie wał ziemny dochodził do morza, i wraz z dwoma pięćdziesiątkami, które strzelały z niszczyciela, zaczął metodycznie masakrować flankę przeciwnika.

Grikowie próbowali jeszcze walczyć, ale znaleźli się między świeżymi oddziałami, które wychodziły zza zasieków, a murami miasta, gdzie mała odcięta grupa jakimś cudem

wciąż się broniła. Gdy doszedł do tego miażdzący ostrzał z lądu i morza, przerażona armia grików zaczęła ustępować, aż w końcu wpadła w panikę. Jak podczas walki na pokładzie *Salissy*, poczucie wspólnoty, które motywowało ich do szaleńczych ataków, ustąpiło miejsca nagłemu zrozumieniu, jak wielkie zawisło nad nimi niebezpieczeństwo. Cała odwaga czy instynktowna agresja wyparowała w jednej chwili, przemieniając groźną armię w uciekające na oślep stado bezmózgich zwierząt.

Depcząc się i tratując, próbowali umknąć jak najdalej. Teraz myśleli już tylko o tym, żeby przeżyć. Wszystkie sprzymierzone oddziały błyskawicznie wyczuły okazję i rzuciły się w pościg. Potem oceniono, że z całej wielkiej armii nie ocalało zapewne więcej niż tysiąc grików.

Sandra Tucker słyszała to wszystko, zwłaszcza huk dział *Walkera* i basowe dudnienie artylerii *Salissy*, staccato pięćdziesiątek i zjadliwe ujadanie trzydziestek na brzegu. No i ten triumfalny ryk, kiedy grikowie masowo rzucili się do ucieczki przy wtórze jeszcze głośniejszego szczęku oręża. Potem, po czasie, który wydał się jej wiecznością, zapadła dziwna cisza.

Ranni wciąż napływali i ich krzyki przywołały Sandrę do rzeczywistości. Wiedziała, że jakimś cudem wygrali, ale jej własna walka nie dobiegła jeszcze końca. Potem w namiocie zjawił się Silva, niczym wielki i mroczny demon wojny. Zgubił hełm i cały był pokryty zaschłą krwią. Tylko białka oczu i zęby lśniły jasno w jego niemal czarnej twarzy.

- Mam tu jednego dobrego człowieka - powiedział, wskazując na równie jak on brudnego towarzysza, którego trzymał przewieszzonego przez ramię.

Sandra poprowadziła go do zakrwawionej pryczy, na której złożył ciało. Zrobił to zdumiewająco ostrożnie. To był kapitan Reddy. Za nimi przykuśtykał bosman Gray, któremu pomagał iść... Earl Lanier. Gruby kucharz ścisnął ciągle kord w lewej dłoni i wydawał się bardzo poważny i zamyślony. Ostatecznie, jakby kończąc tę serię cudów, Chack i jakiś marine przyprowadzili Kejego.

- Ale sama widziałam... - zaczęła cicho Sandra, przerwała jednak i rzuciła się sprawdzać puls Matta. Potem rozdarła jego zakrwawioną koszulę.

- To było coś, ma'am - powiedział Silva. - Zupełnie wariactwo! Cała armia grików na nich runęła i było widać tylko błysk ostrzy i latające głowy. - Zerknął na bosmana, który stał ciągle z Lanierem, i z zastygłą w maskę twarzą przyglądał się, jak Sandra bada rany Matta. - Trzech zabijaków. Czy im się to spodoba czy nie, tak będę ich nazywał. - Wyciągnął zakrwawioną dłoń do bosmana, który odwzajemnił uścisk. - Ty ciężki idioto - warknął, ale złagodził ton, gdy Sandra spojrzała nań karcąco. - To on i Chack nas uratowali, ma'am -

wyjaśnił. - Podbiegli i osłaniali nas tak długo, aż marines przeciągnęli nas do czworoboku. Tom Felts i Shinya też pomogli.

Sandra chciała coś powiedzieć, ale nagle ujrzała łzy w oczach Silvy.

- Stary Tom został na polu, ma'am - powiedział mat zdławionym głosem. - Dostał, gdy byliśmy już prawie z powrotem. Też był dobrym gościem.

Sandra lekko dotknęła jego ramienia i uśmiechnęła się do niego ze smutkiem, ale i wdzięcznością. Potem zajęła się znowu Mattem.

Dopiero teraz przyjrzała się jego poranionej i posiniaczonej twarzy. W blasku latarni pełgały po niej widmowe cienie. Tak wiele dla nas wycierpiał, pomyślała. I to od samego początku. Tyle że dusił to w sobie i nikt niczego nie widział. Walczył sam, bo uważał, że tak trzeba. Gdyby nie krył swoich problemów i wątpliwości przed nami i lemurami, pewnie nie byłoby nas tu dzisiaj. Nie byłoby tego niezwykłego zwycięstwa. Pewnie bylibyśmy już martwi, jak Kaufman. Bez jego zdecydowania wszystko by się rozeszło w szwach.

Delikatnie dotknęła jego warg, upewniając się, że oddycha. Wydawał się starszy, niż był naprawdę. Dopiero teraz zauważyła siwe włosy w jego krótkim zarostcie na brodzie. Może i mylił się, ufając Aryaalanom, ale wiedziała, że nigdy mu tego nie powie. Może cały ten pomysł, żeby pokonać grików i stworzyć świat, w którym ludzie i lemury żyliby bezpiecznie, był od początku mrzonką. Wstała ostrożnie, żeby go nie zbudzić, i przeciągnęła obolałe mięśnie. Może tak nawet jest, pomyślała, ale warto i trzeba spróbować. Jeśli nawet *Mahan* i *Walker* ocalały przed Japończykami tylko po to, żeby wplątać się teraz w inną, wieczną wojnę, to trudno. Będzie wspierać kapitana Reddye'go, na ile on jej na to pozwoli. I przywracać go do pionu, jeśli będzie trzeba. Skoro on wierzy, że to wszystko ma sens, nie ma powodu, by i ona nie miała w to uwierzyć.

## ROZDZIAŁ 2

Książę Rasik-Alcas pólleżał na stosie poduszek naprzeciw ojca w sali tronowej wysokiego, rozłożystego pałacu. Sierść miał zmatowiałą od krwi, jednak nie własnej. Przeszło mu przez myśl, że leżąc tak, zniszczy poduchy, ale nie przejął się tym. Był wyczerpany po walce, która ogarnęła całe miasto, gdy dwie wielkie armie ścierały się pod jego murami. Rasik nie myślał stawać do boju, ale gdy część pałacowych gwardzistów, wściekła i zawstydzona sytuacją, zaatakowała króla, nie było innego wyjścia. Co dziwne, książę nie widział w walce nic zabawnego, przynajmniej gdy chodziło o bezpośredni udział. Bardziej interesowały go strategia i polityka, czyli to, co najbardziej mogło być potrzebne przyszłemu królowi. Robienie białą bronią chętnie zostawiał innym, chociaż potrafił nią władać.

I czasem to się przydaje, pomyślał, patrząc, jak ojciec gorączkowo opycha się jedzeniem. Król ewidentnie nie radził sobie w takich sytuacjach. Aż pisnął ze strachu, gdy miecz gwardzisty świsnął mu koło ucha. Chybił o włos, rozcinając monarszą szatę, a Rasik wciąż nie pojmował, jak mógł nie trafić, zamierzając się na tak otyłą i niezgrabną osobę jak ojciec. Ale płynie z tego nauka, pomyślał, że gwardzistów pałacowych należy werbować spośród szlachty. Nawet jeśli zdradzą, nie będą umieli zagrozić władcy.

Spojrzał obojętnie na jedyne go gwardzistę, który był z nimi w sali tronowej. Ten jest lojalny, pomyślał nie bez ironii. Nie znał jego imienia, ale przekonał się już, że to prawdziwy wojownik. Walczył u jego boku, broniąc króla przed zamachowcami. W pewnej chwili tylko on. Teraz rozglądał się nerwowo, nastawiając ucha na odgłosy walki dobiegające niekiedy przez szerokie łukowe okna. Zamach się nie powiódł, ale usunięcie wszystkich zdrajców musiało zająć trochę czasu. No i był jeszcze Rolak. Rasik aż syknął, wspomniawszy o nim. Ciągłe czuł zimne ostrze, które wódz przyłożył mu do szyi. Rolak musi zginąć, poprzysiągł sobie. Tak jak Sieroca Królowa.

- Mówiłem ci - rzucił Fet-Alcas, starając się bez skutku przybrać groźny ton - powinniśmy byli wypuścić Rolaka!

Rasik westchnął.

- Nie, nie mówiłeś, panie - odrzekł.

Fet-Alcas zamrugał.

- Ale i tak wyszedł. A ten dziwny morski lud i tak pokonał grików! - dodał piskliwie. -



Twierdziłeś, że na pewno im się nie uda!

Rasik zrobił taką minę, jakby w ogóle go to nie interesowało.

- A potem ten bunt! - wykrzyknął król, plując jedzeniem po posadzce. - Nigdy w historii Aryaalu nikt nie zbuntował się przeciwko prawowitemu królowi! A wszystko przez to, że doradziłeś mi pozbawić moich poddanych szansy udziału w bitwie. Bitwie zaplanowanej przez samego protektora! - Spojrzał w ciemne okna. - To była największa bitwa w dziejach... I to zwycięska. - Obrócił się ze złością do syna. - To twoja wina! - rzucił, biorąc puchar z sipem. - Nie chciałem, żeby Rolak opuścił miasto, ale tylko dlatego, że zapewniałeś mnie, że morski lud przegra. Tymczasem mogliśmy spaść na resztki armii grików i wtedy to byłoby nasze zwycięstwo!

Nagle beknął i poruszył się niespokojnie w fotelu.

- Ale nie! - podjął z goryczą. - Też żałosny morski lud i jego przyjaciele na żelaznych okrętach nie przegrali! To my przegraliśmy! - Wbił spojrzenie w ciemność. - Największą kiedykolwiek stoczoną bitwę! - powtórzył i znowu łyknął piwa.

- Nie narzekaj, panie - rzucił Rasik. - Nasz lud trochę jednak sobie powalczył.

Fet-Alcas spojrział na niego wściekle i chciał coś krzyknąć, ale z jego ust trysnął nagle strumień krwi, który zaczerwienił jego białą szatę i spłynął do stóp. Rasik i gwardzista podbiegli do niego. Spojrzał na nich przerażony i zaskoczony.

- Król jest chory! - zawołał gwardzista, chcąc zaalarmować innych.

- Nie - powiedział Rasik, wbijając swój miecz w szyję żołnierza.

Krew trysnęła mu na rękę i rozlała się kolejną kałużą po podłodze. Gwardzista upadł i szamotał się jeszcze chwilę, zalewając posoką coraz większą połać komnaty i smagając siebie samego zakrwawionym ogonem, aż w końcu znieruchomiał.

Oślepiały król spojrział na ciało i spróbował coś powiedzieć, ale ponownie zwymiotował czerwienią. Zaczęły targać nim bolesne spazmy, aż w końcu tylko strumyk krwi sączył mu się z ust. Trucizna, którą wypił z piwem, działała wyjątkowo zdradziecko, przeżerając tkanki i zarazem znieczulając, żeby przedwczesne cierpienie nie ostrzegło ofiary. Król spojrział na trzymany jeszcze w ręku puchar i upuścił go przerażony.

Rasik z wolna schował miecz i sięgnął po broń gwardzisty. Był mocno pobudzony i ogon chodził mu nerwowo.

- Nie - powiedział sykliwie, ukazując zęby. - Nie jesteś chory, panie. Jesteś już martwy. Zamordowany przez innego gwardzistę, który również zdradził.

Mówiąc to, ciął ojca na skos w szyję z taką siłą, że ostrze wbiło się głęboko w ciało. Fet-Alcas zagulgotał rozpaczliwie, zsunął się z tronu i legł na podłodze niedaleko gwardzisty.

Rasik dłuższą chwilę stał w bezruchu, nasłuchując. Czekał, aż uspokoi mu się oddech. Potem położył zakrwawiony miecz na podłodze, wyciągnął swój i umoczył sztych we krwi otaczającej ciało ojca.

- Królewska krew jest na tym mieczu - szepnął i skierował się do wyjścia z sali. Po chwili zaczął biec. - Mordercy! - wykrzyknął ile sił w płucach, gwałtownie otwierając drzwi. - Zamordowali króla!

\*

Courtney Bradford stał na wale i patrzył przez „pożyczoną” lornetę na pole wczorajszej bitwy. Nad horyzontem pojawiły się już pierwsze promienie słońca, jednak Australijczyka interesowały jedynie trupy, które zalegały, w stosach i pojedynczo, aż po kres podmokłego terenu. Czasem coś tam się poruszyło, ale Bradford nie wiedział, czy to ranny grik, którego przeoczono wieczorem, czy może awangarda padlinożerców ściągających na nieoczekiwaną ucztę.

Czekał właśnie na padlinożerców. Królowa Maraan, piękna istota, jak musiał przyznać, powiedziała mu o skuggikach, małych stworzeniach wielkości indyka, które pojawiały się po każdej bitwie. Chodziły na dwóch nogach i trochę przypominały grików, tyle że były znacznie niższe i w ogóle nie miały górnych kończyn, natura obdarzyła je za to wielkimi paszczami oraz silnymi nogami i przypominającymi bicz ogonami. No i były podobno bardzo szybkie. Bradford bardzo chciał je zobaczyć.

Może tam? pomyślał, gdy coś znowu jakby się poruszyło. Trudno mu było utrzymać lornetę jedną ręką i co rusz bezwiednie podrywał drugą z temblaka. Nie, to tylko wiatr coś szarpie, stwierdził. Opuścił rękę, żeby dać jej trochę odpocząć. Zerknął w prawo i ujrzał ze zdumieniem stojącą tam grupkę uzbrojonych lemurów, patrzących na niego z nieskrywaną ciekawością. Poczul się nieswojo.

- Jestem naukowcem, a nie miłośnikiem makabry - powiedział, ale oni dalej mu się przyglądali. Westchnął i cofnął się trochę. Większość wyznaczonych na tę noc straży rekrutowała się z oddziałów Rolaka i królowej, a ci kotowaci nie znali angielskiego. Wcześniej zrobili co mogli, żeby odszukać własnych rannych i zebrać poległych, ale część na pewno tam została. Strażnikom mogło się nie podobać, że ktoś sterczy tu o poranku i wypatruje niecierpliwie, aż jakieś ścierwojady zaczną pożerać także ich towarzyszy.

Westchnąwszy raz jeszcze, Bradford pozwolił lornecie zawisnąć na rzemieniu i możliwie godnym krokiem odszedł w stronę otoczonego migotliwymi pochodniami szpitala. Tam straż pełnili marines, chociaż ledwie już stali na nogach. Po wczorajszej zdradzie nie

chcieli przekazać posterunków Aryaalanom ani B'mbaadanom. W końcu zeszli z wału, gdy Adar kazał im odpocząć, ale nie chcieli widzieć niepewnych sojuszników przy swoich rannych towarzyszach i dowódcach. Tyle że częściej się zmieniali. Bradford wiedział już, co się właściwie stało, i był wdzięczny miejscowym wojownikom, że jednak przybyli na pomoc, ale rozumiał też żołnierzy piechoty morskiej.

Na ziemi wokół szpitala leżało wielu rannych. Bradford kluczył między śpiącymi, domyślając się, że wielu z nich nigdy się już nie obudzi. Wielu, ale nie większość, a to głównie dzięki wysiłkom porucznik Tucker, która wyszła właśnie z szarzejącego w porannym świetle namiotu. Zapewne nie przekazała miejscowym szczególnie wiele ze swej wiedzy medycznej, zwłaszcza że kotowaci mieli sporo efektywniejszych środków, jak choćby ich antyseptyczna maść, wprowadziła jednak nowe metody pracy. Przede wszystkim szpitale polowe i właściwą im organizację. Tego miejscowi uzdrowiacze nie znali. Lud morza nie potrzebował szpitali polowych, bo nie staczał żadnych wielkich bitew, a mieszkańcy Surabai, chociaż walczyli cały czas, po prostu nie wpadli na ten pomysł. Może dlatego, że ich bitwy nigdy nie wiązały się z podobną liczbą ofiar. Z drugiej strony, oni jedni wiedzieli, co to kapitulacja, i stosowali się do jej zasad, przynajmniej między sobą, dzięki czemu ich konflikty zbrojne nie były zbyt krwawe. Jakkolwiek było, młoda pielęgniarka dokonała heroicznego czynu. Bradford podszedł do niej powoli.

- Powinna pani odpocząć - powiedział cicho, żeby nie przerywać rannym płytkiego snu. Pokiwała głową i uśmiechnęła się słabo. - Zresztą sama pani wie najlepiej, jak się czuje.

- Tak - westchnęła. - Uzdrowiacze, których zabraliśmy, robią cuda. Nie poradziłabym sobie bez nich. - Twarz trochę się jej rozpogodziła. - I jeszcze Pam i Kathy przybyły z *Mahana*, żeby pomóc. Boże, tak się cieszę, że są całe i zdrowe! - Wskazała na namiot i pokręciła głową. - Są jeszcze w środku. W nocy było bardzo źle, ale na *Mahanie* też nie miały łatwo. Ten wieczny strach o życie, obawa przed gwałtem... Gdy Kaufman dowodził... to znaczy udawał, że dowodzi, na pokładzie panował istny chaos. Opowiadają takie rzeczy... - Przerwała i spojrzała na wał. - Beth Grizzel zeszła na ląd z Kaufmanem. Wiedział pan o tym?

Bradford pokiwał głową i poklepał ją po ramieniu.

- Pan Ellis powiedział mi o tym wieczorem.

Sandra zadrżała, ale nie oderwała spojrzenia od wału i zasieków.

- Przeklęty Kaufman! - mruknęła ze złością. - Tyle naszkodził. Mam nadzieję, że smaży się w piekle!

Bradford uniósł brwi, ale uznał, że lepiej będzie powstrzymać się od komentarza.

- Jestem pewien, że tak właśnie jest. - Podprowadził ją do ławy i stanął obok, gdy

usiadła. - A jak miewa się kapitan i jego towarzysze? Mieli wielkie szczęście. Wciąż trudno mi uwierzyć, że przeżyli.

Sandra spojrzała obojętnie na złożone na kolanach dłonie.

- Jak pan powiedział, mieli nieprawdopodobne szczęście. Keje ma chyba wstrząśnienie mózgu, ale poza tym wyszedł bez draśnięcia. Bosman dostał strzałę w miednicę i grot odbił się od kości, ale też szczęśliwie, bo nie w dół i nie doszło do perforacji jelit. Nie wiem, czy maść lemurów jest skuteczna w takich przypadkach. Jakiś czas będzie go boleć przy chodzeniu, ale poza tym jest w porządku. Matt? - Zamknęła oczy i postarała się zapanować nad drzeniem głosu. - Pęknięcie kości policzkowej, głęboka rana cięta boku, rany klute pleców, obojczyka i piersi. - Zaśmiała się gorzko. - Tyle że czyste, bez wielu odłamków kostnych i śmieci. Grikowie mają ostre groty włóczni. - Mimo wszystko lzy napłynęły jej do oczu.

- Bardzo ci na nim zależy? - spytał Bradford. Usiadł obok i objął Sandrę zdrowym ramieniem.

- Oczywiście - szepnęła Sandra całkiem bez zastanowienia.

- Oczywiście - powtórzył Bradford. - I nam wszystkim też.

\*

Słońce wstało wreszcie, ukazując pobojuwisko ze wszystkimi szczegółami. Późnym rankiem zaczęły nadciągać skuggiki, i to tak licznie, że nawet Bradforda zemdliło, gdy patrzył, co robią te stada ścierwojadów. Wszędzie, aż do podstawy otaczających miasto wzgórz, uctowały na ciałach tysięcy grików. Z daleka wyglądało jak kłębowisko robaków na gnijącym mięsie. Niebo było bezchmurne i palące słońce sprawiało, że smród rozkładu robił się coraz większy.

Kulejący jeszcze trochę Jim Ellis podszedł do prowizorycznego namiotu szpitalnego, gdzie trafił na chodzącego tam i z powrotem Rolaka. Tuż obok stał Chack, który cierpliwie wyjaśniał coś lordowi. Jim poznał go ledwie poprzedniego dnia, ale nie zdumiał się ani trochę, gdy kotowaty bosman zasalutował mu energicznie.

- Dzień dobry, sir - powiedział Chack. Bandaż na jego ramieniu przesiąkł krwią, poobijany hełm w pewien sposób dodawał mu powagi. Na drugim ramieniu trzymał karabin Kraga-Jorgensena z długą lufą, przy pasie zwisał kord.

- Dzień dobry, panie... Chack. - Ellis wskazał na Rolaka, który przerwał marsz i uważnie przyglądał się oficerowi. - Co z nim?

- Chce się widzieć z kapitanem.

- Ja też - stwierdził Jim i spojrział na zegarek. - Zapewne będzie miał dla nas czas za jakiś kwadrans. Dostałem wezwanie na dwunastą.

Chack pokiwał głową.

- Tak, sir, ale tutaj. Odprawa odbędzie się blisko nabrzeża, w cieniu wału. Kieruję tam wszystkich przybywających.

- Przenieśliście kapitana w tym stanie? - spytał zdumiony Ellis.

- Sam poszedł.

\*

Matt siedział sztywno na stołku blisko miejsca, gdzie Ellis poprzedniego dnia ustawił swój karabin maszynowy. Lewą rękę miał ciasno przywiązaną do ciała, żeby od przypadkowego poruszenia nie otworzyły się rany. Zapadnięte oczy i fioletowo-żółte siniaki pokrywające lewą połowę jego twarzy ostro kontrastowały z ogolonymi właśnie policzkami oraz czystym mundurem i pozwalały się domyślać samopoczucia kapitana. Za nim stała ze zmarszczonym czołem porucznik Tucker, której bardzo się nie podobało, że chory wstał z łóżka. Bosman Gray wspierał się na kulach dostarczonych mu ze schowka medycznego na niszczycielu. Znowu miał na głowie kapelusz, który ktoś znalazł na pobojuwisku, szukając rannych i zabitych. Obok miał porucznika Shinyę, który ciągle nie mógł uwierzyć, że wyszedł z walki prawie bez szwanku, choć nie unikał najgorętszych miejsc. Co rusz spoglądał na pobojuwisko, gdzie uctowały ścierwojady, i sięgał do wiszącego przy pasie pałasza, jakby chciał się upewnić, że broń wciąż tam jest.

Poza nimi stawiło się jeszcze wiele innych osób. Byli wszyscy kapitanowie pływających domów oraz Rick Tolson z *Zemsty*. Matt już pochwalił jego oraz całą dzielną załogę statku i wszyscy pękali z dumy. Delegacja załogi też była obecna. Chack został dowódcą 2. kompanii piechoty morskiej, ponieważ poprzedni odpowiedzialny za nią oficer zginął w bitwie, tak jak niemal wszyscy pierwotni dowódcy biorących w niej udział jednostek. Trzeba było awansować na ich miejsce zastępców, a czasem i podoficerów. 5. pułk gwardii znalazł się w ten sposób pod komendą zwykłego sierżanta. Nie było nikogo z 4. pułku, bo nikt z niego nie przeżył.

Keje siedział na stołku z ręką tak grubo spowitą bandażami, że wyglądała jak turban. Obok stała jego córka, spoglądająca z niechęcią na piękną czarnofutrą królową B'mbaado. Jeśli Safira to zauważyła, nie dała nic po sobie poznać. Była wspaniale wystrojona, czym różniła się mocno od większości obecnych. Czarna peleryna i lśniący zbroja, wczoraj zabłocone i okrwawione, musiały zostać albo starannie wyczyszczone, albo nawet zastąpione

nowymi. Wraz z nią zjawili się Haakar-Faask w asyście czterech gwardzistów. Nie wyglądali tak dostojnie jak ich królowa, ale też o siebie zadbali. Adar rozmawiał po cichu z Kejem, który machinalnie kiwał głową i krzywił się z bólu przy każdym poruszeniu.

Z *Walkera* brakowało tylko Larry'ego Dowdena i porucznika Garretta, którzy wycofywali właśnie okręt z odległego o kilkaset jardów ujścia rzeki. Matt obserwował uważnie ich ostrożne manewry i walkę z prądem. Pamiętał, że mają tylko jeden silnik na chodzie, ale jak dotąd radzili sobie bardzo dobrze. Jim Ellis przepchnął się przez zgromadzonych, żeby stanąć obok kapitana, i Matt spojrzał na zegarek. Teraz nosił go na prawym nadgarstku.

- Chyba wszyscy już są - powiedział.

- Przepraszam za spóźnienie, kapitanie - powiedział Ellis, choć była właśnie dwunasta.

- Sprawdzam, jak idzie naprawa mojego nisz... Przepraszam, *Mahana*. O zmianie miejsca odprawy dowiedziałem się dopiero na brzegu.

Matt machnął zdrową ręką.

- Nie spóźniłeś się, Jim. A *Mahan* to twój okręt. Nie ma za co przepraszać.

- Dzięki, skipper - mruknął z ulgą Jim. Nie byłby zaskoczony, gdyby Matt odebrał mu dowództwo, uważał, że na to właśnie zasłużył. Spojrzał na *Walkera* i skrzywił się lekko. - Ale to też jest mój okręt. Może bym jednak...

Matt zdecydowanie pokręcił głową, chociaż w głębi duszy też żywił pewne wątpliwości.

- Nonsens - powiedział. - Porucznik Dowden to świetny oficer. Da sobie radę. A teraz... - Przerwał, zwracając głowę ku gromadzie oficerów, którzy patrzyli zdumieni na lorda Rolaka przepychającego się do dowódcy. Hełm miał poobijany, pióropusz gdzieś zniknął. W odróżnieniu od królowej nawet się nie umył po bitwie. Stanął przed kapitanem i spojrzał na niego przepełnionymi bólem oczami, po czym wyciągnął szablę.

Gray natychmiast sięgnął po pistolet i wycelował go w głowę protektora. W zapadłej nagle ciszy rozległy się metaliczne szczęknięcia przeładowywanej broni, gdy reszta załogi poszła w ślady bosmana. Matt uniósł dłoń. Powoli, nie odrywając spojrzenia od Matta, Rolak opadł na kolana i położył szablę u stóp kapitana.

- Panie, moje życie, mój honor i wszystko, czym jestem, należą do ciebie - powiedział bezbarwnym głosem.

Zaskoczony Adar podbiegł do niego i uklęknął obok.

- Jestem kapłanem Niebios z *Salissy* i doradcą Keje-Fris-Ara - szepnął z przejęciem. - Mało wiem o waszych zwyczajach, ale ten akurat znam. Musisz? Znam dobrze Amer-i-kanów

i zapewniam cię, że ten gest nie jest konieczny.

- To nie gest! - obruszył się Rolak. - Jeśli rozumiesz, co właśnie uczyniłem, to powiedz mu. Dałem słowo, które nie zostało dotrzymane.

- Wszyscy wiemy, że nie z twojej winy! - syknął Adar.

- Nieważne z czyjej. Chodziło o słowo Mulm-Rolaka.

Adar wstał zmieszany, spojrzął na obserwującego ich wyczekująco Matta.

- Przepraszam, kap-i-tanie Reddy, jednak o ile się nie mylę, lord Rolak pragnie tym... - przerwał, szukając lepszego słowa niż „gest”... - tym zachowaniem wyrazić swój żal wobec wczorajszego... nieoczekiwanego przebiegu bitwy.

- Nie ma takiej potrzeby - stwierdził Matt. - Jesteśmy wdzięczni lordowi Rolakowi i wszystkim, którzy przyszli nam z pomocą mimo rozkazów, które nakazywały im uczynić inaczej. - Wzruszył jednym ramieniem. - Zawdzięczam mu ocalenie wraz z wieloma, wieloma innymi.

- Mówiłem mu, że tak powiesz, ale jest już za późno - odparł kapłan.

Matt odruchowo zareagował w stylu miejscowych: zamrugał ze zdumienia.

- Na co za późno? - zapytał.

- Już to zrobił. Ogłosił, że ma wobec ciebie dług honorowy i oddaje się do twojej dyspozycji. Nawet jako niewolnik, jeśli takie miejsce mu wyznaczysz. Nie złość się. On nie zna waszych zwyczajów! Po prostu od teraz jego życie należy do ciebie.

- Ale... - Matt zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Spojrzął na starszego lemura, który wciąż przed nim klęczał. - Powiedz mu, że nie może być moim niewolnikiem! Że dziękuję, ale nie!

Adar ze smutkiem pokręcił głową.

- Wiedziałem, że to powiesz. W takim razie musisz go zabić. Tylko tak może odzyskać honor - dodał kapłan, bezradnie rozkładając ręce.

- Co? - jeszcze bardziej zdumiał się Matt. - Cholera. Tylko tego było mi dzisiaj trzeba. Ani myślę go zabijać! - wykrzyknął Matt i przymknął oczy porażony nagłym przyływem bólu.

- Dobrze, powiem mu zatem - odparł Adar. - Na ile znam jednak ich zwyczaje, w tej sytuacji popelni czym prędzej samobójstwo jako ktoś niegodny być niewolnikiem. - Adar wzruszył ramionami. - Uprzedzałem, że oni są dziwni. - Obrócił się do Rolaka.

- Czekaj! - rzucił Matt. - Nie mów mu tego. Powiedz mu, że wszystko jest w porządku. - Westchnął. - Powiedz, żeby wziął swoją szablę miecz i był gotów odpowiedzieć na kilka pytań, które zadam mu później. - Adar przełożył jego słowa i Rolak wstał z

godnością. Nie wiedząc, co powinien teraz zrobić, po prostu odstąpił o kilka kroków.

Matt też wstał, blady jeszcze i z napiętą twarzą. Zaskoczona Sandra nie wiedziała, czy powinna mu pomóc, czy raczej skłonić, żeby usiadł. Matt nie zwrócił jednak uwagi na jej wahania i spojrzał na resztę zgromadzonych.

- Domyślam się, że wygraliśmy - powiedział i jego słowa zostały przywitane owacją, chociaż niektórzy zareagowali z opóźnieniem, dopiero gdy przetłumaczono im słowa kapitana.

Wrzawa trwała kilka długich chwil, płosząc co bliższe ścierwojady na polu bitwy i odbijając się echem od murów miasta. Na ich szczycie stali milczący obserwatorzy z ponurymi minami. Matt poczekał, aż znowu zrobi się cicho.

- Wygraliśmy tę bitwę - odezwał się w końcu - i słyszałem, że każdy z was się w niej odznaczył. Jestem z was dumny. Dziękuję memu Bogu za waszą odwagę i boję nad waszymi ranami oraz wszystkimi, którzy zginęli. Wiele nas to zwycięstwo kosztowało i muszę was za to przeprosić. - Tu i ówdzie rozległy się okrzyki protestu. Domyślał się, że nikt nie oczekiwał po nim wzięcia odpowiedzialności za straty, ale jakkolwiek do nich doszło, była to jego wina. - Z każdej dziesiątki naszych żołnierzy czterech zginęło albo zostało rannych. Niektórzy tak poważnie, że długo jeszcze nie wrócą do szeregu. - Spojrzał na Safirę. - Jej wysokość królowa Maraan powiedziała mi, że jej straty są podobne. Przypuszczam, że to samo odnosi się do ludzi lorda Rolaka. Niech nikt ani przez chwilę nie wątpi w ich odwagę i słowność. To nie oni nas zdradzili, ale król Fet-Alcas, który wciąż chroni się za murami miasta, które dla niego ocaliliśmy. - Usłyszał gniewne pomruki, ale nie pociągnął tematu. Skinął na Adara, który szepnął coś królowej. - Teraz jednak chcę oddać głos jej wysokości. Z tego, co wiem, ma nam coś do powiedzenia.

Czarnofutra piękność wyszła śmiało na środek kręgu, rozejrzała się wkoło i odezwała melodyjnym i silnym głosem:

- Wojownicy B'mbaado są wdzięczni i dumni, że mogli walczyć u boku takich wojowników jak wy. Nigdy jeszcze nie doszło tu do podobnej bitwy i nigdy jeszcze nie udało się osiągnąć aż tyle mimo niesprzyjających okoliczności. B'mbaado to wojowniczy naród - stwierdziła rzeczowo, gdy umilkły pochwalne pomruki. - Często toczymy wojny. Czasem z Aryaalanami, czasem z innymi narodami zamieszkującymi na wybrzeżu. Jednak ta wojna jest odmienna. Grikowie to zło. Nie są Ludem i nie walczą jak Lud. Nie kierują się honorem, chcą tylko zabijać. Czy zależy im na czymś więcej? Może na terytorium, ale nie wiemy tego na pewno. Wiemy za to, co dzieje się z tymi, których pokonają. - Zacerpnęła głęboko powietrza. - Wraz z przybyciem grików po raz pierwszy przystąpiliśmy do wojny, której nie



chcieliśmy, na którą nie byliśmy gotowi i której nie mogliśmy wygrać. Spróbowaliśmy nawet sprzymierzyć się z naszym tradycyjnym przeciwnikiem, Aryaalem, wiedząc, że tylko razem mamy jakieś szanse. Na próżno jednak. Wrogowie byli zbyt liczni. Wiedzieliśmy, że upadek Aryaalu to tylko kwestia czasu i że B'mbaado będzie następne. Przybyłam tu z moimi gwardzistami, żeby jak najbardziej odwlec ten moment, dawno już pożegnałam się z nadzieją.

- Spojrzała wprost na Matta. - I wtedy wy się zjawiliście. Nie dla łupów czy podbojów, ale żeby pomóc! - Pokręciła głową i zamruła, wspomniawszy swoje zdumienie. - Morski lud! - Zerknęła na Jima Ellisa. - Drugi wasz żelazny okręt był tu już od jakiegoś czasu i wiedzieliśmy, że dysponuje potężną bronią, jednak w swej krótkowzroczności nie widzieliśmy dla niej zastosowania, odkąd się przekonaliśmy, Aryaal i B'mbaado, że jego załoga nie wesprze żadnej ze stron w naszej wcześniejszej wojnie. - Zamruła przepaszająco. - Poza tym był poważnie uszkodzony i co rano oczekiwałam wieści, że zatonął. Po przybyciu grików okazał się pomocny, chociaż nie mógł się poruszać. Dzięki niemu nasze miasta nie zostały od siebie odcięte i jestem wam za to wdzięczna. - Skłoniła się Ellisowi. Potem spojrzała ponownie na Matta i otaczających go oficerów. - Wszystko zmieniło się jednak, gdy ujrzeliśmy drugi żelazny okręt i wielkie pływające domy morskiego ludu. Po prostu oczyściliście zatokę z grików! Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Jestem pewna, że gdyby nie zdrada Fet-Alcasa, bitwa o Aryaal skończyłaby się pełnym zwycięstwem przy naszych minimalnych stratach. Wtedy zrozumiałam, że dla was jest to wojna o przetrwanie. Wojna nie o honor, jak zwykliśmy to widzieć, ale wojna wynikła z poczucia honoru. Wojna, w której musimy wziąć udział. - Rozejrzała się dokoła. - Od teraz do jej końca - dodała i wyprostowała się, jakby chciała powiedzieć coś szczególnie ważnego. - I dlatego ja, Safira Maraan, królowa protektorka ludu B'mbaado, proszę o przyjęcie mego narodu i moich wojowników do waszego sojuszu, który powstał, żeby raz na zawsze zlikwidować zagrożenie ze strony grików.

Rozległy się okrzyki, tupanie i oklaski. Matt wstał i uklonił się królowej, dziękując za jej propozycję. Zdołał się nawet uśmiechnąć, chociaż rozważał już wszystkie możliwe skutki powiększenia sojuszniczych sił. Podobnie jak mieszkańcy Madury w jego świecie, B'mbaadanie byli wspaniałymi wojownikami, zwykli jednak walczyć na swój sposób i trudno było orzec, czy zechcą przyjąć coś nowego w tej materii. Można było mieć nadzieję, że przebieg bitwy pozwolił im się przekonać, jak wielką rolę może odgrywać dyscyplina, i nie wyłamia się ze sprawdzonych już formacji.

Królowa jakby słyszała jego myśli, bo sama natychmiast poruszyła ten temat.

- Jestem pod wrażeniem waszego sposobu walki i odwagi - powiedziała. - Jako

sojusznik chciałabym, żebyście nauczyli nas tego, co umiecie. Czy mogę na to liczyć?

Matt odetchnął z ulgą, gdy Adar przetłumaczył mu słowa Safiry.

- Oczywiście, wasza wysokość - odparł, odchrząknawszy. - Jestem pewien, że uda się to zorganizować. - Poczekał, aż Adar zacznie tłumaczyć. - Poruczniku Shinya? - szepnął na boku.

Japończyk pochylił się ku kapitanowi.

- Sir?

- Proszę się tym zająć. Niech pan obmyśli program szkolenia nowych sojuszników. Albo też włączy ich po trochu do istniejących oddziałów, jeśli się zgodzą. Przynajmniej na razie. Muszą przejść coś w rodzaju unitarki. Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebujemy uzupełnień. - Mówiąc to, zauważył, że królowa z czymś na kształt zainteresowania przygląda się Chackowi. Może Adar coś o nim wspomniał, a może nawet sama spytała o rosnącego wojownika, który zerkał na nią spod przekrzywionego wgiętego hełmu. - Wiem, że opanował pan świetnie ich język, poruczniku, ale proszę wziąć Chacka jako oficera łącznikowego. Jeśli chce go pan zatrzymać w 2. kompanii marines, to dobrze, w końcu pomagał ich szkolić, ale na pewno jego obecność ułatwi pracę z nowymi dowódcami.

- Też tak pomyślałem, kapitanie - odparł Shinya, kiwając głową.

Matt zwrócił się do dowódców pływających domów.

- Wszyscy jesteście nie tylko kapitanami swoich statków, ale także przywódcami swoich klanów. Macie takie samo prawo głosu w sprawie przyjęcia nowego sojusznika. Jakież obiekcje?

Zapadła cisza i tylko kapitan *Fristara* skrzywił się lekko, jakby coś mu jednak nie pasowało, ale on też nic nie powiedział.

- Dobrze - stwierdził Matt i spojrzał na Safirę Maraan. - Wasza wysokość, jako dowódca Połączonych Sił Ekspedycyjnych mam zaszczyt przyjąć twój naród do sojuszu.

Rozległy się kolejne wiwaty, a królowa skłoniła się wdzięcznie. Matt zaczerpnął tymczasem powietrza i spojrzał na Rolaka, który obserwował wszystko ze stoickim spokojem.

- Lordzie Rolak.

Aryaalanin otrząsnął się z zamyślenia i natychmiast ukląkł przed kapitanem.

- Tak, panie?

Matt przetarł oczy zdrową dłonią i spojrzał na lemura, przeklinając się w myślach, że nie znalazł dotąd dość czasu, żeby nauczyć się biegle władać obcą mową. A może to lenistwo, nie brak czasu? pomyślał. Albo skryta arogancja? W sumie podejrzewał się o to, ale

rzeczywiście czas był najwyższy wziąć się do nauki. Wiele by ułatwiło, gdyby mógł się obejść bez tłumacza.

- Adarze, proszę cię, spróbuj wyjaśnić lordowi Rolakowi, że nie jest niewolnikiem. Wiem, co uczynił, ile ryzykował i ile stracił, żeby dotrzymać słowa. Nie powątpiewam w jego honor i odwagę. Podziwiam go. Powiedz mu to. Powiedz mu też, że będę wdzięczny za jego służbę i służbę wszystkich, którzy poszli za nim i walczyli u naszego boku. Nie w roli niewolników ani wasali, ale przyjaciół.

Matt zsunął się ostrożnie ze stołka i ukląkł. Słuchając Adara, Rolak uniósł z wolna głowę, aż napotkał spojrzenie kapitana. Matt uśmiechnął się doń zachęcająco i wyciągnął dłoń. Rolak spojrział na nią niepewnie, ale kapłan wytłumaczył mu znaczenie tego gestu. Wtedy lemur powoli, z wahaniem wyciągnął dłoń. Matt uściśnął ją serdecznie i zamaszycie.

Widząc, że kapitan wciąż ledwie się rusza, Shinya i Sandra pomogli mu usiąść z powrotem na stołku.

Rolak wstał i otrzepał piasek z kolan.

- Jesteśmy zatem przyjaciółmi - powiedział, zwracając się do Adara. - Nie zwalniam cię to jednak z długu, może nawet czyni go tym ważniejszym, bo przyjaźń bywa niekiedy najokrutniejszą niewolą. Wszakże w tym wypadku przyjmuję ją bez zastrzeżeń. Proszę powiedzieć kapitanowi Reddy'emu, że jest moim panem, tak jak wcześniej był nim Fet-Alcas, i mój miecz, życie i honor należą do niego, ale oferuję mu je dobrowolnie, jako przyjaciel, nie niewolnik.

Wysłuchawszy przekładu Adara, Matt odetchnął. To był chyba najlepszy kompromis, jaki mogli w tej chwili osiągnąć. Zwłaszcza że zapewniał włączenie się Rolaka do sojuszu.

- Zatem ustalone - powiedział Matt, starając się nie zwracać uwagi na coraz bardziej dokuczliwy ból. - Znam wasze meldunki, ale obecne spotkanie ma pozwolić wszystkim na pełne poznanie sytuacji. Panie Shinya, mógłby pan opisać obecny stan przeciwnika?

- Tak, sir - odparł Japończyk tak głośno, by nawet dalej stojący go słyszeli. - Z tego, co wiem, przeciwnik został niemal całkowicie zniszczony. Nasze pierwotne szacunki dotyczące całej wyładowanej na brzeg armii okazały się ostatecznie trochę za niskie. Pod koniec bitwy co najmniej kilkuset grików zdołało uciec. Nic jednak nie sugeruje, żeby wycofywali się w jakimkolwiek szyku czy porządku. Po prostu uciekli. Gdy Catalina przyleci po południu z Baalkpanu, zalecałbym wysłać ją na patrol. Tak daleki, na ile zapas paliwa pozwoli. Porucznik Mallory powinien sprawdzić, czy przeciwnik nie koncentruje się gdzieś w pobliżu.

- Uważa pan, że to możliwe? - spytał Keje. Równie obolały jak Matt starał się mówić

cicho i niewiele.

- Możliwe, ale jak sądzę mało prawdopodobne - odparł Japończyk i zamyślił się, marszcząc czoło. Nie bardzo wiedział, jak wyjaśnić, co dokładnie go skłania do tego wniosku. Ostatecznie wyręczył go w tej roli Bradford.

- Jeśli mogę, poruczniku... - Shinya skinął głową i Australijczyk odchrząknął. - Bo tak. Po pierwsze, gdy grikowie poszli w rozsypkę, to był naprawdę niezwykły widok! Rozbiegli się jak strząśnięte z koca mrówki. Jakby nagle oszaleli. Wprawdzie byłem z dala od walczących, ale tym lepiej to widziałem. Do tego nie doszło stopniowo. W jednej chwili walczyli, w drugiej gnali na oślep przed siebie. Jakby ktoś nagle odebrał im rozum i wolę walki. - Spojrzał na Kejego. - Wyglądało to bardzo podobnie jak koniec walki na pokładzie *Salissy*. Setki zginęły, nawet nie próbując się bronić, jakby w tej chwili istniała dla nich tylko ucieczka. Nawet jeśli niektórzy zdołali się po chwili opamiętać, nie byli zdolni się zorganizować i nam zagrozić. Tym bardziej że jak zostałem niedawno poinformowany, na Jawie żyje wiele ciekawych drapieźników. Może nie tak groźnych jak na Borneo, ale... - Uśmiechnął się i uniósł brwi. - Może moglibyśmy zorganizować ekspedycję, żeby je obejrzyć?

- Czasem zastanawiam się, czy Bóg nie rzucił nas tutaj tylko po to, żeby Bradford mógł zaspokoić swoją ciekawość badacza - szepnęła Sandra, pochylając się ku Mattowi.

- To zadanie przekracza nawet boskie siły - odszepnął kapitan. - Może później, panie Bradford - powiedział głośno. - Najpierw musimy wygrać wojnę. Czy potrafiłby pan określić, co dokładnie wywołało panikę wśród grików? Przecież wciąż mieli nad nami przewagę liczebną. Panie Shinya? Mógłby pan sprecyzować, ilu właściwie ich uciekło?

Japończyk zastanowił się, po czym otworzył usta i zaraz je zamknął. W końcu wskazał na pełne ścierwojadów pole bitwy.

- Nie sposób tego precyzyjnie określić, kapitanie, ale szacujemy, że zabiliśmy prawie dziewiętnaście tysięcy grików. To dwa razy więcej, niż sądziliśmy, że może ich tu być. Oczywiście żadnych jeńców, żadnych rannych - dodał zduszonym głosem.

- Oczywiście. - Matt wiedział już, że ich własne straty sięgnęły siedmiuset poległych, prawie dwa razy tyle odniosło poważne rany. Zginęło pięciu mężczyzn z załogi niszczyciela. Matt znał ich wszystkich i coś ścisnęło go w gardle, ile razy przypominał sobie ich imiona. Tom Felts, Gil Olivera i Glen Carter znacznie osłabili dział uzbrojenia. Loris Surrency i Andy Simms ubyli ze składu pierwszej drużyny pokładowej. Kapitan nie mógł się oprzeć wrażeniu, że zawiódł ich tak, jak Marvaneya, pierwszego członka załogi, który zginął w tym świecie. W tej chwili starał się nie myśleć o stracie, ale wiedział, że te twarze i nazwiska wrócą, gdy

znajdzie się w mroku swej kabiny. Że będą wracać jeszcze nie raz.

- Dziesięć do jednego, skipper - powiedział Gray, wyczuwając myśli kapitana. - Rzymianie znali się na rzeczy.

- Nie tylko oni - mruknął Matt i zamrugał, wracając do rzeczywistości. - Dobrze. Raz jeszcze spytam pana, panie Bradford, co spowodowało ten wybuch paniki.

Courtney wsunął zdrową dłoń za pasek i zakołysał się na piętach.

- Może pana rozczaruję, kapitanie, ale mamy za mało danych, żeby snuć spekulacje na ten temat...

- Ale ma pan pewną teorię - wtrącił się Adar. - Nawet o niej mówiliśmy. Niech się pan może podrapie w głowę, zamiast bujać się na piętach - rzucił kapłan, by trochę rozluźnić atmosferę. Jako kapłan nie przypominał zwykłych kaznodziejów, ale załoga niszczyciela darzyła go sporym szacunkiem i doceniała jego wiedzę oraz umiejętności. Bez trudu nauczył się angielskiego równie biegle jak Chack, lepiej niż ktokolwiek inny umiał przewidywać pogodę, a na dodatek miał jeszcze poczucie humoru. O wiele mniej ciekawi ludzie zwały siebie kapłanami trafiali przed wojną na pokłady okrętów Floty Azjatyckiej.

- Tak, sądzę, że to rodzaj psychozy tłumu - przyznał Bradford. - Tak nazwałbym to, co widziałem na *Salissie* i co ponownie zdarzyło się wczoraj. Nie sądzę jednak, żebyśmy mogli na tym opierać jakieś plany.

- Na tym, czyli na czym? - spytał stanowczo bosman Gray.

- Moim zdaniem jest to reakcja instynktowna. Ogarnia od razu całą zbiorowość i sprawia, że dotknięta panicznym lękiem grupa staje się niezdolna do zorganizowanego działania. Na przykład do walki. Byłoby świetnie, gdybyśmy nauczyli się wyzwać tę reakcję na żądanie. Tyle że z tego, co dotąd widziałem, wynika, że można tego dokonać jedynie za pomocą broni automatycznej i ciężkiej artylerii, i to jeśli się ma nad nimi przewagę liczebną oraz prowadzi zdecydowany, zaskakujący atak.

Matt zmarszczył czoło.

- Czyli nic nowego pod słońcem - stwierdził - to samo zawsze zatrzymywało zmasowane ataki w historii naszych wojen.

- Owszem, ale w walce z grikami przynosi lepszy efekt.

- Na pewno jednak należy się temu uważnie przyjrzeć - rzekł Shinya. - Gdybyśmy nauczyli się wywoływać tę reakcję w pożądanej chwili, mogłoby to nawet nabrać strategicznego znaczenia. Ale pan Bradford ma rację. Na razie nie możemy opierać swoich planów na tym zjawisku. Walczyliśmy już trochę z grikami i wiemy, że nie występuje ono zawsze, a w pewnych sytuacjach może nawet zwiększyć ich determinację. - Miał na myśli

rozpaczliwą obronę jaszczurów osaczonych w ładowni *Zemsty*. Na samo wspomnienie tej walki sięgnął do miecza, który zrobił dla niego Sandison. - Tak czy owak obecnie już ich tu nie ma.

- Dobrze - powiedział Matt. - Przynajmniej ich oddziały lądowe chwilowo nie stanowią zagrożenia. Jaki jest stan naszej floty?

- Wszystko w najlepszym porządku, kap-i-tanie - odparł Keje, ale zaraz przyłożył dłoń do czoła i przymknął oczy.

Adar zabrał głos w jego zastępstwie:

- Nie ponieśliśmy wczoraj żadnych strat. Uszkodzenia wywołane wcześniejszą walką z flotą grików nie są duże. Zużyliśmy jednak ponad połowę zapasów amunicji. Jak pan wie, możemy wziąć jej naprawdę wiele, problemem jest tempo jej produkcji. Zabraliśmy wszystko, co mieliśmy. Gdy tylko zakłady w Baalkpanie wytworzą więcej, zaraz nam to przyślą.

- A co z felukami, których nie mogliśmy się doliczyć?

- Znaleźliśmy tylko jedną, skipper - odezwał się Rick Tolson. - Tkwiła na płyciźnie blisko wysepek przy południowo-wschodnim brzegu Madury. Zdjęliśmy wszystkich z pokładu, ale jednostki nie dało się uratować. - Pokręcił głową. - Mieliśmy szczęście, że nie straciliśmy ich tam więcej. Po innych ślad zaginęła. Najpewniej jaszczury je dopadły.

- Biedne dranie - mruknął Gray.

Matt zerknął na niego, potem spojrział na zatokę, gdzie *Walker* wydostał się już z ujścia rzeki i oznajmił o tym syreną. Kapitan uśmiechnął się mimowolnie. Wprawdzie ufał swojemu zastępcy, ale i tak się denerwował, o czym Dowden na pewno wiedział. Teraz szczerze mu ulżyło.

- Dobrze - powiedział. - Skoro pan Dowden uratował już mój okręt przed nazbyt długim kontaktem ze słodką wodą, mogę poinformować wszystkich, że *Walker* wyszedł z walki z osmaloną farbą, kilkoma wybitymi szybami i złamanym piórem jednej ze śrub.

Wszyscy z powagą pokiwali głową. Miejscowi nigdy nie widzieli śruby okrętowej, ale pokazywano im rysunki, mieli też okazję obserwować wodnosamolot i pojmwali, na jakiej zasadzie działa śmigło. Matt wciąż nie mógł się temu nadziwić. Był pewien, że gdyby taka Catalina pokazała się dwa tysiące lat temu wśród jego przodków, to albo zostałyby potraktowane kamieniami i włóczyniami, albo dałaby początek nowej religii. Nikt nie próbowałby niczego zrozumieć, uznawszy zjawisko za magiczne. Tymczasem reakcja lemurów sprowadzała się do stwierdzenia: „Aha. No tak. Dla nas to całkiem nowe, ale ma sens”.

Może pomocne było to, że ich kultura, zwłaszcza kultura ludu morza, rozwinęła się i trwała dzięki zrozumieniu zjawisk przyrody. Na przykład wiatru. Musieli już dawno temu pojąć, że powietrze jest materialne i nieważne, czy je widać, czy nie. Zнали dość latających stworzeń, żeby i samo zjawisko lotu ich nie dziwiło. Od tego był już tylko krok do zaakceptowania koncepcji latającej maszyny. Z drugiej strony ludzie z ery brązu pewnie by tego nie potrafili. Matt zastanowił się przelotnie, czym kotowaci zaskoczą go następnym razem.

- To zmusza nas do zastanowienia się nad jeszcze jedną kwestią - powiedział, zwracając się do Jima Ellisa. - Chcę, żeby *Mahan* jak najszybciej zawinął do Baalkpanu. Nie ma tam suchego doku, ale ogólny remont okrętu nie przekracza naszych możliwości. Obecnie *Mahan* nie nadaje się do walki i musimy jak najszybciej to zmienić. Zanim jednak wyruszy w drogę, chcę pożyczyć jedną z jego śrub.

Jim aż gwizdnął.

- Trudna sprawa, skipper. Jak się do niej dostaniemy? Tutaj nie da się nawet wejść do wody.

Matt odetchnął, że Jim ograniczył się tylko do takich obiekcji i nie zaprotestował przeciwko dalszemu pogarszaniu sprawności technicznej swego okrętu. Matt wolałby tego uniknąć, ale nie widział innego rozwiązania. Gdyby *Walker* musiał korzystać tylko z jednej maszyny, bardzo ograniczyłoby to jego potencjał bojowy.

- Nie wiem, Jim, ale coś wymyślimy. Omówimy to po odprawie. Ustalimy też plan remontu *Mahana*. - Spojrzał na Rolaka. - A co się dzieje w mieście? Widzę strażników na murach, lecz nikt nie odpowiada na stukanie do bram.

- Wojna domowa - jęknął Rolak. - Nocą wyrwali się stamtąd jeszcze inni wierni mi wojownicy. Opowiedzieli o walkach ulicznych... i różnych strasznych wydarzeniach. - Spuścił oczy. - Wydaje się, że pragnąc ratować honor mego miasta, sprowadziłem na nie nieszczęście. Od rana nie zjawił się nikt więcej i nie wiem, co dokładnie dzieje się w tej chwili. Domyślam się jednak, że zwolennicy króla odzyskali kontrolę nad główną bramą.

- O jakich strasznych wydarzeniach słyszałeś? - spytał cicho Matt.

- Jak już wiesz, gdy Fet-Alcas odmówił wypuszczenia nas z miasta, żebyśmy mogli uderzyć na tyły przeciwnika, przejechaliśmy wraz z królową do północnej bramy. Tam musieliśmy wywalczyć sobie drogę. Po mieście szybko rozeszła się wieść i o tym, i o zdradzie króla. Wielu nie kryło oburzenia, że pozbawiono ich szansy na udział w tak wielkiej bitwie. Być może niektórym trudno będzie to zrozumieć, ale dla nas stać na murach i tylko przyglądać się takiej walce to coś trudnego do zniesienia. Fet nigdy nie był popularny.

Odziedziczył tron po zmarłym bracie, którego uwielbiano i szanowano. Nawet w B'mbaado, jak sądzę.

- Tac-Alcas był godnym przeciwnikiem - bez wahania powiedziała Safira. - Często z nim walczyliśmy i nigdy nie było łatwo, ale ojciec go szanował, bo był odważny i honorowy. Ja też. Tac-Alcas nigdy by nas nie zdradził, jak zrobił to jego brat.

- Już wcześniej narastała aktywność różnych frakcji. Politycznych - dodał szyderczo. - Przypuszczam, że wszyscy skłonni mnie poprzeć opuścili już miasto i obecnie walczą z królem przedstawiciele szlachty, którzy chcieliby przejąć władzę. Wyczuli okazję i rzucili się na niego jak skuggiki. Wątpię, żeby ktokolwiek z nich wypatrywał mojego powrotu. Tak jak i król, oczywiście.

- Mimo to musimy z nimi porozmawiać - zauważył Matt. - Niezależnie od tego, kto dzierży tam obecnie władzę.

- Istotnie - przyznał Rolak. - Poza tym wielu wojowników, którzy chcą się do mnie przyłączyć, zostawiło tam rodziny. Moja przyjaźń z tobą do niczego ich nie obliguje, oni jednak uważają, że jest inaczej. Jeśli to będzie konieczne, spróbuję zdobyć miasto, żeby wydostać rodziny moich ludzi.

- Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne - odezwała się Sandra.

Wszyscy pokiwali głowami i Matt odchrząknął.

- Rozumiem - powiedział. - Zapewne twoje przypuszczenia są słuszne, lordzie Rolak. Tak jakoś wyszło, że odnieśliśmy tutaj wielkie zwycięstwo. Okazało się bardziej kosztowne, niż oczekiwaliśmy, i stan naszych wojsk jest obecnie gorszy, niż na to liczyliśmy. Nie zmienia to jednak zasadniczego planu kampanii. Musimy czym prędzej ruszyć na północ, w kierunku Singapuru. Opierając się na zdobytych mapach wroga, sądzimy, że jak dotąd przeciwnik ustanowił tam jedynie przyczółek. Flota, którą zniszczyliśmy, odwiedziła go zapewne wcześniej, ale nic nie wskazuje na to, żeby znacząco wzmocniła tamtejszy garnizon. Przypuszczamy też, że ocalałe z pogromu statki skierowały się właśnie do Singapuru. Przy pomocy wojowników królowej Maraan i lorda Rolaka powinniśmy zniszczyć załogę tamtejszej placówki. Musimy tylko działać szybko, zanim przeciwnik przyśle posiłki. - Spojrzał na zamyślane twarze zgromadzonych. - Nasze priorytety przedstawiają się zatem następująco. Po pierwsze, wdrożyć nowe oddziały do współdziałania z naszymi. To będzie wymagało waszej znaczącej pomocy - dodał, patrząc na królową i Rolaka. - Wasi podwładni to dumni wojownicy i może im się nie spodobać, że mają uczyć się nowej taktyki, zwłaszcza od ludu morza, który nie ma wojennych tradycji.

- Nie będą mieli nic przeciwko temu - zapewniła go Safira. - Nie po wczorajszej



bitwie.

W tej sytuacji Matt zachował sceptyczne uwagi dla siebie, chociaż doświadczenia historyczne podpowiadały, że wcale nie będzie tak łatwo. Wiedział chociażby, z jakimi oporami przyjmowano w Europie amerykańskie doświadczenia wynikłe z wojny secesyjnej.

- Po drugie - podjął - chcę wykorzystać wszystkie feluki do transportu zaopatrzenia z Baalkpanu oraz patrolowania wybrzeża. Musimy sprawdzić, czy nieprzyjaciel nie ustanowił innych jeszcze przyczółków. Wyprawimy także zwiad w stronę Singapuru. Rick Tolson i Kas-Ra-Ar skompletują w tym celu grupę najszybszych jednostek z *Zemstą* włącznie. - Spojrzał na Ricka. - Tylko zbytnio nie ryzykujcie. Na pewno oczekują, że gdzieś tam się pojawimy, ale nie chcę, żeby zostali uprzedzeni o ataku.

- Oczywiście, kapitanie.

- Chcę też odesłać rannych do domu - powiedział Matt i spojrzał z namysłem na dowódców pływających domów. - Proszę was o wybranie jednostki, która popłynie z nimi do Baalkpanu. - Nie miał wątpliwości, że wskażą na *Fristara*. Nawet teraz pozostali wodzowie zdawali się unikać Anai-Sa. Jego statek ciągle zostawał w tyle podczas bitwy w zatoce, nie popisał się też inicjatywą podczas ostrzeliwania lądowych oddziałów grików. Adar powiedział, że jego artylerzyści dali ognia może z tuzin razy, jakby Anai chciał za wszelką cenę oszczędzać amunicję. - Ktokolwiek to będzie, musi przewieźć rannych i wrócić czym prędzej z wszystkimi wojownikami, których Baalkpan będzie mógł nam oddać. Na koniec musimy jakoś rozwiązać sytuację na miejscu. Mam nadzieję, że uda się załatwić to pokojowo, ale coś zrobić trzeba. Gdy ruszymy dalej, zabierzemy ze sobą tylu wojowników, ilu tylko będzie można oderwać od zadań obronnych. - Spojrzał na królową, która po chwili mrugnęła na potwierdzenie, że słucha. Nie potrafił powiedzieć, czy się zawahała, czy tylko zamyśliła na moment. - Nie możemy pozostawić tu znaczącego garnizonu do ochrony naszych tyłów oraz linii zaopatrzeniowych i obrony B'mbaado przed zakusami Fet-Alcasa. No i najpierw trzeba wyjaśnić sytuację w Aryaalu.

Zgodnie z oczekiwaniami Matta zebrani odnieśli się do tego z mieszanymi uczuciami. Lud morza nie miał nic przeciwko wojnie totalnej z grikami, jednak atakowanie innych lemurów, kimkolwiek by oni byli, uznawane było wśród nich za niegodne. Nigdy nie zgadzali się w tej materii ze swoimi kuzynami z Surabai. Matt pozwolił im na dłuższą chwilę szeptów i rozmów, nim ponownie poprosił o ciszę.

- Panie Shinya, 2. kompania marines i połowa pozostałej nam artylerii zajmą pozycje na wprost północnej bramy, reszta sił pozostanie przy zasiekach na wypadek, gdyby stary król miał ochotę wszcząć jakąś awanturę. - Spojrzał na pozostałych. - Na razie to chyba wszystko.

Mamy wiele do zrobienia i przez kilka najbliższych tygodni będziemy chyba bardzo zajęci. Niestety, nie mamy więcej czasu, proszę więc dobrze go wykorzystać. Jeśli ktokolwiek z was ma jeszcze jakieś pytania, wieczorem znów będę na ładzie. Wrócę na uroczystości pogrzebowe - dodał ciszej. - Teraz udaję się na mój okręt.

Odprawa dobiegła końca i wszyscy zaczęli się rozchodzić. Jedni rozgadani, drudzy pogrążeni w milczeniu. Matt zebrał siły i wstał ze stolka, zerkając z ukosa na Sandrę, która chciała mu pomóc. Dziewczyna pokręciła głową i odsunęła się trochę, ale widać było, że nie jest zadowolona z jego zachowania.

- Chcę, żebyś wyruszył jak najszybciej, Jim - powiedział Matt. - Ile czasu zajmą ci przygotowania?

Ellis przeprowadził w myślach szybki szacunek.

- Chyba tydzień do dwóch, kapitanie - odrzekł. - Nie wiem jednak, jak szybko uda się załatwić przeniesienie śruby. To może przeciągnąć sprawę.

- Wiem i przykro mi, że tak trzeba, ale nie widzę innego wyjścia - powiedział Matt. - *Mahan* na dwóch śrubach nie wyciągnie ani węzła więcej niż na jednej. Zmienimy to najszybciej jak to możliwe, ale na razie potrzebujemy chociaż jednego całkiem sprawnego niszczyciela.

Ruszyli w kierunku nabrzeża. Sandra dyktowała im powolne tempo, mając na względzie stan Matta. Obok kuśtykał na kulach bosman Gray, za nimi postępowali Chuck i lord Rolak. Mając tyle do zrobienia, Matt nie chciał wracać do szpitala, ale nikt nie zamierzał mu też pozwolić na nieustanne szwendanie się po okolicy. Tuż nad wodą poczekali, aż *Walker* dokończy szeroki zwrot i podejdzie do nabrzeża. Przez dłuższą chwilę przyglądali się smukłej sylwetce niszczyciela.

- Kapitanie? - odezwał się w końcu Ellis. - Matt?

Matt uniósł brew i spojrzał na swojego byłego pierwszego oficera. Byli przyjaciółmi, ale na palcach jednej ręki można by policzyć sytuacje, kiedy zwracał się do niego po imieniu. Kiedyś robił to tylko wtedy, gdy jednoznacznie chciał dać do zrozumienia, że ich rozmowa ma charakter prywatny, nie służbowy.

- Muszę ci coś powiedzieć - rzekł Ellis. - Chciałem zrobić to już wieczorem, po bitwie w zatoce, ale wszystko poszło tak szybko... - Wzruszył ramionami i wskazał na niszczyciel, który podchodził już do nabrzeża. - Poza tym tak się ucieszyłem, że widzę i ciebie, i naszą starą blaszankę, że nie chciałem wszczynać sporu. Ale i tak... - Zmarszczył brwi, zerknął na Sandrę, szukając u niej wsparcia, po czym rozejrzał się wkoło, sprawdzając, kto może ich słyszeć.

Obok ciągle ktoś się kręcił, ale dość blisko stali tylko bosman, Rolak i Chack, przy czym dwóch pierwszych pograżyło się w rozmowie, Chack zaś tłumaczył.

- Po prostu - podjął Ellis - moim zdaniem nie powinieneś więcej ryzykować udziału w walce na ładzie, skipper. Zrobię, co mogę, żeby cię przed tym powstrzymać.

Matt, tym razem uniósł obie brwi, ale i cicho się zaśmiał.

- Musiałem tam być, Jim - powiedział. - Nakja-Mur i wszyscy wodzowie powierzyli mi naczelne dowództwo. Głupio by wyglądało, gdybym wzdragał się przed stawieniem czoła temu samemu niebezpieczeństwu co oni. Przecież nawet Keje tam poszedł.

- Keje poszedł tylko dlatego, że ty tam byłeś - powiedziała Sandra. - I omal przy tym nie zginął.

- Ale sama zapewniałaś mnie niedawno, że nie jestem wcale aż tak niezastąpiony - przypomniał jej Matt z uśmiechem.

- Kłamałam - odparła Sandra. Wcale się nie uśmiechała i Matt spowaźniał.

Jim chyba się nad czymś zastanawiał.

- Kiedy ostatni raz ludzie dostali żołd? - spytał nagle, zmieniając temat rozmowy.

- Przed opuszczeniem Filipin - odparł Matt, nie wiedząc, do czego zmierza przyjaciel.

- Jak sądzisz, co by powiedzieli na tak długie wstrzymanie żołdu przed wojną?

Matt spojrzał na Jima pytająco, jednak to Sandra mu odpowiedziała.

- On chce dać ci do zrozumienia, jak bardzo jesteś niezastąpiony. Po wszystkim, co dotąd się zdarzyło, od naszej wojny począwszy, przez szkwał i sojusz z lemurami, po niedawną bitwę, załoga *Walkera* trzyma się i wykonuje rozkazy tylko dlatego, że to ty je wydajesz. Robi to, chociaż *Walker* i *Mahan* to wszystko, co zostało dla nich z Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Nawet samych Stanów Zjednoczonych tu nie ma. Jesteś tylko ty, a ponieważ cały czas i niezależnie od okoliczności robisz swoje tak jak wcześniej, ludzie idą za tobą. Słuchają cię, bo to nadaje sens ich życiu. A nadaje, ponieważ nie pozwoliłeś, żeby wszystko się rozsypało. I wciąż to robisz. - Sandra przetarła piekące oczy. - Naprawdę nie rozumiesz, jak to działa i jak kruchy jest ten porządek?

- Ona ma rację, skipper - powiedział poważnie Jim. - Gdyby coś ci się stało, to wszystko pewnie się rozsypie. Dopiero zaczynam się dowiadywać, co osiągnąłeś w Baalkpanie, ale wystarcza mi już to, że wyprodukowaliście nawet paliwo lotnicze! - Odetchnął głęboko. - Przez jakiś czas może bym to pociągnął, ale wątpię, żeby dłużej. Nie mam wielkiego doświadczenia jako dowódca. Dowden czy Letts pewnie by mi pomogli, podobnie jak Bradford, ale bez ciebie cała ta unikatowa więź między *Walkerem* a miejscowymi zaczęłaby zanikać. Jak odbiłoby się to na działaniach przeciwko grikom? -

Zatoczył ręką szeroki krąg, wskazując na zatokę, miasto i pole bitwy. - Przecież większość z tych tutaj nie byłaby skłonna nawet gadać ze sobą, gdyby nie ty. Postrzegają cię jako uczciwego i bezstronnego mediatora. Kogoś, kto nie jest uwikłany w ich zastarzałe spory. To ty spajasz ten sojusz. - Jim opuścił głowę. - Gdy ja zjawilem się tutaj z *Mahanem*, nie chcieli w ogóle ze mną rozmawiać. Poza tym zastanów się nad naszą załogą. Jesteś ostatnim ogniwem, które wiąże ją z dawnym życiem. Z utraconą normalnością. I ładem, który znali. Wciąż jesteś dla nich kapitanem i autorytetem. Oni chcą wykonywać twoje rozkazy. - Jim ponownie spojrzął Mattowi w oczy. - Przywykłem myśleć, że pewnego dnia też zostanę dowódcą okrętu, co jest chyba normalne u każdego pierwszego oficera. Ostatnio też sporo o tym myślałem, ale gdy zobaczyłem *Walkera* ze świeżą farbą na burtach, pełnym zapasem ropy i po części nową załogą... - Westchnął. - *Walker* się odrodził, podczas gdy *Mahan* ledwie zdołał przetrwać i wygląda niemal jak wrak.

- Mieliliśmy szczęście - mruknął Matt.

- Może i tak, ale samo szczęście to nie wszystko. - Jim przystanął i potarł skronie. - Nie wiem nawet, czy w ogóle miałem jakieś szanse powstrzymać Kaufmana - dodał ze smutkiem. - Do głowy mi nie przyszło, że mógłby opanować okręt. Gdy już to zrobił, myślałem, że nikt go nie posłucha, a jednak znaleźli się tacy. Chociaż po tym, co wcześniej przeszli, trudno ich nawet winić. Kaufman stwarzał wrażenie, że jako jedyny wie, co robić. Był bardziej przekonujący niż ja. Potem zobaczyłem jednak, do czego może dojść, gdy strach i chaos odbierają ludziom nadzieję. Wolałbym tego więcej nie oglądać.

\*

Spanky McFarlane stał na rufie *Walkera* z dłońmi opartymi na chudych biodrach i spoglądał w dół na lewą śrubę niszczyciela. Woda była niemal idealnie czysta i tylko drobne fale mąciły chwilami widok, co samo w sobie było już świadectwem, że na pewno nie stoją w tragicznie zanieczyszczonej zatoce Surabai. Piaszczyste dno znajdowało się jakieś trzydzieści stóp niżej, między nim zaś a powierzchnią widać było wystającą smukłą śrubę oraz utrzymujące jej wał wysięgniki. Wszystko byłoby pięknie, gdyby nie brak jednego z trzech piór śruby oraz srebrzyste kształty przemykające co rusz w pobliżu i łypiące ku górze z nadzieją na obiad.

Obok Spanky'ego stało z pół tuzina pomocników, tak z załogi pokładowej, jak i maszynowni. Wszyscy gapili się w wodę, jakby oczekiwali wypływu lawy spod dna morza. Największy rekin nie cieszył się nigdy ich uwagą w podobnej mierze jak te niewielkie srebrzaki, powszechne w tutejszych morzach. Tuż obok unosił się *Mahan* z podobną ekipą, która także wpatrywała się w wodę. Oslony śrub obu jednostek prawie się stykały. Z drugiego

okrętu dobiegały ponadto odgłosy wytężonej pracy i różne okrzyki towarzyszące działaniom mającym ponownie uczynić *Mahana* zdolnym do żeglugi. W tym samym czasie na *Walkerze* wszyscy chodzili niemal na palcach, starając się robić jak najmniej hałasu. Kapitan poszedł wreszcie spać i cokolwiek działo się obok, nie chcieli ponosić odpowiedzialności za jego ewentualne obudzenie.

Mat Dean Laney uniósł głowę i spojrzał poważnie na Spanky'ego.

- Ja tam nie zejdem, szefie - powiedział lekko spanikowanym głosem.

McFarlane nawet nie oderwał oczu od uszkodzonej śruby.

- Jeśli powiem, że schodzisz, to zejdziesz, Laney. Nawet gdybym musiał zepchnąć cię z pokładu - mruknął. Nie dodał, że jest o całe pięćdziesiąt funtów cięższy od Laneya, co ostatecznie rozstrzygało sprawę. - Tylko ty i Donaghey macie papiery nurkowe. No i ja, ale jestem zbyt ważny, żeby schodzić pod wodę. Jeśli nie znajdziemy innego sposobu, zostanie tylko ten jeden.

Laney miał dość rozumu, żeby nie odnosić się do kwestii, kto jest naprawdę ile wart na okręcie, spróbował więc z innej beczki:

- A może zbalastować dziób, tak żeby śruby wyszły z wody?

Spanky pokręcił głową.

- Nie da się. Już to obliczyłem. Musielibyśmy całkowicie zatopić kilka przednich przedziałów. Co jeszcze? - spytał, widząc, że Laney ciągle ma jakieś obiekcje.

- A może by tak granatem? - spytał Dennis Silva, który dołączył do nich przy relingu.

- W jeziorze taka odrobina dynamitu czyni cuda.

Spanky spojrzał na niego i utworzył usta, ale zaraz je zamknął.

- To przynieś granat.

- Campeti nie trzyma ich w koszach na strychu - odparł z uśmiechem Silva.

- To powiedz mu, że ja cię posłałem... - Widząc wyraz twarzy Silvy, pomyślał, że to chyba jednak kiepski pomysł.

- No tak. Ile razy truleś mu, że ktoś przysłał cię po granat? Mniejsza o to, nie chcę wiedzieć. - Wyjął notatnik i naskrobał coś na kartce, po czym wyrwał ją i podał Silvie. Ten zerknął od razu na tekst.

*Sonny, daj Silvie granat*

*Przysięgam na Boga, że to dla mnie.*

*O resztę możesz spytać później*

*albo sam go przynieś.*

*Na rufę*

*Spanky*

- Wygląda jak wiersz - powiedział z podziwem Silva.

- Przestań pieprzyć, tylko biegnij, kurwa, po ten granat! - uniósł się Spanky.

- Cicho! - syknął Laney. - Jeszcze obudzimy kapitana!

Spanky natychmiast się zatroskał.

- Granat obudzi go na pewno - rzekł. - Cholera! Lepiej pogadam z pierwszym i dowiem się, co o tym myśli. Jeśli się zgodzi, to sam rzucę. - Ruszył w kierunku dziobu, ale nagle przystanął w wąskim przejściu między relingiem a rufową nadbudówką, obrócił się i spojrzał na Silvę. - Oddaj mi tę notatkę.

Silva z miną niewiniątka sięgnął do kieszeni i wyciągnął kartkę. Spanky zmiął ją i wyrzucił za burtę.

Dwadzieścia minut później wrócił z dwoma jajowatymi granatami przy pasie i kwaśnym wyrazem twarzy.

- Skipper wcale nie spał. Jest na mostku - poinformował Silvę, rzucając oskarżycielskie spojrzenie w stronę *Mahana*. - Założę się, że ci dranie nie dali mu zasnąć. Powiedział, że mogę spróbować.

Wziął jeden granat, wyrwał zawleczkę i bez słowa ostrzeżenia cisnął go za burtę. Chwilę później woda między oboma okrętami pobiełała, zagotowała się i wystrzeliła w górę. Płyty pokładu lekko zadrżały. Wiatr zniósł gejzer na ludzi pracujących na rufie *Mahana*, którzy gwałtownie zamachali rękami i zaczęli głośno przeklinać.

Załoga *Walkera* buchnęła śmiechem. Nawet na *Mahanie* większość miała ubaw, ponieważ najbardziej poszkodowanym okazał się Al „Jolson” Franklen. W przedwojennych czasach był niemalże gwiazdą 29. dywizjonu, bo świetnie naśladował prawdziwego Ala Jolsona i chętnie występował przed załogami. W pewnej chwili, jeszcze przed Pearl Harbor, zaczął jednak przesadzać z parodiowaniem i stracił wiele na popularności. Potem na dodatek poparł Kaufmana podczas buntu i został warunkowo przywrócony do służby, bo Ellisowi brakowało ludzi. Tak czy owak nie był już znakomitością. Śmiechy i szyderstwa odprowadzały jego mokrą postać, aż zniknął na śródokrećciu.

Spanky, Laney i Silva zignorowali zamieszanie, wpatrując się intensywnie w wodę. Na powierzchni pojawiły się pływające brzuchem do góry ryby. Za częścią snuły się ślady krwi, ale większość wyglądała na ledwie ogłuszoną. Obie załogi szybko zapomniały o incydencie i zainteresowały się tym, co działo się za burtą. Jedna duża srebrzanka objęła się o

poszycie okrętu, drgając spazmatycznie. Przez chwilę wydawało się, że zaraz dojdzie do siebie, ale targnęła się raz jeszcze, puściła farbę i znieruchomiła. Po chwili woda między oboma niszczycielami zagotowała się ponownie od drugiej fali ryb, które rzuciły się na ciała martwych krewniaków. Zielonkawy na twarzy Laney spojrzał na Spanky'ego.

- Rzucam! - ostrzegł tym razem McFarlane i cisnął drugi granat. Efekt był podobny do tego sprzed chwili, tyle że załoga *Mahana* zdążyła schronić się pod nawisem rufowej nadbudówki, zanim znowu woda zalała pokład. W wodzie spokój panował jeszcze krócej niż wcześniej, po czym kotłownina wybuchła z jeszcze większą siłą.

- Trudno - mruknął Spanky, patrząc lodowato na Laneya. - Wracamy do planu A.

\*

- Kapitanie, mam kontakt z porucznikiem Mallory'm - zameldował łącznościowiec Clancy. - Jest już nad Madurą, to znaczy B'mbaado.

- I dobrze - odezwał się Matt. - Niech uważa na wraki w zatoce, gdy będzie siadał.

- Aye, sir - rzucił Clancy i zszedł na pokład.

- A gdyby tak bombę głębinową? - odezwał się Steve Riggs, wracając do przerwanej rozmowy. - Mamy ich jeszcze kompletny zapas.

- Bomba głębinowa to nie granat ręczny - stwierdził Garrett. - Gdybyśmy rzucili ją tutaj, urwałoby nam rufę.

Matt musiał się z tym zgodzić. Siedział na krześle kapitańskim i popijał „małpiankę”, czyli miejscowy odpowiednik kawy, który przypominał ją nawet smakiem i zapachem, cechował się jednak zielonkawą pianką. Kapitan prawie się nie odzywał, słuchając burzliwej rozmowy oficerów szukających rozwiązania problemu ze śrubą.

- Nie mogę wysłać nikogo pod wodę - powiedział Spanky. - Nie wróciłby żywy.

- Może dałoby się osadzić *Mahana* na plaży podczas odpływu, zdjęć śrubę i poczekać na przypływ? - spytał niepewnie Dowden. - Potem powtórzyć to samo z *Walkerem*. Gdyby jeden utknął, drugi go ściągnie.

- Można nad tym pomyśleć, ale jak silne są tutaj pływy? - mruknął Jim. - Pewnie znajdziemy to na mapach, ale tak blisko równika to śliska sprawa. Wątpię, żeby były większe niż kilka stóp. Poza tym słyszałem o wielu okrętach, które napotykały sobie biedy, próbując ściągać inne z mielizny. Jak nazywał się ten krążownik, co wziął się ze dwadzieścia lat temu do ratowania okrętu podwodnego? Pękł hol i sam skończył na plaży.

- To był *Milwaukee* - podpowiedział Spanky.

- Tylko tego nam trzeba - mruknął Gray. - Naszego własnego przyłodka Honda. -

Chodziło mu o katastrofę z 1923 roku, kiedy aż siedem czterofajkowców weszło we mgłę na skały u wybrzeży Kalifornii. - Bylibyśmy ugotowani.

- Osadzanie na brzegu to byłaby ostateczność, panowie. To zbyt wielkie ryzyko.

- A gdybyśmy zbudowali klatkę? - zastanowił się głośno Sandison. - Opuścilibyśmy ją przy burcie i nurkowie zajęliby się śrubą przez pręty.

Spanky spojrział zdumiony na oficera torpedowego.

- To by nawet mogło się udać - stwierdził. - Mamy na rufie tylko jeden mały bom do ładowania bomb głębinowych, który nie udźwignie śruby, ale klatkę owszem. Śrubę zaś podnieśliśmy na linie doprowadzonej od bomu na głównym maszcie.

- Popracujcie nad tym - powiedział Matt i spojrział na zegarek. - Obawiam się, że musimy z panem Ellisem was opuścić. Zbliża się pora pogrzebów. I wy też idziecie - dodał, spoglądając na Garretta i bosmana Graya. - Ludzie, których straciliśmy, byli z waszych działów. Niech delegacje zadbają o siebie, jak tylko mogą. - Westchnął, wstał ostrożnie z krzesła i jęknął cicho. - Spotkamy się na brzegu, powiedzmy o szesnastej. Kotowaci chcą zacząć uroczystość o zmroku. Nie chcę im wchodzić w paradę, ale dobrze by było, gdybyśmy pochowali naszych około osiemnastej.

- Na pewno nie powinniśmy pochować ich w morzu? - spytał cicho Gray.

Matt zaczerpnął powietrza i powoli je wypuścił.

- Na pewno - powiedział. - Z Marvaneyem tak wyszło, ale ciągle myślę, że to nie był dobry pomysł. Tutaj jest jakoś inaczej niż... u nas. Wcześniej poległych też oddaliśmy morzu, jednak wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, co to za morze. Teraz wiemy. Poza tym ci teraz walczyli o to miejsce... - Nie dokończył, ale i nie musiał mówić nic więcej. Ciszę przerwał dopiero meldunek obserwatora, który dostrzegł nadlatujący samolot.

- O szesnastej, panie Dowden - przypomniał Matt, gdy Riggs odpowiadał obserwatorowi. - Proszę zająć się okrętem. Może pan opuścić banderę do połowy. Jedną banderę chcę też na brzegu. Wątpię, żebyśmy mieli dość do przykrycia wszystkich, ale niech będzie chociaż jedna, symbolicznie. - Nie odszedł od razu, został jeszcze chwilę, zamyślony. W dali słychać było brzęczenie silników cataliny - Co się stało z banderą, którą podnieśliśmy w czasie walki?

- Trafiła do 2. kompanii marines, sir - odparł Gray.

- Dobrze - odparł Matt, kiwając głową. - Użyjemy jej teraz.

- Aye, aye, sir - odparli chórem.



Świeżo ogolony i w możliwie białym mundurze Matt pojawił się na pogrzebie wraz z Sandrą, Ellisem, Bradfordem i Shinyą. Czekali w tłumie zaciekawionych lemurów, spoglądając ze smutkiem na marines strzegących pięciu niewielkich grobów. W zasadzie powinno było ich być sześć, ale nie mieli szansy na odzyskanie ciała kotowatego, który wypadł za burtę podczas bitwy w zatoce. Niemniej ich pochówek już teraz budził zrozumiące kontrowersje. Matt wybrał kawałek płaskiego terenu obok drogi wiodącej od nabrzeża, tuż obok umocnień ziemnych, dobrze widoczny spod głównej bramy miasta. Miasta, które wciąż było obojętne na to, co działo się pod murami.

Dołączyli do nich Rolak i królowa Maraan. Stary wódz przybył w wyczyszczonej zbroi i nowym hełmie z pióropuszem. Spojrzenie miał spokojne, ale ściągnięte rysy sugerowały, że wciąż go coś gnębi.

- Mój panie - odezwał się z wahaniem do Matta, korzystając z Bradforda jako tłumacza - jestem na twoje rozkazy, ale skoro złożyłeś na mych barkach brzemię przyjaźni, jest moją powinnością odradzić ci ten krok. - Matt spojrzał na niego chłodno. - Lud morski i my zgadzamy się co do jednego i być może to jedyne, co nas łączy. Uważamy, że miejsce dusz zmarłych jest w Niebiosach, gdzie winny trafić wraz z dymem stosu pogrzebowego. Nie zakopujemy ich w ziemi, skąd mogą się nie wydostać. - Rolak nie miał dotąd wiele do czynienia z ludźmi i kiepsko odczytywał ich reakcje, ale wyczuwał coraz mroczniejszy nastrój Matta. Mimo to kontynuował. - Proszę, nie bierz tego do siebie. Rozumiem, że wasze wierzenia są odmienne, podobnie jak my mamy inne zdanie niż morski lud, gdy chodzi o miejsce, do którego idą dusze. Jednak to, co chcesz uczynić, może być wodą na młyn wszystkich mieszkańców miasta, którzy źle nam życzą.

Matt spokojnie pokiwał głową, ale odpowiedział mocnym i zdecydowanym tonem:

- My chowamy naszych zmarłych w ziemi. Wierzymy, że nasz Bóg potrafi odszukać ich dusze, gdziekolwiek się znajdują. Ci, których dzisiaj żegnamy, zginęli w obronie twojego miasta. Tak jak wielu z morskiego ludu i tych, którzy poszli za tobą. I chcę pochować ich w cieniu murów tego miasta, żeby wszyscy jego mieszkańcy widzieli co dnia te groby i pamiętali o ofierze złożonej w obronie tych, z których większość palcem nie kiwnęła we własnej sprawie, a nawet zdradziła swoich obrońców. Jutro porozmawiamy z tym, kto sprawuje teraz władzę w mieście, czy będzie tego chciał, czy nie. Przekażesz im wówczas to, co dzisiaj ci powiedziałem. Powiesz im też, że jeśli zbezczeszczą kiedyś te groby albo nie będą im okazywać należnego szacunku, przyplynie tu *Walkerem* nawet z końca świata i zrównam ich miasto z ziemią. I również cię proszę, żebyś nie brał tego do siebie.

Gdy to mówił, zjawił się Adar w innej całkiem szacie, niż dotąd noszone. Nie była

purpurowa, lecz czarna, ze złotymi gwiazdami zamiast srebrnych.

- Dotąd nie pojmowałem, jak bardzo jesteście odmienni, kap-i-tanie - powiedział. - Wiedziałem oczywiście, że macie inne wierzenia, ale sądziłem, że żeglujemy tylko odmiennymi szlakami ku temu samemu przeznaczeniu. Gdy pierwszy raz zobaczyłem wasze mapy, jak je nazywacie, byłem zły, bo uważałem, że nie traktujecie ich z należyтым szacunkiem. Mierzyłem was swoją miarą. Gdy trochę was poznałem, złość mi przeszła, zwłaszcza gdy przekonałem się, jacy jesteście. Uważałem was za heretyków albo co najmniej błędzących, chociaż na pewno wierzących. Ale myliłem się - powiedział z westchnieniem. - Tylko się nie obrażaj! - dodał, unosząc dłoń. - Teraz, gdy wiem, że wasze wierzenia są całkowicie odmienne od naszych, chyba mi ulżyło - podsumował z czymś na kształt uśmiechu. - Wiem już, że nie zniekształcacie prawdziwej wiary, czego bardzo się obawiałem. Że wszystkie podobieństwa między naszymi praktykami religijnymi są czysto przypadkowe. To wyklucza, żebyście mogli okazywać nieuszanowanie wierze. Celowo czy jakkolwiek. To niewykonalne, skoro w ogóle jej z nami nie dzielicie. Zwyczaj chowania dusz zmarłych w ziemi jest dla mnie dostatecznym dowodem. - Zerknął na Rolaka. - I jeśli musisz złożyć poległych w ziemi, to miejsce wydaje mi się bardzo stosowne.

Matt spojrzał na przyjaciela z nowym szacunkiem. Ludzki kapłan z epoki brązu zapewne sprawdzałby w takiej chwili, czy jego rozmówca jeszcze dycha, czy też trzeba go dobić.

- Naprawdę nie razi cię, że nie podzielamy waszych wierzeń? - spytała Sandra.

- Oczywiście, że nie - odrzekł Adar. - Nikogo nie można zmusić do przyjęcia prawdziwej wiary. Wówczas nie byłaby prawdziwa... Było mi tylko trochę nieswojo, gdy sądziłem, że z niej szydzicie. Jak Aryaalanie.

- To nieprawda - prychnął Rolak.

Matt spojrzał na groby.

- Możesz nie mieć racji, Adarze - powiedział. - Moi żeglugą z wieloma różnymi wiatrami, żeby dotrzeć do celu, który dla wszystkich może być jednym i tym samym. Możliwe też, że jest identyczny z waszym.

Gdzieś za nimi rozległ się szmer głosów. Matt obrócił się i ujrzał siedmiu marynarzy w białych mundurach. Pomyślał, że musieli chyba przetrząsnąć dokładnie oba okręty, żeby znaleźć tyle czystej odzieży. Marynarze nieśli na ramionach springfieldy i maszerowali nawet w nogę, chociaż widać było, że dawno już nie ćwiczyli musztry. Matt był z nich jednak dumny, tak jak z widoku sfatygowanej amerykańskiej bandery uratowanej przez 2. kompanię marines. Zaskoczyło go tylko, kto ją niósł. Na samym przedzie maszerował powoli Chack-

Sab-At, także w bieli, w opinaczach mimo bosych stóp i poobijanym hełmie. Spojrzenie miał wbite przed siebie, wyraz twarzy poważny, ogon trzymał prosto i możliwie nieruchomo.

Kompania honorowa zatrzymała się przy grobach, a bandera załopotiała na wietrze.

- Muszę już iść - szepnął Matt i minawszy wartę honorową, stanął naprzeciwko tłumowi, plecami do miasta. Potem sięgnął za pazuchę i wyciągnął kieszonkową biblię, nie mógł jej jednak otworzyć jedną dłonią. Natychmiast podeszła doń Sandra i pomogła mu, otwierając książkę w miejscu zaznaczonym kawałkiem papieru. Matt spojrzał na dziewczynę i uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Zostań, proszę - powiedział.

Zawróciła i stanęła obok niego. Trzydziestu ludzi z załogi zbliżyło się tymczasem w grupach po sześciu. Maszerując rozkołysanym krokiem, nieśli zaszyte w materacu ciała. Prowadził ich kuśtykający o kulach bosman Gray. Gdy zrównali się z Ellisem, Jim dołączył do konduktu. Matt zauważył, że prawie połowę z tych trzydziestu stanowią tubylcy. Widać dla nich akurat kwestie religijne nie miały w tej chwili znaczenia. Matt pomyślał o nich z wdzięcznością, ale i ze smutkiem. Pierwotna załoga poważnie już się skurczyła. Marynarze opuścili ciała do ziemi i odstąpili od grobów.

Ku jeszcze większemu zdumieniu Matta na samym końcu konduktu pokazał się Dennis Silva z gramofonem Marvaneya w rękach. Zatrzymał się obok bosmana i postawił urządzenie ostrożnie na ziemi w miejscu, gdzie normalnie stałby trębacz.

Sprężyna została nakręcona już wcześniej i gdy otworzył gramofon, wystarczyło, by zwolnił hamulec talerza i opuścił igłę na płytę.

- Baaczność! - wykrzyknął Gray.

Mały głośnik z boku gramofonu rozbrzmiał pierwszymi taktami *Gwiazdzistego sztandaru*. Wszyscy członkowie załogi, tak ludzie, jak i lemury, zasalutowali odruchowo łopoczącej nad głową Chacka banderze. Wersja hymnu, którą puścił Silva, była żywa i wręcz wesoła, w stylu popularnych przed wojną wykonań tanecznych. Matt niemal poczuł woń perfum dziewczyny, z którą bawił się w San Diego, gdy płynął na Filipiny objąć dowództwo *Walkera*. Wielu zgromadzonych zdumiało się, słysząc tak przebojową melodię, ale kapitana coś ścisnęło w gardle i oczy go zapiekły, aż musiał zamrugać.

Gdy zerknął na Sandrę, ujrzał w jej oczach smutek. Chwilę później hymn się skończył i Silva zatrzymał gramofon. Twarz miał przy tym mokrą od łez. Trudno było powiedzieć, czy oplakiwał Toma Feltsa, czy Macka Marvaneya, czy może jeszcze kogoś z tuzina poległych. Może zresztą myślał o tym, co bezpowrotnie zostawili za sobą.

- Spocznij!

Matt odchrząknął, spojrzał na trzymaną przez Sandrę biblię i pokręcił głową.

- Rzadko bywałem w kościele - powiedział tonem przeprosin. - Zresztą wszyscy rzadko tam ostatnio zaglądaliśmy - dodał i usłyszał, jak niektórzy z jego ludzi mimowolnie zachichotali. - Nie zamierzam jednak wygłaszać dziś kazania. To nie moje zadanie. Chcę tylko powiedzieć kilka słów o tych, których dzisiaj żegnamy, oraz o pozostałych członkach naszych załóg. Wszyscy jesteśmy daleko od domu. Daleko byliśmy już wtedy, gdy Japończycy zbombardowali Pearl Harbor i Cavite. Wszyscy, może poza jednym Juanem. Tom Felts, Glen Carter, Andy Simms, Loris Scurrey i Gil Olivera dorastali wraz z nami jeszcze dalej. Tom był z Arkansas, Glen i Andy z Ohio, Gil z Nowego Jorku a Loris z Kalifornii. - Przerwał na chwilę, żeby pozbierać myśli. - Pan Ellis jest z Wirginii, tak jak porucznik Tucker. Sonny Campeti z New Jersey, Frankie Steele z Brooklynu. Bosman Gray i Dennis Silva z Alabamy. Ja sam ciągle tęsknię za moim rodzinnym Teksasem, tak samo jak i wy wracacie myślami do swoich stron... Obecnie jednak jesteśmy tutaj, choć nie wiemy, jak do tego doszło. Być może utknęliśmy tu na zawsze. Ale jakkolwiek daleko będziemy od miejsc, gdzie się urodziliśmy i wychowaliśmy, pozostaną one w nas na zawsze. Wszystkie one mają też jedną wspólną cechę. Leżą w Stanach Zjednoczonych Ameryki i czynią nas Amerykanami. - Spojrzał na twarze uczestników konduktu, kompanii honorowej i wszystkich, którzy zeszli na brzeg. W oddali widział sylwetki *Walkera* i *Mahana* z opuszczonymi do połowy masztu banderami i drobnymi postaciami stojącymi wzdłuż relingów. - Jesteśmy nimi niezależnie od czegokolwiek. Nawet tak daleko od domu. Byliśmy nimi na Filipinach i będziemy nimi tutaj.

Przerwał na dłuższą chwilę.

- Niektórzy z nas znaleźli się obecnie jeszcze dalej - odezwał się w końcu - ale wierzę, że są dzięki temu bliżej tego, co kochali. Wierzę, że jeden Bóg, panujący nad wszystkim, stworzył tak nasz, jak i ten świat. Nie może być inaczej. I tylko Bóg mógłby obmyślić coś tak złożonego jak to, co nam się przydarzyło. A skoro tak, najpewniej może nas skierować po śmierci tam, gdzie nasze miejsce. Wierzę, że ci, których chowamy dzisiaj w tej obcej, chociaż znanej nam ziemi, są już ze swoimi bliskimi, zgasłymi lata wcześniej. Że spotkali ich tak samo, jak gdyby zmarli we własnych łózkach, nie zginęli na polu bitwy. - Naprawdę wierzył w to, co mówił, albo przynajmniej bardzo pragnął, żeby tak właśnie było. Nie potrafił pogodzić się z wizją ludzkich dusz zagubionych w tym obcym świecie. - Ale właśnie, wszyscy oni zginęli w walce, broniąc ideałów, które ważne były dla nas i w naszym świecie. Walczyli o wolność i przeciwko tym, którzy uznali zabijanie innych za sposób na życie. Wykonywali swój obowiązek. Odeszli z honorem, do końca przeciwstawiając się złu

większemu niż wszystko, co znaleźliśmy w naszym świecie. Co ważniejsze, zginęli jako członkowie załogi. Całej załogi, bez podziału na starych i nowych. Zginęli za nas i za naszych przyjaciół, żebyśmy mogli kiedyś żyć w pokoju wolni od zła, które próbuje ogarnąć świat.

Znowu zerknął w bok, na skupioną na jego słowach Sandrę, oraz miejscowych, którym szybko tłumaczono to, co powiedział.

- Muszę się przyznać, że tak naprawdę ciągle nie wiem, dlaczego się tu znaleźliśmy. W naszym świecie *Walker* i *Mahan* były okrętami, których strata nie miałaby znaczenia dla losów wojny. W sumie już zostały spisane na straty. Tutaj ich obecność wiele zmienia. Zmienia praktycznie wszystko. - Spojrzał na świeże groby. - Ich śmierć też ma szczególne znaczenie.

Szybko sięgnął po biblię.

- Jam jest zmartwychwstanie i żywot - podjął matowym głosem. - Kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. A kto żyje i wierzy we mnie, nie umrze... - Doczytał akapit do końca, a wielu powtarzało z nim te słowa z pamięci.

- Baaczność! - rozległ się zachrypnięty głos bosmana. - Kompania, preezeentuj broń!

Większość tubylców wiedziała, co teraz nastąpi, ale i tak się wzdrygnęli, gdy bosman rozkazał oddać trzykrotny salut. Matt przebrnął jeszcze przez ostatnią kwestię, ledwo pamiętając, że zamiast o głębinach morza musi wspomnieć o ziemi, i zakończył wypowiedzianym może trochę zbyt oschle rozkazem modlitwy. Ze zdumieniem i zakłopotaniem dostrzegł, że niektórzy kotowaci też pochylili głowy. Teraz, gdy było już po wszystkim, wyrzucał sobie, że wygłosił nazbyt filmową mowę, ale trudno. Naprawdę tak właśnie to odczuwał.

Sandra ponownie wsunęła kawałek papieru między strony biblii i zamknęła ją. Przy okazji lekko ścisnęła dłoń Matta.

Silva przykucnął przy gramofonie i zmienił płytę. Wszyscy wysłuchali melodramatycznego wykonania chóralnego utworu *Rock of Ages*. Nikt się nie zastanawiał, dlaczego Silva wybrał to właśnie nagranie i dlaczego ocalił tę płytę, gdy chowali jej właściciela. Pod koniec talerz zaczął zwalniać - sprężyna rozkręciła się prawie do końca. Kapitan chrząknął znacząco i Silva zatrzymał urządzenie.

- Panie Ellis? - odezwał się Matt.

- Sir?

- Bandera pozostanie tu do naszego odpłynięcia. Proszę dać sygnał na okręty, że załogi mają powrócić do swoich zajęć. Po zakończeniu ceremonii, kto zechce, może pozostać na uroczystości miejscowych. Kompania honorowa też zostaje.

- Aye, aye, kapitanie - odparł Ellis i lekko się zawahał.

- Tak? W czym rzecz? - spytał Matt, ocierając rękawem pot z czoła.

- Dobrze wyszło.

- Nigdy nie byłem dobry w publicznych wystąpieniach.

- Poradził pan sobie, skipper.

- Owszem - zgodziła się Sandra. - I wiesz? Może nawet masz rację. Mówię o tym, dlatego tu jesteśmy.

- Zawsze to jakaś odpowiedź - rzekł Jim. - A jeśli jest prawdziwa, to Bóg ma swoje poczucie humoru.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- W tamtej wojnie nasze okręty nie znaczyły prawie nic i tylko jeden Bóg mógł znaleźć dla nich sensowne zastosowanie. Nawet gdybyśmy cało uszli z Morza Jawajskiego, marynarka pewnie i tak szybko odstawiłaby obie nasze łajby.

- Niezbadane są ścieżki Pana - mruknął Matt. - Ale w tym wypadku to chyba eufemizm.

Tłum rozchodził się z wolna. Wielu wracało do swoich obowiązków, reszta jednak kontynuowała przygotowania do kolejnej ceremonii, która miała się odbyć późniejszym wieczorem. Wyznaczone grupy rozbierały drewniane magazyny na nabrzeżu, żeby złożyć budulec na stosach. Inni robili to samo z wyrzuconymi na brzeg kadłubami jednostek grików. Dowódcy sojuszu woleliby zostawić magazyny nietknięte, w końcu były one czyjąś własnością, ale nie mieli wyboru. Odesłanie tylu dusz do nieba wymagało wielkich ilości drewna. Tyle dobrego, że budynki były puste, ponieważ ich zawartość przeniesiono już dawno do miasta.

- To była... niezwykła ceremonia - powiedział Keje do Adara i Rolaka. Keje trochę się spóźnił i stał podtrzymywany przez niezmiennie zirytowaną całą sytuacją córkę. Wciąż kręciło mu się w głowie.

- Niezwykła - zgodził się w zamyśleniu Adar. - I krótka. Oraz bardzo poważna. Nie wahają się wyrażać żalu.

- Możliwe, że postrzegają śmierć jako coś bardziej ostatecznego niż my. Tak jakby nie oczekiwali, że spotkają jeszcze kiedyś swoich bliskich - zastanowił się głośno Keje.

- Chyba nie - odparł Adar. - Kap-i-tan Reddy prosił, żebym posłuchał jego słów, a może lepiej zrozumieć istotę ich wiary. - Pokręcił głową. - Zrobiłem to, ale nie wiem wiele więcej niż wcześniej. Wydaje mi się jednak, że mógł mieć rację, mówiąc, że różne wiatry niosą nas ku temu samemu przeznaczeniu. Oni na pewno mają nadzieję spotkać kiedyś

swoich bliskich, chociaż nie są pewni, czy ich bóg odnajdzie ich tutaj, tak daleko od domu.

- Tym bardziej nie powinni ukrywać ich pod ziemią.

Adar spojrział na starego przyjaciela i pokręcił głową.

- Sam świetnie wiesz, tak jak wie to każdy młody kapłan, że dusze zaginionych na morzu znajdują drogę do Niebios tak samo jak tych, którzy zostają spaleni na stosie. Dym ma charakter symboliczny. Popioły zmarłych prędzej czy później osiadają na ziemi albo na morzu. Zgadza się, ich zwyczaje mogą być dziwne, nawet odpychające, ale znaczenie tych obrzędów nie jest aż tak odmienne, jak mogłoby się w pierwszej chwili wydawać. Na pewno porozmawiamy o tym jeszcze z bezogoniastymi, ale nie wolno nam zapominać o jednym: że gotowi są walczyć i ginąć za naszą sprawę, mimo że nie wiedzą, jaki będzie los ich dusz w naszym świecie. Sądzę, że gdyby nas trafiły podobne problemy, nasze ceremonie pogrzebowe byłyby znacznie smutniejsze. - Zawahał się. - Chociaż muszę przyznać, że coraz więcej ostatnio we mnie wątpliwości, gdy mowa o takich pożegnaniach. - Uniósł dłoń, żeby powstrzymać protesty zdumionych rozmówców. - Nie, nie wątpię, że dusze, które uwolnimy dziś wieczorem, znajdą drogę. Boleję, że jest ich tak wiele. Ich czas trosk dobiegł końca, ale... będzie nam ich brakować w tych bitwach, które jeszcze nadejdą.

W milczeniu patrzyli, jak ludzie i kotowaci z załogi zabrali się do zasypywania grobów. Szufle ziemi znikwały w otworach z głuchym odgłosem.

- To na pewno było pożegnanie godne wojowników - powiedział w końcu Rolak. - Całe, oprócz tego zakopywania.

\*

Miejscowe zwyczaje pogrzebowe były tak obce dla ludzi, jak wojskowy pogrzeb dla lemurów. Matt przyglądał się ceremonii z Jimem, Sandrą i Courtneyem. Niemal wszyscy pozostali wrócili na okręty, ale kompania honorowa została na rozkaz kapitana, który chciał w ten sposób okazać sojusznikom szacunek. Ostentacyjnie odesłał na pokład Graya, który koordynował naprawy, bardziej chodziło mu jednak o to, żeby ledwie poruszający się na kulach zbytnio nie narażał swego zdrowia. Ku zdumieniu kapitana wszyscy kotowaci także wrócili na okręt, zostawiając jedynie Chacka. Co jeszcze ciekawsze, razem z Chackiem został Silva. Gramofon powierzył Stitesowi i czekał spokojnie na początek ceremonii, rozmawiając cicho z niedawnym „wrogiem”. Matt nie dowierzał, żeby ich spór naprawdę dobiegł końca, ale ucieszył się, że przynajmniej potrafią się jakoś dogadywać. Może tylko na ten wieczór, ale zawsze to coś. Wiedziony ciekawością dołączył do nich na chwilę.

- Chack? - odezwał się.

- Sir?

- Dlaczego reszta ludzi... twoich ludzi... wróciła na pokład? Chyba jasno wspomniałem, że nie mam nic przeciwko ich pozostaniu?

Chack spojrzał najpierw na niego, potem na ciemniejącą już zatokę i sylwetki obu niszczycieli oraz zarys zacumowanego obok nich wodnosamolotu. Ceremonia lemurów miała się odbyć na zachód od przylądka, blisko Madury i miejsca, gdzie kotwiczył *Mahan*. Między niszczycielami przeprowadzono kabel elektryczny i oba pokłady były teraz jasno oświetlone, co ostro kontrastowało z gasnącym blaskiem zachodniego nieboskłonu.

- Są w żałobie, kap-i-tanie, ale są też marynarzami - odparł Chack. - Są załogą.

- Tak, oczywiście - zgodził się Matt.

- *Walker* to ich dom. Ty jesteś wielkim wodzem *Walkera*. Wielkim wodzem całej waszej floty tutaj, zatem *Mahan* też jest ich domem. Oba domy bardzo nas teraz potrzebują. Bardziej niż umarli. Dlatego wszyscy wrócili do pracy. - Przerwał na chwilę. - Ja zostałem, bo nie wiem, czego ode mnie oczekujesz.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Chack? - spytał zdumiony tą kwestią Matt.

- Gdy przyszedłem na *Walkera*, Keje-Fris-Ar był moim wielkim wodzem, a *Salissa* domem. Po przyjęciu do waszej Navy, gdy zostałem bosmanmatem, myślałem, że *Walker* stał się moim domem - dodał z dumą i westchnął. - Teraz zaś porucznik Shinya mówi mi, że mam dowodzić 2. kompanią marines. Jestem dobrym wojownikiem, lecz tego się nie spodziewałem. Ale czy to znaczy, że *Walker* nie jest już moim domem? Czy nie mam domu?

Mattowi z początku mowę odjęło, ale po chwili zrozumiał, o co chodzi.

- Nie! To znaczy tak, *Walker* bez wątpienia cały czas jest twoim domem, Chack, tak jak ty jesteś bosmanmatem. Wielki Boże, przykro mi, że pomyślałeś co innego. - Kapitan podrapał się w brodę. - Ale sam widzisz, jak teraz pracujemy. Wielu z nas, z tobą włącznie, dostaje co rusz przydziały poza okrętem. Ale to nie znaczy, że okręt się ich pozbywa! Czy myślisz, że porucznik Letts czy Tony Scott i wielu jeszcze innych, którzy zostali w Baalkpanie, stracili swój dom?

Chack zastanowił się chwilę i pokręcił głową.

- Więc się nie przejmuj - rzekł Matt. - Wszystko jest w porządku. 2. kompania marines dobrze walczyła. Bez niej pewnie przegralibyśmy bitwę, a spora część zasługi spływa w tym wypadku na ciebie. Wcześniej jeszcze pomogłeś ich wyszkolić i zdobyłeś ich zaufanie. Twój awans to tylko jeszcze jeden obowiązek, nie wykluczenie z czegokolwiek.

Później, gdy ceremonia już się zaczęła, Matt pomyślał, że do Chacka chyba zaczyna powoli docierać, co to znaczy być dowódcą.



Kotowaci wzniesli aż trzy wielkie stosy pogrzebowe. Ustawili je w trójkąt między murami miasta a brzegiem morza. Podstawę każdego stanowiły wielkie belki, na których dopiero ułożono zmarłych. Nad nimi wyrosła kratownicowa konstrukcja, która upodobniła stosy do wież pływających domów. W powietrzu unosił się dławiący odór rozkładu oraz smród oleju z gri-kakka, którym przesycono stosy Nigdy za pamięci lemurów nie wzniesiono jeszcze tak wielkich stosów. Matt pomyślał, że zapewne nie po raz ostatni lud morza wyprawi do nieba aż tyle dusz jednocześnie.

Tuż przed stosami, u podstawy wyznaczonego przez nie trójkąta, stał samotnie Adar. Płonące niedaleko pochodnie odbijały się w złocistych gwiazdach jego szaty. Nowym akcentem były rozmieszczone dokoła sztandary jednostek, w których walczyli polegli, i wznosząca się za nimi flaga z wizerunkiem drzewa, którą Keje kazał podnieść jako znak wszystkich pobratymców. Brakło tylko sztandaru Aryaalu, chociaż Rolak błagał, żeby przyniesiono go z miasta. Nie doczekał się odpowiedzi. Nieopodal nad świeżymi grobami wciąż powiewała amerykańska bandera.

Rolak chciał również, żeby w ceremonii wziął udział kapłan z Aryaalu, ale i w tej kwestii nie doczekał się żadnej reakcji. Królowej wystarczyło zapewnienie Adara, że nie będzie eksponował różnic pomiędzy religiami obu narodów. Z tego, co Matt wiedział, nie były one znaczne, ale gdy mowa o wyznaniach, diabeł zwykle tkwi w szczegółach. Gdy czekali na rozpoczęcie ceremonii, Bradford wyjaśnił mu pokrótce, że i mieszkańcy miasta, i lud morski wierzyli w dalsze życie duszy w Niebiosach. Zasadnicza rozbieżność dotyczyła kwestii, co owe dusze tam robią. Według ludu morskiego wiodły spokojną, idylliczną wręcz egzystencję pomiędzy gwiazdami (albo i jako same gwiazdy, ten fragment nie był zbyt jasny), pomagając wędrowcom i żeglarzom odnajdywać drogę w ich ziemskiej wędrówce. Bradford porównał je do aniołów. Bytem najważniejszym, łagodnym stwórcą, który utrzymywał świat przy życiu, było oczywiście słońce.

Dla mieszkańców miast Niebiosy stanowiły coś w rodzaju utopijnej Walhalli. Obfitujące w gotowe na każde skinienie sługi i piękne kobiety, z nieustającym dostępem do jadła i napoju oraz największą rozrywką: prześwietnymi bitwami, w których nikt nie ginął. Zmarli nie interesowali się tymi, którzy zostali na ziemi, ponieważ zbyt dobrze bawili się w Niebiosach, żeby myśleć o czymkolwiek innym. Słońce też było tutaj bogiem, który rozsądzał, widząc wszystkie czyny żywych, czy ktoś zasłużył na miejsce w Niebiosach, czy nie. Żadnej innej roli mu nie przypisywano, co drażniło morski lud. Jeszcze gorzej miała się sprawa z gwiazdami, do których Aryaalanie nie przywiązywali żadnego znaczenia. Mattowi łatwo było zrozumieć, dlaczego gwiazdy są tak czczone przez lud, który opanował sztukę

żeglugi, ale trudno było mu pojąć, jak ktokolwiek całkowicie mógł je zbyć, wykluczając ze świata zbiorowej imaginacji. Pamiętał, że do ludzkich wojen religijnych doprowadzały niekiedy bardziej błahe różnice. Podejście ludu morza wydawało mu się bliższe tej tradycji, w której sam wyrósł, chociaż bardzo się różniło od jego wiary. Z drugiej strony domyślał się, że miejska religia jest w swoisty sposób wpisana w kulturę mieszkańców lądu i dla nich atrakcyjna. Przynajmniej dla mężczyzn.

Spojrzał na Sandrę. Blask płomieni rozświetlał jej złocistopiaskowe włosy. Mundur miała idealnie czysty. Wyglądała bardzo kobieco, zwłaszcza w porównaniu z tym, jak pokazywała się na co dzień. Matt mimowolnie się wzruszył i nagromadzony ostatnimi czasy smutek niemal znalazł ujście. Opanował się, ale nic nie mógł poradzić na skurcz w gardle i kilka spazmatycznych drgnień ramion.

- Wszystko dobrze? - spytała z troską Sandra, spoglądając na niego. Matt miał za sobą ciężki dzień, który wyczerpał go tak fizycznie, jak i emocjonalnie. Nie zdumiałaby się, gdyby zemdłał. Oczywiście byłoby to dla niej przykre, ale potwierdziłoby tylko jej wiedzę medyczną.

- Prawie - szepnął, zmuszając się do uśmiechu.

Tłum prawie już ucichł i Adar szykował się z wolna, żeby przemówić.

\*

- I co teraz? - spytał Jim Ellis, patrząc z irytacją na zamkniętą północną bramę Aryaalu, przed którą stały wzmocnione nowymi oddziałami Połączone Siły Ekspedycyjne. W sumie były jednak mniej liczne niż kilka dni temu. Wiszący w powietrzu kwaśny dym ze stosów pogrzebowych, które płonęły przez całą noc, nieustannie przypominał o stratach. Jeszcze jednym wspomnieniem uroczystości żałobnych był ciężki kac, który męczył Ellisa. Po kazaniu Adara i podpaleniu stosów przyszedł czas na stypę z taką ilością alkoholu, że nawet Dennis Silva był pod wrażeniem. Wcześniej kapłan wyliczył chwalebne czyny zmarłych i niemal życzył im dobrej podróży, gdy udawały się w płomieniach ku zaświatom. Potem zaczęło się szaleństwo.

Sip płynął z dostarczonych na brzeg beczek tak obficie, że Matt był zdumiony, gdy rano ujrzał część swojej armii na nogach. Jego zdaniem Adar przesadził z tą swobodą pod murami potencjalnie wrogiego im miasta i zrugął kapłana, który odrzekł z przekonaniem, że żaden, nawet najbardziej zepsuty Aryaalanin nie zaatakowałby ich w czasie „żałoby”. Matt odniósł wrażenie, że kotowaci trochę inaczej rozumieją to słowo, ale nie zdążył już nic dodać, bo Adar wcisnął mu kufel w dłoń i poprosił, aby godnie uczcił „wniebowstąpienie”. Jeśli

oczywiście nie uważa, że urazi tym swojego boga.

Czując na sobie spojrzenie Sandry, Matt wypił tylko kilka łyków słodko-gorzkiego piwa, pozwolił jednak innym wziąć udział w pijaństwie. Wyłączył z tego jedynie kompanię honorową, która została przemianowana na patrol i otrzymała zadanie dopilnowania, żeby wszyscy bezpiecznie wrócili na okręty. Przez myśl mu nawet nie przeszło, żeby pozwolić pić komuś uzbrojonemu, poza tym chciał mieć na brzegu chociaż garstkę trzeźwych i sprawnych. Silva zadeklarował głośno przejście na miejscową wiarę, chociaż nie udało się ustalić, który jej odłam wybrał. Bradforda trzeba było odnieść na okręt.

Teraz Matt musiał przyznać, że najgorsze obawy okazały się bezpodstawne i większość armii zareagowała na pobudkę. O świcie wrócił też dobry nastrój, jakby płomienie wypaliły również ich smutek. Dym przegnał smród rozkładających się ciał grików. Chociaż nie, pomyślał Matt. Pewnie wiatr się zmienił i tyle.

Jim Ellis przymknął oczy, gdy nad zatoką rozległ się ryk silników startującej cataliny. Porucznik Mallory wyruszał na lot rozpoznawczy. Matt odprowadził maszynę spojrzeniem.

- Za dużo wypiełeś - rzucił do Jima, odwracając się z powrotem do bramy. Na murze powyżej widać było liczne sylwetki, żadna jednak nie odpowiadała na ich wezwania.

- Nie - mruknął Ellis. - Wypiłem akurat tyle, ile należało. - Skinął na bramę. - I powtarzam, co teraz? Nawet gadać z nami nie chcą...

Matt prychnął ze złością. Rany zaczęły się już goić, w czym wielka była zasługa maści kotowatych, ale wciąż bolały, przez co nie mógł zbyt często okazywać gniewu. Na stoku przed nimi Rolak chodził ciągle tam i z powrotem, nakłaniając mieszkańców miasta, żeby wysłali kogoś za mury.

- Chyba będziemy musieli wyrzucić na nich presję - stwierdził kapitan i spojrzał na Japończyka, który stał obok z założonymi na plecach rękami. - Panie Shinya, niech Chack przekaze lordowi Rolakowi, aby odsunął ludzi sprzed bramy. Nie chcę, żeby przypadkiem oberwali.

- Aye, aye, kapitanie. Chack! - Nowy dowódca 2. kompanii marines podbiegł, wysłuchał polecenia i zaniósł je natychmiast coraz bardziej sfrustrowanemu Rolakowi.

Matt zauważył, że królowa wciąż śledzi każde poruszenie Chacka.

- Co zamierzasz? - spytał Keje, podchodząc do Matta. Wydawało się, że jest w znacznie lepszej kondycji niż Jim Ellis.

- Wywalę tę bramę - odparł krótko Matt, wskazując na dwa wycelowane w nią działa.

- Ale jeśli ktokolwiek wewnątrz zginie... - zaczął Keje. Pomysł zabijania pobratymców był mu wstrętny niezależnie od okoliczności.

- Nie możemy zostawić wrogiego miasta na tyłach, zwłaszcza pod bokiem naszych sojuszników. - Wskazał na królową Maraan. - Gdyby przyszło je zdobywać, byłyby liczne ofiary. Zrobimy to, jeśli nie będzie innego wyjścia, ale mam nadzieję, że jeśli pokażemy im dobitnie, jak bezbronni są wobec naszej artylerii, to może nabiorą trochę rozumu.

- Ale przecież musieli widzieć podczas bitwy, co takie działo potrafi?

- Jasne, ale raczej nie oczekują, że użyjemy tych dział przeciwko nim.

- Kap-i-tan Reddy ma rację - odezwała się królowa. - Wiedzą, że lud morza nie walczy ze swoimi. - Uśmiechnęła się drapieżnie. - Ale wcześniej nie podejrzewaliśmy też, że podejmiecie walkę z grikami. Jeśli zniszczycie bramę, zaczną się zastanawiać, co jeszcze się zmieniło. Na pewno zaś nie wątpię, że gotowa jestem wejść z moim wojskiem do miasta.

Rolak przekazał ultimatum i także tym razem nie doczekał się odpowiedzi, jednak na murze nad bramą zrobiło się pusto. Matt opuścił lornetkę.

- Do diabła - mruknął dwadzieścia minut później - jeśli będziemy zwlekać, zaczną wracać. Panie Shinya, proszę działać.

Chwilę później dwa działa wypaliły niemal jednocześnie. Przy dystansie dwustu jardów pociski musiały trafić w cel. Huk wystrzału złął się w jedno z łomotem, który dobiegł od strony bramy. Pierwsza kula wywaliła wielką postrzępioną dziurę w samym środku ciężkich drewnianych wież, druga uderzyła w górny zawias prawego skrzydła, które z wolna runęło do środka, wrywając przy tym także dolny zawias. W mieście rozległa się przytłumiona odległością wrzawa.

- Jeszcze raz! - rozkazał Matt i kolejne dwa strzały unicestwiły lewe skrzydło. - Panie Shinya, 2. kompania marines do przodu!

Zwarta formacja weteranów ruszyła do stojącej otworem bramy. Matt był pod wrażeniem widoku takiej masy wojska poruszającej się w idealnym porządku, chociaż brakło nawet kotłów, które dyktowałyby tempo marszu. Cały oddział liczył po bitwie tylko trzystu ludzi, ale nie byli oni podobni do żadnych wojowników, którzy wcześniej zjawiali się pod tymi murami. Przypominali raczej sprawną maszynę do zabijania. Owszem, woleliby nie walczyć z innymi lemurami, ale nie było wątpliwości, że w razie potrzeby zrobią swoje. Tyle że nikt nie wiedział, jakie byłyby konsekwencje takiej bitwy. Na wszelki wypadek Matt wyznaczył jako ich wsparcie gwardzistów królowej. Otrzymali już uzupełnienia z miasta i ponownie było ich sześciuset. Oni nie mieli nic przeciwko walce z Aryaalanami i tamci dobrze o tym wiedzieli.

Chack kroczył na czele oddziału z bronią w ręku. Nałożył już bagnet, a wojownicy za nim uformowali mur tarcz, zza którego wyglądały groty włóczy. Trudno, żeby taki widok nie

przeraził mieszkańców miasta, zwłaszcza że widzieli już podobny szyk w walce. Chack był dopiero w połowie drogi, gdy z bramy wyłoniła się grupka postaci wymachujących energicznie białą flagą. Tak jak zalecił im Rolak.

Matt opuścił lornetkę i uśmiechnął się z ulgą.

- Kazesz im iść dalej? - spytał cicho Keje.

- W tej sytuacji? Tak. Stawka jest zbyt wysoka.

- Tak myślałem - stwierdził ze smutkiem wódz.

- Chcesz mnie powstrzymać?

- Nie. Jak powiedziałaś, stawka jest zbyt duża. Musimy wygrać. Mam tylko nadzieję, że koszty wygranej nie będą równie wysokie.

Matt pokiwał głową i razem ruszyli na spotkanie mieszkańców miasta.

\*

- Zatem Fet-Alcas nie żyje - stwierdziła Safira z niejaką satysfakcją. - Tylko dlaczego mówią nam o tym dopiero teraz?

- Zdaje się, że jego... odejście nie przebiegło całkiem spokojnie - powiedział Bradford.

- Książę Rasik przejął jednak władzę i teraz stara się nas przekonać, że wszystkie problemy, nawet ich długie milczenie po bitwie, były skutkiem spisku oraz zamieszania towarzyszącego późniejszemu tropieniu spiskowców.

- Całkiem jak w Bizancjum - rzucił Matt, kręcąc głową. - Albo u Sowieców.

Bradford roześmiał się głośno.

- Chyba nie trzeba sięgać aż do wujaszka Joego - rzekł. - Nasza własna, anglosaska historia zna wiele bardzo podobnych sytuacji.

- Co do mnie, jestem Amerykaninem irlandzkiego pochodzenia - powiedział z uśmiechem Matt. - Z domieszką krwi szkockiej. Moi przodkowie nazywali się O'Roddy.

Siedzieli w mesie na pokładzie *Walkera* i było znowu jak dawniej. Przy stole brakowało tylko przedstawicieli Aryaalu, co nie było jednak żadną przeszkodą w rozmowie. Od wysadzenia północnej bramy minęły już prawie dwa tygodnie i Matt spędził większość tego czasu na okręcie. Cieszył się, że znowu może sobie na to pozwolić. *Zemsta* wypłynęła z małą flotyllą feluk na zwiady, Mallory wylatywał co drugi dzień przepatrywać kolejne akweny na północy albo kursował między Aryaalem a Baalkpanem. Jak dotąd nic nie wskazywało na to, żeby grikowie zamierzali wznowić ofensywę. Resztki ich floty rzeczywiście popłynęły do Singapuru, na razie nie pojawiły się tam jednak żadne inne siły przeciwnika. Nie było w tym nic dziwnego, zważywszy na to, że w tym świecie nikt nie palił

się do wypływania na otwarty ocean, a żegluga wzdłuż brzegów zabierała znacznie więcej czasu.

Sierżant Alden przybył pomóc Shinyi w szkoleniu nowych oddziałów. Z początku bardzo zazdrościł Japończykowi udziału w bitwie, ale zdołał zapanować nad emocjami i przyjaźń niegdysiejszych wrogów nie została narażona na szwank. Potem Alden wrócił na Baalkpan, ale dochodzące z „domu” wieści były całkiem optymistyczne. Obrona miasta rosła z każdym dniem w siłę, chałupnicza produkcja broni nabierała rozpędu. Mattowi brakowało wszystkich, którzy tam zostali, zwłaszcza Lettsa, ale zarówno on, jak i Alden Brister i Karen Theimer czynili w Baalkpanie prawdziwe cuda. Poza tym Letts i Theimer pozostali w ten sposób poza polem widzenia załogi, co zmniejszało napięcie. Zwłaszcza teraz, gdy odnalazły się dwie pozostałe pielęgniarki. Nie zmieniło to wiele w wypadku Silvy i Risy, którzy wciąż sugerowali, że coś ich łączy, chociaż od czasu słynnego kapitańskiego rugania unikali ostentacji i poprzestawali na platonicznych deklaracjach. Na pewno zaś byli zaprzyjaźnieni. Załoga zasadniczo nauczyła się ich ignorować, chociaż nie wszyscy podchodzili do sprawy z humorem i nadal się zdarzało, że ktoś coś szeptał na ten temat po kątach.

Był wszakże jeden związek, któremu Matt sprzyjał całym sercem.

- Dopiero teraz do mnie dotarło, że mówisz po angielsku, królowo - powiedział kapitan.

- Tak - stwierdziła z satysfakcją Safira. - Mówię. Dobrze?

- Całkiem dobrze - odezwał się Jim Ellis.

- Chack uczy - wyjaśniła królowa, spoglądając na siedzącego po drugiej stronie stołu dowódcę 2. kompanii marines.

- Aha - mruknął Matt i spojrział kątem oka na kotowatego. - Chack jest utalentowany.

- U-taa-len-to-wa-ny - powtórzyła na próbę królowa.

- Pytanie tylko - powiedział Ellis, wracając do tematu rozmowy - na jak długim łańcuchu zostawić Rasika? Wylecieli do nas z białą flagą, ale tak naprawdę nic się nie zmieniło.

- Nie powiedziałbym, że nic - stwierdził Matt. - Może niewiele, jak zaś nie chciałem na razie naciskać, skoro przygotowania zabiorą nam jeszcze trochę czasu, ale Rasik potwierdził, że Rolak i jego ludzie mogą odejść, i przysiągł, że popiera cel naszej walki...

- Kłamał w żywe oczy - wtrącił się bosman Gray. - Za przeproszeniem, kapitanie.

- Ma pan rację. Też jestem przekonany, że kłamał. Ale co może zrobić? Ta jego mała wojna domowa spowodowała, że miasto jest obecnie prawie bez wojowników. Nie sądzę, żeby mógł nam narobić kłopotów, nawet gdyby chciał. Przypuszczam nawet, że nie będzie

zdolny zagrozić B'mbaado i królowa może zostawić miasto pod opieką milicji złożonej głównie z młodzików i starców. Ludzie lorda Rolaka to jedyna licząca się siła Aryaalu. Pewnie mógłby odzyskać miasto, zwłaszcza przy obecnym wyszkoleniu. Rasik nie chce ich powrotu i na pewno bardzo się ich obawia, zwłaszcza że są obecnie bez reszty po naszej stronie. Jestem pewien, że bez słowa sprzeciwu wypuści ich rodziny. Nie będzie chciał podgrzewać nastrojów.

- Wcześniej nie miał takich skrupułów, kapitanie.

- Wiem, ale chwilowo ma na pewno większe zmartwienia na głowie. Przede wszystkim myśli o umocnieniu swej władzy w mieście. Zbyt go to chyba pochłania, żeby mógł narobić nam kłopotów.

- To kiedy ruszamy, skipper? - spytał Garrett z drugiego końca stołu.

- Spanky mówi, że za kilka dni będzie gotowy wymienić śrubę. Jeśli mu się uda, *Mahan* będzie mógł wypłynąć przed końcem tygodnia. Natychmiast wyślę go do Baalkpanu. - Spojrzał na Ellisa. - Jak z naszą gotowością?

- Wystarczy słowo.

- Świetnie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za jakieś trzy tygodnie wznowimy ofensywę. Wcześniej zintensyfikujemy rozpoznanie, wystarczy też czasu na dokończenie szkolenia. Gdy weźmiemy się do Singapuru, chciałbym, żebyśmy spadli na niego jak lawina.

- Szkoda, że mnie to ominie - mruknął Ellis. - Jak dotąd tylko *Walker* spija śmietankę, *Mahan* zaś obrywa w cztery litery.

- Nie tylko - odparł Matt. - Udało wam się przetrwać, a to też sukces.

- Jasne. Ale nie przydaliśmy się na wiele podczas tej walki.

- Nie masz się co martwić. Wyremontujesz okręt i wszystko będzie przed wami. Alden wziął pakiet rysunków i zrobi nową śrubę. Powiedział też, że ma obecnie tylu ochotników do marynarki, że kijem musi się oganiać. Szybko skompletujesz załogę.

Ellis pokiwał głową, chociaż nie wyglądał na przekonanego. Nie przywykł też jeszcze do sytuacji. Flota Azjatycka od dawna przyjmowała miejscowych do załóg, zwłaszcza gdy chodziło o ludzi służących wcześniej w China Station, ale tam „miejscowy” oznaczało trochę co innego. Z drugiej strony mógł się już przekonać, że nowi załoganci *Walkera* są o wiele lepiej wyszkoleni i bardziej lojalni niż ludzie z „chińskiego” zaciągu.

- Gdy zdobędziemy ten Sin-ga-purr, wojna się skończy? - spytała królowa.

- Nie - odparł ze smutkiem Matt. - To nie będzie nawet początek końca. Ale na pewno będzie to koniec początku - dodał, nawiązując do słów Churchilla.

- Boże! - wykrzyknął Bradford. - Ciekawe, co by Winston powiedział, słysząc swoje

zdanie w takim kontekście?

- Chyba by się zgodził - mruknął Matt. - Zrozumiałby naszą sytuację. W sumie tutaj jest bardzo podobnie. Może z tym zastrzeżeniem, że Szwaby nie zjadają jeńców.

\*

- Gotowe! - oznajmił Spanky przez interkom. Stał na rufowym stanowisku dowodzenia i obserwował z przejęciem luz na linach przebiegających przez ochraniacz śruby. Rano przeszedł nad zatoką szkwał, który groził opóźnieniem prac, szybko jednak się wypogodziło i obecnie niebo było bezchmurne, a morze niemal idealnie spokojne. Pozostał tylko dokuczliwy upał stowarzyszony z typową dla Jawy wysoką wilgotnością powietrza. Samo zadanie też nie było łatwe. Niszczyciele stały zwrócone do siebie rufami w najgłębszej części zatoki. Biegające przez lewoburtowy ochraniacz *Walkera* liny zostały obwiązane wkoło śruby *Mahana*, którą chcieli zdjąć. Zrobili wszystko, co tylko się dało, żeby dobiegały do niej pod kątem zbliżonym do prostego, niemal na przedłużeniu wału. Chodziło nie tylko o to, że w ten sposób powinna łatwiej dać się ściągnąć, ale i zmniejszało to ryzyko wygięcia wału. Duża głębokość miała chronić śrubę przed uderzeniem o dno. Dzień wcześniej zdjęli w podobny sposób uszkodzoną śrubę *Walkera* i „próba generalna” udała się w całej rozciągłości.

Spanky zerknął ze współczuciem na Deana Laneya, który stał przy prawoburtowej wyrzutni bomb głębinowych. Posiniaczony marynarz zapewne wciąż jeszcze był w szoku i wyglądał tak żałośnie, że Silva otulił go kocem, który przyniósł spod pokładu. Wcześniej myśleli o budowie klatki, w której można by opuścić technika pod wodę, natrafili jednak na problem, którego nie udało im się rozwiązać. Pręty klatki musiałyby być na tyle blisko umieszczone, żeby chroniły przed najmniejszymi nawet z drapieżnych ryb, pozwalając jednak Laneyowi na wysunięcie dłoni, żeby mógł odkręcić mocowania śruby i założyć liny. Nijak nie dało się to pogodzić, sięgnęli więc ostatecznie po sposób z całkiem innej epoki. Wciągnęli pod kadłub niszczyciela wielkie żagle *Salissy* i umocowali je do burt tak, że uzyskali coś w rodzaju wolnego od ryb basenu. Kapitan Reddy uświadomił wszystkim, że tak samo postępowano kiedyś w czasach żaglowców, gdy trzeba było posłać kogoś pod wodę w rejonach nawiedzanych przez rekiny albo gdy załoga chciała się po prostu bezpiecznie wykapać. Rozwiązanie wydawało się wręcz genialne w swojej prostocie do chwili, gdy drapieżniki wyczuły jakimś sposobem, że za płócienną przegrodą może być coś ciekawego.

Może był to jakiś odgłos, może wyczuły ruch, dość że zaczęły atakować żagiel kościanymi łbami. Niekiedy na tyle energicznie, że dosięgały Laneya, który zdołał jednak dokończyć pracę, wykpiwszy się sporą kolekcją siniaków. Szczęściem żaden stwór go nie



zranił. Spanky aż bał się myśleć, co by się działo, gdyby w wodzie pojawiła się choć kropla krwi.

Teraz czekał niecierpliwie, aż liny zaczną się naprężać. Obok niego stał kapitan Reddy. Prawą rękę trzymał na kole sterowym i oglądał się przez lewe ramię na rufę okrętu. Nadchodziła krytyczna chwila. Gdyby manewr się nie udał, liny mogły oplątać ster albo i drugą śrubę. Poza tym musieli ciągnąć naprawdę prosto.

- Ruszajmy, skipper - powiedział Spanky, raz jeszcze lustrując liny. Na jego oko były w porządku.

Matt kiwnął głową. Wyglądał na bardzo skupionego.

- Prawa maszyna wolno naprzód - powiedział do Dowdena, który przekazał rozkaz do maszynowni. Okręty zaczęły się od siebie oddalać. Początkowo ledwo zauważalnie, potem coraz szybciej. Matt obrócił lekko sterem, żeby zrównoważyć znoszenie z kursu wynikłe z tego, że płynęli tylko na jednej śrubie. W końcu liny się napięły. Mimo że piany za rufą niszczyciela przybyło, okręt jakby się zatrzymał w miejscu, a kadłub jęknął rozgłośnie.

- Prawa maszyna dwie trzecie naprzód! - rozkazał Matt i woda zakotłowała się za rufą. Chwilę potem Matt znowu musiał skompensować znoszenie, ale uparta śruba ani drgnęła. - Niech ktoś otrze mi pot z twarzy! - zawołał kapitan. Jedną rękę miał uwiązaną do piersi, drugiej nie śmiał odrywać od koła sterowego. Nie mając niczego innego na podorędziu, Dowden osuszył czoło kapitana rękawem.

- Prawoburtowa maszyna awaryjna naprzód! - rzucił Matt.

Dowden spojrzał na niego z wahaniem, ale przekazał rozkaz. Potem zerknął na Spanky'ego, który pilnował lin, ale inżynier tylko wzruszył ramionami. Fontanna wody obmyła rufowy pokład, na którym stali Laney i Silva oraz kilku ludzi z toporami. Ci ostatni czekali tylko na sygnał, żeby przeciąć liny, gdyby okazało się to konieczne. Trochę rozbryzgów dotarło nawet na dach rufowej nadbudówki. Okręt jęczał i zgrzytał blachami, maszyny protestowały rytmicznym łomotem, głusząc wszystkie inne dźwięki. Dym z przeciążonych kotłów zaciemniał niebo. Przez pełne dwie minuty niszczyciel dawał z siebie wszystko, stojąc praktycznie w miejscu. Widok był wręcz surrealistyczny i załoga niepokoiła się coraz bardziej.

- Dość! - wykrzyknął Matt. - Dwie trzecie!

Stopniowo, żeby nie stracić sterowności, maszyny zostały zatrzymane i pokład znieruchomiał. Podczas wypuszczania nadmiaru pary wszyscy odnieśli wrażenie, że okręt dyszy jak po ciężkim biegu.

- Niezbyt elegancko to wyszło - powiedział Matt z krzywym uśmiechem.

Na stanowisku zjawił się Juan z karafką lodowatej wody i kubkami. Przywitano go z wdzięcznością.

- I co teraz, skipper? - spytał Dowden, ocierając usta i oddając kubek Juanowi.

- Cóż, spróbujemy energiczniej. Zobaczymy, czy stara sztuczka z nitką i drzwiami jeszcze działa.

*Walker* cofnął się, aż liny znowu obwisły. Oba okręty były tak blisko, że niemal stykały się rufami.

- Liny tego nie wytrzymają - szepnął Laney do Silvy. - A jeśli nawet, to wyrwą wał i tyle.

Silva spojrział krytycznie na kolegę i uderzył go otwartą dłonią w tył głowy.

- No co...?! - zaprotestował Laney.

- Przestań krakać! Chcesz zapeszyć?! Skipper wie, co robi. I oddawaj mi koc!

Silva rzucił odzyskany kawał materii stojącemu za nimi pomocnikowi imieniem Pak-Ras-Ar, w skrócie Pack Rat, czyli Szczur Drzewny. Albo Szczurek.

- Jak ci się przyda, to bierz. Nie będę spał pod czymś, co ten drań miał na sobie.

Szczurek powąchał koc i zmarszczył nos.

- Jak dla mnie, wonieje przede wszystkim niejakim Silvą.

- A idź się wypchaj, kudłaczu.

Dowden zdjął czapkę i przecesał palcami tłuste włosy. Kapitan liczył coś z niewzruszoną miną. Jak mógł być tak spokojny? Nie wiedział szczęśliwie, co wzbierało właśnie w głowie i żołądku kapitana, nie widział też, jak mocno drżała jego zaciśnięta na kole sterowym dłoń.

- Sygnał na *Mahana*: trzymajcie się - rzucił Matt.

Począł chwilę, aż wiadomość zostanie przekazana. Puchata chmura przesłoniła na moment słońce i woda lekko pociemniała. Kapitan raz jeszcze sprawdził, czy kąt ustawienia okrętów jest właściwy.

- Prawa maszyna cała naprzód! - powiedział cicho, acz dobitnie.

Czarny dym wzbił się w niebo i rufa *Walkera* wyraźnie przysiadła. Stary niszczyciel zerwał się do biegu. Wibracja narastała z każdą chwilą.

- Lina się kończy! - krzyknął niepotrzebnie Silva, bo wszyscy widzieli, co się dzieje. Gdy okręty były w odległości kilkuset jardów od siebie, coś nagle szarpnęło niszczycielem, jakby wpaść na skalną ścianę. Załoga padła na pokład, a dziób pochylił się mocno w lewo, niemal wrywając koło sterowe z dłoni kapitana. Zaraz jednak niszczyciel przechylił się w drugą stronę i jakby nigdy nic, ponownie nabierając prędkości, ruszył przed siebie.

- Maszyna stop! - krzyknął Matt.

Dowden przekazał rozkaz i podbiegł do relingu. Silva i Laney próbowali złapać ciągnącą się za okrętem linę.

- Mamy ją?! - spytał.

- Aye, sir! Lina jest obciążona! Mam tylko nadzieję, że nie wyrwaliśmy *Mahanowi* wału wraz z turbiną!

Wieść szybko się rozeszła i załoga głośno dała upust radości, Dowden zaś uderzył dłonią w reling.

- Przestańcie szarpać się z tą liną! - zawołał. - Sami nigdy jej nie wyciągniecie!

- Nawet nie próbujemy! - odkrzyknął Silva. - Sprawdzam tylko, czy nie sięgnęła dna! Mamy trzysta jardów liny, a tutaj jest chyba trzysta dwadzieścia...

- Zaraz się dowiemy - mruknął zatroskany Dowden.

*Walker* wreszcie wytracił pęd i stanął w dryfie jakieś ćwierć mili od zakotwiczonego bliźniaka. Zwisająca za burtą śruba powodowała lekki przechył na lewą burtę. Silva w końcu puścił linę.

- Kołysz się swobodnie! - zameldował.

Spanky odetchnął z ulgą i poczekał, aż maszynownia zamelduje co na dole.

- Kadłub wytrzymał, skipper. Nie ma więcej wody niż zwykle.

- *Mahan* melduje to samo - powiedział Riggs, odczytawszy przez lornetkę sygnał świetlny z drugiego niszczyciela. - Dzięki Bogu.

Matt pokiwał głową, ale wołał jeszcze nie puszczać koła sterowego.

- Dzięki, zaiste - powiedział. - Dobra robota, panie McFarlane. Proszę przekazać to wszystkim. Matka zawsze mi mówiła, że lepiej szarpać raz a dobrze, niż cackać się po trochu. Działa przy bolących zębach, kleszczach, rzepach i zapiętych śrubach okrętowych - dodał z uśmiechem, a załoga znowu wrzasnęła radośnie.

Spanky wychylił kolejny kubek wody i poprawił wiszące na chudych biodrach spodnie.

- A teraz, za pozwoleniem, sir - odezwał się - zabezpieczę naszą rybkę.

- Jasne. Panie Riggs, proszę dać sygnał na *Mahana*: Będę zobowiązany, jeśli kapitan Ellis odwiedzi nas wieczorem. - Spojrzał na Juana. - Przygotuj, proszę, coś specjalnego. To trzeba uczcić.

Gdy zapadła noc, niszczyciele cumowały już burta w burtę przy nabrzeżu. Ludzie i lemury przechodzili z pokładu na pokład i dalej na brzeg, gdzie zaczęła przenosić się zabawa. Niektórzy przystawali, żeby spojrzeć na brązową śrubę unoszącą się na tratwie za rufami niszczycieli. Paul Stites zmieniał płyty na gramofonie i puszczał muzykę przez głośniki pokładowe. Wcześniej robił to Silva, ale przyjaciel zluźował go, żeby też mógł sobie trochę poskakać.

Gdy Silva wyszedł na pokład, zaczął rozglądać się za Risą, z którą zazwyczaj tańczył, ale nigdzie nie mógł na nią trafić. Beknął głośno, jakby bekanie było sygnałem godowym, ale i to nic nie dało poza śmiechem, który rozległ się wokoło. Picie alkoholu na okręcie było jednoznacznie zakazane, ale beczki z piwem stały tuż obok na nabrzeżu i ludzie co rusz schodzili na ląd, żeby trochę zatankować. Silva, szybko wyczerpawszy wyznaczony przez kapitana limit dwóch kufla, zaczął się przyglądać lemurom próbującym sił w ludzkich tańcach. Nie bardzo im to wychodziło i szybko wracali do swoich płaśów, ale nikt nie czuł się urażony. Liczyła się tylko zabawa.

W pewnej chwili Silva dostrzegł postać z jasnymi, długimi włosami opartą o wylot wentylatora obok zejściówki do maszynowni. Z drżeniem serca pomyślał, że to musi być jedna z pielęgniarek z *Mahana*, najpewniej Pam Cross. Obserwowała tańczących z wyrazem zdumienia na pięknej owalnej twarzy i kiwała do taktu głową. Nagle Dennis zapragnął z nią porozmawiać, choćby po to, żeby usłyszeć kobiecy głos, jednak po raz pierwszy w życiu ogarnęła go nieśmiałość. Od tak dawna nie miał styczności z jakąkolwiek kobietą, że czuł pustkę w głowie.

- Co z tobą? - mruknął gniewnie pod nosem. - Po prostu podejź i zagadaj, do cholery.  
- Przepchnął się przez tańczących i stanął obok dziewczyny, trochę z tyłu, i otworzył usta.

- Spływajcie, marynarzu - powiedziała Pam Cross, niemal nie odwracając głowy.

Musiała go zauważyć. Mówiła z czystym brooklińskim akcentem i wyraźnie zamierzała posłać Silwę do diabła. Dennis jednak uśmiechnął się szeroko pewien, że wszystko będzie dobrze. Jeśli naprawdę jest właśnie taka, pomyślał, to znajdą wspólny język.

- Co to za teksty, laluniu? - rzucił tonem wyrzutu. - Stoisz tak sobie tu i nawet nie wiesz, jak bardzo przypominasz mi dziewczynę, którą zostawiłem w domu. - Przybrał smutny wyraz twarzy. - Teraz nigdy jej już nie spotkam.

Pam spojrzała na niego z góry, chociaż sięgała mu ledwie do piersi.

- We Flocie Azjatyckiej? - odezwała się kpiąco. - Idę o zakład, że od lat wszystkie kobiety, które znałeś, miały czarne włosy i śniadą skórę.

- Ale moja dziewczyna z trzeciej klasy miała takie włosy jak ty.

Pam spojrzała na niego karcąco, ale wytrzymała ledwie dziesięć sekund, po czym zaniósła się śmiechem.

- Jasne. Pewnie moja bliźniaczka.

- Wręcz skóra zdarta - potwierdził skwapliwie Silva. - Zatańczysz?

Dziewczyna nie przestała się uśmiechać, ale pokręciła głową.

- Nie mogę. Milusi jesteś, ale nie powinnam tańczyć.

- Milusi? - uniósł się Silva, dumnie wypinając pierś, po czym cofnął się o krok i malowniczo zaprezentował bicepsy. - Wielki Dennis Silva to nie żaden milusiński! - zawył tak głośno, że niektórzy aż obejrzel się niespokojnie, zaraz jednak uznali, że Silva znowu się wygłupia i że nie ma się czym przejmować.

Pam zaśmiała się głośno.

- Dobra, dobra! Jesteś kawał chłopca! - przyznała. - Wciąż jednak jesteś podoficerskim kawałem chłopca stojącym przed oficerem.

Silva gruchnął na kolana przed dziewczyną. W tym stanie sięgał jej głową do podbródka.

- Gadanie! - odrzekł. - Jesteś podporucznikiem, tak? To nie całkiem oficer. Ja zaś jestem matem artylerzystą... - zastanowił się przez chwilę - drugiej klasy! To naprawdę sporo.

Pan znowu się zaśmiała i szybko zerknęła dokoła.

- Dobra, wielka szycho - rzucił mat artylerzysta drugiej klasy. - Tak właściwie to nieważne. Bo i co mi zrobią? Wyrzucą mnie z woja? Chodź!

I tak oto Dennis Silva znalazł się w siódmym niebie.

Zaczęli od swingowych wywijasów, z którymi Silva radził sobie całkiem dobrze. Pam nie całkiem, ale po prawdzie nie miało to znaczenia. Dennis nie tyle z nią tańczył, ile ją obtańcowywał. Pierwsze dwa utwory poszły dobrze i nawet publiczności spodobały się ich popisy, ale przy trzecim pojawił się zgryz. To był walc, na dodatek *Ramona*, którego Stites w ogóle nie powinien był puszczać, bo chłopakom zawsze robiło się przy nim nieswojo od wspomnień. Czasem zaś zaczynało ich nosić i tak też wyszło tym razem. Obok tańczących pojawił się nagle posiniaczony i wkurzony Dean Laney z propozycją „odbijanego”.

- Odsuń się, gorylu - rzucił do Silvy. - Ale z was para! - Spojrzał z uznaniem na Pam. - Może by tak i innym życie umilić?

Zarówno Silvie, jak i Pam zrobiło się nieswojo. Zwłaszcza ona poczuła się zaskoczona. W końcu tylko tańczyła, nic więcej.

- Spokojnie, staruszk - warknęła na Laneya. - Nie jestem twoją ani czyjąkolwiek własnością. Tańczę, z kim chcę.

Laney spojrział gniewnie na Silvę.

- Zostaw ją. Nie jest twoja - zażądał z uśmiechem. - Poza tym masz żonę. Powinieneś dać szansę innym.

- Nie słyszałeś, co powiedziała? - warknął Silva. - Ona nie jest twoja ani niczyja i w ogóle odwal się, wypierdku. Zabieraj swoje brudne łapy, bo patrzyłki ci wydlubię. Dociera? Dla własnego i jej dobra. Starczy jeden taniec z tobą, żeby porządnej kobiecie mężczyźni obrzydli do końca życia. Chcesz, żeby chłopaki cię za to powiesili?

Słyszając to, Laney zamachnął się na Silvę.

Dennis rzadko przegrywał walki, głównie jednak dzięki doświadczeniu i bezwzględności. Tym razem jego przeciwnik dorównywał mu fizycznie i cios, który trafił w kość policzkową Silvy, zamroził go na chwilę i niewiele brakowało, żeby Laney wykorzystał sytuację. Przeszkodziło mu ramię bosmana Graya, który złapał nagle Laneya w żelazny uścisk. Ta chwila wystarczyła, żeby Silva doszedł do siebie.

- Puszczaj! - zawył Laney, miotając się jak makrela.

- Taak - wycedził Silva ze złowieszczym uśmiechem. Po chwili jakby się rozmyślił, ale gdy policzek go zapiekł, znowu nabrał ochoty, żeby wykorzystać sytuację. - Chyba coś ci jestem winien.

- Przestańcie! - warknął Gray i spojrział lodowato na zbierającego się do uderzenia Silvę.

- To on zaczął, bosmanie - powiedział Silva tonem luźnej rozmowy. - Nie było żadnej bójki.

- Cokolwiek to było, dokończycie to później - stwierdził Gray trochę ciszej. - Mamy kłopoty.

Silva nagle spowaźniał i szybko się rozejrzał. Impreza toczyła się dalej. Walc się skończył i z głośników dobiegał teraz melodyjny ragtime. Za bosmanem dostrzegł kilka postaci, wśród nich Chacka, Donagheya i Campetiego. Byli też z nimi Steele i nowy, miejscowy bosmanmat z *Mahana*. Wszyscy byli spięci, musiało więc chodzić o coś ważnego.

- Ale nie na oficerskim poziomie? - spytał, nie rozwijając tematu. Pamiętał, że pełniący na *Mahanie* obowiązki pierwszego Steele był obecnie de facto oficerem.

- Miejmy nadzieję, że uda się to załatwić we własnym gronie - odparł Donaghey.

Silva spojrział na Pam Cross, która obserwowała tę scenę szeroko otwartymi oczami.

- Spokojnie, chłopaki - powiedziała i trąciła Silvę łokciem pod żebra. - Ten tutaj wytłumaczył mi właśnie, że podporucznik to żaden oficer. Nie rozgadam.

Gray odetchnął.

- Dobra. Poza tym potrzebna nam będzie pielęgniarka. - Rozejrzał się wkoło i skłonił spojrzeniem kilku ciekawskich, żeby zainteresowali się czymś innym. Po chwili wszyscy zapomnieli o małym zgromadzeniu i zabawa potoczyła się swoim torem. - Teraz tak. Nie wszyscy razem, ale pojedynczo albo po dwóch schodzimy na brzeg. Spotykamy się przy beczkach. Możecie wychylić jeszcze po jednym, potem marsz na cmentarz.

- Co jest grane? - zapiszczał Laney, który od uścisku Graya niemal stracił czucie w ramionach. Bosman w końcu go puścił, ale zaraz obrócił twarzą do siebie.

- Cokolwiek dzisiaj usłyszysz, zachowasz to dla siebie, macie Laney - powiedział. - Jasne? Ufamy, że zachowasz się jak mężczyzna, nie dzieciak. Jak będzie?

Mimo zaskoczenia Laney nie wahał się ani chwili. Rozumiał, czego od niego oczekują.

- Nie skrewię - zapewnił.

\*

Przy cmentarzu zebrała się już całkiem spora grupa.

Na tle ledwie przesłoniętych chmurami gwiazd rysowały się sylwetki tak ludzi, jak i lemurów. Głównie starszych podoficerów z obu niszczycieli. Przy grobach pełniło wartę dwóch miejscowych sierżantów z 2. kompanii marines. Obok amerykańskiej bandery płonęło małe ognisko, które miało ją nieustannie oświetlać. Teraz była to święta ziemia i póki siły ekspedycyjne przebywały w tej okolicy, należał się jej szacunek. Ognisko ponadto odciągało uwagę obserwatorów od pobliskiego zgromadzenia. Kilka uczestniczących w nim osób miało broń, a Russ Chapelle, który przywitał nowych, nawet karabin maszynowy.

- Campeti zadba, żeby nie szukali nas chwilowo na *Walkerze* - rzucił Gray.

- Ma mówić, że poszliśmy na *Mahana* - dodał Steele.

Wszyscy razem, łącznie z szesnaście osób, wspięli się na małe wzniesienie i zeszli na plażę, przy której kotwiczył *Mahan* zaraz po przybyciu do Aryaalu. Jedynym śladem po pobycie niszczyciela był niewielki pawilon, w którym prowadzono kiedyś rozmowy z nieufnymi tubylcami. Skryty w zagłębieniu terenu posłużył teraz do innego celu.

Gray zatrzymał się przed wejściem i spojrzał na Pam Cross.

- W środku jest dwoje pacjentów - powiedział. - Jeden bardzo potrzebuje pomocy. Drugi wcale, ale dobrze będzie przypilnować, żeby nie wykrwawił się ani nie zemdlął za wcześnie.

Cross skinęła głową. Wciąż nic nie rozumiała, ale nie była szczególnie zaniepokojona. Weszła za bosmanem do pawilonu. Silva, Chack i Laney także.

W kącie pawilonu siedziała młoda kotowata. Wyglądała na nastolatkę, chociaż miała na sobie mundur pułku gwardii. Właściwie były to resztki uniformu. Całe pozostały tylko nagolenniki, chociaż niektóre ich rzemienie zostały przecięte. Futro miała przesiąknięte krwią. Płakała, a jej łzy mieszały się z krwią kapiącą z ran na jej twarzy, zwłaszcza niemal odciętej górnej wargi Risa tuliła ją niczym własne dziecko i też płakała. Zobaczywszy Silvę, kiwnęła mu głową i spojrzała z lodowatą nienawiścią w drugi koniec pawilonu, gdzie leżał zakneblowany, skuty i jeszcze bardziej pokrwawiony mat drugiej klasy Al „Jolson” Franklen. Ledwie Silva go ujrzał, wiedział już, że tkwią po uszy w gównie. Franklen był skończonym draniem, ale dzięki podobieństwu do Ala Jolsona cieszył się pewną popularnością wśród załogi. W Cavite zdarzało się nawet, że występował na scenie, uczerniwszy twarz tak jak słynny komik. Ubaw był z tego po pachy, chociaż nie zawsze. Czasem robiło się paskudnie.

Ludzie z Floty Azjatyckiej tworzyli szczególną mieszankę. Nie był to typowy amerykański „tygiel narodów”, ale ktokolwiek tu służył, nieustannie miał kontakt z Chińczykami, Filipińczykami, Malajami, Arabami, Jawajczykami, Hindusami... Zwłaszcza w miastach, a poza tym każda wyspa już dawno stworzyła własną, specyficzną kulturę. Różnie można było do tego podchodzić, ale ludzie przesiąkli miejscową atmosferą i przyzwyczajali się do tej różnorodności. Bywało, że nawet zatwardziali rasiści pozbywali się uprzedzeń.

Niestety, Franklen nie był taki. W Michigan należał do Ku-Klux-Klanu i gardłował, że Stany powinny sprzymierzyć się z nazistami. Przycichł, gdy Japończycy zaatakowali Pearl Harbor, ale wciąż uważał, że tylko biali są naprawdę ludźmi. Nie miał wcześniej wiele kontaktu z miejscowymi, a do tego pewnie jeszcze sporo wypił. Wszystko to znaczyło najpewniej, że narozrabiał. Że zrobił coś takiego, za co przyjdzie mu zapłacić życiem.

Powinniśmy bardziej uważać na takich jak on, pomyślał Silva z lekkim ukłuciem winy, że może i sam przyczynił się do problemu. Ale cóż: co się stało, już się nie odstanie. Doszło do najgorszego, co zdawało się niemożliwe. Do napaści na tle seksualnym. Stało się i będą musieli się z tym zmierzyć.

Dla Silvy sprawa była oczywista. Nie mogli o tym zameldować. Rano wieść by się rozniosła i chociaż kapitan bez skrupułów zaprowadziłby porządek, byłoby już za późno. Tutejsze kobiety nie broniły się przed flirtami, ale zawsze same decydowały, do czego się posunąć. Relacja między Silvą a Risą nie była inna. Nie przywykły do tego, żeby zmuszano je do czegokolwiek albo brano siłą. Jednak doszło do tego, na dodatek z użyciem brutalnej siły. To jedno mogło wzbudzić nie tylko nieufność, ale i żywą nienawiść. Dlatego też należało zamknąć sprawę z udziałem bosmanów. Stawką było najpewniej dalsze istnienie sojuszu, może nawet szansa na wygranie wojny. A wszystko przez jednego samolubnego, zboczonego



i rasistowskiego drania.

Wiele zależało teraz od dziewczyny. Dali Pam kilka chwil na rozpakowanie torby medycznej. Potem, nie patrząc na Franklena, podeszła do jego młodej ofiary i zabrała się do badania. Wraz z Risą wdała się w cichą rozmowę z dziewczyną, mężczyźni zwrócili się zaś z ponurymi twarzami w stronę więźnia. Chack przykucnął obok niego na piasku i oparł brodę na rękojeści korda. Jego płonące nienawiścią oczy znalazły się o kilka cali od twarzy Franklena.

- Wyciągnijcie mu knebel - polecił Gray. - Jeśli spróbuje czegokolwiek poza cichym odpowiadaniem na pytania, zabij go - dodał pod adresem Chacka i spojrzął na Franklena. - Rozumiesz? Odpowiadaj na pytania i zachowuj się uprzejmie, a może przeżyjesz tę noc.

Franklen prychnął mimowolnie, gdy ponownie puściła mu się krew z nosa. Bosman wzruszył ramionami i skinął na Donagheya, który wyrwał więźniowi zakrwawiony knebel z ust.

Franklen zaniósł się kaszlem, po czym spluwał przez kilka minut, zanim się odezwał.

- I tak mnie zabijecie. Nigdy mnie nie lubiliście - wybełkotał przez poranione wargi.

- Niezupełnie - odrzekł Gray. - Byłeś diabło zabawny, zwłaszcza w przebraniu. W nim nie byłeś chociaż tak szpetny jak zwykle. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak dobrze udawał Ala Jolsona. Tyle że sam nie byłeś taki jak on. Dokopywałeś innym. Miejscowi mieli z tobą krzyż pański. Ale jakbyś nie wiedział, ten twój ulubieniec z Hollywood, któremu tyle zawdzięczasz, jest Żydem!

- Gówno prawda!

Gray uniósł bezradnie oczy.

- A ci inni sobie na to zasłużyli - ciągnął Franklen. - Całkiem jak negry u nas. Zabierają robotę ciężko pracującym białym. Odbierają im miejsca w fabrykach, bo godzą się robić za mniej. I te mały tutaj tak samo - dodał szyderczo. - Udają prawdziwych marynarzy. Ludzi udają! Wydaje się im, że są żołnierzami!

Bosman nie mógł się powstrzymać. Uderzył go mocno w twarz.

- Udają ludzi, mówisz? To co, za kogo ich masz? Myślisz, że możesz z nimi robić to, co robisz ze zwierzętami na swojej farmie? Tak ci się pokojarzyło?

- O sobie chyba gadasz - rzucił wyzywająco Franklen. - Pewnie wszyscy już na to przeszliście. A ty pierwszy! - dodał, patrząc na Silwę. - Zdrajca rasy!

Gray i Donaghey ledwie powstrzymali Dennisa przed wbiciem bagnetu w ciemność więźnia. Chack wstał, wyraźnie zaintrygowany reakcją Silvy. Podobnie jak i reakcją swojej siostry, która oderwała się na chwilę od opatrywanej dziewczyny. Z dreszczem zdumienia

zrozumiał, że ich „związek” nie mógł być li tylko żartem. Czymkolwiek jednak był, stanowił coś kontrastowo odmiennego od zdarzenia, do którego doszło tej nocy.

- Do niczego z nim nie dojdziemy - westchnął Donaghey. - Nie rozumie i nie chce zrozumieć.

- Ja mu wytłumaczę - powiedział cicho Silva, chowając bagnet, i przyklęknął na piasku.

Chack i Laney zastąpili dwóch kotowatych, którzy wcześniej, trzymali szarpiącego się Ala. Danny spojrzął najpierw na obie dziewczyny, z których jedna gotowa była zabijać samymi oczami, druga zaś... w zasadzie też, ale w jej spojrzeniu dostrzegł też coś, co widział dotąd tylko raz. W ładowni *Zemsty* zaraz po opanowaniu jednostki i uwolnieniu tych, którzy byli dla grików tylko zapasem pożywienia. Nigdy nie był szczególnie wrażliwy i sam zwykł lekko traktować kobiety, ale teraz... Zrobiło mu się niemal wstyd, że jest mężczyzną. Dotarło również do niego, że pierwszy raz widzi miejscową kobietę w takim stanie. Po prostu bezradną, skrzywdzoną nastolatkę. Poczul przypływ nieznanej dotąd wściekłości. Kątem oka dostrzegł jeszcze, że Pam patrzy na gwałciela właściwie tak samo jak obie kotowate.

- Powiem ci coś, Al - rzekł Silva. - Lubię miejscowych. O wiele bardziej niż ciebie. I są dla mnie całkiem normalni. Tak jak ludzie. Na pewno więcej w nich człowieczeństwa niż w tobie. Walczyłem razem z nimi i pracowałem, razem rozlewaliśmy krew. Pomogliśmy im i oni pomogli nam. - Wskazał na dziewczynę. - Teraz jej nie poznaję, ale idę o zakład, że stałem z nią w jednym szeregu podczas bitwy. Z tego, co słyszałem, ty nigdy naprawdę nie walczyłeś. Nie wiem nawet, czy zrobiłeś coś dla naszej sprawy, odkąd tu trafiliśmy. Zdaje się, że nie było tego wiele. Wsparłeś za to bunt Kaufmana i patrzyłeś spokojnie, gdy inni ginęli...

- Ale wybaczone mi - wtrącił Franklen.

- Ciekaw jestem, czy choć raz walczyłeś z grikami - ciągnął Silva, nie zwracając uwagi na słowa więźnia. - Bo zgadzasz się chyba, że są gorsi niż koty? Nie odpowiadasz? No to policzmy - powiedział Dennis, rozprostowując palce. - Bitwa na pokładzie *Salissy* to jedno, ale pan Ellis też starł się z grikami na wyspie. Ty czekałeś tylko na powrót Kaufmana i palcem nie kiwnąłeś. Słyszałem, że *gdy Mahan* przybył tutaj, nie było ci spieszno, żeby w czymkolwiek pomóc.

- Nic nie mogliśmy zrobić! Naprawdę nie rozumiesz? Aż taki głupi jesteś? Ci tutaj w ogóle nie chcieli z nami gadać. Nawet grikowie gównem ich obchodzili, aż było już za późno. Chcieli tylko prać się nawzajem. - Splunął krwią. - Ellis był za cienki, żeby coś z tym zrobić. Ale pozwolił mi normalnie pracować.

- Warunkowo - warknął Gray. - Zostawił cię tylko dlatego, że brakowało mu ludzi.

Moim zdaniem powinien cię być powiesić. On jednak wybaczył ci i zostawił cię w załodze. Uznał, że co było, to było, teraz będzie lepiej. Ale do ciebie nic nie dotarło. Nawet podczas bitwy pod miastem siedziałeś sobie na brzegu. Znowu. Także wtedy, gdy zrobiło się naprawdę ciężko. Dla mnie znaczy to jedno - dodał Silva, unosząc brwi. - Poza wszystkim, o czym była już mowa, jesteś też tchórzem. - Pokręcił głową. - Tylko wobec małych dziewczynek nie brak ci odwagi. Gdy tylko nadarzyła się okazja, rzuciłeś się na pierwszą z brzegu. Co zamierzałeś z nią zrobić? Bo przecież nie mogłeś pozwolić, żeby opowiedziała potem komuś o twoim „wyczynie”?

Nagle wszyscy zrozumieli z przerażeniem, że Silva ma rację.

- Gadanie... - prychnął Franklen. - Nie jestem taki. Nie zrobiłbym jej krzywdy. Chciałem sobie tylko trochę użyć. Tak jak ty!

Risa w jednej chwili przyskoczyła do więźnia i pazurzastą dłonią złapała go za włosy.

- Silva nie używa sobie, ty nieużytku! - zawołała. Spojrzała na Franklena, potem na innych, w tym i brata. - Jesteśmy przyjaciółmi. Zażartowaliśmy sobie. Z Chacka, z kapitana, była kupa śmiechu. Ale jesteśmy przyjaciółmi. Nawet więcej niż przyjaciółmi. - Zwróciła głowę w stronę Chacka. - To przecież w porządku. Dla kapitana, dla wszystkich. W porządku, czy nie? Bo dla mnie na pewno tak.

- Sami widzicie - zapiszczał Franklen. - To prosta sprawa, tylko się czepiacie... - Nie dokończył i byłby wyzionął ducha, gdyby Silva i Chack nie odciągnęli Risy w przeciwny kąt pawilonu.

Gray, Donaghey, Laney i Steele przyklęknęli nad nieprzytomną postacią z takimi minami, jakby się zastanawiali, co zrobić z węzową padliną. Gdy Silva i Chack wrócili, bosman wyglądał, jakby chciał przeprosić za swój udział w tym wszystkim.

- Powiedziałeś głośno to, co wszyscy myśleli - odezwał się Gray, uprzedzając innych. - I co trzeba było powiedzieć. To jest jego proces. Przyznał się do tego, co zrobił, a ty wskazałeś, że gdyby nie został przyłapany, skończyłoby się jeszcze gorzej.

- A swoją drogą kto go złapał?

- Steele. Czystym przypadkiem, podczas ostatniej kontroli okrętu, gdy chciał już iść na imprezę. Usłyszał krzyki. Nie myślałem, że ma tak dobry słuch. Franklen zwabił ją do pomieszczenia maszynki sterowej. Obiecał, że pokaże jej wszystkie urządzenia. Wiesz, oni to uwielbiają. Przy maszynach są jak dzieci, którym pokazać cukierka.

Silva znowu poczuł się winny.

- Jak sądzicie, na ile Risa i ja mogliśmy się do tego przyczynić? - spytał.

Obecni zachowali kamienne twarze.

- Nie wydaje mi się, żeby w ogóle - powiedział w końcu Gray. - Po pierwsze nikt nie wiedział, co naprawdę działo się między wami. Po prawdzie chyba wciąż nie wiemy. Takie „więcej niż przyjaciele” może znaczyć wszystko. Ale cała reszta, poza tym namiotem, wie jeszcze mniej niż my. - Spojrzał przenikliwie na Laneya. - Jednak cokolwiek to było, jestem pewien, że nie przypominało ani trochę tego tutaj - dodał i splunął na pojękującego Franklena.

- Dobra. Ale co zrobimy z tą kreaturą? - spytał Chack, po raz pierwszy od dawna nie odnosząc tego określenia do Silvy. Może wziął sobie do serca to, co jego siostra powiedziała o przyjaźni z Dennisem, może spojrzał na nich z nowej perspektywy. - Postanowiliśmy, że nie możemy ukarać go publicznie, dla przykładu, choć szkoda. Po naszej stronie też jest sporo takich jak on.

- To się szybko zmieni - powiedział Silva. - Za dużo krwi wspólnie przelaliśmy. Poza tym większość tak myślących siedzi po drugiej stronie murów albo już sobie odpłynęła. U nas zaś będzie niebawem o jednego takiego dupka mniej - stwierdził, widząc, że Franklen odzyskał już przytomność.

- Spytajmy dziewczyny - odezwał się nagle Laney, który dotąd wyłącznie milczał.

Donaghey pokiwał głową.

- Tak. Zobaczmy, czego ona by chciała - rzekł.

Franklen zaczął coś bełkotać, ale ponownie został zakneblowany, a Chack i Laney mocno go przytrzymali. Rzuciwszy propozycję, Laney wołał pozostawić jej realizację innym. Za nic nie miał ochoty na rozmowę z małąletnią ofiarą gwałtu.

Gdy podeszli do niej, wyglądała już znacznie lepiej. Została okryta czystym prześcieradłem, zapewne przyniesionym dla niej z okrętu. Z futra zniknęły ślady krwi, zranienia przesmarowano maścią. Pam zakładała jej szwy na wargę, ale ból chyba przestał już dziewczynie dokuczać. Silva musiał przyznać, że podobnie jak pracująca z Myszowatymi Buras była nie tylko młoda, ale i... dobrze zbudowana. Można było zrozumieć, że pozbawieni kobiecego towarzystwa marynarze i marines też to zauważali. Ale w żadnym razie nie usprawiedliwiała to gwałtu.

- Mówi po angielsku? - spytał bosman.

Ciemnofutra główka skinęła na potwierdzenie.

- Zdumiewająco dobrze - stwierdziła Pam. - Większość lemurów z Baalkpanu, których spotkałam, mówi płynnie po naszymu. Całkiem jakby bardzo chcieli się z nami zaprzyjaźnić.

- Każdy parszywy kundel będzie lizał rękę pana, zanim ugryzie! - wycharczał nagle Franklen, wypluwszy knebel. Zaczął wykrzykiwać coś jeszcze, ale zaraz go uciszono.

Gray ryknął na niego tak głośno, że zdaniem Silvy musieli go chyba słyszeć na

okręcie. Potem jednak obrócił się do dziewczyny i rysy mu złagodniały. Gdy znowu się odezwał, zrobił to cicho i bardzo łagodnym tonem. Zdumiony Dennis aż otworzył usta.

- Jak się nazywasz, dziecko? - zapytał Gray.

- Blas-Ma-Ar - szepnęła dziewczyna. - Z klanu *Nerracki*. Staram się o przyjęcie do 2. kompanii marines. Walczyłam w czworoboku - dodała z dumą i Gray się uśmiechnął.

- Tak się składa, że znam dowódcę 2. kompanii marines. Jeszcze dziś z nim porozmawiam.

Sierść na twarzy młodej kotowatej zjeżyła się z lekka, co było kocim odpowiednikiem rumieńca. Potem spojrzała nieśmiało na Chacka.

- Ale to później. Teraz musimy zdecydować o czymś życiu - powiedział poważnie Gray. - Jego już wysłuchałem, ale nie znam jeszcze twojej wersji wydarzeń.

Blas zawahała się. Pam i Risa zaraz pospieszyły ze wsparciem.

- To będzie trudne - wyszeptała kotowata.

- Wiem, kochana - odszepnął bosman. - Wiem.

\*

Gdy skończyła, Gray pokiwał głową. Czegoś takiego właśnie oczekiwał. Relacja była tak szczegółowa, że aż trudna do przyjęcia, ale miejscowi inaczej pojmowali skromność i mało czego się wstydzili. Ponadto Blas-Ma-Ar (którą bosman zaczął już nazywać w myślach Blossom, Kwiatuśkiem), zachowywała się jak zwykła nastolatka, którą spotkało coś strasznego. Tak samo była przerażona i wstrząśnięta, podobnie odczuwała złość, a nawet trochę poczucia winy. Gray ledwo nad sobą panował, ale gdy spojrzał na Franklena, okazało się, że więzień zasnął. Nie szkodzi, pomyślał. To dziewczyna była tutaj najważniejsza. Chociaż... była nie tylko dziewczyną, ale i wojownikiem, który sprawdził się w walce. Franklen do pięt jej nie dorastał.

- Rozumiesz już, dlaczego wszystko musi pozostać między nami? - spytał i zobaczył, że Blas skinęła głową. - Musimy zareagować teraz, od razu. Zanim cokolwiek się rozejdzie. Tak że gdy ludzie coś usłyszą, to od razu i o tym, że zrobiliśmy porządek. Czasem po prostu tak trzeba.

- A kapitan nie mógłby się tym zająć?

- Nie, kochana. Kapitan może wszystko, ale w tej chwili nie powinien się tym zajmować. Zrobiłby co trzeba, ale byłby tak wściekły, i inni też, że nie myślałby o niczym innym. To stałoby się ważniejsze niż wojna z grikami. Chyba też tego nie chcesz.

- Nie - szepnęła Blas. - Chcę zostać marine. - Zawahała się i spojrzała na Franklena. -

I chcę mu wydłubać i zjeść oczy.

Donaghey spojrział na zegarek.

- Cokolwiek zrobimy - powiedział - i cokolwiek ona zje, lepiej się pospieszmy. Jeszcze trochę, a jakiś oficer zorientuje się, że Indianie zostali bez wodzów.

- Racja - mruknął Gray. - Zawołajcie resztę i jakoś to załatwimy.

Wszyscy poza Russem Chappelle'em i miejscowymi marines zdołali jakoś wcisnąć się do pawilonu. Wielu głośno wyraziło współczucie Blas, zerkając przy tym z potępieniem na byłego towarzysza.

- Obędziemy się bez ławy przysięgłych - powiedział Gray. - „Oskarżony” został przyłapany na gorącym uczynku, przyznał się do czynu i zaprosił pana Steele'a, żeby też sobie trochę „użył”. Nie zaprzeczył, że brutalnie zgwałcił naszą młodą sojuszniczkę. Jest winien i nie widzę powodu, żeby poddawać to pod głosowanie. Jedyne, o czym trzeba zdecydować, to jaką karę poniesie.

- U nas to oczywiste i myślę, że tak samo jest tutaj - powiedział Steele z westchnieniem. - Za coś takiego jest tylko jedna kara, chociaż on zapewne zasłużył na coś więcej, zanim z nim skończymy.

- Nie wiedziałem, że bosman ma taką władzę - szepnął Laney. - Regulaminy o tym nie wspominają.

- Nie wspominają - zgodził się Gray. - Ale w regulaminach o wielu rzeczach nie ma mowy. O tym świecie, w którym jesteśmy, też niczego w nich nie znajdziesz. I to nie jest pierwszy raz, gdy sami musimy szukać rozwiązania - dodał, patrząc na Donagheya. - Czasem trzeba załatwić coś od ręki, i to jest taki właśnie przypadek. Stawka jest zbyt wysoka, żeby zrzucić to na barki kapitana.

- Z naszego punktu widzenia będzie nawet lepiej, jeśli tak to załatwimy - powiedział Chack z ustami tuż przy uchu Franklena. - Wszyscy zobaczą, że szanujecie swojego wodza i sojuszników. I że nawet młodociana wojowniczką jest dla was tak ważna, że nie czekaliście na „właściwą chwilę”, żeby porządnie zamknąć sprawę.

Blas obruszyła się trochę na „młodocianą”, ale Chack mrugnął do niej uspokajająco.

- Jesteś bardzo młoda - dodał. - Ja też ledwo co przestałem być chłopcem. Ale jesteś też marine.

- No to co robimy? - spytał Silva, który nie lubił niczego przeciągać. - Chciałbym jeszcze trochę potańczyć, zanim impreza się wypali.

- Z oczywistych przyczyn nie możemy go zastrzelić - mruknął Donaghey.

- Najprościej byłoby wrzucić go do wody i niech się rybki pożywią - stwierdził Silva.

- Gdzie podział się stary Al? A diabli wiedzą. Pewnie popił i wypadł za burtę. Widzieliśmy, jak dopijał resztki z cudzych kufli. Pewnikiem wiele ich znalazł.

- Powiedzmy - stwierdził z namysłem Gray. - Masz chyba duszę bosmana, Silva.

Franklen nie mógł mówić, ale spoglądał z przerażeniem to na jednego, to na drugiego. Oni rozmawiali o tym, jak go zabić! Całkiem naturalnie i jakby w ogóle go tutaj nie było!

- Nie możecie tego zrobić! - zaprotestował Laney.

Franklen oparł się o niego z ulgą i zaszlochał.

- Że co? - spytał złowróźnie Gray.

Laney trochę się speszył, ale nie odwrócił oczu.

- Zabić tak, jasne. Zasłużył. - Wzdrygnął się i odsunął trochę więźnia od siebie. - Ale żeby wrzucać go żywcem do wody, to nie. I nie możemy pozwolić, żeby ona zjadła jego oczy.

- Nie bój ryby - mruknął bosman. - Żywy tam nie trafi, dziewczyna też nie dostanie jego ślepi. Nasze bezprawie ma pewne granice. To różni nas od grików czy gości w rodzaju Ala. Można nagiąć regulamin, ale honor to honor. A naginamy regulamin, bo jest dla nas bardzo ważny. Musimy bronić honoru marynarki, naszych okrętów i ludzi. Rozumiesz?

- No to jak go zabijemy? Nie powiesimy go, bo tutaj nie ma gdzie - odezwał się ponownie Silva. - Nie chcę być natarczywy, ale im szybciej go załatwimy, tym lepiej.

- On ma rację - powiedział Steele. - Załatwmy to. Są ochotnicy?

- Darujmy sobie ten cyrk - zachnął się Silva. - Mamy ciągnąć słomki? A jeśli trafi na słabeusza? Do tego trzeba mieć krzepę w łapach. Słowo daję, jeszcze trochę tego gadania, a zacznę sprzedawać bilety. - Spojrzał na Laneya. - Załatwisz go, Dean?

Zaskoczony Laney rozejrzał się wkoło, po czym wbił oczy w ziemię, byle tylko nie patrzeć na więźnia ani jego ofiarę.

- Nie, Dennis - bąknął. - Nie z zimną krwią. Gdybym naprawdę musiał, to może, ale źle bym się z tym czuł. Nie jestem typem mordercy, jak ty.

- Mało kto jest - zgodził się spokojnie Silva. - Rzecz w tym, że ja nie powinienem się do tego brać. Z własnych powodów, chociaż pewnie bym i chciał. Wszyscy jednak wiemy, że sprawą bosmana jest dowodzić. W tej chwili wszyscy albo jesteśmy bosmanami, albo wykonujemy robotę bosmana. Tyle że niektórzy stoją trochę wyżej niż inni. Sam byłem już prawie bosmanem, ale tylko tyle. Nie zostanę nim, bo nie chcę tej odpowiedzialności. - Podszedł do Graya i spojrzał mu w oczy. - A to jest naprawdę duża odpowiedzialność. Ty jesteś tu najstarszy. Może Frank jest akurat wyżej ciebie, ale zgodziliśmy się, że nie ma tu oficerów. Zatem ty dowodzisz. Decyduj więc, bosmanie. Albo wyznacz kogoś, albo sam to zrób.

Trwało chwilę, nim Gray pokiwał głową.

- Dawno dostałbyś już awans, Silva, gdybyś nie był taki porąbany. Chodź, razem to załatwimy.

Laney i Chack przytrzymali ręce więźnia, Silva objął go na wysokości piersi. Al szarpał się i bełkotał coś przez knebel.

- Wyciągnę ci ten knebel i jeśli nie będziesz się wygłupiał, pozwolę ci wypowiedzieć ostatnie słowa - zaproponował Gray.

Franklen uspokoił się. Biorąc to za zgodę, bosman wyciągnął zakrwawioną szmatę, jednak Al natychmiast zaniósł się wrzaskiem. Gray złapał go za głowę i zaczął ją skręcać. Krzyk nagle ucichł.

- Słyszysz to skrzypienie, Al? Takie dziwne, jakby pod czaszką coś ci pękało? - Franklen jęknął. - Myślisz, że to coś? - spytał bosman głosem prawdziwego Ala Jonsona i nie był w tym wcale gorszy od Franklena. - Jeśli tak, to nic jeszcze nie słyszałeś! - dokończył, sięgając po cytaty z występów komika.

\*

Rasik-Alcas, król i obrońca Aryaalu, chodził tam i z powrotem przed wielkim oknem. Przy każdym kroku zamiatał podłogę kosztowną obszerną szatą. Daleko w dole widział rozświetlone nabrzeże i cumujące przy nim okręty. Przytłumione dystansem odgłosy zabawy tylko podsycaly jego gniew.

- Tak, panie królu - potwierdził lord Koratin, oglądając się nerwowo. - Najeźdźcy się bawią.

- Dlaczego? - warknął Rasik.

Koratin pochylił głowę.

- Nie wiem dokładnie, panie. Słyszałem, że ich statki potrzebują od dawna odkładanych napraw. Mamy tam tylko paru szpiegów.

Rasik chciał zrugać swojego nowego doradcę, że nie zorganizował jeszcze porządnej siatki informatorów, ale się powstrzymał. Lord Koratin należał do jednego z najstarszych rodów Aryaalu i był swoistą szarą eminencją. Próżny do tego i obraźliwy, nie miał jednak dość odwagi, żeby przeciwstawić się nowemu królowi. Na razie. Rasik był pewien, że Koratin żywi podejrzenia co do tego, jak Fet-Alcas opuścił ten świat, na razie jednak akceptował oficjalną wersję i nawet zaoferował pomoc. W tej sytuacji nie można było mu dowierzać i oczekiwać, że pomoże królowi umocnić się na tronie. Trudno, nikogo lepszego nie było pod ręką.



- Możliwe, że gdy skończą naprawy, odpłyną - zasugerował Koratin.  
- Oczywiście, że odpłyną! - warknął Rasik. - Odpłyną walczyć z grikami.  
- I dobrze! Znikną stąd i wszystko będzie jak dawniej. Jesteśmy wprawdzie osłabieni, ale nie na tyle, żeby B'mbaado nam zagroziło. Z czasem...

- Nie! - krzyknął król. - Nie rozumiesz?! Oni pozostaną tu tak długo, jak długo będą toczyć tę swoją wojnę z grikami.

- Czy to takie straszne? A co będzie, jeśli grikowie powrócą?

- Powrócą?! - parsknął Rasik. - Niby jakim cudem?! - Wskazał na wschód. - Nie widziałeś tej padliny za murami? Teraz to już tylko kości, ale ile ich jest? Tysiące! Pokolenia miną, zanim nadrobią te straty. - Pokręcił głową. - Nie, ta groźba została zażegnana. Nie wrócą nawet za życia naszych wnuków.

Koratin nie był tego tak całkiem pewien.

- Słyszałem, że oni są inni niż my - zaczął ostrożnie. - I to bardzo. Mnożą się szybko, a ich królestwo jest ogromne. Niektórzy powiadają, że dawne demony nawiedziły nas ponownie i to, co dotąd widzieliśmy, to tylko mała próbka ich możliwości.

- Nonsens! Zwykle babskie gadanie. Dzieciom możesz to powtarzać. - Wszyscy wiedzieli, że Koratin bardzo dba o swoje potomstwo i czasem opowiada im bajki. Lubił też występować z różnymi opowieściami przed szerszą publicznością i miał nadzieję, że przyczynia się w ten sposób do patriotycznego wychowania młodzieży. - Chyba sam zaczynasz wierzyć w te historie, które wymyślasz. Jak długo morski lud wojuje z grikami, nie uwolnimy się od tych intruzów - powtórzył Rasik i wznowił wędrówkę po komnacie. Nagle się zatrzymał. - Ale gdyby tak wojna się skończyła...

- Co masz na myśli, panie?

Rasik przebiegle zmrużył oczy.

- Powiedz mi, lordzie Koratin, czy sądzisz, że morski lud miałby odwagę walczyć z grikami bez tych żelaznych okrętów?

- Nie, panie królu.

- Czy twoim zdaniem porwaliby się na tę wojnę bez nich?

- Nie, panie królu - wyszeptał Koratin.

Rasik wybuchnął śmiechem.

- A więc to takie proste! - wykrzyknął i wznowił marsz, ale przez resztę wieczoru wręcz promieniał dobrym humorem.

Courtney Bradford znowu był pijany. Jako cywil pośród wojskowych cieszył się szczególnym statusem, co po cichu tolerowano, póki nie przesadzał. Niekiedy jednak się narażał, zwłaszcza gdy chodziło o przekraczanie regulaminowej dawki alkoholu. Teraz siedział na krześle przy stole w mesie i przesuwiał palcami po świeżo oczyszczonej czaszce grika, którą zabrał z pobojuwiska. Juan Marcos i Ray Mertz sprząkali ze stołu po uroczystym obiedzie. Podawano głównie amerykańskie dania, przygotowane jednak z miejscowych produktów. Było też kilka lokalnych potraw. Bradford, który wciąż nie przywykł do przypraw lemurów, trzymał się sałatek. One przynajmniej wiele się nie zmieniły. Jego makabryczne trofeum nie wzbudziło zainteresowania, na które bardzo liczył. Poproszono go tylko, żeby zabrał je sprzed oczu obecnych i nie pokazywał, dopóki wszyscy nie zjedzą.

Teraz, gdy większość biesiadników wróciła już do swoich obowiązków i przy stole zostali kapitan, Sandra, Keje oraz sam Bradford, czaszka po cichu wróciła na blat.

- Tak wyglądałby i nasz świat, gdyby coś nie wybiło dinozaurów... - zaczął Bradford.

- Możliwe - rzucił kapitan, który rozmawiał już o tym z Australijczykiem. Chciał powrócić od razu do konwersacji z Jimem, ale niezbyt mu się udało.

- Ale czy przyszło panu do głowy, że może tak właśnie powinno być? - naciskał Bradford. - Proszę tylko spojrzeć na tę czaszkę! Podobna objętość mózgu, wielkie oczy, zakrzywione zęby! To prawdziwy drapieżnik, o wiele lepiej dostosowany do swojego środowiska niż my! - Reszta obecnych niechętnie zwróciła uwagę na Bradforda. Był wprawdzie pijany, ale nawet w tym stanie potrafił niekiedy powiedzieć coś ciekawego.

- Bez wątplenia jest to istota inteligentna - zgodził się Ellis. - I drapieżnik, który lepiej walczy na lądzie niż na morzu. Nie wiem jednak, w jakim sensie ma być lepszy od nas. Przecież ich pokonaliśmy.

- Owszem, ale dzięki możliwościom naszego umysłu, nie ciała - powiedział Bradford, powstrzymując się przed beknięciem. - Przeważała nasza bardziej zaawansowana technologia. Proszę pomyśleć: z tego, co wiemy, wynika, że nasz gatunek w ogóle tutaj nie powstał. Możemy być jego jedynymi przedstawicielami. Tam, skąd przybyliśmy, to człowiek jest najdoskonalszym drapieżnikiem, tutaj jest inaczej. Tutaj to on i jemu podobni dominują wszędzie, gdzie dotarli - dodał, pukając palcem w czaszkę. - Widzieliśmy ich nawet na wyspach zamieszkałych przez lemury. Wprawdzie to tylko dzicy krewniacy naszych wrogów, ale i tak są niebywale groźni.

Keje energicznie pokiwał głową. Wiedział, o czym mowa.

- Ale do czego pan zmierza, panie Bradford? - spytała Sandra, której skóra cierpła od tego fatalistycznego gadania.

- To proste. Wszyscy, ze mną włącznie, uważaliśmy od początku nasz świat, świat, z którego przybyliśmy, za normalny, a ten tutaj za jakąś aberrację. Bez obrazu, kapitanie Keje, ale jeśli porównasz nasze fizyczne możliwości i możliwości jaszczurów, sam zauważysz, że w tym świecie nie mielibyśmy szansy dotrzeć na szczyt łańcucha pokarmowego. U nas było inaczej... - W końcu mu się odbiło, i to głośno. - Bardzo przepraszam...

- Ale co z kotami? - spytał Matt i Bradford wzruszył ramionami.

- Musiały się rozwinąć względnie niedawno na jakimś odizolowanym obszarze. Niemal na pewno był to Madagaskar. Tylko w ten sposób dwie rozumne rasy mogą spontanicznie zaistnieć. Muszą rozwijać się całkiem osobno. - Wpatrzył się w czaszkę. - Inaczej nie byłoby to pewnie możliwe. Chociaż jestem pewien, że mój nieodżałowany pudel Fritzi był inteligentniejszy od większości znanych mi ludzi. - Pokręcił głową. - Tak czy owak istnienie lemurów nie podważa mojej teorii. Oni są jak dodo.

- Co to jest do-do? - spytał Keje.

- To były wielkie ptaki, nieloty podobne trochę do skuggików - wyjaśnił z zapalem Bradford.

Keje spojrział na niego z urazą, wyprostował się i zaczął wstawać. Matt położył mu uspokajająco rękę na ramieniu.

- On jest pijany, przyjacielu, i nie chciał cię urazić - szepnął. - Dodo były właśnie takie jak w jego opisie - dodał głośno. - Nie pamiętam, gdzie żyły...

- Na Mauritiusie - poinformował go Bradford. - Wcale nie tak daleko od Madagaskaru. - Nagle zamrugał. - Co za zbieg okoliczności!

- Jakkolwiek - odezwał się Matt - dodo żyły na wyspie, gdzie nie miały naturalnych wrogów. Dzięki temu długo przetrwały, chociaż były całkiem bezbronne. Gdy ludzie odkryli wyspę kilkaset lat temu, zabijali je dla mięsa. Potem zrobiło się jeszcze gorzej, bo ludzie sprowadzili swoje zwierzęta, z których część uciekła. Dokładnie były to świny. Zdziczały i zaczęły niszczyć gniazda dodo, które szybko wyginęły.

- Słyszałem już to słowo. Wyginęły. To znaczy, że wymarły, że więcej ich już nie było, prawda? To samo grikowie chcą zrobić z nami. - Keje spojrział twardo na Australijczyka. - Skoro tak, to czym wy jesteście? Też dodo? Nie. Nie my, nie jesteśmy głupimi ptakami, które nie umieją latać. Wzlecimy. Już to zrobiliśmy! Raz udało nam się uciec przed grikami w bezpieczne miejsce i nie wyginęliśmy. Pewnego dnia wrócimy do naszego gniazda za Morzem Zachodnim i to grikowie wyginą. Oni, nie my!

Tsalka spojrzął z niedowierzaniem na generała Esshka.

- To niemożliwe! - wyszczał.

- Niemożliwe, ale prawdziwe - odparł równie wstrząśnięty generał.

Stali na nadbudówce *Giorsha*, flagowej jednostki floty. Nad nimi lekko łopotała jasna półprzezroczysta materia chroniąca przed największym blaskiem słońca, ale niezabierająca go całkowicie. Była to też jedyna rzecz na całym okręcie, która kontrastowała z wszechobecną nieskalaną bielą. Tsalka często spędzał tu popołudnia, nawet gdy przeszkadzało to załodze w pracy na pokładzie. Nie był dowódcą, bo dołączył do wyprawy nieoficjalnie, pozostawał jednak najwyższym rangą dostojnikiem Wschodniego Imperium i jeśli ktoś wolałby go tutaj nie widzieć, nie śmiał powiedzieć tego głośno. Przed chwilą podszedł do jednostki flagowej statek kurierski z nowych terenów i przekazał meldunek, o którym właśnie rozmawiali.

- Wszyscy?

- Nie całkiem, regencie, ale większość. Kilku udało się uciec na nowe tereny. Zwłaszcza tym cumującym dalej. Na statku łatwiej ująć w takiej sytuacji. Niektórzy się zatracili i tych już wyeliminowano.

Tsalka zrobił kilka kroków po pokładzie. Wciąż nie mógł wyjść ze zdumienia.

- Cała sfera została rozgromiona! - wyszeptał.

- Nie cała...

Tsalka machnął niecierpliwie łapą.

- Taki margines nie robi różnicy. Źle było, gdy flotylla zwiadowcza przepadła, ale to...

- Często tracimy statki, panie.

- Samotnych myśliwych! - warknął Tsalka. - Zwiadowców! Zwykle za sprawą morza.

Ale dumna sfera nigdy jeszcze nie padła niczyją ofiarą!

- W naszych własnych wojnach zginęło więcej wojowników niż teraz, panie.

Tsalka zerknął na generała.

- Wiem, wspominałeś już o tym - syknął ostrzegawczo. - Ale do czego zmierza ten świat, jeśli ofiary zapominają, gdzie ich miejsce? Co spowodowało tę klęskę? Jak nadrzewni do tego doprowadzili?

- Tak jak wcześniej, panie - odparł Esshk. - Mieli wsparcie dymiącego okrętu.

- Nie chcę o tym nawet słyszeć! - parsknął Tsalka. - Gdyby Righ żył, zginąłby śmiercią kłamcy!

- On przekazał tylko cudzy meldunek.

- Co za różnica - mruknął Tsalka. - Gdy wrócimy, powinienem chyba uśmiercić wszystkich jego krewnych. - Znowu ruszył przed siebie, ale zatrzymał się przy relingu.

Wkoło czerwieniały niezliczone czerwone kadłuby. Tu i ówdzie widać było między nimi białe okręty generałów. Daleko na wschodzie i zachodzie ciągnął się ląd. Na obrazach świata zwano to miejsce cieśniną Malakka, obecnie stanowiła ona granicę podbojów grików. Widok floty napawał dumą i Tsalka był pewien, że w zasadzie nie ma powodów do obaw, jednak niepokoiło go takie niepowodzenie na samym początku. Powtarzał sobie, że nie ma się czym przejmować. Że nic nie zatrzyma Wielkiego Roju.

W sumie co to za różnica, jeśli nadrzewni znaleźli sobie sojusznika? Nawet takiego, który okazał się szlachetną ofiarą? Najwyżej polowanie będzie przez to ciekawsze. Spojrzał na rufę, gdzie statek „nowych” myśliwych starał się ze wszystkich sił nadażyć za formacją. Niewiele o nich wiedział. Mówili językiem, którego nie dawało się nawet powtórzyć, ale byli odważnymi łowcami. Do złudzenia przypominali jego bezwłose zwierzątko, które nazywało siebie Kaufmanem, ale różnili się od niego na tyle, że nie mogli należeć do tej samej rasy. Co więcej, jego zwierzak bardzo się ich bał, widać poznawał naturalnych wrogów. Głównie dlatego Tsalka podarował im Kaufmana. Ciągle pamiętał jego przerażone skrzeczenie, gdy go zabierali.

Tsalka spojrzął ponownie na generała Eshka. I co z tego, że nadrzewni mają nowych, potężnych przyjaciół? Grikowie nie są gorsi.

## ROZDZIAŁ 3

Dzień po zabawie Matt i Sandra stali sami na skrzydle mostka w porze przedpołudniowej wachty. Kapitan nie przypominał sobie, żeby dał pani porucznik prawo swobodnego wstępu na stanowisko dowodzenia, ale nie zamierzał poruszać tematu. Sandra nigdy nie nadużywała tego nieoficjalnego przywileju, nikt też nie pytał, co ona tu właściwie robi. Obok stały zresztą jeszcze inne osoby. Matt widział też Silvě - stał przy relingu obok prawoburtowego działła. Z nietypowym dla niego zamyśleniem wpatrywał się w morze. Stojący obok Stites zażartował sobie na temat „uciekającej dziewczyny” Silvy, który w ogóle na to nie zareagował. Dziwne, pomyślał Matt, niepewny, co się za tym kryje.

Spojrzał na wschód, gdzie *Mahan* zbliżał się do wylotu zatoki. Tak długo go szukali, a teraz znowu musieli się rozstać. Mattowi niezbyt się to podobało, ale pocieszał się, że za parę miesięcy siostrzany okręt powróci do służby wyremontowany i z kompletną załogą. Razem oczyszcza morze z grików. Oby, pomyślał, wciąż nie całkiem uspokojony Wyposażyli *Mahana* na ten rejs, jak mogli najlepiej w tych okolicznościach, ale nie udało się ukryć, że niszczyciel nie jest w pełni sprawny. Na dodatek rano Jim zameldował zaginięcie jednego człowieka. Chodziło o pewnego wечно niezadowolonego malkontenta, który najpewniej urwał się na lewą przepustkę i wróci za parę dni. Ale gdzie mógł pójść?

Matt poczuł nagle drobną, delikatną dłoń Sandry na swoich palcach. Odchrząknawszy, uwolnił je i ostentacyjnie poprawił czapkę. Zerknął wkoło, ale wszyscy byli zajęci swoimi sprawami.

- Smutno, że odpływają - mruknęła Sandra.

Matt pokiwał głową. Niebo na południu i wschodzie było czyste i poranne słońce rozjaśniało grzbiety fal. Inaczej wyglądało na północy, gdzie rysowały się szarawe smugi. Kapitan zostawił Sandrę i przeszedł na drugie skrzydło. Po drodze zerkał przez okna, aż ujrzał cały północno-zachodni nieboskłon. Na horyzoncie nad miastem wyrastała ciemna niczym noc chmura. Szare i białawe smugi wiły się na jej tle niczym węże. Mimo porannego ciepła przebiegł go dreszcz.

- Keje uprzedzał, że nadeszła pora sztormów - szepnął do Sandry, gdy do niego dołączyła.

- Co to takiego? - zapytała.

- Nic dobrego.

\*

Dla Ricka Tolsona były to najlepsze chwile jego życia. Od małego kochał morze i już w wieku dziesięciu lat uciekł na pokład rybackiego szkunera. Nie było mu tam najlepiej, ale nauczył się wiele o pływaniu i żaglach, no i zrozumiał, co to znaczy być mężczyzną. Gdy wrócił jak ten syn marnotrawny, ojciec załatwił mu możliwość spędzania letnich wakacji na jachcie regatowym. Jacht nazywał się *Pszczola*, miał sześćdziesiąt pięć stóp długości i należał do stowarzyszenia bogatych biznesmenów z rejonu zatoki Chasapeake. Przez całą szkołę Rick co lato dołączał do jego załogi i dowiadywał się, jak zmieniać każdy podmuch wiatru w parę dodatkowych węzłów. Podczas gdy inne dzieciaki w jego wieku pracowały na stacjach benzynowych albo sprzedawały wodę sodową, on zarabiał skromne sumy, biorąc udział w regatach smukłych jednostek różnych majątnych ludzi.

Nauczył się naprawdę wiele i kończąc szkołę, miał już za sobą dowodzenie jachtem w kilku ważnych regatach, które wygrał, pokonując coraz szybszych przeciwników. Potem nie miał już tyle czasu, bo uczęszczał też na letnie kursy, ale ilekroć zjawiał się w domu na weekend, zawsze mógł liczyć na miejsce na pokładzie *Pszczoly*. Wbrew woli ojca zapisał się też do Korpusu Szkoleniowego Oficerów Rezerwy Marynarki Wojennej, co doprowadziło go tutaj. I bardzo się z tego cieszył.

Nawet w najśmielszych chłopięcych marzeniach nie pomyślał, że mógłby zostać dowódcą czegoś, co najbardziej ze wszystkiego przypominało mu rejoyą fregatę. Tak się jednak stało. Poczul się jak Stephen Decatur, Isaac Hull czy Porter przed Valparaiso\*. Oto spełniło się coś niemożliwego. Na dodatek *Zemsta* była szybka i zdumiewająco solidnie zbudowana, zważywszy na to, kto ją zwodował. Grikiowie wzorowali się w jej wypadku na solidnych i zdolnych do rozwijania dużych prędkości statkach brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, chociaż minęło już dwieście lat, od kiedy przechwycili jeden taki żaglowiec i zaczęli produkować jego pomniejszone i powiększone kopie. *Zemsta* różniła się od niego jednym szczegółem - była uzbrojona. Wprawdzie mając tylko dwadzieścia dział, wedle dawnej klasyfikacji bliższa była słupowi niż fregacie, ale „fregata” z pewnością brzmiała lepiej.

Załoga Ricka składa się prawie w całości z lemurów. Jedynym wyjątkiem był

---

\* Decatur i Hull byli bohaterami tzw. wojen berberyjskich - toczonych przez USA w końcu XVIII i na początku XIX w. z państwami północnoafrykańskimi wspierającymi piractwo. David Porter zdobył pierwszy brytyjski okręt w wojnie 1812 r. Pod Valparaiso poddał Brytyjczykom swą fregatę (przyp. red.).

marynarz Gandy Bowles, który służył wcześniej na *Mahanie* w dziale uzbrojenia, tutaj został zaś szefem artylerii. Kotowaci nie darzyli tego okrętu sympatią, czemu trudno było się dziwić. Pamiętali jego przeszłość, zwłaszcza że jakkolwiek się starali, smród rozkładu, którym przesiąkło drewno za czasów dawnych właścicieli, nie dawał się nijak usunąć. Podobało im się wszakże to, co potrafił i co mogli za jego pomocą osiągnąć. Był szybszy i zwrotniejszy niż wielkie pływające domy, wyprzedzał też bez trudu wszystkie inne napotkane statki grików. Dotąd natknęli się na kilka jednostek zwiadowczych oraz maruderów i każde takie spotkanie było dla Ricka przygodą. *Zemsta* wyglądała z daleka jak zwykły statek grików i zbliżała się do nich, nie budząc podejrzeń. Wszystkie zostały zatopione.

Większą prędkość zawdzięczała paru modyfikacjom olinowania, które przysły Rickowi do głowy, gdy przypomniał sobie regaty, w których niegdyś uczestniczył. Poza tym, mimo dział, była lżejsza niż typowa jednostka grików, głównie dzięki mniej licznej załodze i brakowi oddziału wojowników. Nie musieli też brać aż tyle prowiantu. Owszem, miałoby trudności z odparciem abordażu, ale jak dotąd udawało im się niszczyć przeciwników z dystansu, który nie pozwalał nawet na użycie katapult miotających pociski zapalające. *Zemsta* polowała niczym samotny wilk, od trzech tygodni grasując na tyłach wroga, który nie miał pojęcia o jej istnieniu, Rick zaś czuł się jak bohater z książki Roberta Louisa Stevensona i bardzo był ciekaw, co jeszcze los mu przyniesie.

- Dzień dobry, kap-i-tanie - powiedział Kas-Ra-Ar, dołączając do Ricka na nawietrznej stronie pokładu rufowego.

- Witaj, Kas - odparł Rick z uśmiechem. - Piękny dzień i dobry wiatr. - Zerknął na ostro zrefowane żagle.

- Jak myślisz, kiedy możemy oczekiwać samolotu? - spytał Kas.

Catalina zjawiała się co cztery dni, żeby odebrać meldunek i dostarczyć go do Surabai. Nie uzgadniali nigdy dokładnej pozycji geograficznej kolejnych spotkań. Wystarczało, że trzymali się ciągle tej samej długości, dzięki czemu lecąca prosto na północ Catalina prędzej czy później musiała na nich trafić. Przynajmniej w teorii. Towarzyszące *Zemście* jednostki starały się trzymać w zasięgu wzroku i natychmiast meldowały o każdym napotkanym statku. Raz trafili nawet na pływający dom, który kierował się na północ, w stronę Morza Chińskiego. Podeszli bliżej, żeby porozmawiać, i omal nie oberwali salwą z wielkich kusz. Gdy wyjaśnili zrozumiałą pomyłkę i przekonali kotowatych, że nie są grikami, przekazali nowiny. Okazało się, że tamci nie wiedzieli nawet, że toczy się jakaś wojna, i wstrząśnięci przekazali Kasowi, że zastanowią się, czy nie pożeglować do Baalkpanu. Tak czy owak zaraz zawrócili i wzięli kurs na południe.



- Chyba po południu - odpowiedział Rick swojemu nawigatorowi. - Jesteśmy bardziej na północ, niż pewnie oczekują, ale nie dość blisko Singapuru, aby Mallory mógł się obawiać, że zostanie dostrzeżony.

- Czy samolot będzie szukał nas też w sztormie? - spytał Kas, wskazując na horyzont, gdzie od świtu zbierały się coraz ciemniejsze chmury.

- Też o tym myślę - rzekł Rick. - Jeśli zrobi się paskudnie, to nie. Ja nie pozwalałbym naszej maszynie na start przy wietrze silniejszym niż pięć mil na godzinę. Koniec końców to jedyny samolot na świecie. Mylisz, że będzie źle?

Kas przechylił głowę i zamrugał.

- Trudno powiedzieć. Mamy porę sztormów - rzekł.

- Wszyscy to powtarzają.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza, którą przerwał dopiero meldunek z bocianiego gniazda:

- Żagiel!

- Gdzie dokładnie?! - krzyknął Rick do rury głosowej.

- Dwa punkty w lewo...! - odparł obserwator, niepewny, jak to wyrazić po angielsku. - Dwa stopnie na lewo od dziobu!

Rick przeszedł na lewą burtę, chwycił się wanty i uniósł lornetkę. Tak! W ich kierunku szedł statek pod pełnymi żaglami. Zapewne uciekał przed sztormem.

- Odrefować przedni topsel! - zawołał kapitan. - Poczekamy, aż podejdzie bliżej, i udamy, że też chcemy zawrócić do ucieczki. Zaatakujemy go zaraz po zwrocie! - Spojrzał z uśmiechem na Kasa. - Tak czy inaczej zapowiada się ciekawy dzień!

\*

- Kapitanie, motorówka przy burcie!

Matt pokiwał głową.

- Cumy na pojedyncze i przygotować się do odejścia.

Deszcz zmienił się w ścianę wody, przez którą ledwie było widać zarys pokładu dziobowego. Matt przywykł już do intensywnych szkwałów tego świata, ale dzisiejszy był inny. Czuło się jego siłę. Czyżby miał się okazać tym, który odeśle ich tam, skąd przybyli? Z jakiegoś powodu mimo wszystko kapitan miał nadzieję, że jednak nie. W jego świecie *Walker* był tylko przestarzałą blaszanką, która w każdej chwili mogła zostać posłana do stoczni złomowej. Załoga trafiłaby na inne jednostki i to byłby koniec historii niszczyciela. Gdyby jednak pozostał w służbie, pewnie spędziłby resztę swoich dni, holując cele artyleryjskie dla

innych, nowszych okrętów. Tutaj był ważny i mógł zmienić bieg historii. W sumie już zaczął to robić.

- Drużyna z motorówki jest już na pokładzie i mocuje haki - zameldował Dowden, wchodząc do sterówki. Woda spływała z niego strumykami, rozlewając się w kałużę na pokładzie. Inna drużyna zabezpieczała tratwę ze śrubą, żeby nie rozbiła się o nabrzeże. - Radio podaje, że porucznik Mallory trafił na gównianą pogodę. To jego słowa. Waha się, czy brać kurs na północ, i pyta, czy musi się dzisiaj spotykać z *Zemstą*.

- W żadnym razie - odrzekł Matt. - Gdyby nawet odnalazł ją przy tej pogodzie, i tak by nie usiadł. Powiedz mu, żeby zawracał na Baalkpan. Niech okrąży sztorm, jeśli zdoła. Powinien mieć dość paliwa.

W sterówce pojawiła się kolejna postać - całkiem przemoczony Keje. Musiał przypłynąć motorówką, która zabrała Bradforda, Sandrę i jeszcze parę osób na *Salissę*. Matt odesłał ich, stwierdziwszy, że lepiej nie trzymać wszystkich jajek w jednym koszyku. Poza wszystkim chodziło o ludzi, którzy nie byli akurat potrzebni na niszczycielu, i nie było sensu narażać ich na trudy sztormowania. *Walker* nie radził sobie najlepiej na dużej fali i mało kto potrafił znieść jego kołysanie. Bradford się ucieszył, ale Sandra trochę się wahała. Matt odwołał się w końcu do jej powinności zawodowych, przypominając o rannych, którzy znajdowali się na *Salissie*. Część z nich odesłano *Fristarem*, ale nie wszystkich. Gdy wyraziła zaniepokojenie stanem zdrowia Matta, obiecał, że będzie się oszczędzał.

- Witaj, kap-i-tanie Reddy.

- Cześć, Keje. Miło cię widzieć, ale właśnie odbijamy. Chyba mamy jeden z tych sztormów, o których tyle mówiłeś.

- Istotnie - mruknął Keje, wyzymając futro.

- Tak... - Matt zamilkł na chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć. - Nie powinieneś być teraz u siebie?

- Nie ma takiej potrzeby. Tak jak wszystkie domy opuściliśmy oba kapcie - powiedział wódz. Chodziło mu o wielkie, miedziane kotwice olbrzymiego statku. - Zatoka jest duża i głęboka, więc nawet jak mocno nas pociągnie, będzie dobrze. Feluki popłynęły w górę rzeki i jeśli tylko prąd zwrotny nie będzie za silny, nic im nie zgrozi. My zwykle przeczekujemy strakę przy brzegu, ale rozumiem, że chcesz stawić jej czoło na otwartym morzu. Niesamowity pomysł! Jeśli pozwolisz, chciałbym przeżyć tę przygodę z tobą.

- Tak, jasne - mruknął Matt, patrząc na przyjaciela. - Zawsze do usług. Ale chyba nie słyszałem jeszcze określenia „strakka”. Co to takiego?

- Nie wiem, czy w twoim języku jest odpowiednie słowo. Najbliższe, co mi

przychodzi do głowy, to tajfun.

- Wiesz, co to jest tajfun? - spytał zdumiony Matt. - Sztormy zwane tajfunami zdarzają się na większych akwenach niż Morze Jawajskie.

- Wiem, pan Bradford wszystko mi wyjaśnił i dlatego właśnie sędzę, że strakka przypomina tajfun. Tylko skala inna.

- Fakt, tajfuny to przykra sprawa. - Matt się uśmiechnął. - Ale uprzedzam, że i tak czeka cię niezła jazda, jeśli zostaniesz na *Walkerze*!

Obecni skwitowali to serdecznym śmiechem, ale Keje tylko zamrugał.

- Chyba źle mnie zrozumiałeś - powiedział. - Tajfun to przykra sprawa, ale strakka... - Uśmiechnął się ironicznie. - Strakka to coś o wiele, wiele gorszego.

\*

Myszowaci wcisnęli się między przednią śluzę tylnej kotłowni i drabinkę zejściówki. Tuż obok Buras wczepiła się w kratownicę pokładu. Wciąż targały nią skurcze, chociaż nie miała już czym rzygać. Chorowała tak od początku sztormu, co Isak i Gilbert znosili ze stoickim spokojem. Panująca wokół kakofonia była dokuczliwa nawet dla nich. Nawiewniki wciągały z wyciem wilgotne powietrze, kadłub trzeszczał i jęczał. Wilgoć skraplała się dosłownie na wszystkim, spływając do zęzy, która była już prawie pełna i woniała coraz gorzej. Wachta nie miała jednak wiele do roboty poza pilnowaniem, żeby nie zgasły palniki w kotłach.

- Myślisz, że umrze od tego? - spytał Gilbert Yager. Twarz miał pokrytą częściowo rozmytym smarem. Chociaż siedzieli blisko siebie, musiał krzyczeć, żeby Isak Rueben go usłyszał. Buras leżała teraz nieruchomo i nawet jej ogon nie wykazywał oznak życia. Jasnoszara sierść kleiła się do ciała i wydawała się tak ciemna, jakby ktoś oblał dziewczynę olejem.

- Nie - odparł Isak, rzuciwszy okiem na praktykantkę. - Dopadła ją choroba morska i tyle. Pewnie to dla niej przykra sprawa, skoro całe życie spędziła na morzu. - Zastanowił się. - Ale na ich statkach pewnie nigdy tak nie kiwa. Są za duże. Nie gap się tak na nią, bo jeszcze bardziej jej dokuczysz.

- Dobra - zgodził się Gilbert. - Jeśli nie chce, nie będę się narzucał z pomocą. Cholera. Też nie czuję się najlepiej. - Rozejrzył się po ciemnym, wilgotnym i cuchnącym wnętrzu. Wyczuwał oczywiście gwałtowne ruchy okrętu, ale w kotłowni prawie nic się nie działo, jeśli nie liczyć tego, że co rusz spadały na nich pod różnymi kątami krople wody. - Teraz wiem, jak czują się ci idioci, którzy przepływają Niagarę w beczkach.

Uchyliły się drzwi śluzy, ale towarzyszące temu pufnięcie rozprężanego powietrza

zginęło w hałasie. Do środka wpadł Spanky McFarlane, który omal nie wylądował na bezwładnej Buras. Wstał z trudem i uczeplił się poręczą.

- Co z nią?! - krzyknął.

- Chyba choruje! - odparł Isak.

- Ale dlaczego tutaj? Jeśli choruje od kołysania, powinna leżeć w koi. - Spanky dopiero teraz uświadomił sobie, że przez kilka ostatnich dni nigdzie nie spotkał dziewczyny.

- Była w koi - potwierdził Gilbert. - Dzisiaj spelzła na dół, bo tutaj mniej rzuca, chociaż tak samo kołysze. Może poczuje się lepiej.

- Dobra, ale dajcie jej coś do picia, bo się odwodni.

Myszowaci pokiwali głowami.

- A jak tam na górze? - spytał Isak, wykazując rzadkie u niego zainteresowanie światem rozciągającym się poza kotłownią.

Spanky wydmuchał nos w palce i strząsnął śluz do odpływu zęzowego.

- Istny cyrk - powiedział. - Tyle że teraz trochę mniej pada. Wracam właśnie z mostka i mówię wam, to była jazda! Cud, że nikogo nie zmyło za burtę. Nawet liny bezpieczeństwa poszły. - Spanky był cały mokry, ale to nie musiało jeszcze oznaczać, że wychodził na pokład. Myszowaci też byli mokrzy. - Skipper jest na mostku od początku sztormu i przypomina teraz własnego ducha. Gdyby porucznik Tucker tu była, pewnie dałaby mu zastrzyk, żeby poszedł spać. Gdyby miała taki zastrzyk, oczywiście. Bez dwóch zdań kapitan potrzebuje po tym wszystkim odpoczynku. Poza tym zniszczenia nie są nawet takie wielkie, jak można by oczekiwać. Straciliśmy antenę, która porwała ze sobą górę wnęki rezonansowej, tak że radio nie działa. - Myszowaci spojrzeli na niego, jakby opowiadał o żelaznym wilku. - Widzieliście ten ostro zakończony cylinder na tylnym relingu mostka, zaraz obok głównego nawiewnika? Podobny był do pocisku.

- To dzięki niemu radio działało? - spytał zdumiony Gilbert.

- Aha. Motorówka też poszła. Fala rozbiła ją o pokład dokładnie nad waszymi głowami. - Myszowaci spojrzeli na niego, potem w górę. Niczego nie słyszeli. - Straciliśmy też tratwy ratunkowe, chociaż na tym oceanie i tak na nic by się nie zdały. I w ogóle wszystko, co nie było przyśrubowane do pokładu. - Poklepał poręcz. - Ale łajba sobie radzi, nawet na jednym silniku. Skipper bardziej martwi się chyba o *Mahana*. Jak zwykle. Jeśli trafił w taką wyżymaczkę jak my... - Odchrząknął. - I Keje jest na górze. Mówi, że dawno tak się nie bawił.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Gilbert.

Spanky wzruszył ramionami.

- Dowiemy się, jak na coś trafimy. Na przykład na skały, bo w tej okolicy jest zatrzęsienie wysepek. Ale nie wiem, czy gdzieś blisko nas.

- Pływał pan na północnym Atlantyku na takim okręcie, prawda? - spytał Isak.

Spanky pokiwał głową. Przywykł już do tego, że Myszwowaci lubią nagle zmieniać temat rozmowy.

- Było gorzej niż teraz?

- Synu - odparł Spanky, wyężdżając płuca. - Atlantyk to pryszcz. Byłem na starym *Marbleheadzie* podczas tajfunu na Morzu Filipińskim. Jeszcze przed wojną, w trzydziestym szóstym. Sztorm rozbił taki niszczyciel jak nasz i jeszcze tankowiec floty. Ale nie mógłby równać się z dzisiejszym. Mimo to dobrze sobie radzimy. - Po chwili ruszył dalej, cały czas trzymając się którąś ręką poręczy, żeby sprawdzić wszystkie urządzenia.

- Jak dla mnie brzmi nieźle - powiedział Isak. - Może powinniśmy częściej stąd wychodzić, Gilbert.

\*

- Teraz już wiem, co to jest strakka - oznajmił Matt. Cały okręt zadrżał, wbijając się dziobem w wielką falę, i po chwili przeszedł na drugą jej stronę. Zielonawa woda przykryła na moment nie tylko pokład, ale i działo numer jeden, rozbijając się o podstawę mostka. *Walker* sztormował dwa dni, idąc kursem na wschód-południowy wschód, zanim koszmarna wichura zaczęła słabnąć. Matt nigdy nie widział niczego podobnego. Nawet teraz, gdy zasadniczo wyszli już ze strefy sztormu, Morze Jawajskie było bardziej wzburzone niż jakiegokolwiek inne znane kapitanowi z jego świata. Być może fale były niższe niż na otwartym oceanie, ale za to bardziej dokuczliwe. Niestety wyglądało na to, że ten etap będzie jeszcze bardziej uciążliwy.

- Kiedy to się wreszcie skończy? - wycedził Matt przez zaciśnięte zęby, gdy niszczyciel zderzył się z kolejną, może trochę mniejszą ścianą wody.

Keje, chyba równie jak on zmęczony, niezmiennie okazywał pogodę ducha. Miał nieograniczone zaufanie do umiejętności kapitana oraz wytrzymałości żelaznego niszczyciela i nie widział powodu, żeby cymkolwiek się przejmować.

- Może za dzień, może trochę później - odpowiedział. - Strakka uderza nagle i zwykle równie szybko przechodzi.

- Dzięki Bogu! - rzucił Dowden. Młody pierwszy oficer stał przy kole sterowym i męczył się jak potępieniec, kontrując znoszenie powodowane przez brak jednej śruby. - Chyba nie chcę wiedzieć, co potrafi strakka na otwartym oceanie.

- Na otwartym oceanie czyhają większe niebezpieczeństwa niż strakka - przypomniał

mu Keje.

- Może i tak. Gigaryby i inne takie. Ale zwierzęta to co innego. Bradford twierdzi, że tak naprawdę tylko one są tu inne. Jakby takie sztormy nie były niczym dziwnym na Morzu Jawajskim.

- Ale tylko o tej porze roku - wtrącił Keje. - Przy czym muszę przyznać, że to była szczególnie mocna strakka. Oczywiście mogło mi się tylko tak wydawać, bo byłem na małym statku. Bez obrazy, kap-i-tanie! - dodał, słysząc chrząknięcie Matta. - Nigdy nie przeżyłem czegoś podobnego! To było jak polowanie na gri-kakka na małej łodzi, tylko dłuższe i bardziej podniecające. Tamto kończy się szybko, gdy już wbije się harpun. - Spojrzał znacząco na kapitana i poruszył ironicznie ogonem. - Powinieneś kiedyś spróbować.

\*

Centrum sztormu ominęło Baalkpan, przechodząc przez Morze Południowochińskie i Morze Jawajskie w drodze do Australii. Najbardziej ucierpiały Małe Wyspy Sundajskie. W porównaniu z nimi Borneo wyszło obronną ręką, chociaż wichura i ulewa zostawiły ślady w Baalkpanie. Porucznik Mallory zdążył wylądować, nim fale urosły na tyle, że próba podejścia byłaby samobójstwem, po czym z setkami ochotników wyciągnął catalinę po nieukończonyj jeszcze błotnistej rampie na ląd, gdzie solidnie ją zakotwiczyli. Dzięki temu maszynie udało się przetrwać sztorm, chociaż niewiele brakowało. Teraz najgorsze już przeszło i tylko ulewny deszcz bębnił jeszcze o poszycie PBY, spływając potokami ze skrzydeł. Ben, Alan Letts i Perry Brister siedzieli pod lewym płatem maszyny w towarzystwie Petea Aldena i Tony'ego Scotta. Siedzieli i patrzyli, jak strakka powoli zamiera.

- Mogłoby już przejść - powiedział w pewnej chwili Letts na tyle głośno, żeby można go było usłyszeć przez nieustanne bębnienie kropel o aluminiowe blachy. Jego lęk przed wodą nie obejmował deszczu, ale i tak dość już miał tej ulewy.

Mallory pokiwał głową i spojrzał na kadłub wodnosamolotu. Ed Palmer siedział w środku i próbował wywołać *Walkera*. Od dwóch dni nie mieli łączności z okrętem i zaczęli się już niepokoić. Wiedzieli, że zarówno oba niszczyciele, jak i *Zemsta* znalazły się na trasie najsilniejszego sztormu, jaki dane było im widzieć, i nie miały żadnej szansy go ominąć.

- Tak - mruknął Letts. - Jak samolot? Silniki w porządku?

- Jasne - odparł pilot po chwili wahania. - Wprawdzie olej, którego tu używamy, nie odpowiada dokładnie specyfikacji, ale wymieniamy go przed każdym lotem. Poza tym maszyna jest w lepszym stanie niż wtedy, gdy ją znaleźliśmy. No i czystsza - dodał, wskazując na deszcz. Nie wspomniał o tym, że „gdy ją znaleźli”, catalina leżała na wpół

zatopiona przy plaży i była postrzelana jak rzeszoto.

- Dobrze - stwierdził Letts, zerkając na lotnika, po czym spojrzął na Bristera.

Były oficer maszynowy z *Mahana* został naczelnym inżynierem Baalkpanu. Kapitan Reddy i Pete Alden ufortyfikowali miasto, wzorując się na umocnieniach dawnych ludzkich portów. Alden dodał to i owo, uwzględniając miejscowe warunki, jako piechociarz zadbał też, żeby miasto nie było bezbronne na wypadek ataku od strony lądu. Za realizację całości odpowiadał porucznik Brister, który kierował także hutą, wedle miejscowych standardów rozrosła już wręcz do kombinatu. Baalkpan stał się zapewne największym dziełem fortyfikacyjnym, jakie znał ten świat.

Zamiast kamiennych murów usypali wokół miasta wał ziemny z podejściem najezonym przeszkodami, w tym wieloma zaostrzonymi palami. Długi rów po wydobytym gruncie wypełnił się stopniowo wodą, tak że powstał też cały system fos. Dżungla została odsunięta wszędzie co najmniej na pięćset metrów. Wyjątkiem były mokradła. Część pozyskanego drewna złożono do późniejszego użytku, jako że był to w większości budulec najlepszego gatunku. Resztą wzmocniono wał i przykryto stanowiska obronne, żeby ochronić żołnierzy przed pociskami zapalającymi.

Artyleria twierdzy składała się z dwudziestu czterech ciężkich dział. W regularnych odstępach wykopano dla nich kryte stanowiska w wale, a ogień miały prowadzić przez ambrazury. Wszystkie zostały starannie zamaskowane. Uznano, że skoro zatoka jest najlepiej bronionym miejscem, nie należy odstraszać grików. Gdyby kiedyś zaatakowali Baalkpan, lepiej, żeby zrobili to w „starym stylu”, wystawiając się na ogień artylerii. Kolejne działa ulokowano w masywnej fortyfikacji palisadowej nazwanej Fortem Atkinsona, która została wzniesiona przy wejściu do zatoki.

Od strony lądu ustawiono też setkę moździerzy, prostych rur z brązu, które mogły wyrzucać dziesięciofuntowe miedziane pociski nie tylko na przedpole, lecz nawet do linii drzew, albo i jeszcze dalej, gdyby artylerzyści odważyli się podsypać trochę więcej prochu. Ponieważ miękka miedź nie rozrywała się na dość wiele odłamków, skorupę każdego pocisku pokarbowano podobnie jak w granacie obronnym. Ogołocono przy tym całe miasto z miedzianych naczyń, a nawet biżuterii, żeby w razie potrzeby zgotować grikom krwawą łaźnię.

- Jak wał zniósł deszcz? - spytał Letts.

- Trochę wody mu nie zaszkodzi - zaśmiał się Brister. - Tyle że ziemia lepiej osiadzie.

Nie jestem inżynierem od fortyfikacji, ale gdy coś postawię, to będzie stało.

Letts uśmiechnął się i spojrzął na Bena.

- Dobrze - powiedział. - Chciałbym, żebyś wyleciał, gdy tylko się da. Trzeba poszukać naszych.

- To szmat oceanu do przepatrzenia - mruknął z namysłem Ben.

- Owszem, ale *Mahan* powinien teraz płynąć tutaj, *Walker* zaś wracać do Surabai. Oba zapewne kursem na wschód-południowy wschód, zatem wystarczy, jeśli zatoczysz regularne półkole. Zatankować możesz w Tangalarze - dodał, mając na myśli mały posterunek, który ustanowili właśnie w tym celu na południowym przylądku Celebesu. - Jeśli go nie zmyło, oczywiście. Potem skierujesz się do Surabai.

- A co z *Zemstą*?

- Jeśli była na północny wschód od Bangki, tak jak mówiłeś, to płynąc na samych żaglach, teraz może być wszędzie - stwierdził Alan, krzywiąc się lekko. - O ile nie zatoniła albo fale nie wyrzuciły jej na jakiś brzeg, mogła dotrzeć nawet na sam środek Morza Jawajskiego.

- Jeśli gdzieś tam jest, to ją znajdę - obiecał Mallory.

Letts zwrócił się do Tony'ego Scotta.

- Gdy deszcz osłabnie, weź motorówkę i sprawdź, co z rafinerią. Upewnij się, że wyszli z burzy obronną ręką. Weź ludzi do pomocy, bo stały personel to tylko jedna drużyna utrzymania. Jeśli coś się popsulo, naprawcie to, jeśli się uda, albo poślijcie po pana Bristera. Sprawdź też głowicę odwiertu i pompy. Mieli zamknąć zawory na czas burzy, ale Myszowaci mieliby robotę, gdyby drzewo przygniotło ich mechanicznego dinozaura.

- Aye, sir. - Tony przyjął polecenia ze spokojem, ale deszcz go przeszedł, gdy oficer wspomniał o podróży motorówką. Wiedział, że to konieczne, jednak wcale za tym nie tęsknił.

Wszyscy wiedzieli, że nie jest tchórzem. W bitwie, podczas której opanowali *Zemstę*, dowiódł tego ponad wszelką wątpliwość, ratując porucznik Tucker z morza. Poza tym jednak panicznie bał się wody, a właściwie wszystkich żyjących w niej stworzeń. Nikt nie szydził z jego nowej słabości, ale też nic się nie zmieniło. Na razie nie doszło do żadnego przesilenia czy innego katharsis. Scott nie obawiał się już, że zostanie wyśmiany, ale wody bał się ciągle tak samo.

Dopiero rano deszcz osłabł na tyle, że Scott mógł zebrać kilku silnych kotowatych i wyruszyć z nimi w górę wezbranej rzeki. Zanim odbili od nabrzeża, mieli okazję ujrzeć, jak inna grupa wzięła się do ściągania cataliny na wodę. Tony zadrżał, widząc, że kilku ludzi z liną weszło po pas w fale. Wiedział, że zbytnio nie ryzykują, bo w zatoce zawsze było mniej ryb niż na otwartym morzu, jeszcze mniej zaś na płycznach, zwłaszcza po takim sztormie. Ale i tak... Silnik motorówki zaskoczył od razu i Scott uspokoił się trochę, mając wreszcie



jakieś zajęcie. Gdy odpływali w głąb zatoki, Catalina unosiła się już na wodzie i Tony pomachał pilotowi Thompsonem, którego ani na chwilę nie wypuszczał z ręki. Mallory, który wspinał się na skrzydło, żeby poczynić ostatnie przygotowania, odmachnął Scottowi.

Porządny gość, pomyślał Tony, poprawiając kurs, chociaż nie chciałbym jego roboty. Latać na tak sfatygowanej maszynie nad setkami mil pustego oceanu. Nic, tylko woda i woda w dole, a w tej wodzie... Tony potrząsnął głową, żeby odegnać natrętne myśli. Kapitan zostawił go tu ze współczucia, a może i wdzięczności za uratowanie swej pani, chociaż może sam nawet sobie tego nie uświadamiał. Po prostu daje mi więcej luzu, żebym całkiem nie wysiadł, uznał Tony. Wie, że jeszcze jeden rejs na pełne morze, a mógłbym postradać zmysły. Pewnie tak właśnie by było. Nawet gdyby w końcu doszedł do siebie, wszyscy by już wiedzieli. Wszyscy by mu współczuli, a to byłoby dla Tony'ego gorsze niż szyderstwa. Byłby naprawdę skończony. Dobrze, że ciągle miał zajęcie w zatoce.

Z tyłu dobiegł ich ryk silników. Catalina przemknęła przez zatokę i dostojnie wzbiła się w powietrze. Słońce odbiło się od mokrych powierzchni skrzydeł. I gdzie ona leci? pomyślał Scott. W zatoce było niewiele potworów (choć i tak za dużo), ale tam, tak daleko od lądu... Od suchego, bezpiecznego lądu...

Walcząc z prądem, omijał spływające pnie drzew oraz inne śmieci niesione przez rzekę z odległych gór. Natykał się też na krokodyle, całkowicie zdezorientowane albo martwe, i prawie wcale nie widział brzegów. Trafiał chyba na najwyższą wodę. Mokrada budziły się już do życia i wszędzie roily się kolorowe i hałaśliwe latające gady. Po godzinie zmagania z prądem i bombardowania ptasim nawozem, który spadał z nieba jak deszcz, zza zakrętu wychynał wreszcie pirs paliwowy.

Strażnicy pochwycili cumy i Tony energicznie wyskoczył na molo, żeby czym prędzej przejść na brzeg. Poczawszy nieruchomą ziemię pod stopami, szybko się uspokoił i wrócił mu humor, chociaż deszcz jeszcze nie całkiem ustał, tylko przeszedł w rzadką mżawkę.

- Wszystko w porządku? - spytał pierwszego napotkanego technika.

- No problemo - odparł kotowaty, przekonany, że mówi po angielsku.

- Nic się nie posypało? - spytał kolejnego, który lepiej władał językiem bezogoniastych.

- Chyba nie. Wszystko wydaje się w porządku, chociaż trudno powiedzieć na pewno, póki znowu nie uruchomimy pompy.

- Rozumiem. Jeszcze sprawdzę górę. Może tymczasem rozpalicie jakiś ogień? Bóg jeden wie, kiedy tu dotrze pierwsza miejscowa łódź, żeby przywieźć resztę ekipy. Pewnie będę musiał wozić ich motorówką. - Wizja spędzenia całych dwóch dni na wodzie nie budziła

jego entuzjazmu, ale chwilowo był na lądzie i tylko to się liczyło. Wbił dłonie do kieszeni i pogwizdując, ruszył wzdłuż biegnącego przez dżunglę rurociagu.

Ochota na gwizdanie przeszła mu szybciej, niż oczekiwał. Grunt był błotnisty, droga biegła przez stromiznę i niebawem ciężko łapał powietrze, bo przy wysokiej wilgotności oddychało się szczególnie trudno. Panowała całkowita cisza, zmacona tylko jego dyszeniem. W połowie drogi do odwiertu zatrzymał się i przysiadł na jednym z omszałych pni, które leżały zwalone na skraju przecinki.

- Kondycja mi siadła - mruknął pod nosem. Mimo zmęczenia humor wciąż mu dopisywał. Rozpiął spodnie i zszedł ze ścieżki, żeby sobie ulżyć.

Nagle usłyszał coś jeszcze poza swoim oddechem. Jakby ktoś inny też wciągał w pobliżu powietrze. Przyjrzał się zasnutej mgielką dżungli. Dokładnie przed nim wznosiły się dwa pnie, które nie pasowały jakoś do pozostałych. Scott błyskawicznie sięgnął do ramienia, jednak zaraz sobie przypomniał, że zostawił broń w motorówce.

- Kurwa - szepnął, widząc nad sobą otwartą i coraz bliższą zębata paszczę.

\*

Ben Mallory wydzwignął oporny samolot na trzy tysiące stóp, cały czas słuchając uważnie, jak pracują silniki. Jak dotąd szło nieźle. Silniki Pratt & Whitney R-1830-92 Twin Wasp mimo obaw Lettsa zdawały się pracować równo, tak jak powinny. Oczywiście trudno było o całkowitą pewność, zważywszy na to, że płatowiec trząsał się jak w febrze i nieustannie podzwaniał różnymi obluzowanymi elementami. Cóż, wszystko poza silnikami goniło resztką sił. Ben robił, co tylko potrafił, ale nie mógł zaradzić postępującemu zmęczeniu materiału. Weześniej czy później, ze sprawnymi czy zepsutymi silnikami, cały wodnosamolot złoży się jak latawiec i spadnie z nieba. I to będzie koniec lotnictwa w tym świecie. Ben wrzucił ramionami. Co będzie, to będzie. Na razie mógł latać i nie zamierzał z tego zrezygnować.

Spojrzał przelotnie na swojego „drugiego pilota”. Młody kotowaty o jasnym futrze trwał z jedną z cennych lornetek przy otwartym bocznym iluminatorze i lustrował ocean. Nazywał się Jis-Tikkar, ale pozwalał mówić na siebie Tikker. Był świetnym kompanem na długie loty między Baalkpanem a Surabają i ciągle jeszcze przeżywał każdą chwilę pobytu w powietrzu i przemieszczania się z zawrotną prędkością 110 mil na godzinę. W odróżnieniu od Bena, który ciągle nie mógł się przyzwyczać do takiej powolności i wciąż tęsknił za swoim wspaniałym P-40E. Jakkolwiek chętny do współpracy, Tikker nie nadawał się jeszcze na pilota. Również dlatego, że siedząc w fotelu, nie wystawał ani trochę ponad tablicę przyrządów.

Mimo to Mallory pozwolił mu dwa razy potrzymać stery w locie po prostej i wiedział, że nieprędko spróbuje tego ponownie. Za drugim razem futrzany wesołek omal nie wykonał beczki. Bardzo mu się to spodobało, ale na jakiś czas zakończyło lekcje pilotażu. Niedoszły „drugi” zajął się obserwacją i zabawianiem Bena, żeby ten nie usnął za sterami.

Resztę załogi tworzyli Ed Palmer oraz dwóch miejscowych obdarzonych świetnym wzrokiem, którzy zajmowali miejsca w kroplokształtnych gondolach po bokach maszyny. Ed siedział zaraz za kokpitem i pilnował kursu, co jakiś czas wytrwale wywołując *Walkera*. Wcześniej był uczniem Boba Fowlera, a podczas krótkiego pobytu na pokładzie *Mahana* pełnił funkcję oficera nawigacyjnego. Nie był jeszcze nawigatorem pełną gębą, ale szybko się dokszałcał. Dopóki widział w dole jakiegokolwiek punkty orientacyjne, prowadził ich jak po sznurku, w nocy zaś i tak nie wolno było im latać. Poza tym latali na tej trasie tak często, że znali Cieśninę Makasarską jak własną kieszeń. Ben jednak wołał mieć przy sobie kogoś, kto także pilnował drogi.

W końcu wyszli poza obszar zachmurzenia i ujrzeli przed sobą czyste niebo. Ciemny sztormowy wał oddalał się z wolna na wschód i był już za Celebesem, ciągnąc za sobą rozrzucone tu i ówdzie pomniejsze szkwały. Białe szczyty fal pozwalały stwierdzić, że morze wciąż jest wzburzone. Po trzech godzinach lotu dotarli w okolicę, gdzie mieli szansę znaleźć *Zemstę*, i przyszła pora na decyzję, czy skręcają na południowy wschód, co wiązało się z tankowaniem po drodze, czy zostają na kursie południowym i kontynuują poszukiwania wedle założonego schematu.

Ben spojrział na wskaźniki paliwa. Mieli go jeszcze sporo. Teoretyczny zasięg wodnosamolotu wynosił ponad dwa tysiące osiemset mil, a proponowana przez Lettsa trasa była ponad dwa razy krótsza. Mallory zamierzał sprawdzić większy obszar i wiedział, że paliwa starczy mu i na to. Postanowił też darować sobie wizytę w prowizorycznej bazie paliwowej na Celebesie. Każde lądowanie wiązało się z ryzykiem, zwłaszcza przy niespokojnym morzu. Poza tym w bazie nie było pomp i musieliby pół dnia nosić paliwo w dwugalonowych kanistrach. Wołał tankować przy *Salissie*, gdzie benzyna sama spływała do zbiorników.

- Pójdziemy zygzakiem przez Morze Flores - powiedział Palmerowi, przywoławszy go do siebie. Sto mil na zachód, sto na wschód. Chcę też sprawdzić wyspy na północ od Sumbawy. Pilnuj zwrotów, żebyśmy ich nie przeoczyli. Wolałbym podejść do nich od zachodu, byśmy mogli przelecieć nad nimi dwa razy. To są setki wysepek.

- Większość jest tak mała, że nie ma co zwracać na nie uwagi - stwierdził Palmer.

- Owszem, ale jeśli sztorm zaniósł kogoś aż tutaj, może tkwić na jednej z nich.

Jak się okazało, nie musieli lecieć aż tak daleko. Krótco po pierwszym skręceniu na wschód Tikker dostrzegł kilwater. Ben zszedł spiralą niżej.

- To musi być *Mahan*! - zawołał. - Ma tylko trzy kominy, widzicie?

Mallory przechylił maszynę, żeby też coś zobaczyć.

- Chyba że *Walker* stracił jeden w sztormie - powiedział. - Ale idzie na północ, w stronę Baalkpanu. *Walker* płynąłby teraz na zachód. Tak, zgadza się, to *Mahan*. Widzę numer burtowy. Wygląda jeszcze gorzej niż ostatnio, ale przynajmniej idzie o własnych siłach.

- Nie będziemy siadać? - nerwowo zapytał stojący między fotelami Ed.

- Nie ma mowy. Popatrz tylko na te bałwany! Zagadaj do nich aldisem.

\*

Słońce zachodziło już za odległymi wulkanicznymi szczytami Jawy, gdy *Walker* przeszedł przez Palau Sapudi i wrócił do zatoki Aryaal. Nagie maszty pływających domów rysowały się ostro na tle wieczornego nieba i świateł miasta. Stały całe i w dobrej formie w tym samym miejscu, w którym je zostawili. Kapitan Reddy drzemał na swoim krześle, a Keje poszedł do mesy, żeby przekąsić kanapkę.

- Zupełnie jak rząd pancerników w Pearl - mruknął Garrett, patrząc na domy. - Nie wiedzą, co tracą przy takiej wichurze.

- Może i tak - stwierdził Dowden. - Ale mali i szybcy lepiej sobie radzą, gdy bomby i torpedy sypią się z nieba.

- Tak, lecz o bomby i torpedy nie musimy się już martwić - powiedział z wilczym uśmiechem Garrett. - Ale przypomnij mi to o małych i szybkich, gdy znowu trafimy na strakę. - Wskazał na coraz bliższe wielkie statki. - Zwłaszcza że one wyglądają, jakby w ogóle ich to nie obeszło.

Pozory jednak myliły. Jedna z kotwic *Humfra-Dara* puściła i jednostka omal nie wylądowała na plaży. Ucierpiały też pagodowate nadbudówki wszystkich statków, chociaż solidna konstrukcja uchroniła je przed zniszczeniem. Gorzej przedstawiała się sprawa na lądzie. Dzielnica nabrzeżna została zrównana z ziemią, a stacjonujący w tamtejszych domach żołnierze sił ekspedycyjnych odnieśli sporo obrażeń. Reszta musiała przetrzymać sztorm w terenie. Wszyscy jednak radośnie powitali wracający niszczyciel, gdy mijał jednostki floty i cumował na swoim miejscu.

Wielu martwiło się, czy *Walker* przetrzyma strakę, i mieli sporo racji, chociaż zapewne nawet o tym nie wiedzieli. Mały okręt był dla nich czymś zjawiskowym, niemal nadprzyrodzonym. Byli pewni, że skoro ma stalowy kadłub, to jest niezwyciężony. Keje czy

Chack patrzyli na to trzeźwiej, podobnie jak i Adar, niemniej tylko kotowaci z załogi niszczyciela wiedzieli naprawdę, jak niewiele brakowało, żeby stary okręt na zawsze zniknął w morzu. Niemniej to, że w ogóle zastanawiano się nad losem *Walkera*, było świadectwem, jak wyjątkowo silny był ten sztorm.

Keje, przeżuując drugą kanapkę, wrócił na mostek z „kawą” dla kapitana. Matt wstał obudzony zapachem i zaraz sięgnął po kubek. Larry Dowden ustawił tymczasem okręt przy nabrzeżu. Zrobił to ze spokojem i godną podziwu precyzją. Gray wrzeszczał niżej na marynarzy, żeby przygotowali się do rzucenia cum. Na brzegu już na nie czekali.

- Maszyny stop - powiedział Dowden, zerkając na kapitana. - Stoimy.

Matt kiwnął głową. Podejście rzeczywiście było udane. Wprawdzie okręt znieruchomiał trochę za wcześnie, zostawiając spory pas wody między burtą a nabrzeżem, ale mieli długie cumy. Poza tym tak łatwiej było je wiązać i naprężyć; gorzej, gdyby dopiero one musiały wyhamować niszczyciel.

- Obserwator melduje samolot w niemieckim kierunku jeden dwa zero. Odległość sześć mil.

Matt uśmiechnął się, słysząc, jak bardzo poprawiła się jakość meldunków napływających z bocianiego gniazda. Wszyscy obserwatorzy byli obecnie lemurami i z początku donosili o spostrzeżonych obiektach z wielką fantazją i małą precyzją. Z czasem zaczęło się to zmieniać. Kapitan spojrzął na zegarek i na ciemniejącą z wolna zatokę. Porucznik Mallory był bliski naruszenia zakazu lotów w nocy.

- Będzie dobrze, kapitanie - powiedział Garrett, wyczuwając niepokój Matta. - Zatoka jest już czysta. Sztorm porozbijał wszystkie wraki, które leżały w płytszych miejscach.

- Jasne - mruknął Gray, wchodząc do sterówki. Odstawił już kule i chodził prawie normalnie. - Ale jeszcze więcej śmiecia pływa teraz na powierzchni. Nasz ptaszek może władować się na jakąś belkę czy maszt. - Zwrócił się do kapitana. - Wszystkie cumy zdublowane i zabezpieczone, skipper.

- Dobrze. - Matt dokończył kawę i uśmiechnął się krzywo. - Panie Dowden, obejmuję pan wachtę. Schodzę na brzeg sprawdzić, co nas ominęło.

\*

Za wałem przy północnym murze miasta na nowo wzniesiono prowizoryczny szpital. Wykorzystywano go jako schronienie dla rannych przez cały deszczowy dzień, który nastąpił po przejściu sztormu. Teraz na niebie świeciły jasno gwiazdy, a w namiocie odbywało się spotkanie oficerów Połączonych Sił Ekspedycyjnych. Matt chciał przyjąć najpierw meldunki od wszystkich dowódców, potem dopiero zamierzał zwrócić się do zgromadzonych. Pozostali

zbierali informacje w mniej oficjalny sposób, ale równie skutecznie, przez co spotkanie nie ciągnęło się w nieskończoność i miało częściowo towarzyski charakter, co bardzo odpowiadało lemurom.

- Mam zatem uwierzyć, że poleciał pan na wyraźny rozkaz pana Lettsa? - spytał Matt.  
- Wcześniej zaś złożył pan pięć protestów, z czego trzy na piśmie?

Mallory rozejrzał się niespokojnie.

- Niedokładnie, sir - powiedział. - Pan Letts wydał mi rozkaz wylotu, ale to nie jego wina, że trochę się spóźniłem. Zmieniliśmy plan lotu, żeby zwiększyć obszar poszukiwań. Gdybyśmy tego nie zrobili, nie znaleźlibyśmy *Mahana* - dodał. - A po ostatnim skręceniu trafiliśmy na czołowy wiatr, który jeszcze nas spowolnił.

- Cieszę się, że znaleźliście *Mahana* - rzekł Matt. - Ulżyło mi, że jest bezpieczny. Wolałbym jednak, żeby pan tak nie ryzykował. Jest pan naszym jedynym pilotem.

- Tak, sir. I latam na naszym jedynym samolocie. Ale nie mogliśmy wywołać was przez radio i zaczęliśmy się niepokoić. Ostatnie, co słyszałem, to że wszyscy nasi wyszli w morze i znaleźli się w komplecie na drodze sztormu. Chyba bardzo chcieliśmy sprawdzić, czy nie zostaliśmy sami.

Matt przyjrzał się lotnikowi w świetle pochodni.

- A co by pan zrobił, gdyby znalazł pan *Walkera* czy *Mahana* w ciężkiej opresji? - zapytał. - Na przykład tonącego?

- Nie rozumiem, sir.

- Chyba świetnie pan rozumie. Powiedzmy, że byłby to *Walker*. Bez pary i z mocnym pręchylem. Kołyszący się bezwładnie na fali. Z jedną tylko łodzią, bo nic więcej nam akurat nie zostało. Co by pan zrobił?

Młody pilot spojrział na niego zakłopotany.

- Nie wiem... Może...

- Żadnego „może”, poruczniku - przerwał mu Matt. - Nic nie mógłby pan zrobić. - Położył dłoń na ramieniu Mallory'ego. - Zupełnie nic. I nie próbowałby pan, o ile jest pan odpowiedzialnym oficerem. To nie jest nasz świat, gdzie zawsze można wezwać kogoś na pomoc. Jesteśmy zdani na siebie. Dlatego właśnie powinniście poczekać jeszcze dzień z poszukiwaniami. - Uśmiechnął się i ścisnął ramię lotnika. - Czyli akurat do jutra, a jutro radio będzie już działać. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Cieszę się, że przylecieliście i że widzieliście *Mahana*, ale nie mamy zapasowego samolotu ani drugiego pilota. Musicie wystarczyć nam do końca tej cholernej wojny. - Opuścił rękę i wskazał na mapę rozłożoną na pobliskim stole. - A teraz, skoro jest pan nastawiony na loty ratunkowe, rano poszuka pan

*Zemsty*. Jeśli pogoda pozwoli, oczywiście. My musimy zająć się śrubą, ale najpierw naprawimy radio. Riggs popłynął do Baalkpanu, ale Clancy i Palmer mówią, że też dadzą radę je uruchomić. Clancy odbudował już wnękę rezonansową, wykorzystując fajansowy kubek jako izolator. Skoro skończyło kiwać, będzie mógł rozpiąć też nową antenę. Na marginesie, jeśli radio nie ożyje, nie leci pan - dodał, zerkając na Mallory'ego, i ponownie spojrzał na mapę. - Gdyby się okazało, że *Zemsta* potrzebuje pomocy, przy odrobinie szczęścia moglibyśmy do niej popłynąć. Proszę zacząć od tego miejsca - powiedział, wskazując na dużą wyspę otoczoną dziesiątkami małych, mniej więcej w połowie drogi między Sumatrą a Borneo. - Mam przeczucie, że mogą tam być.

Kapitan rozejrzał się dokoła. Większość obecnych była pogrążona w rozmowach, inni odpoczywali na rozłożonych zapobiegliwie poduchach.

- To jeszcze trochę potrwa - powiedział do Mallory'ego. - Proszę iść się zdrzemnąć. Przyda się panu.

\*

- Tak zatem proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale rozumiem, że sytuacja w niczym się nie zmieniła - stwierdził Matt, gdy właściwe spotkanie bliskie już było końca. - Wszystkie jednostki są zdolne do wyjścia w morze, nawet jeśli odniosły lekkie uszkodzenia. Piechota B'mbaadanu oraz ochotnicy Rolaka zintegrowali się z oddziałami połączonych sił i gotowe są do załadunku. Mam podstawy sądzić, że pojutrze mój okręt będzie miał sprawne obie śruby. Tankowanie i załadunek zapasów mogą zabrać jeszcze kilka dni, podobnie jak różne drobne naprawy, ale zasadniczo jesteśmy gotowi wznowić ofensywę. Wszystko się zgadza?

- Tak - potwierdził Adar. - Zasadniczo.

- Wszystko poza Rasikiem - odpowiedział warknięciem Rolak.

- Poza Rasikiem - zgodził się Matt.

- Mój oddział pójdzie za wami, gdziekolwiek ruszycie - powiedziała królowa Maraan.

- Tak przysięgaliśmy, a skuggiki krążące pod murami nie stanowią żadnego zagrożenia dla naszego miasta. Niemniej lord Rolak i ja walczyliśmy razem i jest on obecnie moim bratem po mieczu. Może trochę starszym, ale jednak - dodała z uśmiechem, pokazując równe zęby. - Rasik zaś ciągle nie chce uwolnić rodzin jego żołnierzy. Wciąż wyszukuje nowe preteksty, żeby tego nie zrobić, ale nie ma wątpliwości, że trzyma je jako zakładników!

- Obawiam się, że tak właśnie jest - zgodził się Rolak, wciąż korzystający z pomocy Chacka jako tłumacza. - Uważa, że dopóki ma ich bliskich w garści, nie odważymy się złupić miasta.

- Ale nikt z nas nie ma takiego zamiaru! - wykrzyknął Bradford. - Boże! Mamy ważniejsze ryby do złowienia!

- Nie sędzę, żeby król Rasik myślał w ten sposób - odparł Rolak. - Ma bardzo ciasne horyzonty. Cały jego świat obraca się wokół niego i jego zachcianek. Nie ma dlań większego skarbu niż tron Aryaalu. Nie wyobraża sobie nawet, że ktoś mógłby go nie chcieć.

- A co z grikami? - spytał Ramic-Sa-Ar, wielki wódz *Aracki*. - Nie obawia się ich powrotu?

- Moi... szpiedzy donoszą, że nie - powiedział Rolak. - Uważa, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane i przeciwnik nie zdoła zgromadzić drugiej takiej armii.

- Ale kiedy pokazaliśmy mu mapy, przedstawiające imperium grików, zdawał się rozumieć skalę zagrożenia - zauważył Adar.

- Uważa, że to bujda - warknął Rolak. - Jest pewien, że próbowaliście go oszukać. Owszem, przyjmuje do wiadomości, że zamierzamy prowadzić wojnę z grikami, ale ich się nie boi. Obawia się nas. Dlatego przetrzymuje rodziny naszych wojowników. Chce w ten sposób uchronić się przed naszym atakiem, a może nawet przeciągnąć moich ludzi z powrotem na swoją służbę.

- A co z tobą, lordzie Rolak? - spytał ciszej Bradford. - Czy ma nadzieję także na twój powrót?

- Nie. Z całą pewnością na to nie liczy.

- A ty co zrobisz? - przerwał Matt przedłużającą się chwilę ciszy.

- Ruszę do walki z grikami, mój panie. Tak jak ślubowałem. Ale... moi wojownicy muszą tu pozostać. Może wzmocnią obronę B'mbaado. Nie mogę od nich oczekiwać, że porzucą rodziny na łaskę Rasika. Przykro mi.

- Nie masz za co przepraszać - stwierdził Matt. - Rozumiem sytuację. Inni najpewniej też. - Opuścił na chwilę głowę, po czym zwrócił się do wszystkich. - Chciałbym wspomóc was, zdobywając miasto i uwalniając wasze rodziny, ale jak wspomniał przed chwilą pan Bradford, mamy większe ryby do złowienia. Poza tym walka ze swoimi byłaby dla większości z was trudnym doświadczeniem.

- Inaczej by to wyglądało, gdybyśmy zostali zaatakowani - dodał cicho Keje. - Ale nie zostaliśmy. Moja dusza wojownika krzyczy, żeby ci pomóc, lordzie Rolak, ale rozsądek i doświadczenie podpowiadają, żeby nie podejmować tego ryzyka.

- Rozumiem - odparł Rolak. - Morski lud jest inny. Nie walczycie bez potrzeby. Dlatego od początku gotów byłem wam uwierzyć, gdy wspomnieliście o większym zagrożeniu. Wasza walka jest z pewnością ważniejsza.



- Będzie nam brakować twoich wojowników, lordzie Rolak - powiedział w końcu Matt. - Najbardziej jednak będzie nam brakować ciebie.

- Mnie nie, panie. Ja będę u twego boku. Uczyniłem ślubowanie.

Matt pokręcił głową.

- Zwalniam cię z niego. Zostań ze swoimi ludźmi.

- Nie możesz mnie z niego zwolnić, mój panie - odparł Rolak tonem cierpliwego wyjaśnienia, ale wyraźnie wzburzony.

- Zatem rozkazuję ci zostać! - rzucił Matt, poważnie już zirytowany. - Jako przyjaciel czy niewolnik, ale zostaniesz na czele swoich.

Obecni najpierw wstrzymali oddech, potem zaszemrali z aprobatą. Rolak patrzył przez chwilę zdumiony na kapitana, potem skłonił głowę.

- Jak rozkażesz, panie. Ale zwiększasz w ten sposób mój dług.

- Trudno. To już postanowione - mruknął Matt i z wysiłkiem powstrzymał się od ziewnięcia. - Czy mamy jeszcze coś do omówienia? Jest już dość późno, a ja ostatnio niewiele spałem.

\*

Mank-Lar, mający nadzieję zostać niebawem lordem i dowódcą gwardii pałacowej, wbił spojrzenie w mrok bezksiężycowej nocy. Był już bardzo blisko żelaznego statku, gdy tuż za nim rozległ się metaliczny szcęk, potem zaś stłumione przekleństwo.

- Cicho, głupcy! - syknął na królewskich podwładnych siedzących przy wiosłach. Kilka godzin trwało, nim przeprowadzili ciężką łódź z ujścia rzeki do miejsca, gdzie cumowali intruzi. Wszystko było gotowe do uderzenia. Mank-Lar nie wiedział, co Amerykanie im zrobią, jeśli ich złapią, nie miał jednak wątpliwości, jak król przyjąłby porażkę.

- Oczywiście, dowódco - dobiegł go szept winowajcy.

Mank-Lar przyjrzał się okrętowi. Mrużył oczy, żeby odbite od nich światło nie zdradziło grupy. Poza tym nie powinni ich dostrzec. W okolicy było raczej ciemno i chyba całkiem dobrze wtapiali się w tło. Nie było też widać nikogo krążącego po pokładzie. Mank wpatrzył się w światła statku. Nie migotały jak pochodnie, co trudno było wytłumaczyć. Pewnie magia, pomyślał. Obcy bez wątplenia nie zaliczali się do wiernych. Słyszał, że pogrzebali swoich zmarłych w ziemi przy bramie Aryaalu.

- Teraz ostrożnie - szepnął, gdy byli tuż przy burcie obcego okrętu. Wyciągnął rękę i przesunął dłonią po zimnych płytach, aż trafił na to, czego szukał. Jeszcze za dnia wypatrzył

szereg metalowych szczebli, które prowadziły na sam pokład. Szybko przywiązał linę do jednego z nich. Dwóch pomocników ostrożnie odsunęło brezent okrywający spory przedmiot leżący na dnie łodzi i przeszło do mniejszej łódki, którą holowali za sobą. Mank przykląkł i po omacku dotknął owego przedmiotu. Co za wspaniała maszyna, pomyślał. Aż szkoda ją tak marnować. Widział z murów, jakie spustoszenie uczyniła w szeregach grików. Nazywał ją miotaczem ognia, chociaż po prawdzie zdawało mu się, jakby to samo słońce zstąpiło na ziemię, zmiatając przeciwników gorejącą dłonią. Przecudowna machina!

Ta akurat należała do oddziału, który walczył nad rzeką i został ogarnięty przez grików. Jaszczury próbowały zabrać go z pola walki i były już blisko barki, gdy cała armia wpadła w panikę i miotacz stoczył się po brzegu, rozbijając przy tym wózek, na którym spoczywał. Ostatecznie wpadł do rzeki. Mank zapamiętał to miejsce i po jakimś czasie wrócił tam, żeby wydobyć maszynę na polecenie księcia Alcasa, obecnie już króla Aryaalu. Nie była to łatwa wyprawa, ale rozkaz był jednoznaczny - znaleźć przedmiot za wszelką cenę. Musieli przekradać się przez pobojuwisko, na którym leżało jeszcze sporo rannych grików, i Mank chwilami obawiał się, że i jemu przyjdzie tam zostać. Powrócił jednak, zyskując bez wątpienia sporo w oczach boskiego Słońca. Nagrodę doczesną zapewnić miał mu król miasta.

Ranni grikowie nie byli jedynym problemem. Na polu kręciły się także patrole ludzi morza oraz B'mbaadan, wszystkie jednak z pochodniami, łatwo więc było je ominąć. Gdy znaleźli wystający z wody miotacz, obwiązali go linami, szybko okazało się jednak, że jest zbyt ciężki, aby taka mała grupa mogła go zaciągnąć do miasta. Zepchnęli go więc głębiej do rzeki, wciąż z przywiązaną liną, i zaczęli zbierać części wózka. Wrzucili je potem do wody blisko miejsca, w którym ukryli miotacz, i ruszyli czym prędzej do miasta, żeby zdążyć przed nadejściem ścierwojadów ściągających na pobojuwisko.

Nie wrócili jednak z pustymi rękami. Po drodze znaleźli skrzynię z substancją, którą karmiono miotacz. Następnej nocy, gdy tylko skuggiki odeszły albo zasnęły obzarte, większą grupą przedarli się przez nadjedzoną padlinę i zabrali do miasta wszystko, po co przybyli.

Tylko część z tamtej grupy brała teraz udział w akcji obmyślonej przez króla. Podczas bitwy Alcas widział, co się stało z maszyną, którą wyładowano po wylot jej pokarmem i podpalono. Wybuchła z siłą zdolną chyba posłać na dno także żelazny okręt obcych, który obecnie cumował w zatoce.

Bez jego wsparcia tchórzliwy morski lud nigdy nie odważy się zaatakować grików, z pewnością nie spróbuje się też zemścić na Aryaalu, zwłaszcza że nie lubi walczyć z pobratymcami. Po prostu odpłyną i nigdy nie wrócą, a król będzie mógł zająć się zdrajcą Rolakiem, a później Sierocą Królową i jej miastem po drugiej stronie zatoki. Wszystko wróci

do normy, a Mank-Lar zostanie lordem i sławnym z bohaterstwa dowódcą odnowionej straży. W tej chwili żałował tylko, że Słońce nie może być świadkiem tego, czego dokona.

Coś poruszyło się w ciemności i Mank zamarł. Na pokładzie rozległo się szuranie czyichś kroków. Były jednak powolne i spokojne, więc zamachowiec ponownie wziął się do pracy. Machina została już wypełniona gorzko cuchnących proszkiem z sześcioma miedzianymi kulami na samym wierzchu. Drewniane kliny i czerwony rzeczny muł chroniły je przed wypadnięciem. Otwarty pozostał tylko otwór z tyłu rury, przez który należało podłożyć ogień. Skąd król wiedział, jak obsługiwać maszynę, tego Mankowi nie powiedziano. Zapewne musieli w tym odegrać jakąś rolę szpiedzy, jednak w sumie nic go to nie obchodziło. Zamierzał zrobić swoje i odebrać nagrodę, o której wcześniej nawet nie marzył.

Zdjął pokrywę z dzbana o szerokiej szyjce. Był pełen żywicy z drzewa gimpra, która raz zapalona nijak nie dawała się ugasić. Wysmarował cuchnącą substancją cały przód łodzi, wyłączając tylko miejsce, gdzie klęczał przy wylocie maszyny. Miał nadzieję, że nikt przedwcześnie nie dostrzeże płomienia i zdąży umknąć wraz ze swymi pomocnikami. Z perforowanego pudła u swoich stóp wydobyl odcinek liny z żarzącym się węglem na jednym końcu. Podmuchał, żeby lina zajęła się żywiej, i zmówiwszy krótką modlitwę do Słońca, zanurzył drugi jej koniec w żywicy.

\*

Bosman Harvey Donaghey pełnił wachtę pokładową, co zdarzało mu się bardzo rzadko. Ta noc była wyjątkowo spokojna. Wszyscy byli zmęczeni i chyba po raz pierwszy to nie obsada maszynowni narobiła się najbardziej. Poza tym pogoda dopisywała, na czystym niebie jaśniały gwiazdy i dobrze było spędzić trochę czasu na świeżym powietrzu. Nawiewniki szumiały ledwie słyszalnie i cały okręt wydawał się pogrążony we śnie. Podobnie było na brzegu. Po powrocie kapitana na pokład zgromadzenie szybko się skończyło i tylko w okolicy wału widać było jeszcze kilka świateł, zapewne ognisk czy pochodni wartowników. Cała reszta sił ekspedycyjnych udała się chyba na spoczynek. Niedługo znowu będzie się działo, pomyślał Harvey, i ludzie muszą się wyspać.

Z nadbudówki na śródokręciu wyłonił się Earl Larnier ze swoim pomocnikiem, jednym z nowych kotowatych. Obaj nieśli wędki.

- Jednak nie wszyscy śpią - mruknął Donaghey pod nosem, gdy gruby kucharz podszedł bliżej. - Witaj, Earl - szepnął i skinął głową młodemu, czarno-białemu lemurowi, którego Earl nazywał Pieprzem.

- Cześć. Zamierzam łowić ryby - oznajmił Lanier, rozglądając się dokoła. Tym razem pokład był prawie pusty, bo chłodna noc skłoniła załogę do noclegu w głębi okrętu.

- Proszę bardzo. Byle nas nie chciały pożreć - dodał, odruchowo kładąc rękę na broni.  
- I złap jedną dla mnie. - Ilekroć gdzieś kotwiczyli, kucharz z zapalem wyciągał z wody różne stwory, czasem tak przerażające, że lepiej było je zostawić.

Earl mruknął coś i podszedł do relingu, a znudzony Donaghey za nim. Zamierzał spytać Laniera, co posłuży mu za przynętę, gdy dojrzał jakiś ciemny kształt na wodzie, tuż obok okrętu. Kucharz też zobaczył coś, co wyglądało na kilku kołowatych siedzących w dwóch łodziach. Jeden chyba palił cygaro...

Zanim obaj pojęli, co właściwie widzą, ten z „cygarem” cisnął je na dziób i łódź stanęła w płomieniach. Nagły blask na chwilę oślepił ludzi na pokładzie *Walkera*.

- O szlag! - krzyknął Donaghey i sięgnął po pistolet.

Mniejsza łódź zakotłowała się, gdy podpalacz do niej przeskoczył. Inny, siedzący w niej lemur, uniósł coś do ramienia i od relingu odbił się bełt z kuszy.

- Cholerne dranie! - zdążył wrzasnąć Lanier, nim kolejny pocisk trafił go w obwisły brzuch. - Dostałem!

- Alarm bojowy! Alarm bojowy! - wykrzyknął Donaghey ile sił w płucach, strzelając do odpływającej łodzi. Zamek zatrzymał się w tylnej pozycji, co oznaczało, że Harvey opróżnił magazynek. Obrócił się do zaskoczonego Pieprza. - Mówić po angielsku? - spytał, odruchowo przypominając sobie rozmowy z „chińskimi” załogantami. - Biec hop-hop do dzwon, zadzwonić, obudzić wszyscy! Kumasz?

- Aye, aye, panie oficerze Donaghey! - rzucił znacznie lepszą angielszczyzną Pieprz i zniknął w ciemności.

- Co to jest, do kurwy...? - wystękał Lanier, wskazując na pozostałą przy burcie łódź. Ogień oświetlał jakiś znajdujący się na niej kształt.

- To działo, cholera! Założę się, że ci dranie nabili je i podpalili w nadziei, że nas załatwią! - Chciał pobiec po wąż przeciwpożarowy, ale zatrzymał się w pół kroku, zrozumiał, że nie ma na to czasu. Jeśli miał rację, działo mogło w każdej chwili wybuchnąć, a wytworzenie ciśnienia roboczego w systemie przeciwpożarowym musiało potrwać kilka minut. Bez słowa przeskoczył reling i zaczął schodzić po burtowej drabince.

- Gdzie leziesz?! - krzyknął Lanier. - Mam strzałę w bebechach!

- Na pewno nie przebiła się przez sadło - warknął Harvey. - Nic ci nie będzie. Nie stój tak! Rozwiń wąż!

Lanier poczłapał do najbliższego stanowiska przeciwpożarowego, Donaghey zaś

ruszył na dół. Ogień osłabł trochę po pierwszym błysku, ale obejmował teraz jedną trzecią łodzi od dziobu. Słychać było trzask płonącego drewna, gorąco tak narastało, że Harvey czuł, jakby go ktoś przypalał.

- Pospiesz się! - krzyknął, niepewny, czy kucharz w ogóle go słyszy. Ledwie mógł oddychać w kwaśnym dymie. Mimo piekących oczu dostrzegł przywiązaną do kolejnego szczebla linę. Jedną ręką sięgnął za pazuchę i wy dobył noszony na szyi składany nóż z rozdwojonym czubkiem, który przydawał się do wielu rzeczy. Otworzył go zębami i pochylił się, żeby przeciąć tłącą się już linę. Poczul woń palących się włosów na ręce i był już pewien, że nie wyjdzie z tego bez oparzeń. Ciął linę jak szaleniec, aż nagle puściła i byłby upuścił nóż, gdyby nie rzemień.

W ciemności rozległo się pospiesznie bicie pokładowego dzwonu, zaraz potem rozbrzmiał sygnał alarmu. Harvey wspiał się kilka szczebli wyżej, żeby oddalić się trochę od źródła gorąca, i spojrzal na łódź. Powoli dryfowała z prądem. Płomienie zbliżały się wolno do działa. Na pokładzie rozległy się krzyki i chwilę później z góry pociekł strumyk morskiej wody. Ktoś musiał przejąć wąż od Laniera albo mu pomagał. Woda płynęła coraz żywszym strumieniem. Nie mieli jeszcze właściwego ciśnienia, ale lepsze to niż nic.

Albo i nie... Nagle Donaghey zrozumiał, że nic w ten sposób nie z działają. Woda nie gasiła płomieni, tylko pomagała im przenosić się coraz dalej. Widocznie sabotażyści wykorzystali coś łatwopalnego, co zachowywało się jak benzyna. Na dodatek przyplływ przyciskał łódź do burty niszczyciela, powoli przesuwając ją w stronę rufy.

- Zamknijcie wodę! - krzyknął ku górze i po chwili wahania zaczął schodzić do łodzi. Rufa była jeszcze wolna od płomieni, zeskoczył więc na nią. Upadł na deski, a gdy podniósł głowę, spojrzal prosto w zalepiony gliną wylot lufy. Zerwał się na nogi i wyrwał wiosło z dulki. Wparł je w burtę okrętu i sapiąc z wysiłku i bólu, nateżył wszystkie siły. Z początku powoli, potem coraz szybciej, łódź zaczęła odsuwać się od okrętu.

Zanosząc się kaszlem, poprawił chwyt na wiosle i napał na nie silniej. Przez pot i łzy, które zalewały mu oczy, ujrzał w końcu spory pas wody oddzielający go od burty niszczyciela. Gdy mierzył już z dziesięć jardów, Harvey przyklęknął i złapał drugie wiosło, które zwisało z dulki. Nasunawszy czapkę na oczy, żeby chociaż trochę osłonić je przed dymem, zawrócił łódź i zaczął wiosłować. Czuł, że nie ma wiele czasu, i starał się płynąć jak najszybciej. Słyszał krzyki ludzi na pokładzie. Sądząc po wrzawie, musiało ich tam już być całkiem sporo. Wołali, żeby skakał do wody i wracał, żeby się nie wygłupiał... On jednak wiedział, że nie ma wyboru.

Czuł, jak skóra na rękach i twarzy pokrywa się bąblami i pęka. Widział coraz mniej

przez czerwoną mgłę, ale wciąż wiosłował. Nic na świecie nie było w tej chwili ważniejsze niż odciągnięcie tej cholernej bomby jak najdalej od okrętu.

Harvey zdążył odpłynąć z nią na blisko czterdzieści jardów.

\*

Kapitan Reddy chodził tam i z powrotem po pokładzie obok wyrzutni torpedowej numer dwa. Ręce trzymał za plecami i co rusz spoglądał na poczerniały od dymu reling. Na horyzoncie jaśniała już czerwona luna nadchodzącego dnia.

Twarz rozeźlonego Matta miała podobny kolor. Wkoło stała milcząca gromadka ludzi i lemurów z załogi niszczyciela, trochę dalej Sandra i Bradford wymieniali półgłosem jakieś uwagi. Na pokładzie leżeli dwaj Aryaalanie, obaj spętani jak wieprzki. Dennis Silva stał nad nimi z pistoletem, a Earl Lanier z uniesioną wędką. Kucharz był bez koszuli, z brzuchem obwiązanym bandażem.

Harvey Donaghey miał tylko jeden pocisk, ale trafił jednego z sabotażystów, który wypuścił wiosło, co spowolniło ich ucieczkę. Gdy działo eksplodowało, byli już dość daleko, żeby nie ucierpieć, jednak nagły błysk tak ich zaskoczył, że i drugie wiosło znalazło się za burtą. Ich łódź zaczęła dryfować ku niedosłej ofierze i wysłana po nich szalupa szybko dotarła do celu. Do tego czasu ranny zamachowiec zmarł. Dowodzący drużyną Garrett dostarczył pozostałych dwóch na pokład niszczyciela. Nie był przy tym zbyt delikatny i Aryaalanie patrzyli teraz na Matta przez opuchnięte powieki i nerwowo oblizywali popękane i okrwawione wargi.

Mank-Lar dobrowolnie wyznał wszystko. Bo i dlaczego nie miałby tego robić? Był wojownikiem wykonującym rozkaz króla. Zwykła sprawa i nie było w niej nic hańbiącego. Jeśli był czemuś winien, to niepowodzeniu. Wiedział, że król pewnie każe go za to zabić, ale nawet morski lud na pewno rozumiał, że wojownik musi słuchać króla. Bezogoniaści wydawali się oburzeni tym, że król w ogóle wydał taki rozkaz, zwłaszcza że nie byli w stanie wojny z obcymi. Ale co z tego? To już sprawa między nimi a królem. On posłużył tu tylko za narzędzie i nie było sensu temu zaprzeczać. Niemniej zachowanie wodza przeciwników nie wróżyło nic dobrego.

Larry Dowden też dawno nie widział kapitana w takim stanie. Dotąd zdarzyło się to tylko raz, gdy oba niszczyciele podjęły samobójczy atak na *Amagiego*. Jakoś im się wtedy upiekło, ale łatwo nie było. Larry zastanawiał się, czy kapitan nie rozważa teraz czegoś podobnego. Otworzył usta, ale zawahał się, onieśmielony wyrazem twarzy Matta i jego lodowatym spojrzeniem.

- Kapitanie - powiedział cicho. - Clancy melduje, że radio znowu działa. Mallory prosi o zgodę na wznowienie poszukiwań *Zemsty*.

Matt spojrział na swojego pierwszego i nieznacznie skinął głową.

- Dobrze.

- Aye, aye sir. I jeszcze jedno, kapitanie. Wspominał pan, że chciałby zająć się rano montażem śruby? - przypomniał mu Dowden.

Matt zerknął na niego zdumiony, jakby oczekiwał, że prace już się zaczęły. Dopiero teraz zauważył gromadzącą się wkoło załogę. Wszyscy byli przejęci i wściekli.

- Zgadza się. Ludzie są chyba trochę poruszeni. Niech Spanky i bosman pogonią brygadę roboczą. - Wyłowił spojrzeniem kilka osób z otaczającej go grupy. - Niech każdy zajmie się swoją robotą. Ja skończę z tym tutaj.

- A co z nimi, skipper? - spytał Silva, trącając Manka butem.

Matt wzruszył ramionami.

- Nie będziemy ich sądzić. Przyznali się do sabotażu przeprowadzonego na rozkaz ich króla, ale zostali ujęci bez mundurów, a ich działań nie poprzedziło wypowiedzenie nam wojny. Powieście ich.

\*

- Chcę załatwić tego sukinsyna! - powiedział spokojnie, ale z głosem nabrzmiałym złością. Na spotkaniu obecne były niemal te same osoby co w nocy, tyle że tym razem zebrały się za stojącą w szyku 2. kompanią marines, z boków zaś mieli ochotników Rolaka i gwardzistów królowej Maraan. Pojawił się też nowy oddział piechoty z B'mbaado oraz trzydziestu uzbrojonych po zęby ludzi i kotowatych z załogi niszczyciela, gotowych poprowadzić atak. Sieroca Królowa stała obok Matta, a w jej oczach lśnił radosny i drapieżny blask.

- To może zniszczyć sojusz! - powiedział błagalnie Adar. - Nie zapominaj o większym zagrożeniu!

Towarzyszająca Mattowi Sandra pokiwała głową, ale sądząc po wyrazie twarzy, nie była całkiem przekonana.

- Dlaczego? - odrzekł Matt. - Nie proszę przecież, żeby wojownicy z pływających domów czy gwardziści Baalkpanu przyłączyli się do ataku. Owszem, zauważyłem, że nikt z nich nie zaproponował pomocy, ale rozumiem to i nie mam pretensji.

- A co z marines? - spytał Adar. - Oni też są z naszego ludu.

Matt spojrział na niego chłodno.

- Marines są moi. Wszyscy są ochotnikami i dobrowolnie się do tego zgłosili.

Kazałem Chackowi, żeby spytał ich wprost.

- Ale to nie daje ci jeszcze prawa, żeby wykorzystywać ich do tej... pobocznej awantury!

- Nie wykorzystuję ich - odparł Matt, z lekka tracąc nad sobą panowanie. - Mają tylko wykonać swoją powinność. Zostaliśmy zaatakowani! Znienacka, podstępnie i rozmyślnie. Uwierz mi, dla nas to nie pierwszozna i wiemy, co robić. - Spojrzał na Kejego. - Zostaliśmy zaatakowani! - powtórzył. - Straciłem dobrego człowieka, który oddał życie, żeby uratować okręt. Czy nie wspominałeś wcześniej, że inaczej by to wyglądało, gdybyśmy zostali zaatakowani? Jak bardzo inaczej? Czy chciałeś powiedzieć, że wtedy stanąłbyś do walki ze swoimi pobratymcami? A może chodziło ci o atak wymierzony bezpośrednio w ciebie? Wtedy byś się bronił? Gdzie bylibyśmy dzisiaj, gdyby *Walker* nie wdał się kiedyś w pewną walkę, chociaż sam nie został zaatakowany?

Keje spojrzał na Matta, potem na Adara i zamrugał ze złością i frustracją.

- Od kiedy się znamy, *Walker* jest z wami - ciągnął Matt. - Stracił już wielu dobrych ludzi. Także tutaj, broniąc tego przeklętego miasta! I straci kolejnych, żeby je zdobyć! Jednak teraz, gdy przychodzi pora go wesprzeć, to nagle nie jest wasza sprawa? No proszę, prawie udało się wam mnie oszukać. Gotów już byłem zostawić ludzi Rolaka, żeby sami się bronili, chociaż wcześniej postawili wszystko na jedną kartę, żeby nam pomóc. Pewnie powinienem im pomóc, ale chciałem ich zostawić, chociaż wiedzą, czym jest honor i wdzięczność. Teraz nie ma już mowy, żebym odpłynął, kiedy ten szaleniec ma się dobrze za murami swego miasta. Szaleniec, który chciał zatopić mój okręt, choć uratowałem mu dupę, żeby zniszczyć nasz sojusz. Jeszcze wczoraj nie myślałbym, że to możliwe, ale dzisiaj zaczynam się obawiać, że miał jednak rację. Jeśli wciąż uważacie, że należy poniechać tego drania, aby zagrażał naszym przyjaciołom i liniom zaopatrzeniowym, to trudno. Ale powiem wam jeszcze jedno. Jeśli po tym, co zdarzyło się w nocy, nie podejmę zdecydowanych działań, to niezależnie od „większego zagrożenia” nasz sojusz się rozpadnie. Jeśli liczycie na to, że *Walker* będzie wiecznie go spajał, postarajcie się zrozumieć, że wprawdzie zrobiony jest z żelaza, ale to ludzie decydują o jego sile. Niektórzy z nich wyglądają tak samo jak wy, ale należą do jego załogi. Ktoś, kto próbował go zniszczyć, musi za to zapłacić! Zwłaszcza teraz. Tak uważają moi ludzie. Jeśli tego nie dostrzegacie, nie możecie być naszymi przyjaciółmi!

- Ale... co będzie, jeśli zginiesz? - spytał Adar, wyrażającą myśli wielu obecnych. - A jeśli porucznikowi Shinyi się nie uda? Co wtedy przyjdzie nam zrobić? Rozumiem twój gniew, chociaż uważam, że kierujesz go przeciwko niewłaściwym osobom, jednak dla mnie grikowie są jedynym wrogiem. Przysięgałem...



- Wiemy - przerwał mu Keje, unosząc dłoń. - To, o co prosi nas kapitan Reddy, to nie udział w pobocznej awanturze. Wszyscy mamy przed sobą jeden cel, i to jest jego część. Coś, co trzeba zrobić, zanim pójdziemy dalej. - Spojrzał na pozostałych. - On ma rację. Wszyscy wiemy, że ma rację. Amer-i-kanie są naszymi przyjaciółmi. Są naszymi braćmi. Zostali podstępnie zaatakowani przez wroga, który już wcześniej wystąpił przeciwko naszemu bratu Rolakowi. - Spojrzał na Matta. - Przepraszam, bracie. Jest mi wstyd. Będę walczył u twego boku.

- I ja będę - powiedział Ramik-Sa-Ar.

- I ja - odezwał się Geran-Eras.

Tassat-Ay-Aracca obejrzał się niespokojnie na swego ojca, Ramika.

- Ja chciałem cały czas! - wybuchnął. - Ja...

Adar wystąpił naprzód, jakby chciał go uciszyć, ale zatrzymał się i zwiesił głowę. Gdy ją uniósł, zamrugał w sposób wyrażający wstyd.

- Nie, bracia. To ja jeden okryłem się hańbą. - Spojrzał na Matta. - Widziałem tylko grików - powiedział cicho, ze łzami w oczach. - Co noc nawiedzają mnie koszmary, w których widzę ładownię *Zemsty*. Kości, brud i spojrzenia tych, którzy przeżyli. Wobec tej groźby każda inna wydaje się mało znacząca. Ale masz rację. Zostaliście zaatakowani, a wcześniejsza zdrada Rasika sprawiła, że o wiele więcej dusz uleciało w niebiosy, niż powinno. Dusze, które ciągle byłyby z nami. Masz rację. Nie możemy go tak po prostu zostawić. Przeszkadzałby nam ciągle w realizacji głównego celu. Poza tym czasem sam honor wymaga działania. - Wyprostował się. - Kapitanie Reddy, źle oceniłeś naszych wodzów. To ja i tylko ja ponoszę odpowiedzialność za ich postępowanie. Kazałem im przysiąc, że nie dadzą się wciągnąć w żadną aryaalańską... awanturę. Teraz wiem, że źle uczyniłem i naraziłem ich na utratę twarzy.

Matt nie był do końca pewien, czy Adar uznał się za pokonanego, ponieważ dał się przekonać, czy raczej doszedł do wniosku, że nie może inaczej postąpić. Nie potrafił także orzec, czy kapłan chciał przeprosić kapitana, czy tylko posypał oficjalnie głowę popiołem. Pokiwał jednak głową i uściśnął dłoń Adara.

- Tak już lepiej - powiedział. - Im więcej nas ruszy do walki, tym mniej zginie. - Spojrzał na Kejego, obok którego pojawił się Shinya. - Dziękuję. Ile potrwa przygotowanie reszty oddziałów?

- Godzinę, może dwie - odparł Japończyk.

- Mniej więcej - dodał Keje. - Nie wszyscy są na brzegu, ale wątpię, żebyśmy potrzebowali każdego żołnierza. Niemniej to będzie trudna walka. Z ludźmi, nie ze

zwierzętami.

- Ujmijmy to tak - powiedział Matt. - Uratowaliśmy ich przed grikami, a jednak próbują przeszkodzić nam w walce ze wspólnym wrogiem. Uczynili własnych ludzi zakładnikami i zaatakowali nas znienacka... - Pokręcił głową. - Jeśli po tym wszystkim będą chcieli z nami walczyć, to zachowują się jak zwierzęta.

\*

Benjamin Mallory kłął przez zaciśnięte zęby, starając się utrzymać samolot na północnym kursie. Nigdy wcześniej nie siedział za sterami cataliny, ale uznał, że jest znośna w pilotażu. Nie sprawiała szczególnych kłopotów, przynajmniej podczas lotu po prostej. Nie przypominała P-40E i nawet do P-40B było jej daleko, ale nie potrzebowała całej mocy silników, żeby utrzymać się w powietrzu. Gorzej sprawiała się przy bocznym wietrze. Im dłużej miał tego dnia do czynienia z zachodnią bryzą, tym lepiej rozumiał, dlaczego konstruktorzy wyposażyli PBY w tak duży ster kierunku. Z drugiej strony był on odpowiedzialny za część kłopotów. Owszem, bardzo się przydawał w razie utraty jednego silnika, o czym Mallory miał już okazję się przekonać, ale czynił też catalinę wrażliwszą na każdy podmuch wiatru. Cóż, pomyślał Ben filozoficznie, ta maszyna przyszła wprawdzie na świat z przerośniętym sterem kierunku, ale ma przynajmniej duży ster kierunku, żeby temu zaradzić.

- Cholera, Tikker - powiedział do drugiego pilota - szkoda, że nie masz dłuższych nóg. Mógłbyś mi wtedy pomóc.

- Zawsze mogę pomóc, szefie. Niekoniecznie nogami - dodał, zerkając na pedały steru kierunku.

- Bystrzak - rzekł z uśmiechem Mallory. - Fakt, mógłbyś przyciskać je dłońmi.

- Mógłbym, i pewnie byłoby łatwiej. Ale wtedy bym niczego nie widział. Po co ma być łatwiej, jeśli nie będę mógł obserwować oceanu?

Ben zaśmiał się. Jak większość lemurów, Tikker kierował się własną logiką, no i miał poczucie humoru. Mallory nie wiedział, co w tej chwili w nim ożyło. Może jedno i drugie?

- Dobra. Zejdę niżej i wtedy pomożesz.

- Radio działa - zameldował Ed Palmer, wsadziwszy głowę do kokpitu. - I będzie działać, póki nie posadzisz tej mały za sterami.

Mallory znowu się roześmiał.

- Słowo daję, powinniśmy pisać skecze. Założę się, że potrafiłbyś pilotować maszynę tak samo jak on, a on jest lepszy od ciebie w obsłudze radia.

Ed podsunął Benowi podkładkę z mapą.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał pilot.

- Od trzech godzin idziemy na zachód w stronę Jawy, wcześniej lecieliśmy dwie na północ-północny zachód. Powinniśmy więc być gdzieś tutaj - powiedział, wskazując punkt na zachód od wyspy Belitung.

- Dobra, to musi być ta przed nami. Wielka wyspa otoczona mnóstwem maleńkich białych wysepek.

Ed zerknął przez owiewkę.

- Chcesz powiedzieć, że jesteśmy dokładnie tam, gdzie powinniśmy być? Przy tym wietrze oczekiwałem, że zniesie nas porządnie na wschód.

- Żadne takie. Pilnowałem kursu - stwierdził Ben. - Kapitan kazał dokładnie sprawdzić te wysepki. Obawia się, że sztorm mógł rzucić *Zemstę* na jedną z nich.

- Ale tam bałagan - mruknął Ed, zerkając na odległe wysepki, potem na mapę. - Przez taki labirynt na pewno nie dałaby rady przepłynąć.

- Może - stwierdził Mallory. - A może ma się dobrze i gania grików jak Drake Hiszpanów.

- Kto to był Drake? - spytał Ed.

- Nieważne. Taki jeden Brytyjczyk.

Tikker zbliżył twarz do okna i przymrużył oczy.

- Daj mi mapę - powiedział i Ed podał mu podkładkę z przypiętą mapą. Tikker przyjrzał się jej uważnie i znowu zerknął na zewnątrz. - Dziwne - stwierdził i pokręcił głową.

- Zwykle wasze mapy są bardzo dokładne.

- Co? Dlaczego?

- Widzę wiele białych wysepek tam, gdzie powinna być tylko woda.

Mallory zdjął ciemne okulary i też spojrzął przed nos maszyny.

- Niczego nie widzę.

- Pilnuj pedałów, ja będę pilnować wysp - mruknął Tikker i ponownie wpatrzył się w horyzont.

Ed zostawił ich i przeszedł do siebie. Jednym z niewielu przedmiotów, które znalazł w kabine maszyny, był pusty aluminiowy termos pływający w podtopionym kadłubie. Ed wyłowił go i odkrył, że wydrapano na nim litery EP. Zbiegiem okoliczności były to także jego inicjały. Używając termosu, zastanawiał się czasem, co się stało z poprzednim właścicielem. Zanim go otworzył, zerknął do przedziału strzelców, żeby sprawdzić, czy pozostali obserwatorzy za bardzo się nie obijają. Potem uważnie nalał kawy do metalowego

kubka i balansując nim, przeszedł do przodu.

- Kawa - obwieścił, ostrożnie podsuwając kubek Benowi.

Mallory pokręcił głową.

- Teraz nie mogę. Potrzebuję obu rąk. Ale dziękuję - powiedział.

Ed wzruszył ramionami i sam upił łyk. Tikker zmarszczył nos - jak wielu innych miejscowych nie przepadał ani za prawdziwą kawą, ani za jej tutejszą podróbką. Znali jej pobudzające działanie, ale właśnie dlatego uważali ją raczej za lekarstwo.

Wielka wyspa była już blisko i małe wysepki wokół niej stały się lepiej widoczne. Tikker przypomniał sobie nagle o lornetce, którą miał zawieszoną na szyi. Uważał ją za jeden z cudów tego świata - zaraz po samolocie, naturalnie - często jednak o niej zapominał, przyzwyczajony do tradycyjnych metod obserwacji. Uniósł ją teraz, trochę zawstydzony, i wyregulował ostrość. Nagle zamarł i zjeżył sierść.

- Co? Co widzisz? - odezwał się Ben, lecz Tikker nie odpowiadał. - Co tam jest? - spytał ponownie, zaniepokojony zachowaniem drugiego pilota.

- To nie wyspy - wykrztusił w końcu lemur. - To żagle. Żagle na statkach grików.

- Daj mi to - mruknął Ben, ściągając ramię lornetki z szyi Tikкера. Spróbował dojrzeć cokolwiek, trzymając ster, ale nic z tego nie wyszło. Zerknął na kotowatego, który wydawał się ogluszony odkryciem. To nie była dobra chwila na kolejną lekcję pilotażu. Mallory podał lornetkę Edowi, który odstawił kubek na podłogę. Metalowe naczynie wpadło natychmiast w drgania i zaczęło wędrować po samolocie, rozchlapując zawartość.

- Boże wszechmocny - szepnął Ed. Flota grików zajmowała całe morze w dole. Czerwone kadłuby ciągnęły się aż po majaczące na horyzoncie zachodnie brzegi Borneo, ostro kontrastując z ciemnoturkusową wodą lekko jeszcze spienionego oceanu. - Boże wszechmocny - powtórzył trochę głośniejszym głosem z lekką nutą paniki.

- Statek! Statek! - ożył nagle interkom głosem jednego z tylnych obserwatorów. - Widzę statek! Dokładnie pod nami! Obudźcie się tam z przodu! Nie widzicie go?

\*

*Zemsta* przeszła przez piekło. Gdy tylko stało się jasne, że to nie będzie byle sztorm, Rick Tolson i Kas-Ra-Ar zrozumieli, że muszą iść daleko na północ, żeby mieć później jak najwięcej miejsca, gdy wichura porwie ich ze sobą. Z ponurą satysfakcją oddali dwie salwy burtowe do jednostki grików i porzucili ją ze zwisającym za burtę głównym masztem pewni, że sztorm szybko dokończy dzieła. Wiatr dmuchał ciągle z północnego zachodu, pozwalając statkowi wspinać się na coraz wyższe fale Morza Natuna.

Przez cały dzień i pół nocy szli na północ, ledwie omijając Singapur, jednak było mało prawdopodobne, żeby ktokolwiek ich stamtąd zauważył. Na samych sztakslach *Zemsta* przeszła na Morze Południowochińskie, chociaż fale były już tak duże, że groziły uszkodzeniem statku. Ten akwen też był usiany wysepkami, które jednak względnie łatwo było ominąć, w odróżnieniu od długich pasm lądu, które rozciągały się na południu. Kadłub zaczął przeciekać, trzeba więc było cały czas pracować przy pompach, tak że nawet najbardziej doświadczeni miejscowi marynarze zaczęli padać z nóg. Wielu cierpiało do tego na chorobę morską. Ostatecznie, gdy nie można było już sztormować na północ, zostawili tylko przedni topsel i zawrócili na południe. Rick nie widział dotąd równie wielkich fal i nawet nie przypuszczał, że mogą się pojawić na tak płytkim morzu. Zalewające pokład bałwany zostawiały w szpigatach kawałki dziwnego koralu i mnóstwo ryb. Rick obawiał się chwilami, że kolejna fala ciśnie statkiem o dno i roztrzaska mu kil.

Wyczerpana załoga harowała potępieńczo, żeby powstrzymać napływ wody, nie mogła jednak zaradzić zniszczeniom, które sztorm z wolna czynił na pokładzie. Najpierw zerwał resztki żagli, potem szczególnie wysoka fala zabrała cały bezanmaszt wraz ze szczytem grotu masztu. Woda zmyła też kilku ludzi z załogi. Resztę głównego masztu, górną część fokmasztu i niemal cały bukszpryt stracili następnego dnia za sprawą pioruna, który uderzył w żaglowiec z mocą eksplodującej bomby. Walczyli jednak dalej, z samotnym sztaksem na kikucie fokmasztu.

To, że przeżyli, zawdzięczali zapewne po części solidnej budowie *Zemsty*, jak i dobremu projektowi statku, na którym była wzorowana. Najwięcej jednak znaczyły wyszkolenie i wysiłek załogi. Gdy rano morze wreszcie się uspokoiło, gonili resztką sił, a po południu tego dnia dostrzegli przez sobą wyspę Belitung. Gdy weszli do cieśniny Gaspar, rzucili obie kotwice i czekali, aż statek zatrzyma się w wartkim prądzie. Przetrwali tak całą noc i kolejny dzień, w pocie czoła naprawiając co się da.

Rick robił to samo co wszyscy i załoga nie mogła tego nie docenić. Nie poradziłiby sobie bez Kasa i nikt tego nie kwestionował, jednak bezogoniasty kapitan dzielący z nimi wszystko co dobre i złe, wiele zyskał w ich oczach. Był przyjazny, kompetentny i palił się do walki, toteż już wcześniej był lubiany. Sprawdzał się zarówno podczas bitwy w zatoce, jak i obfitującego w krótkie walki rejsu krążowniczego.

Wszystko to się liczyło, jednak dopiero sztorm wystawił członków załogi *Zemsty* na prawdziwą próbę. I udało im się go przetrzymać, dzięki wspólnemu wysiłkowi. Poczuli się jak na małym, pływającym domu. Zdobyta na wrogu jednostka była im teraz mniej nienawistna. Okaleczona i przeciekająca, stała się ich statkiem i nikt nie miał wątpliwości, że

od teraz Rick Tolson może nosić miano wielkiego wodza.

Rano *Zemsta* odcięła liny kotwiczne i przeszła przez cieśninę Gaspar na Morze Jawajskie, podniósłszy na reszcie przedniego masztu tyle żagli, ile tylko udało się umocować. Obrawszy kurs południowo-wschodni, Rick i Kas mieli nadzieję dotrzeć w jakiś tydzień do Aryaalu. Prawie nie schodzili z pokładu rufowego, przekazując sobie lornetkę i lustrując mijane wyspy. Niższe i mniejsze sztorm ogołocił z wszelkiej roślinności, a w wodzie pływała masa śmieci. Miejscowe ptaki krążyły w powietrzu i co chwila nurkowały po martwe ryby. W pewnej chwili Rick dostrzegł skuggika albo jakieś podobne stworzenie stojące w bezruchu na unoszącym się na wodzie pniu.

- Co za sztorm - mruknął.

- Widziałem gorsze, nigdy jednak z pokładu czegoś tak małego - odparł Kas. - Ale rzeczywiście, tak silne sztormy są rzadkie. - Wskazał samotnego zwierzaka na pniu. - On pewnie wie, jak możemy się czuć.

- Zastanawiam się, czy choć jedna feluka ocalała.

- Obawiam się, że nie. To statki do przybrzeżnych połowów. Nie są przeznaczone do prawdziwego sztormowania. Nie powinniśmy brać ich ze sobą.

- Bardzo się przydały. Póki nie dorobimy się prawdziwej floty, będziemy musieli z nich korzystać - stwierdził Rick. - Trudno, to jest wojna.

- Zauważyłem, że często tak mówicie, żeby coś uzasadnić. W odróżnieniu od nas jesteście wojowniczą rasą. Czy uważasz, że wojna to dostateczne usprawiedliwienie wszystkiego złego, co może się zdarzyć?

- Właściwie tak, ale jeśli pomyślę, że żadna wojna nie trwa wiecznie i potem będzie lepiej... - Wzruszył ramionami. - Tak czy owak wydaje mi się, że jest w tym pewien sens. Ale nie bierz mnie zbyt poważnie. Chyba jeszcze nie całkiem doszedłem do siebie. - Rick rozejrzał się po spustoszonej pokładzie i zachichotał. - Jak powiedziałby kapitan Reddy... - Uniósł brwi i zmarszczył czoło, naśladując gniewną minę Matta. - To było kilka trudnych dni!

Teraz obaj się zaśmiali.

- Ale z drugiej strony nigdy nie czułem się tak dobrze - powiedział po chwili Rick, zamyśliwszy się. - Dowodzę własnym okrętem, który nawet teraz jest jedną z najpotężniejszych jednostek wojennych na świecie. A na dodatek szybko, gdy jest w formie, oraz wytrzymała. No i z najlepszą na świecie załogą - dodał, patrząc na krzątających się po pokładzie ludzi. - Czego chcesz więcej? Może jeszcze silnik by się nam przydał, ale bez żagli... to już nie byłoby to samo. Jednak nie o to pytałeś - stwierdził po chwili. - Masz rację, wojna to tylko doraźne usprawiedliwienie. Poza tym jest złem. Ci rybacy z feluk na pewno

woleliby łowić ryby i żywić nimi rodziny, zamiast walczyć ze sztormem, z którym nie mają szans. Wojna jest temu winna. Ale to nie tak, że gdybyśmy nie chcieli walczyć, to nie byłoby wojny. Przypomnij sobie, kto jest naszym przeciwnikiem. To walka o przetrwanie i nie mamy wielkiego wyboru. Na wojnie można zginąć, ale nie podejmując walki, zginiesz na pewno. Gdy tak na to spojrzysz, wojna przestaje być wymówką. Staje się koniecznością i szansą na przetrwanie.

Rick zamilkł na dłuższą chwilę.

- Teraz, gdy o tym myślę - podjął w końcu - widzę, że tutaj jest inaczej. To, co kiedyś mówiłem, nie miało sensu. Można stanąć i rozłożyć ręce, mówiąc „to jest wojna”, bo tak łatwiej i moi ludzie przywykli tak myśleć. Czasem to może nawet i prawda. Wojna, którą toczyliśmy w naszym świecie, była inna, ale czy to wiadomo na pewno? Naziści i Japończycy byli tymi złymi, ale rzadko coś jest naprawdę czarno-białe. A tutaj? Bronimy się przed grikami. Kropka. To oni są winni. Walczymy, żeby ich powstrzymać, i cokolwiek robimy w tym celu, jest dobre. - Rick ziewnął potężnie i uśmiechnął się do przyjaciela. - Jestem zmęczony i być może gadam bzdury. Chodziło mi jednak o to, że marynarze z feluk nie zginęli na darmo. Pomagali wygrać wojnę, a być może ten jeden jedyny raz jest to dobra wojna.

- Przed sztormem dość ci się chyba podobała - stwierdził z uśmiechem Kas.

- Cóż, gdy trzeba coś zrobić, idzie to łatwiej, jeśli się to polubi i jest się w tym dobrym. A my jesteśmy dobrzy, bardzo dobrzy...

Kas nagle przechylił głowę i nastawił uszu. Rick też to usłyszał. Kilka minut później cała załoga podskakiwała radośnie i wskazywała sobie mały punkt na niebie. Catalina rosła, aż w końcu zaczęła spiralą wytracać wysokość. Zeszła nad same fale i osiadłszy na nich, zatrzymała się w pewnej odległości przed dziobem statku.

W normalnych okolicznościach *Zemsta* spuściłaby szalupę, ale tym razem musieli wymyślić inny sposób, ponieważ wszystkie łodzie statku zostały poważnie uszkodzone albo w ogóle przepadły. Lotnicy musieli zdawać sobie z tego sprawę, bo w pewnej chwili pod skrzydłem cataliny pojawiła się mała gumowa tratwa. Zaraz jednak oklapła, jakby uszło z niej powietrze.

- Pieprzone rybska - mruknął Rick, winiąc za przedziurawienie tratwy drapieżne srebrzaki. - I co teraz?

Ostatecznie na dachu kokpitu pojawiły się dwie postacie, ludzka i kocia, i wspięły się na skrzydło. Powoli przeszły na koniec płatu i przykucnęły nad pływakiem, czekając na podejście *Zemsty*.

- Niebezpiecznie - zauważył Kas.

Rick kiwnął głową.

- Ostrożnie! - zawołał do sternika. - Żebyś nawet nie musnął samolotu! Kapitan Reddy nigdy by nam tego nie wybaczył.

*Zemsta* powoli zbliżyła się do PBY. Gdy końcówka skrzydła była o kilka stóp od relingu, Tikker skoczył na pokład. Ed Palmer poszedł w jego ślady, ale z mniejszym powodzeniem. Szczęściem zaraz go złapano, dzięki czemu nie wpadł do wody. Tyle że gdy witał się z Rickiem, był jeszcze całkiem błądy.

- Zawsze miło cię widzieć, a zwłaszcza teraz! - powiedział kapitan, ściskając dłoń pilota.

Ed odwzajemnił uścisk z uśmiechem, ale wydawał się trochę rozkojarzony. Widział rozmiar zniszczeń na pokładzie. Mimo tytanicznego wysiłku załogi wciąż nie wyglądało to najlepiej. Pokład był goły, jeśli nie liczyć rozradowanej załogi i nierównych kikutów odłamanych masztów.

- Tak, kapitanie Tolson - mruknął Palmer, nie zapominając, że rozmawia z dowódcą okrętu. - Czy możecie płynąć choć trochę szybciej?

- Po co? - spytał zdumiony Rick.

- Jaszczury. Płyną tutaj.

Rick rozejrzał się wkoło. Owszem, nie byli w najlepszym stanie, ale wciąż mieli działa. W razie potrzeby mogli obronić się przed kilkoma jednostkami nieprzyjaciela jednocześnie.

- Nie, ale mamy radę. Działa utrzymają ich na dystans. - Spojrzał na Kejego. - Widzisz? A chciałeś je wyrzucić za burzę, gdy zaczęliśmy brać wodę. - Kas zamierzał coś odpowiedzieć, ale Palmer nie dał mu dojść do słowa.

- To nie tak! - zawołał. - Niczego nie rozumiesz!

\*

Stali na rufie przy relingu i patrzyli na wyłaniające się zza horyzontu żagle nieprzyjacielskich statków.

- Czy kapitan Reddy o nich wie?

- Nie mam pojęcia - odparł Ed. - Przekazaliśmy wiadomość, ale jesteśmy dość daleko i zakłócenia utrudniają łączność.

- Ilu wejdzie do samolotu? - spytał cicho Rick.

- Futrzaków dwudziestu albo trzydziestu. Nie ważą dużo. Problemem będzie, żeby



jakoś ich upchnąć.

- Ważą więcej, niż myślisz. To same mięśnie. - Rick pokręcił głową. - Jeśli polecisz wprost na wschód, dasz radę odstawić ich na Borneo. Uzbrojeni poradzą sobie z drapieżnikami, łatwo też wymkną się grikom, gdyby zeszli po nich na ląd. Ale to trzy godziny tam i z powrotem... - westchnął. - Za mało czasu. Dam ci dwudziestu. Nie wiem, jak ich wybrać. Może niech ciągną losy czy co. Zabierzesz ich stąd w cholerę.

- Dwudziestu oprócz ciebie i Bowlesa? Spytałem porucznika, czy damy radę...

- Nie - stwierdził Rick. - Gandy może lecieć, ale ja nie. Jeśli nie możemy zabrać wszystkich, to zostaję. To mój okręt!

Ed spojrzał na niego w milczeniu. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Tak, ale... Tam są dwie setki jednostek, może więcej. Nie zrozum mnie źle, kapitanie, to znaczy Rick, bardzo lubię kotowatych, ale jesteś nam potrzebny! Na całym tym świecie jest tylko około stu trzydziestu ludzi!

- Nie gadaj, Ed. - Rick uśmiechnął się. - Gdzieś na pewno jest więcej. Z tego samego świata co my. - Odwrócił się i spojrzał na spokojne twarze swojej załogi. - Bardziej jestem potrzebny tutaj.

Sześciu rannych kotowatych, którzy najbardziej ucierpieli podczas sztormu, przeniesiono ostrożnie na skrzydło PBY i opuszczono do maszyny. Mallory cały czas siedział przy sterach, klnąc dosadnie i manewrując maszyną na fali. Gdy skończyli, pomagający w przenosinach zeskoczyli ze skrzydła na pokład. Nawet Gandy Bowles, któremu Rick praktycznie rozkazał lecieć, postanowił jednak zostać. Gdy Ed przepelził po skrzydle ostatni raz, Tolson podał mu oprawną w skórę księgę. Musiał głośno krzyknąć, żeby było go słychać przez szum morza i ryk silników.

- Masz książkę okrętową! Przekaż ją kapitanowi! Naprawdę ciekawa lektura!

Ed przytrzymał czapkę, żeby wiatr nie zdmuchnął mu jej do wody. Oczy go piekły, zapewne od morskiej wody, jak sobie powtarzał.

- Przekażę - powiedział przez zęby.

- Kas dopisał trochę dla Kejego. Wiesz, oni są kuzynami.

Ed pokiwał głową. Rick zerknął jeszcze na północ. Flota była już tak blisko, że można było dostrzec pojedyncze jednostki z łopoczącymi na wietrze proporcami. Gdzieś zza horyzontu wznosiła się smuga dymu. Może jeden z tych cholerników się zapalił, pomyślał z nadzieją Ed. Nie mogli już dłużej zwlekać.

- I podziękuj w moim imieniu kapitanowi - dodał Tolson. - Za sposobność. To była genialna jazda. Chyba w głębi serca zawsze byłem korsarzem! - Błysnął bielą zębów pośród

opalonej brodatej twarzy. - A teraz wynoś się stąd, sygnalista Palmer!

Ed kiwnął głową i stając możliwie prosto, zasalutował najlepiej, jak potrafił. Potem odwrócił się i ruszył ostrożnie do wjazdu między silnikami. Mallory przymknął trochę gaz, żeby nie zdmuchnąć nawigatora ze skrzydła. Chwilę potem Palmer zniknął we wnętrzu maszyny.

- Przygotować się do akcji - powiedział kapitan Tolson, dowódca *Zemsty*, odwróciwszy się do Kas-Ra-Ara, i uśmiechnął się szeroko. - Ale to brzmi!

\*

- Co? Tylko sześciu? - spytał z niedowierzaniem Mallory.

Ed skinął głową.

- Kurwa! - krzyknął Ben. - Teraz wiem, o co chodziło kapitanowi, gdy mnie pytał, co mogę zrobić.

Ed nie miał pojęcia, o czym mowa, ale sporo domyślał się z kontekstu.

- Dobra - mruknął w końcu Mallory. - Zapnij pas. Gdy tylko będziemy w powietrzu, spróbujesz znowu wywołać *Walkera*. Masz na to dziesięć minut. Potem przejdź do przedniego stanowiska i powiedz kotowatym z tyłu, żeby też byli gotowi. - Przesunął przepustnice i ustawił maszynę pod wiatr. - Spróbujemy ich chociaż postraszyć - dodał bez przekonania.

Silniki ryknęły na pełnej mocy i kadłub zaczął podskakiwać na fali. Tym razem bardzo powoli nabierali prędkości.

- Dalej! - niecierpliwiał się Ben, dociskając manetki.

- Co jest grane?! - krzyknął Palmer.

Tikker siedział nieruchomo w swoim fotelu, mocno zaciskając powieki.

- Nic takiego, Ed. Chociaż zwykle bywa łatwiej - dodał głosem drżącym nie mniej niż kadłub maszyny.

- Zaraz mnie weźmie! - jęknął Palmer, gdy samolot wbił się nosem w kolejną falę i niemal wyhamował. - Morska i powietrzna choroba w jednym!

Niespodziewanie Catalina przyspieszyła i wzbijała się w powietrze. Zahaczyła jeszcze z hukiem o grzbiet następnej fali, która jednak nie zatrzymała samolotu. Mokry od rozprysków zaczął powoli nabierać wysokości.

- Tak!

Na pięciuset stopach Mallory zaczął skręcać łagodnie w stronę okaleczonego okrętu. Nieprzyjaciel był niepokojąco blisko i przerażał samą swoją liczbą. Ben nie rozumiał, jak

flota grików znalazła się tu tak szybko. Przed sztormem nic nie zapowiadało, że się pojawi, nie podejrzewali nawet, że istnieje. Musiała przypląć z daleka, wykorzystując skraj sztormu do sprawniejszego podejścia. Ale dlaczego właśnie teraz? Skąd ten pośpiech? Ben był przekonany, że to skutek klęski jaszczurów pod Aryaalem, ale jakim cudem wieść o tym rozeszła się tak szybko? I skąd nieprzyjaciel wytrzasnął w krótkim czasie aż tyle okrętów? Jedno było pewne: inwazja na Singapur nie miała w tej chwili sensu.

- Próbuj! Musimy przekazać to kapitanowi! - pogonił Eda.

- Nie sądzisz, że przekazanie tej wiadomości jest ważniejsze niż rozwalenie paru tych drani?

- Jasne! - odkrzyknął Ben. - Ale nie zaszkodzi, jak im trochę przyłożymy. Nie mają niczego, żeby sięgnąć nas na tej wysokości?

- Mnie pytasz? Jesteśmy tylko zwiadowcami. Nie braliśmy jeszcze udziału w prawdziwej walce.

- Właśnie mamy okazję - mruknął Ben. Nieprzyjacielska formacja robiła co najmniej osiem węzłów, *Zemsta* zaś ledwie trzy. Catalina krążyła nad nią jeszcze kilka minut, podczas gdy Palmer próbował skontaktować się z niszczycielem. Grikowie niebawem mieli się znaleźć w zasięgu dział fregaty.

- I co?

- Nie wiem. Najpewniej nadajemy, bo i dlaczego nie mielibyśmy nadawać, ale jest mnóstwo zakłóceń. Za duża odległość dla naszego odbiornika, jednak oni powinni nas słyszeć.

- Widzę dym - odezwał się wreszcie Tikker i wskazał na horyzont. - Czarny. Wygląda jak dym z czarnej wyspy... Jak wy to nazywacie? Z wulkanu?

- Tak, z wulkanu - odruchowo przytaknął Ben. - Od groma ich tutaj. - Wykręcił szyję, żeby zobaczyć, co się dzieje w dole. Nigdy jeszcze nie czuł się tak bezradny i bezużyteczny. Jak w koszmarze sennym, gdy człowiek stoi bezsilny, chociaż ktoś śmiertelnie zagrożony potrzebuje jego pomocy.

*Zemsta* otworzyła ogień. Burta okrętu okryła się dymem i pociski zmasakrowały żagle jednego ze zbliżających się statków, ciskając szczątki do morza. Widok był budujący, ale nawet najlepsze strzelanie nie mogło powstrzymać nadciągającej lawiny.

- Dołóż im, Rick - szepnął Ben. - Dobra, Ed, mam to gdzieś! - Przycisnął laryngofon do szyi. - Do strzelców z tyłu. Wiem, że nie macie wielkiej praktyki, ale umiecie obsługiwać karabiny. Celów jest tyle, że na pewno nie chybiecie, ale postarajcie się skoncentrować ogień na grikach. Tak, żeby zabić ich jak najwięcej. Samych statków nie dacie rady zniszczyć tyłu,

żeby zrobiło to jakąś różnicę. Pamiętajcie: krótkie, dobrze wymierzone serie. Nie uszkodzić karabinów. Amunicję pewnie nauczymy się wytwarzać, ale zrobienie takiej lufy to inna sprawa.

Skręcił ostro w kierunku wrogiej formacji i przeleciał ledwie trzysta stóp nad masztami czerwonych jednostek.

- Otworzyć ogień! - krzyknął. - Tylko do tych najbliższej *Zemsty*! Do diabła, szkoda, że nie mamy choć paru bomb. - Ostatnie zdanie zginęło z jazgocie trzydziestki z przedniego stanowiska i dwóch pięćdziesiątek zamontowanych przy bocznych bąblach obserwacyjnych. Z tyłu dobiegły ponadto dzikie radosne wrzaski obu strzelców. Kadłub zadrżał bardziej niż zwykle, a Ben przytrzymał maszynę w przechyle, żeby cele nie wyszły z zasięgu skutecznego ognia. Od statku do statku, przesuwwały się gejzery wody, które znikwały, gdy pociski trafiały w drewniane pokłady. Stłoczeni na nich wojownicy ginęli całymi tuzinami.

- Dobrze im tak! - wrzasnął Ben.

*Zemsta* ponownie okryła się dymem i fokmaszt jednego z bliższych statków runął do morza. Ciągnąc się za jednostką, spowodował jej gwałtowny skręt, przez co wbiła się dziobem w burtę sąsiedniej. Inne wpały na nie z tyłu, niczym w karambolu na autostradzie.

- Tak, dobrze! - krzyczał Mallory, widząc, że kolejne statki nie zdołały wyminąć sczepionych kadłubów.

- A te co kombinują? - spytał Tikker, wskazując na kilka jednostek, które oderwały się od formacji i próbowały okrążyć *Zemstę*. Gdyby udało im się zająć ją od dziobu, nie groziłby im ostrzał i zyskałyby możliwość abordażu.

- Nowe cele! - krzyknął Ben. - Walcie w te z przodu! Jeden jest chyba większy... i biały! Założę się, że to jakaś szycha. Poślijcie mu kilka serii ekstra. - Pociski z przedniej pięćdziesiątki zagotowały morze wokół biało-złotego statku. Załoga rozbiegła się po pokładzie i iluś grików wypadło nawet za burtę, reszta została jednak rozerwana na strzepy.

- Koniec! - dobiegł z tyłu okrzyk zawodu.

To by było na tyle, jeśli chodzi o krótkie serie, pomyślał Ben i położył maszynę na drugie skrzydło, żeby dać szansę strzelcowi z prawej burty.

- Dołóż im! - warknął Ben i samolot zadrżał, gdy karabin znów się odezwał.

*Zemsta* stała otoczona kłębam dymu, w którym co chwila rozbłyskiwały ognie wystrzałów. Kilka nieprzyjacielskich statków było już bardzo blisko, ale nie miały szans wobec kul, które systematycznie demolowały im maszty. Ciemne od stłoczonych sylwetek reje padały do morza, a jeden statek tonął już z mocnym przegłębieniem na dziób. Jak dotąd grikowie nie użyli bomb zapalających, jakby za wszelką cenę chcieli opanować *Zemstę*

niezniszczoną.

- Zależy im na działach - mruknął Ben. Nic nie mógł na to poradzić. Karabin Eda także zamilkł. Catalina nie zabierała nigdy wielkiego zapasu amunicji, bo nikt nie oczekiwał, żeby była potrzebna do czegoś więcej niż ewentualne odstraszenie przeciwnika w czasie startu. Teraz już tylko prawoburtowa trzydziestka poszcze kiwała od czasu do czasu. Na dole grikowie zaczęli rzucać haki abordażowe.

- Cholera! - zaklął Ben zdławionym głosem i obok swojego ramienia ujrzał głowę Eda.

- Rick im na to nie pozwoli - powiedział z przekonaniem Palmer.

Czerwone kadłuby stłoczyły się wokół *Zemsty* niczym mrówki, zasłaniając ją całkowicie lasem masztów. Tylko dym wskazywał, gdzie znajduje się okręt sojuszu, aż w końcu działa też ucichły. Grikowie na pokładach zewnętrznego kręgu statków wściekle wygrażali samolotowi.

Nagle pośrodku grupy błysnęło potężnie i w niebo wzbila się chmura dymu. Maszty stłoczonych statków runęły koncentrycznie niczym drzewa na zboczu wulkanu. W powietrzu zrobiło się aż gęsto od szczątków, a samolot zakołysał się gwałtownie, gdy dotarła do niego fala uderzeniowa. Ben odruchowo wyrównał i spojrzał w dół. Mimo łez, które wezbrały mu w oczach, dostrzegł kilka płonących i tonących wraków. Kilkanaście statków zapaliło się od niesionych wiatrem śmieci. Po *Zemście* i stojącym przy niej białym okręcie nie został żaden ślad.

- To się nazywa odejść z klasą... - powiedział Ben i głos mu się załamał. Wyrównał i Catalina zaczęła powoli nabierać wysokości.

- Teraz już odlatujemy? - spytał Ed.

- Tak. Wcześniej nie mogliśmy. Nie mogliśmy, jak długo ktoś tam z dołu nas widział.

Ed ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Poza tym kapitan... wszyscy będą chcieli wiedzieć, jak to się skończyło. - Mallory westchnął. - Tylko jedno. Musimy policzyć te statki. Wciąż jesteśmy oczami floty.

- Jezus, ale ich jest za dużo. Już dwa razy gubiłem rachubę.

- Nie musi być dokładnie. Ile tobie wyszło, Tikker?

- Trzysta dziesięć, ale nie widzę wszystkich. Za horyzontem jest ich więcej. No i ten wulkan ciągle dymi. - Kotowaty pokręcił głową. - Dziwne. Wydaje się, że teraz jest bliżej.

Ben pierwszy raz spojrzał na północ, gdzie Tikker dostrzegł dym. Rzeczywiście, wiatr znosił na wschód solidną kolumnę czarnych kłębow. Mallory przetarł oczy i spojrzał ponownie.

- Co u diabła...? - Skrecił na północ, w kierunku domniemanego wulkanu.

- Co to jest? - spytał Ed.

- Nie wiem. Wygląda jak... Ale przecież to niemożliwe. - Mallory poczuł, że robi mu się zimno.

- Jednak! - wykrzyknął Ed, spoglądając przez lornetkę. - To parowiec. Sądząc po dymie, opalany węglem. Ale co on robi we flocie grików? Otaczają go ze wszystkich stron.

- Może go przejęli? Mógł trafić tutaj tak jak my. Nas też prawie załatwili, nie pamiętasz?

Ed nie odrywał lornetki od oczu.

- Jezus, to nie żaden parowiec. To regularny okręt wojenny. Wielki jak pancernik!

Ben zaczął się czegoś domyślać. Do zimnego dreszczu doszedł jeszcze bolesny skurcz w żołądku.

- Daj mi szkła! - powiedział, zdejmując gogle. - Tikker, przejmujesz stery!

Lemur spojrzał przerażony na wolant i złapał go pazurzystymi dłońmi. Wyczuł, że to nie żarty i lepiej się nie odzywać. Zaciśnął zęby i skupił się całkowicie na utrzymaniu równego lotu maszyny. Ben tymczasem wyregulował szkła, aż idealnie wyostrzył obraz. Gdy zrozumiał, co widzi, omal nie upuścił lornetki. Nawet z piętnastu mil trudno było o pomyłkę. Widział już kiedyś tę sylwetkę. Było to trzy kwartały temu, gdy stał na pomoście *Walkera* z pasami amunicyjnymi do trzydziestki na ramieniu.

- Ciekawe, co złego jeszcze ten dzień przyniesie - powiedział w końcu.

- Co? - spytał Ed.

- Pamiętasz ten japoński krążownik liniowy, z którym walczyliśmy na krótko przed wejściem w szkwał?

- Tak... - szepnął Ed i nagle pobladł.

- To on. *Amagi*.

- Jasna cholera! - warknął Palmer. - Wiedziałem! Jaszczury to Japońce! Przebiegłe sukinsyny!

- Nie wiemy tego na pewno. Być może jaszczury to Japońce.

- Co masz na myśli?

- Mogły przejąć okręt i nauczyć się go używać. Tak jak kiedyś było z żaglowcami. - Ponownie uniósł lornetkę. - Tyle że nie mamy rady podejść do niego dość blisko, żeby to sprawdzić. Jeśli to Japońce, to współpracują z jaszczurami. Zestrzelą nas bez trudu. Jeśli jaszczury, muszą mieć Japońców do pomocy. Może na razie nie wiedzą nic o obronie przeciwlotniczej, ale jesteśmy tak wolni, że łatwo nas trafić. Musimy ostrzec kapitana!

- Jak blisko musielibyśmy podlecieć, żeby czegoś się dowiedzieć?

- Na tyle, żeby zobaczyć, kto jest na pokładzie. A wtedy weszlibyśmy w zasięg działek pelot.

- A bandera? Grikowie mają własne i jeśli to teraz ich okręt, na pewno podnieśli swoją. Nie zostawiliby promiennego klopsika.

- Racja. Może uda się to sprawdzić, nim nas osiągną. - Wzruszył ramionami. - Ale w sumie na jedno wychodzi. Jakakolwiek by ta bandera była, jesteśmy ugotowani.

\*

Łącznościowiec pierwszej klasy Russell Clancy siedział rozparty w fotelu, siorbiąc „napój kawopodobny”. Przez cały dzień tkwił w odizolowanej od świata kabinie radiowej pod sterówką i wyszedł z niej tylko raz, do kibla, poruszywszy niebo i ziemię, żeby ktoś na chwilę go zmienił. Na okręcie została jedynie załoga szkieletowa. Prawie połowa ludzkiej obsady poszła z bronią pod miasto, żeby wziąć udział w ataku. Reszta tkwiła na rufie, dopasowując nową śrubę. Mostek odpowiadał na wezwania, ale nikt nie raczył się stamtąd zjawić i Clancy’ego z wolna szlag trafiał. Przecież musieli słyszeć jego wrzaski nawet bez interkomu. W końcu Reynolds wpadł do klatki ze słowami: „Dalej, tylko się pospiesz!” Bitwa mogła zacząć się lada chwila i nikt nie chciał stracić widowiska.

To było przed godziną, jednak na brzegu wciąż nic się nie działo. Czasem Clancy zerkał przez właz - który zostawił otwarty, żeby chociaż coś słyszeć - i próbował dojrzeć choć kawałek północnej bramy Aryaalu, nie był jednak dość wysoko. Widział tylko pododdziały z różnych jednostek wyładowujące się na nabrzeżu. Reszta sił ekspedycyjnych też w końcu postanowiła się ruszyć. Po tym, co zaszło, było to pewne minimum przyzwoitości. Ludzie byli wściekli po śmierci Donagheya i próbie zatopienia okrętu, toteż gdyby ogoniaści przyjaciele nie zdecydowali się pomóc, albo wręcz próbowali ich powstrzymać, zrobiliby się gorąco.

Clancy też był ciężko wkurzony. Nie znał dobrze Donagheya, ale uważał go za porządnego gościa. Wolałby pójść z innymi pod miasto, zamiast czekać tu na meldunek, który mógł nigdy nie nadejść. Radio było w porządku, sprawdzał je rano przed wylotem cataliny. Miał nawet łączność z maszyną, gdy ruszyła dalej na północ, ale potem coś się porobiło. Od kilku godzin odbierał tylko jakieś dziwne szумы statyczne. Był pewien, że ich źródło nie znajdowało się na okręcie, i nie podejrzewał też Eda o nieumiejętne obchodzenie się z radiostacją. Może czasem był irytujący, ale na sprzęcie się znał, poza tym świetnie wiedział, że lepiej teraz nie drażnić skippera.

Coś było bardzo nie tak. Tylko co? Steve Riggs pracował nad placówką łączności w Baalkpanie. Bez niego i Palmera Clancy musiał robić za cały dział radiowy. Z drugiej strony, skoro samolot zniknął z eteru, nie było akurat nic do roboty. Ale czekać musiał. Nerwowa i tyle.

- Dalej, Ed - mruknął Russell pod nosem - zagadaj do mnie.

W tej samej chwili coś zaczęło się przebijać przez szумы. Zaskoczony zbiegiem okoliczności Clancy nałożył słuchawki i zaczął korygować ustawienia. Tak! To było znajome popiskiwanie. Z jakiegoś powodu Ed nadawał morsem, zamiast po prostu odezwać się do mikrofonu. Russell złapał ołówek i zaczął notować.

ZSA ZSA ZSA. Ten sygnał powtarzał się raz za razem. Znaczył: „Czy mnie słyszycie?”

ZSB-2, odstukał Clancy. „Słyszę. Odbiór wyraźny”.

ZOE-5-O-J. „Będę nadawać w grupach po pięć - pilne - sprawdź i powtórz”.

Przez chwilę Clancy tylko się gapił na klucz.

- Co u diabła? - mruknął pod nosem. Od tak dawna porozumiewali się otwartym tekstem, że ta zabawa nie miała dla niego sensu. Dlaczego Ed chciał nadawać w grupach po pięć znaków?

ZOE-5-O-J, odpowiedział w końcu.

\*

Sprawy nabierały wreszcie tempa. Matt uspokoił się trochę i w końcu pojął, że tak będzie lepiej. Przygotowania do bitwy ciągnęły się w nieskończoność i wcześniej poważnie się zastanawiał, czy naprawdę powinien czekać na resztę oddziałów. Keje był optymistą i uważał, że nie zabierze to wiele czasu, Shinya zaś podzielał jego zdanie. Matt rozumiał, że zasadniczo profity przeważają nad kosztami. Nie tylko będzie więcej żołnierzy, przez co czeka ich mniej krwawa walka w mieście, ale przede wszystkim będą działać razem, co wydawało mu się w tej sytuacji najważniejsze.

Poszczególne dowódcy połączonych sił zrozumieli wreszcie, że nie mogą wybierać sobie, w których walkach wezmą udział, a które sobie odpuszczą. Byli jednością i powinni równo dzielić się brzemieniem, jeśli mieli wygrać tę wojnę. Nie zmniejszało to frustracji spowodowanej opóźnieniem. Lord Rolak ze swoimi oraz marines wciąż stanowili awangardę sił, jednak gwardia królowej Maraan została przesunięta do odwodów, a jej miejsce zajęły 3. i 5. pułk gwardii. To zabrało najwięcej czasu, ale uznano, zapewne słusznie, że ujrawszy dawnego wroga, nieprzyjaciół będzie stawiał większy opór. Ludzie z załogi niszczyciela też



dostali nowy przydział, z czego wcale nie byli zadowoleni. Wciąż stanowili część pierwszej fali, ale bardziej jako pluton wsparcia ogniowego niż zwykła piechota. Mieli polować na łuczników i dowódców oraz przełamywać za pomocą broni palnej szczególnie silne oddziały przeciwnika. Tak czy owak znaczyło to intensywny udział w walce i spore zużycie amunicji. I rzecz jasna straty. Matt wolałby uniknąć i jednego, i drugiego, ale nie mógł zakazać swoim ludziom walki.

Sam też zamierzał wejść do miasta, ranny czy nie, i Sandra wiedziała, że nie ma sensu go od tego odwozić. Milcząc wymownie, poprawiła mu opatrunek i temblak na lewej ręce i poszła dołączyć do personelu medycznego szykującego się na nieunikniony napływ rannych. Mattowi było przykro, że porucznik Tucker tak chłodno przyjęła jego decyzję. Rozumiał, że nawet ta „poboczna” sprawa będzie wymagała ofiar, ale był przekonany, że zaniechanie miasta prędzej czy później krwawo by się na nich zemściło. To nie była tylko kwestia honoru - chociaż on też był ważny - i niepozostawiania zagrożenia na tyłach. Ważniejsze było wzmocnienie spoistości sojuszu, chociaż z początku wydawało się, że w tej materii nic nie da się już zrobić. Ostatecznie jednak wyszło inaczej i oby wewnętrzny konflikt przyniósł pozytywne owoce.

Obok kapitana stał Rolak, który także czekał już tylko na koniec przygotowań.

- Raz jeszcze damy im szansę poddania się bez walki - stwierdził Matt. - Bez czasu do namysłu i konsultacji. Po prostu tak albo nie. Jeśli odmówią, zaraz uderzymy.

Keje poważnie skinął głową. Był więcej niż cierpliwy i bardziej niż lojalny. Adar z kolei skapitulował chyba przed okolicznościami. Zaniósł już ceremonialne modły do Niebios i wielu przyłączyło się do niego, niezależnie od doktryny, której hołdowali. W obu nurtach religijnych obrządki były podobne, a jaśniejące nad miastem Słońce było w końcu częścią sfer niebieskich. Teraz nawet kapłan zaczynał się niecierpliwić, rozumiejąc, że im szybciej uwiną się z miastem, tym szybciej wrócą do właściwych zadań.

Nagle na stojącym przy nabrzeżu *Walkerze* odezwał się dzwon, a po chwili dołączył do niego gwizdek parowy. Wszyscy spojrzeli zaskoczeni w stronę niszczyciela i zobaczyli, że przez ruiny miasteczka rybaków biegnie pod bramę dwóch ludzi z załogi. Mieli jeszcze z pół mili do pokonania, ale wyraźnie bardzo im się spieszyło.

- O co chodzi? - zastanowił się głośno Matt.

Po chwili biegnący Larry Dowden i Russel Clancy, jak się okazało, niezmiernie zdyszani stanęli przed nim i zaszalutowali, jednak przez chwilę żaden z nich nie mógł wykrztusić słowa.

- Rozumiem, że to musi być coś bardzo ważnego, panie Dowden, skoro opuścił pan

stanowisko, przybiegł tutaj i przeszkodził nam w rozpoczęciu bitwy - powiedział oschle Matt.

- Tak, sir - wydyszał Larry i pchnął Clancy'ego krok naprzód. - Mamy wreszcie wiadomość od Mallory'ego. - Clancy podał kapitanowi wygnieciony i trochę poplamiony od potu formularz. - Pomyśleliśmy, że powinien pan poznać ją przed bitwą.

Matt uniósł brew i spojrzał na kartkę.

ZEMSTA USZKODZONA PRZEZ SZTORM X PODJĘŁA WALKE Z PRZEWAZAJACYMI SILAMI WROGA X ZNISZCZONA W BITWIE NA POŁUDNIE OD BELITUNGU X WCZEŚNIEJ PODJĘLIŚMY SZESCIU RANNYCH ROZBITKOW X FLOTA NIEPRZYJACIELA TO OKOŁO 300 POWTARZAM 300 JEDNOSTEK X IDA NA POŁUDNIE KURSEM 175 X PRĘDKOŚĆ OSIEM WEZŁOW X NIEPRZYJACIELOWI TOWARZYSZY JAP KRAŻOWNIK LINIOWY ZAPEWNE AMAGI X SERIO SERIO SERIO X KONIEC WIADOMOŚCI

Przez dłuższą chwilę kapitan Reddy wpatrywał się w kartkę, jakby miał nadzieję, że to tylko koszmarny sen. W końcu niedowierzanie ustąpiło przerażeniu oraz świadomości nieuniknionej konsekwencji tego, o czym właśnie się dowiedział. Wątpił, żeby jakkolwiek dowódca w historii otrzymał tak niespodziewaną tragiczną wiadomość. Nagle wszystko straciło sens. Wszystkie plany, ofiary i zwycięstwa stały się niczym. „Wielka ofensywa” mająca raz na zawsze zakończyć dominację grików upodobniła się do wysiłków myszy grożącej słomką słoniowi. Wielkość floty nieprzyjaciela wręcz porażała. Trzysta jednostek oznaczało 150 tysięcy wojowników. Co najmniej. A jeśli do tego towarzyszy im *Amagi*...

Matt spojrzał na zegarek. Było trochę po trzeciej. Mieli jeszcze około pięciu godzin dziennego światła. *Amagi*, jeśli to on, był ledwie o pięćset mil stąd. Przy prędkości ośmiu węzłów powinien dotrzeć tutaj w ciągu dwóch dni. Kapitan spojrzał na Shinyę, na którym tak bardzo polegał, i pokręcił głową. Potem się tym zajął.

- Proszę wszystkich oficerów do mnie. Nie ma chwili do stracenia - powiedział.

Japończyk zsalutował zdumiony, ale rozesłał gońców. Keje spojrzał uważnie na Matta. Wyczuł w nim niepokojącą zmianę, na dodatek Dowden i Palmer wyglądali na wstrząśniętych. Kotowaty wskazał na kartkę.

- Wiadomość z wodnosamolotu? - zapytał.

Matt przytaknął, raz jeszcze czytając fatalne zdania.

- Zła wiadomość?

Matt spojrzał na niego i odrzekł cicho, żeby nikt inny go nie usłyszał:

- Chyba właśnie przegraliśmy tę wojnę.

\*

Zebrani pospiesznie dowódcy i wodzowie byli już na miejscu. Matt przyjrzał im się uważnie i zastanowił, jak właściwie powinien zacząć. Nie mieli czasu na dłuższe przemowy, o jakiegokolwiek dyskusji nawet nie wspominając. Najwięcej zapewne zależało od tego, co zdecyduje królowa Maraan. Bez jej wsparcia plan mógł się nie powieść.

- Nie mamy chwili do stracenia - powiedział i uniósł kartkę, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć. - Naprawdę ani chwili. *Zemsta* została zniszczona. Nie przez sztorm, ale nieprzyjaciela. W tej chwili zmierza w naszym kierunku flota licząca ponad trzysta statków. Będzie tu za dwa dni.

Rozległy się liczne szmery i okrzyki zaskoczenia, ale Matt nie zwrócił na nie uwagi.

- Co gorsza, nieprzyjaciel zdaje się mieć własny żelazny okręt. Sami widzieliście, jakie straty może zadać mój niszczyciel grikom. Otóż ten okręt może równie łatwo zniszczyć *Walkera*.

Teraz gwar był znacznie głośniejszy, na granicy paniki. Jak to możliwe? Przecież taki okręt nie ma prawa istnieć! Skąd wziął się u grików? Nie! To niewiarygodne! Adar wstał wstrząśnięty, z otwartymi ustami. Mrugał przy tym tak energicznie, że Matt postanowił czym prędzej wyjaśnić sprawę dokładniej.

- Wyobraźcie sobie okręt, który jest nowocześniejszy niż mój i znacznie większy, prawie tak wielki jak pływający dom, i wyposażony w silniejsze, o wiele silniejsze uzbrojenie. Razem z nim płynie cała armada grików. Żadną miarą nie zdołamy się im oprzeć. Nie tutaj i nie z tym, co obecnie mamy. Naszą jedyną nadzieją jest natychmiastowa ewakuacja. Musimy zabrać wszystkich z Aryaalu i B'mbaado i jak najszybciej wycofać się do Baalkpanu. Nieprzyjaciel jest szybszy niż my, musimy zatem wyruszyć najpóźniej jutro. Jeśli przechwyci nas na morzu, zginiemy. - Przerwał i spojrzał wprost na królową Maraan. Zwykle opanowana władczyni była wyraźnie przerażona i nie wiedziała, co zrobić.

- Jak? - spytała cicho. - Jak mogę porzucić mój kraj i mój dom?

- Musisz, wasza wysokość - odparł łagodnym tonem Matt. - Ziemia nie jest ważna, gdy chodzi o przetrwanie. - Pokręcił głową. - To znaczy jest ważna, ale jeśli uratuje się naród, zawsze można na nią wrócić. Sam dopiero niedawno to zrozumiałem. Nie podoba mi się to, ale to nasza jedyna szansa. Któregoś dnia znowu tu przypłyniemy. Najpierw musisz jednak ocalić swój lud. Jesteś mu teraz bardzo potrzebna.

- Ale jak zabierzemy ich wszystkich? Pływające domy już wcześniej były pełne

wojska.

- Stłoczemy ich jak ziarnka piasku, jeśli będzie trzeba. Obciążymy maksymalnie feluki. Nikogo nie zostawimy.

- Ależ zostawimy! - z goryczą powiedziała królowa. - Nie zdołamy dotrzeć do wszystkich w jeden dzień. Wielu mieszka poza miastem. B'mbaado to nie twierdza pośród pustkowia, gdzie wszyscy chronią się za murami. Na naszej wyspie nie ma wielu groźnych zwierząt i budowa osiedli wzdłuż brzegu albo pośród wzgórz to nie problem.

- Zostawisz zatem grupę zbrojnych, żeby ich ostrzegli i pomogli ukryć się w głębi wyspy. Możliwe, że grikowie nie zostaną tutaj długo i nie będą oddalać się za bardzo od miasta. Być może zdołamy wysłać od czasu do czasu któryś szybki okręt, *Walkera* albo *Mahana*, żeby zabierał naszych. Baalkpan z licznymi działami jest teraz prawdziwą twierdzą i tam mamy szansę obronić się przed grikami. Potem odzyskamy twoje królestwo. Jeśli zostaniesz tutaj, zginiesz i królestwo się nie odrodzi.

W końcu królowa kiwnęła głową i spłynęły jej z oczu wielkie łzy. Aż do tej chwili Matt nie miał pojęcia, że kotowaci mogą płakać. Safira powoli obróciła głowę ku Haakarowi.

- Wypadnie na ciebie - wyszeptła drżącym głosem. - Musisz zebrać tych, którzy zostaną, i chronić ich. - Objęła starego wojownika, który odwzajemnił uścisk.

Matt nie miał wątpliwości, że oboje są sobie bardzo bliscy. Tak bliscy, że nie przejmowali się, że widzi ich cała masa różnych oczu. Kapitan był dla nich pełen podziwu; gdzieś za plecami usłyszał, jak Sandra pociągnęła nosem.

Safira stanęła tymczasem prosto przed dowódcami Połączonych Sił Ekspedycyjnych.

- Mój ludu! Przyjaciele! - odezwała się zaskakująco silnym głosem, ale Matt wiedział już, że kotowaci potrafią być cholernie głośni, jeśli bardzo im na tym zależy. - Los zmusza nas do opuszczenia naszych domów. Nawet nasze połączone siły to obecnie za mało, żeby przeciwstawić się pochodowi grików. Musimy wycofać się do mocniejszej warowni na Baalkpanie. Jeśli nieprzyjaciel podąży za nami, zniszczymy go i odzyskamy to, co nasze. - Przerwała na chwilę. - Nieprzyjaciel jest szybki. Być może nie wszyscy zdążą na czas, żeby odpłynąć z nami, ale wrócimy! Haakar-Faask zajmie się tymi, którzy zostaną. Wyszkoli ich do walki i poprowadzi przeciwko grikom, jeśli będzie trzeba. My wrócimy pomóc im w walce albo zabrać wszystkich w bezpieczne miejsce. Gdybyśmy nie zjawili się na czas, poprowadzi ich do bitwy... wielkiej bitwy, o której pamięć przetrwa do końca świata! Takiej, której będziemy im zazdrościć aż do dnia, gdy znowu połączymy się z naszymi bliskimi i wysłuchamy opowieści o niej z ich ust.

Podniosła się wielka wrzawa, a królowa spojrzała lśnącymi oczami na Matta, któremu

Chack tłumaczył jeszcze jej przemowę. Kapitan z podziwem pokręcił głową.

- A co z Aryaalem? - Cicho spytała Safira. - I innymi miastami na wybrzeżu? Kudraangiem, Kartajem, Bataawą...

- Dla nich nic nie zdołamy zrobić - szczerze odparł Matt. - Nie wystarczy czasu.

Spojrzał na zegarek i na Rolaka. Stary lord stał przygarbiony. Wiedział, że jego miasto zlekceważy ostrzeżenie. Rasik nie da mu wiary i wszyscy zostaną na pewną śmierć. On nie mógł ich porzucić. Jego wojownicy tym bardziej. Zginą na darmo.

- Nie ma czasu - powtórzył Matt. - W tej sytuacji najlepiej będzie, królowo, jeśli od razu zajmiecie się ewakuacją B'mbaado. Niektórzy oficerowie zapewne będą chcieli zostać, ale to nawet dobrze. Ich doświadczenie może się przydać.

Królowa i Rolak podziękowali skinieniem głowy, chociaż nie kryli zdziwienia.

- Tak więc zostały nam jakieś trzy godziny, żeby zdobyć Aryaal - dodał Matt.

\*

Zgodnie z oczekiwaniami dramatyczny apel nie wywołał żadnego odzewu. Przynajmniej oficjalnie. Nikt nie odpowiedział na propozycję poddania miasta, ale gdy działa stanęły na pozycjach, obrońcy po prostu zniknęli z murów. Nie widząc śladu przeciwnika, 1. kompania marines i ludzie Rolaka, zwani już teraz pierwszą aryaalską, ruszyli w kierunku bramy. Matt, Keje i nawet Adar szli za nimi. Pięciosobowe drużyny z załogi niszczyciela rozproszyły się między oddziałami. Silva ze swoimi podwładnymi został przy kapitanie.

- Wierzysz, że ten koszmarny okręt istnieje? - spytał Keje. - Że naprawdę tu płynie? Może Mallory się pomylił?

- Taka pomyłka... jest praktycznie niemożliwa.

- Nigdy nie wspominałeś, że jest jeszcze jeden okręt - powiedział Adar, zrównując się z Mattem.

- Nie wiedzieliśmy o nim.

- To skąd się wziął i tak nagle wszystko zmienił?

- Stąd co i my - odparł z westchnieniem Matt. - Też musiał przejść przez tamten szkwał.

- Spotkałeś go już wcześniej?

- Tak. Pamiętasz, jak kiedyś tłumaczyliśmy, skąd się wzięły uszkodzenia *Mahana* i *Walkera*? Walczyliśmy wtedy właśnie z *Amagim*.

- Więc wszystko przypadło - stwierdził przybity Adar.

Matt milczał przez chwilę, idąc przed siebie.

- Jeśli uda nam się wycofać do Baalkpanu, to może nie - powiedział w końcu. - *Amagi* jest potężny, potężniejszy, niż możesz sobie wyobrazić, ale nie wyjdzie na ląd. Może zburzyć miasto, ale nie zdoła go zająć. To mogą tylko grikowie. Baalkpan może się przed nimi obronić. *Walker* i *Mahan* zajmą się *Amagim*.

Piechota morska była już przy bramie, ale obrońcy wciąż nie dawali znaku życia.

- Jak to możliwe, że chociaż wy pomagacie nam, tamci zdecydowali się wesprzeć grików? Przecież są tego samego rodzaju co wy - stwierdził z goryczą Adar. - Czy aż tak się różnicie sposobem myślenia?

- A dlaczego atakujemy miasto, które uratowaliśmy przed grikami? - spytał Matt. - Czy nie z powodu różnic w sposobie myślenia? Japończycy są w większości tak odmienni od nas jak wy od Aryaalan. Nie zapominaj, że w naszym świecie toczyliśmy z nimi wojnę.

- Ale...

- Potem pogadamy - powiedział Matt, poprawiając pas, i przyspieszył kroku. Wskazał na bramę.

- Co tam się dzieje? - spytał cicho Adar, jednak Matt też nie znał odpowiedzi.

Pierwsze oddziały dopiero wchodziły do miasta, ale zza murów już teraz dobiegał zgiełk całkiem porządnej bitwy. Chack zaczął coś wykrzykiwać, ale kapitan nie mógł go dosłyszeć. Potem odezwały się jeszcze inne głosy i gdy w końcu Matt i jego towarzysze przeszli pod łukiem bramy, sprawa stała się oczywista. Na placu za murami i kilku pobliskich ulicach rzeczywiście trwała walka, ale piechota morska nie brała w niej udziału. Raz jeszcze ożyły wewnętrzne konflikty Aryaalu.

Treść ultimatum obiegła miasto lotem błyskawicy. Zaczęło się od obrońców bramy, którzy po prostu zeszli z posterunków. Kolejni wybierani osobiście przez Rasika oficerowie próbowali zaprowadzić porządek w szeregach, ale skończyło się na tym, że część z nich została zabita. Do akcji włączyła się gwardia pałacowa i wtedy zaczęła się prawdziwa walka. Wielu z tych, którzy wcześniej gotowi byli bronić miasta, przyłączyło się do buntowników, widząc, jak ludzie króla zabijają ich towarzyszy. To już było dla nich za dużo. Większość wojowników hołdowała lojalności wobec władcy, kimkolwiek by on był, co zaważyło na klęsce poprzedniego buntu. Jednak gdy usłyszeli, że grikowie wracają, doszli do wniosku, że te oddziały, które tak cierpliwie czekają pod murami, nie są i nie mogą być ich prawdziwym wrogiem. Pamiętali też, że gdyby nie lud morza oraz jego sojusznicy, grikowie zdobyliby już Aryaal. Trudno było oczekiwać, że ktoś drugi raz udzieli miastu pomocy. Ostatecznie troska o rodziny przeważyła nad wszystkim innym. Król, za którym zbytnio nie przepadano, stracił posłuch u większości poddanych.

Gdy lord Rolak wszedł na czele swoich żołnierzy za bramę, walka w północnej części miasta właściwie dobiegła już końca. Marines stworzyli kordon wokół przejścia, ale nikt nawet nie rzucił w nich kamieniem. W dalszych dzielnicach nie było jeszcze spokojnie, ale wyglądało na to, że żadna strona nie chce wciągać piechoty morskiej do swoich waśni. Lord Rolak podszedł do wielkiej Fontanny Słońca na głównym placu i wspiął się na nią, żeby ogarnąć spojrzeniem okolicę. Ktoś z tłumu mieszczan dostrzegł go i pozdrowił krzykiem. Po chwili uczynił to kolejny, a po nim następni. W kilka minut zgiełk bitewny utonął w radosnej wrzawie, która dotarła aż do pałacu królewskiego. Obrońcy rzucili broń i wielu z nich przyłączyło się do tłumu.

Przybycie Rolaka przeważało szalę. Matt stanął obok niego i po raz pierwszy tego dnia zdobył się na uśmiech. Tłum huczał coraz głośniejsze i rósł w liczbę zasilany przybyszami z całego miasta. Piechota morską nie pozwalała jednak podejść nikomu do samej fontanny. Nagle w ciżbie pojawiła się grupa zbrojnych przepychających się do centrum zbiegowiska. Nie należeli do gwardii pałacowej, ale na pewno byli wojownikami. Marines zagrodzili im drogę, a Shinya pobiegł z Chackiem sprawdzić, o co chodzi. Po dłuższej chwili rozmowy okraszanej bogatą gestykulacją przepuścili jednego ze zbrojnych. Chack ruszył za zdyszany osobnikiem, który tak się spieszył, że bliski był potknięcia się o własną, obszerną szatę.

- Lordzie Koratin - przywitał go Rolak bez wylewności.

- Lordzie Rolak - odparł zagadnięty i skłonił się dwornie.

- Domyślam się, że jesteś głównym doradcą tego tchórza i mordercy, który zasiada na ukradzionym tronie - powiedział Rolak. - Nie byliśmy przyjaciółmi, ale miałem o tobie lepsze zdanie.

- To prawda, że byłem doradcą, panie. I rzeczywiście próbowałem mu doradzać, ale mnie nie słuchał. On oszalał.

- Myślisz o próbie zniszczenia żelaznego statku?

- Tak - przyznał Koratin. - Powiedziałem mu, że to obłąkany pomysł, ledwie o nim usłyszałem. Wysłałem nawet trzech zaufanych służących, żeby was ostrzegli, ale zostali pojmani i zabici. Potem gwardia pałacowa przysłała po mnie, ale moi strażnicy mnie obronili. Gdyby nie wasze przybycie i chaos w mieście, pewnie byłbym już martwy. Oto prawdziwa ironia losu!

- Zawsze byłeś mistrzem przetrwania - zaśmiał się Rolak.

- Jak widzisz, to przydatna umiejętność - odparł Koratin i skłonił się lekko, ale zaraz spoważniał. - Czy to prawda, że grikowie wracają?

- Prawda.

- Liczyłem się z tym. Cały czas obawiałem się o los naszych dzieci, ale król nie chciał słuchać. Nie wierzy w dobrą wolę ludu morza. Nie przyjmuje do wiadomości, że mogliście przybyć tylko z pomocą - dodał, kłaniając się z szacunkiem Chackowi.

- Wciąż masz się czego obawiać. Niebezpieczeństwo jest większe, niż można było oczekiwać. Musimy wszyscy opuścić to miasto i zostać żebrakami w obcej ziemi na północy. Lud morza da nam schronienie, ale spodziewa się, że będziemy wraz z nim walczyć, a nie go objadać, zatem wszyscy, którzy z nami pójdą, muszą się z tym liczyć. Nie będzie miejsca na żadne spory czy prowokacje.

- A nasze mury? - spytał zdumiony Koratin. - Nie możemy bronić się tutaj, aż lud morza przybędzie z odsieczą?

- Nie - odparł Rolak, wskazując na słuchającego ich Matta. - Kap-i-tan Reddy mówi, że to się nie uda, i ja mu wierzę.

Koratin po raz pierwszy obrócił się do Matta i spojrzał na niego z szacunkiem.

- A więc tak wygląda wielki bezogoniasty wódz morskiego ludu. Miło mi poznać - powiedział i skłonił głowę.

- Gdzie Rasik? - spytał oschle Matt.

- W pałacu, panie. To tam. - Pokazał na wystawną budowlę po drugiej stronie placu. - Ma ze sobą prawie czterystu gwardzistów. Najbardziej fanatyczny element, jak się obawiam. Trudno będzie go pokonać.

Matt milczał i wszyscy czekali na jego decyzję. Widać było, że chętnie dobrałby się do pałacu.

- Nie, zostawimy go - powiedział w końcu.

Rolak przechylił głowę i spojrzał na Matta pytająco.

- Nie będziemy zdobywać pałacu sprecyzował Matt. - Nie, nie zrozum mnie źle. Najchętniej zburzyłbym go ogniem z dział i to właśnie byśmy zrobili, mając więcej czasu. Nie mamy go jednak i nie chcę marnować ani chwili na tego małodusznego drania. Chack i jego piechota morska dopilnują, żeby nikt nie opuścił pałacu, gdy będziemy ewakuować miasto.

Chack też nie wiedział, co o tym myśleć. Był pierwszym kotowatym w załodze niszczyciela i Donaghey był z jego klanu. Kapitan nie mógł przecież nie pomścić tej śmierci. Zwłaszcza po tym, co działo się rano, kiedy gotów był zerwać przymierze.

- Ale co z królem, kapitanie? - spytał. - Co z nim zrobimy?

- Nie opuści pałacu. Nieważne, co powie albo zrobi. Aż do zakończenia ewakuacji będziesz pilnować go z połową marines. Reszta zostanie odesłana od razu na felukach do



Baalkpanu, żeby zaczęła przygotowywać obronę. - Położył Chackowi dłoń na ramieniu. - Ty ze swoim oddziałem opuścisz miasto ostatni. Zabierz wszystkich, którzy będą chcieli iść. Nawet gwardzistów Rasika, gdyby udało im się uciec.

Rozejrzał się po placu. Miasto było na swój sposób piękne. Tutejsi kotowaci też mieli oko do kolorów, ale bardziej gustowali w kamieniu niż w drewnie. Matt pożałował, że zobaczył tę architekturę dopiero teraz i miał tak mało czasu na jej podziwianie.

- Spalić wszystko - nakazał. - Nie zostawiajcie nic wrogowi.

- A król? - naciskał Chack.

- Poza pałacem - dokończył Matt. - Skoro król nie wierzy w powrót jaszczurów, niech sam się przekona, jak będzie.

Chack buchnął śmiechem, uznając to za szczególny, ale bardzo pomysłowy akt sprawiedliwości.

Koratin zadrzał wpatrzony w Matta. Są miłośni, pomyślał, ale nie do końca.

- Pomogę, na ile będę mógł - powiedział oficjalnym tonem.

Kapitan skinął na Rolaka.

- Jemu pomagaj. Tutaj on rządzi. - Raz jeszcze rozejrzał się po placu i westchnął. - Ja muszę zająć się okrętem.

\*

Matt stał na lewym skrzydle mostka i patrzył na ogarniętą chaosem okolicę. *Walker* przejął funkcję centrum dowodzenia i co chwila zjawiali się na nim posłańcy z meldunkami i po rozkazy. Porucznik Mallory przyszedł krótko po zmroku, jego samolot tankował obecnie paliwo przy burcie *Salissy*. Oprócz nich na mostku byli jeszcze Adar, Sandra i Bradford. Wszyscy milczeli.

Na nabrzeżu kłębiły się tysiące przerażonych uchodźców z tobołkami. Wszyscy zmierzali w kierunku rampy prowadzącej na pokład *Humfra-Dara*. U jej szczytu stał Geran-Eras z drużyną marines, kierującą Aryalan do konkretnych części statku, gdzie mieli zostać zakwaterowani. Wnoszono też wielkie kosze z prowiantem i noc wypełniały krzyki, płacz niemowląt, przekleństwa i tupot tysięcy stóp na drewnianych pokładach pływającego domu. W oddali strzelały w niebo płomienie trawiące kolejne, opuszczone już dzielnice. Czerwona luna odbijała od niskich chmur, oświetlając drogę ciągnącej na nabrzeże procesji.

Matt próbował porównać tę tragedię do wydarzeń z ludzkiej historii. Na myśl przychodziły mu złupienie Aten, zburzenie Kartaginy czy upadek Rzymu. Przypomnił sobie też spalenie Atlanty i Columbii oraz ewakuację Richmond. Z nowszych wydarzeń pamiętał

widziane w kronikach obrazu zniszczeń wojennych w Europie i Chinach. Każda z tamtych katastrof była równie straszna, a nawet straszniejsza, ale znał je tylko z relacji, tutaj zaś widział wszystko na własne oczy. Co więcej, całe to cierpienie, zniszczenia i być może zagłada miejscowej kultury były konsekwencjami wydanego przezeń rozkazu. Owszem, nie miał wyboru, tego był pewien, ale skala nieszczęścia przepełniła go poczuciem winy. Przybyli tutaj jako naiwni wyzwolicieli, gotowi ratować mieszkańców miast przed bezlitosnym wrogiem, odpływali zaś jako niszczyciele światów, sprawcy zniszczeń większych, niż uczynione wcześniej przez grików.

Z wdzięcznością, która jego samego zdumiała, poczuł w ciemności dotyk dłoni Sandry. Tego dnia zachowywała wobec niego większą rezerwę, niż mogłoby wynikać z ich „porozumienia”, i Matt zastanawiał się, o co może chodzić. Potem spojrzał na Mallory’ego. Oświetlona luną pożaru twarz młodego lotnika wydała mu się nadzwyczaj poważna. Od powrotu prawie się nie odzywał, potwierdził tylko gestem treść transmisji. Nie było żadnej pomyłki. Teraz stał z książką okrętową *Zemsty* w dłoniach. Ścisnął ją jak największy skarb. Matt odłożył jej przeczytanie na później, gdy znajdzie trochę czasu. Poza tym dość miał wrażeń. Potem zajmie się nią razem z Kejem, który też miał kogo oplakiwać.

- Udało się panu podlecieć dość blisko, żeby sprawdzić banderę, panie Mallory? - spytał kapitan. - To Japończycy?

- Chyba tak. W każdym razie banderę rozpoznaliśmy jednoznacznie. Potem zaczęli do nas strzelać. Po pierwszym wybuchu na naszym pułapie wynieśliśmy się stamtąd.

Matt pokiwał głową, postanawiając nie rugać pilota za podjęcie ryzyka.

- Mieliście szczęście, że nie podpuścili was bliżej przed otwarciem ognia. Chyba chętnie by was załatwili.

- Tak, sir. Musieli być zdumieni naszym widokiem.

Matt potarł czoło.

- Może tak, może nie. Od początku rozmawiamy przez radio otwartym tekstem. Mogli nas podsłuchiwać. Zresztą jakakolwiek aktywność radiowa byłaby dla nich sygnałem, że ktoś tu jest. Może nawet wiedzą, gdzie leży Baalkpan - dodał z ponurą miną. - Ale o tym dowiemy się w ostatniej chwili. Okaze się, czy zmierzają tylko tutaj, czy rozdziela siły na oba cele. Cholera.

- Przypuszczam, że *Amagi* gotów jest popłynąć za *Walkerem* dosłownie wszędzie, kapitanie - zasugerował Mallory.

- Może. Jeśli wiedzą, że to my. - Zastanowił się chwilę. - Najpewniej wiedzą. Jaszczury nas widziały. - Podrapał się w szpeciniastą brodę. - Mogą jednak nie zdawać sobie

sprawy, że mamy aż dwa niszczyciele. Ale i tak musimy założyć, że wiedzą o nas. Sądząc po ostatnim spotkaniu, raczej nas nie lubią. Jeśli dotrze do nich, że ewakuujemy się do Baalkpanu, będą chcieli nam przeszkodzić. Ale przy ośmiu węzłach raczej nas nie przechwycą. - Pokręcił głową. - Dlaczego płyną tak wolno? Przecież *Amagi* rozwija ponad trzydzieści węzłów.

- Dostosowują się do najwolniejszej jednostki w armadzie? - mruknął Bradford.

- Może, ale statki grików są szybsze... Chyba że to *Amagi* jest tym najwolniejszym! Jesteście pewni, że obecnie używa węgla?

- Tak.

- Może dlatego dotąd go nie widzieliśmy. Przerabiali kotły na opalane węglem. Jest bardziej wydajny niż drewno, ale nie tak dobry jak ropa. Mają teraz gorszy zasięg i mniejszą prędkość. Ale i tak...

- Uszkodzenia - wtrąciła się Sandra. - Myśląc o *Amagim*, pamiętamy tylko o jego sile ognia. W tym bije nas na głowę, ale to przecież nie wszystko. *Walker* i *Mahan* zdrowo mu dołożyły. Może nawet bliski był zatonięcia!

- Zgadza się - stwierdził Matt. - Wiemy dobrze, jak trudno w tutejszych warunkach dokonać napraw. Oni mają o wiele gorzej. Wszystko tam jest pięć razy większe niż na niszczycielu. W tym akurat to my mamy przewagę! W żadnym razie nie zdołają usunąć szkód po tamtej walce. Jestem przekonany, że *Mahan* wpakował w *Amagiego* co najmniej dwie torpedy. Nieprędko znajdą tutaj suchy dok z pełnym wyposażeniem stoczniovym.

Bradford spojrzał na Sandrę z uśmiechem podziwu.

- No proszę, kochana - odezwał się. - Trafiasz od razu w sedno, gdy faceci uparcie nie dostrzegają oczywistego...

- To tylko teoria, ale bardzo prawdopodobna - zgodził się Matt. - Musimy się zastanowić, jak ją wykorzystać, jeśli naprawdę o to chodzi. - Uderzył otwartą dłonią w reling. - Ale niech ich piekło pochłonie! Nie rozumiem, jak ktokolwiek może się sprzymierzyć z jaszczurami. Nawet Japońce!

- Zrobili to, bo są Japońcami - mruknął Mallory. - Oni są jak te jaszczury.

Adar, który dotąd w ogóle się nie odzywał, ze smutkiem pokręcił głową.

- Porucznik Shinya też jest „Japońcem”, prawda? - odezwał się.

Zdumiony pytaniem Matt skinął głową. Adar westchnął głęboko.

- Spędziłem z nim trochę czasu - rzekł - gdy gwardia wycofywała się z miasta. Jest bardzo zawstydzony. Odczuwa to jako hańbę, ale nie chce niczego po sobie okazać.

- Dlaczego? - spytała Sandra.

- Ponieważ jest „Japońcem” - odparł Adar, spoglądając na panią porucznik. - Wszyscy wiemy, jacy są grikowie, i on zadaje sobie to samo pytanie co nasz kapitan. Męczy go, że jego rodacy mogli wejść w przymierze z takim złem. Wstydzi się za nich, tak jak lord Rolak poczuł się zhańbiony zdradą króla Rasika, tylko jeszcze gorzej. - Kapłan uniósł ręce w geście obrony. - Nigdy już nie powiem, że rozumiem ludzi. Jednak klan porucznika Shinyi, choć w pewnych sprawach jeszcze trudniej go zrozumieć niż większość z was, w innych łatwo przejrzeć. Wy, Amer-i-kanie, hołdujecie bardzo prostej koncepcji dobra i zła. Jesteście przekonani, że wasze indywidualne wybory sumują się w trafne kolektywne decyzje. - Spojrzał na pożary i tumult pod murami miasta. - W tym kontekście mamy chyba szczęście, że nie uznaliście nas za złych - dodał z uśmiechem. - Gdy zaś chodzi o Japończyków, to jak słyszałem, u nich jest odwrotnie. W ich społeczeństwie garstka wybrańców, a może nawet jeden człowiek, którego nazywają chyba cesarzem, decyduje za wszystkich, co jest dobre, a co złe, i cała reszta jest zobowiązana przyjąć tę decyzję. Chociaż może się mylę. Niemniej porucznik Shinya był moim zdaniem jeńcem tego porządku. Zawsze miał własne zdanie, ale nie miał prawa głosu, żeby je wyrazić. Równocześnie starał się być krańcowo lojalny wobec swoich. Wyobraźcie sobie konflikt, z którym musi się uporać. Wie, że jego ludzie źle postępują, wspierając grików, ale wie też, że ktoś zdecydował o tym za nich.

Adar spojrział z ukosa na kapitana.

- Pozornie to samo dzieje się tutaj, ale twoje decyzje cieszą się aprobatą większości twoich ludzi. Dziś dałeś tego dobitny dowód. Nie mógłbyś długo rządzić bez tego poparcia. - Zamrugał i założył ręce na plecach. - Wydaje się, że moi ludzie podobnie pozytywnie oceniają twoje decyzje - dodał z przekąsem. - Jednak na *Amagim* jest zapewne inaczej. Społeczność, z której wywodzą się tamci ludzie, nie dopuszcza wyrażania własnej opinii. Nakazuje wręcz z niej zrezygnować, jeśli nie jest zbieżna ze stanowiskiem cesarza. Czy wojownik, który czyni zło, sam też jest zły, jeśli jego pobratymcy inaczej postrzegają zło jako takie? Być może pod tym względem Japończycy są bardziej podobni do grików, niż nam się wydaje. Tak czy owak problem porucznika Shinyi nie znika. Jest Japończykiem, wy zaś zaprzysięgli wrogami jego cesarza, zatem w kolektywnym spojrzeniu jego społeczeństwa to wy jesteście złem. On wie, że tak nie jest. W waszych oczach jego lud jest zły. Nie dlatego, że wspiera grików, ale dlatego, że zaatakował was tam, w waszym świecie. Widziałem nie raz, jaką złość wzbudza w was tamto zdarzenie. Tutaj też zdaje się reprezentować zło, ale niezależnie od tego, co kto uważa, porucznik Shinya nie wierzy, że wszyscy jego rodacy są źli.

- Ale co może zrobić? - spytał zaniepokojony Matt. Nie dlatego, by się obawiał, że

Shinya zwrócił się nagle przeciwko nim, ale dlatego, że zaczął się o niego obawiać. Japoński oficer stał się częścią załogi, należał do „rodziny” *Walkera*. No i walczył, wraz z nimi, ze wspólnym wrogiem.

- Właśnie, czy i co może zrobić? - zapytał Adar. - Nawiasem mówiąc, przepraszam. Strasznie zboczyłem z tematu. Pierwotne pytanie brzmiało chyba: „Dlaczego Japońcy pomagają grikom?”, a nie „Jak porucznik Shinya poradzi sobie z konfliktem sumienia?” - Kapłan pokręcił głową. - Póki nie dowiemy się więcej o grikach, nie poznamy pewnie także odpowiedzi na pierwsze z tych pytań. Najwyraźniej jakoś się z nimi porozumiewają, chociaż nam nigdy się to nie udało. Może to kwestia wspomnianych wspólnych cech? Mówiliście, że *Walker* i *Mahan* poważnie uszkodziły *Amagię*? - Matt skinął głową. - *Walker* na pewno bardzo zaszkodził także grikom. Może zjednoczyła ich wspólna nienawiść do tego okrętu?

Na mostku pojawił się nagle porucznik Sandison w towarzystwie niskiego, ciemno umaszczonego kotowatego. Dopiero po chwili dostrzegli, że to kobieta, łącznik z *Humfradara*. Sandison zasalutował i dziewczyna powtórzyła jego gest.

- Geran-Eras przekazuje, że jeśli weźmie jeszcze choć jedną osobę na pokład, będzie musiała ulokować ją na głowach innych - zameldował.

- Rozumiem. Ma zgodę na wypłynięcie - odparł Matt, chociaż długo się zastanawiał, czy statki powinny ruszać w drogę, ledwie zostaną załadowane, czy też lepiej kazać im czekać na uformowanie konwoju. Ostatecznie wybrał pierwszą opcję. Raz, żeby pasażerowie nie musieli zbyt długo tłoczyć się na pokładach, a po drugie, i chyba najważniejsze, aby mieli większą szansę ucieczki, gdyby nieprzyjaciel zjawił się wcześniej. Nawet w zwartej formacji nic by nie poradzili na potęgę artylerii *Amagię*. Lepiej już się rozproszyć. Statkami grików nie musiał się przejmować. Każdy z uzbrojonych pływających domów mógł się zmierzyć samodzielnie z małą flotyllą czerwonych okrętów.

- Następna ładuje *Salissa* - powiedział. - Keje, popłyniesz jak najszybciej do Baalkpanu, żeby zająć się organizacją obrony. Ty też, Adarze. Tyle że to nasza jedyna jednostka bunkrowa, zatankujemy więc do pełna, gdy będziesz brał pasażerów. Na wszelki wypadek weźmiemy też paliwo dla cataliny. Gdy będziecie już w Baalkpanie, dopełnij bunkry. Możemy potrzebować potem ruchomej rezerwy.

Uchodźcy na rampie podnieśli lament, gdy załadunek został przerwany. Wielu zostało oddzielonych w ten sposób od bliskich, nie wszyscy też wiedzieli, że inne pływające domy również będą brać pasażerów. Dopiero kilka oddanych w powietrze strzałów zapobiegło wybuchowi paniki. Adar zamrugnął zgorzony.

- Trudno uwierzyć, że Amer-i-kanie mogą być tak różni od Japońców jak my od

ładowego ludu - powiedział. - Moi ludzie nigdy by się tak nie zachowali.

- Nie oceniaj ich zbyt surowo - odrzekł Matt. - Właśnie stracili swój świat i znaleźli się na łasce kogoś, komu nigdy nie ufali i kogo nawet nie podejrzewali o umiejętność walki. A teraz mają uwierzyć, że zdołacie obronić ich przed potworami gotowymi zjeść każdego żywcem. No i módl się, żebyś nigdy nie zobaczył swoich pobratymców w podobnej sytuacji. Poza tym to oni ostatecznie będą was ratować. Po tym, gdy zrobimy już z nich armię.

- Ich kobiety nie walczą. Mężczyźni też nie wszyscy.

- Będą walczyć, gdy przekonają się, co nadciąga - powiedział cicho Mallory.

Matt dopiero teraz zauważył, że łączniczka ciągle stoi przed nim i saltuje.

- Może pan odesłać swoją przyjaciółkę, panie Sandison. Spóźni się na statek - dodał z lekkim uśmiechem. - A jak tam u pana? Co ze śrubą?

- Tak jest, sir. Już, sir. - Sandison szybko zamienił kilka zdań z kotowatą, która zaraz zbiegła na pokład. - Porucznik McFarlane mówi, że robota w toku. Ryby zaczęły przegryzać się przez płótno i jutro musimy zorganizować nowe. Przypuszcza, że światła je zwabiły.

- A torpedy?

- Niestety, sir - odparł przeproszającym tonem Sandison. - Dopiero wróciliśmy do pracy przy nich. - Minęło kilka tygodni, odkąd ostatni raz próbowali ustalić, co jest nie tak z torpedami, które zabrali z Surabai.

- To nie pańska wina - stwierdził Matt. - Przydałem panu wiele innych zadań i dotąd nie sądziliśmy, że te torpedy mogą się nam przydać. Trzy dobre wciąż w gotowości?

- Tak, sir, sprawne. Trzeba tylko uzupełnić sprężone powietrze. Tyle że z nim mamy stary problem. Nie wiemy, dlaczego nie trafiają w cel, a jeśli już, to dlaczego nie wybuchają.

- Proszę to ustalić, panie Sandison.

- Próbujemy. Shinya ma nawet parę pomysłów. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

- Shinya? - spytał Matt i zerknął znacząco na Adara.

- Tak. Pokazał się w warsztacie, jak tylko wrócił na pokład. Powiedział, że Chack dowodzi marines przy pałacu i... - Bernie wzruszył ramionami i pokazał na pandemonium wkoło. - Na brzegu jest dość oddziałów. - Sandison przyjrzał się kapitanowi i domyślił się w końcu, o co chodzi. - Wszystko z nim w porządku. Musi tylko poukładać sobie parę rzeczy.

- Pomagając naprawiać torpedy, które mogą zatopić jego krajan - mruknął ponuro Matt.

- Chyba nie sądzi pan, że...

- Nie sądzę, ale nie zostawiaj go teraz samego. Niech pomaga, jeśli chce, ale przypomnij mu, że zgodnie z naszą umową nie musi tego robić. - Spojrzał ponownie na

kapłana, tym razem z wdzięcznością. Adar rzeczywiście potrafił wyczuwać takie stany ducha, które umykały przeciętnemu ludzkiemu obserwatorowi. - Czy wspominał cokolwiek o *Amagim*?

- Nie, sir. Ale domyśla się na pewno, dlaczego wznowiliśmy pracę. Jaki mógłby być inny powód?

- I jest pan całkowicie pewien, że niczego nie udaje?

- Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale naprawdę nic nie wspominał. Zachowuje się tak, jakby nie obchodzili go ci inni Japończycy na *Amagim*. I jakby obawiał się tylko tego, że ich krążownik może pomóc grikom zatopić jego warsztat. - Warsztat naprawczy był miejscem, gdzie Shinya chętnie spędzał każdą chwilę od czasu wyłowienia z morza.

Matt zamrugnął z niedowierzaniem, Adar zaś mimowolnie się roześmiał.

- Widzisz, kap-i-tanie Reddy? W pewien sposób łatwiej go zrozumieć.

- Ech... Dopiero co opisałeś różnice między nami a Japończykami lepiej niż ktokolwiek, kogo znam, a teraz chcesz wszystko spłycić... - powiedział Matt z rezygnacją. - Powiem ci tyle, że cokolwiek dzieje się w duszy Shinyi, może to wcale nie być łatwe do zrozumienia. Zwłaszcza dla niego.

Sandison spojrział na nich z niepokojem. Bardzo polubił swojego japońskiego pomocnika.

- Może powinniśmy trzymać go pod strażą? - bąknął. - Żeby nie... żeby nie zrobił sobie krzywdy.

- Cieszę się, że właśnie tak pan to widzi. Wychodzi na to, że myślimy o tym samym, chcę bowiem, żeby przykleił się pan do niego jak guma do żucia. Tak, żeby nie zrobił sobie krzywdy. Zrozumiał pan?

- Jasne, skipper.

Przez chwilę stali wszyscy w milczeniu, obserwując ognisty rozpad świata, który chcieli ratować.

- Chyba mogę zrozumieć, dlaczego Japońcy wciąż chcą z nami walczyć, chociaż dokoła wszystko się zmieniło - powiedział po chwili Matt. - To głupie, ale w pewien sposób logiczne. Możliwe nawet, że my czujemy to podobnie. Pewnie za głęboko zraniliśmy się nawzajem. Ale wątpię, czy kiedykolwiek pojmę, dlaczego pomagają jaszczurom.

## ROZDZIAŁ 4

Hirashi Kurokawa, kapitan *Amagiego*, chodził powoli tam i z powrotem po mostku krążownika. Ręce trzymał za plecami, a czerwone oświetlenie wnętrza przydawało jego okrągłej twarzy rysów mrocznego, skrzywionego Buddy. Zatrzymał się na chwilę za sternikiem, który aż zeszywniał ze strachu, ale kapitan tylko warknął z cicha i wznowił wędrówkę. Jeśli nawet zauważył, że podwładni denerwują się, gdy do nich podchodzi, nie dawał tego po sobie poznać.

Komandor Sato Okada pełnił akurat wachtę i zerkał czujnie na krążącego między stanowiskami Kurokawę. W każdej minucie spodziewał się po nim kolejnego wybuchu złości, wywołanego lekkim albo zgoła wyimaginowanym przewinieniem. Kapitan nie schodził z mostka prawie od dwudziestu minut, co ostatnio było czasem aż nazbyt długim. Kapitańskie wrzaski stały się elementem codzienności i nikt nie był bezpieczny przed tymi atakami. Sato obrywał chyba najwięcej, bo czasem dzielił się z kapitanem - oczywiście bardzo oględnie - swoim zdaniem, zamiast ograniczać się do banałów, których oczekiwał dowódca. Jego opinie nie raz wywoływały gargantuiczne awantury, a to, co kapitan mówił o Sato, nierzadko przy innych oficerach, a nawet zwykłych marynarzach, nie nadawało się do powtórzenia. Komandor znosił jednak to wszystko z przedziwnym spokojem. Kapitan uważał, że obowiązkiem jego podwładnego jest zawsze zgadzać się z dowódcą, Sato jednak był coraz bardziej przekonany, że winien chronić okręt i jego załogę przed Kurokawą.

Jedną z takich właśnie spraw była prędkość okrętu. Kapitan był z niej bardzo niezadowolony, a Sato nie mógł mu wytłumaczyć, że cała obsada maszynowni robi co tylko w jej mocy. Kurokawie to nie wystarczało i ostatnio oskarżył publicznie techników o zdradę. Sato urobił się po łokcie, żeby osłabić destrukcyjny wpływ tego oświadczenia na morale załogi, która i tak była już poważnie wystraszona i zagubiona. Obawiał się, że strach, który zapewne powodował dowódcę, rozleje się na wszystkich.

Morze dokoła pokrywały światła jednostek „sojuszników”. To zapewne złościło Kurokawę bardziej niż wszystko inne. *Amagi* był najpotężniejszym okrętem na świecie i wedle praw wojny powinien prowadzić całą flotę, a nie wlec się gdzieś w ogonie, ledwie nadążając za formacją. Grikowie dostosowali jej prędkość do obecnych możliwości krążownika, ale kapitan nie tego oczekiwał.



Sato zerknął na kapitana i puls mu przyspieszył, gdy spostrzegł, że dowódca zmierza w jego stronę. Ku jego wielkiemu zdumieniu Kurokawa odezwał się głosem cichym i spokojnym:

- Mam nadzieję, że czuje się pan już lepiej, komandorze Okada.

Sato z wysiłkiem przełknął ślinę i lekko skłonił głowę.

- Tak, kapitanie. O wiele lepiej, dziękuję. Musiałem zjeść coś nieświeżego.

- Oczywiście. Wiem, że nie jest pan nieśmiały - powiedział kapitan z chmurną miną. - Tak w obliczu nieprzyjaciela, jak i przede mną.

- Doradzanie panu należy do moich obowiązków.

- Pana obowiązkiem jest posłuszeństwo! - warknął Kurokawa.

- Zawsze jestem posłuszny.

Kapitan skrzywił się jeszcze bardziej, ale tym razem jakoś się opanował.

- Dobrze zatem - powiedział spokojnie - skoro uważa pan, że musi mi doradzać, co by pan teraz zrobił?

Sato spojrział ze zdumieniem na kapitana. Pierwszy raz zdarzyło się, żeby przełożony pytał kogoś o zdanie. Nie zrobił tego, odkąd objął dowództwo, choć było to wskazane, zwłaszcza w tych okolicznościach. Po tym dziwnym sztormie nic nie było takie jak wcześniej, niemniej Kurokawa zdawał się nie zwracać na to uwagi. Teraz chciał zapewne zastawić pułapkę, wmanewrować podwładnego w coś, co mógłby uznać za przejaw niesubordynacji.

- Na jaki temat mam się wypowiedzieć? - ostrożnie zapytał Sato.

- No tak. Oczywiście. Przypuszczałem, że ma pan odmienne zdanie na każdy temat, i widzę, że miałem rację. Pańskie meldunki ociekają jadem! Ograniczmy zatem rozmowę do kwestii strategicznych, żebym mógł zasnąć tej nocy. Jak pan wie, irytują mnie ci barbarzyńscy „sojusznicy”, których się dorobiliśmy. Z drugiej strony, chociaż odrażający, są jednak użyteczni.

Sato zadrżał, pomyślawszy o grikach. Pierwszy raz spotkali ich w Singapurze, gdzie zawinęli na naprawy po bitwie z wycofującym się amerykańskim zespołem. Dopiero wtedy pojęli, w jakim położeniu się znaleźli. Singapuru po prostu nie było! Zamiast niego ujrzeli dziwną wioskę z zatoką pełną żaglowców, które zaatakowały ich niczym osy broniące gniazda. Chociaż walczyli z nimi dzień i noc, zabijając tysiące tych paskudnych stworów, one nie przerwały ataku nawet wtedy, gdy *Amagi* próbował odpłynąć. Niestety uszkodzenia spowodowane przez amerykańskie niszczyciele nie pozwoliły mu rozwinąć na tyle dużej prędkości, żeby wymknąć się prześladowcom.

W końcu, po odparciu niezliczonych napaści, ujrzeli samotny statek, który zbliżył się,

nie próbując atakować. Doszło do negocjacji, których skutkiem był ten dziwny sojusz. *Amagi* miał dołączyć do floty, z którą dopiero co walczył, w zamian zaś obiecano im zapasy żywności, paliwa i wszystkiego, co potrzebne do przeprowadzenia napraw. Odtąd Sato codziennie żałował, że się na to zgodzili.

Komunikacja z miejscowymi wciąż była trudna, żeby nie powiedzieć szczątkowa. Żadna z ras nie potrafiła naśladować dźwięków właściwych mowie drugiej, poprzestawali więc na zapisywanych po angielsku notatkach. Nie, żeby Sato miał ochotę z nimi rozmawiać. Grikowie wywoływali w nim obrzydzenie. Dzicy i niemal bezmyślnie drapieżni, zdawali się dążyć do podbicia całego świata i wymordowania wszystkich innych istot. Chociaż mocno oberwali od *Amagiego*, wcale się go nie obawiali. Podobnie nie przejmowali się swymi poległymi. Nie urządzali pogrzebów ani ceremonii żałobnych. Sato nie był tego pewien, ale podejrzewał, że grikowie po prostu pożerają swoich zmarłych, których nie pochłonęło równie jak oni okrutne morze. To był koszmar, z którym prawie nikt z załogi nie potrafił się pogodzić.

Grikowie byli inni. Nie przejmowali się stratami i błyskawicznie przyjęli do wiadomości, że mają nowego sojusznika. Docenili siłę krążownika i uznali go za użyteczne narzędzie. Tak jak obiecali, pomogli w naprawach, na ile były one możliwe. Gdy *Amagi* znowu mógł wyjść w morze, został z całym zespołem skierowany na Cejlon.

Tam czekała na nich kolejna niespodzianka. Okada dobrze pamiętał wielką zatokę portową Colombo, bastion brytyjskiego kolonializmu ulokowany na zachodnim wybrzeżu wyspy. Ukształtowanie terenu było podobne jak w ich świecie, ale reszta okazała się całkiem odmienna. W architekturze grików nie było za grosz fantazji, dominował w niej szpetny utylitaryzm. Nieliczne dzieła sztuki kojarzyły się Sato z okrutnymi prekolumbijskimi rzeźbami znajduwanymi w Meksyku. Z niejasnych powodów bardzo mu brakowało historycznej promenady Galie Face, ozdoby Colombo, którą wykorzystywano także do wyścigów konnych. Najbardziej jednak rzucały się w oczy setki statków ciasno upakowanych w zatoce. Nie ulegało wątpliwości, że chodzi o wielką koncentrację sił przed planowaną kampanią. Kampanią, w której *Amagi* najwyraźniej też miał wziąć udział.

Przez cały pobyt na Cejlonie czuli się jak na wygnaniu. Na brzeg nie schodził nikt poza kapitanem i kilkoma jeszcze osobami, a i to jedynie wtedy, gdy było to absolutnie niezbędne. Zamieszkujący na lądzie drapieżcy mierzyli ludzi takim spojrzeniem, jakby oceniali wyłącznie ich walory smakowe. Niektóre z tych wizyt były konieczne do koordynacji napraw, ale nikt nie chciał schodzić na ląd powtórnie. Okada nabrał przekonania, że kapitan zaczął traktować przepustki jak perfidną karę. Co innego mogło nim kierować, gdy raz za

razem wysyłał Sato do jaszczurów? Inna sprawa, że dzięki temu komandor poznał grików lepiej niż ktokolwiek inny z załogi i pierwszy zrozumiał, jak tanio się im sprzedali. Stracił też nadzieję, że uda im się od nich oderwać, gdy pojął, że *Amagi* przed nimi nie ucieknie.

Zbudowany na początku lat dwudziestych krążownik przed modernizacją był opalany węglem, zatem powrót do stanu pierwotnego nie był szczególnie trudny. Niestety, uszkodzenia maszyn i kotłowni okazały się tak rozległe, że usunięcie ich własnymi siłami nie było możliwe. Wysoka prędkość maksymalna okrętu stała się jedynie wspomnieniem. Gdy ujrzeli zgromadzoną na Cejlonie flotę, zrozumieli, że nie mają żadnych szans na ucieczkę. Sato uważał jednak, że nadal powinni starać się naprawiać co tylko można i czekać na sposobność.

Dołączyli zatem do armady walczącej z dziwnym, okrytym futrem ludem, który zamieszkiwał Holenderskie Indie Wschodnie i żeglował po morzu na wielkich statkach. Co gorsza, ów lud, przez grików zwany chyba nadrzewnym, niespodziewanie otrzymał wsparcie amerykańskiego niszczyciela, jednego z tych, z którymi starli się tuż przed owym niezwykłym sztormem. Chyba to właśnie spowodowało, że kapitan Kurokawa w końcu oszalał. Jeśli wcześniej zdarzało mu się rozważać możliwość ucieczki, to teraz uparł się, że będzie walczyć.

Właśnie te dwa niszczyciele obarczył winą za całe zło, które spotkało *Amagiego* i jego załogę. Ich odważny według Sato atak uważał za przejaw arogancji, zresztą wszystko chyba odbierał jako osobistą zniewagę. Każde uszkodzenie okrętu było raną zadaną jego dumie. Sytuację, w której dwa przestarzałe i słabo uzbrojone niszczyciele zdołały poważnie okaleczyć wielki krążownik liniowy, porównywał do poturbowania tygrysa przez domowe koty. Potem zaś, jakby za karę, japoński krążownik został wyrwany ze swojego świata i przeniesiony tutaj. I to oczywiście też była wina Amerykanów. A że jedna z tych małych i równie ciężko jak *Amagi* uszkodzonych jednostek także trafiła w to obce miejsce, Kurokawa uznał za kolejną obrazę. Obsesyjnie, niemal jak grik, dążył teraz do jego zniszczenia. Sojusz z jaszczurami traktował jak zło konieczne, które daje mu na to szansę.

- A gdybyśmy zwiększyli nasz prestiż w oczach tych istot? - spytał kapitan, wskazując na niezliczone okręty widoczne za szybami mostka, i ponownie spojrzał na Okadę.

Sato wrócił myślami do teraźniejszości.

- Zapewne musielibyśmy w tym celu przelicytować ich w dzikości i okrucieństwie - odparł.

Kapitan zastanowił się nad jego słowami.

- Myli się pan. Musimy wykazać się w walce, komandorze Okada. Ich dowództwo

samo zrozumie, ile jesteśmy warci! - Kurokawa zacisnął pięści w bezsilnej złości. - Ale jak tego dokonać, skoro nie możemy rozwinąć większej prędkości!

- Ale teraz wiemy przynajmniej, co było źródłem odbieranych przez nas sygnałów radiowych - powiedział Sato, próbując odwrócić uwagę kapitana od tego, co najbardziej go denerwowało. - Nie dwa okręty, ale jeden okręt i łódź latająca, która tak nas zaskoczyła.

- Owszem. I bardzo zaszkodziła naszym sojusznikom, nim odleciała - zauważył Kurokawa, czerwieniejąc na twarzy. - Gdyby nasza obrona przeciwlotnicza była lepiej przygotowana, zestrzelilibyśmy ten samolot i nie byłoby teraz o czym rozmawiać! A grikowie należycie by nas docenili!

- Ale ten żaglowiec przeciwnika też spowodował duże zniszczenia - powiedział szybko Sato, nie chcąc, żeby kapitan zaczął wyładowywać swoją agresję na załodze. - Z tego, co wiem, wysadzając się w powietrze, Amerykanie zatopili też jeden z okrętów dowodzenia grików. Ci, którzy uszli z masakry pod Surabaja, nie fantazjowali, opowiadając o działach.

- Na to wygląda - odparł z wahaniem Kurokawa. - Ale tym lepiej grikowie pojmą, ile jest wart *Amagi*, gdy zobaczą naszą artylerię w walce. - Kapitan zerknął na zegar ścienny i po raz pierwszy Sato dostrzegł nerwowość w spojrzeniu przełożonego. - Niebawem będę musiał się udać na ich „okręt flagowy”.

- Czy i tym razem musi pan brać ze sobą kapitana Kaufmana? - spytał Sato, odczekawszy chwilę. - Teraz może być dla nas bardziej przydatny, a po każdym spotkaniu z tymi stworami bardziej... zamyka się w sobie.

Kurokawa spojrzał na niego ostro.

- Współczuje pan wrogowi, komandorze Okada?

- Współczuję oficerowi, który widział, jak nasi „sojusznicy” pozarli żywcem jego załogę - odparł trochę bardziej zdecydowanym tonem Sato. - Nawet grikowie w jakiejś mierze docenili jego odwagę. Poza tym nie poddał się, tylko został obezwładniony.

Kurokawa lekceważąco machnął ręką.

- Nie dbam o to. Umiem pisać po angielsku - powiedział. - Większość oficerów floty musiała się kiedyś tego nauczyć - dodał z niesmakiem. - Niech pan z nim porozmawia, jeśli pan chce. Niech pan ustali, czy wiedział o tej łodzi latającej, a jeśli wiedział i nie powiedział nam, gorzko tego pożałuje! Może nawet oddamy go jego poprzednim panom?

Sato wzdrygnął się i raz jeszcze zmienił temat. Nauczył się już manipulować przełożonym i wpływać na jego nastroje.

- Czy powie pan grikom o naszych przypuszczeniach na temat przechwyconych transmisji radiowych? Tych, które poznaliśmy, nim przeciwnik zaczął znów szyfrować

przekazy?

- Oczywiście - odparł Kurokawa, patrząc mu w oczy. - To cenna informacja i grikowie też to rozumieją. Na pewno zyskamy dzięki niej w ich oczach.

Sato zaczerpnął haust powietrza i rozejrzał się po mostku. Wiedział, że wszyscy pilnie ich słuchają, wątpił jednak, żeby zrozumieli to, co chciał teraz powiedzieć. Na wszelki wypadek zniżył głos do szeptu.

- Zanim wyjawi im pan, że potrafimy przekazywać wiadomości na wielkie dystanse oraz że domyślamy się, gdzie jest amerykańska baza, może lepiej byłoby najpierw porozmawiać z Jankesami?

Kurokawa wytrzeszczył na niego oczy.

- Chce pan się układać z wrogiem?! - wrzasnął na całe gardło.

Sato zmusił się do zachowania spokoju.

- Kapitanie, proszę pozwolić mi dokończyć! - rzekł z naciskiem. - Po pierwsze, sądzę, że lepiej będzie ukrywać przed naszymi... „sojusznikami” możliwości radia, jak długo to możliwe. Gdy już się o nich dowiedzą, stracimy nad nimi przewagę. Będą chcieli radia dla siebie i trudno nam będzie odmówić.

Zaskoczony Kurokawa też ściszył głos.

- Ale co nam z takiego sekretu? - zapytał. - My nie mamy z kim rozmawiać.

- Być może nie zawsze tak będzie. Poza tym mamy dwa samoloty. Każdy jest wyposażony w radiostację.

*Amagi* stracił jedną z maszyn rozpoznawczych, gdy uszkodzony japoński bombowiec nurkujący spadł na środkową wieżę artylerii głównej. Zniszczył nie tylko wieżę, wyłączając z akcji dwa działa kalibru szesnaście cali, ale i znajdującą się na niej wyrzutnię z gotowym do startu samolotem. Pozostałe dwa były przestarzałymi dwupłatowcami typu 95 E8N zbudowanymi przed kilkoma laty w zakładach Nakajima. Osadzone na trzech pływakach maszyny uchodziły za niezawodne i miały metalową konstrukcję z płóciennym pokryciem oraz dwuosobową załogę zajmującą miejsca w otwartych kabinach bez żadnych wygod. Z małym zasięgiem i niewielką prędkością nadawały się właściwie tylko na samoloty obserwacyjne, do tego celu były jednak idealne. Łatwa obsługa i nieskomplikowana budowa ułatwiały ich eksploatację, niemniej mimo tych zalet nie były myśliwcami.

Kurokawa bolał nad tym, że tą utraconą maszyną był o wiele wszechstronniejszy samolot rozpoznawczy Aichi E13 A1. Wraz z nim przepadło zresztą wiele innego cennego wyposażenia, a także amunicji oraz paliwa. O stratach w ludziach kapitan nie myślał. Sato owszem, chociaż w tych okolicznościach też wolałby mieć nowoczesne E13 zamiast

dwupłatów.

- Tak, ale bez porządnego zapasu paliwa - rzucił kapitan. - Wystarczy go ledwie na kilka krótkich lotów. Większość zapasu zniszczyli Amerykanie swoim tchórzliwym atakiem torpedowym... I ten imbecyl, który musiał się rozbić właśnie na moim okręcie!

Cały mostek zamarł z obawy, że całą złość na martwego pilota kapitan wyładuje na kimś spośród żywych. Już tak bywało.

- Ale Amerykanie najwyraźniej mają benzynę lotniczą, a także naftę! - odezwał się Okada. - Pewnie nie mieli kłopotu z ich pozyskaniem. Czy to nie dlatego tak bardzo chcieliśmy zająć Holenderskie Indie Wschodnie?

- I jeszcze to zrobimy! - ryknął kapitan tak głośno, że Sato trochę się cofnął. - Czego pan ode mnie oczekuje? Że poproszę Amerykanów o paliwo? Sytuacja może się trochę zmieniła, ale rozkazy nie! Mamy opanować cele wskazane przez cesarza!

- Ależ kapitanie, cesarz został w naszym świecie, tutaj go nie ma! - nie wytrzymał Sato. - Pomaganie grikom na pewno nie uradowałoby jego cesarskiej mości. To przecież... barbarzyńcy! Nieludzkie potwory! Amerykanie są przynajmniej ludźmi! - Zniżył głos, żeby nie sprowokować kapitana do wybuchu, Bardzo chciał uczynić jakąś szczelinę w pancerzu paranoi, którym okrył się Kurakawa. - Sądzę, że powinniśmy się z nimi skontaktować, zanim pomożemy grikom ich zgładzić. Obawiam się, kapitanie, że postępujemy obecnie niehonorowo. Że zbaczamy z drogi wojownika. Nalegam na odstąpienie od tego niegodnego sojuszu. Możemy powiedzieć grikom, że mamy jakąś awarię, w co niewątpliwie uwierzą. Gdy zostawią nas z nieliczną eskortą, z pewnością zdołamy się wyrwać.

Sato przygotował się na huragan oskarżeń Kurokawy, kapitan jednak spojrzał na niego chłodno i nawet nie podniósł głosu.

- Pańska sugestia na temat radia zostanie wzięta pod uwagę, komandorze Okada - powiedział lodowatym tonem. - Przekażę informacje na temat bazy przeciwnika, nie ujawniając, jak ją zdobyliśmy. Ale proszę mnie posłuchać! Cesarska Japonia prowadzi wojnę ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki i to się nie zmieni. Nigdy, nigdzie i niezależnie od okoliczności. Nie łudzę się, że grikowie są naszymi przyjaciółmi, ale nie są też naszymi wrogami. Skorzystam z ich pomocy, żeby zrealizować nasz nadrzędny cel, którym jest zniszczenie wszystkich sił amerykańskich i alianckich w obrębie Bariery Malajskiej. Czy jasno się wyraziłem? - Sato mógł jedynie przytaknąć. - Dobrze - powiedział Kurokawa. - Sądząc po słowach Kaufmana, grikowie zatopili już jeden z tych niszczycieli, które okaleczyły mój okręt, tak że został dla mnie tylko jeden. I ja go dopadnę! Dopadnę, nawet gdybym musiał go ścigać na kraniec świata! Czy to też jest zrozumiałe? Opanuję go albo

pośle na dno, bez różnicy. To właśnie nakazują mi rozkazy, tego wymaga ode mnie honor! I jeśli usłyszę jeszcze słowo o układaniu się z wrogiem cesarza, każę pana natychmiast rozstrzelać!

Wykrzyczawszy te słowa, kapitan Kurokawa obrócił się na pięcie i opuścił mostek. Sato Okada patrzył za nim w milczeniu, trzęsąc się z frustracji i strachu.

\*

Kapitan David Kaufman siedział na odwróconym wiadrze w ciemnym pomieszczeniu gdzieś w trzewiach olbrzymiego okrętu. Nie miał czym zająć rąk ani niczego do czytania. Godziny płynęły mu beczynnym w samotności przerywanej tylko rzadkimi wizytami oprawców. Wnętrze było wilgotne i ciasne, śmierdziało w nim starą farbą i smarami. Pokład lekko wibrował i słychać było przytłumiony odgłos pracy maszyn, ale kapitan nie orientował się, czy znajduje się przed czy za siłownią. Gdyby wcześniej nie zwariował, obecny brak bodźców i nuda w końcu odebrałyby mu zmysły. Mógł tylko siedzieć i wspominać straszne wydarzenia, które przywiodły go do tej celi.

Żałował, że dał się ponieść emocjom. Z treści ostatnich przesłuchań wynikało jednoznacznie, że *Walker* miał się dobrze. Gdyby Kaufman nie opanował *Mahana*, byłby teraz bezpieczny ze swoimi. Przynajmniej na jakiś czas bezpieczny, poprawił się w myślach. Widział, jak wielka jest armada grików. Miał po temu okazję, gdy Japończycy „uratowali” go z łap jaszczurów. Nawet bez *Amagiego* była to flota, wobec której *Walker* nie miał szans. Tyle zauważył, chociaż gdy zjawili się Japończycy, mało co rozumiał. Głód, przerażenie i szok zmieniły go w ludzki wrak. Ujrawszy krążownik, był przekonany, że to wywołane gorączką majaki, jednak gdy skuty łańcuchami zobaczył przed tronem Tsalki japońskich oficerów, uznał ich za wytwór jego obłąkanego umysłu. Żeby po tym wszystkim natknąć się jeszcze na nich... Walczył jak zwierzę, gryząc i drapiąc w nadziei, że albo się obudzi, albo go zabiją, aż w końcu ktoś po prostu dał mu w łeb i pozbawił przytomności.

Gdy się ocknął, był już tutaj. Dostał ubranie i coś do zjedzenia. W pierwszej chwili przyłgnął do strażników jak do wybawców, oni jednak skopali go i założyli mu kajdanki. Owszem, traktowali go gorzej niż zwierzę, ale przynajmniej nie mieli zamiaru go zjeść. Przynajmniej na razie. Potem zaczęły się przesłuchania. Mimo że uratowali go przed grikami, oprzytomniawszy nieco, podał im jedynie swoje nazwisko, stopień i numer służbowy. W końcu byli wrogami. Zaczęli go więc bić i dręczyć psychicznie, co przyjmował prawie jak zasłużoną karę. Niezbyt długo jednak się opierał i w końcu powiedział im wszystko, co wiedział.

Był pewien, że *Mahan* zatonął. Nie mogło być inaczej.

Większość załogi zesłała z nim na brzeg i gdy cała armada ruszyła w ślad za niszczycielem, jego nieliczna obsada nie mogła dać sobie rady. Wszyscy oni na pewno już nie żyli, i to z jego winy. Jakaś ulgę przynosiła mu tylko świadomość, że *Mahan* najpewniej się wypalił i zatonął, nie wpadł więc w łapy jaszczurów.

Opowiedział im też o *Walkerze*, ale tutaj jego wiedza była fragmentaryczna i oprawców nie zadowoliła, znów więc zaczęli go bić, i to jeszcze bardziej zapamiętane niż wcześniej. Niewiele z tego pamiętał, tyle że nagle ból ustał i w pomieszczeniu pojawił się jakiś oficer. Potem zemdłał. Odniesiono go do celi i nawet przysłano lekarza. Kaufman z wolna zaczął wracać do zdrowia. Dni nie różniły się od siebie i jedyną miarą upływającego czasu były podawane regularnie posiłki. Dlatego wiedział, że minął tydzień, gdy znowu zobaczył tamtego oficera. Tym razem Japończyk przyszedł do jego celi.

Oficer wracał jeszcze kilka razy, ale nigdy się nie przedstawił. Podał tylko swój stopień - komandor. Był jednak spokojny, uprzejmy i można z nim było rozmawiać. Dwa razy kazał zawiązać mu oczy i zabierał ze sobą do grików. Kaufman był przerażony, że chcą go oddać jaszczurom, okazało się jednak, że miał tylko tłumaczyć. Sporo się przy tej okazji dowiedział, chociaż oczywiście nic mu z tej wiedzy nie przyszło. Ucieszył się, gdy wrócił do celi, i z tej radości zapomniał większość tego, co było w tłumaczonych przezeń notatkach. Mimo strachu zaczął jednak wyczekiwać wizyt dziwnego oficera.

Szczęknięty zasuw i drzwi uchyliły się, wpuszczając światło z korytarza. Kaufman przymrużył oczy. Ktoś wszedł do celi i wisząca pod sufitem żarówka zapłonęła oślepiająco. Jej włącznik znajdował się w korytarzu. Oficer powiedział coś po japońsku i drzwi zostały zamknięte, huknęła zasuw. Jak zawsze, gdy byli sami, Japończyk skrzywił się, wyczuwając smród bijący z drugiego wiadra, które stało w kącie. Kaufman znieczulił się już na tę woń. Wstał pospiesznie, wciąż mrużąc oczy.

- Dzień dobry, kapitanie Kaufman - powiedział mężczyzna poprawnym, chociaż kiepsko akcentowanym angielskim.

- To już rano?

- Tak, właśnie świta. - Sato zamilkł na chwilę, zwróciwszy uwagę na nerwowe tiki trapiące bladą jak wosk twarz jeńca. - Nie zabieramy pana na spotkanie z grikami. Jak się pan czuje?

- Nie najgorzej, dzięki Bogu - odparł Kaufman, czując, że lęk ustępuje. Nerwowe drżenie jednak pozostało. - To znaczy... - Zadrżał i Sato ze zrozumieniem skinął głową.

- Miło mi słyszeć. Ale muszę zadać panu kilka pytań.



Kaufman spróbował się wyprostować.

- Oczywiście.

- Wczoraj nasza... ta flota, której jesteśmy częścią, napotkała nieprzyjacielski okręt. - Kaufman aż zdrętwiał. - Nie był to amerykański niszczyciel - dodał miłosiernie Sato. - To był przejęty statek grików, który nieprzyjaciel wyposażył w działa. Okazały się bardzo skuteczne. Udało mu się zniszczyć wiele jednostek grików. - Przerwał, ciekaw reakcji Kaufmana. Nie był zdziwiony, gdy ujrzał lekki uśmiezek na jego wargach. - Niestety, jak widzieliśmy z daleka, statek ten został zniszczony. Nic z niego nie zostało, ale rozbitkowie z pobliskich jednostek powiedzieli, że na jego pokładzie znajdował się też jeden człowiek. Może dwóch. Możemy domniemywać, że byli to pańscy rodacy. - Sato zawahał się, widząc smutek w oczach kapitana. - Proszę przyjąć wyrazy współczucia. Muszę jednak spytać, czy wiedział pan o tym, że pana rodacy dysponują również wodnosamolotem?

Kaufman spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami i nerwowo tiki jakby jeszcze się nasiliły. Zaczął bezwiednie drapać się w lewy policzek.

- W zasadzie tak... to znaczy był taki samolot. Widzieliście go? - Sato kiwnął głową, a Kaufman przymknął oczy i uśmiechnął się, jakby bardzo mu ulżyło. - Mój Boże. Więc Mallory jednak dał radę! - Spojrzał ponownie na komandora Okadę. - Znaleźliśmy ten samolot na plaży. Był postrzelany i częściowo zatopiony, ale Mallory zabrał się za niego z paroma ludźmi i zdołał wystartować. Grikowie prawie ich przy tym dopadli. Potem posłałem go na Cejlon, żeby sprowadził pomoc dla *Mahana*. Ale przecież nie mógł tego zrobić, prawda?

- Dlaczego nigdy wcześniej nie wspomniał pan o tym samolocie?

Kaufman rozejrzał się półprzyciomnie.

- Nikt mnie o niego nie pytał. Myślałem, że przepadł. Grikowie widzieli go tamtego dnia. - Spojrzał błagalnie na Sato. - Przepraszam. Powiedziałbym wam, przysięgam! Nie przyszło mi tylko do głowy, że jeszcze istnieje. - Usiadł na wiadrze i przetrął twarz, patrząc na Sato spomiędzy palców. - Proszę - wyszeptał. - Nie bijcie mnie już.

Sato zrobiło się niedobrze. Zarówno z powodu Kaufmana, jak i własnej roli w tym wszystkim.

- Nie będzie pan bity - powiedział i obejrzał się na drzwi. Wciąż były zamknięte. - Ten samolot ma radiostację. - To nie było pytanie, tylko stwierdzenie. - Radiostacja jest też na amerykańskim niszczycielu. Gdyby miał pan dostęp do naszej radiostacji, czy mógłby pan nawiązać z nimi kontakt?

Kaufman wbił oczy w podłogę.

- Nie mam książek kodowych - powiedział cicho.

- Nie szkodzi. Tak bym to zorganizował, żeby mógł pan nadawać otwartym tekstem.

- Co miałbym powiedzieć?

- Jeszcze nie wiem - odparł Sato, kręcąc głową. - To zależałoby od szeregu czynników... Na razie chcę wiedzieć, czy mógłby pan to zrobić. Czy sądzi pan, że byliby skłonni pana wysłuchać?

- Reddy raczej nie - stwierdził kapitan, krzywiąc się lekko. Sato rozpoznał nazwisko dowódcy niszczyciela. - Pewnie mi nie ufa. Nie lubił mnie. Ale Mallory...

- Mallory to pilot wodnosamolotu?

- Tak. Przynajmniej był. Chyba dałoby się z nim porozmawiać. Może przekonałby Reddy'ego. - Kaufman podniósł oczy na Sato. - Po co?

- Na razie tylko pytam. I niech to zostanie między nami. - Poczekał, aż Kaufman przytaknie. - A tymczasem, czy mógłbym coś dla pana zrobić?

Przez dłuższą chwilę lotnik nie odpowiadał, tylko zdumiony wpatrywał się w japońskiego oficera.

- Światło - odezwał się w końcu. - Proszę zostawić mi światło.

Sato kiwnął głową.

- Coś jeszcze?

Kaufman zamrugał i rozejrzał się po celi.

- Coś do czytania - odpowiedział błagalnym tonem. - Cokolwiek.

\*

*Salissa* wypłynęła o świcie. Zmęczony Matt z mieszanymi uczuciami patrzył, jak majestatycznie rozpostarła olbrzymie skrzydła, które wypełniły się wiatrem. Przywykł, że statek Kejego, jak i sam Keje, byli zawsze gdzieś w pobliżu, i czuł, że będzie mu ich brakować. Martwił się też o bezpieczeństwo pływającego domu. W tej chwili ładowano *Arakkę*, w dali widać było pierwsze smugi dymu płonącego B'mbaado. Z żalem uświadomił sobie, że nie był nigdy w mieście królowej Maraan i już nie zobaczy jej pałacu. Tyle dobrego, że nie wszystko miało zostać zniszczone. Wysłali tam kilka feluk, żeby zabrały największe skarby miasta. Niestety, w wypadku Aryaalu nie było to możliwe. Rasik zgromadził wszystko co najcenniejsze w pałacu, w którym zamknął się z gwardzistami. Był to pośredni skutek decyzji kapitana, ale życie żołnierzy liczyło się bardziej niż skarby, a Matt miał sumienie.

Kubek z kawą był już pusty, a Juan jakoś się nie pojawiał, kapitan postanowił więc, że sam pójdzie po dolewkę. Przy okazji może coś uda mu się przegryźć. To mu przypomniało,

że miał zajrzeć do Eda Laniera, i aż się skrzywił. Sandra zapewniła, że kucharz wyjdzie z tego i że strzała nie naruszyła żadnego z ważnych organów. Utknęła po prostu w zwałach tłuszczu. Wszystko więc było w porządku, ale kapitan i tak powinien osobiście się tym zainteresować.

A skoro o ranach mowa... Matt napiął na próbę mięśnie przedramienia, żeby sprawdzić, jak się zachowają. Ku swemu zdumieniu poczuł, że nie jest już tak źle. Pora będzie znowu poprosić Sandrę o zdjęcie bandażu. Dość miał posługiwania się cały czas jedną ręką. Jednak w tej chwili Sandra spała i nie chciał jej przeszkadzać.

Pomyślał, że najpierw coś zje, potem zajrzy na rufę. Dobrze będzie też sprawdzić, jak idzie montaż śruby. Martwił się tym bardziej, niż dawał po sobie poznać. W nocy musieli przerwać pracę, gdy ryby przedarły się przez drugie z kolei płótno. Spanky był akurat w wodzie i prawie go dopadły. Oby udało się nadrobić opóźnienie w świetle dnia. To była jednak stresująca sytuacja. Pół świata waliło mu się na głowę, a jego okręt był jak okulały. Wolałby stawić czoło tym przeciwnościom z dwoma sprawnymi maszynami.

Przynajmniej na brzegu nie było chwilowo problemów. Ewakuacja przebiegała sprawnie i bez ponownych wybuchów paniki. Może zresztą światło dnia uspokoiło trochę nastroje. Załoga *Walkera* przygotowywała się do drogi i wydawało się, że wszystko poza śrubą jest na miejscu. Po raz pierwszy od dawna Matt znalazł się w sytuacji, która nie wymagała od niego podejmowania natychmiastowych czy dramatycznych decyzji. Mógł tylko czekać, aż inni wykonają swoją robotę, i liczyć na to, że wszystko pójdzie dobrze. Czegoś jednak mu przez to brakowało i nie mógł się pozbyć odczucia, że na pewno o czymś zapomniał. Zastanawiając się nad tym, zszedł do mesy, gdzie znalazł śpiącego na krześle Bradforda. Australijczyk siedział z głową odchyloną do tyłu, a jego chrapanie niesło się echem po korytarzu.

Na blacie stał kubek od kawy, jednak wypełniająca pomieszczenie woń zdradzała, że wcześniej był w nim inny napój. Matt westchnął, nalał sobie lurowatej kawy z dzbanka i otworzył bulaje z obu burt, żeby przewietrzyć mesę. Bradford zakrztusił się własnym chrapaniem, otworzył oczy i zamrugał. Matt usiadł naprzeciwko niego i opróżnił dzbanek do kubka Australijczyka. Potem wskazał na kubek zapraszająco.

- Musi pan z tym skończyć, Courtney - powiedział spokojnie. - Daje pan zły przykład załodze.

- Nie jestem w marynarce - mruknął Bradford. - A nawet gdybym był, to w australijskiej, która pozwala strzelić sobie czasem jednego.

- Ale pan nie strzela już tylko czasem, US Navy zaś nie toleruje alkoholu na pokładzie. Na razie udawałem, że niczego nie widzę. Właśnie przez pański odrębny status

oraz to, że raczył się pan maskować. - Matt przetarł oczy i odchrząknął. - Potrzebuję pana trzeźwego, Bradford. Trzeźwego i z jasną głową. Teraz już cały czas. Wszyscy musimy ostro ruszać konceptem, jeśli chcemy przeżyć. Zwykłem polegać na pana wiedzy i pomysłach - dodał z uśmiechem.

Bradford prychnął i zanurzył nos w kubku. Zaraz skrzywił się jednak i odstawił kawę.

- Nie wiem, czy to coś da - powiedział trochę niewyraźnie. - Czy w ogóle możemy coś zrobić. Cokolwiek zaczynamy, zaraz napotyamy kolejne, jeszcze większe przeszkody. - Schował twarz w dłoniach. - A ja jestem coraz bardziej zmęczony... i bardzo tęsknię za synem.

Matt aż się wyprostował. Bradford nigdy nie wspominał, że ma syna. Tak jak większość z nich, w ogóle rzadko wracał do tego, co było wcześniej.

- On żyje - powiedział Australijczyk tonem wyjaśnienia. - Przynajmniej tak słyszałem. Jest w Anglii, w Royal Australian Air Force, i lata na hurricane'ach. Tak słyszałem - powtórzył, marszcząc czoło. - Sęk w tym, że nigdy się już nie dowiem, jak mu poszło. - Spojrzał ostro na Matta. - My, Australijczycy, silniej odczuwamy więź z dawnym krajem niż Jankesi. Choć żyjemy dalej, przejęliśmy się jego losem, gdy Hitler go zaatakował. Mój syn zgłosił się na ochotnika już półtora roku temu. - Spojrzał na kubek i zaryzykował łyk. - Adar ciągle mówi o „większym zagrożeniu” i my myśleliśmy tak samo. Ja na pewno. Ale podczas gdy mój syn i wielu innych z różnych krajów świata walczyło z nazistami, wy uparcie drażniliście Japońców.

Umilkł i zamyślił się. Po chwili uniósł pojednawczo dłoń.

- Przepraszam - powiedział. - To nie tak. Chciałem spytać, czemu was tak obchodziło, że Japońce panoszyli się w Chinach, gdy zrozumiałem, jaka to hipokryzja. Dlaczego ktoś miałby przejmować się Anglią? Albo Polską? Może i jestem zatwardziałym konserwatystą, ale uwielbiam Malaje. A odkąd poznałem kotowatych... Boże, jak ja ich lubię... - Czknął i zakaszłał. - Pewnie miałem żal do Jankesów, że nie pomogli mojemu synowi w walce z nazizmem. Podszedłem do tego bardzo osobiście. Rozumie pan, prawda? Ale przecież Japońce są równie źli i byli bliżej was. To, co zrobili w Nankinie... Australię też bombardowali, wie pan?

Matt cierpliwie skinął głową. Siostrzana jednostka *Walkera*, *USS Peary*, została zatopiona przez Japończyków w Port Darwin.

- W sumie więc to chyba niewielka różnica - mruknął Bradford. - Wy też walczyście teraz, czy walczyliście z Hitlerem... Chodzi mi o to, że Japońcy i naziści to sojusznicy. Powiedział pan, że nie rozumie, dlaczego Japończycy sprzymierzyli się z grikami? Jeśli są po

tej samej stronie co Hitler, to żadne ich posunięcie nie może mnie już zdziwić.

- Trafna uwaga - odezwał się Matt - chociaż wojna zmusza czasem do dziwnych sojuszy. Wujek Joe również nie jest święty.

- Owszem, ale łączy go z nami to, że też został zaatakowany. Zasadniczo nie był agresorem, jeśli zapomnieć o Polsce i Finlandii. - Bradford położył rękę na stole i oparł na niej głowę. Omal nie zamoczył przy tym długich włosów w kawie. - Po prostu tęsknię za moim synem - powiedział na koniec.

- Rozumiem - odparł Matt przez ściśnięte gardło. - I ja tęsknię za moimi. Zastanawiam się czasem, co się z nimi dzieje i jak sobie radzą. Dla nich wszyscy zginęliśmy. Ciężko żyć z tą myślą. - Bradford uniósł głowę i spojrzał na kapitana przekrwionymi oczami. - Chyba nam wszystkim - ciągnął Matt. - Ale w alkoholu nie znajdziemy pocieszenia. Jeśli będziemy go w nim szukać, to już po nas. I tak możemy przegrać, ale winni jesteśmy naszym ludziom, a także nowym sojusznikom, trochę szacunku. Musimy się chociaż postarać. - Bradford wyglądał na coraz bardziej wkurzonego, ale Matt nie przerywał. - Na to, jak potoczy się tamta wojna, nie mamy żadnego wpływu. Oby pański syn przeżył, ale jeśli nie, to zginie za dobrą sprawę, którą sam postanowił wesprzeć. My zaś mamy tu własną wojnę z przeciwnikiem równie groźnym jak Hitler, a może nawet groźniejszym. I nasze szanse na przeżycie są jeszcze mniejsze. Musimy jednak walczyć. Nie tylko dla siebie, ale i tych, którzy nam zaufali. I ludzi, i lemurów.

Bradford, któremu złość już przeszła, wyprostował się i wbił spojrzenie w swoje dłonie.

- Czego pan ode mnie oczekuje? - spytał cicho.

- Żeby pan przestał popijać - odparł Matt. - Poza tym... żeby nadal był pan tym wesołym, bezpośrednim, błyskotliwym i beczelnym utrapieniem, którym stał się pan dla nas, gdy wszedł na pokład *Walkera*. Nasi ludzie, a także sojusznicy, lubią pana, Courtney, i na pana liczą, choć pan nie wierzy, że może nam się udać. Ja też na pana liczę. Jeśli dojdą do wniosku, że stracił pan nadzieję, też mogą zwątpić.

Matt wstał.

- Schodząc tutaj, zastanawiałem się, o czym zapomniałem, co zapomniałem zrobić, choć pozornie o wszystkim pamiętałem. Teraz już wiem, co to było. Czasem, nawet w grupie, ludziom bardzo doskwiera samotność. Czują się tak, jakby siedzieli na torach przed nadjeżdżającym towarowym i nic nie mogli na to poradzić. Tymczasem warto w takiej sytuacji rozejrzeć się wkoło, bo ktoś jednak może człowiekowi pomóc. Nawet jeśli pociąg wciąż się zbliża, poczucie wspólnoty daje siłę, a przynajmniej pocieszenie. No i ważna jest

jeszcze świadomość, że ktoś zna potrzebne odpowiedzi - dodał Matt z uśmiechem. - Dlatego krążę po okręcie, zaglądając w zakamarki, których nie widziałem od tygodni, i zachowuję się tak, jakbym miał parę asów w rękawie.

Bradford też wstał. Minę miał taką, jakby chciał za coś przeprosić, lecz tylko bawił się kubkiem na stole.

- Co mogę zrobić? - zapytał.

Matt wzruszył ramionami.

- Mniej więcej to samo co ja. Niech pan będzie widoczny. Proszę przeprowadzić autopsję skuggika na wyrzutni torpedowej albo coś... Coś dziwnego i zwracającego uwagę. Niech pan będzie sobą.

- Skoro uważa pan, że to pomoże...

Matt pokiwał głową.

- Gdyby Jim Ellis był tutaj, postępowałby mniej więcej tak samo. Na tym głównie polega praca pierwszego oficera. Nie ma go jednak, a Larry Dowden niezbyt się sprawdza.

- Dlaczego? Wygląda na zdolnego młodego oficera.

- O tak, jest, ale jest też trochę zbyt uczciwy i szczery - odparł poważnie Matt. - Na razie Spanky i bosman utrzymują ludzi w pionie, ale jeśli przyjdzie nam szarpać się z *Amagim*, potrzebna będzie każda pomoc.

\*

Zmierzając niespiesznie ku rufie, Matt uśmiechał się do zapracowanych ludzi, czasem rzucał im też dobre słowo. Gdy przechodził pod platformą działa za pomostem, zobaczył Silwę szkolącego nową obsadę czterocalówki. Lemury uwijały się jak w ukropie, obracając działą i szczebiocząc w swoim języku, jak i łamanym angielskim. Silva nie szczędził płuc, wypływając z siebie rozkazy i sugestywne groźby, wyglądał jednak na zadowolonego. Przechodząc obok kambuza, Matt wziął ostatnią kanapkę z usłanej okruszkami tacy. Ray Mertz spieszył już z kolejną tacą kanapek. Postawił ją spiesznie i wytarł ręce w koszulę.

- Dzień dobry, Mertz - rzekł Matt. - Jak się dziś miewa Lanier?

W kambuzie jęknęło uwolnione od znacznego ciężaru krzesło.

- Cierpi, kapitanie - powiedział Lanier z pełnymi ustami, pojawiając się w oknie. Wskazał na spowijający jego brzuch zatłuszczony bandaż.

- Ale nie aż tak bardzo, żeby nie dać ludziom jeść - zauważył Matt.

Lanier spojrzał na niego z urazą.

- Nie, sir. W żadnym razie. Chociaż to, za przeproszeniem, dranie. Wszyscy żrą, a

żaden nie podziękuje. - Spojrzał morderczo na Mertza. - Czemu dałeś to kapitanowi? Przecież Rodriguez... - Ugryzł się w język.

Kapitan przeżuwał już pierwszy kęs kanapki.

- Co Rodriguez? - spytał, przełknawszy.

Lanier spojrzał na niego zmieszany.

- No... upuścił tę kanapkę wcześniej na pokład - wydusił z siebie.

Atmosfera wyraźnie zgęstniała. Matt zerknął na miejsce, gdzie kanapka musiała zapewne spaść, i zachichotał.

- Chyba niedługo tu leżała, skoro karaluchy nie zdążyły jej zabrać - powiedział i ugryzł kolejny kęs.

- No nie, długo na pewno nie, kapitanie - powiedział Lanier z wyraźną ulgą i posłał Mertzowi jeszcze jedno jadowite spojrzenie. Potem obrócił się do kapitana i wskazał na tacę pełną kanapek, jakby prezentował dzieło sztuki. - Proszę, kapitanie. Proszę się częstować! Niech pan weźmie dwie. Taki pan chudy, jeśli wolno mi zauważyć, sir.

- Na pewno nie zaszkodzi - powiedział Matt. Wybrał sobie kanapkę ze sterty i przełożył ją do unieruchomionej ręki. Earl rozpromienił się, a kapitan ruszył dalej.

- Ty idioto! - zaklął cicho Lanier i trzepnął Mertza w bok głowy. - Masz szczęście, że kapitan lubi moją kuchnię. Gdyby nie to, miałbyś się z pyszna.

- Ale sam kazał mi ją pan podnieść i położyć z powrotem na tacy - zaprotestował Ray.

- Ale nie kazałem ci jej dawać kapitanowi!

Matta doszła ta wymiana zdań i wymuszony uśmiech na jego twarzy ustąpił szczeremu. Szkwał, nie szkwał, pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają, pomyślał. Przystanął przy wyrzutni torpedowej numer dwa, gdzie mieszana obsługa sprawdzała akumulatory i butle ze sprężonym powietrzem. Przez ostatnie kilka miesięcy butle były puste, jak zwykle, gdy nie planowano użycia torped. Obecnie zostały napełnione i Sandison spytał rano, czy może przetestować jedną ze sprawnych rybek. Matt wyraził zgodę i polecił, żeby do wyjścia w morze wszystkie trzy torpedy były gotowe. Przechodząc obok wyrzutni numer cztery, usłyszał dobiegające z rufy przekleństwa Spanky'ego, który wraz z bosmanem doglądał ostatniego etapu montażu śruby. Ludzie Graya starali się przyciskać krawędzie płótna jak najmocniej do kadłuba, żeby nie dopuścić do środka ryb, podczas gdy ekipa Spanky'ego pilnowała utrzymujących śrubę lin. Najgrubsza z nich przebiegała przez ochraniacz burtowy, a u góry przymocowano ją do prowizorycznego bomu. Dean Laney niechętnie szykował się do kolejnego zejścia pod wodę. Dalej za rufą tłum przesuwał się powoli po rampie wiodącej na pokład *Aracki*. Załadunek odbywał się o wiele spokojniej niż w nocy. Okolicę zasnuwał

dym płonącego miasta.

Było już dość ciepło i Spanky co chwila ocierał pot z czoła. Poza tym przeżuwał energicznie coś, co wypychało mu policzek.

- Co tam zajadasz? - spytał kapitan.

Spanky obrócił się zaskoczony. Dopiero teraz zauważył dowódcę.

- Dzień dobry, skipper - powiedział, salutując brudną dłonią i przemieszczając to dziwne coś w ustach. - No właśnie, nie wiem dokładnie. Chack coś przyniósł. Powiedział, że to prezent od króla Rasika. Podobno jakieś ich święte ziele. Wygląda jak żółty liść pomidora, ale smakuje jak tytoń. Trafili na pełny magazyn, gdy sprawdzali okolice pałacu. W nocy przysłali chyba tonę tego zielska na okręt.

- Nikt się nie pochorował?

- Silva żuje to, odkąd trafiło na pokład, i na razie wygląda zdrowo.

Matt zachichotał.

- Nie sądziłem, że Silva weźmie jeszcze cokolwiek od Chacka. Ostatnim razem nie wyszedł na tym dobrze.

- Wiedział pan o tym? - spytał ze śmiechem Spanky.

- Jasne.

Chack i Silva sprawdzali każde suche zielsko, które wpadło im w ręce. Szukali jakiegoś zamiennika cennego tytoniu. Przy pierwszej próbie Dennis tak się jednak pochorował, że długo nie wychodził z kibla. Nie był zachwycony i dlatego zapewne namówił Risę na rzekomy związek, od czego z kolei Chacka mało krew nie zalała.

- Może teraz Silva wybaczy Chackowi i przestanie udawać, że prowadzi się z jego siostrą. Wkurzony Chack to kiepski marynarz.

Spanky energicznie pokiwał głową. On też miał dość tej sytuacji, był jednak przekonany, że Silva nie udaje.

- Najlepiej byłoby im rozkazać, żeby nie zbliżali się do siebie.

- Nie mogę. Chack bardzo się przejął, ale pozostałych kotowatych zbytnio to nie obeszło. Uważają, że nawet jeśli coś między nimi jest, to nie ma się czym przejmować. Ja zaś nie mogę zabronić fraternizacji w obrębie załogi czy w ogóle z sojusznikami. Nazbyt potrzebujemy siebie nawzajem - mruknął Matt. - Poza tym, gdybym to zrobił, ten skubany Silva byłby wygrał. Zmusiłby mnie, żebym poważnie potraktował jego kawał. Lepiej więc nie. I tak dość już się puszy i nie ma co przydawać mu znaczenia - dodał ze śmiechem i wskazał drugą kanapką na liny. - Jak idzie?

- Wolniej, niż myślałem - odparł Spanky, ciesząc się ze zmiany tematu. - Ale



sprawimy się do popołudnia. Przesuwamy teraz śrubę po wale na właściwe miejsce, potem zostanie jeszcze założyć bolce z mutrami. W suchym doku to żaden problem, tutaj co rusz musimy przerywać robotę.

- Wyjdzie prawie na styk. Jeśli nieprzyjaciół puści zwiad przodem, pierwsze jednostki mogą się tu pojawić już dziś wieczorem.

- Wiem, sir - odparł z przejęciem Spanky. - Naprawdę robimy, co możemy.

Matt poklepał go po ramieniu.

- Nie wątpię - powiedział. Spojrzał na brzeg, gdzie tłum lemurów czekał na załadunek na *Araccę*. Jeszcze więcej ciągnęło ich od strony miasta. Pożary za murami już przygasały, szalały za to na północnym wschodzie, gdzie znajdowało się B'mbadoo. Był to dziwnie znajomy widok. Niecały rok temu, w swoim świecie, wychodzili z tej zatoki w bardzo podobnej sytuacji. Tyle że wtedy pożary były skutkiem japońskich bombardowań poprzedzających inwazję. Jasne, to był inny świat, całkiem inna rzeczywistość, jednak przedziwnym zrzędzeniem losu znowu przyszło im uciekać przed Japończykami. Zupełnie jakby *Walker* odprawiał jakąś pokutę, zmuszony do odgrywania podobnych scen w różnych, coraz dziwniejszych światach. Jak długo? Po kres czasu czy do chwili, gdy walcząc, pójdzie na dno?

Spanky również spojrzał w stronę miasta.

- Czy bez Japońców też musielibyśmy uciekać? - spytał cicho, żeby inni go nie słyszeli, jakby odczytał myśli Matta. - Wszyscy mają już dość uciekania. Ostatnio zaczęliśmy wygrywać i to była miła odmiana.

- Racja - zgodził się kapitan. - Ale i tak musielibyśmy się stąd zwijać. Nawet bez *Amagiego* ta armada byłaby zbyt silna. Jeśli zdołamy wrócić do Baalkpanu, będziemy mieli szansę. Ale nic, pracujcie dalej - powiedział głośniejszym głosem. - Gdy skończycie, ta łajba będzie znowu najszybszym okrętem na tym świecie. Po ostatnim spotkaniu z nami Japońcy nie wyciągają więcej niż osiem węzłów. Jeśli zamarzy im się rewanz, załatwimy ich na perłowo!

Mimo zmęczenia ludzie odpowiedzieli mu aprobującymi pomrukami. Matt uśmiechnął się do nich, chociaż w głębi duszy mdliło go ze strachu.

\*

Wczesnym popołudniem *Aracca* odeszła od nabrzeża i wzięła kurs na zasnutą dymami zatokę. Nie zostało im wiele czasu. Przy rampie stała teraz *Nerracca*, którą szybko zapełniali zdenerwowani uciekinierzy. Trzeba ich było zagęszczać jeszcze bardziej niż na poprzednich statkach, ale Tassat-Ay-Aracca zapewniał, że dla wszystkich znajdzie się miejsce. Gdy Matt

ostatni raz sprawdzał, jak idą prace przy śrubie, Spanky zameldował, że montują ostatni sworzeń zabezpieczający. Żmudna robota, ale już końcówka. Wszystkie feluki odpłynęły i kompania Chacka maszerowała drogą do zatoki. Zgodnie z planem miała wejść na *Walkera*.

Pozostały w pałacu król Rasik próbował jeszcze zatrzymać swój lud, wygłaszając z pałacowych murów przemowy pełne grózb i błagań, ale na nabrzeżu nie było go słychać. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Uchodźcy już nie zwracali na niego uwagi.

Ben Mallory był w powietrzu i śledził postępy nieprzyjaciela. Kilka minut temu przekazał ostrzeżenie przed grupą około tuzina jednostek, które wysforowały się przed główne siły i były już o niecałe pięćdziesiąt mil od Aryaalu. W dali widać było setki okrętów armady, która zajmowała teraz znacznie większy przestwór oceanu niż w ciasnym przejściu między Belitungiem a Borneo.

Matt rozkazał Mallory'emu wracać w stronę Aryaalu. Dopiero po zniknięciu jaszczurom z oczu miał wziąć kurs na Baalkpan. Nakja potrzebował stałych meldunków i kapitanowi bardzo zależało na łączności z miastem. Zabronił jednak nadawania z cataliny. Nie wiedział, czy Japończycy znają pozycję Baalkpanu; jeśli nie znali, nie chciał ułatwiać im roboty. Po przybyciu na miejsce Mallory miał jedynie prowadzić nasłuch, by móc odbierać komunikaty z niszczyciela.

Każdy zyskany dzień był na wagę złota. Matt myślał nawet nad tym, żeby wziąć kurs na Małe Wyspy Sundajskie i cały czas nadawać. Potem, zarządziwszy ciszę w eterze, obszedłby Celebes i wziął kurs na Baalkpan. Może wyprowadziłby tym nieprzyjaciela w pole, nie miał jednak pewności, czy starczyłoby mu paliwa na tak długi rejs. Poza tym nie było pewności, czy grikowie chwycą przynętę. W końcu postanowił więc trzymać się pierwotnego planu, chociaż i on nie gwarantował, że przednie siły armady nie wykryją *Nerracki*. Chociaż może w nocy udałoby się jej przemknąć.

- Marines wchodzą na pokład, skipper - zameldował porucznik Garrett. - *Nerracca* podaje, że za godzinę będzie gotowa do wypłynięcia.

- Jakież nowiny od Spanky'ego?

- Jeszcze co najmniej godzina, może dłużej. Musieli wyciągnąć Laneya, był prawie nieprzytomny. Ryby znowu wyczuły, że coś dzieje się za płótnem, i omal go nie zatłukły.

Matt skrzywił się. Pamiętał, jakich sińców nabawił się Laney poprzednim razem.

- Rozumiem - powiedział. - Niech *Nerracca* na nas nie czeka. Dogonimy ją. W razie potrzeby nawet na jednej śrubie jesteśmy od niej sporo szybsi.

- Wypływając bez wszystkich mocowań, możemy stracić śrubę, skipper.

- Zdaję sobie z tego sprawę, panie Garrett. Jestem pewien, że Spanky też o tym wie.

Nie będę go więcej popędzał. Jeśli nie zdążą, to trudno, wypłyniemy i tak. Wolę stracić śrubę niż okręt.

\*

Dennis Silva powziął w życiu kilku głupich decyzji, ale ta jedna przebiła wszystkie poprzednie. Po wyciągnięciu Laneya zgłosił się na ochotnika do dokończenia jego pracy. Laney wyglądał jak po wizycie w pewnym Szanghajskim barze, kiedy to powiedział tuzinowi brytyjskich marines, że ich król to ciota. Ledwie go stamtąd wyciągnęli. Teraz też był cały sinoczarny i ledwie mógł się ruszać. Nikt nie miał już wątpliwości, że nawet za osłoną ta robota jest gorsza niż w kamieniołomach. Nic jednak nie mogli na to poradzić. Gdy Laney w końcu otworzył oczy, spojrzał wyzywająco na Silvę. Nic nie powiedział, ale sprawa była oczywista. Ci spod pokładu zrobili już swoje, pora na zmianę. Gdy przyszło do wyboru zastępstwa, Silva nawet się nie namyślał. Przecież nie mógł przyznać, że boi się czegoś, co zrobił gość z dołu. Włożył kombinezon, poczekał, aż dokręcą mu hełm, i dał się opuścić za burtę. Niecała godzina pod wodą starczyła, żeby nawalanka z tuzinem marines wydała mu się niewinną rozrywką.

Nawet przez szum oddechu i bulgotanie uwalnianego powietrza słyszał kościanogłowe ryby uderzające dokoła o płótno. Czasem, gdy niechcący zbliżył się do niego za bardzo, obrywał od nich. Czuł się wtedy, jakby walnęła w niego ćwiczebna torpeda, z tym tylko zastrzeżeniem, że srebrzaki miały trochę mniejszą masę. Po kilku takich uderzeniach odniósł wrażenie, że chyba nie wszystkie żebra ma całe. Przy kolejnym, które wypadło na łokieć, upuścił bezcenną mutrę, wielką jak piłka baseballowa, i musiał schodzić po nią na sam dół. Niestety, sprawa nie była łatwa, bo atakowane przez ryby płótno podskakiwało i nakrętka wciąż mu uciekała. Złapał ją przypadkiem, gdy przy kolejnym uderzeniu sama wpadła mu w rękę. Szczęściem lewą, bo prawą miał zupełnie odrętwiałą.

- Ugryź się w płetwę - warknął i wrócił do śruby, żeby założyć mutrę na ostatni bolec. Dokręcił ją do oporu palcami i sięgnął po wiszący obok na linie olbrzymi klucz. Uderzenie w plecy cisnęło go hełmem na pióro śruby, aż jęknął z bólu i musiał chwilę odczekać, aż spłyną utrudniające widzenie łzy. Na dodatek niemal ogłuszył go huk zderzenia. - Szlag by to - mruknął przez zaciśnięte zęby. - Garaż mi z dupy robią.

Ponownie złapał klucz i zaczął dokręcać śrubę. Kolejne uderzenie odebrało mu na chwilę oddech, ale zaraz wrócił do roboty. Ryby robiły się coraz bardziej agresywne. Chyba wyczuły, że za płócienną zasłoną jest coś smacznego. Albo przyciągały je ulatniające się bąble powietrza. Tak czy owak należało się stąd wynosić.

Mutra siedziała już ciasno. Silva ostatni raz szarpnął oburącz za klucz.

- Gotowe, cholera - mruknął pod nosem.

Nagle od jego hełmu odbił się rykoszetem długi na jakieś cztery stopy srebrzysty kształt, który z metalicznym brzękiem uderzył w śrubę. Ogłuszone stworzenie znieruchomiało na chwilę i Silva, choć zaskoczony i przerażony, złapał je za ogon, zanim odzyskało świadomość. Pociągnął stwora ku sobie i złapawszy za łeb, wraził palce w umieszczone po obu stronach pyska ślepią. Ryba zaczęła się szarpać i Dennis musiał natężyć wszystkie siły, żeby utrzymać jej paszczę z dala od siebie. Nie śmiał jej puścić, ale zdołał jakoś szarpnąć wąż powietrzny, co było sygnałem do wyciągania. Dopiero gdy zaczął się wznosić, dotarło do niego, że skoro jeden taki stwór dostał się do środka, inne mogą zrobić to samo. Te kilka sekund, zanim jego głowa wyjrzała nad powierzchnię, było najgorszymi chwilami jego życia.

Mocno zacisnął oczy i nie otwierał ich, póki nie znalazł się na pokładzie, klęcząc między rufowymi wyrzutniami bomb głębinowych. W końcu oddech zaczął mu się uspokajać, zdziwił się jednak, dlaczego nikt do niego nie podchodzi, żeby pomóc mu zdjąć hełm. Wtedy spojrzał na jeszcze drgającą rybę. No tak. Wstał z wysiłkiem i zrobił dwa kroki w stronę trzycalowego działka przeciwlotniczego. Wziął spory zamach i trzasnął srebrzystym cielskiem o lufę raz, drugi i trzeci, aż ryba wydawała się prawie całkiem martwa. Gdy cisnął ją na pokład, ktoś wreszcie odważył się do niego podejść.

Spojrzał na stojących dokoła i chyba wciąż przerażonych ludzi. Tuż nad nim stał oparty o reling nadbudówki Spanky. Przeżuwał coś i kręcił głową. Laney wycofał się jak mógł najdalej na rufę, aż stanął między wyrzutniami bomb głębinowych, tuż obok drzewca bandery. Z wrażenia nie zamknął ust, posiniaczony grzbiet wciąż miał okryty kocem.

- To dla ciebie, Laney - rzucił Silva, wymownie wskazując na rybę. - Przyniosłem ci prezencik.

\*

Do czasu, gdy płótno zostało zwinięte i *Walker* był gotów do drogi, *Nerracca* niemal zniknęła w zasnuwających zatokę szarych smugach. Kłęby dymu z trzeciego i czwartego komina niszczyciela dołączyły do tego, co wciąż unosiło się z ruin obu miast. Nabrzeże było niemal puste, jeśli nie liczyć kilku marynarzy, którzy zdjawszy cumy, zaraz przeskoczyli na pokład, oraz Chacka i królowej Maraan. Safira chciała ostatnia opuścić tę ziemię, chociaż po prawdzie byli na terytorium Aryaalu. Matt wiedział jednak, że chodzi o gest, i czekał cierpliwie. Rolak chciał jeszcze zostać, ponieważ jednak większość jego żołnierzy załadowała się wcześniej na *Salisse*, kapitan kazał mu płynąć z nimi. W odróżnieniu od królowej Rolak

nie miał urzędników, którzy mogliby zadbać o jego wojowników, toteż Maraan reprezentowała obecnie oba ludy. Chack dotknął jej ramienia i ponaglił do wejścia na trap, tak że nie była ostatnią osobą, która weszła na pokład. Zatrzymała się dopiero przy relingu i spojrzawszy na ład, uniosła obie ręce w teatralnym geście.

- Nie zapomnę o tobie, Haakar-Faask, ani o tych, którymi się zajmiesz - zawołała śpiewnie. - Choćby to miało trwać wiele lat i kosztować mnie życie, przysięgam, że wrócę!

Wiatr i odpływ powoli odsunęły niszczyciel od nabrzeża. Nowa śruba nie musiała długo czekać na wypróbowanie.

- Lewa maszyna jedna trzecia naprzód. Ster prawo dziesięć - rozkazał Matt.

Pokład zadrżał pod stopami i kapitan od razu wyczuł różnicę. To była trochę inna wibracja niż przedtem. Dowden uśmiechnął się niepewnie i spojrzał na Matta, unosząc brwi. Miał wrażenie, jakby nowa śruba dodała coś od siebie, odmieniając trochę niszczyciel, wzbogacając go o część osobowości siostrzanej jednostki.

- Jedna trzecia naprzód - rozkazał Matt, gdy dziób *Walkera* wycelował w zatokę, minąwszy czerwony dysk słońca opuszczającego się powoli ku odległym szczytom Jawy.

- Sugeruję kurs zero osiem zero - powiedział Larry Dowden.

- Dobrze. Kurs zero osiem zero. Zwiększyć stopniowo prędkość do dwóch trzecich. - Matt wciąż starał się „wyczuć” nową śrubę.

Szum nawiewników przybrał na sile. Z dołu wychynęła Sandra Tucker.

- Proszę o pozwolenie wejścia na mostek - powiedziała na tyle głośno, żeby kapitan usłyszał. Od czasu problemów w Aryaalu była jakaś inna. Zachowywała się nader poprawnie, ale w kontaktach z Mattem jakby ochłodziła.

- Pozwalam - odparł Matt i przeszedł kilka kroków na lewe skrzydło mostka. Po dłuższej chwili dołączył do Sandry, która oparła się o reling, patrząc ku rufie.

- Zajmę się królową - odezwała się dziewczyna. - Boże, widziałeś ich teraz? Myślałam, że się rozplączę.

- Miałem nadzieję, że się nią zaopiekujesz - powiedział cicho Matt. - Teraz, gdy Rick nie żyje, a Alan i Steve są w Baalkpanie, może zająć ich miejsce. Ile świty wzięła ze sobą?

- Tylko trzy osoby. Znacznie mniej niż zwykle, ale zrozumiała, że mamy tu mało miejsca. - Sandra uśmiechnęła się lekko.

- Mogą spać na zmianę albo wstawimy im dodatkową pryczę.

- Pomyślę nad tym - odparła Sandra i wpatrzyła się w fale. - Czuję się tak, jakby pacjent, którego ratowałam, zmarł mi na stole.

- Chyba wiem, o czym mówisz.

- Może i wiesz. - Ponownie odezwała się bardzo cicho. - Przepraszam za moje zachowanie, nim wszedłeś do miasta.

- Nie ma za co przepraszać.

- Owszem, jest. Zachowałam się niewłaściwie i nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Rozumiałam, dlaczego musisz to zrobić, ale byłam wściekła, że zamierzasz się narażać. Jak idiotka wyładowałam złość na tobie, chociaż o ciebie właśnie najbardziej się martwiłam. - Zakaszła od dymu. - Niezbyt to było profesjonalne i mało dorosłe. Nie dałam rady. Najpierw kurowałam cię z tych ran, a tu nagle słyszę, że znowu pchasz się tam, gdzie można oberwać. - Uśmiechnęła się lekko. - Wydawało mi się, że to jakaś niewdzięczność. Dzięki Bogu nie doszło do najgorszego. Przynajmniej tym razem.

- Nie jestem niewdzięczny - odezwał się Matt i Sandra skinęła głową.

- Wiem. I nie o to chodzi. - Obejrzała się szybko przez ramię i jeszcze bardziej ściszyła głos. - Pamiętam o naszym porozumieniu, że nie będziemy się z niczym obnosić, i jestem przekonana, że to ma sens. Ale czasem bywa trudno. Zwłaszcza gdy składałam cię po bitwie. Nie wiem, jak będzie, jeśli znowu trafisz do mnie jako pacjent. Albo i gorzej. Mogę nie dać rady. Ale teraz zachowałam się samolubnie i przepraszam za to.

Mat chętnie objąłby ją i pocieszył, zapewnił, że wszystko jest w porządku. To, że groziła im klęska, nie miało znaczenia. Nie mógł jednak. Nie teraz. Nie tutaj.

- Mamy w ogóle jakieś szanse? - spytała w końcu Sandra niemal błagalnym głosem. Matt dostrzegł łzy zbierające się w jej oczach, nie wiedział jednak, o co dokładnie chodzi. O ich miłość czy o wojnę?

- Tak - odparł, starając się, żeby zabrzmiało to przekonująco. - Wczoraj jeszcze nie dawałem nam szans, ale dzisiaj... Dzisiaj owszem. Uwinęliśmy się z ewakuacją tysięcy ludzi, co wydawało się niemożliwe, a *Walker* znowu jest sprawny. Gdy Ben zameldował o bitwie, byłem niemal w szoku. Myślałem tylko o *Amagim* i stracie *Zemsty*. Potem przypomniałaś mi jednak o słabych stronach krążownika. To dało mi nadzieję. Nie we wszystkim nad nami przeważają. Może niewiele nam to daje, ale jednak. Jest szansa, że nam się uda i pewnego dnia tutaj wrócimy.

- Tak więc chyba się domyślasz, jak się czuję - powiedziała Sandra. - Też robiłam, co mogłam, żeby nam się udało. I wydawało się, że już... A tu nagle stan pacjenta bardzo się pogorszył... - Spojrzała na Matta. - Jakby prześladował nas jakiś koszmar. Cokolwiek robimy, zaraz... - Urwała. - Tutejsi nie zasłużyli na to, prawda? Trudno nie myśleć o nich dobrze.

- Są tacy, przynajmniej w większości. Podobnie zresztą jak u nas. Zawsze są jakieś wyjątki.

- Więc chyba jednak powinniśmy próbować? Mimo wszystko?

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Jak wspomniałaś, stan pacjenta nagle się pogorszył, ale jest jeszcze szansa. Skoro tak, nie możemy się poddać. Zrobimy, co w naszej mocy. - Świadom ironii sytuacji, uderzył dłonią w reling. Potem spojrzał na kilwater niszczyciela, który cieszył oko dwoma równymi smugami piany. - Dopóki mamy naszą łajbę, jest nadzieja - dodał. Obrócił się, żeby nakazać zwiększenie prędkości. Nowa śruba się sprawdzała i nie było sensu dłużej zwlekać. Spojrzał jeszcze na Sandrę. - A skoro mowa o działaniu... Mógłbym zacząć używać ręki? Coraz bardziej mnie swędzi.

Skryta w cieniu wachta wymieniała spojrzenia i uśmiechy, starając się nie wydać żadnego dźwięku. Ludzi cieszyło, że przy wszystkich problemach chociaż kapitan i jego dziewczyna jakoś sobie radzą.

\*

*Walker* dołączył do *Nerracki* przy wyspach Sapudi i zwolnił, żeby dostosować się do prędkości pływającego domu. Obie jednostki płynęły z wygaszonymi światłami, korzystając tylko z blasku dnia i lekkiej poświaty księżycowego sierpa. Daleko w tyle widać było czerwonawą lunę obu płonących jeszcze miast, przed nimi zaś było tak ciemno, że dopiero stojący na oku lemur wypatrzył pływający dom. Ludzkie oko mogłoby go nie zauważyć. Razem poszli na wschód przez Morze Balijskie, żeby minawszy archipelag Kangean, skrócić po całonocnym marszu na północ. Świt zastał Matta pochylonego nad mapami. Równocześnie Larry Dowden objął na nowo wachtę.

Matt znów mało co spał i niemiłosiernie piekły go oczy. Oczekiwał, że w każdej chwili mogą trafić w ciemnościach na pierwsze jednostki nieprzyjaciela. Gdyby siły przednie grików naprawdę się postarały i wykorzystały utrzymujący się ciągle zachodni wiatr, mogłyby przechwycić ich między wyspami Sapudi a Kangeanami. Zakładając, że nieprzyjacielska armada zmierzała do Aryaalu, nic już nie powinno zagrozić ich przejściu na Morze Jawajskie.

Wiatr sprzyjał także *Nerracce*, która choć maksymalnie wyladowana wciąż robiła ponad pięć węzłów. Niestety, przy tej prędkości droga do Cieśniny Makasarskiej musiała potrwać niemiłosiernie długo. Matt wolał nie myśleć, co będzie, jeśli chociaż część nieprzyjacielskiej floty wzięła od razu kurs na Baalkpan. Wówczas jeszcze przed dojściem do cieśniny znaleźliby się w matni. Na to jednak nie mieli żadnego wpływu, mogli tylko wytrwale płynąć przed siebie i odpędzać czarne myśli.

Juan zjawił się na mostku z poranną kawą i Matt skwapliwie podstawił kubek. Przyląpał się na tym, że przywykł już do tego rytuału. Cała pokładowa rutyna miała to do siebie, że stwarzała pozory normalności. Co ciekawe, od kiedy skończyły im się zapasy prawdziwej kawy i trzeba było wprowadzić miejscowy zamiennik, zaparzany przez Juana napój stał się zdecydowanie lepszy. Matt pamiętał kawę, którą podawała jego matka. Oczywiście tamta była nieporównanie smaczniejsza i bardziej aromatyczna, ale i ten erzac dawało się pić. Kapitan nie był pewien, czy może po prostu do niego przywykł, czy może wcześniejszy wytwór Juana był jeszcze gorszy, niż wtedy mu się wydawało.

- Panie Dowden, muszę wyciągnąć się na chwilę - powiedział. - Proszę utrzymywać kurs zero dwa zero, reszta też bez zmian. W razie czego niech mnie pan obudzi... - Wzruszył ramionami i zwrócił się do całej wachty. - Pan Dowden przejmuje okręt.

- Aye, aye, sir - rzucił Dowden i zaczął coś uzgadniać ze sternikiem.

Zanim jeszcze Larry skończył, Matt zszedł na pokład i skierował się do swojej kabiny. Sam nie wiedział, jak do niej dotarł, w końcu jednak siadł na koi i zdjął buty. Miał za sobą kilka bardzo trudnych, wyczerpujących dni. Niestety, wiele wskazywało na to, że kolejne będą jeszcze gorsze.

\*

- Kapitan na mostek!

Matt otworzył oczy i odruchowo spojrzął na ścienny głośnik. Czy naprawdę go wzywano, czy tylko mu się to przyśniło? Ciągle jeszcze tkwił po części w nawiedzającym go często koszmarze. Poza tym w kabinie było nazbyt gorąco i przepocona koszula kleiła mu się do ciała. Kładąc się, był tak zmęczony, że nawet nie włączył wiatraczka. Światła też nie zgasił i nie miał pojęcia, jak długo spał. Podniósł się z wysiłkiem i sięgnął do interkomu.

- Mostek, tu kapitan. Wzywaliście mnie? - wychrypiał z przesuszonym gardłem.

- Tak, sir. Mówi Garrett. Jest pan potrzebny na mostku.

Zdumiony, że to nie Larry Dowden się odezwał, Matt zerknął na zegarek. Dochodziła siedemnasta, co znaczyło, że musiał spać prawie dziewięć godzin i Dowden odsypiał zapewne wachtę w swojej koi. Po należytym wyszkoleniu miejscowej części załogi mogli wreszcie wrócić do normalnego trybu służby i oficerowie nie musieli brać na swoje barki wszystkich obowiązków.

- Już idę - rzucił Matt, wcisnąwszy ponownie włącznik interkomu.

Szybko wzuł buty i przeczesał włosy. Przetarł twarz wilgotnym ręcznikiem, ale zerknąwszy na brzytwę, uznał, że najpierw lepiej będzie sprawdzić, co właściwie się dzieje.



Poza nim i Bradfordem wszyscy załoganci nosili obecnie brody, chociaż nie zawsze były one prawdziwie marynarskie. Matt nie zamierzał nikogo zmuszać do golenia się, ale pilnował, żeby wszyscy w miarę możliwości dbali o estetykę zarostu. Sam starał się go unikać. Chciał wytrwać w pewnej samodyscyplinie, a poza tym nie lubił chodzić nieogolony. Był to też wyraz jego osobistej walki z przeciwnościami.

Wyczuwał, że chodzi o coś ważnego, sięgnął jednak po brzytwę. Jego oficerowie wiedzieli, że po obudzeniu lubi mieć kilka minut dla siebie, i nie powinni być zaskoczeni, poza tym zawsze to lepiej, jeśli kapitan zachowuje się normalnie nawet w najtrudniejszych sytuacjach. Gdyby chodziło o krytyczną sytuację, Garrett na pewno by o tym powiedział. Mimo to Matt starał się nie tracić czasu i już kilka minut później wspinał się na mostek. Aż sam się zdumiał, jak dobrze mu to poszło. Długi sen sprawił, że zmęczenie zniknęło bez śladu, pozostał tylko lęk przed tym, co ich jeszcze czeka. Zawsze czuł się niewyraźnie, gdy niespodziewanie wzywano go na mostek. To, że znajdowali się na środku Morza Jawajskiego i daleko było jeszcze do zachodu słońca, jeszcze pogarszało sytuację. Domyślał się, że jego oficerowie odwlekali wezwanie jak tylko mogli, żeby dać mu się wyspać. No i nie wezwaliby go do byle błażostki. Tyle że obecnie wszystko, nawet drobiazg, mogło być zapowiedzią katastrofy.

- Kapitan na mostku! - zawołał Garrett. Czekał już przy stole nakresowym.

- Potwierdzam. Co się dzieje, panie Garrett?

- Mamy kontakt nawodny, kapitanie. Lepiej go widać z platformy.

Garrett ruszył schodnią prowadzącą na stanowisko kontroli ognia. Matt poszedł za nim, wolniej, bo z jedną tylko sprawną ręką. Sandra obiecała, że obejrzy dziś jego ramię i zdecyduje, czy można zrezygnować z opatrunku, jednak przespawszy tyle czasu, nie miał jeszcze okazji się z nią zobaczyć. W końcu dotarł na górę i stanął obok porucznika przy bezużytecznym dalecełowniku.

- Lewoburtowa ćwiartka dziobowa - powiedział Garrett, wskazując ręką. - Na samym horyzoncie. Najpierw zauważyli je z *Nerracki*, ale ona ma obserwatorów wyżej. Jednak gdy przekazali nam sygnał, nie musieliśmy długo czekać, żeby też coś zobaczyć.

Matt uniósł lornetę. Chwilę poprawiał ostrość. Znajdowali się w jednym z niewielu miejsc Morza Jawajskiego, gdzie nigdzie wkoło nie było widać lądu. Niebawem mieli podejść do wysp przy południowym wybrzeżu Borneo, ale na razie wszędzie była tylko woda. Na niebie sunęło leniwie stadko obłoków umykających zwawo w kierunku Borneo. Wiatr musiał zmienić się w końcu na południowy.

Na horyzoncie rzeczywiście wznosiły się wieże brudnobiałych żagli, widoczne

wyraźnie na tle bladobłękitnego nieba. Gdy Matt przyjrzał się im uważniej, przekonał się, że nie chodzi tylko o kilka jednostek. Żagli było zbyt wiele jak na grupę rozpoznawczą. Kapitan poczuł lodowaty dotyk strachu. Co gorsza, wydało mu się, że dostrzega także wyrastającą zza horyzontu kolumnę szaroczarnego dymu, kierującą się na północ, w stronę Borneo i Cieśniny Makasarskiej. Opuścił lornetę i pozwolił jej zawisnąć na rzemieniu.

- Musieli już nas zauważyć - powiedział. - Przynajmniej *Nerraccę*. Jej maszty są dwukrotnie wyższe niż ich.

- Tak, sir. Trudno powiedzieć na pewno, ale chyba wtedy właśnie zmienili kurs. Wtedy pana wezwałem. Czy mam zarządzić alarm bojowy?

- Jeszcze nie. Proszę jednak wezwać zaraz na mostek pana McFarlane'a, pana Dowdena i bosmana.

- Aye, aye, kapitanie.

Dziesięć minut później Matt postukał palcem w mapę.

- Jesteśmy tutaj - powiedział do grupki, która zgromadziła się na mostku, i przesunął palec trochę na północny zachód. - Przeciwnik jest tutaj. Teraz już nie mam wątpliwości, że wiedzą o Baalkpanie. Nie ma żadnego innego powodu, dla którego mieliby tutaj płynąć. Tak jak się obawialiśmy, Japończycy musieli podsłuchiwać nasze komunikaty radiowe. No i donieśli na nas jaszczurom - dodał z krzywym uśmiechem. - Być może pomagają im, bo nie mają wyboru, w tym wypadku jednak zrobili to pewnie z własnej woli. - To akurat wciąż go dziwiło. Owszem, Japończycy byli wrogami, a ci z *Amagiego* mieli na dodatek powód do „osobistej” animozji, jednak trudno mu było pojąć, jak ktokolwiek może dobrowolnie pomagać grikom. Ciekawe, co myśleli o tym młodszy oficerowie krążownika? Cóż, pewnie nie mieli wiele do powiedzenia. - Na razie trudno powiedzieć, czy to główne siły przeciwnika, na pewno jednak jest to bardzo duży zespół. Obserwatorzy na wieżach *Nerracki* doliczyli się dotąd prawie stu jednostek. - Przerwał na chwilę i zaczerpnął haust powietrza. - Gdzieś daleko widać też kolumnę dymu. Musimy przyjąć, że to *Amagi*.

- Ale... porucznik Mallory meldował, że zarówno grupa rozpoznawcza, jak i wielki zespół floty przeciwnika płyną kursem na Aryaal - nie wytrzymał Dowden.

- Tak, ale jeśli naprawdę mają ponad trzysta jednostek, mogli się rozdzielić na dwa wielkie zespoły. I chyba tak właśnie zrobili.

- Musimy ostrzec Baalkpan! - powiedział Spanky z policzkiem wypchanym żółtymi liśćmi.

- Już to robimy. Mam nadzieję, że nas słyszą. Jesteśmy dość daleko - powiedział kapitan, marszcząc czoło. - Kazałem Clancy'emu poprosić o potwierdzenie. W tej sytuacji

utrzymywanie ciszy radiowej nie ma sensu. I tak wiedzą, dokąd płyniemy.

- A co z *Nerraccą*? - spytał Dowden z lekko pobladłą twarzą.

- To właśnie nasz problem - odparł Matt. - *Walker* mógłby bez trudu ujść przed wrogiem, ale *Nerracca* nie ma na to szans. Zyskała przynajmniej węzeł na zmianie wiatru i jak na siebie sunie całkiem prędko. Jaszczury idą na razie pod wiatr, ale to się zmieni, gdy skręcą koło wysp na północ. - Wskazał miejsce na mapie. - Wtedy nie będzie miała szans. Jak widzicie, podchodzą do nas pod kątem.

- Cholera, skipper - warknął Gray. - I nic nie możemy zrobić? Tam jest z siedem czy osiem tysięcy ludzi!

Matt spojrzał na niego ostro.

- To ja pana chcę spytać, czy możemy coś zrobić! - Zerknął na pozostałych. - Panowie, musimy coś wymyślić, i to szybko! - Zauważył, że McFarlane jakby się nad czymś zastanawiał. - Wypluj to, Spanky!

- Cóż, *Nerracca* robi teraz sześć węzłów.

- Mniej więcej.

- Jeśli rozpalimy pod kotłem numer dwa, możemy wyciągnąć na krótko nawet trzydzieści węzłów. Na dłuższą metę dwadzieścia osiem, jeśli nic nie trzaśnie. To olbrzymia moc - stwierdził, czekając na komentarze.

- Myślisz, żeby wziąć ją na hol? - spytał zaskoczony Matt.

Spanky kiwnął głową.

- Ale czy to wystarczy? - zastanowił się sceptycznie Garrett. - Wiem, że pływający dom jest przede wszystkim z drewna, ale ma bardzo gruby kadłub i jest wielki. Przy obecnym przeciążeniu musi wypierać ze dwadzieścia tysięcy ton!

- Zapewne więcej - mruknął Spanky.

- Czy jesteśmy w stanie na tyle zwiększyć jej prędkość, żeby warto było w ogóle próbować? - spytał Matt.

- Nie mam pojęcia, skipper - odparł Spanky. - Ale nie wiem, co innego możemy zrobić.

- Jestem za tym, żeby spróbować - powiedział Gray. - Nie wiem tylko, czy mamy dość mocną linę.

- *Nerracca* ma mnóstwo grubych cum - stwierdził Garrett, myśląc głośno. - Rany, sama jej lina kotwiczna jest gruba na trzy stopy!

- Zgadza się - mruknął bosman. - Ale jak ją zaczepimy? Nie mamy na pokładzie niczego, co by to wytrzymało.

- No to wymyśl coś, Fitz! - warknął Spanky na bosmana. - Jesteś odpowiedzialny za pokład. Zawsze nam o tym przypominasz! Na pewno coś wymyślisz. Na przykład jak rozłożyć tę siłę na więcej knag.

Gray pokiwał głową.

- To może się udać. Sprawdź.

- Będą jeszcze inne problemy, kapitanie - odezwał się Larry Dowden.

- Wiem - odparł z westchnieniem Matt. - Ale też je rozwiążemy, prawda? - Zerknął na armadę, którą musieli wyprzedzić, by nie przecięła ich kursu. - Nie mamy innego wyboru.

\*

Pete Alden stał na jednym z wielu balkonów przyległych do wielkiej sali Nakii-Mura. Konary wyrastającego przez otwór w dachu drzewa dawały trochę upragnionego cienia, ale powietrze było wilgotne, a dzień gorący i męczący. Pete otarł pot z twarzy i łyknął podsunętego mu przez ludzi wodza słodko-kwaśnego nektaru. Skrzywił się na ten smak, który pasował jednak do sytuacji. Daleko przy pirsie stał *Mahan*, który mimo uszkodzeń nie dał się sztormowi i dwa dni temu zawinął do Baalkpanu. Smutno się prezentował z zaciekami rdzy na burtach, bez komina i pomostu ze szperaczem. Sterówka i mostek zostały doprowadzone do użytku, zanim jeszcze opuścił Aryaal, brakło jednak dzwonu okrętowego i gwizdka.

Jim Ellis przekazał, co u niego, chociaż Ed ciągle dziwnie się czuł, przyjmując meldunki od oficera. Zasadniczo sprawami administracyjnymi zajmował się Letts, który w praktyce był zastępcą Nakii, ale gdy przybył *Mahan*, przeprowadzał akurat inspekcję odwiertu. Przy okazji miał sprowadzić z powrotem motorówkę. Niestety, wszystko wskazywało na to, że Tony Scott padł ofiarą „superjaszczura”, polującego z zasadzki potomka alozaura, jak określił to stworzenie Bradford. Nie było ich wiele na wyspie i Pete żadnego jeszcze nie widział, ale w pobliżu rurociągu znaleziono tropy oraz ślady krwi. Potwór musiał czekać na zdobycz ukryty w gęstym listowiu obok przecinki i Scott pewnie wyszedł prosto na niego. Przy całym żalu i współczuciu Pete nie mógł nie zauważyć osobliwej ironii losu, że taka właśnie śmierć spotkała jego towarzysza.

Tak czy owak, ponieważ Pete pełnił obowiązki dowódcy obrony Baalkpanu, Jim zameldował się u niego radośnie, gdy tylko wrócił. W żaden sposób nie dał do zrozumienia, że uważa tę sytuację za niewłaściwą, i Pete był mu za to wdzięczny. W tym, że porucznik marynarki wojennej melduje się u syna pani Alden, było jeszcze więcej ironii niż w tym, co spotkało Scotta. Od tamtej pory Jim cały czas przebywał w porcie, pracując wraz z setkami lemurów przy okręcie. Nakja oddał im do dyspozycji wszystkie zasoby miasta, stwierdziwszy

jednoznacznie, że niszczyciel ma zostać wyremontowany niezależnie od kosztów.

Wódz z pewnością rozumiał wagę sytuacji i Alden nie miał żadnego powodu do narzekań. Wszelkie kręcenie nosem na wykorzystywanie zasobów skończyło się jak ręką odjął. Koncepcja wojny totalnej i konieczność ocalenia miasta miały swoją wagę i wszystko inne stało się nieistotne. Ubocznym skutkiem był rozkwit miejscowej biurokracji. Nakja piastował stanowisko, którego odpowiednikiem byłby urząd sekretarza stanu, zajmował się też jednak handlem, rolnictwem, robotami publicznymi i wojną. O żadnej z tych spraw nie miał większego pojęcia, starczyło mu jednak rozumu, żeby poszukać bardziej kompetentnych osób. Sam pilnował po prostu, żeby maszyna była odpowiednio naoliwiona, i rozstrzygał spory. Świetnie radził sobie także z ustalaniem priorytetów i wskazywaniem prac, które pierwsze należało wykonać. Polegał w tym bardzo na Aldenie i Lettsie, ale ponieważ wszyscy uważali, że wysiłek wojenny jest absolutnie najważniejszy, nie dochodziło między nimi do konfliktów.

Jedynym wyłomem w jedności było to, co Letts nazywał partią ucieczki. Frakcja zwolenników rejterady stanowiła mniejszość, jako że większość jej członków już uciekła, wzmocniła się jednak po przybyciu *Fristara* z wieścią, że zakrojona z wielkim rozmachem kampania zmieniła się w rozpaczliwy odwrót. Alden przypuszczał, że gdy sytuacja stanie się powszechnie znana, „partia ucieczki” zyska wielu konwertytów. Kotowaci nie mieli prezydenta ani żadnej innej nadrzędnej instytucji ponad pływającymi domami i lądowymi koloniami, których delegaci przybyli na Baalkpan. Wszyscy wodzowie byli sobie zasadniczo równi, podobnie jak władcy miast-państw w starożytnej Grecji. Alden zastanawiał się nad tym. W odróżnieniu od kapitana nie był biegły w historii, ale słyszał o Spartanach i Termopilach i miał nadzieję, że nie czeka ich podobny los. Wiedział też, że jednym z większych problemów Greków była niezdolność do współdziałania. Nakja starał się to zneutralizować, wykorzystując prawa gospodarza. Z tego właśnie powodu niezmiennie przewodniczył wszystkim spotkaniom i nikt, gościem w końcu będąc, nie śmiał pozbawić go tej funkcji. To dawało mu znaczący wpływ na wszystkie dyskusje i decyzje.

Pete spojrział na rozciągające się w dole miasto i raz jeszcze zadumał się nad mądrością jego mieszkańców. Zamiast otaczać się murami, jak w Aryaalu, budowali po prostu domy na palach, co świetnie chroniło ich przed drapieżcami i pozwalało spać spokojnie w nocy. Owszem, takie budownictwo nie przydawało się nijak w razie napaści wrogiej armii, ale też Baalkpan nigdy wcześniej nie zetknął się z takim zagrożeniem. Tym bardziej Alden współczuł miejscowym, którzy zetknęli się już z nowymi informacjami. Zwłaszcza tymi, które zeszłego wieczoru przyniosła Catalina.

Z początku próbowano ukrywać, że *Zemsta* zatoneła i że wobec nowego zagrożenia konieczna okazała się ewakuacja Aryaalu i B'mbaado. Tajemnica nie utrzymała się jednak długo. Wystarczyło, że Nakja poczuł się w obowiązku zapoznać z raportem pozostałych wodzów. Krótco potem Steve Riggs usłyszał od jakiegoś handlarza ryb, jakoby na zebraniu wodzów ogłoszono, że całe siły ekspedycyjne zostały zniszczone. Ledwie Pete się o tym dowiedział, uznał, że trzeba jednak coś zrobić. Wraz ze Steve'em poszedł do Nakii i zażądał od niego, by przygotował specjalne oświadczenie przedstawiające pełny, prawdziwy obraz wydarzeń. I nie kiedyś, ale teraz, zaraz, natychmiast. Ludzie musieli usłyszeć, że choć rzeczywiście doszło do odwrotu, obrona Baalkpanu zostanie wzmocniona przez tysiące nowych wojowników. Obawiał się, że w przeciwnym razie w zatoce nie będzie już rano ani jednego pływającego domu, miasto zaś okaże się w połowie opuszczone. Nakja posłuchał i udało się wygasić histeryczne nastroje, niepokój jednak pozostał.

Baalkpan miał obecnie więcej nowych sojuszników niż tylko mieszkańcy Aryaalu i B'mbaado. Od czasu wyruszenia połączonych sił w zatoce pojawiło się kilka kolejnych pływających domów, a nowiny o zagrożeniu ze strony grików docierały coraz dalej. Większość zgadzała się, że chodzi o tego samego wroga, który w prehistorycznych czasach wypędził lemury z raj. Ci, którzy wiedzieli coś więcej o wielkiej wojnie na zachodzie, byli przekonani, że Baalkpan i sprzymierzone z nim pływające domy poświęcają się dla wszystkich kotowatych, starając się odsunąć od nich widmo zagłady. Doceniano to, że miasto nie zawahało się uszczuplić szeregów obrońców, żeby walczyć z wrogiem także gdzie indziej. Jednak niewielu wojowników przybywało wzmocnić załogę miasta.

Kilkuset przyplęnęło z kolonii Sutar, znajdującej się po drugiej stronie Cieśniny Makasarskiej. Sutarianie od początku nieufnie podchodzili do planów ofensywy i nie wzięli udziału w wielkim zebraniu. Po wyruszeniu sił ekspedycyjnych uznali, że kampania musi się zakończyć klęską, i cała ludność ewakuowała się nie gdzie indziej, ale do Manili. Wielu mieszkańców Baalkpanu też się tam udało. Z drugiej strony pozostali w Baalkpanie wojownicy Sutaru należeli do najbardziej zagorzałych zwolenników wprowadzanych przez Aldena metod walki. Nie było ich dość do obrony kolonii, ale gotowi byli podjąć walkę z grikami. Może wstydzili się trochę za resztę swoich pobratymców. Ich zapał był tak wielki, że zamierzali zabrać się następnym transportem do Aryaalu.

Manila była największym znanym miastem lemurów, kulturowo niemal identycznym z Baalkpanem. Zarządzający tam San-Kakja wysyłał regularnie do bratniego miasta na południu żywność, robotników i wojowników. Ci ostatni też chętnie brali udział w szkoleniach Aldena, jednak nie było ich wielu. San obawiał się, że w razie złego obrotu spraw

i upadku Baalkpanu nieprzyjaciel prędzej czy później uderzy także na Manilę, czynił więc własne przygotowania do obrony. Miasto było wszakże otwarte dla uchodźców i nikt nie wątpił, że w razie potrzeby to Manila byłaby nowym miejscem koncentracji sił. O ile, oczywiście, będą jakieś szanse, żeby się tam wycofać.

Klany pływających domów też były bardzo pomocne, niestrudzenie przewożąc towary i uchodźców. Była to działalność tylko pozornie łatwa, ponieważ wiązała się z ryzykiem spotkania gigaryb zamieszkujących głębsze rejony morza Celebes. Normalnie nie były one groźne dla wielkich statków, chociaż w praktyce mogłyby je niszczyć, gdyby chciały. Lemury nie przypadkiem nauczyły się budować aż tak olbrzymie żaglowce. Gigaryby nie atakowały ich, być może nie uznając ich po prostu za pożywienie albo myląc z innymi gigarybami. Ryzyko pojawiało się tylko w porze tarła, które odbywało się właśnie o tej porze roku. Gigaryby robiły się wtedy drażliwe, zapewne strzegąc swego terytorium. Nikt nie wiedział, co właściwie nimi kieruje, liczone się jednak z tym, że mogą atakować, przez co udział załóg pływających domów w wysiłku wojennym zyskiwał szczególne uznanie, chociaż dla samej obrony miasta nie miał on wielkiego znaczenia.

Pete nie łudził się, że wielkie statki podejmą tutaj walkę, gdyby do tego doszło. Były przydatne, ale tak jak w wypadku *Fristara*, ich załogi nie za bardzo rozumiały, dlaczego mieszkańcy Baalkpanu, czy jakiegokolwiek innego miasta, chcą bronić swojej ziemi. Owszem, wielu deklarowało, że nie ma nic przeciwko walce z grikami, i gotowych było zmagać się z nimi na morzu. Ale na lądzie... Gdyby nieprzyjaciel zaatakował Baalkpan, po prostu by uciekli. Bo i dlaczego nie? W odróżnieniu od przodków mieli pełną swobodę ruchu. Zawsze mogli umknąć grikom. Nakja próbował ich przekonać, że tym razem jest inaczej, że jaszczury mają własne statki i za nimi popłyną. Jak daleko mogą się wycofywać? Czy ruszą przez Wielki Ocean Wschodni, gdy nie będzie już innej możliwości? Czy popłyną na kraniec świata, żeby spaść z jego krawędzi? Na ten ostatni argument nikt nie miał dobrej odpowiedzi.

Aldena prawie to nie obchodziło. On interesował się tylko żołnierzami, którymi dowodził. Był prawdziwym marine, ale nawet nie myślał o wykorzystywaniu swoich oddziałów do nadzoru tej części tubylczych wojowników, którzy nie mieli ochoty do walki. Poza tym wiedział, że w razie przybycia grików pływające domy będą potrzebne do ewakuacji reszty cywilów, którzy zostali jeszcze w mieście. Inna sprawa, że nie było ich już wielu. Sporo tych, którzy nie zdecydowali się wcześniej na ewakuację, podjęło z czasem szkolenie wojskowe. Poza tym pracowali przy rozbudowie umocnień miasta.

Fortyfikacje, o których Alden z dumą meldował kapitanowi, były nie lada dziełem. Większość z nich była widoczna z balkonu, na którym akurat stał. Baalkpan został otoczony

wysokim na dziesięć stóp wałem ziemnym wzmocnionym belkami i głęboką, szeroką fosą przebiegającą u jego podstawy. Dalej rozciągał się nagi teren dający idealne pole ostrzału i najeżony pułapkami, w tym zaostrzonymi palami oraz zasiekami. Od strony zatoki rozmieszczono ciężkie działa w rodzaju tych, w które zostały uzbrojone pływające domy. Dziesiątki mniejszych dział dwunastofuntowych, identycznych z odlanymi dla *Zemsty*, broniły dostępu do miasta od strony lądu. Za nimi znajdowały się stanowiska moździerzy. Wszystkie otrzymały osłony chroniące przed pociskami z kusz, a zachodzące na siebie pola ostrzału nie dawały przeciwnikowi szansy podejścia na tyle blisko, żeby mógł użyć katapult miotających bomby zapalające. Przygotowano też liczne podręczne magazyny amunicji oraz wykopano studnie mające dostarczać wody nie tylko do picia, ale i gaszenia pożarów. Zgromadzono tony zakonserwowanej żywności, głównie ryb, która mogła wystarczyć obrońcom na wiele miesięcy.

Na przyłдку przy wejściu do zatoki porucznik Brister wzniósł fort na planie pięciokąta, który to wzór świetnie sprawdził się w osiemnastym i dziewiętnastym wieku. Podobnie jak poprzednicy, został on wyposażony w ciężkie działa strzegące podejścia do Baalkpanu. Konstrukcję miał bardzo podobną jak umocnienia miasta i też zaopatrywano go w duże rezerwy żywności na wypadek odcięcia łączności z resztą lądu. Brister nazwał go Fortem Atkinsona, na cześć kapitana USS *Mahan* poległego podczas walki z *Amagim*. Brister bardzo go podziwiał i był dumny ze swojego dzieła. Pete też. Podobnie zresztą patrzył na wszystko, co udało im się zrobić w ramach przygotowań miasta do obrony. Z drugiej strony modlił się, żeby te umocnienia nigdy nie okazały się potrzebne. O tym samym pomyślał teraz, czekając na Nakję, żeby zacząć popołudniowe spotkanie robocze.

Kotara oddzielająca balkon od wielkiej sali zafalowała i odchyliła się, przepuszczając Nakję, który trzymał już puchar nektaru. Oblicze miał prawie nieodgadnione, jeśli nie liczyć lekkiego skrzywienia ust. Przygarbione ramiona i zwisający bez ruchu ogon zdradzały jednak zmęczenie.

- Dzień dobry, gener-aale Alden - powiedział.

Pete nie opanował grymasu. Nie cierpiał, gdy Nakja tak się do niego zwracał, zwłaszcza przy innych.

- Dzień dobry, Nakja-Mur, u-amaki ay Baalkpan - odrzekł.

- Jak przygotowania?

- W normie - odparł Pete, wruszając ramionami. - Zaczęliśmy budowę dodatkowych zadaszeń nad bateriami oraz schronień dla rezerw i personelu medycznego. Nie, żeby wiele pomogły przeciwko szesnastocalowym pociskom, ale przynajmniej osłonią przed odłamkami.



Nic więcej nie możemy zrobić.

- Szesnastocalowe działa są tak groźne?

- To ponad dwa razy więcej niż w wypadku artylerii głównej *Walkera*.

- Ale te działa, które pomogliście nam zbudować, też są znacznie większe.

- Owszem - przyznał Alden. - Lecz jak już wyjaśniałem, nie mogą się równać z działami niszczyciela pod względem donośności, skuteczności i celności. Chciałbym, żeby były lepsze, ale nasze możliwości produkcyjne nie pozwalają na razie na nic więcej. Co do *Amagiego*, jego działa są jeszcze potężniejsze i mogą wystrzeliwać pociski na odległość dziesięć razy większą niż *Walker*.

- Mówisz, że nie możemy obronić się przed *Amagim*? - spytał poważnie Nakja. - Nawet teraz, gdy mamy dwa szybkie żelazne okręty?

- Nawet teraz. Sam wiesz zresztą, że *Mahan* nie nadaje się obecnie do walki. Jim daje z siebie wszystko, żeby to zmienić, i w końcu pewnie mu się uda, ale nawet gdyby oba nasze okręty były całkiem nowe, nie miałyby szans z tą pływającą stodołą. Coś jednak wymyślimy. Musimy. Na razie jednak możemy się co najwyżej modlić.

- Nie omieszka - mruknął Nakja. - Będę się modlił, żeby ten wielki okręt nigdy nam nie zagroził.

Właśnie wtedy pojawił się na balkonie Ed Palmer w towarzystwie dwóch gwardzistów, którzy stanęli w pobliżu, oczekując na rozkazy. Aldenowi serce niemal stanęło, gdy ujrzał poszarzałą twarz Eda.

- Chyba dobrze będzie zacząć modlić się już teraz - powiedział Pete, zanim jeszcze Ed przekazał im nowiny.

\*

Sceptyczny, ale ze wszech miar chętny do działania Tassat-Ay-Aracca nadzorował przekazanie na rufę *Walkera* grubej cumy z pętlą. Niszczyciel kołysał się spokojnie na zawietrznej wielkiego statku z czterema masywnymi cumami na rufowych knagach. Wszystkie one zostały przeprowadzone przez burtowe ochraniacze śrub i zamocowane do podanego holu. Po napięciu całości miejsce łączenia znalazło się jakieś pięćdziesiąt jardów za rufą. Pomosty pływającego domu pełne były ciekawych obserwatorów czekających na ukończenie prac wykonywanych głównie przez Chacka i jego podwładnych z piechoty morskiej. Gdy wszystko było gotowe, Gray dał niechętnie sygnał, żeby rozpocząć holowanie. Nie wiedział, czy konstrukcja niszczyciela wytrzyma ten wysiłek, ale nie mając innego wyjścia, musieli chociaż spróbować.

*Walker* ruszył przed siebie, wyrzucając gorący dym z trzech kominów. Wybrawszy resztę luzu, napiął liny, aż całkiem wynurzyły się z wody. Gray obserwował je cały czas, podczas gdy Spanky czuwał pod pokładem. Matt chodził tam i z powrotem między lewym skrzydłem mostka i tylnym relingiem. Z tego miejsca najlepiej widział i swój okręt, i *Nerracę*, i nadciągającego nieprzyjaciela. W pewnej chwili nakazał Dowdenowi, żeby lekko skorygował kurs. Wcześniej długo tłumaczył Tassatowi, że jego pływający dom musi podążać cały czas dokładnie za niszczycielem, trzymając się jego kilwateru, tym razem wyjątkowo burzliwego i dobrze widocznego.

- Dzięki Bogu, że morze jest raczej spokojne - mruknął Garrett, pojawiwszy się obok kapitana. - Inaczej kil naszej łajby pewnie by nie wytrzymał.

Na pokładzie poniżej pojawiły się Sandra i królowa Maraan. Safira spojrzała na Matta wielkimi, srebrzystymi oczami.

- Dziękuję, kap-i-tanie Reddy, za to, co próbuje pan zrobić. Na pokładzie tego statku jest wielu moich poddanych.

Matt skłonił się zakłopotany. Królowa mówiła niemal perfekcyjnym angielskim. Może Chuck był aż tak dobrym nauczycielem, może Sandra powiedziała jej tym razem, co najlepiej będzie powiedzieć.

- Zrobimy, co w naszej mocy, wasza królewska mość - odparł.

- Siedem węzłów! - dobiegło go ze sterówki. - Zaczynamy się rozpędzać!

Prędkość rosła tragicznie powoli, chociaż *Walker* trzeszczał, jęczał i rzucał się niczym ogar próbujący pociągnąć słońca. Doszli jednak do dziewięciu węzłów. Nieprzyjaciel był już blisko, jednak niepomyślny wiatr wciąż nie pozwalał mu na skuteczny pościg. Z jednym wyjątkiem - krążownika liniowego *Amagi*. Wprawdzie powolny, był jednak niezależny od wiatru i obrał kurs wiodący go wprost na uciekające jednostki. Kolumna czarnego dymu była z każdą chwilą wyraźniejsza. W końcu obserwatorzy zameldowali, że widzą nad horyzontem przypominającą pagodę główną nadbudówkę okrętu.

Prędkość zespołu osiągnęła dziesięć węzłów i niezależnie od wysiłków niszczyciela nie chciała już rosnąć. Słońce zaczęło zachodzić, ale grikowie byli już bardzo blisko. Niebawem miało się okazać, czy pościg przerodzi się w walkę. Matt próbował oszacować, jak prędko przeciwnik może płynąć z wiatrem dokładnie w rufę. Widział już wcześniej statki grików robiące nawet do dwunastu węzłów, ale zawsze z wiatrem wiejącym trochę pod kątem do kursu, co było najkorzystniejsze przy ożaglowaniu rejowym. Gdyby udało im się utrzymać obecne tempo aż do samego Baalkpanu, przemknąwszy przed jednostkami, które usiłowały odciąć im drogę, mieliby spore szanse. Tyle że już niebawem mieli znaleźć się w zasięgu

ciężkich dział *Amagięgo*. Zapadające ciemności utrudnią jednak załodze krążownika celowanie... Jeśli i jego zostawią za rufą, nigdy ich nie dogodni, skoro rozwija tylko osiem węzłów.

Jednak dwa statki grików, być może z lepszymi załogami albo mniej obrośniętymi kadłubami, wysforowały się przed flotę. Matt nie miał nigdy problemów z rozwiązywaniem zadań z geometrii i szybko się zorientował, że nie ujdą tej dwójce.

- Ogłosić alarm bojowy - rozkazał.

Charakterystyczny dźwięk rozbrzmiał na całym okręcie i załoga zamieniła czapki na hełmy. Matt nakazał także założyć kamizelki ratunkowe, chociaż wiedział - tak jak załoga - że nie ma to żadnego sensu. Sandra zwróciła jednak uwagę, że w pewnym stopniu chronią przed odłamkami i strzałami z kusz. Kotowaci nie cierpieli kamizelek również dlatego, że były dla nich za duże, ale posłusznie wykonali rozkaz.

Ostatni zameldował gotowość Bernard Sandison, który miał najdłuższą drogę do przejścia od wyrzutni torpedowej. Ostatecznie podłączył jednak słuchawki do interkomu i pokazał uniesiony kciuk.

- Wszystkie stanowiska obsadzone i gotowe, kapitanie - powiedział głośno Reynolds.

- Dobrze. Kto jest w bocianim gnieździe?

- Bosmanmat Chack, sir.

Matt pokiwał głową. Garrett dobrze przeszkolił lemura, zwłaszcza w obliczaniu dystansu. Wprawdzie z mostka nie było tego dobrze widać, ale oba prowadzące statki grików powinny już być w zasięgu dział niszczyciela. Matt chciał je wyłączyć z walki, zanim znajdą się na kursie *Walkera*, gdzie mógłby prowadzić do nich ogień z działa dziobowego.

- Proszę przekazać panu Garrettowi, że może strzelać, gdy tylko będzie gotowy.

Na platformie kontroli ognia Garrett odebrał w słuchawkach meldunek Chacka i powtórzył go Sandy'emu Newmanowi, który obsługiwał kalkulator artyleryjski:

- Załadować jedynekę, dwójkę i czwórkę. Odległość do celu cztery zero zero zero. Kąt zero sześć zero. Prędkość siedem węzłów.

- Gotowe - zameldowała obsługa dział.

Garrett wiedział, że nie mają dość amunicji, by wstrzeliwać się w cel kilkoma salwami, metodą „drabinki”. Korzystając z jeszcze dobrej widoczności, zamierzał korygować ogień na podstawie pojedynczych strzałów. Chack miał dość dobre oczy, żeby dostrzec miejsce upadku każdego z nich.

- Każde dział oddaje jeden strzał - nakazał. - Otworzyć ogień!

Na mostku odezwał się brzęczyk uprzedzający przed wystrzałem i chwilę później

okręt zadrzał. Pociski kalibru czterech cali błyskawicznie pokonały odległość od celu. Na śródokręciu pierwszej z nieprzyjacielskich jednostek wykwitł czerwony rozbłysk i załoga niszczyciela wrzasnęła z radości. Matt też dał się ponieść. Chack był wart swej ceny w złocie.

- Cisz! - ryknął bosman od działa numer jeden na pokładzie dziobowym. - Łap łuskę, Davis, zanim stoczy się za burtę! - Wrzeszczał tak głośno, że chyba połowa załogi musiała go słyszeć.

Matt spojrział z uśmiechem na wachtowego.

- Właśnie. Jak przycichną, może uda się to powtórzyć - powiedział.

Następny statek został zniszczony niemal równie szybko, chociaż konieczne były aż dwie salwy. Zapewne dlatego, że manewrował, by ominąć pierwszą, tonącą już jednostkę. Zbliżało się jednak coraz więcej żaglowców. Być może zniszczenie tych dwóch zmotywowało załogi do większego wysiłku.

- Kapitanie, pan Garrett sugeruje przejście na pojedyncze strzały oddawane kolejno z poszczególnych dział. Może nie każdy będzie tak dobry, żeby zatopić cel, ale na pewno ich spowolnimy.

- Zgoda - powiedział Matt. - Nie mamy dość amunicji, żeby ostrzelać je wszystkie.

Przez kilka następnych minut słyszeli tylko rytmiczne dudnienie dochodzące na zmianę z przodu i z tyłu mostka. W zapadającym zmroku dobrze widzieli płonące przed nimi wraki. Garrett wyznaczał do ostrzału tylko te statki, które mogły przeciąć ich kurs, i na razie było to całkiem dobre rozwiązanie. Matt zerkał co jakiś czas na lewo, sprawdzając, jak daleko znajduje się *Amagi*, ale trudno było mu dostrzec krążownik. Słońce schowało się za morzem żagli, które zasłoniły także charakterystyczny pomost bojowy okrętu. Jednak w pewnej chwili coś błysnęło trochę na północ od miejsca, w które się wpatrywał. No i znacznie bliżej, niż oczekiwał.

- Kapitanie! - zawołał Reynolds. - Obserwator melduje, że *Amagi* otworzył ogień!

- Widziałem - odparł Matt. - Ster prawo... - Przerwał nagle. - Wróć! Ster prosto! Utrzymać obecny kurs! - *Walker* nie mógł wykonać żadnego manewru unikowego. Nie z tak wielkim obiektem na holu.

- Mój Boże - szepnął Dowden. - Jesteśmy jak kaczka na jajach.

- Panie Dowden, odnoszę wrażenie, że pańskie miejsce jest na rezerwowym stanowisku dowodzenia! - powiedział Matt. - Może uda pan się tam jak najszybciej?

- Aye, aye, kapitanie! Przepraszam! - rzucił Dowden i pognął do zejścia. Zanim jeszcze do niego dotarł, na sporej połaci oceanu wykwitło osiem wielkich fontann. Najbliższa podniosła się tysiąc pięćset jardów od lewej burty niszczyciela. Salwa upadła z olbrzymim

rozzrzutem wynoszącym ponad ćwierć mili. *Amagi* musiał prowadzić ogień na maksymalnej donośności dział.

- Postawić zasłonę dymną! - odezwał się Matt do wachtowego, przekrzykując wiatr. - Sygnał na *Nerrackę*: żadnych świateł! - Kolejna salwa przeciwnika spadła trochę bliżej, ale podobnie rozrzuciona. Z kominów niszczyciela zaczął wydobywać się tłusty czarny dym, odpływający na północ, w stronę wroga. Robiło się coraz ciemniej, ale *Walker* i *Nerracca* ciągle były jeszcze widoczne. Dym mógł trochę pomóc, jednak samotny niszczyciel nie był w stanie wytworzyć go dość, żeby ukryć statek rozmiarów małej wyspy.

- Jak tam z przodu? - spytał Matt, połączywszy się z Garrettem. Nie widział już żadnych innych jednostek grików, oprócz tych płonących na skutek ostrzału. Inaczej niż podczas bitwy w zatoce tym razem nieprzyjaciel wygasił światła nawigacyjne. - Czy przejdziemy, jeśli wstrzymamy ogień? Błyski z dział mogą wskazywać Japończykom cel.

- Nie, sir - odparł Garrett. - Mamy jeszcze paru drani prawie na kursie. Jeśli sięgną nas albo *Nerraccę* bombą zapalającą, dopiero będzie widać!

- Rozumiem. Ale proszę nie otwierać ognia, jeśli nie będzie to naprawdę konieczne. - Matt spojrział za rufę, gdzie mimo zmroku i zasłony dymnej białe żagle pływającego domu ciągle jaśniały z bolesną wyrazistością.

Kolejna salwa *Amagiego* rozświetliła horyzont. Kilka chwil później podwodne eksplozje wyrzuciły kolumny wody, a fala uderzeniowa odebrała na chwilę oddech i ogłuszyła Matta. Tym razem było już bliżej, a przeciwnik użył pocisków burzących, zamiast przeciwpancernych. W sumie było to logiczne. Wobec kadłubów pozbawionych grubej stalowej osłony takie pociski były o wiele skuteczniejsze. Kapitan spojrział w dół i dostrzegł stojących pod mostkiem Bradforda, Sandrę i królową Maraan. Porucznik Tucker nie chciała się pewnie wyłamywać, inaczej sama wspięłaby się już na górę.

- Chodźcie! - krzyknął do nich Matt. - Tylko zostańcie na skrzydle, jeśli łaska!

Cała trójka wspięła się błyskawicznie na mostek.

- Dobra robota, kapitanie! - zawołał Bradford, ściskając dłoń Matta. - Pokazał pan jaszczurom, gdzie ich miejsce! A Japońcy tylko głuszą ryby!

- Nie wierzyłabym, że istnieją tak potężne działa, gdybym nie zobaczyła tego na własne oczy - powiedziała Safira. - Czy jesteśmy tutaj bezpieczni?

Następna salwa nadleciała z charakterystycznym odgłosem, jakby ktoś energicznie rozdierał płachtę grubego płótna. Ta była bardzo bliska. Większość pocisków spadła nieszkodliwie ze sto jardów od lewej burty, jeden tylko eksplodował o trzydzieści jardów od *Walkera*, zasypując okręt odłamkami i niemal wyrzucając go z wody. Kolejny przeniosło nad

niszczycielem, spadł dwieście jardów dalej. Ostatni trafił *Nerraccę* u podstawy przedniej wieży.

Olbrzymia eksplozja rozkwitła kulą ognia i rozrzuciła płonące odłamki i szczątki Bóg wie ilu pasażerów na setki metrów wkoło. Niektóre doleciały aż do niszczyciela. Królowa uniosła dłoń do ust. Był to tak ludzki gest, że Bradford aż przytulił Safirę. Matt dopiero po chwili pojął, że odruchowo objął Sandrę, zaraz jednak się odsunął i cofnął do sterówki.

- Meldować o uszkodzeniach! - rozkazał.

- Niewielkie przecieki w przedniej maszynowni! - przekazał mu po chwili Reynolds. - Kilkanaście otworów w poszyciu lewej burty, od małych po takie na stopę. Tylko część poniżej linii wodnej, obsługa uważa, że szybko je zatka. - Przerwał na chwilę, słuchając kolejnego meldunku. - Wyrzutnia torpedowa numer cztery przypomina ser szwajcarski, jeden z kotowatych oberwał. Trzech rannych w drodze do mesy. - Matt obrócił się ku Sandrze, ale dziewczyna zeszła już z mostka. Rozbrzmiał brzęczyk i działa numer jeden i dwa plunęły ogniem do pary jednostek grików, które za bardzo się zbliżyły. Nad niszczycielem ponownie przemknęło japońskie żelastwo i Matt czym prędzej wrócił na skrzydło mostka. Pociski obramowały *Nerraccę*. Jeden spadł blisko w kilwaterze niszczyciela i chociaż nie eksplodował, kaskada wody przemoczyła wszystkich na zapasowym stanowisku dowodzenia oraz obsadę działa numer cztery. *Nerracca* też oberwała, i to blisko miejsca, gdzie Japończycy trafili ją poprzednio.

- Awaryjna naprzód! - rozkazał Matt.

Cała wachta wymieniła niespokojne spojrzenia, a rufa *Walkera* przysiadła jeszcze niżej w wodzie. Gdyby nie obciążenie, niszczyciel zostawiałby teraz za sobą wyrastający na sześć stóp, spieniony wał wody. Potworne wibracje, do których w miarę już przywykli, stały się nagle po trzykroć silniejsze. Stary okręt jęknął wszystkimi złączami, ale zrobił, czego od niego oczekiwano.

- Kapitanie! - krzyknął Reynolds. - Porucznik McFarlane melduje, że nie starczy nam paliwa, żeby dojść w ten sposób do Baalkpanu! Albo to, albo wcześniej wyprujemy flaki z maszyn, że zacytuję jego słowa!

- Nie musimy aż do Baalkpanu, wystarczy odsadzić się od tego tutaj!

Jeszcze jedna salwa krążownika padła blisko uciekających jednostek. Przednia wieża pływającego domu stała już cała w ogniu i wiatr znosił ogniste szczątki na pokład niszczyciela. Część załogi zaczęła je skopywać do morza. Mimo wiatru i huku nawiewników słychać było krzyki przerażenia i bólu dochodzące z pokładów *Nerracki*.

Na lewym skrzydle mostka pojawił się bosman Gray. Rzucił tylko okiem na królową

łkającą w objęciach Bradforda, ale to wystarczyło, żeby nim wstrząsnąć. Safira była przecież zwykle tak spokojna, silna i opanowana. Niemal się przez to rozmyślił, w końcu jednak podszedł do kapitana.

- Nic z tego nie będzie, skipper - powiedział cicho.

- Nie! - warknął Matt. - Nie zostawimy ich! Tam są tysiące... - Nagle przypomniał sobie tamten słoneczny dzień, kiedy *Exeter* pokazał obrośnięte pąklami dno i skrył się pod falami, zostawiając na powierzchni ostrzeliwanych rozbitków. Potem identyczny niemal los spotkał dzielnego *Encountera*, na końcu śmiertelnie zranionego *Pope'a*, z rufą głęboko w wodzie i krążącymi nad nim maszynami z czerwonymi kołami na skrzydłach i kadłubach. *Walker* szedł dalej, ale to nie on zostawił tonących towarzyszy. Decyzja należała do Matta. To był jego prywatny koszmar, który wrócił nagle tutaj, podczas całkiem innej bitwy. I to był powód, że zawsze starał się ratować, kogo tylko mógł, to właśnie pchnęło go do tej krucjaty przeciwko grikom i podsycalo nienawiść do nieprzyjaciela, odkąd stało się jasne, jaki on naprawdę jest. Grikowie stali się też ucieleśnieniem całego zła, i w pewnej mierze zajęli miejsce Japończyków. A teraz pojawił się jeszcze *Amagi* - kolejny fragment dawnego koszmaru - żeby dokończyć dzieła zniszczenia.

Matt wbił spojrzenie w bosmana.

- Nikogo nie zostawimy - wycedził dobitnie i z takim ogniem w oczach, że Gray aż się cofnął. Matt w końcu spuścił z niego wzrok. - Prędkość? - rzucił przez ramię.

- Przez minutę robiliśmy prawie jedenaście węzłów, skipper, ale teraz znowu około dziewięciu. I prędkość spada.

W *Nerraccę* trafiło kilka pocisków i przedni trójnożny maszt, załamawszy się, opadł na pokład, pociągając za sobą większą część wieży. Ogień ogarniał żagle środkowego masztu. *Walker* zatrzęsł się i o platformę działa na śródokręciu oraz dwa przednie kominy zadzwoniły odłamki.

- Porucznik McFarlane melduje, że musimy trochę spasować, kapitanie! - krzyknął błagalnie Reynolds, który nieustannie odbierał meldunki z całego okrętu. *Walker* doznawał coraz większych zniszczeń i awarii, a on miał przed sobą kapitana, który zdawał się wystawiać okręt na kolejne uszkodzenia. Reynolds miał wrażenie, że pozostał tu jedyną osobą, która zdaje sobie sprawę, w jakiej są sytuacji. Czy kapitan w ogóle go słuchał? Mimo przerażenia przekazał posłusznie kolejny meldunek: - Porucznik mówi, że spada ciśnienie pary w kotle numer cztery. Przypuszcza, że pompa wodna się zatkała. Możliwe też, że ostatni wstrząs poluzował coś w środku.

- Prędkość spadła do sześciu węzłów! - krzyknął Norman Karaś.

Nie mogło być inaczej. *Nerracca* straciła już połowę żagli i z każdą chwilą siedziała głębiej w wodzie, która wlewała się do kadłuba przez otwory wybite pociskami oraz szpary w obluzowanym poszyciu kadłuba. Pływające domy były nadzwyczaj solidnej budowy, ale nie projektowano ich z myślą o przetrwaniu takiego ostrzału.

Przez kilka długich chwil Matt w ogóle się nie odzywał. Tylko patrzył na Graya, jakby chciał natchnąć go swoją determinacją. Brzęczyk uprzedził o wystrzale z działa numer dwa. Wtedy kapitan zamrugał, jakby nagle się obudził, czy wyrwał z koszmarnego snu na jawie. Po chwili znowu był wśród żywych.

- Zmniejszyć obroty do maksymalnych - powiedział cicho.

- Kapitanie! - krzyknął Sandison z prawego skrzydła mostka. - Jakież łodzie do nas podchodzą!

Matt podbiegł do niego i wyrzał przez reling. Za niszczycielem goniła flotylla długich na trzydzieści stóp smukłych łodzi przypominających dawne łodzie wielorybnicze. Kotowaci używali ich do polowań na gri-kakka. Miały podejść na tyle blisko zdobyczy, żeby można ją było sięgnąć harpunem. Wodowano je w wewnętrznych basenach, które Matt widział kiedyś na *Salissie*. Teraz wszystkie były pełne ciemnych postaci.

- Opuścić sieci za burtę! - zawołał. - Zwolnić do dwóch trzecich!

Gdy tylko sieci zostały rozwinięte, łodzie zaczęły podchodzić do burt. Przerazony tłum lemurów wspiął się na pokład. W większości były to dzieci i młodzież.

- Co oni robią, u diabła? - spytał Gray.

- Starają się uratować, ilu tylko mogą - odparł Matt podniesionym głosem. - Proszę zejść na dół i zacząć ich rozmieszczać na okręcie!

- Ale ilu możemy ich wziąć? - spytał wstrząśnięty Gray.

- Tyłu, ilu nam przyślą! Rusz pan dupę i upakuj ich jakoś! Musimy utrzymać trym i tylko pan może o to zadbać! Proszę wziąć sobie wszystkich wolnych do pomocy. - Bosman pognał do zejścia i dopiero teraz Matt zauważył, że tuż obok pojawiła się królowa Maraan. Z czarnym futrem i w takimż odzieniu ledwie ją było widać w ciemności. Tylko odbijające światło oczy rozjaśniały trochę sierść na twarzy, pozwalając dojrzeć spływające łzy. Nad nimi przeleciała kolejna salwa, która zagotowała morze dokoła.

- Wiele ryzykujesz - powiedziała spokojnym, pełnym smutku głosem.

- Ryzykuję wszystko - odparł szczerze Matt. Wystarczyłby jeden celny pocisk, żeby *Walker* się rozpadł, ciskając nielicznych jeszcze żywych do wody, na żer rybom. Potem *Amagi* i armada grików skierowałyby się do Baalkpanu bronionego jedynie przez mocno okaleczonego *Mahana*. Los *Nerracki* i tak był już przesądzony. Japoński krążownik zapewne



wciąż jeszcze strzelał, tylko dlatego, że jego dowódca liczył na trafienie amerykańskiego niszczyciela. - Czasem jednak nie można inaczej.

Łodzie krążyły tam i z powrotem, przewożąc kotowatych, jak tylko mogły najszybciej, podczas gdy *Walker* zmagał się z holem. Bardzo to utrudniało podejmowanie przewożonych, ale wciąż starali się oddalić od nieprzyjaciela. Poza tym jako znieruchomiły cel, pływający dom zostałby zatopiony w kilka minut. Matt zaczął powoli zmieniać kurs, starając się utrudnić nieprzyjacielowi robotę. Nie mógł zrobić wiele więcej, ale trafienia i tak stały się rzadsze. Mimo to salwy nadlatywały jedna za drugą i trudno było pojąć, dlaczego Japończycy nie wahają się tracić aż tyle amunicji, której też przecież nie mieli za wiele. Matt uznał w końcu, że dowódca krążownika nie chce ryzykować, że zdobycz mu umknie. Nawet na jakiś czas.

Niszczyciel znowu podskoczył jak korek. Jak dotąd uniknęli bezpośredniego trafienia, ale lista uszkodzeń była już krytycznie długa. Mesa wypełniała się rannymi, chociaż jakimś cudem nikt z załogi nie poległ. Kotowaci przewożeni z *Nerracki* nie mieli tyle szczęścia. Ponad dziesięcioro śmierć dosięgła już na pokładzie *Walkera*, sporo zginęło, gdy pocisk spadł między dwoma łodziami. Nie trwało długo, a uchodźcy tłoczyli się we wszystkich pomieszczeniach, nawet w gorącej i wilgotnej maszynowni. Byli przerażeni, często do tego stopnia, że nie panowali nad zwieraczami.

- Proszę dalej szukać dla nich miejsca - polecił Matt, gdy bosman zjawił się z meldunkiem o sytuacji.

- Na dole jest już ciasno jak w piekle - odparł Gray.

- Mimo to. Proszę pakować ich, gdzie się da. Nie mamy wyboru.

- Rozumiem. - Bosman skinął głową. - Ale nie mogę upychać ich na pokładzie, bo w końcu się przewrócimy. Już teraz jesteśmy za głęboko zanurzeni i zaczynamy brać wodę wyżej położonymi dziurami w poszyciu. Drużyny naprawcze nie mogą przez ten tłok dotrzeć do uszkodzonych miejsc.

- Wiem. Pompy sobie radzą?

- Na razie...

Wystrzał z działa numer trzy nie dał mu dokończyć. Grikowie byli już bardzo blisko i każde działo *Walkera* prowadziło samodzielny ogień. Morze dokoła pełne było płonących kadłubów. *Amagi* znalazł się gdzieś za rufą, ale podchodził coraz bliżej, ponieważ prędkość zespołu drastycznie spadła. Przy którejś salwie ujrzeni, że między nimi a krążownikiem nie ma już prawie statków grików. Te, które jeszcze pozostały, złapały korzystniejszy wiatr i podchodziły teraz od lewej burty. Matt pomyślał ze smutkiem, że gdyby nie te wczesne

trafienia, ucieczka z pływającym domem na holu zapewne by się udała.

Teraz jednak nie mieli szans. *Nerracca* siedziała już głęboko w wodzie, ogień ogarnął pozostałe maszty i wieże. Na pokładzie nie pozostał już zapewne nikt żywy, jedyną drogą ratunku były furty burtowe, które lada chwila też miały zostać zalane.

- Cztery węzły! - zameldował Karaś, przekrzykując wycie nawiewników i ogólną kakofonię panującą na okręcie.

Kilka pocisków trafiło *Nerrackę* jednocześnie, powodując przechył olbrzymiego kadłuba. Jeden padł przed dziobem *Walkera*, trochę z lewej burty, zbijając z nóg wszystkich stojących na mostku. W boczne osłony mostka i osłonę działa numer jeden uderzyły odłamki. Leo Davis padł na pokład, dwaj kotowaci polecili gdzieś do tyłu.

Gdy tylko ludzie na mostku się pozbiali, nagły wstrząs cisnął nimi na stół nakresowy i *Walker* pomknął przed siebie niczym koń wyścigowy z boks startowego. Matt złapał się biegnących po ścianie przewodów. Reynolds wylądował na podłodze, ale nie stracił przytomności i zaraz poszukał swoich słuchawek. Gdzieś zawieruszył mu się hełm.

- Meldować!

- Hol poszedł! - krzyknął Reynolds.

- Przepalił się?

- Nie, sir. Dowden mówi, że przecięty. Jedna z tych łodzi to zrobiła.

Matt aż się przygarbił.

- Stało się. Ster w prawo. Wywołaj bocianie gniazdo.

- Chack na linii, kapitanie.

- Spytaj go, ile jeszcze widzi łodzi z lemurami.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas gdy *Walker* zawracał w kierunku płonącego statku.

- Mówi, że tylko ta, która przecięła hol. Wszystkie inne dryfują puste.

- Ster prosto. Zwolnić do jednej trzeciej. Podniesiemy tych z ostatniej łodzi.

- Aye, aye, sir.

Łódź zbliżyła się do burty niszczyciela, Matt przyjrzał się tymczasem płonącemu i chyłącemu się na burtę wrakowi. Furty zniknęły już pod falami. Trudno było powiedzieć, ilu rozbitków dostało się na *Walkera*, ale niewątpliwie tysiące z nich zostały w tonącym kadłubie uwiecznione między szalejącym na górze ogniem i wzbierającą wodą.

- Wszyscy na pokładzie, kapitanie - cicho zameldował Reynolds. - Łódź puściliśmy wolno, teraz wciągają sieci. - Na południowym zachodzie znowu coś błysnęło. Krążownik wciąż strzelał do tonącego statku!

- Sternik, kurs jeden sześć zero, cała naprzód! - rozkazał Matt.

Sandison spojrział na niego zdumiony.

- Kapitanie, Baalkpan leży niemal dokładnie na północ.

- Wiem o tym. Przeciwnik na pewno też. I oczekuje, że skierujemy się właśnie na północ, bo tak powinniśmy teraz zrobić. Nie ma jednak księżycy i oddalamy się już od poświaty rzucanej przez *Nerrackę*, nie powinni nas zatem zobaczyć.

Jakby dla podkreślenia jego słów ostatnia salwa krążownika padła w pobliżu pływającego domu, daleko od niszczyciela. Matt nawet nie drgnął, gdy pociski eksplodowały.

- No to co zrobimy? - spytał Sandison, nie posiadając się ze zdumienia.

Mimo okoliczności Matt omal się nie roześmiał.

- Wykorzystamy ciemną, bezksiężycową noc. Najpierw pójdziemy na południe, aż znajdziemy się na wysokości *Amagiego*. Potem skreścimy, celując w jego prawą burtę. Na koniec wypuścimy nasze ostatnie trzy torpedy.

- Aye, aye, sir - wykrztusił Bernie, z wysiłkiem przełknąwszy ślinę.

\*

- Nieprzyjacielska jednostka została zniszczona, kapitanie - powiedział z przejęciem Sato Okada. Stał obok kapitana na mostku *Amagiego*. W dali widać było płomienie pożarów szalejących na statkach sojuszników i wielkim żaglowcu nadrzewnych. - Proponuję wstrzymać ogień, żeby oszczędzić amunicję.

Kurokawa spojrział na niego z uwagą. W jego oczach tańczyły odblaski płomieni. Sato pomyślał, że oto właśnie widzi zwierciadła duszy swego kapitana.

- A amerykański niszczyciel? Sądzi pan, że go dostaliśmy?

- Nie sposób powiedzieć. Gdy tylko otworzyliśmy ogień, schował się za holowanym statkiem i straciliśmy go z oczu. Pociski padały bardzo gęsto i być może udało się go trafić, jednak teraz byłoby to już tylko marnowanie amunicji.

- Niech będzie, komandorze - warknął Kurokawa. - Proszę nakazać wstrzymanie ognia. Skierujemy się do wraku i sami sprawdzimy. Jeśli nawet nie zatopiliśmy tego niszczyciela, niemal na pewno musieliśmy go uszkodzić. Teraz pewnie wraca maksymalną szybkością do legowiska i szybko go dostaniemy. - Zaczął chodzić po mostku zatopiony w myślach. Gdy Sato przekazał rozkaz zaprzestania ostrzału, kapitan przystanął obok niego. Co dziwne, z uśmiechem na twarzy. - Sądzę, że nasi sojusznicy będą pod wrażeniem - powiedział. - Nie potrafili zatrzymać nieprzyjacielskiego statku, co my zrobiliśmy z łatwością. Oczekuję, że od teraz będziemy mieli więcej do powiedzenia!

Sato skinął głową, ale odchrząknąwszy, powiedział, co chodziło mu po głowie:

- Zanim zrobiło się zbyt ciemno, obserwatorzy zameldowali, że statek przeciwnika jest pełen uchodźców. Ewakuowanych cywili.

- I co z tego? Należało tego oczekiwać. Ewakuowali Surabaję. - Kapitan znów spojrzał na niego badawczo. - To jest nasz wróg, komandorze Okada. Dobrze będzie, jeśli zechce pan o tym pamiętać. - Zastanowił się chwilę. - Poza tym zapewniliśmy im szybszą i bardziej honorową śmierć niż ta, którą szykowali im grikowie.

Sato odwrócił się, żeby ukryć odrazę.

- Honorową - wyszeptał.

- Raz wreszcie wyprzedziliśmy naszą eskortę - powiedział z satysfakcją Kurokawa, patrząc za rufę. - Oczekuję, że jednostka flagowa odezwie się do nas, gdy tylko będzie bliżej. Proszę mnie wtedy natychmiast powiadomić. Będę w swojej kabinie.

Sato skłonił się i odetchnął z ulgą, gdy kapitan opuścił mostek. Wpatrzony w odległą poświatę zastanawiał się nad tym, czego właśnie był świadkiem. Gdy usłyszał meldunek, że amerykański niszczyciel wziął wielki statek na hol, znowu coś w nim drgnęło. Zamiast wykorzystać własną prędkość do ucieczki, przeciwnik zrobił wszystko, żeby ocalić eskortowaną jednostkę. To na pewno był honorowy postępek, który musiał budzić szacunek, nawet gdy chodziło o nieprzyjaciela.

Sato nie rozumiał, dlaczego kapitan tego nie dostrzega. Czyżby nienawiść tak go zaślepiła, że myślał tylko o zemście? Coś w tej sytuacji było bardzo nie w porządku, jednak Okada nie miał na razie pojęcia, jak to zmienić.

\*

Praktycznie niewidzialny *Walker* parł na południe z prędkością dwudziestu pięciu węzłów, zostawiając za sobą potężne odkosy dziobowe. Chack wciąż tkwił w bocianim gnieździe, przekazując namiar i dystans celu za każdym razem, gdy *Amagi* odpalał salwę. W końcu jednak krążownik przestał marnować amunicję i meldunki Chacka stały się rzadsze i mniej dokładne. Teraz mógł jedynie wyławiać sylwetkę wielkiego okrętu na tle gwiazd. *Nerracca* wciąż płonęła daleko za rufą i nawet nieprzyjaciel musiał zrozumieć, że na jej pokładzie nie ma już nikogo żywego. Przygnębiony Matt zastanawiał się, ile jeszcze potrwa, nim wielki wrak zatoni, kończąc ten przerażający spektakl.

Z zamyślenia wyrwało go przybycie Graya, który przyprowadził na mostek jakąś miejscową dziewczynę. Miała tak przypaloną sierść, że trudno było rozpoznać jej barwę. Była też całkiem naga, poza rącznikiem, który ktoś dał jej w miejsce utraconej spódniczki. Mimo to wyglądała dziwnie znajomo. Gdy tylko ujrzała kapitana, rzuciła się na drewnianą podłogę

sterówki i ujęła go pod kolana. Matt spojrział na bosmana, czekając na wyjaśnienia.

- To Tassana, córka Tassata - powiedział Gray łamiącym się głosem. - Ma chyba ze trzynaście lat. - Matt przyjrzał się dziewczynie. Teraz ją sobie przypomniał. Towarzyszyła ojcu na jakimś spotkaniu. Obecnie trzęsła się od płaczu. - Była w tej ostatniej łodzi. Pomogła przeciąć toporem hol. Ojciec jej kazał.

- Tassat? - spytał cicho Matt.

- Nie udało mu się - odparł Gray, kręcąc głową.

Oczywiście, że nie. Energiczny kotowaty nie opuściłby pływającego domu, póki ktokolwiek był jeszcze na pokładzie. Potem zapewne też nie. Matt przykląkł przy Tassanie. Królowa dołączyła do nich, obejmując dziewczynę.

- Tylu uratowałeś, chociaż było to niebezpieczne - powiedziała dziewczyna przez łzy. - Ojciec zaszczycił mnie obowiązkiem przekazania ci jego ostatnich słów. Klan *Nerracki* oddaje hołd wszystkim z *Walkera*. Klan *Nerracki* nigdy nie zapomni - wykrztusiła.

Ilu tak naprawdę zostało z jej klanu...? Królowa próbowała uspokoić Tassanę, kołysząc ją lekko, Matt tylko klęczał obok, nie wiedząc, co powiedzieć. Wydawało mu się jakąś straszliwą pomyłką, że ktokolwiek mu dziękuje. Tylu przecież zginęło. W końcu wstał i pomógł Safirze postawić dziewczynę na nogi. Podszedł bosman, żeby ją odprowadzić.

- Ilu udało się uratować? - spytał go Matt, ale Gray bezradnie pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. Siedzą na dole ściśnięci jak kielbaski wiedeńskie w puszcze. Ośmiuset? Może więcej. - Spojrzął znacząco na kapitana. - Tak czy owak nie moglibyśmy wziąć wielu więcej, skipper. Ledwie trzymamy się na wodzie.

Matt nie powiedział już nic, gdy bosman odprowadził Tassanę do zejścia.

- B'mbaado też nigdy nie zapomni - powiedziała stojąca przy kapitanie królowa. Wskazała gdzieś w noc. - Rozumiem, że chcesz zadać teraz cios mordercom *Nerracki*, i cieszę się, że jestem tu, żeby wziąć w tym udział. Tyle że na nic się nie przydam, jeśli będę tu sterceć. Mój lud wierzy, że bóg wielkiego światła widzi tylko te czyny, które dokonają się za dnia. Nie wiem, czy to prawda, ale dusze z *Nerracki* wzniosły się już ku niebu na kłębach dymu ze stosu, którym stał się ich statek. Wiedzą, co się stało, i będą śledzić, co jeszcze nastąpi. Opowiedzą Słońcu o *Walkerze* i ono też będzie cię wielbić. - Uśmiechnęła się do Matta. - A teraz, za pozwoleniem, zejdę tam, gdzie mogę się przydać. Dość mam nieróbstwa. Postaram się pomóc przy rannych.

- Oczywiście - powiedział kapitan. - Jestem pewien, że... - Przerwał nagle. Co królowa chciała przez to powiedzieć? - Porucznik Tucker na pewno chętnie przyjmie pomoc. Proszę jej przekazać, że czekam na meldunek o rannych. W dogodnej chwili, oczywiście.

Królowa skłoniła głowę i opuściła mostek.

- Kapitanie, mamy kontakt nawodny. Namiar jeden jeden zero, odległość około dziesięciu mil. Oko nie jest całkiem pewien, ale sądzi, że to nasz cel.

- Dobrze. Sternik, kurs jeden cztery zero. Zmniejszyć prędkość do dwóch trzecich. - Matt dostrzegł kilka pytających spojrzeń. - Spokojnie, panowie. Ten drań nie ma pojęcia, że tu jesteśmy. Musimy podejść jak najbliżej, a nie chcę, żeby dostrzegł nasz kilwater. Ale proszę utrzymywać ciśnienie, gdybyśmy musieli nagle przyspieszyć.

Sandison dwa razy sprawdził połączenie z Randalem Hale'em, który dowodził obsadą lewoburtowej wyrzutni torpedowej zaraz za nadbudówką na śródokręciu. Jego stanowisko mieściło się na samej wyrzutni, pod nim zaś znajdowały się stalowe rury kryjące trzy jedyne na tym świecie sprawne torpedy Mark 15. Czekwały tylko na zsuniecie zabezpieczeń, poza tym były gotowe do wystrzelenia i wielokrotnie sprawdzone. Zapewne w całej Flocie Azjatyckiej nie było nigdy tak dobrze utrzymanych torped. Każda była osobnym skomplikowanym mechanizmem, najbardziej złożonym ze wszystkich znajdujących się na pokładzie niszczyciela. Ministerstwo Wojny wyasygnowało w swoim czasie ponad trzydzieści tysięcy dolarów na ich zakup.

Niestety, w zasadzie były to wyrzucone pieniądze, ponieważ torpedy Mark 15 okazały się wręcz przerażająco zawodne.

Istniała cała masa teorii, dlaczego amerykańskie torpedy tak kiepsko sobie radziły. Jakieś znaczenie miał na pewno brak odpowiedniego wyszkolenia ludzi. Były zbyt drogie, a budżet Floty Azjatyckiej pozostawiał wiele do życzenia. Bernie Sandison uważał jednak, że problem tkwi znacznie głębiej. Widział już torpedę, która szła prosto na burtę nieprzyjacielskiego transportowca, ale nie eksplodowała. Znał też inne, podobne przypadki, o kolejnych słyszał od załóg różnych niszczycieli oraz okrętów podwodnych. Było dlań oczywiste, że Mark 15 i 14 muszą mieć jakąś wadę konstrukcyjną. Albo coś powodowało, że schodziły zbyt głęboko w drodze do celu, albo ich magnetyczne zapalniki nie działały tak, jak powinny. Może zresztą chodziło o jedno i drugie.

Uzyskawszy zgodę kapitana, ustawił wszystkie trzy rybki na przebieg na połowie przewidzianej instrukcją głębokości. Teoretycznie najgorsze, co mogło się w tej sytuacji zdarzyć, to eksplozja głowicy przy burcie, zamiast pod krążownikiem. Zniszczenia byłyby wtedy mniejsze, ale przynajmniej zaliczyliby trafienie. Byle tylko magnetyczny zapalnik Mark 6 zadziałał. Przewidziana do użytku na okrętach podwodnych torpeda Mark 14, którą znaleźli w Surabai, uderzyła w cel i nie wybuchła, co bez dwóch zdań oznaczało awarię zapalnika. Bernie i jego ludzie długo się nad tym głowili i doszli do wniosku, że ponieważ

głowice miały zapalnik magnetyczny, rezerwowy zapalnik uderzeniowy potraktowany został po macoszemu i najwyczejniej w świecie nikt nie zadał sobie trudu, żeby go dopracować. Uderzając w stalową burtę z prędkością blisko pięćdziesięciu węzłów, błyskawicznie ulegał tak poważnym uszkodzeniom, że nie mógł zadziałać. Wyjaśnienie podsunął im Shinya, który dobrze znał o wiele lepsze torpedy japońskie i pierwszy zainteresował się konstrukcją zapalnika uderzeniowego w amerykańskich.

Jeśli tak właśnie było, Ameryka sama sobie strzeliła w stopę, i to w chwili, gdy ta stopa była jej bardzo potrzebna. Zakrawało na cud, że przez pierwsze miesiące wojny jakieś amerykańskie torpedy w ogóle trafiły w cel. Jeśli schodziły za głęboko, zapalnik magnetyczny nie miał prawa zadziałać. Gdy uderzały w burtę, zawodził uderzeniowy. I to by wiele wyjaśniało. Sandison poprzedniej nocy przedstawił sprawę kapitanowi i uzyskał jego zgodę na wzmocnienie zapalnika uderzeniowego w jednej z rybek. Było to ryzykowne, ponieważ mógł wówczas nie zadziałać z odwrotnego powodu, ale nie chcieli strzelać ostatnich torped, licząc jedynie na ślepy traf, jak zdarzało się wcześniej. Coś musieli zrobić.

Porucznik Sandison do końca nie był pewien, czy to dobry pomysł. Owszem, dali z siebie wszystko, żeby tylko atak się powiódł, ale jeśli się mylili...

Chack zameldował w końcu, że zaobserwowany kontakt to na pewno *Amagi* i że między nimi a krążownikiem nie ma żadnych jednostek grików. Dystans zmalał tymczasem do niecałych czterech mil, jednak przeciwnik wciąż zdawał się ich nie zauważać. Załoga przestała się prawie odzywać. Ludzie nigdy nie sądzili, że przyjdzie im podkraść się w ciemności do krążownika liniowego, nigdy tego nawet nie ćwiczyli. Zasady taktyki przewidywały w takich sytuacjach atak na pełnej szybkości i salwę z maksymalnego dystansu wyznaczanego zasięgiem torped, który wynosił około ośmiu mil. To, co teraz robili, wyglądało na surrealistyczną farsę.

*Walker* nadal zbliżał się do celu, idąc kursem niemal prostopadłym do kursu przeciwnika. Zwrócony do niego dziobem smukły niszczyciel trudniej było wykryć. Wyrzutnia torpedowa została ustawiona pod kątem trzydziestu stopni, a jej obsada czekała tylko na rozkaz. Teraz, gdy Chack wyraźnie już widział cel, nieustannie podawał im poprawki, chociaż Bernie wcale ich nie potrzebował. Także widział krążownik jako masywną plamę czerni na tle rozgwieżdżonego nieba i śledził ją przez celownik torpedowy. Odległość doszła do siedmiu tysięcy jardów i wciąż malała. *Amagi* robił ledwie osiem węzłów i trzymał stały kurs. Nie można było w niego nie trafić.

- Panie Reynolds, proszę przypomnieć panu Garrettowi, żeby nie otwierał ognia, dopóki nie otrzyma rozkazu, ma jednak być gotowy - powiedział Matt, gdy byli już niezwykle

blisko jak na atak torpedowy. - Spojrzał na Sandisona, który mimo ciemności odniósł wrażenie, że dostrzega drapieżny błysk w oczach kapitana. - Proszę wystrzelić torpedy, panie Sandison.

- Aye, aye, kapitanie. Wyrzutnia numer jeden - zwrócił się Bernie do Randala Hale'a.  
- Odpalić jedynkę! Odpalić trójkę! Odpalić piątkę!

Po każdym rozkazie rozległo się przytłumione pufnięcie i widać było ostry błysk żółtego światła, gdy niewielki ładunek prochowy wypychał torpedę z wyrzutni. Gładkie kadłuby odbijały przez moment światło gwiazd i znikwały w szarych rozpryskach wody.

- Ster mocno w lewo. Kurs jeden zero zero.

- Aye, aye, sir. Zwrot w lewo - potwierdził sternik. - Nowy kurs jeden zero zero.

Gdy niszczyciel przechylił się na lewą burzę, Matt wyszedł na skrzydło mostka i poczekał, aż rufa zatoczy półkole. To była krytyczna chwila. Jeśli ktoś na *Amagim* dostrzegł błyski towarzyszące odpaleniu torped i zaczął przepatrywać ocean, ustawiony przez chwilę burzą do przeciwnika niszczyciel był stosunkowo łatwy do zauważenia. Niebawem sternik dał znać, że okręt leży już na nowym kursie, i Matt uniósł lornetę, żeby przyjrzeć się krążownikowi. Nie widział śladów torped i poczuł się jakby trochę oszukany, choć wiedział przecież, że skoro jemu ciemności nie pozwalają dostrzec pozostawianych przez nie bąbelków powietrza, to i japońscy obserwatorzy niczego nie zobaczą. Coś jednak zaczęło się dziać, ponieważ *Amagi* zapalił jeden ze szperaczy, do którego moment później dołączył drugi.

- Awaryjna naprzód! - krzyknął Matt w stronę sterówki. Japończycy jednak ich dostrzegli. Smuga światła przeszła mrok, padając z początku na fale z lewej burty okrętu, niemniej drugi reflektor niemal natychmiast odszukał *Walkera*. - Otworzyć ogień! Celować w światła! - Garrett musiał go usłyszeć, ponieważ brzęczyk pierwszej salwy odezwał się, zanim jeszcze Reynolds powtórzył rozkaz. Działa numer dwa i cztery wystrzeliły jednocześnie. Kolejna salwa zabrzmiała, gdy pociski pierwszej były dopiero w połowie drogi.

- Dziesięć stopni w lewo! - powiedział Matt. Uniósł lornetę i spróbował coś dostrzec w oślepiającym blasku. Wiedział, że zmiana kursu czyni z *Walkera* większy cel, chciał jednak umożliwić prowadzenie ognia działu numer jeden. Przy następnej salwie dołączyło do pozostałych. Kolejne dwa reflektory znalazły niszczyciel, potem zapalono czwarty. Jeden nagle zgasł, zapewne trafiony. - Ile jeszcze zostało torpedom, panie Sandison?

- Minuta, kapitanie. - Oficer torpedowy zajął miejsce przy bezużytecznym już celowniku, chciał jednak wszystko widzieć.

Na ciemnej sylwetce krążownika pojawiły się błyski z dział artylerii pomocniczej. Pociski padły dwieście jardów od prawej burty i trochę za krótko. Druga grupa pocisków



rozerwała się z lewej burty i odłamki doleciały do okrętu. Baterie pomocnicze *Amagiego* miały o wiele mniejszy kaliber niż artyleria główna krążownika, wciąż jednak zdecydowanie przewyższały wszystko, czym dysponował *Walker*. Okręt zadrżał od bezpośredniego trafienia gdzieś za śródokręciem, rozległ się ogłuszający huk eksplozji, po nim zaś krzyki i jęki uciekinierów. Prędkość jednak nie zmalała. Chwilę potem pocisk ugodził w rufę.

- Torpedy?

Sandison wpatrywał się nerwowo w stoper.

- Teraz!

Światła nagle zgasły.

Matt poderwał lornetę akurat na czas, żeby ujrzyć błysk i kolumnę wody, która wyrosła u burty krążownika tuż za śródokręciem. Równocześnie komin *Amagiego* plunął iskrami, ukazując na chwilę ciągnącą się za okrętem smugę dymu. Po chwili część reflektorów zapłonęła ponownie, ale teraz były skierowane chaotycznie w różnych kierunkach.

- Tak! - wykrzyknął z ulgą Bernie. Nie było aż tak dobrze, jak by chcieli, ale jedno trafienie przy salwie trzech torped było znacznie lepszym wynikiem niż dotychczasowa średnia. Oficer nie miał większych wątpliwości, która torpeda okazała się celna. Cały statek rozbrzmiał wiwatami.

- Odwołać alarm! Wstrzymać ogień! - zawołał Matt. - Kurs dziesięć stopni w prawo! Wyośmy się stąd, póki mają kłopoty. Gdy się już namyślą, co dalej, powinniśmy być poza ich zasięgiem.

Kilka pocisków padło jeszcze w śladzie torowym *Walkera*, ale bez wskazujących cel szperaczy artylerzyści strzelali na ślepo. Wprawdzie spowodowali wcześniej sporo zniszczeń, jednak wybuch torpedy całkowicie ich zaskoczył. Gdy reflektory ponownie zaczęły poszukiwać niszczyciela, ten był już daleko.

- Uszkodzenia? - spytał Matt.

- Ostatni pocisk rozwalił nam pulmana - powiedział Reynolds, mając na myśli noclegownię załogi znajdującą się tuż nad śrubami. - Jest wiele ofiar wśród uchodźców. Mamy też wodę w tylnym magazynku i przedziale maszyny sterowej. Tam również są nasi pasażerowie.

Matt spojrział na nadbudówkę na śródokręciu. Nie widział wiele w ciemności. Tyle że z unoszącego się tam ciągle dymu wyłaniały się co rusz postaci w białych koszulkach.

- A jak trafienie na śródokręciu? - spytał.

- Bosman mówi, że było tam wielu kotowatych, ale nie ma pojęcia, ilu oberwało. Z

kubryku zostały same blachy, ale Lanier uszedł cało. Był akurat w kiblu. Mertz i obaj pomocnicy ranni. - Reynolds słuchał przez chwilę. - Cholera! - zawołał, ale zaraz się opamiętał. - Przepraszam, kapitanie.

- Co jeszcze?

- Dranie załatwili nam maszynę z colą!

Matt omal się nie roześmiał. Cola skończyła się kilka tygodni wcześniej i tylko on miał jeszcze jedną butelkę, zachomikowaną w kabinie. Nie tyle do wypicia, ile jako pamiątkę. Sama maszyna była dla załogi źródłem swoistej dumy. Owszem, rzuciło ich do innego całkiem świata, ale maszyna z colą działała! Można było oczekiwać, że ludzie przyjmą ten cios szczególnie ciężko, i Matt musiał się zachować stosownie do sytuacji.

- Miejmy nadzieję, że było warto - powiedział. - Jestem pewien, że Japońcy kupiliby nam z tuzin takich maszyn, żeby tylko nie mieć dodatkowej dziury w kadłubie.

Obejrzał się na odległy krążownik. Coś płonęło na jego pokładzie i wydawało się, że okręt ma przechylić na lewą burtę. Albo może tylko tak się wydawało...? Matt chętnie zostałby dłużej w pobliżu, żeby się przekonać, czy to już kres prześladowającego ich demona, ale po prawdzie nie wierzył, że tak się to skończy. Gdyby jeszcze jedna torpeda trafiła, to co innego. Żałował, że nie pozwolił Sandisonowi przerobić wszystkich rybek. Cóż, jeszcze jedna pomyłka. Jedno było wszakże pewne - nawet jeśli *Amagi* nie zatonął, *Walker* zadał mu dotkliwy cios. Iskry pochodziły z opalanego węgla kotła, który został najpewniej zniszczony, co oznaczało dalsze zmniejszenie prędkości. Być może zabili też tego, kto był odpowiedzialny na zagładę *Nerracki*.

- Dobrze ci tak, sukinsynu - mruknął Matt pod nosem. - Sternik, nowy kurs: zero dwa zero. Musimy jeszcze ominąć flotę jaszczurów i nie chcę się władować na któregoś po ciemku. - Zwrócił się do Reynoldsa. - Gdy tylko wyjdziemy z zasięgu *Amagiego*, zapalimy reflektory. Główne działa nie mają strzelać, chyba że będzie to naprawdę konieczne. Musimy oszczędzać amunicję. - Podeszedł do swojego krzesła i zajął miejsce. - Poza tym lepiej będzie nie straszyć pasażerów. Niech trochę odetchną. Proszę pomóc Clancy'emu przygotować pełen raport o nocnej akcji - dodał, przecierając oczy. - Potem prześlecie go na Baalkpan. Przekażcie też porucznikowi Mallory'emu, żeby wystartował, gdy tylko zrobi się jasno. Podajcie mu obecną pozycję *Amagiego* i przekażcie, żeby odszukał krążownik i ustalił co z nim. Za żadne skarby nie ma wchodzić w zasięg artylerii przeciwlotniczej. Proszę się upewnić, że zrozumiał i przyjął ten rozkaz.

Niemal o świcie, na długo jednak przed tym, nim zrobiło się dość jasno, by Matt uznał, że jest dość światła, aby można startować, dobiegło ich z szarawego nieba brzęczenie

silników lotniczych. Clancy przesłał jeszcze Benowi polecenie, żeby sprawdził, co z *Araccą*. *Walker* minął ją około trzeciej nad ranem i przekazał aldisem krótką informację o bitwie. Kapitanem tego pływającego domu był Ramik-Sa-Ar, ojciec Tassata, i większość lemurów z obu statków była spokrewniona. Przykro było przekazywać żałobne wieści w taki sposób, ale nie mieli wyboru. Niszczyciel był przeciążony i brał wodę szybciej, niż pompy nadażały ją usuwać, nie mógł więc pozostać jako eskorta. Szczęściem *Aracca* dość się wysforowała, żeby nie zagrażał jej pościg, jednak Matt chciał mieć pewność, że naprawdę jest bezpieczna.

\*

Tsalka spojrział ze złością na motorówkę, którą Kurokawa wracał na swój okręt.

- Zaczynam już mieć dość tej kreatury, generale - powiedział.

- Chyba rozumiem, dlaczego ci, którzy niegdyś włączali się do wielkich łowów, sami w końcu stawali się zwierzyną - syknął generał Eshk. - Jeśli robili się tak zarozumiali jak ten tutaj, starzy Hij musieli w końcu zwracać się przeciwko nim.

Tsalka był podobnego zdania, wiedział jednak, że to nie cała prawda. Chociaż stare zasady powiadały, że ten, kto przyłącza się do polowania, ma prawo do zwierzyny, żaden drapieżnik nie był skłonny bez oporów dzielić się zdobyczą. Podobnie było z tymi dziwnymi, bezogoniastymi i niemal bezzębnymi łowcami.

- Ich żelazny okręt ponownie doznał uszkodzeń i będzie teraz płynął jeszcze wolniej - stwierdził. - Ale i tak jest niezwykle potężny. Słyszałem, jak zniszczył naszych, zanim przyłączył się do łowów. W nocy widziałem to na własne oczy. Wspaniałe widowisko!

- Pod każdym względem - zgodził się Eshk. - Ale żeby atakować z tak wielkiej odległości! Gdzie wyzwanie, gdzie prawdziwa walka? To łowy są najważniejsze, zdobycz już nie tak bardzo.

Tsalka spojrział na niego żółtymi ślepiami.

- Istotnie - przyznał. - Ale nie ma prawdziwej walki, gdy zdobycz rzuca się na myśliwego. A tamta zdobycz ma zęby! Nie życzę sobie drugiej takiej katastrofy jak ta pod warownym miastem. Nic takiego nie zdarzyło się wcześniej i nie może się zdarzyć ponownie. Niebiańska Matka nie będzie zachwycona. Ja też nie jestem. - Spojrział na ledwo płynącego żelaznego olbrzyma. Z komina unosił się dym spalane go węgla, który jakimś cudem pchał okręt naprzód. Dym wydobywał się też z miejsca, w którym znajdowała się rana otrzymana przezeń w nocnej walce. Ponadto Tsalka dostrzegł wyraźny przechył kadłuba. Okręt był potężny, ale przyjaciele nadrzewnych i tak zdołali go uszkodzić. To dawało do myślenia, zważywszy że cała flota żaglowców nie zdołała wcześniej nawet zadrasnąć olbrzyma. Przy

wszystkich wątpliwościach Tsalka zaczynał przypuszczać, że grikowie naprawdę potrzebują nowych sojuszników, jeśli obecne łowy mają się powieść. Była to przykra prawda, ale należało stawić jej czoło. Nadrzewni sami z siebie stali się szlachetną zdobyczą, ich przyjaciele zaś... W tej sytuacji należało bardziej zadbać o łowców z żelaznego statku.

Początkowo nowi nie cieszyli się zaufaniem, co było całkiem naturalne, skoro dopiero dołączyli do sfory. Ale to się zmieniło. Zdobycz też umiała walczyć, miała maszynę latającą i własny żelazny okręt. Skoro tak, należało zapewne posłuchać nowych, którzy wiedzieli, jak się z tym wszystkim uporać. Tego ranka po raz pierwszy zwrócił naprawdę uwagę na to, co pisał im dowódca żelaznego statku.

- Obaj jesteście Hij, generale Esshk - odezwał się. - Nostalgicznie patrzymy na życie Uulów, ale nasz czas zabawy już minął. Dołączyłem do Roju, bo znudziło mnie dotychczasowe życie, i są to pierwsze takie łowy, których jestem świadkiem. Jakkolwiek doceniam twoją uprzejmość, to ty tutaj dowodzisz. Proszę jednak, żebyś wziął moje rady pod uwagę.

Generał skłonił się z szacunkiem.

- Jesteś słynny ze swej mądrości, regencie - powiedział. - Zawsze chętnie cię słucham.

- Dobrze więc. Musimy dbać o naszych podwładnych w walce. To są nasze dzieci i zrobią to, co im każemy, winniśmy jednak chronić ich przed ich własną zapalczywością. Nie wydaje mi się, żeby te łowy były podobne do jakichkolwiek wcześniejszych. Jeśli nie chcemy przekonać się na własnej skórze, jak groźni są obecnie nadrzewni i ich przyjaciele, winniśmy uderzyć na nich silniej, niż mamy to w zwyczaju. Musimy wykorzystać żelazny okręt i przyjąć do wiadomości, że to już nie tylko zabawa.

- Obaj zgadzamy się w tej kwestii. Jaka zatem jest twoja rada?

- Całkiem prosta: musimy odłożyć łowy. Powinniśmy wrócić do warownego miasta, naprawić tam żelazny statek i wezwać więcej Uulów. Gdy wzrośniemy w siłę, wznowimy walkę na czele takiego Roju, jakiego świat nigdy jeszcze nie widział!

\*

Kapitan Hirashi Kurokawa wrócił wściekły z białego statku i wpadł na mostek niczym burza, przyprawiając wszystkich podwładnych o daleko posuniętą małomówność. Nikt nie chciał narazić się na jego złość. Obserwatorzy, którzy pełnili nocną wachtę, siedzieli już w areszcie oskarżeni o zaniedbanie obowiązków. Powinni wcześniej dostrzec amerykański niszczyciel i złapać go w światła reflektorów, zanim zdążył wystrzelić torpedy. Obecnie *Amagi* był w jeszcze gorszym stanie niż wcześniej. Z zalaną kolejną kotłownią i dwoma kotłami

wyłączonymi z użycia ledwie się czołgał. Kapitan próbował wytłumaczyć głupim jaszczurom, że nie można pływać tam i z powrotem z ilomaś przedziałami otwartymi na ocean i że jeśli będzie mógł naprawić okręt, *Amagi* stanie się najszybszą jednostką na świecie.

Oni jednak tylko gapili się na niego, gdy pisał kartkę za kartką. Całkiem jakby uszkodzenie okrętu było jego winą! Powiedział, że gdyby chociaż kilka czerwonych statków go osłaniało, torpeda by nie trafiła, ale i tutaj natrafił na mur obojętności. W końcu poszedł sobie, mruczając pod nosem, że gdy tylko wróci na pokład krążownika, zaraz każe otworzyć ogień do białego statku. Gdyby sobie na to pozwolił, inni grikowie na pewno rzuciliby się na jego okręt. Cóż, wówczas nie tylko nie mógłby zrealizować swoich planów, ale niemal na pewno rozstałby się z życiem. Nie, to musiało jeszcze poczekać. Na razie gotów był wyładować się na tych, którzy byli od niego zależni. Na przykład na komandorze Okadzie, który pełnił wachtę tej fatalnej nocy. I dobrze się składało, że teraz też był na mostku.

- Kapitanie? - odezwał się obserwator stojący na skrzydle mostka.

- Tak? Co jest? - warknął Kurokawa.

- Sygnał z jednostki flagowej grików. - Sygnały flagowe grików też były oparte na języku angielskim. Kapitan przypuszczał, że musi to mieć coś wspólnego z samym projektem ich statków, który zdawał się wywodzić z osiemnastowiecznych brytyjskich wzorów. Jakkolwiek było, ich znajomość angielskiego bardzo ułatwiała komunikację, nawet jeśli w pewien sposób uwłaczało to Japończykom.

- I co mówią? - rzucił niecierpliwie Kurokawa.

- Zgrupowanie ma zawrócić i dołączyć do głównych sił, które na pewno już zdobyły warowne miasto. Tam dokonamy napraw wszystkich naszych jednostek i poczekamy na więcej łowców, którzy dołączą do Roju.

- Więc jednak słuchali - sapnął Kurokawa z uśmiechem. - Zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Tylko nie rozjechać mi żadnego ze statków „sojuszników” - dorzucił kpiącym tonem.

Następna godzina była bardzo trudna dla Sato, ponieważ kapitan ani na chwilę nie schodził z mostka. Dotąd nigdy nie zostawał na nim tak długo i wachtowi byli u kresu wytrzymałości. Cała flota zmieniła kurs i chociaż zapewne to właśnie *Amagi* był odpowiedzialny za ten odwrót, Kurokawa zachowywał się, jakby właśnie odniósł błyskotliwe zwycięstwo.

- Kapitanie! - odezwał się w nerwowo jeden z marynarzy. - Oko melduje o samolocie. To amerykańska łódź latająca. Jest prawie dokładnie nad nami.

Kurokawa i Okada pobiegli z lornetkami na skrzydło mostka. Rzeczywiście, wysoko na niebie płynęła powoli mała sylwetka. Bez wątplenia była to PBY *Catalina*. Warkot jej

silników ginął niemal w hałasie powodowanym przez zużytą maszynę krążownika.

- A żeby ich! - krzyknął kapitan. - Dlaczego nie strzelamy?

- Są poza zasięgiem dział przeciwlotniczych - odrzekł Okada. - Możemy otworzyć ogień, ale to nic nie da.

Kurokawa spojrział na niego ze złością, potem skierował lornetkę na biały statek grików. Kilku ich „oficerów” stało na pokładzie i gapiło się w górę. Musieli widzieć samolot. Te cholerne stwory miały bardzo dobre oczy. Część z nich spoglądała też wyczekująco na krążownik.

- Komandorze Okada, musimy zniszczyć ten samolot - powiedział kapitan tonem, który z góry wykluczał jakikolwiek sprzeciw.

- Ale... jak?

- Oczywiście z pomocą jednego z naszych samolotów.

- Kapitanie...! Nasze maszyny są na to zbyt cenne! Poza tym paliwa starczy nam tylko na kilka lotów. I jak sam pan powiedział, to nie myśliwce. To samoloty obserwacyjne. Mają tylko lekkie uzbrojenie i nawet nie jestem pewien, czy mogłyby doścignąć amerykański wodnosamolot.

Kurokawa spojrział obojętnie na podwładnego.

- Sam dobierz pan załogę - rozkazał. - Proszę wyznaczyć szybszy z dwóch samolotów, jeśli w ogóle jest między nimi jakaś różnica. Niech wezmą tylko połowę paliwa, w końcu nie mają lecieć daleko. To przyda im prędkości i pozwoli oszczędzić benzynę. Powie im pan, że muszą zniszczyć amerykański samolot, inaczej nie mają po co wracać. I że jeśli nie wystartują za dziesięć minut, zostaną zastrzeleni. „Sojusznicy” nas obserwują i nie możemy zawieść.

- To szaleństwo! - mruknął pod nosem Okada i nie powiedział już nic więcej.

\*

- Tam są! - zawołał Tikker, zanim jeszcze Mallory dostrzegł cokolwiek na tle morza. Gdy Ben zauważył wreszcie armadę grików, kotowaty znał już odpowiedź na zasadnicze, dręczące ich pytanie. - Wracają do domu! - zawołał z radością.

- Wątpię - westchnął pilot. - Założę się, że płyną tylko do Aryaalu. Założą tam bazę i wrócą, gdy będą gotowi. Ciekawe tylko, dlaczego uważają, że nie są gotowi teraz? Widzisz jakiś ślad *Amagiego*?

- Chyba tak - powiedział rozczarowany Tikker. - Tam dalej jest coś dużego i ciemnego, z dymem na górze. Cały jest jakoś dziwnie zadymiony. Chyba mocno oberwał.

Jesteśmy jeszcze za daleko, żeby powiedzieć na pewno.

- Trudno. Musimy podlecieć bliżej.

- Jasne - odezwał się Ed Palmer, stając za fotelami. - Ulżyło mi jednak, że *Aracca* jest bezpieczna.

- Nie tylko tobie - stwierdził Ben. - Może i tak by się jej udało, chociaż gdyby kontynuowali pościg, to przy ośmiu węzłach... Ale nic. *Walker* przekazał raport o nocnej bitwie i o tym, co stało się z *Nerraccą*...

Wszyscy tylko pokiwali głowami. Nie było sensu ciągnąć tematu.

Szczęśliwym trafem znaleziona na plaży Catalina miała pełne butle tlenowe, które bardzo miały się teraz przydać. Żeby znaleźć się poza zasięgiem działek przeciwlotniczych, musieli wejść naprawdę wysoko. Wprawdzie maski nie przylegały ciasno do ich twarzy, jako że Ben i Ed też byli obecnie zarośnięci, jednak na kilkanaście minut powinny jakoś wystarczyć. Poza tym tlenu było prawie na dziesięć godzin i tym razem nie musieli oszczędzać.

Ben pociągnął ster do siebie i zwiększył dopływ mieszanki do silników. Nie trwało długo, a lecieli już na wysokości 18 tysięcy stóp, co było maksymalnym pułapem maszyny. Teraz Japończycy mogli sobie do nich strzelać ile dusza zapragnie. Ben był przekonany, że ci w dole też dobrze o tym wiedzą i nie będą chcieli marnować amunicji. Zwłaszcza przy świadkach.

Ed wrócił do jednego z bąbli obserwacyjnych i spojrzął przez lornetę prosto w dół. Z pułapu trzech mil niełatwo było dojrzeć szczegóły, ale całkiem sporo zaobserwował. *Amagi* miał wyraźny przechył na burtę, z paru miejsc sączył się dym po ugaszonych już zapewne pożarach, który mieszał się z tym, co ulatywało z komina. Niestety, maszyny wciąż pracowały i okrętowi raczej nie groziło zatonięcie. Zrobili, co tylko mogli, ale okazało się, że to za mało. Ed nie przypuszczał, żeby udało im się jeszcze kiedyś zaskoczyć krążownik. Poza tym i tak nie mieli już torped, a *Walker* i *Mahan*, nawet gdyby były sprawne i działały razem, nie mogły nawet marzyć o pokonaniu olbrzyma w pojedynku artyleryjskim. Będzie trzeba wymyślić coś innego.

Jedno co dobre, to że chyba będą mieli na to czas. *Walker* mocno dał się we znaki flocie grików. Ileś statków płynęło na holu, dobrze ponad dziesięć nieprzyjaciół porzucił, zapewne jako zbyt uszkodzone i nie mające szans dotrzeć do Aryaalu. Dwa z nich wyglądały jednak nawet nieźle. Ben naniósł ich pozycje na mapę. Może uda się po nie wrócić i zabrać na Baalkpan. Ile jednostek przeciwnika poszło w nocy na dno, tego nikt nie potrafił powiedzieć. Z drugiej strony, niezależnie od tego, ile ich zatopili, była to tylko drobna część całej armady

grików. Jaszczury nie miały zasadniczo żadnego powodu, żeby przerwać atak. Mimo to zawróciły. *Amagi* szedł między setkami żaglowców i zostawiał taki sam poszarpany kilwater jak one, co sugerowało, że także się wycofuje.

Chyba że to właśnie krążownik był powodem wstrzymania ofensywy! Być może po ostatniej nocy grikowie doszli do wniosku, że nie poradzą sobie bez niego, i postanowili dać załodze czas na przeprowadzenie niezbędnych napraw. To musiało potrwać. Możliwe zatem, że desperacki atak *Walkera* przyniósł efekt. Nie zatopili przeciwnika, ale zyskali trochę oddechu.

Ed ustąpił miejsca jednemu ze strzelców i wrócił do przedniej części maszyny. Przekazawszy swoje obserwacje Benowi, usiadł przy radiostacji i zaczął nadawać meldunek na *Walkera*. Ben pokrążył jeszcze chwilę nad nieprzyjacielską flotą i skierował się niemal prosto na północ. Gdy zostawili już krążownik za sobą, zaczął schodzić na 7 tysięcy stóp, bo na tym pułapie PBY sprawowały się najlepiej. Wyrównał i poprosił Eda o kawę. Maski tlenowe powędrowały już do schowków.

- Jasne, też się napiję - rzucił Ed, zaglądając do kokpitu. - A ty? - spytał, patrząc na Tikkera.

Lemur tylko się skrzywił.

- Chociaż spróbuj - mruknął Ben. - Może jednak ją polubisz?

- Prędzej mi palma wyrośnie - odparł kotowaty i wszyscy się roześmiali. I wtedy nagle usłyszeli dziwny odgłos. Całkiem jakby ktoś sychnął żwirem na ogonowe poszycie maszyny. Niemal natychmiast rozległ się też przenikliwy krzyk.

- Co u diabła?

- Samolot z tyłu! Strzela do nas! - oznajmił spanikowanym głosem jeden z kotowatych z tylnego przedziału.

- To też do niego strzelajcie! - krzyknął Mallory i odruchowo oddał ster. Gdy nos maszyny celował już w morze, Ben dodał gazu i położył maszynę na prawe skrzydło. Nie widział, co za nimi leci, ale mógł to być tylko samolot z *Amagiego*. Najpewniej obserwacyjny, ale jeśli to myśliwiec, nie daj Boże zeke, czyli zero... Jeśli to on właśnie siedzi im na ogonie... Cóż, Mallory zrobił już, co było w jego mocy. Podczas walk na Filipinach amerykańscy piloci mieli okazję się przekonać, że ta śmiertelnie groźna maszyna ma też słabe strony. Na przykład małą prędkość nurkowania, związaną z nie dość wytrzymałą konstrukcją maszyny, oraz skłonność do skręcania w lewo, zgodnie z momentem obrotowym śmigła. - Ed, rzuć no okiem, z czym właściwie walczymy! - krzyknął Ben przez ryk silników i grzechot rozklekotanego płatowca.



Palmer ruszył do tyłu, czepiając się rękami wszystkiego, czego mógł się złapać. Wydało mu się, że idzie tak całe wieki, ale gdy już dotarł do przedziału obserwacyjnego, ujrzał straszny widok. Poszycie górnej części kadłuba było podziurawione w dziesiątkach miejsc i można było oczekiwać, że usterzenie oberwało jeszcze bardziej. Prawoburtowa osłona z pleksiglasu została strzaskana i wicher hulał po wnętrzu, zbryzganym poza tym krwią i strzępami tkanki mózgowej. Na podłodze leżał jeden martwy lemur, drugi siedział zwinięty pod lewą burtą, kołysał się rytmicznie do przodu i do tyłu i jęczał rozgłośnie. Ed opanował mdłości i zerwał mu słuchawki z głowy.

- Oprzytomniej! - wrzasnął strzelcowi nad uchem i wyrztał przez nietknięty przezroczysty bąbel. Najpierw zauważył wodę, która była coraz bliżej. Nie był pilotem, ale wydawało mu się, że maszyna powinna już chyba zacząć wyrównywać lot. Potem zaczerpnął głęboko powietrza i spojrzał do tyłu. Ujrzał jedynie błękitne niebo. No tak. Napastnik pewnie przeskoczył ich i musiał wytracić prędkość, żeby ponownie podejść od ogona. Należało się tego domyślić.

Znowu usłyszał „sypanie żwirem”, tym razem jednak słabsze, nie tyle głośne, ile wyczuwalne w drgnieniach maszyny. Zapewne pociski trafiły w skrzydła. Na koniec rozległ się jeszcze huk, jakby eksplozji.

- Co za cholera?! - krzyknął Mallory.

Ed przeszedł do uszkodzonego stanowiska. Prąd powietrza natychmiast porwał mu czapkę. Przymrużywszy łzawiące oczy, dojrzał w końcu skrawek skrzydła znikający po drugiej stronie. Przeskoczył nad martwym lemurem, przypadł do pleksi i wreszcie zobaczył prześladowcę w całej okazałości.

- To dwupłat! - krzyknął do mikrofonu. - Ma silnik gwiazdowy i pływaki. Trzy pływaki, jeden pod kadłubem, dwa pod skrzydłami. Wygląda jak morska przeróbka stearmana. Załoga dwuosobowa, pilot i obserwator. Obserwator też ma karabin. - Ed złapał za rękojeść zamontowanej na stanowisku broni i przygotował się do otwarcia ognia. Widział, że japoński obserwator zrobił to samo, a dwupłat skręcał, szykując się do kolejnego ataku. PBY był chyba nieco szybszy, jednak przeciwnik jakoś się go trzymał, był też zwrotniejszy. Ed śledził go chwilę spojrzeniem, szarpiąc się z pokładowym karabinem maszynowym. Nagle zamrugął. - Ben, widzę dym. Palimy się?

Mallory usłyszał meldunek, ale był zbyt zajęty, żeby odpowiedzieć. Wiedział już, że atakuje ich dave, jak zwano w alianckim kodzie wodnosamolot obserwacyjny Nakajima typ 95.

- Zestrzel go! - krzyknął w końcu, próbując wyprowadzić maszynę i nastawiając ucha

na odgłos pracy prawego silnika, który zdawał się właśnie gubić części. - Pomóż mi, Tikker! Musimy wyprowadzić maszynę! Ciągnij razem ze mną!

- Tak, tak! - zgodził się drugi pilot. - Ale silnik! - Wszystko, czego się nauczyłem, uleciało wobec zagrożenia, z którym nigdy jeszcze się nie spotkałem.

- Wiem - huknął Ben - ale nie mogę go wyłączyć. Będziemy mieli za małe wznoszenie. Chyba jeden cylinder poszedł, stąd te drgania. - Pokręcił głową i zacisnął zęby. Nie przypuszczał, że dave może być do tego zdolny.

- To zniszczy silnik? - spytał niespokojnie Tikker, spoglądając na szalejącą nad jego głową sieczkarnię. Wyciekający olej spływał strużkami po skrzydło i wsporniku. Catalina ciągnęła za sobą smugę jasnoszarego dymu.

- Może - odparł Ben. - Ale mam nadzieję, że na razie utrzyma dość mocy, aby uratować nas przed kąpielą.

Z tyłu doleciało ich staccato długiej serii. Mallory zerknął nerwowo w górę, potem na przyrządy. Temperatura prawego silnika przebiła sufit, ciśnienie oleju spadło do zera. Obroty spadały. Tyle że wskazówka wysokościomierza przestała krążyć jak nawiedzona. Ben odetchnął z ulgą, pojmując, że wreszcie wyrównali lot. Chciał nakazać wyłączenie prawego silnika, gdy ten nagle buchnął ogniem.

- Szlag! - wrzasnął Tikker. - Płomienie! Palimy się!

- Odetnij dopływ paliwa! - krzyknął Ben. - Włącz gaśnicę i ustaw śmigło w chorągiewkę!

Tikker posłuchał. Zamknął zawór odpowiedzialny za dostarczanie benzyny do prawego silnika i trzasnął pięścią we włącznik gaśnicy, ale potem zaczął się bezradnie rozglądać po tablicy przyrządów.

- Odłączyłem paliwo i uruchomiłem gaśnicę! Tak jak pokazywałeś! Ale nie mówiłeś, jak zmienić ustawienie śmigieł!

Gdyby Ben nie był tak przejęty sytuacją, pewnie by się roześmiał. Wyciągnął rękę i przełączył co należało. Łopaty śmigła ustawiły się równoległe do kierunku lotu, stawały więc mniejszy opór. Szczęśliwie płomienie szybko zniknęły - widocznie przewód doprowadzający paliwo też został przerwany i tylko trochę go wylało się na gorący silnik.

Jedno nieszczęście udało się zażegnać. Ale co teraz? Cały czas słyszeli dolatujące z tyłu serie, co pozwalało przypuszczać, że Ed trzyma przeciwnika na dystans. Jak dotąd nie oberwali mocniej, ale cały czas tylko się bronili. To nie pasowało do charakteru i wyszkolenia porucznika Mallory'ego. Tylko co więcej mogli zrobić? Ben zerknął na prędkościomierz. Z jednym silnikiem, który pracował teraz na pełnej mocy, wyciągali ledwie dziewięćdziesiąt

węzłów. Dave robił chyba około stu pięćdziesięciu, nie mieli więc szans, żeby mu uciec.

A to właśnie powinni zrobić na samym początku, zbeształ się w duchu Ben. Gdyby tylko wiedział wtedy, co im siedzi na ogonie... Japoński pilot uznał zapewne, że będzie miał szansę tylko na jeden atak na catalinę, i starannie wypracował sobie pozycję. Mallory winien wówczas przesunąć manetki gazu do oporu i przejść na powolne wznoszenie, co dałoby im przewagę czterdziestu węzłów i dziesięciu tysięcy stóp maksymalnego pułapu. Niestety pilot Mallory zadziałał zgodnie z wpojonymi mu odruchami myślicy, które nie zadziałały na jego korzyść w walce z powolnym wodnosamolotem pływakowym. Jego pierwszej walce powietrznej. Za dużo założył z góry, chociaż nie powinien był tego robić.

- Ed! - zawołał do mikrofonu.

- Miło, że ktoś o mnie pamięta - dobiegło ze słuchawek. - Ale i tak dobrze, że już nie spadamy i jakby mniej dymimy.

- Przepraszamy za niedogodności - powiedział Ben swoim najlepszym brytyjskim akcentem. - Silnik numer jeden nabawił się kataru i dałem mu wypocząć. Jak się domyślasz, teraz został nam już tylko jeden. Co porabia nasz kłopotliwy przyjaciel? - dodał poważnym tonem.

- Kombinuje, żeby zająć nas trochę z boku. Chyba mierzy w lewy silnik. Pewnie też się domyślił, że został nam tylko jeden.

- A poza tym?

- Jeden strzelec nie żyje - odparł Ed. - Przez chwilę byłem tu jakby sam, ale drugi lemur doszedł już do siebie. Chyba dołożył trochę draniowi przy ostatnim ataku. Teraz siedzi przy lewym stanowisku. Przy prawym trochę wieje.

- Rozumiem.

- Co do reszty norma. Amunicja się kończy, a do domu daleko.

- Czy ten strzelec poradzi sobie teraz sam?

- Pewnie tak.

- Dobrze - stwierdził Mallory. - Chcę, żebyś przeszedł na stanowisko dziobowe.

- Dziobowe? Ben, ten łajdak nigdy nie wyjdzie przed dziobowe!

- Wyjdzie, tylko jeszcze o tym nie wie. Dajcie amunicję na lewą burtę i powiedz strzelcowi, że gdy tylko będzie miał okazję, ma walić w tamtego jak w kaczy kuper. I to tak, jakby miał cały pociąg amunicji. Jasne?

- Jasne, ale...

- To będzie wtedy, gdy opuszczę pływaki pod skrzydłami.

- Co? Zwariowałaś? To jeszcze bardziej nas spowolni. Sami będziemy robić za kaczy

kuper.

- Nie! - rzucił Ben. - On pomyśli wtedy, że chcemy wodować, i da z siebie wszystko. Rozumie, że zniszczy ten samolot tylko wtedy, gdy go zestrzeli. Jeśli siądziemy na wodzie, będzie mógł sobie strzelać, ale prędzej czy później skończy mu się amunicja albo paliwo, lecz wiele nie zdoła, jeśli nie trafi drugiego silnika. Poza tym musi wiedzieć, że łatwiej jest strzelać z obiektu nieruchomego do ruchomego niż odwrotnie i sam może wtedy łatwiej oberwać.

- To zamierzamy wodować?

- Nie, chyba że naprawdę będziemy musieli - odparł Ben.

- A właściwie dlaczego? To wygląda na niezły plan. Nawet jeśli go nie zestrzelimy, poczekamy po prostu, aż sobie odleci.

- Mowy nie ma. Wątpię, żebym poderwał potem grata na jednym silniku. Na dwóch czasem ledwie się udaje. Zapominasz, że nie jestem dorożkarzem, tylko myśliwcem.

- Dobra, Ben - jęknął Ed. - Jestem po twojej stronie. A oto i nasz mały przyjaciel. Nadlatuje dokładnie od tyłu.

- Dawaj do przodu, Ben. Gdy tylko zaczniesz strzelać, opuszczę pływaki. Kto wie, co zdarzy się potem.

Ed pobiegł na dziobowe stanowisko strzeleckie. Gdy już się do niego wcisnął, przypomniał sobie, jak bardzo go nie cierpi. Zostało zaprojektowane dla osobników o wiele mniej słusznie zbudowanych niż on i miało szereg innych felerów konstrukcyjnych. Sam chyba lepiej by je zaprojektował. Przede wszystkim wyrzuciłby trzydziestkę i dał tutaj karabin maszynowy jakiegoś sensowniejszego kalibru. Z pięćdziesiątką może byłoby jeszcze ciaśniej, ale chyba mają tam na stanie trochę drobnych lotników? Podobnie powinni zresztą dobierać nawigatorów i łącznościowców. Ostatecznie nałożył jednak słuchawki i przeładował karabin.

- Jest! - wrzasnął strzelec z tyłu. - Dobrze mu dołożyłem! Cały ogon ma w strzępach. Może nawet załatwiłem Strzelca! Za mojego przyjaciela!

- Gdzie jest? - spytał Ben.

- Odszedł. Kierunek... godzina dziewiąta?

- Słyszysz, Ed? Plan chyba działa. Miej teraz oczy otwarte.

- Słyszę. - Palmer rozejrzał się po niebie przez zmatowiałą pleksi. Cała maszyna była poważnie zużyta i nawet pleksiglas już zmętniał, utrudniając obserwację.

Dave pojawił się przed cataliną trochę później, niż oczekiwali. Może japoński pilot był jednak ostrożny, może jego samolot wskutek uszkodzeń stracił na szybkości, niemniej w

końcu Ed dostrzegł, że dwupłat idzie na nich od czoła. Tyle że dał się zauważyć trochę późno.

- Jest - spokojnie oznajmił Ed, chociaż daleko było mu do opanowania. - Przez tę cholerną pleksi nie mogę jednak ocenić odległości. Musicie mi powiedzieć, kiedy będzie w zasięgu.

- Hm. Już do nas strzela, więc gdybyś mógł złapać za broń...

- Czy ty widziałeś, co jak tu mam? - warknął Ed. - Jeden zasobnik amunicji. Jeden! Muszę podpuścić go bliżej.

Pierwsze pociski uderzyły w płatowiec.

- Jest coraz bliżej!

- Jeszcze kilka sekund! - Ed widział już wyraźnie japoński samolot. Może i miał jakieś uszkodzenia ogona, ale szedł prosto na nich, błyskając jedynym strzelającym do przodu karabinem. Catalina obrywała coraz gęściej i Ben zaczął poganiać Strzelca. Po chwili dołączył do niego Tikker. Ed nie zwracał na nich uwagi. Nie przejął się nawet dziurką, która pojawiła się w osłonie wieżyczki, kilka cali od jego twarzy. Pilnował celu. Starannie wymierzył karabin w krąg silnika, wziął lekką poprawkę i otworzył ogień. Nie strzelał krótkimi seriami, jak powinien - starał się zalać nieprzyjacielską maszynę gęstym strumieniem ołowiu. Sądząc po uderzających w catalinę pociskach, japoński pilot myślał tak samo.

W końcu ujrzał błysk i dawa buchnął dymem. Dwupłat zachwiał się, jakby pilot z trudem odzyskiwał nad nim kontrolę. Ed krzyknął triumfalnie, ale chwilę potem iglica karabinu uderzyła głucho.

- Pestki się skończyły! - wrzasnął do mikrofonu.

- Spokojnie - odezwał się Ben. Mówił trochę niewyraźnie, jakby zmagął się w wicherą. - Jemu chyba też albo uszkodziłeś mu karabin.

Ed przyjrzał się nadlatującej maszynie. Owszem, przestała strzelać, ale dlaczego nie zmieniała kursu? Dwupłat ledwie trzymał się powietrza i japoński pilot powinien znaleźć sobie miejsce do wodowania, gdzie mógłby poczekać na pomoc. Po co walczył, żeby utrzymać wysokość, i mierzył ciągle maską silnika w PBY...? Nagle Ed zrozumiał.

- Chce nas staranować! - krzyknął. - Ten idiota idzie na zderzenie!

- Gdzie jest?! - spytał Ben spanikowanym głosem. - Pleksi szlag trafił, a ja mam tylko okulary przeciwsłoneczne i krew zalewa mi oczy. Tikker nie ma nawet okularów! Musisz mi podać jego pozycję, Ed!

- Boże... Dobra! Jest niżej, na jedenastej, nie masz prawa go zobaczyć. Zbliża się szybko, więc jeśli chcesz coś zrobić, zrób to teraz!

Bell Mallory myślał gorączkowo, co właściwie może zrobić. Gdyby poszedł w górę i skręcił, stałby się większym i wolniejszym celem. W górę z utrzymaniem kursu na przeciwnika byłoby chyba lepszym wyjściem. Byle nie w dół ze skrętem, bo wtedy dałby Japończykowi czas na korektę kursu. Chociaż... Najlepiej będzie prosto i w dół. To go zaskoczy i utrudni trafienie.

- Trzymajcie się! - wrzasnął.

Ed widział wszystko ze swojej ciasnej wieżyczki. Jakimś cudem prerażenie go opuściło. Gdy Ben skręcił ku idącej do samobójczego ataku maszynie, panika skoczyła w nim na koniec skali i nagle... zostały tylko lodowaty spokój i szybka analiza sytuacji. Domyślił się, co Ben próbuje zrobić. Nie wiedział, czy zadziałał tu geniusz pilota czy jego szaleństwo, ale wydawało się, że manewr może mu się udać. Nagle dawał się bardzo dobrze widoczny. Wielkie czerwone koła ostro kontrastowały z ciemnozieloną farbą pokrywającą górne powierzchnie skrzydeł. Ed miał wrażenie, że dostrzega twarz pilota. Wyglądało na to, że minął się w bezpiecznej odległości, gdy nagle dwupłat obrócił się na plecy, błysnął szarym podbrzuszem i gwałtownie pogłębił nurkowanie. Ed nie zdążył ostrzec Bena. Nie wiedziałby zresztą, co powiedzieć.

Ktoś musiał jednak przekazać ostrzeżenie, może zresztą Mallory sam dostrzegł zagrożenie, bo Catalina pochyliła się nagle w prawo, czyli ponownie w stronę przeciwnika. Nie mieli jednak dość czasu. Ed poczuł wstrząs zderzenia. Nim zacisnął powieki, zdążył jeszcze dojrzeć gwałtownie puchnącą kulę ognia.

\*

*Walker* wszedł do zatoki Baalkpan około piętnastej, krótko po południowej ulewie, która regularnie nawiedzała wyspę. Gdy spojrzeli na parujące miasto, dostrzeli, jak bardzo się zmieniło od czasu, gdy widzieli je ostatnio. Nad zatoką dominował Fort Atkinsona z działami, które powinny odstraszyć każdego myślącego przeciwnika. Tyle że grikowie nie myśleli.

Miasto otaczał wysoki wał ziemny, wzmocniony grubymi belkami. Uatrakcyjniono go przeszkodami terenowymi po obu stronach szerokiej fosy. Wciąż jeszcze pracowano nad osłonami stanowisk artyleryjskich. Samo miasto, które Matt uważał już prawie za swój dom, raczej mało się zmieniło.

*Mahan* cumował przy odległym pirsie remontowym. Z pierwszego komina niszczyciela snuła się smuzka dymu, a niemal połowa kadłuba lśniła już nową jasnoszarą farbą. Matt był pewien, że Jim nie zacząłby malowania, gdyby nie uporał się z ważniejszymi problemami.

*Walker* też wyglądał inaczej niż w chwili, gdy wypływał na czele Połączonych Sił Ekspedycyjnych, żeby udzielić pomocy Aryaalowi. Zdawał się nosić oryginalny, pomarańczowy kamuflaż z ciemniejszymi smugami na burtach. W poczerniałych od ognia miejscach pojawiły się już całe połacie czerwonej rdzy. Wielki numer 163, który jaśniał wcześniej dumnie na dziobie okrętu, był ledwie widoczny. W płytach poszycia ciemniały liczne nieregularne otwory, z boków spływały strumienie wody usuwanej przez pompy z przeciekającego kadłuba. Już sam w sobie nie był to budujący widok, a setki stłoczonych na pokładzie, ciągle jeszcze wstrząśniętych lemurów przydawały sytuacji dramatyzmu.

Mimo że wszędzie wrzała praca, wieść o powrocie niszczyciela ściągnęła na nabrzeże tysięczne tłumy. Miasto słyszało już o bitwie. Nie było sensu ukrywać informacji o stracie *Nerracki* i śmierci większości tych, którzy znajdowali się na statku. Większy wstrząs wywołałoby ujawnienie prawdy dopiero wraz z samotnym powrotem *Walkera*. Przed rozpaczą chroniła jedynie świadomość, że niszczyciel stoczył ciężką walkę i uratował tylu rozbitków, ilu można było wziąć na pokład. Kotowaci tak wierzyli w *Walkera*, że widząc żalostny stan okrętu, byli pewni, iż *Amagi* musiał wyjść ze starcia jeszcze bardziej sponiewierany. Jeśli w ogóle ocalał. Większość miejscowych nie rozumiała, jak bardzo obie jednostki się różnią.

Tłum stał w milczeniu i niemal w bezruchu, gdy *Mahan* dał sygnał powitalny naprawionym już gwizdkiem. Wtedy czar jakby prysł. Dokerzy przepchnęli się do nabrzeża, żeby przyjąć cumy. Z bliska *Walker* wyglądał jeszcze gorzej, jakby ostatkiem sił dowlókł się do portu. W końcu umocowano trapy i fala uchodźców wylała się na brzeg. Na niektórych czekali bliscy, którzy przyплыnęli wcześniej na *Humfra-Darze*. *Salissa* jeszcze stała na redzie i nikt na jej pokładzie nie znał dokładnego przebiegu zdarzeń. Przechodzący obok niej *Walker* posłał jej tylko lakoniczną wiadomość lampą: „Dobrze was widzieć. Muszę wyładować pasażerów, nim zatone”.

Na większość rozbitków nikt jednak nie czekał. Stanęli zbici w luźne grupy, jakby nie do końca pojmowali, gdzie właściwie rzucił ich los. Mieli po temu powody. Stracili domy i omal nie zginęli, tak jak wielu ich bliskich. Szczęściem ktoś w mieście pomyślał o nich i na nabrzeżu zjawili się żołnierze wysłani, żeby zająć się przybyszami. Niebawem odprowadzili ich do kwater. Ponaglany przez oficerów tłum zaczął się rozchodzić do swoich zajęć. Gdy nabrzeże było już puste, zaczęto znosić rannych.

Matt przyglądał się temu z mostka, podczas gdy Sandra kierowała akcją na pokładzie. Towarzyszyła jej królowa Maraan, która nikomu nie szczędziła ciepłych słów i pociechy, nie zwracając uwagi na pochodzenie cierpiących. Matt podziwiał ją coraz bardziej, zwłaszcza gdy

widział, z jakim zaangażowaniem pomagała dawnym wrogom z Aryaalu. Bez wątpienia mogła znacząco wzmocnić sojusz.

Obok Matta stał Chack. Zmęczony, ale przytomny, chociaż spędził całą noc w bocianim gnieździe.

- Idź im pomóc, jeśli chcesz - powiedział do niego Matt, wskazując Safirę. - Albo walnij się spać. Jak wolisz.

- Jeśli to nie robi różnicy, pójdę pomóc paniom - stwierdził z uśmiechem kotowaty.

- Pięknie, ale wróć do pierwszej wachty. Mamy wiele do zrobienia i bosman będzie cię potrzebował. Wcześniej spróbuj się trochę przespać. Potem może nie być na to czasu.

- Aye, aye, kap-i-tanie! - Chack zasalutował i po poręczach schodni zjechał na pokład.

Matt pokręcił głową i przeciągnął się ostrożnie. Na krótko przed wejściem do zatoki przekonał Sandrę, żeby zdjęła mu temblak. Żebra go już nie bolały, a rana ramienia goiła się czysto. Podobnie było z wszystkimi pacjentami potraktowanymi maścią kotowatych. Sandra wiedziała, że wytwarza się ją ze sfermentowanych owoców polta, ale wciąż nie знаła jej dokładnego składu i chętnie by go zbadała. Mattowi nie robiło to różnicy, chciał jedynie odzyskać sprawność, zanim ręka kompletnie mu uwiędnie. Przeciągnął się, napinając mięśnie, i spróbował unieść ramię. Ból jednak zmusił go do natychmiastowego opuszczenia ręki. Po chwili zaczął słabnąć, co zachęciło kapitana do jeszcze jednej próby. Z tym samym skutkiem.

Odłożywszy rehabilitację na później, ponownie spojrzał na nabrzeże, gdzie pojawiła się formacja gwardzistów w barwach klanu Nakii. Chwilę później sam wielki wódz Baalkpanu wszedł po trapie w towarzystwie Alana Lettsa i Jima Ellisa. Mimo panującego jeszcze zamieszania bosman zdołał zebrać drużynę, która odegrała rolę kompanii honorowej, zabrzmiał też gwizdek. Nie trwało długo, a goście wspięli się na mostek. Jim i Alan, zasalutowawszy, mocno uścisnęli dłoń kapitanowi. Nakja po prostu wziął go w ramiona, aż Matt jęknął.

- Tak się cieszę, że wróciliście! - powiedział wódz jeszcze lepszym angielskim niż ostatnio. Wyraźnie nie zauważył, że niechący sprawił kapitanowi nieco bólu.

- Ja również - odparł Matt. - Niestety, *Nerracca* nie miała tyle szczęścia.

- Straszne. Bardzo boleję nad jej stratą. I nad *Zemstą*. - Kapitan przypomniał sobie, że większość załogi zdobywczy żaglowca rekrutowała się z Baalkpanu.

- *Zemsta* zginęła w walce - odparł cicho. - Zabrała ze sobą setki przeciwników. Rodziny członków jej załogi mogą być z nich dumne.

- I są - potwierdził wódz. - Ja też. Ale żal i złość pozostają.

- Oczywiście.



Nakja wskazał na nabrzeże, z którego zabierano ostatnich rannych.

- Uratowałeś wielu z *Nerracki*.

- Tylu, ilu zdołałem. Tassat zachował się jak bohater. To on wysłał do nas ludzi na łodziach do polowań na gri-kakka. Gdy nie było już szans na ocalenie statku, kazał córce przeciąć hol. Tylko dlatego żyjemy.

- Rozumiem - powiedział Nakja i ze smutkiem pokiwał głową. - I ona, i wszyscy jej ludzie mogą się przyłączyć do mojego klanu, jeśli zechcą. Pewnie wrócą na *Araccę*, a jeśli nie, będą mile widzianymi gośćmi. - Spojrzał Mattowi w oczy. Pora była przejść do rzeczy. - Czy sądzisz, że zniszczyliście żelazny okręt przeciwnika? - spytał z niepokojem. Potwierdził w ten sposób obawy kapitana, który dostrzegł już pustkę w miejscu, gdzie zwykle cumował PBY. Na brzegu też nie było go nigdzie widać, chociaż powinien był wrócić przed kilkoma godzinami.

- Cóż, jeśli o to chodzi, mamy zarówno dobre, jak i złe wiadomości.

- Muszę to wiedzieć - naciskał kotowaty. - Zniszczyliście ten straszny okręt?

Matt potrząsnął głową.

- Nie - odparł i spojrzał na obecnych. Nakja tylko zamrugał. - Mocno go uszkodziliśmy, a już wcześniej nie był w dobrym stanie. Niemniej Ben przekazał w ostatnim meldunku, że krążownik trzyma się na wodzie i wciąż jest pod parą.

- No i nie jest sam - dodał Letts. - Towarzyszą mu dziesiątki tysięcy jaszczurów upakowanych na czerwonych statkach. Ciężko będzie tak czy owak, z Japońcami czy bez nich.

- Musimy spotkać się wieczorem - stwierdził Nakja. - Spróbujemy zebrać wszystkie informacje i dokładnie ustalić siły przeciwnika. Musimy się przygotować na bliski atak...

- Nie - przerwał mu Matt. - Powiedziałem, że są też dobre wiadomości. Złych wprawdzie nie brakuje - wskazał na puste miejsce cumowania samolotu - Benowi chyba się nie udało, ale przekazał również, że *Amagi* płynie kursem na *Aryaal*. A z nim cała flota wroga. Palmer przypuszczał, że krążownik został poważnie uszkodzony i grikowie postanowili odłożyć atak na *Baalkpan*. To daje nam trochę czasu. Ile dokładnie, trudno powiedzieć. Bez samolotu trudniej będzie zdobywać informacje. - Spojrzał na Jima i uśmiechnął się ze smutkiem. - Jesteśmy tam, gdzie byliśmy na początku. Przyłoczeni przewagą liczebną i bez osłony powietrznej.

- Skąd ta pewność, że samolot nie wróci? - szepnął przerażony Nakja.

- Powinien być już tutaj od dwóch godzin. Od czasu tamtego meldunku nie mamy z nim kontaktu radiowego. - Zamilkł na chwilę. - Jeśli wciąż chcesz spotkać się wieczorem, to

w porządku, ale na razie mamy tu wiele do zrobienia. Zatem do zmroku, Nakja-Mur.

- A ja sugerowałbym, żeby nie przerywać przygotowań, lecz nadal działać tak, jakby szli prosto na nas - dodał Ellis.

- Jasne - zamrugął wódz. - Wszyscy mamy wiele do zrobienia. - Odwrócił się, ale spojrzał jeszcze na Matta. - Naprawdę się cieszę, że wróciłeś, kap-i-tanie Reddy.

- Chyba trochę mu ciebie brakowało, skipper - zauważył Letts, gdy Nakja już poszedł.

Ktoś wdrapywał się na mostek. Gdy spojrzeli w dół, ujrzeli porucznika Sandisona, wysmarowanego jak nieboskie stworzenie. Nawet na nosie miał czarną smugę. Ucieszył się, widząc stojących na mostku oficerów.

- Co jest, panie Sandison? - spytał Matt, unosząc brwi.

- Mam końcowy raport na temat porzuconych torped, kapitanie.

- Już? - spytał Matt bez cienia sarkazmu. Był zdumiony, że udało się ustalić cokolwiek tak szybko po wznowieniu pracy.

Bernie drgnął, jakby nie odgadł myśli kapitana. Inna sprawa, że jego zdaniem sarkazm byłby na miejscu.

- Cóż, sir. Jak pan może pamiętać, znaleźliśmy dwie takie torpedy.

- Też mi się tak wydaje.

- Uznaliśmy, że obie należą do typu używanego na okrętach podwodnych...

Matt ponownie kiwnął głową, dając znać, że niecierpliwie czeka na ciąg dalszy. To, jakie było oficjalne przeznaczenie torped, nie odgrywało większej roli. Podwodniackie Mark 14 były niemal identyczne z Mark 15, które stosowano na niszczycielach, tyle że miały mniejszy zasięg i trochę krótszy kadłub. Oba typy trafiły takie same przypadłości, jednak nie robiło im różnicy, skąd się je wystrzeliwuje.

- Tak, sir. Jedna z nich to rzeczywiście złom. Ta, którą wyciągnęli z blach holenderskiego frachtowca. Przez nią właśnie przyjrzałem się bliżej zapalnikom. Może przyda się któregoś dnia jako wzór projektowy, poza tym nadaje się tylko na części. Naprawa nie wchodzi w grę.

- Mniej więcej to samo słyszałem już wcześniej - powiedział nieco już zniecierpliwiony Matt. - Zakładam, że tym razem chodzi przede wszystkim o tę drugą torpedę? - Sandison przytaknął. - Wie pan już, co jej dolega?

- Nic.

- Nic?!

- Otóż to, sir. Obejrzeliśmy ją z porucznikiem Shinyą ze wszystkich stron i nie znaleźliśmy żadnej usterki.

- Skoro tak, to dlaczego została porzucona? I to w czasie, gdy wszystkim brakowało torped?

- Tu jest pies pogrzebany, kapitanie... Naszym zdaniem wcale nie została porzucona.

- Słucham?! - wykrzyknął Ellis. - Oczywiście, że została. Byłem w tym magazynie, gdzie ją znaleźliśmy. Wszystkie były oznaczone jako wadliwe...

- Nie wszystkie - przerwał mu Sandison. - Ta jedna nie. Dlatego właśnie nie mieliśmy pojęcia, od czego z nią zacząć.

- Ale... jeśli tak, dlaczego leżała razem z odstawionymi?

Sandison zaczerpnął haust powietrza.

- Bo to stary typ. Nie Mark 14, ale Mark 10!

- A jaka to róż... - Letts przerwał i trzepnął się otwartą dłonią w czoło. - Jasne! - Spojrzał na kapitana. - Mark 10 to torpeda przeznaczona dla ścigaczy. Starych ścigaczy torpedowych! Nie pasuje do nowych łodzi. Zebrali więc wszystkie dziesiątki, gdyby miały się jeszcze przydać. W Surabai mieli pewnie tylko jedną i dali ją do magazynu braków.

Sandison cały czas kiwał głową.

- Myślę dokładnie tak samo - powiedział.

Matt spojrzał na niego uważnie.

- Zatem jest w pełni sprawna?

- Tak, sir.

- Możemy ją wykorzystać?

- Tak, sir. Mark 10 są raczej wolne, ale działają. Nie mają tych zapalników co późniejsze typy.

Matt zamknął oczy i pokręcił głową.

- Przydałaby się ostatniej nocy - westchnął.

- Tak, sir - powiedział cicho Sandison.

Kapitan poklepał go po ramieniu.

- Nie pańska wina. - Spojrzał ku rufie. - Proszę podziękować porucznikowi Shinyi za pomoc. Ale potem niech się zgłosi do pana Aldena. Trzeba ruszyć znowu ze szkoleniem i bardzo się tam przyda. - Odciągnął Sandisona na bok. - Proszę też przekazać panu Aldenowi nasze... refleksje na temat pana Shinyi.

- Oczywiście, kapitanie.

Gdy wszyscy wrócili już do swoich obowiązków, Matt stanął sam na prawym skrzydle mostka, spoglądając na ruchliwą zatokę. Sprawdził godzinę. Wiedział, że w razie kłopotów z silnikiem spóźnienie PBY byłoby nieuniknione. Ale żeby tak wielkie? Trudno

było jeszcze żywić nadzieję.

- Może jednak - usłyszał głos Sandry. Obejrzał się. Dziewczyna stała na mostku i składała zakrwawiony fartuch. Wyglądała na zmęczoną.

- Myślisz o samolocie? - zapytał ją. - Obawiam się, że nie ma już na to szans.

- Jeszcze bym ich nie spisywała na straty, ale nie z tym przyszedłam. Chodziło mi o całą tę „krucjatę”, którą zacząłeś, żeby uratować kotowatych. A przy okazji i nas. - Westchnęła. - Przyznaję, z początku byłam sceptyczna. Sądziłam, że to zbyt wielki kęs jak na nasze możliwości. Zwłaszcza po bitwie pod Aryaalem. Ale teraz widzę, że coś się zmienia. Mimo całego cierpienia i przelanej krwi, a może dzięki nim właśnie, oni naprawdę zaczynają działać razem. Dzięki tobie. Na razie wygraliśmy cudem kilka bitew, chociaż nie kampanię. Mnóstwo ludzi zginęło, ale o wiele więcej udało się ocalić. - Przerwała, jakby szukała właściwych słów. - W końcu grikowie i *Amagi* zjawią się także tutaj. Zrobimy, co w naszej mocy, żeby przygotować się na ich nadejście. Dojdzie do największej bitwy w historii tego świata. I wiesz co? Wygramy. Wygramy, bo był Aryaal i wiemy, co nas czeka w przeciwnym razie. Wygramy, ponieważ będziemy pamiętać *Nerraccę*. Wszyscy, i kotowaci, i ludzie. - Zerknęła wkoło, czy nikt ich nie obserwuje, i położyła Mattowi dłonie na ramionach. - Wygramy, bo ty nas poprowadzisz - dodała z naciskiem. - Musisz w to uwierzyć!

- Wierzę we wszystko, co mi mówisz, poza jednym - odparł z lekkim uśmiechem. - Nie jestem wcale pewien tego zwycięstwa.

Sandra przechyliła głowę, jakby rozważała jego słowa, i spojrzała na niego z ukosa.

- Tak samo, jak nie jesteś pewien powrotu PBY? - zapytała. - A może bardziej? Czy mniej?

- Trochę bardziej - mruknął Matt. - Co do samolotu, nie mam już nadziei.

- Naprawdę?

Matt chciał poprosić, żeby nie droczyła się z nim tak niemądrze, gdy dostrzegł coś w jej twarzy. A potem coś usłyszał. Dopiero teraz, ale jak większość załogi, wciąż był trochę przygłuchy po nocnej palbie artyleryjskiej. Inni też to usłyszeli. Na obu okrętach odezwały się dzwony, ktoś nawet uruchomił gwizdki parowe. Kto żyw spojrzał ku zatoce. Ludzie tłoczyli się przy relingach i wymachiwali czapkami. Podobne zachowanie udzieliło się ludziom na nabrzeżu. Samolot był już dobrze widoczny. Szedł na jednym silniku, co nie było nowością, bo tak właśnie zjawił się kiedyś w Baalkpanie. Co innego zwracało uwagę.

- Wyłączyć mi te piszczałki! - wrzasnął bosman tak głośno, że było go słychać na obu niszczycielach. - Zgarnąć mi te śmieci z pokładu i przygotować *Scotta* do spuszczenia na wodę! - W tym miejscu Gray trochę się opamiętał i spojrzał na kapitana, który pokiwał głową,

potwierdzając rozkaz podwładnego. Od teraz motorówka *Walkera* miała nosić imię tego, kto zawsze nią sterował. Wszyscy wiedzieli już o śmierci Tony'ego i wielu bardzo się nią przejęło, chociaż smutnych wydarzeń ostatnio nie brakowało. Sandra miała szczególne powody do żałoby, bo Scott uratował jej kiedyś życie. Co dziwne, najgorzej przyjął to chyba Silva. Gdy tylko siostra Cross powiedziała mu, co się stało, marynarz po prostu zniknął wszystkim z oczu.

Catalina była już blisko akwenu, gdzie zwykle lądowała, ale leciała niepewnie, jakby nie miała już sił na pokonanie tych ostatnich metrów. Z wysoko uniesionym dziobem zahaczyła o fale i wytraciwszy prędkość, uderzyła rozgłośnie kadłubem o powierzchnię wody. Szczęściem zatoka była wyjątkowo spokojna, jednak bardziej przypominało to kontrolowaną katastrofę niż wodowanie. Dopiero teraz można było zobaczyć, w jakim stanie jest samolot, i wielu pomyślało z niepokojem o jego załodze.

Prawy silnik był wyłączony, jego osłona była postrzelana i poczerniała od ognia, a nieruchome śmigło ustawiono w chorągiewkę. Ślady pocisków widać było niemal wszędzie, najwięcej przestrzelin było jednak w tych miejscach, gdzie powinna przebywać załoga. Brakło osłony kokpitu oraz obu bąbli obserwacyjnych. Kilka dziur ziało nawet z przedniej wieżyczki. Samouszczelniające się zbiorniki w skrzydłach były tak postrzelane, że ciurkało z nich paliwo, rozchodząc się tęczowymi kałużami po wodzie. Kryte płótnem powierzchnie sterowe, zwłaszcza lewego statecznika poziomego, były niemal nagie. Aluminiowe poszycie stateczników było w wielu miejscach rozdarte. Co gorsza, lewy płat był wyraźnie krótszy. Kończył się teraz tuż za pływakiem - wyglądało to, jakby rekin odgryzł ostatnie trzy albo cztery stopy. Brakło też lewej lotki. Pływak kołysał się, niezablokowany, lecz fala nie była wysoka, nie zagrażało to więc maszynie.

- Mój Boże - szepnęła Sandra, już bez uśmiechu. - Jak im się udało wrócić?

Matt zastanowił się, ilu tak naprawdę wróciło. Zaterkotała motorówka i skierowała się w stronę samolotu. Pilot właśnie wyłączył sprawny silnik, obawiając się zapewne samodzielnie podejść do nabrzeża. Na wodzie pojawiła się też pływająca na pomoc motorówka z *Mahana*. Po chwili z maszyny wydobyto trzy zakrwawione postacie, które marynarze ułożyli w łodzi. Jedna z nich była ludzka, dwie należały do kotowatych. Po chwili do motorówki zeszły jeszcze dwie osoby i *Scott* ruszył do nabrzeża, gdzie czekał już wóz korpusu medycznego. Pozostała w Baalkpanie Karen Theimer bardzo poważnie potraktowała swój nowy przydział i założyła w mieście szpital z własną kolumną sanitarną.

Trzy postacie zostały przeniesione na wóz, podczas gdy pozostałe dwie weszły z wysiłkiem po trapie na pokład *Walkera*. Po dłuższej chwili obie stanęły przed Mattem, Sandrą

i rosnącą z każdą chwilą gromadką oficerów i podoficerów z obu okrętów. Zapewne tylko obecność bosmana wstrzymywała resztę załogi przed wspięciem się na górę.

Ed Palmer zaszalutował, Jis-Tikkar powtórzył jego gest. Lemur nigdy wcześniej nie spotkał Matta.

- Kapitanie Reddy, melduję powrót z lotu rozpoznawczego nad flotą nieprzyjaciela - powiedział Ed zmęczonym głosem. - Muszę też zameldować, że porucznik Mallory jest ciężko ranny. Dostał dwie kule, w głowę i ramię. Obaj nasi obserwatorzy nie żyją. - Lemur dał mu ostrego kuksańca i Palmer westchnął głośno. - Wykonujący dzielnie obowiązki drugiego pilota Jis-Tikker także został ranny. - Tikker pokazał wszystkim prawe ucho, w którym widniała gładka dziurka po pocisku kalibru 7,7 milimetra.

Matt kiwnął głową, dając znać, że docenia tę ofiarę, po czym spojrzał ponownie na Eda.

- Co się stało? - zapytał.

- Zostaliśmy zaskoczeni przez nieprzyjacielski samolot - zaczął Palmer, opisał wszystko od pierwszej wymiany ognia po próbę staranowania cataliny. - Po prostu w nas uderzył, skipper. Rozmyślnie. Walka dobiegła końca i powinien sobie odlecieć, ale poszedł na zderzenie. Ben robił, co mógł, ale niewiele brakowało. Gdy żółtek uderzył w nasze skrzydło, musiał sobie rozwalić zbiornik paliwa. Już wcześniej płonął i zaraz eksplodował. Wtedy oberwaliśmy tak mocno z lewej strony i poległ drugi strzelec.

- I wtedy też pan Mallory został ranny? - odezwał się Matt.

- Nie, sir. On dostał wcześniej. Wciąż jednak pilotował i dopiero jakąś godzinę temu zaczął wysiadać z upływu krwi. Wyciągnąłem go z fotela i trochę opatrzyłem. Potem mówił nam tylko, co trzeba robić.

- Mam więc rozumieć, że to pan wylądował tym samolotem, sygnalista Palmer? - spytał zdumiony Matt.

- Nie, sir - odparł Ed.

To zostawiało tylko jedną możliwość. Matt spojrzał z niedowierzaniem na kotowatego, który stał dumnie wyprostowany, ale i tak ledwo sięgał Edowi do ramienia. - To on. Podłożył sobie dwa spadochrony pod siedzenie i pracował sterem. Ja zająłem się pedałami. Z początku niezbyt nam wychodziło, ale jakoś dolecieliśmy.

- Świetna robota - powiedział Matt, domyślając się, że w rzeczywistości musiało to wyglądać znacznie bardziej dramatycznie. - Odpocznijcie teraz. Skoro pan Mallory jest niedysponowany, będziecie musieli dopilnować remontu samolotu. Poza tym obaj otrzymujecie awans. Nie wiem jeszcze, na jaki stopień, o tym pomyślę później.

Odmaszerować.

- Aye, aye, skipper - odparł z uśmiechem Ed i wskazał na samolot. - My zaraz padniemy spać, ale dobrze, gdyby ktoś wyciągnął go na brzeg, nim zatonie.

Gdy znowu zrobiło się spokojnie, Matt ponownie został na mostku tylko w towarzystwie Sandry. Jednak nie cieszył się nim długo, bo dołączył do nich Courtney Bradford. Razem przyglądali się, jak blisko setka lemurów chwyta za liny, żeby wciągnąć postrzelany samolot na nabrzeże. Trochę dalej Baalkpan kąpał się w popołudniowym słońcu. Egzotycznie piękne miasto wydawało im się teraz bliskie i bardziej niż znajome.

- Niezwykłe! - rzucił Bradford.

- Istotnie - zgodził się Matt i spojrzał z uśmiechem na Sandrę. - Wszystko jest tu niezwykle. Cały ten świat i to, co wszyscy w nim robimy. - Pokręcił głową i jeszcze raz zerknął na samolot. - Dlatego się nie poddamy i w końcu uda nam się wygrać. Może tego nie dożyjemy i może to miasto będzie wyglądać jeszcze gorzej niż ten PBY, ale cóż... Nie mamy wyboru. Musimy wygrać i tyle.

## EPILOG

Gdy Isak Reuben, Gilbert Yager i Tab-At wyszli wreszcie spod pokładu, szybko odkryli, że ich miejsca noclegowe nie nadają się do użytku. Jak inni musieli ruszyć w szeroki świat, czyli poszukać sobie nowego kąta na pokładzie. Od iluś dni nie oglądali światła dnia i przypominali trochę zdezorientowane krety nieufnie obwąchujące wszystko, co dostrzegły w wieczornym słońcu. Wokół wrzała praca i oprócz załogi na okręcie było wielu robotników stoczniowych zajętych ilomaś pilnymi naprawami. Myszowaci też mieli co robić, ale po ośmiu wachtach nie nadawali się do użytku i Spanky kazał im się przespać. Tyle że wszędzie coś się działo i ciche miejsca stały się nagle deficytowe.

Przed nimi właśnie demontowano wyrzutnię torpedową numer cztery, która bardziej przypominała durszlak niż element uzbrojenia. Porządna stal jednak zawsze mogła się przydać. Zewsząd dobiegały uderzenia młotów prostujących pogięte blachy, syczały palniki spawaczy, ich węże plątały się pod nogami. W powietrzu unosiły się wonie gorącej stali i przysmażonej farby, nad głowami latały wielojęzyczne przekleństwa. Isakowi kojarzyło się to raczej z apokalipsą stoczni złomowej niż remontem okrętu, który miał jeszcze kiedyś walczyć.

Powoli przeszli przez cizbę robotników, starając się uniknąć przypalenia, przygniecenia i zdeptania. W cieniu platformy działa na śródkręciu nie było wiele lepiej, chociaż tłok panował tam mniejszy. Niedaleko ruin kuchni siedział na stołku Lanier. Zmasakrowana maszyna do coli leżała wybebeszona na boku, już bez kompresora i przewodów. Ktoś położył na niej wieniec z kwiatów, który przewieźli z Pearl, gdy skierowano ich do Floty Azjatyckiej. Lanier strzegł trzymanej na kolanach tacy z kanapkami. Sądząc po okruszkach, które przyłgnęły do kącików jego ust, był chyba bardzo do nich przywiązany.

- Proszę - powiedział, podsuwając tacę Myszowatym. Z jakiegoś powodu wydawał się smutny, bez śladu zwykłej arogancji. - Jak długo nie naprawią mi kuchni, będziemy jechać na kanapkach. Dzięki Bogu, że lodówki nie rozwalili. Ale świeżego chleba na razie nie ma, lepiej więc zjedzcie to, co zostało! - Gdy obaj Myszowaci i Buras wzięli po kanapce, Lanier wrócił do narzekania: - To już końcówka chleba. Teraz będziecie musieli przetykać miejscowe śmieci! Przynajmniej do czasu, gdy zrobią mój piec.



- Mogło być gorzej - stwierdził Yager, odgryzając kęs. - Jak Mertz?

Lanier lekceważąco machnął ręką.

- Dostał odłamkiem w dupę. I jeszcze w nogę. Stracił palec i rozpacza nad tym, jakby mu rękę urwało. A przecież ma jeszcze dziewięć innych palców! Najgorsze jest co innego. Poza stratą maszyny do coli, oczywiście. Cholerne Japońce trafiły w mój schowek z przyprawami! Ostatnia szczypta czarnego pieprzu na tym świecie poszła się pieprzyć! To największa ich zbrodnia od czasu Pearl Harbor! - powiedział Lanier swoim zwykłym, pełnym emocji tonem. - Dranie!

Buras nie pojmowała rozpaczki kucharzu. Jej zdaniem to nie była wojna o pieprz. Isak i Gilbert jednak ze zrozumieniem pokiwali głową.

- Cholerne świństwo - powiedział Isak. - A jak twoje flaczki, Earl?

- To nie twoja sprawa, kocmołuchu! - warknął Lanier i wyprostował się, żeby zakryć brudny bandaż połami koszuli. - Jak już pożarliście moje kanapki, to może wróciłibyście do roboty?! Sam nie naprawię całego statku!

Poszli dalej w stronę dziobu. Mijając kabinę radiową pod mostkiem, dostrzegli Clancy'ego ze słuchawkami na uszach. Skinął im głową, pilnie czegoś nasłuchując. Gdy wspięli się przez właz na pokład dziobowy, znów znaleźli się w pełnym słońcu. Ta część okrętu nie doznała prawie żadnych uszkodzeń podczas nocnej walki, jeśli nie liczyć paru drobnych szram od odłamków. Chwilowo było tu też najciszej. Cała trójka wpełzła pod osłonę działa numer jeden i ułożyła się w skąpym cieniu.

- Dziwny jest ten Laan-yeer - powiedziała po chwili Buras. - Myśli, że jego kuchnia to cały okręt.

- Aha - mruknął Isak, zasłaniając oczy prawym ramieniem. - Ale z nami jest chyba podobnie. Naprawdę ważne są dla nas tylko kotły. Spanky ma gorzej. Musi myśleć o kotłach i maszynach. I nie tylko. Bosman Gray o wszystkim, co jest na pokładzie. Ale tak już jest. Każdy ma swój kawałek. Nikt nie może zajmować się wszystkim.

- Oprócz kap-i-taana - stwierdziła z namysłem Buras. - On musi martwić się o wszystko. Nie tylko o cały okręt, ale w ogóle o wszystko.

Przez chwilę leżeli w milczeniu, wsłuchani w dobiegający zewsząd łomot.

- Tak - westchnął w końcu Yager. - Za nic nie chciałbym tej roboty.